

A dark, moody photograph of a desk. On the left, a vase holds a bouquet of light-colored flowers. A pair of glasses and some papers are on the desk. To the right, the back of a dark wooden chair is visible. The background is a solid dark color.

BOLESŁAW PRUS

Lalka, tom pierwszy



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

BOLESŁAW PRUS

Lalka

TOM I

I. JAK WYGLĄDA FIRMA J. MINCEL I S. WOKULSKI PRZEZ SZKŁO BUTELEK?

W początkach roku 1878, kiedy świat polityczny zajmował się pokojem san-stefańskim¹, wyborem nowego papieża² albo szansami europejskiej wojny³, warszawscy kupcy tudzież inteligencja pewnej okolicy Krakowskiego Przedmieścia⁴ niemniej gorąco interesowała się przyszłością galanterijnego sklepu pod firmą J. Mincel i S. Wokulski.

W renomowanej jadalni, gdzie na wieczorną przekąskę zbierali się właściciele składów bielizny i składów win, fabrykanci powozów i kapeluszy, poważni ojcowie rodzin, utrzymujący się z własnych funduszy, i posiadacze kamienic bez zajęcia, równie dużo mówiono o uzbrojeniach Anglii⁵, jak o firmie J. Mincel i S. Wokulski. Zatopieni w kłębach dymu cygar i pochyleni nad butelkami z ciemnego szkła obywatele tej dzielnicy, jedni zakładali się o wygrane lub przegrane Anglii, drudzy o bankructwo Wokulskiego; jedni nazywali geniuszem Bismarcka⁶, drudzy — awanturnikiem Wokulskiego; jedni krytykowali postępowanie prezydenta MacMahona⁷, inni twierdzili, że Wokulski jest zdecydowanym wariatem, jeżeli nie czymś gorszym...

Pan Deklewski, fabrykant powozów, który majątek i stanowisko zawdzięczał wytrwałej pracy w jednym fachu, tudzież radca Węgrowicz, który od dwudziestu lat był członkiem—opiekunem⁸ jednego i tego samego Towarzystwa Dobroczynności⁹, znali S. Wokulskiego najdawniej i najgłośniej przepowiadali mu ruinę. — Na ruinie bowiem i niewypłacalności — mówił pan Deklewski — musi skończyć człowiek, który nie pilnuje się jednego fachu i nie umie uszanować darów łaskawej fortuny. — Zaś radca Węgrowicz, po każdej również głębokiej sentencji swego przyjaciela, dodawał:

— Wariat! wariat!... Awanturnik!... Józiu, przynieś no jeszcze piwa. A która to butelka?

— Szósta, panie radco. Służę piorunem!... — odpowiadał Józio.

— Już szósta?... Jak ten czas leci!... Wariat! wariat! — mruczał radca Węgrowicz.

Dla osób posilających się w tej co radca jadalni, dla jej właściciela, subiektów i chłopców przyczyny klęsk mających paść na S. Wokulskiego i jego sklep galanterijny były tak jasne, jak gazowe płomyki oświetlające zakład. Przyczyny te tkwiły w niespokojnym charakterze, w awanturczym życiu, zresztą w najświeższym postępkach człowieka, który mając w ręku pewny kawałek chleba i możliwość uczęszczania do tej oto tak przyzwoitej restauracji, dobrowolnie wyrzekł się restauracji, sklep zostawił na Opatrzności

Mieszczanin

Mieszczanin, Praca,
Bezpieczeństwo

Alkohol

Handel, Mieszczanin,
Niemiec, Polak, Praca, Żyd

¹*pokój san-stefański* — traktat zawarty między Rosją a Turcją dn. 3 marca 1878 r. w San Stefano (pod Konstantynopolem). Turcja, pokonana uprzednio w wojnie z Rosją (1877–1878), musiała uznać niepodległość swych dotychczasowych państw lenniczych: Rumunii, Serbii i Czarnogórze, przy czym granice tych dwóch ostatnich zostały znacznie rozszerzone. Jednocześnie utworzono rozległe Księstwo Bułgarskie z dostępem do Morza Egejskiego (obejmujące Macedonię). Poza tym Turcja została zmuszona do ustępstw terytorialnych na rzecz Rosji w Azji i do zapłaty wysokiej kontrybucji.

²*wybór nowego papieża* — 20 lutego 1878 r., po śmierci Piusa IX, został papieżem kardynał Joachim Pecci jako Leon XIII, znany później ze swych wystąpień przeciw ruchowi socjalistycznemu.

³*szanse europejskiej wojny* — zwycięstwa Rosji w wojnie z Turcją, możliwość zajęcia Konstantynopola przez wojska rosyjskie, a potem pokój w San Stefano wywołały silne niezadowolenie Anglii. Z początkiem 1878 r. nastąpiło zaostrzenie konfliktu, grożące wybuchem wojny między Anglią a Rosją.

⁴Krakowskie Przedmieście — jedna z głównych ulic warszawskich. Prawdopodobnie Prus w wyobraźni swej umieszczał sklep Mincel i Wokulski, tj. stary sklep Wokulskiego, na Krakowskim Przedmieściu nr 9. Dom ten zwany kamienicą Beyera został zupełnie zniszczony w czasie powstania warszawskiego, a ruiny rozebrano w grudniu 1946. Stojący obecnie w tym miejscu budynek, wzniesiony w 1949 r. wg projektu B. Pniewskiego, nie nawiązuje do dawnego stylu.

⁵*uzbrojenia Anglii* — przedsięwzięcie w związku z naprężoną sytuacją polityczną.

⁶Otto Bismarck (1815–1898) — kanclerz Rzeszy Niemieckiej, przywódca obszarników pruskich, dokonał zjednoczenia Niemiec (1871); zwalczał ruch socjalistyczny; prowadził politykę antypolską.

⁷Patrice MacMahon (1808–1893) — marszałek Francji, dowodził wojskami wersalskimi przeciw Komunie Paryskiej, następnie jako prezydent republiki (1873–1879) usiłował przywrócić monarchię.

⁸*członek—opiekun* — członek Towarzystwa Dobroczynności opiekujący się ubogimi określonej dzielnicy.

⁹*Towarzystwo Dobroczynności* — Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, arystokratyczno-mieszczańska instytucja filantropijna, założona w r. 1814; opiekowała się starcami i chorymi, udzielała zapomóg, utrzymywała ochronki.

boskiej, a sam z całą gotówką odziedziczoną po żonie pojechał na turecką wojnę¹⁰ robić majątek.

— A może go i robi... Dostawy dla wojska to gruby interes — wtrącił pan Szprot, agent handlowy¹¹, który bywał tu rzadkim gościem.

— Nic nie robi — odparł pan Deklewski — a tymczasem porządny sklep diabli wezmą. Na dostawach bogacą się tylko Żydzi i Niemcy; nasi do tego nie mają głowy.

— A może Wokulski ma głowę?

— Wariat! wariat!... — mruknął radca. — Podaj no, Józiu, piwa. Która to?...

— Siódma buteleczka, panie radco. Służę piorunem.

— Już siódma?... Jak ten czas leci, jak ten czas leci...

Agent handlowy, który z obowiązków stanowiska potrzebował mieć o kupcach wiadomości wszechstronne i wyczerpujące, przeniósł swoją butelkę i szklankę do stołu radcy i topiąc słodkie wejrzenie w jego załzawionych oczach, spytał zniżonym głosem:

— Przepraszam, ale... Dlaczego pan radca nazywa Wokulskiego wariatem?... Może mogę służyć cygarkiem... Ja trochę znam Wokulskiego. Zawsze wydawał mi się człowiekiem skrytym i dumnym. W kupcu skrytość jest wielką zaletą, duma wadą. Ale żeby Wokulski zdradzał skłonności do wariacji, tegom nie spostrzegł.

Radca przyjął cygaro bez szczególnych oznak wdzięczności. Jego rumiana twarz, otoczona pękami siwych włosów nad czołem, na brodzie i na policzkach, była w tej chwili podobna do krwawnika¹² oprawionego w srebro.

— Nazywam go — odparł, powoli ogryzając i zapalając cygaro — nazywam go wariatem, gdyż go znam lat... Zaczekaj pan... Piętnaście... siedemnaście... osiemnaście... Było to w roku 1860... Jadaliśmy wtedy u Hopfera¹³. Znałeś pan Hopfera?...

— Phi...

— Otóż Wokulski był wtedy u Hopfera subiektem i miał już ze dwadzieścia parę lat.

— W handlu win i delikatesów?

— Tak. I jak dziś Józio, tak on wówczas podawał mi piwo, zrazy nelsonskie¹⁴...

— I z tej branży przerzucił się do galanterii? — wtrącił agent.

— Zaczekaj pan — przerwał radca. — Przerzucił się, ale nie do galanterii, tylko do Szkoły Przygotowawczej¹⁵, a potem do Szkoły Głównej¹⁶, rozumie pan?... Zachciało mu się być uczonym!...

Agent począł chwiać głową w sposób oznaczający zdziwienie.

— Istna heca — rzekł. — I skąd mu to przyszło?

— No, skąd! Zwyczajnie — stosunki z Akademią Medyczną¹⁷, ze Szkołą Sztuk Pięknych¹⁸... Wtedy wszystkim paliło się we łbach, a on nie chciał być gorszym od innych. W dzień służył gościom przy bufecie i prowadził rachunki, a w nocy uczył się...

— Licha musiała to być usługa.

— Taka jak innych — odparł radca, niechętnie machając ręką. — Tylko że przy posłudze był, bestia, niemiły; na najniewinniejsze słówko marszczył się jak zbój... Rozumie się, używaliśmy na nim, co wlaźło, a on najgorzej gniewał się, jeżeli nazwał go kto „panem konsyliarzem”¹⁹. Raz tak zwymyślał gościa, że mało obaj nie porwali się za czuby.

— Naturalnie, handel cierpiął na tym.

Alkohol, Pijaństwo

Handel, Mieszczanin, Praca

Mieszczanin, Pozycja społeczna

¹⁰turecka wojna — wojna rosyjsko-turecka (1877–1878).

¹¹agent handlowy — przedstawiciel firmy handlowej trudniący się sprzedażą jej towarów, za co otrzymywał prowizję (pewien procent od sumy sprzedaży).

¹²krwawnik — kamień półszlachetny barwy czerwonej.

¹³u Hopfera — dzisiejsza kawiarnia „U Hopfera” (ul. Krakowskie Przedmieście 54), której nazwa nawiązuje do tradycji *Lalki*, mieści się w dawnym lokalu Karola Lesisza.

¹⁴zrazy nelsonskie — duszone mięso z kartoflami i grzybami.

¹⁵Szkoła Przygotowawcza — kurs wstępny do Szkoły Głównej, otwarty w 1861 r.

¹⁶Szkoła Główna — wyższa uczelnia, założona w Warszawie w r. 1862, z polskim językiem wykładowym. Kształcili się w niej najwybitniejsi przedstawiciele pozytywizmu polskiego (Prus, Świętochowski, Sienkiewicz, Dygasiński, Chmielowski i in.). W roku 1869 została zamieniona przez władze carskie na uniwersytet z rosyjskim językiem wykładowym.

¹⁷Akademia Medyczna — właściwie Akademia Medyko-Chirurgiczna; wyższa szkoła w Warszawie, otwarta w r. 1858, wcielona w r. 1862 do Szkoły Głównej jako jej wydział.

¹⁸Szkoła Sztuk Pięknych — średnia uczelnia artystyczna w Warszawie, istniała w latach 1844–1866.

¹⁹pan konsyliarz — w ten sposób tytułowano dawniej lekarza.

— Wcale nie! Bo kiedy po Warszawie rozeszła się wieść, że subiekt Hopfera chce wstąpić do Szkoły Przygotowawczej, tłumy zaczęły tam przychodzić na śniadanie. Osobliwie roila się studenteria.

— I poszedł też do Szkoły Przygotowawczej?

— Poszedł i nawet zdał egzamin do Szkoły Głównej. No, ale co pan powiesz — ciągnął radca uderzając ajenta w kolano — że zamiast wytrwać przy nauce do końca, niespełna w rok rzucił szkołę...

— Cóż robił?

— Otóż, co... Gotował wraz z innymi piwo, które do dziś dnia pijemy²⁰, i sam w rezultacie oparł się aż gdzieś koło Irkucka²¹.

— Heca, panie! — westchnął agent handlowy.

— Nie koniec na tym... W roku 1870 wrócił do Warszawy z niewielkim fundusikiem. Przez pół roku szukał zajęcia, z daleka omijając handle korzenne, których po dziś dzień nienawidzi, aż nareszcie przy protekcji swego dzisiejszego dysponenta²², Rzeckiego, wkręcił się do sklepu Minclowej, która akurat została wdową, i w rok potem ożenił się z babą grubo starszą od niego.

— To nie było głupie — wtrącił agent.

— Zapewne. Jednym zamachem zdobył sobie byt i warsztat, na którym mógł spokojnie pracować do końca życia. Ale też miał on krzyż Pański z babą!

— One to umieją...

— Jeszcze jak! — prawił radca. — Patrz pan jednakże, co to znaczy szczęście. Półtora roku temu baba objadła się czegoś i umarła, a Wokulski po czteroletniej katordze został wolny jak ptaszek, z zasobnym sklepem i trzydziestu tysiącami rubli w gotowiznie, na którą pracowały dwa pokolenia Minclów.

— Ma szczęście.

— Miał — poprawił radca — ale go nie uszanował. Inny na jego miejscu ożeniłby się z jaką uczciwą panią i żyłby w dostatkach; bo co to, panie, dziś znaczy sklep z reputacją i w doskonałym punkcie!... Ten jednak, wariat, rzucił wszystko i pojechał robić interesa na wojnie. Milionów mu się zachciało czy kiego diabła.

— Może je będzie miał — odezwał się agent.

— Ehe! — zachnął się radca. — Daj no, Józiu, piwa. Myślisz pan, że w Turcji znajdzie jeszcze bogatszą babę aniżeli nieboszczka Minclowa?... Józiu!...

— Służę piorunem!... Jedzie ósma...

— Ósma? — powtórzył radca — to być nie może. Zaraz... Przedtem była szósta, potem siódma... — mruczał zasłaniając twarz dłonią. — Może być, że ósma. Jak ten czas leci!...

Mimo posępne wróżby ludzi trzeźwo patrzących na rzeczy, sklep galanteryjny pod firmą J. Mincel i S. Wokulski nie tylko nie upadł, ale nawet robił dobre interesa. Publiczność zaciekawiona pogłoskami o bankructwie coraz liczniej odwiedzała magazyn, od chwili zaś kiedy Wokulski opuścił Warszawę, zaczęli zgłaszać się po towary kupcy rosyjscy. Zamówienia mnożyły się, kredyt za granicą istniał, weksle były płacone regularnie, a sklep roił się gośćmi, którym ledwo mogli wydołać trzech subiekci: jeden mizerny blondyn, wyglądający, jakby co godzinę umierał na suchoty, drugi szatyn z brodą filozofa, a ruchami księcia i trzeci elegant, który nosił zabójcze dla płci pięknej wąsiki, pachnąc przy tym jak laboratorium chemiczne.

Ani jednak ciekawość ogółu, ani fizyczne i duchowe zalety trzech subiektów, ani nawet ustalona reputacja sklepu może nie uchroniłyby go od upadku, gdyby nie zawiadował nim czterdziestoletni pracownik firmy, przyjaciel i zastępca Wokulskiego, pan Ignacy Rzecki.

Patriota, Powstanie

Małżeństwo, Kobieta

Handel, Praca

²⁰gotował wraz z innymi piwo, które do dziś dnia pijemy — mowa o udziale Wokulskiego w powstaniu styczniowym. Warto zwrócić uwagę na fakt, że Bolesław Prus używa w tym miejscu języka ezopowego, czyli nie mówi wprost o powstaniu styczniowym, a jedynie sugeruje czytelnikowi utajone treści. Języka ezopowego używali pisarze, by uniknąć ingerencji cenzury.

²¹Irkuck — miasto we wschodniej Syberii nad rzeką Angara.

²²dysponent — zastępca kierownika w zakładzie handlowym.

II. RZĄDY STAREGO SUBIEKTA

Pan Ignacy od dwudziestu pięciu lat mieszkał w pokoiku przy sklepie. W ciągu tego czasu sklep zmieniał właścicieli i podłogę, szafy i szyby w oknach, zakres swojej działalności i subiektów; ale pokój pana Rzeckiego pozostał zawsze taki sam. Było w nim to samo smutne okno, wychodzące na to samo podwórze, z tą samą kratą, na której szczeblach zwieszała się, być może, ćwierćwiekowa pajęczyna, a z pewnością ćwierćwiekowa firanka, niegdyś zielona, obecnie wypłowiwała z tęsknoty za słońcem.

Pod oknem stał ten sam czarny stół obity suknem, także niegdyś zielonym, dziś tylko poplamionym. Na nim wielki czarny kałamarz wraz z wielką czarną piaseczniczką²³, przymocowaną do tej samej podstawki — para mosiężnych lichtarzy do świec lojowych, których już nikt nie palił, i stalowe szczypce, którymi już nikt nie obcinał knotów²⁴. Żelazne łóżko z bardzo cienkim materacem, nad nim nigdy nie używana dubeltówka, pod nim pudło z gitarą, przypominające dziecienną trumienkę, wąska kanapka obita skórą, dwa krzesła również skórą obite, duża blaszana miednica i mała szafa ciemnowiśniowej barwy stanowiły umeblowanie pokoju, który, ze względu na swoją długość i mrok w nim panujący, zdawał się być podobniejszym do grobu aniżeli do mieszkania.

Równie jak pokój, nie zmieniły się od ćwierć wieku zwyczaje pana Ignacego.

Rano budził się zawsze o szóstej; przez chwilę słuchał, czy idzie leżący na krześle zegarek, i spoglądał na skazówki, które tworzyły jedną linię prostą. Chciał wstać spokojnie, bez awantur; ale że chłodne nogi i nieco zeszywniałe ręce nie okazywały się dość uległymi jego woli, więc zrywał się, nagle wyskakiwał na środek pokoju i rzuciwszy na łóżko szlafmycę²⁵, biegł pod piec do wielkiej miednicy, w której mył się od stóp do głów, rżąc i parskając jak wiekowy rumak szlachetnej krwi, któremu przypominał się wyścig.

Podczas obrządku wycierania się kosmatymi ręcznikami, z upodobaniem patrzył na swoje chude łydki i zarośnięte piersi, mrucząc:

„No, przecie nabieram ciała.”

W tym samym czasie zeskakiwał z kanapki jego stary pudel Ir z wybitym okiem i mocno otrząsnąwszy się, zapewne z resztek snu, skrobał do drzwi, za którymi rozlegało się pracowite dmuchanie w samowar. Pan Rzecki, wciąż ubierając się z pośpiechem, wypuszczał psa, mówił dzień dobry służącemu, wydobywał z szafy imbryk, mylił się przy zapinaniu mankietów, biegł na podwórze zobaczyć stan pogody, parzył się gorącą herbatą, czesał się nie patrząc w lustro i o wpół do siódmej był gotów.

Obejrawszy się, czy ma krawat na szyi, a zegarek i portmonetkę w kieszeniach, pan Ignacy wydobywał ze stolika wielki klucz i trochę zgarbiony, uroczyście otwierał tylne drzwi sklepu obite żelazną blachą. Wchodzili tam obaj ze służącym, zapalali parę płomyków gazu i podczas gdy służący zamykał podłogę, pan Ignacy odczytywał przez binokle ze swego notatnika rozkład zajęć na dzień dzisiejszy.

„Oddać w banku osiemset rubli, aha... Do Lublina wysłać trzy albumy, tuzin portmonetek... Właśnie!... Do Wiednia przekazać na tysiąc dwieście guldenów²⁶... Z kolei odebrać transport... Zmonitować²⁷ rymarza²⁸ za nieodesłanie walizek... Bagatela²⁹!... Napisać list do Stasia... Bagatela...”

Skończywszy czytać, zapalał jeszcze kilka płomieni i przy ich blasku robił przegląd towarów w gablotkach i szafach.

„Spinki, szpilki, portmonety... dobrze... Rękawiczki, wachlarze, krawaty... tak jest... Laski, parasole, sakwojaże³⁰... A tu — albumy, neseserki³¹... Szafirowy wczoraj sprzedano, naturalnie!... Lichtarze, kałamarze, przyciski... Porcelana... Ciekawym, dlaczego

Samotnik

Pies, Śluga

Praca

²³piaseczniczka — naczynko do piasku, używanego zamiast bibuły do suszenia świeżego pisma atramentowego.

²⁴para mosiężnych lichtarzy do świec lojowych, których już nikt nie palił, i stalowe szczypce, którymi już nikt nie obcinał knotów — W 1879 roku Tomasz Edison odkrył żarówkę. Bolesław Prus zwraca tutaj uwagę na to, że w Warszawie był to już wynalazek znany i powszechnie stosowany.

²⁵szlafmyca — czapka nocna.

²⁶gulden — austriacka moneta srebrna.

²⁷Zmonitować — napomnieć.

²⁸rymarz — rzemieślnik wyrabiający uprzęż, siodła i inne akcesoria jeździeckie (przede wszystkim ze skóry).

²⁹Bagatela — drobnostka

³⁰sakwojaż — walizka (podróżna).

³¹neseserka — mała podróżna walizka.

ten wazon odwrócili?... Z pewnością... Nie, nie uszkodzony... Lalki z włosami, teatr, karuzel... Trzeba na jutro postawić w oknie karuzel, bo już fontanna spowszedniała. Bagatela!... Ósma dochodzi... Założyłbym się, że Klejn będzie pierwszy, a Mraczewski ostatni. Naturalnie... Poznał się z jakąś guwernantką i już jej kupił neseserkę na rachunek i z rabatem... Rozumie się... Byłe nie zaczął kupować bez rabatu i bez rachunku...”

Tak mruczał i chodził po sklepie przygarbiony, z rękoma w kieszeniach, a za nim jego pudel. Pan od czasu do czasu zatrzymywał się i oglądał jakiś przedmiot, pies przysiadł na podłodze i skrobał tylną nogą gęste kudły, a rzędem ustawione w szafie lalki małe, średnie i duże, brunetki i blondynki, przypatrywały się im martwymi oczami.

Drzwi od sieni skrzypnęły i ukazał się pan Klejn, mizerny subiekt, ze smutnym uśmiechem na posiniałych ustach.

— A co, byłem pewny, że pan przyjdiesz pierwszy. Dzień dobry — rzekł pan Ignacy. — Paweł! gaś światło i otwieraj sklep.

Służący wbiegł ciężkim klusem i zakręcił gaz. Po chwili rozległo się zgrzytanie ryglów, szczerkanie sztab i do sklepu wszedł dzień, jedyny gość, który nigdy nie zawodzi kupca. Rzecki usiadł przy kantorku³² pod oknem, Klejn stanął na zwykłym miejscu przy porcelanie.

— Pryncypał³³ jeszcze nie wraca, nie miał pan listu? — spytał Klejn.

— Spodziewam się go w połowie marca, najdalej za miesiąc.

— Jeżeli go nie zatrzyma nowa wojna.

— Staś... Pan Wokulski — poprawił się Rzecki — pisze mi, że wojny nie będzie.

— Kursa jednak spadają, a przed chwilą czytałem, że flota angielska wpłynęła na Dardanele³⁴.

— To nic, wojny nie będzie. Zresztą — westchnął pan Ignacy — co nas obchodzi wojna, w której nie przyjmie udziału Bonaparte.

— Bonapartowie skończyli już karierę.

— Doprawdy?... — uśmiechnął się ironicznie pan Ignacy. — A na czyjaż korzyść MacMahon z Ducrotem układali w styczniu zamach stanu³⁵?... Wierz mi, panie Klejn, bonapartyzm³⁶ to potęga!...

— Jest większa od niej.

— Jaka? — oburzył się pan Ignacy. — Może republika³⁷ z Gambettą³⁸?... Może Bismarck?...

— Socjalizm... — szepnął mizerny subiekt kryjąc się za porcelaną.

Pan Ignacy mocniej zasadził binokle i podniósł się na swym fotelu, jakby pragnął jednym zamachem obalić nową teorię, która przeciwstawiała się jego poglądom, lecz poplątało mu szyki wejście drugiego subiekta z brodą.

— A, moje uszanowanie panu Lisieckiemu! — zwrócił się do przybyłego. — Zimny dzień mamy, prawda? Która też godzina w mieście, bo mój zegarek musi się spieszyć. Jeszcze chyba nie ma kwadransa na dziewiątą?...

— Także koncept!... Pański zegarek zawsze spieszy się z rana, a późni wieczorem — odparł cierpko Lisiecki ocierając szronem pokryte wąsy.

— Założę się, żeś pan był wczoraj na preferansie³⁹.

³²kantorek — dawna nazwa biurka.

³³Pryncypał — przełożony, osoba najważniejsza w danej instytucji.

³⁴flota angielska wpłynęła na Dardanele — w czasie wojny z Rosją Turcja odwołała się do interwencji państw zachodnich. W związku z tym Anglia zażądała od Rosji wstrzymania kroków wojennych. Ponieważ ze strony Rosji nie było odpowiedzi, flota angielska w połowie lutego przepłynęła Dardanele i zajęła stanowisko naprzeciw Konstantynopola.

³⁵MacMahon z Ducrotem układali w styczniu zamach stanu — August Aleksander Ducrot (1817–1882) generał francuski, monarchista. Jako dowódca korpusu w Bourges brał udział w przygotowaniach do monarchistycznego zamachu stanu, który nie powiódł się jednak, m.in. wskutek niezdecydowanego stanowiska MacMahona. Skompromitowany Ducrot otrzymał dymisję 18 stycznia 1878 r.

³⁶bonapartyzm — tu: ideologia i ruch polityczny popierający ród Bonaparte w dążeniu do władzy.

³⁷republika... — po klęsce cesarza Napoleona III, we Francji 3 września 1870 r. została proklamowana republika. Ustrój republikański został ostatecznie wprowadzony konstytucją 1875 roku. Skrajna prawica dążyła jednak do przywrócenia monarchii. Poszczególne odłamy monarchistów wysuwały na tron różnych kandydatów, m. in. syna Napoleona III, który przybrał imię Napoleona IV.

³⁸Leon Gambetta (1838–1882) — wybitny polityk francuski; należał do umiarkowanego skrzydła partii republikańskiej; proklamował w r. 1870 republikę.

³⁹preferans — rodzaj gry w karty na trzy osoby.

Pies

Sługa

Wojna

Mężczyzna, Praca, Starość,
Szlachcic

— Ma się wiedzieć. Cóż pan myślisz, że mi na całą dobę wystarczy widok waszych galanterii i pańskiej siwizny?

— No, mój panie, wolę być trochę szpakowatym aniżeli łysym — oburzył się pan Ignacy.

— Koncept!... — syknął pan Lisiecki. — Moja łysina, jeżeli ją kto dojrzy, jest smutnym dziedzictwem rodu, ale pańska siwizna i gderliwy charakter są owocami starości, którą... chciałbym szanować.

Do sklepu wszedł pierwszy gość: kobieta ubrana w salopę⁴⁰ i chustkę na głowie, żądająca mosiężnej spluwaczki... Pan Ignacy bardzo nisko uklonił się jej i ofiarował krzesło, a pan Lisiecki zniknął za szafami i wróciwszy po chwili doręczył interesantce ruchem pełnym godności żądany przedmiot. Potem zapisał cenę spluwaczki na kartce, podał ją przez ramię Rzeckiemu i poszedł za gablotkę z miną bankiera, który złożył na cel dobroczynny kilka tysięcy rubli.

Spór o siwiznę i łysinę był zażegnany.

Dopiero około dziewiątej wszedł, a raczej wpadł do sklepu pan Mraczewski, piękny, dwudziestokilkuletni⁴¹ blondynek, z oczyma jak gwiazdy, ustami jak korale, z wąsikami jak zatrute sztylety. Wbiegł ciągnąc za sobą od progu smugę woni i zawołał:

— Słowo honoru daję, że musi już być wpół do dziesiątej. Letkiewicz jestem, gałgan jestem, no — podły jestem, ale coż zrobić, kiedy matka mi zachorowała i musiałem szukać doktora. Byłem u sześciu...

— Czy u tych, którym dajesz pan neserki? — spytał Lisiecki.

— Neserki?... Nie. Nasz doktor nie przyjąłby nawet szpilki. Zaczny człowiek... Prawda, panie Rzecki, że już jest wpół do dziesiątej? Stał mi zegarek.

— Dochodzi *dziewiąta*... — odparł ze szczególnym naciskiem pan Ignacy.

— Dopiero *dziewiąta*?... No, kto by myślał! A tak projektowałem sobie, że dziś przyjdę do sklepu pierwszy, wcześniej od pana Klejna...

— Ażeby wyjść przed ósmą — wtrącił pan Lisiecki.

Mraczewski utkwiał w nim błękitne oczy, w których malowało się najwyższe zdumienie.

— Pan skąd wie?... — odparł. — No, słowo honoru daję, że ten człowiek ma zmysł proroczy! Właśnie dziś, słowo honoru... muszę być na mieście przed siódmą, choćbym umarł, choćbym... miał podać się do dymisji...

— Niech pan od tego zacznie — wybuchnął Rzecki — a będzie pan wolny przed jedynastą⁴², nawet w tej chwili, panie Mraczewski. Pan powinieneś być hrabią, nie kupcem, i dziwię się, że pan od razu nie wstąpił do tamtego fachu, przy którym zawsze ma się czas, panie Mraczewski. Naturalnie!

— No, i pan w jego wieku latałeś za spódniczkami — odezwał się Lisiecki. — Co tu bawić się w morały.

— Nigdy nie latałem! — krzyknął Rzecki uderzając pięścią w kantorek.

— Przynajmniej raz wygadał się, że całe życie jest niedołęgą — mruknął Lisiecki do Klejna, który uśmiechał się podnosząc jednocześnie brwi bardzo wysoko.

Do sklepu wszedł drugi gość i zażądał kaloszy. Naprzeciw niego wysunął się Mraczewski.

— Kaloszyków żąda szanowny pan? Który numer, jeżeli wolno spytać? Ach, szanowny pan zapewne nie pamięta! Nie każdy ma czas myśleć o numerze swoich kaloszy, to należy do nas. Szanowny pan pozwoli, że przymierzemy?... Szanowny pan raczy zająć miejsce na taburecie⁴³. Paweł! przynieś ręcznik, zdejm panu kalosze i wytrzyj obuwie...

Wbiegł Paweł ze ścierką i rzucił się do nóg przybyłemu.

— Ależ, panie, ależ przepraszam!... — tłumaczył się⁴⁴ odurzony gość.

— Bardzo prosimy — mówił prędko Mraczewski — to nasz obowiązek. Zdaje mi się, że te będą dobre — ciągnął podając parę szczepionych nitką kaloszy. — Doskonałe,

Pozycja społeczna

Mężczyzna, Młodość

Mieszczanin, Handel, Praca

Sługa

⁴⁰salopa — watowany płaszcz damski, z peleryną.

⁴¹dwudziestokilkuletni — dziś: kilkudziesięcioletni.

⁴²jedynasta — forma konsekwentnie używana przez Prusę; dziś: jedenasta.

⁴³taburet — dziś: taboret, stołek.

⁴⁴tłumaczył — dziś: tłumaczył.

pysznie wyglądają; szanowny pan ma tak normalną nogę, że niepodobna mylić się co do numeru. Szanowny pan życzy sobie zapewne literki; jakie mają być literki?...

— L. P. — mruknął gość czując, że tonie w bystrym potoku wymowy grzecznego subiekta.

— Panie Lisiecki, panie Klejn, przybijcie z łaski swojej literki. Szanowny pan każe zawinąć dawne kalosze? Paweł! wytrzyj kalosze i okręć w bibułę. A może szanowny pan nie życzy sobie dźwigać zbytecznego ciężaru? Paweł! rzuć kalosze do paki... Należy się dwa ruble kopiejek pięćdziesiąt... Kaloszy z literkami nikt szanownemu panu nie zamieni, a to przykra rzecz znaleźć w miejsce nowych artykułów dziurawe graty... Dwa ruble pięćdziesiąt kopiejek do kasy, z tą karteczką. Panie kasjerze, pięćdziesiąt kopiejek reszty dla szanownego pana...

Nim gość oprzytomniał, ubrano go w kalosze, wydano resztę i wśród niskich ukłonów odprowadzono do drzwi. Interesant stał przez chwilę na ulicy, bezmyślnie patrząc w szybę, spoza której Mraczewski darzył go słodkim uśmiechem i ognistymi spojrzeniami. Wreszcie machnął ręką i poszedł dalej, może myśląc, że w innym sklepie kalosze bez literek kosztowałyby go dziesięć złotych⁴⁵.

Pan Ignacy zwrócił się do Lisieckiego i kiwał głową w sposób oznaczający podziw i zadowolenie. Mraczewski dostrzegł ten ruch kątem oka i podbiegłszy do Lisieckiego, rzekł półgłosem:

— Niech no pan patrzy, czy nasz stary nie jest podobny z profilu do Napoleona III⁴⁶? Nos... wąs... hiszpanka⁴⁷...

— Do Napoleona, kiedy chorował na kamień⁴⁸ — odparł Lisiecki.

Na ten dowcip pan Ignacy skrzywił się z niesmakiem. Swoją drogą Mraczewski dostał urlop przed siódmą wieczorem, a w parę dni później w prywatnym katalogu Rzeckiego otrzymał notatkę:

„Był na *Hugonotach*⁴⁹ w ósmym rządzie krzesel z niejaką Matyldą...???”

Na pociechę mógłby sobie powiedzieć, że w tym samym katalogu równie posiadał notatki dwaj inni jego koledzy, a także inkasent, posłańcy, nawet — służący Paweł. Skąd Rzecki znał podobne szczegóły z życia swych współpracowników? Jest to tajemnica, z którą przed nikim się nie zwierzał⁵⁰.

Okolo pierwszej w południe pan Ignacy zdawszy kasę Lisieckiemu, któremu pomimo ciągłych sporów ufał najbardziej, wymykał się do swego pokoiku, ażeby zjeść obiad przyniesiony z restauracji. Współcześnie z nim wychodził Klejn i wracał do sklepu o drugiej; potem obaj z Rzeckim zostawali w sklepie, a Lisiecki i Mraczewski szli na obiad. O trzeciej znowu wszyscy byli na miejscu.

O ósmej wieczór zamykano sklep; subiekci rozchodzili się i zostawał tylko Rzecki. Robił dzienny rachunek, sprawdzał kasę, układał plan czynności na jutro i przypominał sobie: czy zrobiono wszystko, co wypadało na dziś? Każdą zaniedbaną sprawę opłacał długą bezsennością i smętnymi marzeniami na temat ruiny sklepu, stanowczego upadku Napoleonidów⁵¹ i tego, że wszystkie nadzieje, jakie miał w życiu, były tylko głupstwem.

„Nic nie będzie! Giniemy bez ratunku” — wzdychał przewracając się na twardej pościeli.

⁴⁵*dziesięć złotych* — do poł. XIX w. mennica w Warszawie wybijała polskie monety; posługiwano się nimi długo, mimo wprowadzenia w Królestwie waluty rosyjskiej, rublowej. 1 zł polski równał się wartości 15 kopiejek, a 10 groszy wartości 5 kopiejek.

⁴⁶Napoleon III — Ludwik Napoleon Bonaparte, ur. w 1808 r., bratanek Napoleona I; w grudniu 1848 r. obrany został, głównie głosami chłopstwa, prezydentem republiki; 2 grudnia 1851 r., mając poparcie wojska i wykorzystując osłabienie burżuazji i proletariatu wzajemną walką, dokonał zamachu stanu; rozwiązał Zgromadzenie Ustawodawcze, przedłużył swoje pełnomocnictwo na lat 10 i rozszerzył zakres władzy prezydenta. W rok później, 2 grudnia 1852 r., po przeprowadzeniu plebiscytu ogłosił się cesarzem. Lawirując między klasami społecznymi Napoleon III w rzeczywistości służył interesom wielkiej burżuazji. Swą zaborczą politykę zagraniczną pozorował obroną narodów walczących o wyzwolenie i zjednoczenie polityczne (Włochy, Polska). Zdetronizowany, po klęsce w wojnie francusko-niemieckiej w r. 1870, zmarł na wygnaniu w Anglii w r. 1873.

⁴⁷*hiszpanka* — tu: bródka przycięta spiczasto na sposób hiszpański.

⁴⁸*chorował na kamień* — mowa o kamieniach żółciowych lub nerkowych, cierpieniu bardzo bolesnym, zmniejszającym nawet wyraz twarzy chorego.

⁴⁹„*Hugonoci*” (1836) — opera G. Meyerbeera (1791–1864) często wówczas grywana; *hugonoci* — protestanci francuscy, kalwini.

⁵⁰*tajemnica, z którą (...) się nie zwierzał* — dziś: tajemnica, z której się nie zwierzał.

⁵¹*Napoleonidzi* — krewni Napoleona i ich potomkowie.

Samotnik

Tajemnica

Jedzenie

Praca

Idealista

Jeżeli dzień udał się dobrze, pan Ignacy był kontent⁵². Wówczas przed snem czytał historię konsulatów i cesarstwa⁵³ albo wycinki z gazet opisujących wojnę włoską z roku 1859⁵⁴, albo też, co trafiało się rzadziej, wydobywał spod łóżka gitarę i grał na niej *Marsza Rakoczego*⁵⁵ przyśpiewując wątpliwej wartości tenorem.

Potem śniły mu się obszerne węgierskie równiny, granatowe i białe linie wojsk, przysłoniętych chmurą dymu... Nazajutrz miewał posępny humor i skarżył się na ból głowy.

Do przyjemniejszych dni należała u niego niedziela; wówczas bowiem obmyślał i wykonywał plany wystaw okiennych na cały tydzień.

W jego pojęciu okna nie tylko streszczały zasoby sklepu, ale jeszcze powinny były zwracać uwagę przechodniów bądź najmodniejszym towarem, bądź pięknym ułożeniem, bądź figlami. Prawe okno przeznaczone dla galanterii zbytkownych mieściło zwykle jakiś brąz, porcelanową wazę, całą zastawę buduarowego⁵⁶ stolika, dokoła których ustawiały się albumy, lichterze, portmonety, wachlarze, w towarzystwie lasek, parasoli i niezliczonej ilości drobnych, a eleganckich przedmiotów. W lewym znowu oknie, napelnionym okazami krawatów, rękawiczek, kaloszy i perfum, miejsce środkowe zajmowały zabawki, najczęściej poruszające się.

Niekiedy podczas tych samotnych zajęć w starym subieckie budziło się dziecko. Wydobywał wtedy i ustawiał na stole wszystkie mechaniczne cacka. Był tam niedźwiedź wdrapujący się na słup, był piejący kogut, mysz, która biegła, pociąg, który toczył się po szynach, cyrkowy pajac, który cwałował na koniu, dźwigając drugiego pajaca, i kilka par, które tańczyły walca przy dźwiękach niewyraźnej muzyki. Wszystkie te figury pan Ignacy nakręcał i jednocześnie puszczał w ruch. A gdy kogut zaczął pisać łopocząc sztywnymi skrzydłami, gdy tańczyły martwe pary, co chwilę potykając się i zatrzymując, gdy ołowiani pasażerowie pociągu, jadącego bez celu, zaczęli przypatrywać mu się ze zdziwieniem i gdy cały ten świat lalek, przy drgającym świetle gazu, nabrał jakiegoś fantastycznego życia, stary subiekt podparłszy się łokciami śmiał się cicho i mruczał:

— Hi! hi! hi! dokąd wy jedziecie, podróżni?... Dlaczego narażasz kark, akrobato?... Co wam po uściskach, tancerze?... Wykręca się sprężyny i pójdziecie na powrót do szafy. Głupstwo, wszystko głupstwo!... a wam, gdybyście myśleli, mogłoby się zdawać, że to jest coś wielkiego!...

Po takich i tym podobnych monologach szybko składał zabawki i rozdrażniony chodził po pustym sklepie, a za nim jego brudny pies.

„Głupstwo handel... głupstwo polityka... głupstwo podróż do Turcji... głupstwo całe życie, którego początku nie pamiętamy, a końca nie znamy... Gdzie prawda?...”

Ponieważ tego rodzaju zdania wypowiadał niekiedy głośno i publicznie, więc uważano go za bzik, a poważne damy, mające córki na wydaniu, nieraz mówiły.

— Oto do czego prowadzi męczyznę starokawalerstwo!

Z domu pan Ignacy wychodził rzadko i na krótko i zwykle kręcił się po ulicach, na których mieszkali jego koledzy albo oficjaliści⁵⁷ sklepu. Wówczas jego ciemnozielona algierka⁵⁸ lub tabaczkowy surdut⁵⁹, popielate spodnie z czarnym lampasem i wypłowiały cylinder, nade wszystko zaś jego nieśmiałe zachowanie się zwracały powszechną uwagę. Pan Ignacy wiedział to i coraz bardziej zniechęcał się do spacerów. Wolał przy świetle kłaść się na łóżku i całymi godzinami patrzeć w swoje zakratowane okno, za którym widać było szary mur sąsiedniego domu, ozdobiony jednym jedynym, również zakratowanym oknem, gdzie czasami stał garnczek masła albo wisały zwłoki zajęcia.

Lecz im mniej wychodził, tym częściej marzył o jakiejś dalekiej podróży na wieś lub za

Sen

Mieszczanin, Handel, Praca

Dziecko, Starość, Kondycja
ludzka, Theatrum mundi

Vanitas

Małżeństwo, Męczyzna,
Szaleństwo, Szaleństwo

Podróż, Sen, Starość

⁵²kontent — zadowolony.

⁵³historia konsulatów i cesarstwa — Rzecki czyta dzieło prawniczo-polityczne i historyczne Adolfa Thiersa (1797–1877) *Historia konsulatów i cesarstwa*, które ukazało się w latach 1845–1862. *Konsulat* — okres dyktatorskich rządów Napoleona Bonaparte w latach 1799–1804.

⁵⁴wojna włoska z r. 1859 — wojna Królestwa Sardynii i Francji przeciw Austrii, jeden z etapów walk o zjednoczenie Włoch.

⁵⁵„Marsz Rakoczego” — narodowy marsz węgierski, skomponowany w połowie XVII w. dla księcia siedmiogrodzkiego, Franciszka II Rakoczego.

⁵⁶buduarowy — buduar: elegancki pokój damski.

⁵⁷oficjalista — niższy pracownik umysłowy.

⁵⁸algierka — rodzaj męskiego ubioru futrzanego.

⁵⁹surdut — ówczesna nazwa wizytowego ubioru męskiego, zwykle ciemnego, z dwoma rzędami guzików.

granicę. Coraz częściej spotykał we snach zielone pola i ciemne bory, po których błakałby się, przypominając sobie młode czasy. Powoli zbudziła się w nim głucha tęsknota do tych krajobrazów, więc postanowił natychmiast po powrocie Wokulskiego wyjechać gdzieś na całe lato.

— Choć raz przed śmiercią, ale na kilka miesięcy — mówił kolegom, którzy nie wiadomo dlaczego uśmiechali się z tych projektów.

Dobrowolnie odcięty od natury i ludzi, utopiony w wartkim, ale ciasnym wirze sklepowych interesów, czuł coraz mocniej potrzebę wymiany myśli. A ponieważ jednym nie ufał, inni go nie chcieli słuchać, a Wokulskiego nie było, więc rozmawiał sam z sobą i — w największym sekrecie pisywał pamiętnik.

III. PAMIĘTNIK STAREGO SUBIEKTA

...Ze smutkiem od kilku lat uważam, że na świecie jest coraz mniej dobrych subiektów i rozumnych polityków, bo wszyscy stosują się do mody. Skromny subiekt co kwartał ubiera się w spodnie nowego fasonu, w coraz dziwniejszy kapelusz i coraz inaczej wykładany kołnierzyk. Podobnie dzisiejsi politycy co kwartał zmieniają wiarę: onegdaj wierzyli w Bismarcka, wczoraj w Gambettę, a dziś w Beaconsfielda⁶⁰, który niedawno był Żydkiem.

Już widać zapomniano, że w sklepie nie można stroić się w modne kołnierzyki, tylko je sprzedawać, bo w przeciwnym razie gościom zabraknie towaru, a sklepowi gości. Zaś polityki nie należy opierać na szczęśliwych osobach, tylko na wielkich dynastiach. Metternich⁶¹ był taki sławny jak Bismarck, a Palmerston⁶² sławniejszy od Beaconsfielda i — któż dziś o nich pamięta? Tymczasem ród Bonapartych trząsł Europą za Napoleona I, potem za Napoleona III, a i dzisiaj, choć niektórzy nazywają go bankrutem, wpływa na losy Francji przez wierne swoje sługi, MacMahona i Ducrota.

Zobaczycie, co jeszcze zrobi Napoleonek IV⁶³, który po cichu uczy się sztuki wojennej u Anglików! Ale o to mniejsza. W tej bowiem pisaninie chcę mówić nie o Bonapartym, ale o sobie, ażeby wiadano, jakim sposobem tworzyli się dobrzy subiekt i choć nie uczeni, ale rozsądni politycy. Do takiego interesu nie trzeba akademii, lecz przykładu — w domu i w sklepie.

Ojciec mój był za młodu żołnierzem, a na starość woźnym w Komisji Spraw Wewnętrznych⁶⁴. Trzymał się prosto jak sztaba, miał nieduże faworyty⁶⁵ i wąż do góry; szyję okręcał czarną chustką i nosił srebrny kolczyk w uchu.

Mieszkaliśmy na Starym Mieście z ciotką, która urzędnikom prała i latała bieliznę. Mieliśmy na czwartym piętrze dwa pokoiki, gdzie niewiele było dostatków, ale dużo radości, przynajmniej dla mnie. W naszej izdebce najokazalszym sprzętem był stół, na którym ojciec powróciwszy z biura kleił koperty; u ciotki zaś pierwsze miejsce zajmowała balia. Pamiętam, że w pogodne dni puszczałem na ulicy latawcę, a w razie słoty wydmuchiwałem w izbie bańki mydlane.

Na ścianach u ciotki wisieli sami święci; ale jakkolwiek było ich sporo, nie dorównali jednak liczbą Napoleonom, którymi ojciec przyozdabiał swój pokój. Był tam jeden Napoleon w Egipcie, drugi pod Wagram, trzeci pod Austerlitz, czwarty pod Moskwą, piąty w dniu koronacji, szósty w apoteozie⁶⁶. Gdy zaś ciotka zgorszona tyloma świeckimi obrazami, zawiesiła na ścianie mosiężny krucyfiks, ojciec, ażeby — jak mówił — nie obrazić Napoleona, kupił sobie jego brązowe popiersie i także umieścił je nad łóżkiem.

⁶⁰Beaconsfield — właściwie Benjamin Disraeli (1804–1881), polityk angielski, przywódca konserwatystów, w tym czasie premier i kierownik polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii.

⁶¹Klemens Metternich (1773–1859) — dyplomata austriacki, przywódca europejskiej reakcji politycznej po roku 1815, wróg liberalizmu i ruchów narodowowyzwoleńczych.

⁶²Henry Palmerston (1784–1865) — wybitny polityk angielski, przywódca liberałów.

⁶³Napoleonek IV — Eugeniusz Ludwik (1856–1879), syn Napoleona III, od roku 1870 przebywał w Anglii. Po śmierci ojca, w r. 1874 przybrał imię Napoleona IV jako pretendent do tronu cesarskiego.

⁶⁴Komisja Spraw Wewnętrznych — naczelny organ administracyjny w Królestwie Kongresowym, odpowiadający ministerstwu, ustanowiony konstytucją 1815 r., zniesiony w r. 1868.

⁶⁵faworyty — bokobrody.

⁶⁶jeden Napoleon w Egipcie... — obrazy przedstawiały niektóre ważniejsze momenty z życia Napoleona: wyprawę do Egiptu (1798), zwycięstwo nad Austrią pod Wagram (1809), zwycięstwo nad Austrią i Rosją pod Austerlitz (1805), wyprawę na Moskwę (1812), koronację Napoleona na cesarza (1804).

Handel, Mieszczanin,
Polityka, Praca, Strój

Żyd

Dzieciństwo, Ojciec,
Męczyzna

Dom, Kobieta

Obyczaje, Pobożność,
Polityka, Religia, Zaświaty

— Zobaczysz, niedowiarku — lamentowała nieraz ciotka — że za te sztuki będą cię pławić w smole.

— I!... Nie da mi cesarz zrobić krzywdy — odpowiadał ojciec.

Często przychodzili do nas dawni koledzy ojca: pan Domański, także woźny, ale z Komisji Skarbu⁶⁷, i pan Raczek, który na Dunaju⁶⁸ miał stragan z zieleniną. Prości to byli ludzie (nawet pan Domański trochę lubił anyżówkę), ale roztropni politycy. Wszyscy, nie wyłączając ciotki, twierdzili jak najbardziej stanowczo, że choć Napoleon I umarł w niewoli⁶⁹, ród Bonapartych jeszcze wypłynie. Po pierwszym Napoleonie znajdzie się jakiś drugi, a gdyby i ten źle skończył, przyjdzie następny, dopóki jeden po drugim nie uporządkują świata.

— Trzeba być zawsze gotowym na pierwszy odgłos! — mówił mój ojciec.

— Bo nie wiecie dnia ani godziny — dodawał pan Domański.

A pan Raczek, trzymając fajkę w ustach, na znak potwierdzenia pluł aż do pokoju ciotki.

— Napluj mi acan⁷⁰ w balię, to ci dam!... — wołała ciotka.

— Może jejmość i dasz, ale ja nie wezmę — mruknął pan Raczek plując w stronę komina.

— U... cóż to za chamy te całe grenadierzyska! — gniewała się ciotka.

— Jejmości zawsze smakowali ułani. Wiem, wiem...

Później pan Raczek ożenił się z moją ciotką...

...Chcąc, ażebym zupełnie był gotów, gdy wybije godzina sprawiedliwości, ojciec sam pracował nad moją edukacją.

Nauczył mnie czytać, pisać, kleić koperty, ale nade wszystko — musztrować się. Do musztry zapędzał mnie w bardzo wczesnym dzieciństwie, kiedy mi jeszcze zza pleców wyglądała koszula. Dobrze to pamiętam, gdyż ojciec komenderując: „Pół obrotu na prawo!” albo „Lewe ramię naprzód — marsz!...”, ciągnął mnie w odpowiednim kierunku za ogon tego ubrania.

Była to najdokładniej prowadzona nauka.

Nieraz w nocy budził mnie ojciec krzykiem: „Do broni!...”, musztrował pomimo wymyślań i łez ciotki i kończył zdaniem:

— Ignas! zawsze bądź gotów, wisusie, bo nie wiemy dnia ani godziny... Pamiętaj, że Bonapartów Bóg zesłał, ażeby zrobili porządek na świecie, a dopóty nie będzie porządku ani sprawiedliwości, dopóki nie wypełni się testament cesarza.

Nie mogę powiedzieć, ażeby niezachwianą wiarę mego ojca w Bonapartych i sprawiedliwość podzielali dwaj jego koledzy. Nieraz pan Raczek, kiedy mu dokuczył ból w nodze, klnąc i stękając mówił:

— E! wiesz, stary, że już za długo czekamy na nowego Napoleona. Ja siwieć zaczynam i coraz gorzej podupadam, a jego jak nie było, tak i nie ma. Niedługo porobią się z nas dziady pod kościół, a Napoleon po to chyba przyjdzie, ażeby z nami śpiewać godzinki.

— Znajdzie młodych.

— Co za młodych! Lepsi z nich przed nami poszli w ziemię, a najmłodsi — diabła warci. Już są między nimi i tacy, co o Napoleonie nie słyszeli.

— Mój słyszał i zapamięta — odparł ojciec mrugając okiem w moją stronę.

Pan Domański jeszcze bardziej upadał na ducha.

— Świat idzie do gorszego — mówił trzęsąc głową. — Wikt coraz droższy, za kwatere zabraliby ci całą pensję, a nawet co się tyczy anyżówki, i w tym jest szachrajstwo. Dawniej rozweseliłeś się kieliszkiem, dziś po szklance jesteś taki czczy, jakbyś się napił wody. Sam Napoleon nie doczekałby się sprawiedliwości!

A na to odpowiedział ojciec:

— Będzie sprawiedliwość, choćby i Napoleona nie stało. Ale i Napoleon się znajdzie.

— Nie wierzę — mruknął pan Raczek.

— A jak się znajdzie, to co?... — spytał ojciec.

Małżeństwo

Kobieta

Nauka, Uczeń, Patriota,
Żołnierz

Obraz świata, Polityka,
Testament

Starość

Alkohol

Kondycja ludzka, Obraz
świata

Sprawiedliwość

Ojciec, Śmierć

⁶⁷Komisja Skarbu — Komisja Finansów i Skarbu odpowiadała dzisiejszemu Ministerstwu Finansów; ustanowiona przez konstytucję 1815 r., zniesiona w r. 1867.

⁶⁸Dunaj — ulica w Warszawie na Starym Mieście (zupełnie zniszczona w czasie powstania warszawskiego).

⁶⁹Napoleon I umarł w niewoli — angielskiej w r. 1821 na wyspie Św. Heleny (na Oceanie Atlantyckim).

⁷⁰acan — wyrażenie lekceważące, skrócone, zamiast „wasz-mość pan”.

— Nie doczekamy tego.
 — Ja doczekam — odparł ojciec — a Ignas doczeka jeszcze lepiej.
 Już wówczas zdania mego ojca głęboko wyrzynały mi się w pamięci, ale dopiero późniejsze wypadki nadały im cudowny, nieomal proroczy charakter.
 Około roku 1840 ojciec zaczął niedomagać. Czasami po parę dni nie wychodził do biura, a wreszcie na dobre legł w łóżku.
 Pan Raczek odwiedzał go co dzień, a raz patrząc na jego chude ręce i wyżółkłe policzki szepnął:
 — Hej! stary, już my chyba nie doczekamy się Napoleona.
 Na co ojciec spokojnie odparł:
 — Ja tam nie umrę, dopóki o nim nie usłyszę.
 Pan Raczek pokiwał głową, a ciotka lży otarła myśląc, że ojciec bredzi. Jak tu myśleć inaczej, jeżeli śmierć już kołatała do drzwi, a ojciec jeszcze wyglądał Napoleona...
 Było już z nim bardzo źle, nawet przyjął ostatnie sakramenta, kiedy w parę dni później wbiegł do nas pan Raczek dziwnie wzburzony i stojąc na środku izby zawołał:
 — A wiesz, stary, że znalazł się Napoleon⁷¹?...
 — Gdzie? — krzyknęła ciotka.
 — Jużci we Francji.
 Ojciec zerwał się, lecz znowu upadł na poduszki. Tylko wyciągnął do mnie rękę i patrząc wzrokiem, którego nie zapomnę, wyszeptał:
 — Pamiętaj!... Wszystko pamiętaj!...
 Z tym umarł.
 W późniejszym życiu przekonałem się, jak proroczymi były poglądy ojca. Wszyscy widzieliśmy drugą gwiazdę napoleońską, która obudziła Włochy i Węgry⁷²; a chociaż spadła pod Sedanem⁷³, nie wierzę w jej ostateczne zagaśnięcie. Co mi tam Bismarck, Gambetta albo Beaconsfield! niesprawiedliwość dopóty będzie władać światem, dopóki nowy Napoleon nie urośnie.
 W parę miesięcy po śmierci ojca pan Raczek i pan Domański wraz z ciotką Zuzanną zebrali się na radę: co ze mną począć? Pan Domański chciał mnie zabrać do swoich biur i powoli wypromować na urzędnika; ciotka zalecała rzemiosło, a pan Raczek zieleniarstwo. Lecz gdy zapytano mnie: do czego mam ochotę? odpowiedziałem, że do sklepu.
 — Kto wie, czy to nie będzie najlepsze — zauważył pan Raczek. — A do jakiegoż byś chciał kupca?
 — Do tego na Podwalu⁷⁴, co ma we drzwiach pałasz, a w oknie kozaka.
 — Wiem — wtrąciła ciotka. — On chce do Mincla.
 — Można spróbować — rzekł pan Domański. — Wszyscy przecież znamy Mincla⁷⁵.
 Pan Raczek na znak zgody plunął aż w komin.
 — Boże miłosierny — jęknęła ciotka — ten drab już chyba na mnie płuć zacznie, kiedy brata nie stało... Oj! nieszczęśliwa ja sierota!...
 — Wielka rzecz! — odezwał się pan Raczek. — Wyjdź jejmość za męża, to nie będziesz sierotą.
 — A gdzież ja znajdę takiego głupiego, co by mnie wziął?
 — Phi! może i ja bym się ożenił z jejmością, bo nie ma mnie kto smarować — mruknął pan Raczek, ciężko schylając się do ziemi, ażeby wypukać popiół z fajki. Ciotka rozplakała się, a wtedy odezwał się pan Domański:
 — Po co robić duże ceregiele. Jejmość nie masz opieki, on nie ma gospodyni; po-

Choroba

Sprawiedliwość, Idealista,
 Polityka

Kobieta

Warszawa

Małżeństwo

Dziecko

⁷¹znalazł się Napoleon — mowa o Ludwiku Napoleonie (tj. Napoleonie III), który jako pretendent do tronu francuskiego próbował go dwukrotnie zdobyć przez zamach stanu. Drugi zamach miał miejsce dnia 6 sierpnia 1840 r., kiedy Ludwik Napoleon powrócił z Anglii, gdzie przebywał na emigracji, i z grupą oficerów-bonapartystów wylądował w Wimereux. W Boulogne oddał się pod jego rozkazy tamtejszy garnizon wojskowy.

⁷²druga gwiazda napoleońska... — Rzecki w naiwnym kulcie dla dynastii napoleońskiej i w przekonaniu, że o biegu historii decydują wielcy ludzie, uważa Wiosnę Ludów za rezultat działalności Ludwika Napoleona.

⁷³pod Sedanem — w Ardenach, nad Mozą. W czasie wojny francusko-niemieckiej, 2 września 1870 wojska francuskie poniosły tam straszliwą klęskę, a Napoleon III dostał się do niewoli.

⁷⁴Podwale — jedna z ruchliwych ulic na Starym Mieście, wychodząca z placu Zamkowego.

⁷⁵Mincel — wśród mieszkańców Lublina do dziś utrzymuje się wersja, że pierwowzorem Minclów z *Lalki* byli lubelscy kupcy tegoż nazwiska.

bierzcie się i przygarnijcie Ignasia, a będziecie nawet mieli dziecko. Jeszcze tanie dziecko, bo Mincel da mu wikt i kwaterę, a wy tylko odzież.

— Hę?... — spytał pan Raczek patrząc na ciotkę.

— No, oddajcie pierwszej chłopca do terminu, a potem... może się odważyć — odparła ciotka. — Zawsze miałam przeczucie, że marnie skończę...

— To i jazda do Mincla! — rzekł pan Raczek podnosząc się z krzeselka. — Tylko jejmość nie zrób mi zawodu! — dodał grożąc ciotce pięścią.

Wyszli z panem Domańskim i może w półtorej godziny wrócili obaj mocno zarumienieni. Pan Raczek ledwie oddychał, a pan Domański z trudnością trzymał się na nogach, podobno z tego, że nasze schody były bardzo niewygodne.

— Cóż?... — spytała ciotka.

— Nowego Napoleona wsadzili do prochowni!⁷⁶ — odpowiedział pan Domański.

— Nie do prochowni, tylko do fortocy. A-u... A-u... — dodał pan Raczek i rzucił czapkę na stół.

— Ale z chłopcem co?

— Jutro ma przyjść do Mincla z odzieniem i bielizną — odrzekł pan Domański. — Nie do fortocy A-u..., A-u... tylko do Ham-ham czy Cham... bo nawet nie wiem...

— Zwariowaliście, pijaki! — krzyknęła ciotka chwytając pana Raczkę za ramię.

— Tylko bez poufałości! — oburzył się pan Raczek. — Po ślubie będzie poufałość, teraz... Ma przyjść do Mincla jutro z bielizną i odzieniem... Nieszczęsny Napoleonie!...

Ciotka wypchnęła za drzwi pana Raczkę, potem pana Domańskiego i wyrzuciła za nimi czapkę.

— Precz mi stąd, pijaki!

— Wiwat Napoleon! — zawołał pan Raczek, a pan Domański zaczął śpiewać:

Przechodniu, gdy w tę stronę zwrócisz swoje oko,

Przybliż się i rozważaj ten napis głęboko...

Przybliż się i rozważaj ten napis głęboko.

Głos jego stopniowo cichnął, jakby zagłębiając się w studni, potem umilkł na schodach, lecz znowu doleciał nas z ulicy. Po chwili zrobił się tam jakiś hałas, a gdy wyjrzałem oknem, zobaczyłem, że pana Raczkę policjant prowadził do ratusza⁷⁷.

Takie to wypadki poprzedziły moje wejście do zawodu kupieckiego.

Sklep Mincla znałem od dawna, ponieważ ojciec wysyłał mnie do niego po papier, a ciotka po mydło. Zawsze biegłem tam z radosną ciekawością, ażeby napatrzeć się wiszącym za szybami zabawkom. O ile pamiętam, był tam w oknie duży kozak, który sam przez się skakał i machał rękoma, a we drzwiach — bęben, pałasz i skórzany koń z prawdziwym ogonem.

Wnętrze sklepu wyglądało jak duża piwnica, której końca nigdy nie mogłem dojrzeć z powodu ciemności. Wiem tylko, że po pieprz, kawę i liście bobkowe szło się na lewo do stołu, za którym stały ogromne szafy od sklepienia do podłogi napelnione szufladami. Papier zaś, atrament, talerze i szklanki sprzedawano przy stole na prawo, gdzie były szafy z szybami, a po mydło i krochmal szło się w głąb sklepu, gdzie było widać beczki i stopy pak drewnianych.

Nawet sklepienie było zajęte. Wisiały tam długie szeregi pęczery naładowanych gorczycą i farbami, ogromna lampa z daszkiem, która w zimie paliła się cały dzień, sieć pełna korków do butelek, wreszcie — wypchany krokodylek, długi może na półtora łokcia⁷⁸.

Właścicielem sklepu był Jan Mincel, starzec z rumianą twarzą i kosmykiem siwych włosów pod brodą. W każdej porze dnia siedział on pod oknem na fotelu obitym skórą, ubrany w niebieski barchanowy kaftan, biały fartuch i takąż szlafmycę. Przed nim na stole

⁷⁶*Nowego Napoleona wsadzili do prochowni* — zamach stanu Ludwika Napoleona w r. 1840 nie powiódł się. Ludwik Napoleon został wzięty do niewoli, skazany przez Izbę Parów na dożywotnie więzienie i 7 października 1840 r. osadzony w twierdzy Ham (w północnej Francji). Prochownią nazywano więzienie w Warszawie, które mieściło się w dawnej prochowni przy ulicach Rybaki i Bolesław.

⁷⁷Ratusz mieścił się w przebudowanym pałacu Jabłonowskiego na placu Teatralnym (zniszczony w czasie powstania warszawskiego). W budynku ratusza znajdowały się biura policyjne.

⁷⁸*łokieć* — dawna miara długości, łokieć warszawski — ok. 58 cm.

Pijaństwo

Przestrzeń

Handel, Mieszczanin, Praca

leżała wielka księga, w której notował dochód, a tuż nad jego głową wisiał pęk dyscyplin⁷⁹, przeznaczonych głównie na sprzedaż. Starzec odbierał pieniądze, zdawał gościom resztę, pisał w księdze, niekiedy drzemał, lecz pomimo tylu zajęć, z niepojętą uwagą czuwał nad biegiem handlu w całym sklepie. On także, dla uciechy przechodniów ulicznych, od czasu do czasu pociągał za sznurek skaczącego w oknie kozaka i on wreszcie, co mi się najmniej podobało, za rozmaite przestępstwa karmił nas jedną z pęków dyscyplin.

Kara, Przemoc

Mówię: nas, bo było nas trzech kandydatów do kary cielesnej: ja tudzież dwaj synowcy starego — Franc i Jan Mincelowie.

Czułości pryncypała i jego biegłości w używaniu sarniej nogi⁸⁰ doświadczyłem zaraz na trzeci dzień po wejściu do sklepu.

Franc odmierzył jakiejś kobiecie za dziesięć groszy rodzyneków. Widząc, że jedno ziarno upadło na kontuar (stary miał w tej chwili oczy zamknięte), podniosłem je nieznacznie i zjadłem. Chciałem właśnie wyjąć pestkę, która wcisnęła mi się między zęby, gdy uczulem na plecach coś, jakby mocne dotknięcie rozpalonego żelaza.

— A, szelma! — wrzasnął stary Mincel i nim zdałem sobie sprawę z sytuacji, przeciągnął po mnie jeszcze parę razy dyscyplinę, od wierzchu głowy do podłogi.

Zwinałem się w kłębek z bólu, lecz od tej pory nie śmiałem wziąć do ust niczego w sklepie. Migdały, rodzyнки, nawet rożki miały dla mnie smak pieprzu.

Starość, Władza

Urządziwszy się ze mną w taki sposób, stary zawiesił dyscyplinę na pęku, wpisał rodzyńki i z najdobrodusznieszą miną począł ciągnąć za sznurek kozaka. Patrząc na jego półumiechniętą twarz i przymrużone oczy, prawie nie mogłem wierzyć, że ten jowialny staruszek posiada taki zamach w ręku. I dopiero teraz spostrzegłem, że ów kozak widziany z wnętrza sklepu wydaje się mniej zabawnym niż od ulicy.

Ojciec, Syn

Sklep nasz był kolonialno-galanteryjno-mydlarski. Towary kolonialne wydawał gościom Franc Mincel, młodzieniec trzydziestokilkuletni, z rudą głową i zaspą fizjonomią⁸¹. Ten najczęściej dostawał dyscypliną od stryja, gdyż palił fajkę, późno wchodził za kontuar, wymykał się z domu po nocach, a nade wszystko niedbale ważył towar. Młodszy zaś, Jan Mincel, który zawiadywał galanterią i obok niezgrabnych ruchów odznaczał się łagodnością, był znowu bity za wykradanie kolorowego papieru i pisywanie na nim listów do panien.

Tylko August Katz, pracujący przy mydle, nie ulegał żadnym surowcowym⁸² upomnieniom. Mizerny ten czelczyzna odznaczał się niezwykłą punktualnością. Najraniej przychodził do roboty, krajał mydło i ważył krochmal jak automat; jadł, co mu podano, w najciemniejszym kącie sklepu, prawie wstydząc się tego, że doświadcza ludzkich potrzeb. O dziesiątej wieczorem gdzieś zniknął.

Praca

W tym otoczeniu upłynęło mi osiem lat, z których każdy dzień był podobny do wszystkich innych dni, jak kropla jesiennego deszczu do innych kropli jesiennego deszczu. Wstawałem rano o piątej, myłem się i zamiatłem sklep. O szóstej otwierałem główne drzwi tudzież okiennicę. W tej chwili gdzieś z ulicy zjawiał się August Katz, zdejmował surdut, kładł fartuch i milcząc stał między beczką mydła szarego a kolumną ułożoną z cegiełek mydła żółtego. Potem drzwiami od podwórka wbiegał stary Mincel mrucząc: *Morgen!*⁸³, poprawiał szlafmycę, dobywał z szuflady księgę, wciskał się w fotel i parę razy ciągnął za sznurek kozaka. Dopiero po nim ukazywał się Jan Mincel i ucałowawszy stryja w rękę stał za swoim kontuarem, na którym podczas lata łapał muchy, a w zimie kreślił palcem albo pięścią jakieś figury.

Franca zwykle sprowadzano do sklepu. Wchodził z oczyma zaspianymi, ziewający, obojętnie całował stryja w ramię i przez cały dzień skrobał się w głowę w sposób, który mógł oznaczać wielką senność lub wielkie zmartwienie. Prawie nie było ranka, ażeby stryj patrząc na jego manewry nie wykrzywił mu się i nie pytał:

— No... a gdzie, ty szelma, latała?

Miasto, Warszawa

Tymczasem na ulicy budził się szmer i za szybami sklepu coraz częściej przesuwali się przechodnie. To służąca, to drwał, jejmość w kapturze, to chłopak od szewca, to jegomość

⁷⁹dyscyplina — przyrząd (kilka rzemieni umocowanych do rękojeści) służący do wymierzania kar cielesnych.

⁸⁰sarnia noga — rękojeść dyscypliny z wykonana z sarniej nogi.

⁸¹fizjonomia (a. fizjonomia) — twarz.

⁸²surowcowy — surowiec: rzemień wyrznięty ze skóry surowej.

⁸³Morgen — skrócone powitanie poranne w języku niemieckim: dzień dobry.

w rogatywce szli w jedną i drugą stronę jak figury w ruchomej panoramie⁸⁴. Środkiem ulicy toczyły się wozy, beczki, bryczki — tam i na powrót... Coraz więcej ludzi, coraz więcej wozów, aż nareszcie utworzył się jeden wielki potok uliczny, z którego co chwilę ktoś wpadał do nas za sprawunkiem.

- Pieprzu za trojaka⁸⁵...
- Proszę funt⁸⁶ kawy...
- Niech pan da ryżu...
- Pół funta mydła...
- Za grosz liści bobkowych...

Stopniowo sklep zapelniał się po największej części służącymi i ubogo odzianymi jeźdźcami. Wtedy Franc Mincel krzywił się najwięcej: otwierał i zamykał szuflady, obwijał towar w tutki⁸⁷ z szarej bibuły, wbiegał na drabinę, znowu zwiżał, robiąc to wszystko z żalosną miną człowieka, któremu nie pozwalają ziewnąć. W końcu zbierało się takie mnóstwo interesantów, że i Jan Mincel, i ja musieliśmy pomagać Francowi w sprzedaży.

Stary wciąż pisał i zdawał resztę, od czasu do czasu dotykając palcami swojej białej szlafmicy, której niebieski kutasik zwieszał mu się nad okiem. Czasem szarpnął kosa, a niekiedy z szybkością błyskawicy zdejmował dyscyplinę i ćwiknął⁸⁸ nią którego ze swych synowców. Nader rzadko mogłem zrozumieć: o co mu chodzi? synowcy bowiem niechętnie objaśniali mi przyczyny jego popędliwości.

Około ósmej napływ interesantów zmniejszał się. Wtedy w głębi sklepu ukazywała się gruba służąca z koszem bułek i kubkami (Franc odwracał się do niej tyłem), a za nią — matka naszego pryncypała, chuda staruszka w żółtej sukni, w ogromnym czepcu na głowie, z dzbankiem kawy w rękach. Ustawiwszy na stole swoje naczynie, staruszka odzywała się schrypniętym głosem:

— *Gut Morgen, meine Kinder! Der Kaffee ist schon fertig...*⁸⁹

I zaczynała rozlewać kawę w białe fajansowe kubki.

Wówczas zbliżał się do niej stary Mincel i całował ją w rękę mówiąc:

— *Gut Morgen, meine Mutter!*⁹⁰

Za co dostawał kubek kawy z trzema bułkami.

Potem przychodził Franc Mincel, Jan Mincel, August Katz, a na końcu ja. Każdy całował staruszkę w suchą rękę, porysowaną niebieskimi żyłami, każdy mówił:

— *Gut Morgen, Grossmutter!*⁹¹

I otrzymywał należny mu kubek tudzież trzy bułki.

A gdyśmy z pośpiechem wypili naszą kawę, służąca zabierała pusty kosz i zamazane kubki, staruszka swój dzbanek i obie znikaly.

Za oknem wciąż toczyły się wozy i płynął w obie strony potok ludzki, z którego co chwila odrywał się ktoś i wchodził do sklepu.

- Proszę krochmalu...
- Dać migdałów za dziesiątkę...
- Lukrecji⁹² za grosz...
- Szarego mydła...

Około południa zmniejszał się ruch za kontuarem towarów kolonialnych, a za to coraz częściej zjawiali się interesanci po stronie prawej sklepu, u Jana. Tu kupowano talerze, szklanki, żelazka, młynki, lalki, a niekiedy duże parasole, szafirowe lub pąsowe. Nabywcy, kobiety i mężczyźni, byli dobrze ubrani, rozsiadali się na krzesłach i kazali sobie pokazywać mnóstwo przedmiotów targując się i żądając coraz to nowych.

Jedzenie, Matka, Sługa,
Starość

Pozycja społeczna

Miasto, Pozycja społeczna

⁸⁴*panorama* — rozległy obraz wewnątrz okrągłego budynku, dający widzom złudzenie rzeczywistości.

⁸⁵*trojak* — trzy grosze (pół kopiejki), drobna polska moneta będąca jeszcze wówczas w obiegu.

⁸⁶*funt* — dawna jednostka wagi, funt warszawski był równy dzisiejszym 405 gramom.

⁸⁷*tutki* — (z niem.) tu: zwinięte torebki papierowe.

⁸⁸*ćwiknąć* (gwar.) — uderzyć.

⁸⁹*Gut Morgen, meine Kinder! Der Kaffee ist schon fertig...* (niem.) — dzień dobry, moje dzieci, kawa jest już gotowa.

⁹⁰*Gut Morgen, meine Mutter!* (niem.) — dzień dobry, moja matko!

⁹¹*Gut Morgen, Grossmutter* (niem.) — dzień dobry, babciu!

⁹²*Lukrecja* — wyciąg z korzenia drzewa lukrecjowego o charakterystycznym słodko-mdłym smaku, stosowany w lecznictwie.

Pamiętam, że kiedy po lewej stronie sklepu męczyłem się bieganiną i zawijaniem towarów, po prawej — największe strapienie robiła mi myśl: czego ten a ten gość chce naprawdę i — czy co kupi? W rezultacie jednak i tutaj dużo się sprzedawało; nawet dzienny dochód z galanterii był kilka razy większy aniżeli z towarów kolonialnych i mydła.

Stary Mincel i w niedzielę bywał w sklepie. Rano modlił się, a około południa kazał mi przychodzić do siebie na pewien rodzaj lekcji.

— *Sag mir*⁹³ — powiedz mi: *was ist das?* co to jest? *Das ist Schublade* — to jest szubłada. Zobacz, co jest w te szubłade. *Es ist Zimmt* — to jest cynamon. Do czego potrzebuje się cynamon? do zupe, do legumine potrzebuje się cynamon. Co to jest cynamon? Jest taki kora z jedne drzewo. Gdzie mieszka taki drzewo cynamon? W Indii mieszka taki drzewo. Patrz na globus — tu leży Indii. Daj mnie za dziesiątkę cynamon... *O, du Spitzbub!*...⁹⁴ jak tobie dam dziesięć razy dyscyplin, ty będziesz wiedział, ile sprzedać za dziesięć groszy cynamon...

W ten sposób przechodziliśmy każdą szufladę w sklepie i historię każdego towaru. Gdy zaś Mincel nie był zmęczony, dyktował mi jeszcze zadania rachunkowe, kazał sumować księgi albo pisywać listy w interesach naszego sklepu.

Mincel był bardzo porządny, nie cierpiał kurzu, ścierał go z najdrobniejszych przedmiotów. Jednych tylko dyscyplin nigdy nie potrzebował okurzać dzięki swoim niedzielnym wykładom buchalterii⁹⁵, jeografii⁹⁶ i towaroznawstwa.

Powoli, w ciągu paru lat, tak przywykliśmy do siebie, że stary Mincel nie mógł obejść się beze mnie, a ja nawet jego dyscypliny począłem uważać za coś, co należało do rodzinnych stosunków. Pamiętam, że nie mogłem utulić się z żalu, gdy raz zepsułem kosztowny samowar, a stary Mincel zamiast chwycić za dyscyplinę — odezwał się:

— Co ty zrobiła, Ignac?... Co ty zrobiła!...

Wolałbym dostać cieżki wszystkimi dyscyplinami, aniżeli znowu kiedy usłyszeć ten drżący głos i zobaczyć wylęknione spojrzenie pryncypała.

Obiady w dzień powszedni jadaliliśmy w sklepie, naprzód dwaj młodzi Minclowie i August Katz, a następnie ja z pryncypałem. W czasie święta wszyscy zbieraliśmy się na górce i zasiadaliśmy do jednego stołu. Na każdą Wigilię Bożego Narodzenia Mincel dawał nam podarunki, a jego matka w największym sekrecie urządzała nam (i swemu synowi) choinkę. Wreszcie w pierwszym dniu miesiąca wszyscy dostawaliśmy pensję (ja brałem 10 złotych). Przy tej okazji każdy musiał wylegitymować się z porobionych oszczędności: ja, Katz, dwaj synowcy i służba. Nierobienie oszczędności, a raczej nieodkładanie co dzień choćby kilku groszy, było w oczach Mincla takim występkiem jak kradzież. Za mojej pamięci przewinęło się przez nasz sklep paru subiektów i kilku uczniów, których pryncypał dlatego tylko usunął, że nic sobie nie oszczędzili. Dzień, w którym się to wydało, był ostatnim ich pobytu. Nie pomogły obietnice, zaklęcia, całowania po rękach, nawet upadanie do nóg. Stary nie ruszył się z fotelu⁹⁷, nie patrzył na petentów⁹⁸, tylko wskazując palcem drzwi wymawiał jeden wyraz: *fort! fort!*...⁹⁹ Zasada robienia oszczędności stała się już u niego chorobliwym dziwactwem.

Dobry ten człowiek miał jedną wadę, oto — nienawidził Napoleona. Sam nigdy o nim nie wspominał, lecz na dźwięk nazwiska Bonapartego dostawał jakby ataku wściekliwości; siniał na twarzy, pluł i wrzeszczał: szelma! szpitzbub! rozbójnik!...

Usłyszawszy pierwszy raz tak szkaradne wymysły nieomal straciłem przytomność. Chciałem coś hardego powiedzieć staremu i uciec do pana Raczka, który już ożenił się z moją ciotką. Nagle dostrzegłem, że Jan Mincel zasłoniwszy usta dłonią coś mruczy i robi miny do Katza. Wytężam słuch i — oto co mówi Jan:

— Baję stary, baję! Napoleon był chwat, choćby za to samo, że wygnał hyclów Szwabów. Nieprawda, Katz?

A August Katz zmrużył oczy i dalej krajał mydło.

⁹³*Sag mir* (niem.) — powiedz mi. (Tu i w dalszym ciągu rozmowy stary Mincel sam tłumaczy łamaną polszczyzną wyrażenia niemieckie.)

⁹⁴*O, du Spitzbub!*... (niem.) — O, ty łobuzie!...

⁹⁵*buchalteria* — księgowość, rachunkowość.

⁹⁶*jeografia* — geografia.

⁹⁷*fotelu* — tej formy Prus używa konsekwentnie w całym utworze; dziś: fotela.

⁹⁸*petent* — tu: proszący.

⁹⁹*fort! fort!*... (niem.) — precz! precz!...

Nauka

Kara

Jedzenie

Pieniądz

Oslupiałem ze zdziwienia, lecz w tej chwili bardzo polubiłem Jana Mincla i Augusta Katza. Z czasem przekonałem się, że w naszym małym sklepie istnieją aż dwa wielkie stronnictwa, z których jedno, składające się ze starego Mincla i jego matki, bardzo lubiło Niemców, a drugie, złożone z młodych Minclów i Katza, nienawidziło ich. O ile pamiętam, ja tylko byłem neutralny.

W roku 1846 doszły nas wieści o ucieczce Ludwika Napoleona z więzienia¹⁰⁰. Rok ten był dla mnie ważny, gdyż zostałem subiektem, a nasz pryncypał, stary Jan Mincel, zakończył życie z powodów dosyć dziwnych.

W roku tym handel w naszym sklepie nieco osłabnął, już to z racji ogólnych niepokojów¹⁰¹, już z tej, że i pryncypał za często i za głośno wymyślał na Ludwika Napoleona. Ludzie poczęli zniechęcać się do nas, a nawet ktoś (może Katz?...) wybił nam jednego dnia szybę w oknie.

Otóż wypadek ten, zamiast całkiem odstręczyć publiczność, zwabił ją do sklepu i przez tydzień mieliśmy tak duże obroty jak nigdy; aż zazdrościli nam sąsiedzi. Po tygodniu jednakże sztuczny ruch na nowo osłabnął i znowu były w sklepie pustki.

Pewnego wieczora w czasie nieobecności pryncypała, co już stanowiło fakt niezwykły, wpadł nam drugi kamień do sklepu. Przestraszeni Minclowie pobiegli na górę i szukali stryja, Katz poleciał na ulicę szukać sprawcy zniszczenia, a wtem ukazało się dwu policjantów ciągnących... Proszę zgadnąć kogo?... Ani mniej, ani więcej — tylko naszego pryncypała oskarżając go, że to on wybił szybę teraz, a zapewne i poprzednio...

Na próżno staruszek wypierał się: nie tylko bowiem widziano jego zamach, ale jeszcze znaleziono przy nim kamień... Poszedł też nieborak do ratusza.

Sprawa po wielu tłumaczeniach i wyjaśnieniach naturalnie zatarła się; ale stary od tej chwili zupełnie stracił humor i począł chudnąć. Pewnego zaś dnia usiadłszy na swym fotelu pod oknem już nie podniósł się z niego. Umarł oparty brodą na księdze handlowej, trzymając w ręce sznurek, którym poruszał kozaka.

Przez kilka lat po śmierci stryja synowcy prowadzili wspólnie sklep na Podwalu i dopiero około 1850 roku podzielili się w ten sposób, że Franc został na miejscu z towarami kolonialnymi, a Jan z galanterią i mydłem przeniósł się na Krakowskie, do lokalu, który zajmujemy obecnie. W kilka lat później Jan ożenił się z piękną Małgorzatą Pfeifer, ona zaś (niech spoczywa w spokoju) zostawszy wdową oddała rękę swoją Stasiowi Wokulskiemu, który tym sposobem odziedziczył interes prowadzony przez dwa pokolenia Minclów.

Matka naszego pryncypała żyła jeszcze długi czas; kiedy w roku 1853 wróciłem z zagranicy, zastałem ją w najlepszym zdrowiu. Zawsze schodziła rano do sklepu i zawsze mówiła:

— *Gut Morgen meine Kinder! Der Kaffee ist schon fertig...*

Tylko głos jej z roku na rok przyciszał się, dopóki wreszcie nie umilknął na wieki.

Za moich czasów pryncypał był ojcem i nauczycielem praktykantów i najczujniejszym sługą sklepu; jego matka lub żona były gospodyniami, a wszyscy członkowie rodziny pracownikami. Dziś pryncypał bierze tylko dochody z handlu, najczęściej nie zna go i najwięcej troszczy się o to, ażeby jego dzieci nie zostały kupcami. Nie mówię tu o Stasiu Wokulskim, który ma szersze zamiary, tylko myślę w ogólności, że kupiec powinien siedzieć w sklepie i wyrabiać sobie ludzi, jeżeli chce mieć porządných.

Słysząc, że Andrassy zażądał sześćdziesięciu milionów guldenów na nieprzewidziane wydatki¹⁰². Więc i Austria zbroi się, a tymczasem Staś pisze mi, że — nie będzie woj-

Niemiec

Śmierć

Handel, Mieszczanin, Praca

Starość

Ojciec, Handel, Praca,
Rodzina, Władza

¹⁰⁰ucieczka Ludwika Napoleona z więzienia — 25 maja 1846 r. Ludwikowi Napoleonowi udało się uciec z francuskiej twierdzy Ham do Anglii.

¹⁰¹ogólne niepokoje... — od roku 1840 wzmożła się we wszystkich zaborach działalność spiskowa. Tajne organizacje demokratyczne przygotowywały ogólnopolskie powstanie, wyznaczając termin na 22 lutego 1846 roku. W Warszawie spisek rozgałęziony był głównie wśród inteligencji i drobnomieszczaństwa, docierał również do proletariatu. Policja pruska i rosyjska wpadły jednak na trop organizacji i przeprowadziły liczne aresztowania, co udało się powstrzymać powstania (poza Krakowskiem). W Królestwie jedyną próbą walki był nieudany napad Pantaleona Potockiego na Siedlce. W następstwie tego władze carskie ogłosiły stan oblężenia; czterech uczestników napadu skazano na śmierć, wiele osób na zesłanie i ciężkie roboty. W początkach 1847 roku działalność konspiracyjna została w Królestwie wznowiona. Na wiosnę 1848 roku policja aresztowała niektórych uczestników spisku, a w ciągu dwu następnych lat rozgromiła go zupełnie.

¹⁰²Andrassy zażądał sześćdziesięciu milionów guldenów — po zawarciu pokoju w San Stefano, w marcu 1878 r., zebrały się w Wiedniu delegacje sejmu austriackiego i parlamentu węgierskiego, od których ówczesny mini-

ny. Ponieważ nigdy nie był fanfaronem, więc chyba być musi bardzo wtajemniczonym w politykę; a w takim razie siedzi w Bułgarii nie przez miłość do handlu.

Ciekawym, co on robi! Ciekawym!...

IV. POWRÓT

Jest niedziela, szkaradny dzień marcowy; zbliża się południe, lecz ulice Warszawy są prawie puste. Ludzie nie wychodzą z domów albo kryją się w bramach, albo skuleni uciekają przed siekącym ich deszczem i śniegiem. Prawie nie słychać turkotu dorożek, gdyż dorożki stoją. Dorożkarze opuściwszy kozioł wchodzą pod budy swoich powozów, a zmoczone deszczem i zasypane śniegiem konie wyglądają tak, jakby pragnęły schować się pod dyszel i nakryć własnymi uszami.

Pomimo, a może z powodu tak brzydkiego czasu pan Ignacy siedzący w swoim zakratowanym pokoju jest bardzo wesół. Interesa sklepowe idą wybornie, wystawa w oknach na przyszły tydzień już ułożona, a nade wszystko — lada dzień ma powrócić Wokulski. Nareszcie pan Ignacy zda komuś rachunki i ciężar kierowania sklepem, najdalej zaś za dwa miesiące wyjedzie sobie na wakacje. Po dwudziestu pięciu latach pracy — i jeszcze jakiej! — należy mu się ten wypoczynek. Będzie rozmyślał tylko o polityce, będzie chodził, będzie biegał i skakał po polach i lasach, będzie świstał, a nawet śpiewał jak za młodu. Gdyby nie te bóle reumatyczne, które zresztą na wsi ustąpią...

Więc choć deszcz ze śniegiem bije w zakratowane okna, choć pada tak gęsto, że w pokoju jest mrok, pan Ignacy ma wiosenny humor. Wydobywa spod łóżka gitarę, dostraja ją i wzięwszy kilka akordów, zaczyna śpiewać przez nos pieśń bardzo romantyczną:

Wiosna się budzi w całej naturze
Witana rzewnym słowików pieniem;
W zielonym gaju, ponad strumieniem,
Kwitną prześliczne dwie róże.

Czarowne te dźwięki budzą śpiącego na kanapie pudła, który poczyną przypatrywać się jedynym okiem swemu panu. Dźwięki te robią więcej, gdyż wywołują na podwórzu jakiś ogromny cień, który staje w zakratowanym oknie i usiłuje zajrzeć do wnętrza izby, czym zwraca na siebie uwagę pana Ignacego.

„Tak, to musi być Paweł” — myśli pan Ignacy.

Ale Ir jest innego zdania, zeskakuje bowiem z kanapy i z niepokojem węża drzwi, jakby czuł kogoś obcego.

Słychać szmer w sieniach. Jakaś ręka poszukuje klamki, nareszcie otwierają się drzwi i na progu staje ktoś odziany w wielkie futro upstrzone śniegiem i kropłami deszczu.

— Kto to? — pyta się pan Ignacy i na twarz występują mu silne rumieńce.

— Już o mnie zapomniał, stary?... — cicho i powoli odpowiada gość.

Pan Ignacy miesza się coraz bardziej. Zasadza na nos binokle, które mu spadają, potem wydobywa spod łóżka trumienkowate pudło, śpiesznie chowa gitarę i toż samo pudelko wraz z gitarą kładzie na swoim łóżku.

Tymczasem gość zdjął wielkie futro i baranią czapkę, a jednooki Ir obwąchawszy go poczyną kręcić ogonem, łasić się i z radosnym skomleniem przypadać mu do nóg.

Pan Ignacy zbliża się do gościa wzruszony i zgarbiony więcej niż kiedykolwiek.

— Zdaje mi się... — mówi zacierając ręce — zdaje mi się, że mam przyjemność...

Potem gościa prowadzi do okna mrugając powiekami.

— Staś... jak mi Bóg miły!...

Klepie go po wypukłej piersi, ściska za prawą i za lewą rękę, a nareszcie oparłszy na jego ostrzyżonej głowie swoją dłoń wykonywa nią taki ruch, jakby mu chciał maść wetrzec w okolicę ciemienia.

— Cha! cha! cha! — śmieje się pan Ignacy. — Staś we własnej osobie... Staś z wojny!... Cóż to, dopiero teraz przypomniałeś sobie, że masz sklep i przyjaciół? — dodaje, mocno uderzając go w łopatkę. — Niech mię diabli wezmą, jeżeli nie jesteś podobny do

Miasto, Wiosna, Warszawa

Koń

Podróż, Marzenie, Wieś,
Zdrowie

Muzyka

Pies

Gość, Przyjaźń

Pies

ster spraw zagranicznych, hr. Juliusz Andrassy (1823–1890), zażądał nadzwyczajnych kredytów w wysokości 60 milionów guldenów

żołnierza albo marynarza, ale nigdy do kupca... Przez osiem miesięcy nie był w sklepie!... Co za pierś... co za łeb...

Gość także się śmiał. Objął Ignacego za szyję i po kilka razy gorąco ucałował go w oba policzki, które stary subiekt kolejno nadstawiał mu, nie oddając jednak pocałunków.

— No i cóż słyhać, stary, u ciebie? — odezwał się gość. — Wychudłeś, pobladłeś...

— Owszem, trochę nabieram ciała.

— Posiwiałeś... Jakże się masz?

— Wybornie. I w sklepie jest nieźle, trochę zwiększyły się nam obroty. W styczniu i lutym mieliśmy targu za dwadzieścia pięć tysięcy rubli... Staś kochany!... Osiem miesięcy nie było go w domu... Bagatela... Może siądziesz?

— Rozumie się — odpowiedział gość siadając na kanapie, na której wnet umieścił się Ir i oparł mu głowę na kolanach.

Pan Ignacy przysunął sobie krzesło.

— Może co zjesz? Mam szynkę i trochę kawioru.

— Owszem.

— Może co wypijesz? Mam butelkę niezłego węgryzyna, ale tylko jeden cały kieliszek.

— Będę pił szklanką — odparł gość.

Pan Ignacy zaczął dreptać po pokoju, kolejno otwierając szafę, kuferek i stolik.

Wydobył wino i schował je na powrót, potem rozłożył na stole szynkę i kilka bułek. Ręce i powieki drżały mu i sporo czasu upłynęło, nim o tyle się uspokoił, że zgromadził na jeden punkt poprzednio wyliczone zapasy. Dopiero kieliszek wina przywrócił mu silnie zachwianą równowagę moralną.

Wokulski tymczasem jadł.

— No, cóż nowego? — rzekł spokojniejszym tonem pan Ignacy trącąc gościa w kolanach.

— Domyślam się, że ci chodzi o politykę — odparł Wokulski. — Będzie pokój.

— A po cóż zbroi się Austria?

— Zbroi się za sześćdziesiąt milionów guldenów?... Chce zabrać Bośnię i Hercegowinę¹⁰³.

Ignacemu rozszerzyły się źrenice.

— Austria chce zabrać?... — powtórzył. — Za co?...

— Za co? — uśmiechnął się Wokulski. — Za to, że Turcja nie może jej tego zabronić.

— A cóż Anglia?

— Anglia także dostanie kompensatę.

— Na koszt Turcji?

— Rozumie się. Zawsze słabi ponoszą kosztą zatargów między silnymi.

— A sprawiedliwość? — zawołał Ignacy.

— Sprawiedliwym jest to, że silni mnożą się i rosną, a słabi giną. Inaczej świat stałby się domem inwalidów, co dopiero byłoby niesprawiedliwością.

Ignacy posunął się z krzesłem.

— I ty to mówisz, Stasiu?... Na serio, bez żartów?

Wokulski zwrócił na niego spokojne wejrzenie.

— Ja mówię — odparł. — Cóż w tym dziwnego? Czyliż to samo prawo nie stosuje się do mnie, do ciebie, do nas wszystkich?... Za dużo płakałem nad sobą, ażebym się miał rozczulać nad Turcją.

Pan Ignacy spuścił oczy i umilkł. Wokulski jadł.

— No, a jakże tobie poszło? — zapytał Rzecki już zwykłym tonem.

Wokulskiemu błysnęły oczy. Położył bułkę i oparł się o poręcz kanapy.

— Pamiętasz — rzekł — ile wzięłem pieniędzy, gdyś stąd wyjeżdżał?

— Trzydzieści tysięcy rubli, całą gotówkę.

— A jak ci się zdaje: ile przywiozłem?

— Pięćdziesiąt... ze czterdzieści tysięcy... Zgadłem?... — pytał Rzecki, niepewnie patrząc na niego.

Jedzenie

Wino

Polityka, Wojna

Sprawiedliwość

Bogactwo, Pieniądz, Interes

¹⁰³zabrać Bośnię i Hercegowinę — Bośnia; kraina w północno-zachodniej części Jugosławii na południe od rzeki Sawy (główne miasto Sarajewo). Hercegowina znajduje się między Bośnią a Czarnogórzem. Po zawarciu pokoju w San Stefano Austria zażądała okupacji Bośni i Hercegowiny, które należały wówczas do Turcji.

Wokulski nalał szklankę wina i wypił ją powoli.

— Dwieście pięćdziesiąt tysięcy rubli, z tego dużą część w złocie — rzekł dobitnie. — A ponieważ kazałem zakupić banknoty, które po zawarciu pokoju sprzedam, więc będę miał przeszło trzysta tysięcy rubli...

Rzeki pochylił się ku niemu i otworzył usta.

— Nie bój się — ciągnął Wokulski. — Grosz ten zarobiłem uczciwie, nawet ciężko, bardzo ciężko. Cały sekret polega na tym, że miałem bogatego współnika i że kontentowałem się cztery i pięć razy mniejszym zyskiem niż inni. Toteż mój kapitał ciągle wzrastający był w ciągłym ruchu. — No — dodał po chwili — miałem też szalone szczęście... Jak gracz, któremu dziesięć razy z rzędu wychodzi ten sam numer w rulecie. Gruba gra?... prawie co miesiąc stawiałem cały majątek, a co dzień życie.

— I tylko po to jeździłeś tam? — zapytał Ignacy.

Wokulski drwiąco spojrzał na niego.

— Czy chciałeś, ażebyś został tureckim Wallenrodem?...¹⁰⁴

— Narażać się dla majątku, gdy się ma spokojny kawałek chleba!... — mruknął pan Ignacy kiwając głową i podnosząc brwi.

Wokulski zadrżał z gniewu i zerwał się z kanapy.

— Ten spokojny chleb — mówił zaciskając pięści — dławiał mnie i dusił przez lat sześć!... Czy już nie pamiętasz, ile razy na dzień przypominano mi dwa pokolenia Minclów albo anielską dobroć mojej żony? Czy był kto z dalszych i bliższych znajomych, wyjąwszy ciebie, który by mi nie dręczył słowem, ruchem, a choćby spojrzeniem? Ileż to razy mówiono o mnie i prawie do mnie, że karmię się z fartucha żony, że wszystko zawdzięczam pracy Minclów, a nic, ale to nic — własnej energii, choć przecie ja podźwignąłem ten kramik, zdwoilem jego dochody...

Mincle i zawsze Mincle!... Dziś niech mnie porównają z Minclami. Sam jeden przez pół roku zarobiłem dziesięć razy więcej aniżeli dwa pokolenia Minclów przez pół wieku. Na zdobycie tego, co ja zdobył pomiędzy kulą, nożem i tyfusem, tysiąc Minclów musiałoby się pocić w swoich sklepikach i szlafmnych. Teraz już wiem, ilu jestem wart Minclów, i jak mi Bóg miły, dla podobnego rezultatu drugi raz powtórzyłbym moją grę! Wolę obawiać się bankructwa i śmierci aniżeli wdzięczyc się do tych, którzy kupią u mnie parasol, albo padać do nóg tym, którzy w moim sklepie raczą zaopatrywać się w waterklozety...

— Zawsze ten sam! — szepnął Ignacy.

Wokulski ochłonął. Oparł się na ramieniu Ignacego i zaglądając mu w oczy rzekł łagodnie:

— Nie gniewasz się, stary?

— Czego? Albo nie wiem, że wilk nie będzie pilnował baranów... Naturalnie...

— Cóż u was słychać? — powiedz mi.

— Akurat tyle, co pisałem ci w raportach. Interesa dobrze idą, towarów przybyło, a jeszcze więcej zamówień. Trzeba jednego subiekta.

— Weźmiemy dwu, sklep rozszerzymy, będzie wspaniały.

— Bagatela!

Wokulski spojrzał na niego z boku i uśmiechnął się widząc, że stary odzyskuje dobry humor.

— Ale co w mieście słychać? W sklepie, dopóki ty w nim jesteś, musi być dobrze.

— W mieście...

— Z dawnych kundmanów¹⁰⁵ nie ubył kto? — przerwał mu Wokulski, coraz szybciej chodząc po pokoju.

— Nikt! Przybyli nowi.

— A... a...

Wokulski stanął jakby wahając się. Nalał znowu szklankę wina i wypił duszkiem.

— A Łęcki kupuje u nas?...

Handel, Szczęście

Pozycja społeczna, Walka

Kobieta, Pozycja społeczna

¹⁰⁴Czy chciałeś, ażebyś został tureckim Wallenrodem? — aluzja do bohatera poematu Mickiewicza *Konrad Wallenrod* (1823). Wokulski zostałby „tureckim Wallenrodem”, gdyby wykorzystując swoje stanowisko dostawcy armii rosyjskiej działał na jej szkodę w interesach Turcji. Tym ironicznym pytaniem Wokulski podkreśla, że jego działalność nie miała żadnego związku z polityką.

¹⁰⁵kundman (z niem.) — stały odbiorca.

— Częściej bierze na rachunek.
— Więc bierze... — Tu Wokulski odetchnął. — Jakże on stoi?
— Zdaje się, że to skończony bankrut i bodajże w tym roku zlicytują mu nareszcie kamienicę.

Wokulski pochylił się nad kanapą i zaczął bawić się z Irem.

— Proszę cię... A panna Łęcka nie wyszła za mąż?

— Nie.

— A nie wychodzi?...

— Bardzo wątpię. Kto dziś ożeni się z panną mającą wielkie wymagania, a żadnego posagu? Zestarzeje się, choć ładna. Naturalnie...

Wokulski wyprostował się i przeciągnął. Jego surowa twarz nabrała dziwnie rzewnego wyrazu.

— Mój kochany stary! — mówił biorąc Ignacego za rękę — mój pocziwy stary przyjacielu! Ty nawet nie domyślasz się, jakim ja szczęśliwy, że cię widzę, i jeszcze w tym pokoju. Pamiętasz, ilem ja tu spędził wieczorów i nocy... jak mnie karmiłeś... jak oddawałeś mi co lepsze odzienie... Pamiętasz?...

Rzecki uważnie spojrzał na niego i pomyślał, że wino musi być dobre, skoro aż tak rozwiązało usta Wokulskiemu.

Wokulski usiadł na kanapie i oparłszy głowę o ścianę mówił jakby do siebie:

— Nie masz pojęcia, co ja wycierpiałem, oddalony od wszystkich, niepewny, czy już kogo zobaczę, tak strasznie samotny. Bo widzisz, najgorszą samotnością nie jest ta, która otacza człowieka, ale ta pustka w nim samym, kiedy z kraju nie wyniósł ani cieplejszego spojrzenia, ani serdecznego słówka, ani nawet iskry nadziei...

Pan Ignacy poruszył się na krześle z zamiarem protestu.

— Pozwól sobie przypomnieć — odezwał się — że z początku pisywałem listy bardzo życzliwe, owszem, może nawet za sentymentalne. Zraziły mnie dopiero twoje krótkie odpowiedzi.

— Alboż ja do ciebie mam żal?...

— Tym mniej możesz go mieć do innych pracowników, którzy nie znają cię tak jak ja.

Wokulski ocknął się.

— Ależ ja do żadnego z nich nie mam pretensji. Może — odrobinę — do ciebie, żeś tak mało pisał o... mieście... W dodatku bardzo często ginął „Kurier”¹⁰⁶ na poczcie, robiły się luki w wiadomościach, a wtedy męczyły mnie najgorsze przecucia.

— Z jakiej racji? Wszakże u nas nie było wojny — odparł ze zdziwieniem pan Ignacy.

— Ach tak!... Nawet dobrze bawiliście się. Pamiętam, w grudniu mieliście świetne żywe obrazy¹⁰⁷. Kto to w nich występował?...

— No, ja na takie głupstwa nie chodzę.

— To prawda. A ja tego dnia dałbym — bodaj — dziesięć tysięcy rubli, ażeby je zobaczyć. Głupstwo jeszcze większe!... Czy nie tak?...

— Zapewne — chociaż dużo tu tłumaczy samotność, nudy...

— A może tęsknota — przerwał Wokulski. — Zjadała mi ona każdą chwilę wolną od pracy, każdą godzinę odpoczynku. Należ mi wina, Ignacy.

Wypił, zaczął znowu chodzić po pokoju i mówić przyciszonym głosem:

— Pierwszy raz spadło to na mnie w czasie przeprawy przez Dunaj trwającej od wieczora do nocy. Płynąłem sam i Cygan przewoźnik. Nie mogąc rozmawiać przypatrywałem się okolicy. Były w tym miejscu piaszczyste brzegi, jak u nas. I drzewa podobne do naszych wierzb, wzgórza porośnięte leszczyną i kępy lasów sosnowych. Przez chwilę zdawało mi się, że jestem w kraju, i że nim noc zapadnie, znowu was zobaczę. Noc zapadła, ale jednocześnie zniknęły mi z oczu brzegi. Byłem sam na ogromnej smudze wody, w której odbijały się nikle gwiazdy.

Wówczas przyszło mi na myśl, że tak daleko jestem od domu, że dziś ostatnim między mną i wami łącznikiem są tylko te gwiazdy, że w tej chwili u was może nikt nie patrzy

Samotnik, Tęsknota

List

Miłość

Zabawa

Natura, Ojczyzna

Gwiazda, Noc

¹⁰⁶ „Kurier” — „Kurier Warszawski”, popularna gazeta konserwatywnych sfer mieszczańskich i arystokratycznych w Warszawie (wychodziła od r. 1821).

¹⁰⁷ żywe obrazy — rozrywka towarzyska polegająca na tym, że grupa osób, przebranych w odpowiednie kostiumy, przedstawiała jakąś scenę historyczną albo alegoryczną.

na nie, nikt o mnie nie pamięta, nikt!... Uczułem jakby wewnętrzne rozdarcie i wtedy dopiero przekonałem się, jak głęboką mam ranę w duszy.

— Prawda, że nigdy nie interesowały mnie gwiazdy — szepnął pan Ignacy.

— Od tego dnia uległem dziwnej chorobie — mówił Wokulski. — Dopóki rozpisywałem listy, robiłem rachunki, odbierałem towary, rozsyłałem moich agentów, dopóki bodaj dźwigał i wyładowywał zepsute wozy albo czuwał nad skradającym się grabieżcą, miałem względny spokój. Ale gdym oderwał się od interesów, a nawet gdym na chwilę złożył pióro, czułem ból, jakby mi — czy ty rozumiesz, Ignacy? — jakby mi ziarno piasku wpadło do serca. Bywało, chodzę, jem, rozmawiam, myślę przytomnie, rozpatruję się w pięknej okolicy, nawet śmieję się i jestem wesół, a mimo to czuję jakieś tępe ukłucie, jakiś drobny niepokój, jakąś nieskończenie małą obawę.

Ten stan chroniczny, męczący nad wszelki wyraz, lada okoliczność rozdmuchiwała w burzę. Drzewo znajomej formy, jakiś obdarty pagórek, kolor obłoku, przelot ptaka, nawet powiew wiatru bez żadnego zresztą powodu budził we mnie tak szaloną rozpacz, że uciekałem od ludzi. Szukałem ustroni tak pustej, gdzie bym mógł upaść na ziemię i nie podsłuchany przez nikogo, wyć z bólu jak pies.

Pies

Czasami w tej ucieczce przed samym sobą doganiała mnie noc. Wtedy spoza krzaków, zwalonych pni i rozpadlin wychodziły naprzeciw mnie jakieś szare cienie i smutnie kiwały głowami o wyblakłych oczach. A wszystkie szelesty liści, daleki turkot wozów, szmery wód zlewały się w jeden głos żaloszny, który mnie pytał: „Przechodniu nasz, ach! co się z tobą stało?...”¹⁰⁸

Pozycja społeczna, Walka

Ach, co się ze mną stało...

— Nic nie rozumiem — przerwał Ignacy. — Cóż to za szal?

— Co?... Tęsknota

— Za czym?

Wokulski drgnął.

— Za czym? No... za wszystkim... za krajem...

— Dlaczegoż nie wracał?

— A cóż by mi dał powrót?... Zresztą — nie mogłem.

— Nie mogłeś? — powtórzył Ignacy.

— Nie mogłem... i basta! Nie miałem po co wracać — odparł niecierpliwie Wokulski.

— Umrzeć tu czy tam, wszystko jedno... daj mi wino — zakończył nagle, wyciągając rękę.

Rzecki spojrzał w jego rozgorączkowaną twarz i odsunął butelkę.

— Daj pokój — rzekł — już i tak jesteś rozdrażniony...

— Dlatego chcę pić...

— Dlatego nie powinieneś pić — przerwał Ignacy. — Za wiele mówisz... może więcej, aniżeli byś chciał — dodał z naciskiem.

Wokulski cofnął się. Zastanowił się i odparł potrząsając głową:

— Mylisz się.

— Zaraz ci dowiodę — odpowiedział Ignacy przyciszonym głosem. — Ty nie jeździłeś tam wyłącznie dla zrobienia pieniędzy...

— Zapewne — rzekł Wokulski po namyśle.

— Bo i na co trzysta tysięcy rubli tobie, któremu wystarczało tysiąc na rok?...

— To prawda.

Rzecki zbliżył swoje usta do jego ucha.

— Jeszcze ci powiem, że pieniądze tych nie przywiozłeś dla siebie...

— Kto wie, czyś nie zgadł.

— Zgaduję więcej, aniżeli myślisz...

Wokulski nagle roześmiał się.

— Aha, więc tak sądzisz? — zawołał. — Upewniam cię, że nic nie wiesz, stary marzycielu.

— Boję się twojej trzeźwości, pod wpływem której gadasz jak wariat. Rozumiesz mnie, Stasiu?...

Wokulski wciąż się śmiał.

¹⁰⁸ *Przechodniu nasz, ach! co się z tobą stało?* — cytat z wiersza Mickiewicza *Do H*** (Wezwanie do Neapolu)*. Prus przytacza jak zwykle z pamięci; u Mickiewicza: „Pielgrzymie nasz...”

— Masz rację, nie przywykłem pić i wino uderzyło mi do głowy. Ale — już zebrałem zmysły. Powiem ci tylko, że mylisz się gruntownie. A teraz, ażeby ocalić mnie od zupełnego upicia, wypij sam — za pomyślność moich zamiarów.

Ignacy nalał kieliszek i mocno ściskając rękę Wokulskiemu, rzekł:

— Za pomyślność wielkich zamiarów...

— Wielkich dla mnie, ale w rzeczywistości bardzo skromnych.

— Niech i tak będzie — mówił Ignacy. — Jestem tak stary, że mi wygodniej nic nie wiedzieć; jestem już nawet tak stary, że pragnę tylko jednej rzeczy — pięknej śmierci. Daj mi słowo, że gdy przyjdzie czas, zawiadomisz mnie...

— Tak, gdy przyjdzie czas, będziesz moim swatem.

— Już byłem i nieszczęśliwie... — rzekł Ignacy.

— Z wdową przed siedmioma laty?

— Przed piętnastoma¹⁰⁹.

— Znowu swoje — roześmiał się Wokulski. — Zawsze ten sam!

— I tyś ten sam. Za pomyślność twoich zamiarów... Jakiegokolwiek są, wiem jedno, że muszą być godne ciebie. A teraz — milczę...

To powiedziawszy Ignacy wypił wino, a kieliszek rzucił na ziemię. Szkło rozbiło się z brzękiem, który obudził Ira.

— Chodźmy do sklepu — rzekł Ignacy. — Bywają rozmowy, po których dobrze jest mówić o interesach.

Wydobył ze stolika klucz i wyszli. W sieni wionął na nich mokry śnieg. Rzecki otworzył drzwi sklepu i zapalił kilka lamp.

— Co za towary! — zawołał Wokulski. — Chyba wszystko nowe?

— Prawie. Chcesz zobaczyć?... Tu jest porcelana. Zwracam ci uwagę...

— Później... Daj mi księgę.

— Dochodów?...

— Nie, dłużników.

Rzecki otworzył biurko, wydobył księgę i podsunął fotel. Wokulski usiadł i rzuciwszy okiem na listę, wyszukał w niej jedno nazwisko.

— Sto czterdzieści rubli — mówił czytając. — No, to wcale niedużo...

— Któż to? — zapytał Ignacy. — A... Łęcki...

— Panna Łętka ma także otwarty kredyt... bardzo dobrze — ciągnął Wokulski zbliżywszy twarz do księgi, jakby w niej pismo było niewyraźne. — A... a... Onegdaj wzięła portmonetkę... Trzy ruble?... to chyba za drogo...

— Wcale nie — wtrącił Ignacy. — Portmonetka doskonała, sam ją wybierałem.

— Z którychże to? — spytał niedbale Wokulski i zamknął księgę.

— Z tej gablotki. Widzisz, jakie to cacka.

— Musiała jednak dużo między nimi przerzucić... Jest podobno wymagająca...

— Wcale nie przerzucała, dlaczego miałyby przerzucać? — odparł Ignacy. — Obejrzała tę...

— Tę?...

— A chciała wziąć tę...

— Ach, tę... — szepnął Wokulski biorąc do ręki portmonetkę.

— Ale ja poradziłem jej inną, w tym guście...

— Wiesz co, że to jednak jest ładny wyrób.

— Tamta, którą ja wybrałem, była jeszcze ładniejsza.

— Ta bardzo mi się podoba. Wiesz... ja ją wezmę, bo moja już na nic...

— Czeka, znajdę ci lepszą — zawołał Rzecki.

— Wszystko jedno. Pokaż inne towary, może jeszcze co mi się przyda.

— Spinki masz?... Krawat, kalosze, parasol...

— Daj mi parasol, no... i krawat. Sam wybierz. Będę dziś jedynym gościem i w dodatku zapłacę gotówką.

Miłość

¹⁰⁹ *Przed piętnastoma* — w domyśle: laty, a więc w r. 1863; pojawia się tu kolejna aluzja do udziału Wokulskiego w powstaniu styczniowym.

— Bardzo dobry zwyczaj — odparł uradowany Rzecki. Prędko wydobyl krawat z szuflady i parasol z okna i podał je ze śmiechem Wokulskiemu. — Po strąceniu rabatu — dodał — jako handlujący, zapłacisz siedem rubli. Pyszny parasol... Bagatela...

— To już wrócimy do ciebie — rzekł Wokulski.

— Nie obejrzyysz sklepu? — spytał Ignacy.

— Ach, co mnie to ob...

— Nie obchodzi cię twój własny sklep, taki piękny sklep?... — zdziwił się Ignacy.

— Gdzież znowu, czy możesz przypuszczać... Ale jestem trochę zmęczony.

— Słusznie — odparł Rzecki. — Co racja, to racja. Więc idźmy.

Pozakręcał lampy i, przepuściwszy Wokulskiego, zamknął sklep. W sieni znowu spotkał ich mokry śnieg i Paweł niosący obiad.

V. DEMOKRATYZACJA PANA I MARZENIA PANNY Z TOWARZYSTWA

Pan Tomasz Łęcki z jedną córką Izabelą i kuzynką panną Florentyną nie mieszkał we własnej kamienicy, lecz wynajmował lokal, złożony z ośmiu pokojów, w stronie Alei Ujazdowskiej¹¹⁰. Miał tam salon o trzech oknach, gabinet własny, gabinet córki, sypialnię dla siebie, sypialnię dla córki, pokój stołowy, pokój dla panny Florentyny i garderobę, nie licząc kuchni i mieszkania dla służby, składającej się ze starego kamerdynera Mikołaja, jego żony, która była kucharką, i panny służącej, Anusi.

Mieszkanie posiadało wielkie zalety. Było suche, ciepłe, obszerne, widne. Miało marmurowe schody, gaz, dzwonki elektryczne i wodociągi. Każdy pokój w miarę potrzeby łączył się z innymi lub tworzył zamkniętą w sobie całość. Sprzętów wreszcie miało liczbę dostateczną, ani za mało, ani za wiele, a każdy odznaczał się raczej wygodną prostotą aniżeli skaczącymi do oczu ozdobami. Kredens budził w widzu uczucie pewności, że z niego nie zginą srebra; łóżko przywodziło na myśl bezpieczny spoczynek dobrze zasłużonych; stół można było obciążyć, na krzesła usiąść bez obawy załamania się, na fotelu marzyć.

Kto tu wszedł, miał swobodę ruchu; nie potrzebował lękać się, że mu coś zastąpi drogę lub że on coś zepsuje. Czekać na gospodarza nie nudził się, otaczały go bowiem rzeczy, które warto było oglądać. Zarazem widok przedmiotów, wyrobionych nie wczoraj i mogących służyć kilku pokoleniom, nastrajał go na jakiś ton uroczysty.

Na tym poważnym tle dobrze zarysowywali się jego mieszkańcy.

Pan Tomasz Łęcki był to sześćdziesięciokilkuletni człowiek, niewysoki, pełnej tuszy, krwisty. Nosił nieduże wąsy białe i do góry podczesane włosy, tej samej barwy. Miał siwe, rozumne oczy, postawę wyprostowaną, chodził ostro. Na ulicy ustępowano mu z drogi — a ludzie prości mówili: oto musi być pan z panów.

Istotnie, pan Łęcki liczył w swoim rodzie całe szeregi senatorów. Ojciec jego jeszcze posiadał miliony, a on sam za młodu krocie¹¹¹. Później jednak część majątku pochłonęły zdarzenia polityczne¹¹², resztę — podróże po Europie i wysokie stosunki. Pan Tomasz był bowiem przed rokiem 1870 na dworze francuskim, następnie na wiedeńskim i włoskim. Wiktor Emanuel¹¹³, oczarowany pięknnością jego córki, zaszczycał go swoją przyjaźnią i nawet chciał mu nadać tytuł hrabiego. Nie dziw, że pan Tomasz po śmierci wielkiego króla przez dwa miesiące nosił na kapeluszu krepę.

Od paru lat pan Tomasz nie ruszał się z Warszawy, za mało mając już pieniędzy, ażeby błyszczeć na dworach. Za to jego mieszkanie stało się ogniskiem eleganckiego świata i było nim aż do czasu rozejścia się pogłosek, że pan Tomasz postradał nie tylko swój majątek, ale nawet posag panny Izabeli.

Pierwsi cofnęli się epuzerowie¹¹⁴, za nimi damy mające brzydkie córki, z pozostałą zaś resztą zerwał sam pan Tomasz i ograniczył swoje znajomości wyłącznie do stosunków

Dom

Sługa

Pozycja społeczna, Szlachcic

Bogactwo

Pozycja społeczna

¹¹⁰Aleja Ujazdowska — najpiękniejsza, niegdyś głównie spacerowa aleja w Warszawie. Wznoszą się wzdłuż niej zabytkowe pałace, rozciągają stare parki. Poważnie zniszczona w czasie powstania warszawskiego, została całkowicie odbudowana (obecnie przecina ją Trasa Łazienkowska).

¹¹¹krocie — tysiące (liczba bardzo duża, ściślej nie określona).

¹¹²zdarzenia polityczne — zapewne powstanie styczniowe, a następnie represje rządu rosyjskiego oraz reforma uwłaszczeniowa.

¹¹³Wiktor Emanuel II (1820–1878) — król Sardynii w latach 1849–1861, po zjednoczeniu Włoch w r. 1861 król włoski.

¹¹⁴epuzer — kandydat do małżeństwa.

z rodziną. Lecz gdy i tu zauważył zniżenie się uczuciowej temperatury, zupełnie wycofał się z towarzystwa, a nawet ku zgorszeniu wielu szanownych osób, jako właściciel domu w Warszawie, wpisał się do Resursy Kupieckiej¹¹⁵. Chciano go tam zrobić prezesem, ale nie zgodził się.

Tylko jego córka bywała u sędziwej hrabiny Karolowej i paru jej przyjaciółek, co znowu dało początek pogłosce, że pan Tomasz jeszcze posiada majątek i że zerwał z towarzystwem w części przez dziwactwo, w części dla poznania rzeczywistych przyjaciół i wybrania córce męża, który by ją kochał dla niej samej, nie dla posagu.

Więc znowu dokoła panny Łęckiej poczęł zbierać się tłum wielbicieli, a na stoliku w jej salonie stosy biletów wizytowych. Gości jednak nie przyjmowano, co zresztą między nimi nie wywołało zbyt wielkiego oburzenia, ponieważ rozeszła się trzecia z kolei pogłoska, że Łęckiemu licytują kamienicę.

Tym razem w towarzystwie powstał zamęt. Jedni twierdzili, że pan Tomasz jest zdeklarowanym bankrutem, drudzy gotowi byli przysiąc, że zataił majątek, aby zapewnić szczęście jedynaczce. Kandydaci do małżeństwa i ich rodziny znaleźli się w dręczącej niepewności. Ażeby więc nic nie ryzykować i nic nie stracić, składali hołdy pannie Izabeli nie angażując się zbyt mocno i po cichu rzucali w jej domu swoje karty, prosząc Boga, ażeby ich czasem nie zaproszono przed wyklarowaniem się sytuacji.

O rewizytach ze strony pana Tomasza nie było mowy. Usprawiedliwiano go ekscentrycznością i smutkiem po Wiktorze Emanuelu.

Tymczasem pan Tomasz w dzień spacerował po Alejach, a wieczorem grywał w wista¹¹⁶ w resursie. Fizjonomia jego była zawsze tak spokojna, a postawa tak dumna, że wielbiciele jego córki zupełnie potracili głowy. Rozważniejsi czekali, ale śmielsi poczęli znowu darzyć ją powłóczytymi spojrzeniami, cichym westchnieniem lub drżącym uściskiem ręki, na co panna odpowiadała lodowatą, a niekiedy pogardliwą obojętnością.

Panna Izabela była niepospolicie piękną kobietą. Wszystko w niej było oryginalne i doskonale. Wzrost więcej niż średni, bardzo kształtna figura, bujne włosy blond z odcieniem popielatym, noszek prosty, usta trochę odchylone, zęby perłowe, ręce i stopy modelowe¹¹⁷. Szczególne wrażenie robiły jej oczy, niekiedy ciemne i rozmarzone, niekiedy pełne iskier wesołości, czasem jasnoniebieskie i zimne jak lód.

Uderzająca była gra jej fizjonomii. Kiedy mówiła, mówiły jej usta, brwi, nozdrza, ręce, cała postawa, a nade wszystko oczy, którymi zdawało się, że chce przelać swoją duszę w słuchacza. Kiedy słuchała, zdawało się, że chce wypić duszę z opowiadającego. Jej oczy umiały tulić, pieścić, płakać bez łez, palić i mrozić. Niekiedy można było myśleć, że rozmarzona otoczy kogoś rękami i oprze mu głowę na ramieniu; lecz gdy szczęśliwy topniał z rozkoszy, nagle wykonywała jakiś ruch, który mówił, że schwycić jej niepodobna, gdyż albo wymknie się, albo odepchnie, albo po prostu każe lokajowi wyprowadzić wielbiciela za drzwi...

Ciekawym zjawiskiem była dusza panny Izabeli.

Gdyby ją kto szczerze zapytał: czym jest świat, a czym ona sama? niezawodnie odpowiedziałaby, że świat jest zaczarowanym ogrodem, napełnionym czarodziejskimi zamkami, a ona — boginią czy nimfą uwięzioną w formy cielesne.

Panna Izabela od kolebki żyła w świecie pięknym i nie tylko nadludzkim, ale — nadnaturalnym. Sypiała w puchach, odziewała się w jedwabie i hafty, siadała na rzeźbionych i wyścielanych hebanach¹¹⁸ lub palisandrach¹¹⁹, piła z kryształów, jadła ze sreber i porcelany kosztownej jak złoto.

Dla niej nie istniały pory roku, tylko wieki wiosna, pełna łagodnego światła, żywych kwiatów i woni. Nie istniały pory dnia, gdyż nieraz przez całe miesiące kładła się spać o ósmej rano, a jadła obiad o drugiej po północy. Nie istniały różnice położen geograficznych, gdyż w Paryżu, Wiedniu, Rzymie, Berlinie czy Londynie znajdowali się ci

¹¹⁵Resursa — dosłownie: źródło pomocy, dochodu. Nazwa związków towarzyskich oraz należących do nich lokali. — W Warszawie istniały dwie resursy: wielka, czyli Kupiecka, i Obywatelska, przy czym właśnie Resursa Obywatelska miała bardziej mieszczański charakter.

¹¹⁶wist — czteroosobowa gra w karty.

¹¹⁷modelowy — tu w znaczeniu wzorowej piękności.

¹¹⁸heban — drzewo rosnące w ciepłych krajach o naturalnym czarnym kolorze, bardzo twarde i ciężkie, używane w meblarstwie.

¹¹⁹palisander — drewno z drzew południowo-amerykańskich (jacarandy), używane na forniry.

Bogactwo, Małżeństwo,
Pozycja społeczna

Flirt

Kobieta, Pozycja społeczna

Obraz świata

Ogród

Kondycja ludzka

sami ludzie, te same obyczaje, te same sprzęty, a nawet te same potrawy: zupy z wodorostów Oceanu Spokojnego, ostrygi z Morza Północnego, ryby z Atlantyku albo z Morza Śródziemnego, zwierzyzna ze wszystkich krajów, owoce ze wszystkich części świata. Dla niej nie istniała nawet siła ciężkości, gdyż krzesła jej podsuwano, talerze podawano, ją samą na ulicy wieszono, na schody wprowadzano, na góry wnoszono.

Woalka chroniła ją od wiatru, karetę od deszczu, sobole od zimna, parasolka i rękawiczki od słońca. I tak żyła z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, wyższa nad ludzi, a nawet nad prawa natury. Dwa razy spotkała ją straszna burza, raz w Alpach, drugi — na Morzu Śródziemnym. Truchleli najodważniejsi, ale panna Izabela ze śmiechem przysłuchiwała się łoskotowi druzgotanych skał i trzeszczeniu okrętu, ani przypuszczając możliwości niebezpieczeństwa. Natura urządziła dla niej piękne widowisko z piorunów, kamieni i morskiego oddechu, jak w innym czasie pokazała jej księżyc nad Jezioro Genewskim¹²⁰ albo nad wodospadem Renu¹²¹ rozdarła chmury, które zakrywały słońce. To samo przecie robią co dzień maszyniści teatrów i nawet w zdenerwowanych damach nie wywołują obawy.

Ten świat wiecznej wiosny, gdzie szeleściły jedwabie, rosły tylko rzeźbione drzewa, a glina pokrywała się artystycznymi malowidłami, ten świat miał swoją specjalną ludność. Właściwymi jego mieszkańcami były księżniczki i książęta, hrabianki i hrabiowie tudzież bardzo stara i majątna szlachta obojej płci. Znajdowały się tam jeszcze damy zamężne i panowie żonaci w charakterze gospodarzy domów, matrony strzegące wykwiśniętego obyczajów i dobrych obyczajów i starzy panowie, którzy zasiadali na pierwszych miejscach przy stole, oświadczały młodzieży, błogosławili ją i grywali w karty. Byli też biskupi, wizerunki Boga na ziemi, wysocy urzędnicy, których obecność zabezpieczała świat od nieporządków społecznych i trzęsienia ziemi, a nareszcie dzieci, małe cherubiny, zesłane z nieba po to, ażeby starsi mogli urządzać kinderbal¹²².

Wśród stałej ludności zaczarowanego świata ukazywał się od czasu do czasu zwykły śmiertelnik, który na skrzydłach reputacji potrafił wzbic się aż do szczytów Olimpu¹²³. Zwykle bywał nim jakiś inżynier, który łączył oceany albo wiercił czy też budował Alpy. Był jakiś kapitan, który w walce z dzikimi stracił swoją kompanię, a sam okryty ranami ocalał dzięki miłości murzyńskiej księżniczki. Był podróżnik, który podobno odkrył nową część świata, rozbił się z okrętem na bezludnej wyspie i bodaj czy nie kosztował ludzkiego mięsa.

Bywali tam wreszcie sławni malarze, a nade wszystko natchnieni poeci, którzy w sztabach¹²⁴ hrabianek pisywali ładne wiersze, mogli kochać się bez nadziei i uwieczniać wdzięki swoich okrutnych bogiń naprzód w gazetach, a następnie w oddzielnych tomikach, drukowanych na welinowym papierze¹²⁵.

Cała ta ludność, między którą ostrożnie przesuwali się wygalonowani¹²⁶ lokaje, damy do towarzystwa, ubogie kuzynki i łaknący wyższych posad kuzyni, cała ta ludność obchodziła wieczne święto.

Od południa składano sobie i oddawano wizyty i rewizyty albo zjeżdżano się w magazynach. Ku wieczorowi bawiono się przed obiadem, w czasie obiadu i po obiedzie. Potem jechano na koncert lub do teatru, ażeby tam zobaczyć inny sztuczny świat, gdzie bohaterowie rzadko kiedy jedzą i pracują, ale za to wciąż gadają sami do siebie — gdzie niewierność kobiet staje się źródłem wielkich katastrof i gdzie kochanek, zabity przez męża w piątym akcie, na drugi dzień zmartwychwstaje w pierwszym akcie, ażeby popełniać te same błędy i gadać do siebie nie będąc słyszany przez osoby obok stojące. Po wyjściu z teatru znowu zbierano się w salonach, gdzie służba roznosiła zimne i gorące napoje, najęci artyści śpiewali, młode mężatki słuchały opowiadań porąbanego kapitana o murzyńskiej księżniczce, panny rozmawiały z poetami o powinowactwie dusz, starsi panowie wykładali inżynierom swoje poglądy na inżynierię, a damy w średnim wieku

Theatrum mundi

Theatrum mundi, Sen

Obyczaje, Teatr

¹²⁰Jezioro Genewskie — największe i bardzo malownicze jezioro szwajcarskie na granicy Szwajcarii i Francji.

¹²¹wodospad Renu — w górnym biegu Ren tworzy wiele wodospadów, np. pod Szafuzą w Szwajcarii.

¹²²kinderbal (z niem.) — zabawa dla dzieci.

¹²³Olimp — najwyższe pasmo górskie w Grecji; w greckiej mitologii siedziba bogów.

¹²⁴sztabach — album, pamiętnik.

¹²⁵welinowy papier — biały gładki papier, wysokiego gatunku.

¹²⁶wygalonowani — w liberii obszyte galonami, czyli złotą lub srebrną taśmą.

pólsłówkami i spojrzeniami walczyły między sobą o podróżnika, który jadł ludzkie mięso. Potem zasiadano do kolacji, gdzie usta jadły, żołądki trawiły, a buciki rozmawiały o uczuciach lodowatych serc i marzeniach głów niezawrotnych. A potem — rozjeżdżano się, ażeby w śnie rzeczywistym nabrać sił do snu życia.

Poza tym czarodziejskim był jeszcze inny świat — zwyczajny.

O jego istnieniu wiedziała panna Izabela i nawet lubiła mu się przypatrywać z okna karety, wagonu albo z własnego mieszkania. W takich ramach i z takiej odległości wydawał on się jej malowniczym i nawet sympatycznym. Widywała rolników powoli orzących ziemię — duże fury ciągnięte przez chudą szkapę — roznosicieli owoców i jarzyn — starca, który tłukł kamienie na szosie — posłańców idących gdzieś z pośpiechem — ładne i natrętne kwiaciarki — rodzinę złożoną z ojca, bardzo otyłej matki i czworga dzieci, parami trzymających się za ręce — eleganta niższej sfery, który jechał dorożką i rozpiekał się w sposób bardzo zabawny — czasem pogrzeb. I mówiła sobie, że tamten świat, choć niższy, jest ładny; jest nawet ładniejszy od obrazów rodzajowych¹²⁷, gdyż porusza się i zmienia co chwilę.

I jeszcze wiedziała panna Izabela, że jak w oranżeriach rosną kwiaty, a w winnicach winogrona, tak w tamtym, niższym świecie, wyrastają rzeczy jej potrzebne. Stamtąd pochodzi jej wierny Mikołaj i Anusia, tam robią rzeźbione fotele, porcelany, kryształy i firranki, tam rodzą się froterzy¹²⁸, tapicerowie, ogrodnicy i panny szyjące suknie. Będąc raz w magazynie kazała zaprowadzić się do szwalni i bardzo ciekawym wydał się jej widok kilkudziesięciu pracownic, które krajały, fastrygowały i układały na formach fałdy ubrań. Była pewna, że robi im to wielką przyjemność, ponieważ te panny, które brały jej miarę albo przymierzały suknie, były zawsze uśmiechnięte i bardzo zainteresowane tym, ażeby strój leżał na niej dobrze.

I jeszcze wiedziała panna Izabela, że na tamtym, zwyczajnym świecie trafiają się ludzie nieszczęśliwi. Więc każdemu ubogiemu, o ile spotkał ją, kazała dawać po kilka złotych; raz spotkawszy mizerną matkę z bladym jak воск dzieckiem przy piersi oddała jej bransoletę, a brudne, żebrzące dzieci obdarzała cukierkami i całowała z pobożnym uczuciem. Zdawało się jej, że w którymś z tych biedaków, a może w każdym, jest utajony Chrystus, który zastąpił jej drogę, ażeby dać okazję do spełnienia dobrego czynu.

W ogóle dla ludzi z niższego świata miała serce życzliwe. Przychodziły jej na myśl słowa Pisma świętego: „W pocie czoła pracować będziesz.”¹²⁹. Widocznie popełnili oni jakiś ciężki grzech, skoro skazano ich na pracę; ależ tacy jak ona aniołowie nie mogli nie ubolewać nad ich losem. Tacy jak ona, dla której największą pracą było dotknięcie elektrycznego dzwonka albo wydanie rozkazu.

Raz tylko niższy świat zrobił na niej potężne wrażenie.

Pewnego dnia, we Francji, zwiedzała fabrykę żelazną. Zjeżdżając z góry, w okolicy pełnej lasów i łąk, pod szafirowym niebem zobaczyła otchłań wypełnioną obłokami czarnych dymów i białych par i usłyszała głuchy łoskot, zgrzyt i sapanie machin. Potem widziała piece, jak wieże średniowiecznych zamków, dyszące płomieniami — potężne koła, które obracały się z szybkością błyskawic — wielkie rusztowania, które same toczyły się po szynach — strumienie rozpalonego do białości żelaza i półnagich robotników, jak spiżowe posągi, o ponurych wejrzeniach. Ponad tym wszystkim — krwawa luna, warczenie kół, jęki miechów, grzmot młotów i niecierpliwe oddechy kotłów, a pod stopami dreszcz wylęknionej ziemi.

Wtedy zdało się jej, że z wyżyn szczęśliwego Olimpu zstąpiła do beznadziejnej otchłani Wulkanu¹³⁰, gdzie cyklopowie¹³¹ kuja pioruny mogące zdruzgotać sam Olimp. Przyszły jej na myśl legendy o zbuntowanych olbrzymach, o końcu tego pięknego świata, w którym przebywała, i pierwszy raz w życiu ją, boginię, przed którą gięli się marszałkowie i senatorzy, zdjęła trwoga.

— To są straszni ludzie, papo... — szepnęła do ojca.

¹²⁷obrazy rodzajowe przedstawiają ludzi jako typy pewnych warstw społecznych wśród codziennych zajęć.

¹²⁸froter — pracownik zajmujący się woskowaniem i polerowaniem podłóg.

¹²⁹W pocie czoła pracować będziesz — w Starym Testamencie słowa Boga skierowane do Adama po popełnieniu przez niego grzechu pierworodnego.

¹³⁰Wulkan — w mitologii rzymskiej bóg ognia i opiekun kowalstwa.

¹³¹cyklopowie — w mitologii greckiej demony ognia, jednookie olbrzymy, które sporządzały dla Zeusa pioruny.

Obraz świata

Sluga

Praca

Chrystus, Obyczaje, Religia

Kara, Praca

Koniec świata, Rewolucja,
Robotnik, Szlachcic

Kobieta

Ojciec milczał, tylko mocniej przycisnął jej ramię.

— Ale kobietom oni nic złego nie zrobią?

— Tak, nawet oni — odpowiedział pan Tomasz.

W tej chwili pannę Izabelę ogarnął wstyd na myśl, że troszczyła się tylko o kobiety. Więc szybko dodała:

— A jeżeli nam, to i wam nie zrobią nic złego...

Ale pan Tomasz uśmiechnął się i potrząsnął głową. W owym czasie dużo mówiono o zbliżającym się końcu starego świata, a pan Tomasz głęboko odczuwał to, z wielkimi trudnościami wydobywając pieniądze od swoich pełnomocników.

Odwiedziny fabryki stanowiły ważną epokę w życiu panny Izabeli. Z religijną czcią czytywała ona poezję swego dalekiego kuzyna, Zygmunta¹³², i zdawało się jej, że dziś znalazła ilustrację do *Nie-Boskiej komedii*. Odtąd często marzyła o zmroku, że na górze kąpiącej się w słońcu, skąd zjeżdżał jej powóz do fabryki, stoją Okopy Św. Trójcy¹³³, a w tej dolinie zasnutej dymami i parą było obozowisko zbuntowanych demokratów, gotowych lada chwila ruszyć do szturmów i zburzyć jej piękny świat.

Teraz dopiero zrozumiała, jak gorąco kocha tę swoją duchową ojczyznę, gdzie kryształowe pajaki zastępują słońce, dywany — ziemię, posągi i kolumny — drzewa. Tę drugą ojczyznę, która ogarnia arystokrację wszystkich narodów, wykwintność wszystkich czasów i najpiękniejsze zdobycze cywilizacji.

I to wszystko miałyby runąć, umrzeć albo rozpierzchnąć się!... Rycerska młodzież, która śpiewa z takim uczuciem, tańczy z wdziękiem, pojedynkuje się z uśmiechem albo skacze na środku jeziora w wodę za zgubionym kwiatkiem?... Mają zginąć te ukochane przyjaciółki, które okrywały ją tyłoma pieściznami albo siedząc u jej nóg opowiadały jej tyle drobnych tajemnic, albo oddalone od niej pisywały takie długie, bardzo długie listy, w których tkliwe uczucia mieszały się z nader wątpliwą ortografią?

A ta dobra służba, która ze swymi panami postępuje tak, jakby zaprzysięgała im dogonną miłość, wierność i posłuszeństwo? A te modystki, które zawsze witają ją z uśmiechem i tak pamiętają o najdrobniejszym szczególe jej toalety, tak dokładnie wiedzą o jej triumfach? A te piękne konie, którym jaskółka mogłaby zazdrościć lotu, a te psy mądre i przywiązane jak ludzie, a te ogrody, gdzie ręka ludzka powznosiła pagórki, wylewała strumienie, modelowała drzewa?... I to wszystko miałyby kiedyś zniknąć?...

Od tych rozmyślań przybył pannie Izabeli na twarz nowy wyraz — łagodnego smutku, który ją robił jeszcze piękniejszą. Mówiono, że już zupełnie dojrzała.

Rozumiejąc, że wielki świat jest wyższym światem, panna Izabela dowiedziała się powoli, że do tych wyżyn wzbicie się można i stale na nich przebywać tylko za pomocą dwóch skrzydeł: urodzenia i majątku. Urodzenie zaś i majątek są przywiązane do pewnych wybranych rodzin, jak kwiat i owoc pomarańczy do pomarańczowego drzewa. Bardzo też jest możliwym, że dobry Bóg widząc dwie dusze z pięknymi nazwiskami, połączone węzłem sakramentu, pomnaża ich dochody i zsyła im na wychowanie aniołka, który w dalszym ciągu podtrzymuje sławę rodów swoimi cnotami, dobrym ułożeniem i pięknnością. Stąd wynika obowiązek oględnego zawierania małżeństw, na czym najlepiej znają się stare damy i sędziwi panowie. Wszystko znaczy trafny dobór nazwisk i majątków. Miłość bowiem, nie ta szalona, o jakiej marzą poeci, ale prawdziwie chrześcijańska, zjawia się dopiero po sakramencie i najzupełniej wystarcza, ażeby żona umiała pięknie prezentować się w domu, a mąż z powagą asystować jej w świecie.

Tak było dawniej i było dobrze, według zgodnej opinii wszystkich matron. Dziś zapomniano o tym i jest źle: mnożą się mezalianse i upadają wielkie rodziny.

„I nie ma szczęścia w małżeństwach” — dodawała po cichu panna Izabela, której młode mężatki opowiadały niejeden sekret domowy.

Dzięki nawet tym opowiadaniom nabrała dużego wstrętu do małżeństwa i lekkiej wzgardy dla mężczyzn.

Rewolucja

Kobieta, Pozycja społeczna

Ojczyzna

Rewolucja, Ojczyzna

Sługa

Obraz świata, Pozycja społeczna, Rodzina, Szlachcic

Małżeństwo

¹³²Zygmunt — mowa o Zygmuncie Krasieńskim.

¹³³Okopy Św. Trójcy — dawna warownia przy ujściu Zbrucza do Dniestru, pod Kamieńcem Podolskim. W *Nie-Boskiej komedii* (1835) Krasieński przedstawił Okopy Św. Trójcy jako ostatnią twierdzę, gdzie broni się arystokracja.

Mąż w szlafroku, który ziewa przy żonie, całuje ją mając pełne usta dymu z cygar, często odzywa się: „A dajże mi spokój”, albo po prostu: „Głupia jesteś!...” — ten mąż, który robi hałasy w domu za nowy kapelusz, a za domem wydaje pieniądze na ekwipaże dla aktorek, to wcale nieciekawe stworzenie. Co najgorsze, że każdy z nich przed ślubem był gorącym wielbicielem, mizerniał nie widząc długo swej pani, rumienił się, kiedy ją spotkał, a nawet niejeden obiecywał zastrzelić się z miłości.

Toteż mając lat osiemnaście, panna Izabela tyraniowała mężczyzn chłodem. Kiedy Wiktor Emanuel raz pocałował ją w rękę, uprosiła ojca, że tego samego dnia wyjechali z Rzymu. W Paryżu oświadczył się jej pewien bogaty hrabia francuski; odpowiedziała mu, że jest Polką i za cudzoziemca nie wyjdzie. Podolskiego magnata odepchnęła zdaniem, że odda swoją rękę tylko temu, kogo pokocha, a na co się jeszcze nie zanoszą, a oświadczyli ją jakiegoś amerykańskiego milionera zbyła wybuchem śmiechu.

Takie postępowanie na kilka lat wytworzyło dokoła panny pustkę. Podziwiano ją i wielbiono, ale z daleka; nikt bowiem nie chciał narażać się na szyderczą odmowę.

Po przejściu pierwszego niesmaku panna Izabela zrozumiała, że małżeństwo trzeba przyjąć takim, jakie jest. Była już zdecydowana wyjść za mąż, pod tym wszakże warunkiem, aby przyszedł towarzysz — podobał się jej, miał piękne nazwisko i odpowiedni majątek. Rzeczywiście, trafiali się jej ludzie piękni, majątni i utytułowani; na nieszczęście jednak, żaden nie łączył w sobie wszystkich trzech warunków, więc — znowu upłynęło kilka lat.

Nagle rozeszły się wieści o złym stanie interesów pana Tomasza i — z całego legionu konkurentów — zostało pannie Izabeli tylko dwu poważnych: pewien baron i pewien marszałek¹³⁴, bogaci, ale starzy.

Teraz spostrzegła panna Izabela, że w wielkim świecie usuwa jej się grunt pod nogami, więc zdecydowała się obniżyć skalę wymagań. Ale że baron i marszałek pomimo swoich majątków budzili w niej niepokonaną odrazę, więc odkładała stanowczą decyzję z dnia na dzień. Tymczasem pan Tomasz zerwał z towarzystwem. Marszałek nie mogąc się doczekać odpowiedzi wyjechał na wieś, strapiiony baron za granicę i — panna Izabela pozostała kompletnie samą. Wprawdzie wiedziała, że każdy z nich wróci na pierwsze zawołanie, ale — którego tu wybrać?... jak przytłumić wstręt?... Nade wszystko zaś, czy podobna robić z siebie taką ofiarę mając niejaką pewność, że kiedyś odzyska majątek, i wiedząc, że wówczas znowu będzie mogła wybierać. Tym razem już wybierze, poznawszy, jak ciężko jej żyć poza towarzystwem salonów...

Jedną rzecz w wysokim stopniu ułatwiała jej wyjście za mąż dla stanowiska. Oto panna Izabela nigdy nie była zakochaną. Przyczyniał się do tego jej chłodny temperament, wiara, że małżeństwo obejdzie się bez poetycznych dodatków, nareszcie miłość idealna, najdziwniejsza, o jakiej słyszano. Raz zobaczyła w pewnej galerii rzeźb posąg Apollina¹³⁵, który na niej zrobił tak silne wrażenie, że kupiła piękną jego kopię i ustawiła w swoim gabinecie. Przypatrywała mu się całymi godzinami, myślała o nim i kto wie, ile pocałunków ogrzało ręce i nogi marmurowego bóstwa?... I stał się cud: pieszczony przez kochającą kobietę głaz ożył. A kiedy pewnej nocy zapłakana usnęła, nieśmiertelny zstąpił ze swego piedestału i przyszedł do niej w laurowym wieńcu na głowie, jaśniejący mistycznym¹³⁶ blaskiem.

Siadł na krawędzi jej łóżka, długo patrzył na nią oczyma, z których przeglądała wieczność, a potem objął ją w potężnym uścisku i pocałunkami białych ust ocierał lzy i chłodził jej gorącą karkę.

Odtąd nawiedzał ją coraz częściej i omdlewającej w jego objęciach szeptał on, bóg światła, tajemnice nieba i ziemi, jakich dotychczas nie wypowiedziano w śmiertelnym języku. A przez miłość dla niej sprawił jeszcze większy cud, gdyż w swym boskim obliczu kolejno ukazywał jej upiękzone rysy tych ludzi, którzy kiedykolwiek zrobili na niej wrażenie.

Raz był podobnym do odmłodzonego generała-bohatera, który wygrał bitwę i z wyżyn swego siodła patrzył na śmierć kilku tysięcy walecznych. Drugi raz przypominał twarz

¹³⁴*marszałek* — tu przedstawiciel szlachty z całej guberni prowadzący zarazem księgi rodowodowe szlachty.

¹³⁵*posąg Apollina* — Apollo: w greckiej mitologii starożytny bóg słońca i sztuk pięknych, zwykle przedstawiany w sztuce jako idealnie piękny młodzieniec.

¹³⁶*mistyczny* — tu w znaczeniu: tajemniczy, nadprzyrodzony.

najslawniejszego tenora, któremu kobiety rzucały kwiaty pod nogi, a mężczyźni wyprzęgali konie z powozu. Inny raz był wesołym i pięknym księciem krwi jednego z najstarszych domów panujących; inny raz dzielnym strażakiem, który za wydobycie trzech osób z płomieni na piątym piętrze dostał legię honorową¹³⁷; inny raz był wielkim rysownikiem, który przytłaczał świat bogactwem swojej fantazji, a inny raz weneckim gondolierem albo cyrkowym atletą nadzwyczajnej urody i siły.

Każdy z tych ludzi przez pewien czas zaprzętał tajemne myśli panny Izabeli, każdemu poświęcała najcichsze westchnienia rozumiejąc, że dla tych czy innych powodów kochać go nie może i — każdy z nich za sprawą bóstwa ukazywał się w jego postaci, w półrzućwistych marzeniach. A od tych widzeń oczy panny Izabeli przybrały nowy wyraz — jakiegoś nadziemskiego zamyślenia. Niekiedy spoglądały one gdzieś ponad ludzi i poza świat; a gdy jeszcze jej popielate włosy na czole ułożyły się tak dziwnie, jakby je rozwiął tajemniczy podmuch, patrzącym zdawało się, że widzą anioła albo świętą.

Przed rokiem w jednej z takich chwil zobaczył pannę Izabelę Wokulski. Odtąd serce jego nie zaznało spokoju.

Prawie w tym samym czasie pan Tomasz zerwał z towarzystwem i na znak swoich rewolucyjnych usposobień zapisał się do Resursy Kupieckiej. Tam z pomiatanymi niegdyś garbarzami, szczotkarzami i dystylatorami¹³⁸ grywał w wista, głosząc na prawo i na lewo, że arystokracja nie powinna zasklepić się w wyłączności, ale przodować oświeconemu mieszczaństwu, a przez nie narodowi. Za co wywzajemniając się dumni dziś garbarze, szczotkarze i dystylatorzy raczyli przyznawać, że pan Tomasz jest jedynym arystokratą, który pojął swe obowiązki względem kraju i spełnia je sumiennie. Mogli byli dodać: spełnia co dzień od dziewiątej wieczór do północy.

I kiedy w ten sposób pan Tomasz dźwigał jarzmo stanowiska, panna Izabela trawiła się w samotności i ciszy swego pięknego lokalu. Nieraz Mikołaj już twardo drzemał w fotelu, panna Florentyna, zatkawszy sobie uszy wata, na dobre spała, a do pokoju panny Izabeli sen jeszcze nie zapukał odpędzany przez wspomnienia. Wtedy zrywała się z łóżka i odziana w lekki szlafroczek całymi godzinami chodziła po salonie, gdzie dywan głużył jej kroki i tylko tyle było światła, ile go rzucały dwie skąpe latarnie uliczne.

Chodziła, a w ogromnym pokoju tłoczyły się jej smutne myśli i widziadła osób, które tu kiedyś bywały. Tu drzemie stara księżna; tu dwie hrabiny informują się u prałata¹³⁹, czy można dziecko ochrzcić wodą różaną¹⁴⁰? Tu rój młodzieży zwraca ku niej tęskne spojrzenia albo udanym chłodem usiłuje podniecić w niej ciekawość; a tam girlanda panien, które pieścą ją wzrokiem, podziwiają albo jej zazdroszczą. Pełno światła, szelestów, rozmów, których większa część, jak motyle około kwiatów, krążyły około jej piękności. Gdzie ona się znalazła, tam obok niej wszystko bladło; inne kobiety były jej tłem, a mężczyźni niewolnikami.

I to wszystko przeszło!... I dziś w tym salonie — chłodno, ciemno i pusto... Jest tylko ona i niewidzialny pająk smutku, który zawsze zasnuwa szarą siecią te miejsca, gdzie byliśmy szczęśliwi i skąd szczęście uciekło. Już uciekło!... Panna Izabela wyłamywała sobie palce, ażeby pohamować się od łez, których wstyd jej było nawet w pustce i w nocy.

Wszyscy ją opuścili, z wyjątkiem — hrabiny Karolowej, która, kiedy wezbrał jej zły humor, przychodziła tu i szeroko zasiadłszy na kanapie, prawila wśród westchnień:

— Tak, droga Belciu, musisz przyznać, że popełniłaś kilka błędów nie do darowania. Nie mówię o Wiktorze Emanuelu, bo tamto był przelotny kaprys króla trochę liberalnego¹⁴¹ i zresztą bardzo zadłużonego. Na takie stosunki trzeba mieć więcej — nie powiem: taktu, ale — doświadczenia — ciągnęła hrabina, skromnie spuszczać powieki. — Ale wypuścić czy — jeśli chcesz — odrzucić hrabiego Saint-Auguste, to już daruj!... Człowiek młody, majątny, bardzo dobrze, i jeszcze z taką karierą!... Teraz właśnie przewodni-

Anioł, Kobieta, Święty

¹³⁷ *legia honorowa* — najwyższy order francuski ustanowiony przez Napoleona w 1802 r.

¹³⁸ *dystylator* — tu: fabrykant wódek (dziś: destylator).

¹³⁹ *prałat* — wyższy duchowny w Kościele katolickim.

¹⁴⁰ *woda różana* — rozczyń wodny olejku różanego.

¹⁴¹ *liberalny* — tu: w znaczeniu zwolennika swobody obyczajów.

czy jednej deputacji¹⁴² do Ojca świętego i zapewne dostanie specjalne błogosławieństwo dla całej rodziny, no a hrabia Chambord¹⁴³ nazywa go *cher cousin*¹⁴⁴... Ach, Boże!

— Myślę, ciociu, że martwić się tym już za późno — wtrąciła panna Izabela.

— Alboż ja chcę cię martwić, biedne dziecko! I bez tego czekają cię ciosy, które ukoić może tylko głęboka wiara. Zapewne wiesz, że ojciec stracił wszystko, nawet resztę twego posagu?

— Cóż ja na to poradzę?

— A jednak ty tylko możesz radzić i powinnaś — mówiła hrabina z naciskiem. — Marszałek nie jest wprawdzie Adonise¹⁴⁵, no — ale... Gdyby nasze obowiązki były do spełnienia łatwe, nie istniałaby zasługa. Zresztą, mój Boże, któż nam broni mieć na dnie duszy jakiś ideał, o którym myśl ośladza najcięższe chwile? Na koniec, mogę cię zapewnić, że położenie pięknej kobiety, mającej starego męża, nie należy do najgorszych. Wszyscy interesują się nią, mówią o niej, składają hołdy jej poświęceniu, a znowu stary mąż jest mniej wymagający od męża w średnim wieku...

— Ach, ciociu...

— Tylko bez egzaltacji, Belciu! Nie masz lat szesnastu i na życie musisz patrzeć serio. Nie można przecie dla jakiejś idiosynkrazji¹⁴⁶ poświęcić bytu ojca, a choćby Flory i waszej służby. Wreszcie pomyśl, ile ty przy twym szlachetnym serduszką mogłabyś zrobić dobrego rozporządzając znacznym majątkiem.

— Ależ, ciociu, marszałek jest obrzydliwy. Jemu nie żony trzeba, ale niańki, która by mu ocierała usta.

— Nie upieram się przy marszałku, więc baron...

— Baron jeszcze starszy, farbuje się, różuje i ma jakieś plamy na rękach.

Hrabina podniosła się z kanapy.

— Nie nalegam, moja droga, nie jestem swatką, to należy do pani Meliton. Zwracam tylko uwagę, że nad ojcem wisi katastrofa.

— Mamy przecie kamienicę.

— Którą sprzedają najdalej po św. Janie, tak że nawet twoja suma spadnie.

— Jak to — dom, który kosztował sto tysięcy, sprzedadzą za sześćdziesiąt?...

— Bo on nie wart więcej, bo ojciec za dużo wydał. Wiem to od budowniczego, który oglądał go z polecenia Krzeszowskiej.

— Więc w ostateczności mamy serwis... srebra... — wybuchnęła panna Izabela zalamując rękę.

Hrabina ucałowała ją kilkakrotnie.

— Drogie, kochane dziecko — mówiła łkając — że też właśnie ja muszę tak ranić ci serce!... Słuchaj więc... Ojciec ma jeszcze długi wekslowe, jakieś parę tysięcy rubli. Otóż te długi... uważasz... te długi ktoś skupił... kilka dni temu, w końcu marca. Domyślamy się, że to zrobiła Krzeszowska...

— Cóż za nikczemność! — szepnęła panna Izabela. — Ale mniejsza o nią... Na pokrycie paru tysięcy rubli wystarczy mój serwis i srebra.

— Są one warte bez porównania więcej, ale — kto dziś kupi rzeczy tak kosztowne?

— W każdym razie spróbuję — mówiła rozgorączkowana panna Izabela. — Poproszę panią Meliton, ona mi to ułatwi...

— Zastanów się jednak, czy nie szkoda tak pięknych pamiątek.

Panna Izabela roześmiała się.

— Ach, ciociu... Więc mam wahać się pomiędzy sprzedaniem siebie i serwisu?... Bo na to, ażeby zabierano nam meble, nigdy nie pozwolę... Ach, ta Krzeszowska... to wykupywanie weksli... co za ohyda!

— No, może to jeszcze nie ona.

— Więc chyba znalazł się jakiś nowy nieprzyjaciół, gorszy od niej.

¹⁴²deputacja — poselstwo.

¹⁴³hrabia Chambord (1820–1883) — potomek rodu Bourbonów, wnuk Karola X, pretendent do tronu francuskiego, znany pod imieniem Henryka V.

¹⁴⁴*cher cousin* (fr.) — drogi kuzynie.

¹⁴⁵Adonis — w mit. gr. piękny młodzieniec, kochanek bogini Afrodyty.

¹⁴⁶idiosynkrazja — wstręt do pewnych przedmiotów, pokarmów, osób.

— Może to ciotka Honorata — uspokajała ją hrabina — czy ja wiem? Może chce dopomóc Tomaszowi, ale zawieszając nad nim groźbę. Lecz bądź zdrowa, moje kochane dziecko, *adieu*¹⁴⁷...

Na tym skończyła się rozmowa w języku polskim, gęsto ozdobionym francuszczyzną, co robiło go podobnym do ludzkiej twarzy okrytej wysypką.

Słowo

VI. W JAKI SPOSÓB NOWI LUDZIE UKAZUJĄ SIĘ NAD STARYMI HORYZONTAMI

Początek kwietnia, jeden z tych miesięcy, które służą za przejście między zimą i wiosną. Śnieg już zniknął, ale nie ukazała się jeszcze zieloność; drzewa są czarne, trawniki szare i niebo szare: wygląda jak marmur poprzecinany srebrnymi i złotawymi nitkami.

Wiosna, Zima

Jest około piątej po południu. Panna Izabela siedzi w swoim gabinecie i czyta najnowszą powieść Zoli¹⁴⁸: *Une page d'amour*¹⁴⁹. Czyta bez uwagi, co chwilę podnosi oczy, spogląda w okno i półświadomie formułuje sąd, że gałązki drzew są czarne, a niebo szare. Znowu czyta, spogląda po gabinecie i półświadomie myśli, że jej meble kryte błękitną materią i jej niebieski szlafroczek mają jakiś szary odcień i że festony białej firanki są podobne do wielkich sopli śniegu. Potem zapomina, o czym myślała w tej chwili, i pyta się w duchu: „O czym ja myślałam?... Ach, prawda, o kweście wielkotypodniowej...” I nagle czuje ochotę przejechania się karetą, a jednocześnie czuje żal do nieba, że jest takie szare, że złotawe żyłki na nim są tak wąskie... Dręczy ją jakiś cichy niepokój, jakieś oczekiwanie, ale nie jest pewna, na co czeka: czy na to, ażeby chmury się rozdarły, czy na to, ażeby wszedł lokaj i wręczył jej list zapraszający na wielkotypodniową kwestę? Już taki krótki czas, a jej nie proszą.

Książka

Znowu czyta powieść, ten rozdział, kiedy podczas gwiazdzistej nocy p. Rambaud naprawiał zepsutą lalkę małej Joasi. Helena tonęła we łzach bezprzedmiotowego żalu, a opat¹⁵⁰ Jouve radził, ażeby wyszła za męża. Panna Izabela odczuwa ten żal i kto wie, czy gdyby w tej chwili ukazały się na niebie gwiazdy, zamiast chmur, czy nie rozplakałaby się tak jak Helena. Wszak to już ledwo parę dni do kwesty, a jej jeszcze nie proszą. Że zaproszą, o tym wie, ale dlaczego zwłóczy¹⁵¹?...

Książka

„Te kobiety, które zdają się tak gorąco szukać Boga, bywają niekiedy nieszczęśliwymi istotami, których serce wzburzyła namiętność. Idą do kościoła, ażeby tam wielbić mężczyznę” — mówił opat Jouve.

„Pocziwy opat, jak on chciał uspokoić tę biedną Helenę!” — myśli panna Izabela i nagle odrzuca książkę. Opat Jouve przypomniał jej, że już od dwu miesięcy haftuje pas do kościelnego dzwonka i że go jeszcze nie skończyła. Podnosi się z fotelu i przysuwa do okna stolik z tamburkiem¹⁵², z pudełkiem różnokolorowych jedwabów z kolorowym deseniem; rozwija pas i zaczyna gorliwie wyszywać na nim róże i krzyże. Pod wpływem pracy w sercu budzi się otucha. Kto tak, jak ona, służy Kościołowi, nie może być zapomnianym przy wielkotypodniowej kweście. Wybiera jedwabie, nawłóczy¹⁵³ igły i szyje wciąż. Oko jej przebiega od wzoru do haftu, ręka spada z góry na dół, wznosi się z dołu do góry, ale w myśli zaczyna rodzić się pytanie dotyczące kostiumu na groby i toalety na Wielkanoc. Pytanie to wkrótce zapełnia jej całą uwagę, zasłania oczy i zatrzymuje rękę. Suknia, kapelusz, okrywka i parasolka, wszystko musi być nowe, a tu tak niewiele czasu i nie tylko nic nie zamówione, ale nawet nie wybrane!...

Książka

Praca

Tu przypomina sobie, że jej serwis i srebra już znajdują się u jubilera, że już trafia się jakiś nabywca i że dziś lub jutro będą sprzedane. Panna Izabela czuje ścisnięcie serca za serwisem i srebrami, lecz doznaje niejakej ulgi na myśl o kweście i nowej toalecie. Może mieć bardzo piękną, ale jaką?...

¹⁴⁷*adieu* (fr.) — do widzenia.

¹⁴⁸Zola Emil (1840–1902) — znakomity powieściopisarz francuski, twórca naturalizmu w literaturze.

¹⁴⁹„*Une page d'amour*” (fr.) — *Kartka miłości*, powieść Zoli, wówczas nowość wydawnicza. W dalszym ciągu Prus wspomina o bohaterce powieści Helenie Grandjean, w której kocha się pan Rambaud.

¹⁵⁰*opat* — tytuł przełożonego w niektórych klasztorach.

¹⁵¹*zwłóczyć* — dziś: zwlekać; ociągać się.

¹⁵²*tamburek* — bębenek, na którym naciąga się materiał do haftowania.

¹⁵³*nawłóczyć* — dziś: nawlekać.

Odsuwa tamburek i ze stolika, na którym leżą Szekspir, Dante, album europejskich znakomitości tudzież kilka pism, bierze: „Le Moniteur de la Mode”¹⁵⁴ i zaczyna go przeglądać z największą uwagą. Oto jest toaleta obiadowa; oto ubiory wiosenne dla panienek, panien, mężatek, młodych mężatek i ich matek; oto suknie wizytowe, ceremonialne, spacerowe; sześć nowych form kapeluszy, z dziesięć materiałów, kilkadziesiąt barw... Co tu wybrać, o Boże?... Niepodobna wybierać bez naradzenia się z panną Florentyną i z magazynierką...

Panna Izabela z niechęcią odrzuca monitora mody i siada na szezlongu¹⁵⁵ w postaci półleżącej. Ręce splecione jak do modlitwy opiera na poręczy, głowę na rękach i patrzy w niebo rozmarzonymi oczyma. Kwesta wielkotygodniowa, nowa toaleta, chmury na niebie, wszystko miesza się w jej wyobraźni na tle żalu za serwisem i lekkiego uczucia wstydu, że go sprzedaje.

„Ach, wszystko jedno!” — mówi sobie i znowu pragnie, ażeby chmury rozdarły się choć na chwilę. Ale chmury zgęszczają się, a w jej sercu wzmaga się żal, wstyd i niepokój. Spojrzenie jej pada na stolik stojący tuż obok szezlonga i na książkę do nabożeństwa oprawną w kość słoniową. Panna Izabela bierze do rąk książkę i powoli, kartka za kartką, wyszukuje w niej modlitwy: *Acte de resignation*¹⁵⁶, a znalazłszy, zaczyna czytać:

„*Que votre nom soit beni à jamais, bien qui avez voulu m'éprouver par cette peine.*”¹⁵⁷. W miarę jak czyta, szare niebo wyjaśnia się, a przy ostatnich słowach... „*et d'attendre en paix votre divin secours.*”¹⁵⁸, chmury pękają, ukazuje się kawałek czystego błękitu, gabinet panny Izabeli napelnia się światłem, a jej dusza spokojem. Teraz jest pewna, że modły jej zostały wysłuchane, że będzie miała najpiękniejszą toaletę i najlepszy kościół do kwesty.

W tej chwili delikatnie otwierają się drzwi gabinetu; staje w nich panna Florentyna, wysoka, czarno ubrana, nieśmiała, trzyma w dwu palcach list i mówi cicho:

— Od pani Karolowej.

— Ach, w sprawie kwesty — odpowiada panna Izabela z czarującym uśmiechem. — Cały dzień nie zaglądałaś do mnie, Florciu.

— Nie chcę ci przeszkadzać.

— W nudzeniu się?... — pyta panna Izabela. — Kto wie, czy nie byłoby nam weselej nudzić się w jednym pokoju.

— List... — mówi nieśmiała osoba w czarnej sukni, wyciągając rękę do Izabeli.

— Znam jego treść — przerywa panna Izabela. — Posiedź trochę u mnie i jeżeli nie zrobi ci subiekcji¹⁵⁹, przeczytaj ten list.

Panna Florentyna siada nieśmiało na fotelu, delikatnie bierze z biurka nożyk i z największą ostrożnością przecina kopertę. Kładzie na biurku nożyk, potem kopertę, rozwija papier i cichym, melodyjnym głosem czyta list pisany po francusku:

„Droga Belu! wybac, że odzywam się w sprawie, którą tylko ty i twój ojciec macie prawo rozstrzygać. Wiem, drogie dziecię, że pozbywasz się tego serwisu i sreber, sama mi zresztą o tym mówiłaś. Wiem też, że znalazł się nabywca, który ofiarowuje wam pięć tysięcy rubli, moim zdaniem za mało, choć w tych czasach trudno spodziewać się więcej. Po rozmowie jednak, jaką miałam w tej materii z Krzeszowską, zaczynam lękać się, ażeby piękne te pamiątki nie przeszły w niewłaściwe ręce.

Chciałabym temu zapobiec, proponuję ci więc, jeżeli zgodzisz się, trzy tysiące rubli pożyczki na zastaw wspomnianego serwisu i sreber. Sądzę, że dziś wygodniej będzie im u mnie, gdy ojciec twój znajduje się w takich kłopotach. Odebrać je będziesz mogła, kiedy zechcesz, a w razie mojej śmierci nawet bez zwracania pożyczki.

Nie narzucam się, tylko proponuję. Rozważ, jak ci będzie wygodniej, a nade wszystko pomyśl o następstwach.

¹⁵⁴ „Le Moniteur de la Mode” (fr.) — monitor mody: tytuł żurnala mód paryskich (monitor: doradca, nauczyciel).

¹⁵⁵ szezlong — rodzaj wyściełanej sofy.

¹⁵⁶ *Acte de resignation* (fr.) — akt poddania się woli bożej.

¹⁵⁷ *Que votre nom soit beni à jamais...* (fr.) — „Niech imię Twoje będzie błogosławione na wieki, mimo że chciałeś mnie doświadczyć przez to cierpienie.”

¹⁵⁸ *...et d'attendre en paix votre divin secours...* (fr.) — „...i oczekiwać w pokoju Twój boskiej pomocy.”

¹⁵⁹ subiekcja — kłopot.

Modlitwa

Nuda

O ile cię znam, byłabyś boleśnie dotknięta usłyszawszy kiedyś, że nasze rodzinne pamiątki zdobią stół jakiego bankiera albo należą do wyprawy jego córki.

Zasylam ci tysiące pocałunków.

Joanna

P. S. Wyobraź sobie, co za szczęście spotkało moją ochronkę. Będąc wczoraj w sklepie tego sławnego Wokulskiego przymówiłam się o mały datek dla sierot. Liczyłam na jakie kilkanaście rubli, a on, czy uwierzysz, ofiarował mi tysiąc, wyraźnie: tysiąc rubli, i jeszcze powiedział, że na moje ręce nie śmiałyby złożyć mniejszej sumy. Kilku takich Wokulskich, a czuję, że na starość zostałabym demokratką.”

Panna Florentyna skończywszy list nie śmiała oderwać od niego oczu. Wreszcie odważyła się i spojrzała: panna Izabela siedziała na szezlongu błada, z zaciśniętymi rękami.

— Cóż ty na to, Florciu? — spytała po chwili.

— Myślę — odparła cicho zapytana — że pani Karolowa na początku listu najtrafniej osądziła swoje stanowisko w tej sprawie.

— Co za upokorzenie! — szepnęła panna Izabela, nerwowo bijąc ręką w szezlong.

— Upokorzeniem jest proponować komuś trzy tysiące rubli na zastaw sreber, i to wówczas, gdy obcy ofiarowują pięć tysięcy... Innego nie widzę.

— Jak ona nas traktuje... My chyba naprawdę jesteśmy zrujnowani...

— Ależ, Belciu!... — przerwała ożywiając się panna Florentyna. — Właśnie ten cierpki list dowodzi, że nie jesteście zrujnowani. Ciotka lubi być cierpką, ale umie oszczędzać nieszczęście. Gdyby wam groziła ruina, znaleźlibyście w niej tkliwą i delikatną pocieszycielkę.

— Dziękuję za to.

— I nie potrzebujesz obawiać się tego. Jutro wpłynie nam pięć tysięcy rubli, za które można prowadzić dom przez pół roku... choćby przez kwartał. Za parę miesięcy...

— Zlicytują nam kamienicę...

— Prosta forma, i nic więcej. Owszem, możecie zyskać, podczas gdy dzisiaj kamienica jest tylko ciężarem. No, a po ciotce Hortensji dostaniesz ze sto tysięcy rubli. Zresztą — dodała po chwili panna Florentyna podnosząc brwi — ja sama nie jestem pewna, czy i ojciec nie ma jeszcze majątku. Wszyscy są tego zdania...

Panna Izabela wychyliła się z szezlonga i ujęła rękę panny Florentyny.

— Florciu — rzekła zniżając głos — komu ty to mówisz?... Więc naprawdę uważasz mnie tylko za pannę na wydaniu, która nic nie widzi i niczego nie pojmuje?... Myślisz, że nie wiem — domówiła jeszcze ciszej — że już miesiąc, jak pieniądze na utrzymanie domu pożyczasz od Mikołaja...

— Może właśnie ojciec chce tego...

— Czy i tego chce, ażebyś mu co rano podkładała kilka rubli do pugilaresu?

Panna Florentyna spojrzała jej w oczy i poruszyła głową.

— Za dużo wiesz — odparła — ale nie wszystko. Już od dwu tygodni, może od dziesięciu dni widzę, że ojciec miewa po kilkanaście rubli...

— Więc zaciąga długi...

— Nie, ojciec nigdy nie zaciąga długów w mieście. Każdy wierzyciel przychodzi z pożyczką do domu i w gabinecie ojca dostaje kwit albo procent. Nie znasz go pod tym względem.

— Więc skądże teraz ma pieniądze?

— Nie wiem. Widzę, że ma, i słyszę, że zawsze je miał.

— Po cóż w takim razie zezwała na sprzedaż sreber? — pytała natarczywie panna Izabela.

— Może chce zirytować rodzinę.

— A kto wykupił jego weksle?

Panna Florentyna zrobiła rękoma ruch oznaczający rezygnację.

— Nie wykupiła ich Krzeszowska — rzekła — to wiem na pewno. — Więc — albo ciotka Hortensja, albo...

— Albo?...

— Albo sam ojciec. Czy nie wiesz, ile rzeczy robi ojciec, ażeby zaniepokoić rodzinę, a potem śmiać się...

— Za cóż chciałby mnie, nas niepokoić?

Pozycja społeczna

Córka, Ojciec, Rodzina

— Myśli, że ty jesteś spokojna. Córka powinna nieograniczenie ufać ojcu.

— Ach, tak!... — szepnęła panna Izabela zamyślając się.

Czarno ubrana kuzynka z wolna podniosła się z fotelu i cicho wyszła.

Panna Izabela znowu poczęła patrzeć na swój pokój, który wydał się jej popielatym, na czarne gałązki, które chwiały się za oknem, na parę wróbli świergoczących może o budowie gniazda, na niebo, które stało się jednolicie szarym, bez żadnej jaśniejszej prążki. W jej pamięci znowu odżyła sprawa kwesty i nowej toalety, ale obie wydały się jej tak małymi, tak prawie śmiesznymi, że myśląc o nich nieznacznie wzruszyła ramionami.

Dręczyły ją inne pytania: czyby nie oddać serwisu hrabinie Karolowej — i — skąd ojciec ma pieniądze? Jeżeli miał je dawniej, dlaczego pozwolił na zaciąganie długów u Mikołaja?... A jeżeli nie miał, z jakiego źródła czerpie je dziś?... Jeżeli ona odda serwis i srebra ciotce, może stracić okazję do korzystnego pozbycia się ich, a jeżeli sprzeda za pięć tysięcy, pamiątki te naprawdę mogą dostać się w niewłaściwe ręce, jak pisała hrabina.

Nagle przerwał się ten bieg myśli: bystre jej ucho usłyszało w dalszych pokojach szmer. Było to męskie stąpanie, miarowe, spokojne. W salonie stłumił je nieco dywan, w pokoju jadalnym wzmocniło się, w jej sypialni przycichło, jakby ktoś szedł na palcach.

— Proszę, papo — odezwała się panna Izabela usłyszawszy pukanie do swych drzwi.

Wszedł pan Tomasz. Ona podniosła się z szeslonga, ale ojciec nie pozwolił na to. Objął ją w ramiona, ucałował w głowę i zanim usiadł przy niej, rzucił okiem w duże lustro na ścianie. Zobaczył tam swoją piękną twarz, siwe wąsy, swój ciemny żakiet¹⁶⁰ bez zarzutu, gładkie spodnie, jakby dopiero co wyszły od krawca, i uznał, że wszystko jest dobrze.

— Słyszę — rzekł do córki uśmiechając się — że panienka odbiera korespondencje, które jej psują humor.

— Ach, papo, gdybyś wiedział, jakim tonem przemawia ciotka...

— Zapewne tonem osoby chorej na nerwy. Za to nie możesz mieć do niej żalu.

— Gdyby tylko żal. Ja boję się, że ona ma rację i że nasze srebra mogą naprawdę znaleźć się na jakim bankierskim stole.

Przytuliła głowę do ramienia ojca. Pan Tomasz spojrział niechcący w lusterko na stole i przyznał w duchu, że oboje w tej chwili tworzą bardzo piękną grupę. Szczególniej dobrze odbijała obawa rozlana na twarzy córki od jego spokoju. Uśmiechnął się.

— Bankierskie stoły!... — powtórzył. — Srebra naszych przodków bywały już na stołach Tatarów, Kozaków, zbuntowanych chłopów, i nie tylko nam to nie uchybiało, ale nawet przynosiło zaszczyt. Kto walczy, naraża się na straty.

— Tracili przez wojnę i na wojnie — wtrąciła panna Izabela.

— A dziś nie ma wojny?... Zmieniła się tylko broń: zamiast kosą albo jataganem¹⁶¹ walczą rublem. Joasia dobrze to rozumiała sprzedając nie serwis — ale rodzinny majątek, albo rozbierając na wybudowanie spichlerza ruiny zamku.

— Więc jesteśmy zwyciężeni!... — szepnęła panna Izabela.

— Nie, dziecko — odparł pan Tomasz prostując się. — My dopiero zaczniemy triumfować i bodaj czy nie tego boi się moja siostra i jej koteria¹⁶². Oni tak głęboko zasnęli, że razi ich każdy objaw żywotności, każdy mój śmielszy krok — dodał jakby do siebie.

— Twój, papo?

— Tak. Myśleli, że poproszę ich o pomoc. Sama Joasia chętnie zrobiłaby mnie swoim plenipotentem. Ja natomiast podziękowałam im za emeryturę i zbliżyłam się do mieszczaństwa. Zyskałam u tych ludzi powagę, która zaczyna trwożyć nasze sfery. Myśleli, że zejść na drugi plan, a widzą, że mogę wysunąć się na pierwszy.

— Ty, papo?

— Ja. Dotychczas milczałem nie mając odpowiednich wykonawców. Dziś znalazłem takiego, który zrozumiał moje idee, i zaczął działać.

— Któż to jest? — spytała panna Izabela, ze zdumieniem patrząc na ojca.

— Niejaki Wokulski, kupiec, żelazny człowiek. Przy jego pomocy zorganizuję nasze mieszczaństwo, stworzę towarzystwo do handlu ze Wschodem, tym sposobem dźwignę przemysł...

— Ty, papo?

¹⁶⁰żakiet — długa marynarka maska z zaokrąglonymi połami.

¹⁶¹jatagan — wschodnia broń sieczna pośrednia między nożem a szablą

¹⁶²koteria — grupa osób popierająca się wzajemnie, ze szkodą dla ogółu.

Męczyzna

Próżność, Lustro

Pozory, Próżność, Lustro

Wojna

Mieszczanin

— I wówczas zobaczymy, kto wysunie się naprzód, choćby przy możliwych wyborach do rady miejskiej¹⁶³...

Panna Izabela słuchała z szeroko otwartymi oczyma.

— Czy ten człowiek — szepnęła — o którym mówisz, papo, nie jest jakim aferzystą, awanturnikiem?...

— Nie znasz go więc? — spytał pan Tomasz. — On jednak jest jednym z naszych dostawców.

— Sklep znam, bardzo ładny — mówiła panna Izabela zamyślając się. — Jest tam stary subiekt, który wygląda trochę na dziwaka, ale nadzwyczajnie uprzejmy... Ach, zdaje mi się, że kilka dni temu poznałam i właściciela... Wygląda na gbura...

— Wokulski gbura?... — zdziwił się pan Tomasz. — Jest on wprawdzie trochę sztywny, ale bardzo grzeczny.

Panna Izabela wstrząsnęła głową.

— Niemiły człowiek — odpowiedziała z ożywieniem. — Teraz przypominam go sobie... Będąc we wtorek w sklepie zapytałam go o cenę wachlarza. Trzeba było widzieć, jak spojrzał na mnie!... Nie odpowiedział nic, tylko wyciągnął swoją ogromną czerwoną rękę do subiekta (nawet dość eleganckiego chłopca) i mruknął głosem, w którym czuć było gniew: panie Morawski czy Mraczewski (bo nie pamiętam), pani zapytuje o cenę wachlarza. A... nieciekawego znalazł papo współnika!... — śmiała się panna Izabela.

— Szalonej energii człowiek, żelazny człowiek — odparł pan Tomasz. — Oni tacy. Poznasz ich, bo myślę urządzić w domu parę zebrań. Wszyscy oryginalni, ale ten oryginalniejszy od innych.

— Papa tych panów chce przyjmować?...

— Muszę naradzać się z niektórymi. A co do naszych — dodał patrząc w oczy córce — zapewniam cię, że gdy usłyszą, kto u mnie bywa, ani jednego nie zabraknie w salonie.

W tej chwili weszła panna Florentyna zapraszając na obiad. Pan Tomasz podał rękę córce i przeszli we troje do jadalnego pokoju, gdzie już znajdowała się waza tudzież Mikołaj odziany we frak i wielki biały krawat.

— Śmieję się z Belci — rzekł pan Tomasz do kuzynki, która nalewała rosół z wazy. — Wyobraź sobie, Floro, że Wokulski zrobił na niej wrażenie gbura. Czy ty go znasz?

— Któż by dziś nie znał Wokulskiego — odpowiedziała panna Florentyna podając Mikołajowi talerz dla pana. — No, elegancki on nie jest, ale — robi wrażenie...

— Pnia z czerwonymi rękoma — wtrąciła ze śmiechem panna Izabela.

— On mi przypomina Trostiego, pamiętasz, Belu, tego pułkownika strzelców w Parryżu — odpowiedział Pan Tomasz.

— A mnie posąg triumfującego gladiatora¹⁶⁴ — melodyjnym głosem dodała panna Florentyna. — Pamiętasz Belu, we Florencji, tego z podniesionym mieczem? Twarz surowa, nawet dzika, ale piękna.

— A czerwone ręce?... — zapytała panna Izabela.

— Odmroził je na Syberii — wtrąciła panna Florentyna z akcentem.

— Cóż on tam robił?

— Pokutował za uniesienia młodości — rzekł pan Tomasz. — Można mu to przebaczyć.

— Ach, więc jest i bohaterem!...

— I milionerem — dodała panna Florentyna.

— I milionerem? — powtórzyła panna Izabela. — zaczynam wierzyć, że papo zrobił dobry wybór przyjmując go na współnika. Chociaż...

— Chociaż?... — spytał ojciec.

— Co powie świat na tę spółkę?

— Kto ma siłę w rękach, ma świat u nóg.

Właśnie Mikołaj obniósł połędwicę, gdy w przedpokoju zadzwoniono. Stary służący wyszedł i po chwili wrócił z listem na srebrnej, a może platerowanej tacy.

— Od pani hrabiny — rzekł.

¹⁶³przy możliwych wyborach do rady miejskiej — miasta w Królestwie, poza krótkim okresem rządów Wielopolskiego, nie posiadały samorządu.

¹⁶⁴gladiator — zapaśnik w starożytnym Rzymie, walczący na publicznych igrzyskach.

— Do ciebie, Belu — dodał pan Tomasz biorąc list do ręki. — Pozwolisz, że cię zastąpię w polknięciu tej nowej pigułki.

Otworzył list, zaczął go czytać i ze śmiechem podał pannie Izabeli.

— Oto — zawołał — cała Joasia jest w tym liście. Nerwy, zawsze nerwy!...

Panna Izabela odsunęła talerz i z niepokojem przebiegła papier oczyma. Lecz stopniowo twarz jej wypogodziła się.

— Słuchaj, Florciu — rzekła — bo to ciekawe.

„Droga Belu! — pisze ciotka. — Zapomnij, aniołku, o moim poprzednim liście. W rezultacie twój serwis nic mnie nie obchodzi i znajdziemy inny, gdy będziesz szła za mąż. Ale chodzi mi, ażebyś koniecznie kwestowała tylko ze mną, i właśnie o tym miałam zamiar pisać poprzednio, nie o serwisie. Biedne moje nerwy! jeżeli nie chcesz ich do reszty rozstroić, musisz zgodzić się na moją prośbę.

Grób w naszym kościele będzie cudowny. Mój pocziwy Wokulski daje fontannę, sztuczne ptaszki śpiewające, pozytywkę¹⁶⁵, która będzie grała same poważne kawałki, i mnóstwo dywanów. Hozer¹⁶⁶ dostarcza kwiatów, a amatorowie urządzają koncert na organ¹⁶⁷, skrzypce, wiolonczelę i głosy. Jestem zachwycona, ale gdyby mi wśród tych cudów zabrakło ciebie, rozchorowałabym się. A więc tak?... Ściskam cię i całuję po tysiąc razy, kochająca ciotka.

Joanna

Obyczaje

Postscriptum. Jutro jedziemy do magazynu zamówić dla ciebie kostium wiosenny. Umarłabym, gdybyś go nie przyjęła.”

Panna Izabela była rozpromieniona. List ten spełniał wszystkie jej nadzieje.

— Wokulski jest nieporównany! — rzekł śmiejąc się Pan Tomasz. — Szturmem zdobył Joasię, która nie tylko nie będzie mi wymawiała współnika, lecz nawet gotowa o niego walczyć ze mną.

Mikołaj podał kurczęta.

— Musi to być jednakże genialny człowiek — zauważyła panna Florentyna.

— Wokulski?... no, nie — mówił pan Tomasz. — Jest to człowiek szalonej energii, ale co się tyczy daru kombinowania, nie powiem, ażeby posiadał go w wysokim stopniu.

— Zdaje mi się, że składa tego dowody.

— Wszystko to są dowody tylko energii — odpowiedział pan Tomasz. — Dar kombinacji, genialny umysł poznaje się w innych rzeczach, choćby... w grze. Ja z nim dosyć często grywam w pikietę¹⁶⁸, gdzie koniecznie trzeba kombinować. Rezultat jest taki, że przegrałem osiem do dziesięciu rubli, a wygrałem około siedemdziesięciu, chociaż — nie mam pretensji do geniuszu! — dodał skromnie.

Pannie Izabeli wypadł z ręki widelec. Pobladła i chwyciwszy się za czoło szepnęła:

— A!... a!...

Ojciec i panna Florentyna zerwali się z krzeseł.

— Co ci jest Belu?... — spytał zatrwożony pan Tomasz.

— Nic — odpowiedziała wstając od stołu — migrena. Od godziny czułam, że będę ją mieć... To nic, papo...

Pocałowała ojca w rękę i wyszła do swego pokoju.

— Nagła migrena powinna by przejść zaraz — rzekł Pan Tomasz. — Pójdź do niej, Florciu. Ja na chwilę wyjdę do miasta, bo muszę zobaczyć się z kilkoma osobami, ale wcześniej wrócę. Tymczasem czuwaj nad nią, kochana Florciu, proszę cię o to — mówił pan Tomasz ze spokojną fizjognomią człowieka, bez którego poleceń albo prośby nie może być dobrze na świecie.

— Zaraz do niej pójde, tylko tu zrobię porządek — odpowiedziała panna Florentyna, dla której ład w domu był sprawą ważniejszą od czyjejkolwiek migreny.

¹⁶⁵pozytywka — rodzaj małej katarynki, samogrającej po nakręceniu.

¹⁶⁶Hozer — właściwie: Hoser; założona przez Piotra Hosera ok. 1848 r. znana firma ogrodnicza Braci Hoser zajmowała się hodowlą i sprzedażą drzew owocowych, ozdobnych oraz kwiatów.

¹⁶⁷organ — dziś: organy.

¹⁶⁸pikieta — gra w karty na dwie osoby.

Już mrok ogarnął ziemię... Panna Izabela jest znowu sama w swoim gabinecie; upadła na szezlong i obu rękami zasłoniła oczy. Spod kaskady tkanin spływających aż na podłogę wysunął się jej wąski pantofelek i kawałek pończoszki; ale tego nikt nie widzi ani ona o tym nie myśli. W tej chwili jej duszę znowu targa gniew, żal i wstyd. Ciotka ją przeprosiła, ona sama będzie kwestować przy najładniejszym grobie i będzie miała najpiękniejszy kostium; lecz mimo to — jest nieszczęśliwą... Doznaje takich uczuć, jak gdyby wszedłszy do pełnego salonu ujrzała nagle na swym nowym kostiumie ogromną tłustą plamę obrzydłej formy i koloru, jakby suknię wytarzano gdzieś na kuchennych schodach. Myśli o tym jest dla niej tak wstrętne, że ślina napływa jej do ust.

Co za straszne położenie!... Już miesiąc zadłużają się u swego lokaja, a od dziesięciu dni jej ojciec na swoje drobne wydatki wygrywa pieniądze w karty... Wygrać można; panowie wygrywają tysiące, ale — nie na opędzenie pierwszych potrzeb, i przecież — nie od kupców. Ach, gdyby można, upadłaby ojcu do nóg i błagała go, ażeby nie grywał z tymi ludźmi, a przynajmniej nie teraz, kiedy ich stan majątkowy jest tak ciężki. Za kilka dni, gdy odbierze pieniądze za swój serwis, sama wręczy ojcu paręset rubli prosząc, ażeby je przegrał do tego pana Wokulskiego, ażeby wynagrodził go hojniej, niż ona wynagrodzi Mikołaja za zaciągnięte długi.

Ale czyż jej wypada zrobić to, a nawet mówić o tym ojcu?...

„Wokulski?... Wokulski?... — szepcze panna Izabela. — Któż to jest ten Wokulski, który dziś tak nagle ukazał się jej od razu z kilku stron, pod rozmaitymi postaciami. Co on ma do czynienia z jej ciotką, z ojcem?...”

I otóż zdaje się jej, że już od kilku tygodni coś słyszała o tym człowieku. Jakiś kupiec niedawno ofiarował parę tysięcy rubli na dobroczynność, ale nie była pewna, czy to był handlujący strojami damskimi, czy futrami. Potem mówiono, że także jakiś kupiec podczas wojny bułgarskiej¹⁶⁹ dorobił się wielkiego majątku, tylko nie uważała, czy dorobił się szewc, u którego ona bierze buciki, czy jej fryzjer? I dopiero teraz przypomniała sobie, że ten kupiec, który dał pieniądze na dobroczynność, i ten, który zyskał duży majątek, są jedną osobą, że to właśnie jest ów Wokulski, który do jej ojca przegrywa w karty, a którego jej ciotka, znana z dumy hrabina Karolowa, nazywa: „mój poczciwy Wokulski!...”

W tej chwili przypomina sobie nawet fizjonomię tego człowieka, który w sklepie nie chciał z nią mówić, tylko cofnąwszy się za ogromne japońskie wazony przypatrywał się jej posępnie. Jak on na nią patrzył...

Jednego dnia weszła z panną Florentyną na czekoladę do cukierni, przez figle. Usiadły przy oknie, za którym zebrało się kilkoro obdartych dzieci. Dzieci spoglądały na nią, na czekoladę i na ciastka z ciekawością i łakomstwem głodnych zwierzątek, a ten kupiec — tak samo na nią patrzył.

Lekki dreszcz przebiegł pannę Izabelę. I to ma być wspólnik jej ojca?... Do czego ten wspólnik?... Skąd jej ojcu przyszło do głowy zawiązywać jakieś towarzystwa handlowe, tworzyć jakieś rozległe plany, o których nigdy dawniej nie marzył?... Chce przy pomocy mieszczaństwa wysunąć się na czoło arystokracji; chce zostać wybranym do rady miejskiej, której nie było i nie ma?...

Ależ ten Wokulski to naprawdę jakiś aferzysta, może oszust, który potrzebuje głośnego nazwiska na szyld do swoich przedsiębiorstw. Bywały takie wypadki. Ileż pięknych nazwisk szlachty niemieckiej i węgierskiej unurzało się w operacjach handlowych, których ona nawet nie rozumie, a ojciec chyba nie wiecej.

Zrobiło się już zupełnie ciemno; na ulicy zapalono latarnie, których blask wpadał do gabinetu panny Izabeli malując na suficie ramę okna i zwoje franki. Wyglądało to jak krzyż na tle jasności, którą powoli zasłania gęsty obłok.

„Gdzie to ja widziałam taki krzyż, taką chmurę i jasność?...” — zapytała się panna Izabela. Zaczęła przypominać sobie widziane w życiu okolice i — marzyć.

Zdawało się jej, że powozem jedzie przez jakąś znaną miejscowość. Krajobraz jest podobny do olbrzymiego pierścienia, utworzonego z lasów i zielonych gór, a jej powóz znajduje się na krawędzi pierścienia i zjeżdża na dół. Czy on zjeżdża? bo ani zbliża się do

¹⁶⁹wojna bułgarska — wojna ta została wypowiedziana Turcji przez Rosję pod pretekstem obrony Bułgarów i toczyła się głównie na terenie Bułgarii; stąd nazwa bułgarskiej

niczego, ani od niczego nie oddala, tak jakby stał w miejscu. Ale zjeżdża: widać to po wizerunku słońca, które odbija się w lakierowanym skrzydle powozu i drgając, z wolna posuwa się w tył. Zresztą słychać turkot... To turkot dorożki na ulicy?... Nie, to turkoczą maszyny pracujące gdzieś w głębi owego pierścienia gór i lasów. Widać tam nawet, na dole, jakby jezioro czarnych dymów i białych par, ujęte w ramę zieloności.

Teraz panna Izabela spostrzega ojca, który siedzi przy niej i z uwagą ogląda sobie paznokcie, od czasu do czasu rzucając okiem na krajobraz. Powóz ciągle stoi na krawędzi pierścienia niby bez ruchu, a tylko wizerunek słońca, odbitego w lakierowanym skrzydle, wolno posuwa się ku tyłowi. Ten pozorny spoczynek czy też utajony ruch w wysokim stopniu drażni pannę Izabelę. „Czy my jedziemy, czy stoimy?” — pyta ojca. Ale ojciec nie odpowiada nic, jakby jej nie widział; ogląda swoje piękne paznokcie i czasami rzuca okiem na okolicę...

Wtem (powóz ciągle drży i słychać turkot) z głębi jeziora czarnych dymów i białych par wynurza się do pół figury jakiś człowiek. Ma krótko ostrzyżone włosy, śniadą twarz, która przypomina Trostiego, pułkownika strzelców (a może gladiatora z Florencji?), i ogromne czerwone dłonie. Odziany jest w zasmoloną koszulę z rękawami zawiniętymi wyżej łokcia; w lewej ręce, tuż przy piersi, trzyma karty ułożone w wachlarz, w prawej, którą podniósł nad głowę, trzyma jedną kartę, widocznie w tym celu, aby ją rzucić na przód siedzenia powozu. Reszty postaci nie widać spośród dymu.

„Co on robi, ojcze?” — pyta się zalekniona panna Izabela.

„Gra ze mną w pikietę” — odpowiada ojciec, również trzymając w rękach karty.

„Ależ to straszny człowiek, papo!”

„Nawet tacy nie robią nic złego kobietom” — odpowiada pan Tomasz.

Teraz dopiero panna Izabela spostrzega, że człowiek w koszuli patrzy na nią jakimś szczególnym wzrokiem, ciągle trzymając kartę nad głową. Dym i para, kotłujące w dolinie, chwilami zasłaniają jego rozpiętą koszulę i surowe oblicze; tonie wśród nich — nie ma go. Tylko spoza dymu widać błądy połysk jego oczów, a nad dymem obnażoną do łokcia rękę i — kartę.

„Co znaczy ta karta, papo?...” — zapytuje ojca.

Ale ojciec spokojnie patrzy we własne karty i nie powiada nic, jakby jej nie widział.

„Kiedyż nareszcie wyjedziemy z tego miejsca?...”

Ale choć powóz drży i słońce odbite w skrzydle posuwa się ku tyłowi, ciągle u stopni widać jezioro dymu, a w nim zanurzonego człowieka, jego rękę nad głową i — kartę.

Pannę Izabelę ogarnia nerwowy niepokój, skupia wszystkie wspomnienia, wszystkie myśli, ażeby odgadnąć co znaczy karta, którą trzyma ten człowiek?...

Czy to są pieniądze, które przegrał do ojca w pikietę? Chyba nie. Może ofiara, jaką złożył Towarzystwu Dobroczynności? I to nie. Może tysiąc rubli, które dał ciotce na ochronę, a może to jest kwit na fontannę, ptaszki i dywany do ubrania grobu Pańskiego?... Także nie; to wszystko nie niepokoiłoby jej.

Stopniowo pannę Izabelę napęnia wielka bojaźń. Może to są weksle jej ojca, które ktoś niedawno wykupił?... W takim razie wzięwszy pieniądze za srebra i serwis spłaci ten dług najpierwej i uwolni się od podobnego wierzyciela. Ale człowiek pogrążony w dymie wciąż patrzy jej w oczy i karty nie rzuca. Więc może... Ach!...

Panna Izabela zrywa się z szeszlona, potrąca w ciemności o taburet i drżącymi rękoma dzwoni. Dzwoni już drugi raz, nie odpowiada nikt, więc wybiega do przedpokoju i w drzwiach spotyka pannę Florentynę, która chwytając ją za rękę i mówiąc ze zdziwieniem:

— Co tobie, Belciu?...

Światło w przedpokoju nieco oprzytomnia pannę Izabelę. Uśmiecha się.

— Weź, Florciu, lampę do mego pokoju. Papa jest?

— Przed chwilą wyjechał.

— A Mikołaj?

— Zaraz wróci, poszedł oddać list posłańcowi. Czy gorzej boli cię głowa? — pyta panna Florentyna.

— Nie — śmieje się panna Izabela — tylko zdrzemnęłam się i tak mi się coś majaczyło.

Panna Florentyna bierze lampę i obie z kuzynką idą do jej gabinetu. Panna Izabela siada na szeszlona, zasłania ręką oczy przed światłem i mówi:

— Wiesz, Florciu, namyśliłam się, nie sprzedam moich sreber obcemu. Mogą naprawdę dostać się Bóg wie w jakie ręce. Siądź zaraz, jeżeliś łaskawa, przy moim biurku i napisz do ciotki, że... przyjmuję jej propozycję. Niech nam pożyczy trzy tysiące rubli i niech weźmie serwis i srebra.

Panna Florentyna patrzy na nią z najwyższym zdumieniem, wreszcie odpowiada:

— To jest niemożliwe, Belciu.

— Dlaczego?...

— Przed kwadransiem otrzymałam list od pani Meliton, że srebra i serwis już kupione.

— Już?... Kto je kupił? — woła panna Izabela chwytając kuzynkę za ręce.

Panna Florentyna jest zmieszana.

— Podobno jakiś kupiec z Rosji... — mówi, lecz czuć, że mówi nieprawdę.

— Ty coś wiesz, Florciu!... Proszę cię, powiedz!... — błaga ją panna Izabela. Jej oczy napęnlają się łzami.

— Zresztą tobie powiem, tylko nie zdradzaj tajemnicy przed ojcem — prosi kuzynka.

— Więc kto?... No, kto kupił?...

— Wokulski — odpowiada panna Florentyna.

Pannie Izabeli w jednej chwili obeschły oczy nabierając przy tym barwy stalowej. Odpycha z gniewem ręce kuzynki, przechodzi tam i na powrót swój gabinet, wreszcie siada na foteliku naprzeciw panny Florentyny. Nie jest już przestraszona i zdenerwowana pięknnością, ale wielką damą, która ma zamiar kogoś ze służby osądzić, a może wydalić.

— Powiedz mi, kuzynko — mówi pięknym kontraltowym głosem — co to za śmieszny spisek knujecie przeciwko mnie?

— Ja?... spisek?... — powtarza panna Florentyna, przyciskając rękoma piersi. — Nie rozumiem cię, Belu...

— Tak. Ty, pani Meliton i ten... zabawny bohater... Wokulski...

— Ja i Wokulski?... — powtarza panna Florentyna. Tym razem zdziwienie jej jest tak szczere, że wątpić nie można.

— Przypuśćmy, że nie spiskujesz — ciągnie dalej Panna Izabela — ale coś wiesz...

— O Wokulskim wiem to, co wszyscy. Ma sklep, w którym kupujemy, zrobił majątek na wojnie...

— A o tym, że wciąga papę do spółki handlowej, nie słyszałaś?

Wyraziste oczy panny Florentyny zrobiły się bardzo dużymi.

— Ojca twego wciąga do spółki?... — rzekła wzruszając ramionami. — Do jakiejże spółki może go wciągnąć?...

I w tej chwili przestrasza się własnych słów...

Panna Izabela nie mogła wątpić o jej niewinności; znowu parę razy przeszła się po gabinecie z ruchami zamkniętej lwicy i nagle zapytała:

— Powiedzże mi przynajmniej: co sądzisz o tym człowieku?

— Ja o Wokulskim?... Nic o nim nie sędzę, wyjąwszy chyba to, że szuka rozgłosu i stosunków.

— Więc dla rozgłosu ofiarował tysiąc rubli na ochronę?

— Z pewnością. Dał przecie dwa razy tyle na dobroczynność.

— A dlaczego kupił mój serwis i srebra?

— Zapewne dlatego, ażeby je z zyskiem sprzedać — odpowiedziała panna Florentyna.

— W Anglii za podobne rzeczy dobrze płacą.

— A dlaczego... wykupił weksle papy?

— Skąd wiesz, że to on? W tym nie miałby żadnego interesu.

— Nic nie wiem — pochwyciła gorączkowo panna Izabela — ale wszystko przeczuwam, wszystko rozumiem... Ten człowiek chce zbliżyć się do nas...

— Już się przecie poznał z ojcem — wtrąciła panna Florentyna.

— Więc do mnie chce się zbliżyć!... — zawołała panna Izabela z wybuchem. — Poznałam to po...

Wstyd jej było dodać: „po jego spojrzeniu”.

— Czy nie uprzedzasz się, Belciu?...

— Nie. To, czego doznaję w tej chwili, nie jest uprzedzeniem, ale raczej jasnowidzeniem. Nawet nie domyślasz się, jak ja dawno znam tego człowieka, a raczej — od jak dawna on mnie prześladuje. Teraz dopiero przypominam sobie, że przed rokiem nie było

przedstawienia w teatrze, nie było koncertu, odczytu, na którym bym go nie spotkała, i dopiero dziś ta... bezmyślna figura wydaje mi się straszną...

Panna Florentyna aż cofnęła się z fotelikiem, szepcząc:

— Więc przypuszczasz, żeby się ośmielił...

— Zagustować we mnie?... — przerwała ze śmiechem panna Izabela. — Tego nawet nie myślałabym mu bronić. Nie jestem ani tak naiwna, ani tak fałszywie skromna, ażeby nie wiedzieć, że się podobam... mój Boże! nawet służbie... Kiedyś gniewało mnie to jak żebranina, która zastępuje nam drogę na ulicach, dzwoni do mieszkań albo pisuje listy z prośbą o wsparcie. Ale dziś — tylko zrozumiałam lepiej słowa Zbawcy: „Komu wiele dano, od tego wiele żądać będą.”¹⁷⁰

— Zresztą — dodała wzruszając ramionami — mężczyźni w tak bezceremonialny sposób zaszczycają nas swoim uwielbieniem, że nie tylko już nie dziwię się ich nadszatkowaniu albo impertynenckim spojrzeniom, ale temu, gdy jest inaczej. Jeżeli w salonie spotkam człowieka, który mi nie mówi o swej sympatii i cierpieniach albo nie milczy posępnie w sposób zdradzający jeszcze większą sympatię i cierpienia, albo nie okazuje mi lodowatej obojętności, co ma być oznaką najwyższej sympatii i cierpienia, wtedy — czuję, że mi czegoś brak, jak gdybym zapomniała wachlarza albo chusteczki... O, ja ich znam! tych wszystkich donżuanów¹⁷¹, poetów, filozofów, bohaterów, te wszystkie tkliwe, bezinteresowne, złamane, rozmarzone albo silne dusze... Znam całą tę maskaradę i zapewniam cię, że dobrze się nią bawię. Cha! cha! cha!... jacy oni śmieszni...

— Nie rozumiem cię, Belciu... — wtrąciła panna Florentyna rozkładając ręce.

— Nie rozumiesz?... Więc chyba nie jesteś kobietą.

Panna Florentyna zrobiła gest przeczący, a następnie powątpiewający.

— Posłuchaj — przerwała panna Izabela. — Od roku już straciliśmy stanowisko w świecie. Nie zaprzeczaj, bo tak jest, wszyscy o tym wiemy. Dziś jesteśmy zrujnowani.

— Przesadzasz...

— Ach, Floro, nie pocieszaj mnie, nie kłam!... Czyżes nie słyszała przy obiedzie, że nawet tych kilkanaście rubli, które ma obecnie mój ojciec, są wygrane w karty od...

Panna Izabela mówiąc to drżała na całym ciele. Oczy jej błyszczały, na twarzy miała wypieki.

— Otóż w takiej chwili przychodzi ten... kupiec, nabywa nasze weksle, nasz serwis, opętuje mego ojca i ciotkę, czyli — ze wszystkich stron otacza mnie sieciami jak myśliwiec zwierzyń. To już nie smutny wielbiciel, to nie konkurent, którego można odrzucić, to... zdobywca!... On nie wzdycha, ale zakrada się do łask ciotki, ręce i nogi oplątuje ojcu, a mnie chce porwać gwałtem, jeżeli nie zmusić do tego, ażeby mu się sama oddała... Czy rozumiesz tę wyrafinowaną nikczemność?

Panna Florentyna przestraszyła się.

— W takim razie masz bardzo prosty sposób. Powiedz...

— Komu i co?... Czy ciotce, która gotowa popierać tego pana, ażeby mnie zmusić do oddania ręki marszałkowi?... Czy może mam powiedzieć ojcu, przerazić go i przyspieszyć katastrofę? Jedno tylko zrobić: nie pozwolę ojcu, ażeby zaciągał się do jakichkolwiek spółek, choćbym miała włóczyć mu się u nóg, choćbym miała... zabronić mu tego w imieniu zmarłej matki...

Panna Florentyna patrzy na nią z zachwytem...

— Doprawdy, Belciu — rzekła — przesadzasz. Z twoją energią i taką genialną domysłnością...

— Nie znasz tych ludzi, a ja widziałam ich przy pracy. W ich rękach stalowe szyny zwijają się jak wstążki. To straszni ludzie. Oni dla swoich celów umieją poruszyć wszystkie siły ziemskie, jakich my nawet nie znamy. Oni potrafią łamać, usidlać, płaszczyć się, wszystko ryzykować, nawet — cierpliwie czekać...

— Mówisz na podstawie czytanych romansów.

— Mówię na mocy moich przeczuc, które ostrzegają... wołają, że ten człowiek po to jeździł na wojnę, ażeby mnie zdobyć. I ledwie wrócił, już mnie ze wszystkich stron

Flirt, Męczyzna

¹⁷⁰ „Komu wiele dano, od tego wiele żądać będą” — cytat z Ewangelii św. Łukasza (Łk 12:48).

¹⁷¹ donżuan — w przenośni: uwodziciel kobiet; don Juan: bohater z dramatu hiszpańskiego Tirso de Moliny (1630), później bohater wielu utworów literackich.

obsacza¹⁷²... Ale niech się strzeże!... Chce mnie kupić? dobrze, niech kupuje!... przekona się, że jestem bardzo droga... Chce mnie złapać w sieci?... Dobrze, niech je rozsnuwa... ale ja mu się wymknę, choćby — w objęcia marszałka... O Boże! nawet nie domyślałam się, jak głęboką jest przepaść, w którą spadamy, dopóki nie zobaczyłam takiego dna. Z salonów Kwirynału¹⁷³ do sklepu... To już nawet nie upadek, to hańba...

Siadła na szeszlengu i utuliwszy głowę rękoma szlochała.

VII. GOŁĄB WYCHODZI NA SPOTKANIE WĘŻA

Serwis i srebra familii Łęckich były już sprzedane i nawet jubiler odniósł panu Tomaszowi pieniądze, straciwszy dla siebie sto kilkadziesiąt rubli składowego¹⁷⁴ i za pośrednictwo. Mimo to hrabina Karolowa nie przestała kochać panny Izabeli; owszem — jej energia i poświęcenie, okazane przy sprzedaży pamiątek, zbudziły w sercu starej damy nowe źródło uczuć rodzinnych. Nie tylko uprosiła pannę Izabelę o przyjęcie pięknego kostiumu, nie tylko co dzień bywała u niej albo ją wzywała do siebie, ale jeszcze (co było dowodem niesłychanej łaski) na całą Wielką Środę ofiarowała jej swój powóz.

— Przejeżdż się, aniołku, po mieście — mówiła hrabina całując siostrzenicę — i połatwiał drobne sprawunki. Tylko pamiętaj, żebyś mi za to w czasie kwesty wyglądała ślicznie... Tak ślicznie, jak to tylko ty potrafisz!... Proszę cię...

Panna Izabela nie odpowiedziała nic, ale jej spojrzenie i rumieniec kazały domyślać się, że z całą gotowością spełni wolę ciotki.

W Wielką Środę, punkt o jedynastej rano, panna Izabela już siedziała w otwartym powozie wraz ze swoją nieodstępną towarzyszką, panną Florentyną. Po Alei chodziły wiosenne powiewy roznosząc tę szczególną, surową woń, która poprzedza pęknięcie liści na drzewach i ukazanie się pierwiosnków; szare trawniki nabrały zielonawego odcienia; słońce grzało tak mocno, że panie otworzyły parasolki.

— Śliczny dzień — westchnęła panna Izabela patrząc na niebo, gdzieś tam poplamione białymi obłokami.

— Gdzie jaśnie panienska rozkaże jechać? — spytał lokaj zatrzęsawszy drzwiczki powozu.

— Do sklepu Wokulskiego — z nerwowym pośpiechem odpowiedziała panna Izabela.

Lokaj skoczył na kozioł i spasione gniade konie ruszyły uroczystym kłusem parskając i wyrzucając łbami.

— Dlaczego, Belciu, do Wokulskiego? — zapytała trochę zdziwiona panna Florentyna.

— Chcę sobie kupić paryskie rękawiczki, kilka flakonów perfum...

— To samo dostaniemy gdzie indziej.

— Chcę tam — odpowiedziała sucho panna Izabela.

Od paru dni męczył ją osobliwy niepokój, jakiego już raz doznała w życiu. Będąc przed laty za granicą w ogrodzie aklimatyzacyjnym¹⁷⁵ zobaczyła w jednej z klatek ogromnego tygrysa, który spał oparty o kratę w taki sposób, że mu część głowy i jedno ucho wysunęło się na zewnątrz.

Widząc to panna Izabela uczuła nieprzepartą chęć pochwycenia tygrysa za ucho. Zapach klatki napelniał ją wstrętem, potężne łapy zwierzęcia nieopisaną trwogą, lecz mimo to czuła, że — musi tygrysa przynajmniej dotknąć w ucho.

Dziwny ten pociąg wydał się jej samej niebezpiecznym i nawet śmiesznym. Przemogła się więc i poszła dalej; lecz po paru minutach — wróciła. Znowu cofnęła się, przejrzała inne klatki, starała się o czym innym myśleć. Na próżno. Wróciła się i choć tygrys już nie spał, tylko mruczając lizał swoje straszliwe łapy, panna Izabela podbiegła do klatki, wsunęła rękę i — drżąc i blada — dotknęła tygrysięgo ucha.

W chwilę później wstydziła się swego szaleństwa, lecz zarazem czuła to gorzkie zadowolenie znane ludziom, którzy usłuchają w ważnej sprawie głosu instynktu.

Dziś zbudziło się w niej podobnego rodzaju pragnienie.

¹⁷²obsacza — dziś: osacza.

¹⁷³Kwirynał — jedno z siedmiu wzgórz rzymskich; od r. 1870 nazwa siedziby królów włoskich.

¹⁷⁴składowe — opłata za przechowanie towaru na składzie.

¹⁷⁵gród aklimatyzacyjny — tu: ogród zoologiczny, ogród dla zwierząt egzotycznych.

Handel

Wiosna

Strach

Gardziła Wokulskim, serce jej zamierało na samo przypuszczenie, że ten człowiek mógł zapłacić za srebra więcej, niż były warte, a mimo to czuła nieprzeparty pociąg — wejść do sklepu, spojrzeć w oczy Wokulskiemu i zapłacić mu za parę drobiazgów tymi właśnie pieniędzmi, które pochodziły od niego. Strach ją zdejmował na myśl spotkania, lecz niewytłomaczony instynkt popychał.

Na Krakowskim już z daleka zobaczyła szyld z napisem: J. Mincel i S. Wokulski, a o jeden dom bliżej nowy, jeszcze nie wykończony sklep¹⁷⁶ o pięciu oknach frontu, z lustrzanymi szybami. Z kilku pracujących przy nim rzemieślników i robotników jedni od wewnątrz wycierali szyby, drudzy złócili i malowali drzwi i futryny, inni umocowywali przed oknami ogromne mosiężne bariery.

— Cóż to za sklep budują? — spytała panny Florentyny.

— Chyba dla Wokulskiego, bo słyszałam, że wziął obszerniejszy lokal.

„Dla mnie ten sklep!” — pomyślała panna Izabela szarpiąc rękawiczki.

Powóz stanął, lokaj zeskoczył z kozła i pomógł paniom wysiąść. Lecz gdy następnie otworzył z łoskotem drzwi do sklepu Wokulskiego, panna Izabela tak osłabła, że nogi zachwiały się pod nią. Przez chwilę chciała wrócić do powozu i uciec stąd; wnet jednak opanowała się i z podniesioną głową weszła.

Pan Rzecki stał już na środku sklepu i zacierając ręce, witał ją niskimi ukłonami. W głębi pan Lisiecki, podczasując piękną brodę, okrągłymi i pełnymi godności ruchami prezentował brązowe kandelabry jakiejś damie, która siedziała na krześle. Mizerny Klejn wybierał laski młodzieńcowi, który na widok panny Izabeli szybko uzbroił się w binokle — a pachnący heliotropem¹⁷⁷ Mraczewski palił wzrokiem i sztyletował wąsikami dwie rumiane panienki, które towarzyszyły damie i oglądały toaletowe cacka.

Na prawo ode drzwi, za kantorkiem, siedział Wokulski schylony nad rachunkami.

Gdy panna Izabela weszła, młodzieniec oglądający laski poprawił kołnierzyk na szyi, dwie panienki spojrzały na siebie, pan Lisiecki urwał w połowie swój okrągły frazes o stylu kandelabrow, ale zatrzymał okrągłą pozę, a nawet dama słuchająca jego wykładu ciężko odwróciła się na krześle. Przez chwilę sklep zaległa cisza, którą dopiero panna Izabela przerwała odezawszy się pięknym kontraltem:

— Czy zastałyśmy pana Mraczewskiego?...

— Panie Mraczewski!... — pochwycił pan Ignacy.

Mraczewski już stał przy pannie Izabeli, zarumieniony jak wiśnia, pachnący jak kazielnica, z pochyloną głową, jak kita wodnej trzciny.

— Przyszłyśmy prosić pana o rękawiczki.

— Numerek pięć i pół — odparł Mraczewski i już trzymał pudełko, które mu nieco drżało w rękach pod wpływem spojrzenia panny Izabeli.

— Otóż nie... — przerwała panna ze śmiechem. — Pięć i trzy czwarte... Już pan zapomniał!...

— Pani, są rzeczy, których się nigdy nie zapomina. Jeżeli jednak rozkazuje pani pięć i trzy czwarte, będę służył w nadziei, że niebawem znowu zaszczyci nas pani swoją obecnością. Bo rękawiczki pięć i trzy czwarte — dodał z lekkim westchnieniem, podsuwając jej kilka innych pudełek — stanowczo zsuną się z rączek...

— Geniusz! — cicho szepnął pan Ignacy mrugając na Lisieckiego, który pogardliwie ruszył ustami.

Dama siedząca na krześle zwróciła się do kandelabrow, dwie panny do toaletki z oliwkowego drzewa, młodzieniec w binoklach począł znowu wybierać laski i — rzeczy w sklepie przeszły do spokojnego trybu. Tylko rozgorączkowany Mraczewski zeskakiwał i wbiegał na drabinkę, wysuwał szuflady i wydobywał coraz nowe pudełka tłumacząc pannie Izabeli po polsku i po francusku, że nie może nosić innych rękawiczek, tylko pięć i pół, ani używać innych perfum, tylko oryginalnych Atkinsona¹⁷⁸, ani ozdabiać swego stolika innymi drobiazgami, jak paryskimi.

Wokulski pochylił się nad kantorkiem tak, że żyły nabrzmiały mu na czole, i — wciąż rachował w myśli:

¹⁷⁶nowy, jeszcze nie wykończony sklep... — nowy sklep Wokulskiego umieścił Prus na Krakowskim Przedmieściu pod nr 7 (tzw. „dom Grodzickiego”). Dom ten, wypalony w 1944 r., obecnie został odbudowany.

¹⁷⁷heliotrop — krzew o silnie pachnących kwiatach.

¹⁷⁸perfumy Atkinsona — luksusowe perfumy angielskie.

Sluga

Strach

Handel

„29 a 36 — to 65, a 15 to 80, a 73 — to... to...”

Tu urwał i spod oka spojrzął w stronę panny Izabeli rozmawiającej z Mraczewskim. Oboje stali zwrócenii do niego profilem; dostrzegł więc pałający wzrok subiekta przykuty do panny Izabeli, na co ona w sposób demonstracyjny odpowiadała uśmiechem i spojrzzeniami łagodnej zachęty.

„29 a 36 — to 65, a 15...” — liczył w myśli Wokulski, lecz nagle pióro przysło mu w rękę. Nie podnosząc głowy wydobył nową stalówkę z szuflady, a jednocześnie, nie wiadomo jakim sposobem, z rachunku wypadło mu pytanie:

„I ja mam niby to ją kochać?... Głupstwo! Przez rok cierpiałem na jakąś chorobę mózgową, a zdawało mi się, że jestem zakochany... 29 a 36... 29 a 36... Nigdy nie przypuszczałem, ażeby mogła mi być tak dalece obojętną... Jak ona patrzy na tego osła... No, jest to widocznie osoba, która kokietuje nawet subiektów, a czy tego samego nie robi z furmanami i lokajami!... Pierwszy raz czuję spokój... o Boże... A tak go bardzo pragnąłem...”

Do sklepu weszło jeszcze parę osób, do których niechętnie zwrócił się Mraczewski, powoli wiążąc paczki.

Panna Izabela zbliżyła się do Wokulskiego i wskazując w jego stronę parasolką rzekła dobitnie:

— Floro, bądź łaskawa zapłacić temu panu. Wracamy do domu.

— Kasa jest tu — odezwał się Rzecki podbiegając do panny Florentyny. Wziął od niej pieniądze i oboje cofnęli się w głąb sklepu.

Panna Izabela z wolna podsunęła się tuż do kantorka, za którym siedział Wokulski. Była bardzo błada. Zdawało się, że widok tego człowieka wywiera na nią wpływ magnetyczny¹⁷⁹.

— Czy mówię z panem Wokulskim?

Wokulski powstał z krzesła i odparł obojętnie:

— Jestem do usług.

— Wszakże to pan kupił nasz serwis i srebra? — mówiła zdławionym głosem.

— Ja, pani.

Teraz panna Izabela zawahała się. Po chwili jednak słaby rumieniec wrócił jej na twarz. Ciągnęła dalej:

— Zapewne pan sprzeda te przedmioty?

— W tym celu je kupiłem.

Rumieniec panny Izabeli wzmościł się.

— Przyszły nabywca w Warszawie mieszka? — pytała dalej.

— Rzeczy tych nie sprzedam tutaj, lecz za granicą. Tam... dadzą mi wyższą cenę — dodał spostrzegłszy w jej oczach zapytanie.

— Pan spodziewa się dużo zyskać?

— Dlatego, ażeby zyskać, kupiłem.

— Czy i dlatego mój ojciec nie wie, że srebra te są w pańskim ręku? — rzekła ironicznie.

Wokulskiemu drgnęły usta.

— Serwis i srebra nabyłem od jubilera. Sekretu z tego nie robię. Osób trzecich do sprawy nie mieszam, ponieważ to nie jest w zwyczajach handlowych.

Pomimo tak szorstkich odpowiedzi panna Izabela odetchnęła. Nawet oczy jej nieco pociemniały i straciły połysk nienawiści.

— A gdyby mój ojciec namyśliwszy się chciał odkupić te przedmioty, za jaką cenę odstąpiłby je pan teraz?

— Za jaką kupiłem. Rozumie się z doliczeniem procentu w stosunku... sześć... do ośmiu od sta rocznie...

— I wyrzekłby się pan spodziewanego zysku?... Dlaczegoż to?... — przerwała mu z pośpiechem.

— Dlatego, proszę pani, że handel opiera się nie na zyskach spodziewanych, ale na ciągłym obrocie gotówki.

Miłość

Handel

¹⁷⁹wpływ magnetyczny — dziś powiedzielibyśmy: hipnotyczny. Osoba w stanie hipnozy, podobnym do snu, traci świadomość i wolę i spełnia jedynie rozkazy hipnotyzera. W wieku XIX uważano hipnozę za zjawisko analogiczne do magnetyzmu fizycznego i nazywano je również magnetyzmem.

— Żegnam pana i... dziękuję za wyjaśnienia — rzekła panna Izabela widząc, że jej towarzyszka już kończy rachunki.

Wokulski uklonił się i znowu usiadł do swej książki.

Gdy lokaj zabrał paczki i panie zajęły miejsca w powozie, panna Florentyna odezwała się tonem wyrzutu:

— Mówiłaś z tym człowiekiem, Belu?...

— Tak i nie żałuję tego. On wszystko skłamał, ale...

— Co znaczy to: *ale*?... — z niepokojem zapytała panna Florentyna.

— Nie pytaj mnie... Nic do mnie nie mów, jeżeli nie chcesz, ażebym rozplakała się na ulicy...

A po chwili dodała po francusku:

— Zresztą, może zrobiłam źle przyjeżdżając tutaj, ale... wszystko mi jedno!...

— Myślę, Belciu — rzekła, z powagą sznurując usta, jej towarzyszka — że należałoby pomówić o tym z ojcem albo z ciotką.

— Chcesz powiedzieć — przerwała panna Izabela — że muszę pomówić z marszałkiem albo z baronem? Na to zawsze będzie czas; dziś nie mam jeszcze odwagi.

Przerwała się rozmowa. Panie milcząc wróciły do domu; panna Izabela cały dzień była rozdrażniona.

Po wyjściu panny Izabeli ze sklepu Wokulski wziął się znowu do rachunków i bez błędu zsumował dwie duże kolumny cyfr. W połowie trzeciej zatrzymał się i dziwił się temu spokojowi, jaki zapanował w jego duszy. Po całorocznej gorączce i tęsknocie przerywanej wybuchami szału skąd naraz ta obojętność? Gdyby można było jakiegoś człowieka nagle przetrząsnąć z balowej sali do lasu albo z dusznego więzienia na chłodne i obszerne pole, nie doznałby innych wrażeń ani głębszego zdumienia.

„Widocznie przez rok ulegałem częściowemu obłąkaniu” — myślał Wokulski. — „Nie było niebezpieczeństwa, nie było ofiary, której nie poniósłbym dla tej osoby, i ledwie ją zobaczył, już nic mnie nie obchodzi...”

A jak ona rozmawiała ze mną. Ile tam było pogardy dla marnego kupca... »Zapłać temu panu!...« Paradne są te wielkie damy; próżniak, szuler, nawet złodziej, byle miał nazwisko, stanowi dla nich dobre towarzystwo, choćby fizjognomią zamiast ojca przypominał lokaja swej matki. Ale kupiec — jest pariasem¹⁸⁰... Co mnie to wreszcie obchodzi; gnijcie sobie w spokoju!”

Znowu dodał jedną kolumnę nie uważając nawet, co się dzieje w sklepie.

„Skąd ona wie — myślał dalej — że ja kupiłem serwis i srebra?... A jak wybadywała, czym nie zapłacił więcej niż warto! Z przyjemnością ofiarowałbym im ten pamiątkowy drobiazg. Winienem jej dożgonną wdzięczność, bo gdyby nie szła dla niej, nie dorobiłbym się majątku i spleśniałbym za kantorkiem. A teraz może mi smutno będzie bez tych żalów, rozpacz i nadziei... Głupie życie!... Po ziemi gonimy marę, którą każdy nosi we własnym sercu, i dopiero gdy stamtąd ucieknie, poznajemy, że to był obłąd... No, nigdy bym nie przypuszczał, że mogą istnieć tak cudowne kuracje. Przed godziną byłem pełen trucizny, a w tej chwili jestem tak spokojny i — jakiś pusty, jakby uciekła ze mnie dusza i wnętrzości, a została tylko skóra i odzież. Co ja teraz będę robił? czym będę żył?... Chyba pojedę na wystawę do Paryża¹⁸¹, a potem w Alpy...”

W tej chwili zbliżył się do niego na palcach Rzecki i szepnął:

— Pyszny jest ten Mraczewski, co? Jak on umie rozmawiać z kobietami!

— Jak fryzjerzyk, którego uzuchwalono — odpowiedział Wokulski nie odrywając oczu od książki.

— Nasze klientki zrobiły go takim — odpowiedział stary subiekt, lecz widząc, że przeszkadza pryncypałowi, cofnął się. Wokulski znowu wpadł w zadumę. Nieznacznie spojrzawszy na Mraczewskiego i dopiero w tej chwili zauważył, że młody człowiek ma coś szczególnego w fizjonomii.

„Tak — myślał — on jest beczelnie głupi i zapewne dlatego podoba się kobietom.”

¹⁸⁰*parias* — członek najniższej kasty w Indiach; ogólnie: najbardziej pogardzany i krzywdzony członek społeczeństwa.

¹⁸¹*wystawa w Paryżu* — 1 maja 1878 r. została otwarta w Paryżu wielka wystawa powszechna, która pociągnęła za sobą duży napływ obcokrajowców. Zwiedziło ją około dwustu tysięcy cudzoziemców, w tym blisko dwa tysiące Polaków.

Marzenie, Miłość,
Rozczarowanie

Miłość

Dama, Obyczaje, Pozycja
społeczna

Śmiać mu się chciało i ze spojrzeń panny Izabeli, wysyłanych pod adresem pięknego młodzieńca, i z własnych przywidzeń, które dziś tak nagle go opuściły.

Wtem drgnął; usłyszał imię panny Izabeli i spostrzegł, że w sklepie nie ma nikogo z gości.

— No, ale dzisiaj toś się pan nie ukrywał ze swoimi amatorami — mówił ze smutnym uśmiechem Klejn do Mraczewskiego.

— Ale bo jak ona na mnie patrzyła, to ach!... — westchnął Mraczewski, jedną rękę kładąc na piersi, drugą podkręcając wąsika. — Jestem pewny — mówił — że za parę dni otrzymam wonny bilecik. Potem — pierwsza schadzka, potem: „dla pana łamię zasady, w jakich mnie wychowano”, a potem: „czy nie gardzisz mną?” Chwila wcześniej jest bardzo rozkoszną, ale w chwilę później człowiek jest tak zakłopotany...

— Co pan blagujesz! — przerwał mu Lisiecki. — Znamy przecież pańskie konkiety¹⁸²: nazywają się Matyldami, którym pan imponujesz porcją pieczeni i kuflem piwa.

— Matyldy są na co dzień, damy na święta. Ale Iza będzie największym świętem. Słowo honoru daję, że nie znam kobiety, która by na mnie tak piekielne robiła wrażenie... No, ale bo też i ona lgnie do mnie!

Trzasnęły drzwi i do sklepu wszedł jegomość szpakowaty; zażądał breloku¹⁸³ do zegarka, a krzyczał i stukał łaską tak mocno, jakby miał zamiar kupić całą japońszczyznę.

Wokulski słuchał przechwałek Mraczewskiego bez ruchu. Doświadczał wrażenia, jakby mu na głowę i na piersi spadały ciężary.

— W rezultacie nic mnie to nie obchodzi — szepnął.

Po szpakowatym jegomościu weszła do sklepu dama żądająca parasola, później pan w średnim wieku chcący nabyć kapelusz, potem młody człowiek żądający cygarnicy, nareszcie trzy panny, z których jedna kazała podać sobie rękawiczki Szolca¹⁸⁴, ale koniecznie Szolca, bo innych nie używa.

Wokulski złożył księgę, z wolna podniósł się z fotelu i sięgnąwszy po kapelusz stojący na kantorku skierował się ku drzwiom. Czuł brak oddechu i jakby rozsadzanie czaszki.

Pan Ignacy zabiegł mu drogę.

— Wychodzisz?... Może zajrzysz do tamtego sklepu — rzekł.

— Nigdzie nie zajrzę, jestem zmęczony — odpowiedział Wokulski nie patrząc mu w oczy.

Gdy wyszedł, Lisiecki trącił Rzeckiego w ramię.

— Coś stary jakby zaczynał robić bokami — szepnął.

— No — odparł pan Ignacy — puszczenie w ruch takiego interesu jak moskiewski to nie chy-chy. Rozumie się.

— Po cóż się w to wdaje?

— Po to, żeby miał nam z czego pensje podwyższać — surowo odpowiedział pan Ignacy.

— A niechże sobie zakłada sto nowych interesów, nawet w Irkucku, byle tak co roku podwyższał — rzekł Lisiecki. — Ja z nim się o to spierać nie będę. Ale swoją drogą, uważam, że jest diabelnie zmieniony, osobiście dzisiaj. Żydzi, panie, Żydzi — dodał — jak zwąchają jego projekta, dadzą mu łupnia.

— Co tam Żydzi...

— Żydzi, mówię, Żydzi!... Wszystkich trzymają za łeb i nie pozwolą, ażeby im bruździł jakiś Wokulski, nie Żyd ani nawet meches¹⁸⁵.

— Wokulski wiąże się ze szlachtą — odpowiedział Ignacy — a i tam są kapitały.

— Kto wie, co gorsze: Żyd czy szlachcic — wtrącił mimochodem Klejn i podniósł brwi w sposób bardzo żallosny.

Fircyk

Zazdrość

Handel

Handel, Interes

Szlachcic, Żyd

Antysemityzm

¹⁸²konkiety — podboje.

¹⁸³brelok — ozdobny wisiorek przy łańcuszku.

¹⁸⁴Szolc — firma galanteryjna w Warszawie.

¹⁸⁵meches — pogardliwa nazwa przechrzty, używana przez Żydów ortodoksyjnych (ściśle przestrzegających zasad religii).

VIII. MEDYTACJE

Znalazłszy się na ulicy Wokulski stanął na chodniku, jakby namyślając się, dokąd iść. Nie ciągnęło go nic w żadną stronę. Dopiero gdy przypadkiem spojrzął w prawo, na swój nowo wykończony sklep, przed którym już zatrzymywali się ludzie, odwrócił się ze wstrętem i poszedł w lewo.

„Dziwna rzecz, jak mnie to wszystko mało obchodzi” — rzekł do siebie. Potem myślał o tych kilkunastu ludziach, którym już daje zajęcie, i o tych kilkudziesięciu, którzy od pierwszego maja mieli dostać u niego zajęcie, o tych setkach, dla których w ciągu roku miał stworzyć nowe źródła pracy, i o tych tysiącach, którzy dzięki jego tanim towarom mogliby sobie poprawić nędzny byt — i — czuł, że ci wszyscy ludzie i ich rodziny nic go w tej chwili nie interesują.

„Sklep odstąpię, nie zawiążę spółki i wyjadę za granicę” — myślał.

„A zawód, jaki zrobisz ludziom, którzy w tobie położyli nadzieję?”

„Zawód?... Alboż mnie samego nie spotkał zawód?...”

Wokulski idąc poczuł jakąś niewygodę; lecz dopiero zastanowiwszy się osądził, że męczy go ciągle ustępowanie z drogi; przeszedł więc na drugą stronę ulicy, gdzie ruch był mniejszy.

„A jednak ten Mraczewski jest infamis¹⁸⁶! — myślał. — Jak można mówić takie rzeczy w sklepie? »Za parę dni otrzymam bilecik, a potem — schadzka!... Ha, sama sobie winna, nie trzeba kokietować blaznów... Zresztą — wszystko mi jedno.”

Czuł w duszy dziwną pustkę, a na samym jej dnie coś, jakby kroplę piekącej goryczy. Żadnych sił, żadnych pragnień, nic, tylko tę kroplę tak małą, że jej niepodobna dojrzeć, a tak gorzką, że cały świat można by nią zatruć.

„Chwilowa apatia, wyczerpanie, brak wrażeń... Za dużo myślę o interesach” — mówił.

Stanął i patrzył. Dzień przedświąteczny i ładna pogoda wywabiły mnóstwo ludzi na bruk miejski. Sznur powozów i pstrokaty falujący tłum między Kopernikiem i Zygmuntem¹⁸⁷ wyglądał jak stado ptaków, które właśnie w tej chwili unosiły się nad miastem dążąc ku północy.

„Szczególna rzecz — mówił. — Każdy ptak w górze i każdy człowiek na ziemi wyobraża sobie, że idzie tam, dokąd chce. I dopiero ktoś stojący na boku widzi, że wszystkich razem pcha naprzód jakiś fatalny prąd, mocniejszy od ich przewidywań i pragnień. Może nawet ten sam, który unosi smugę iskier wydmuchniętych przez lokomotywę podczas nocy?... Błyszczą przez mgnienie oka, aby zgasnąć na całą wieczność, i to nazywa się życiem.

Mijają ludzkie pokolenia
Jak fale, gdy wiatr morzem zmać;
I nie masz godów ich pamięci,
I nie masz bólów ich wspomnienia.¹⁸⁸

Gdzie ja to czytałem?... Wszystko jedno.”

Nieustanny turkot i szmer wydał się Wokulskiemu nieznośnym, a wewnętrzna pustka straszliwą. Chciał czymś się zająć i przypomniał sobie, że jeden z zagranicznych kapitalistów pytał go o zdanie w kwestii bulwarów nad Wisłą¹⁸⁹. Zdanie już miał wyrobione: Warszawa całym swoim ogromem ciąży i zsuwa się ku Wiśle. Gdyby brzeg rzeki obwarować bulwarami, powstałaby tam najpiękniejsza część miasta: gmachy, sklepy, aleje...

¹⁸⁶*infamis* (łac.) — człowiek bez czci, niegodziwy.

¹⁸⁷*między Kopernikiem i Zygmuntem*... — tj. wzdłuż całego Krakowskiego Przedmieścia: pomnik Kopernika wzniesiony został w r. 1830 według modelu słynnego duńskiego rzeźbiarza Bertolda Thorwaldsena (1770–1844). Zygmun: znana kolumna z posągami króla Zygmunta III Wazy (1587–1632), wzniesiona w r. 1644 przez jego syna Władysława IV na Placu Zamkowym.

¹⁸⁸*Mijają ludzkie pokolenia*... — ten i następne wierszowane cytaty w tekście tego rozdziału pochodzą z poematu Włodzimierza Zagórskiego (1834–1902) *Król Salomon* (dedykowanego Bolesławowi Prusowi), opartego na motywach biblijnej księgi *Eklezjastes*. Fragment, z którego pochodzi ten i następne cytaty, ukazał się w zbiorze *Z teki Chochlika* w r. 1881.

¹⁸⁹...w kwestii bulwarów nad Wisłą — sprawa budowy bulwarów nad Wisłą była wtedy rzeczywiście aktualna. „Kurier Warszawski” z 2 kwietnia 1879 roku donosi o powstaniu towarzystwa polsko-francuskiego, które zamierza wybudować te bulwary kosztem 25 milionów rubli. Projekt jednak nie został urzeczywistniony.

„Trzeba spojrzeć, jak by to wyglądało?” — szepnął Wokulski i skręcił na ulicę Karową¹⁹⁰.

Przy bramie¹⁹¹ wiodącej tam zobaczył bosego, przewiązanego sznurami tragarza, który pił wodę prosto z wodotrysku; zachlapał się od stóp do głów, ale miał bardzo zadowoloną minę i śmiejące się oczy.

„Jużci, ten ma, czego pragnął. Ja, ledwie zbliżył się do źródła, widzę, że nie tylko ono znikło, ale nawet wysychają moje pragnienia. Pomimo to mnie zazdroszczą, a nad nim każą się litować. Co za potworne nieporozumienie!”

Na Karowej odetchnął. Zdawało mu się, że jest jedną z plew, które już odrzucił młyn wielkomięskiego życia, i że powoli spływa sobie gdzieś na dół tym rynsztokiem zaciśniętym odwiecznymi murami.

„Cóż bulwary?... — myślał. — Postoją jakiś czas, a potem będą walić się, zarośnięte zielskiem i odrapane, jak te oto ściany. Ludzie, którzy je budowali z wielką pracą, mieli także na celu zdrowie, bezpieczeństwo, majątek, a może zabawy i pieszczoty. I gdzie oni są?... Zostały po nich splekane mury, jak skorupa po ślimaku dawnej epoki. A cały pożytek z tego stosu cegieł i tysiąca innych stosów będzie, że przyszedł geolog nazwie je skałą ludzkiego wyrobu, jak my dziś koralowe rafy albo kredę nazywamy skałami wyrobu pierwotniaków.

I cóż ma z trudu swego człowiek?...
I z prac tych, które wszczął pod słońcem?...
Znikomość — jego dzieła gońcem,
A żywot jego mgnieniem powiek.

Gdziem ja to czytał, gdzie?... Mniejsza o to.”

Zatrzymał się w połowie drogi i patrzył na ciągnącą się u jego stóp dzielnicę między Nowym Zjazdem¹⁹² i Tamką. Uderzyło go podobieństwo do drabiny, której jeden bok stanowi ulica Dobra, drugi — linia od Garbarskiej do Topieli, a kilkanaście uliczek poprzecznych formują jakby szczeble.

„Nigdzie nie wejdziemy po tej leżącej drabinie — myślał. — To chory kąt, dziki kąt.”

I rozważał pełen goryczy, że ten płat ziemi nadrzecznej, zasypany śmieciem z całego miasta, nie urodzi nic nad parterowe i jednopiętrowe domki barwy czekoladowej i jasnozielonej, ciemnozielonej i pomarańczowej. Nic, oprócz białych i czarnych parkanów, otaczających puste place, skąd gdzieniegdzie wyskakuje kilkupiętrowa kamienica jak sosna, która ocalała z wyciętego lasu, przestraszona własną samotnością.

„Nic, nic!...” — powtarzał tułając się po uliczkach, gdzie widać było rudery zapadnięte niżej bruku, z dachami porośniętymi mchem, lokale z okiennicami dniem i nocą zamkniętymi na sztaby, drzwi zabite gwoździami, naprzód i w tył powychyłane ściany, okna łatane papierem albo zatkane łachmanem. Szedł, przez brudne szyby zaglądał do mieszkań i nasycił się widokiem szaf bez drzwi, krzeseł na trzech nogach, kanap z wydartym siedzeniem, zegarów o jednej skazówce z porozbijanymi cyferblatami.

Szedł i cicho śmiał się na widok wyrobników wiecznie czekających na robotę, rzemieślników, którzy trudnią się tylko łataniem starej odzieży, przekupek, których całym majątkiem jest kosz zeschniętych ciastek — na widok obdartych mężczyzn, mizernych dzieci i kobiet niezwykle brudnych.

„Oto miniatura kraju — myślał — w którym wszystko dąży do spodlenia i wytępienia rasy. Jedni giną z niedostatku, drudzy z rozpusty. Praca odejmuje sobie od ust, ażeby

¹⁹⁰ulica Karowa, Dobra, Garbarska, Topiel, Radna, Browarna, Tamka — wymienione w tym rozdziale, są to ulice Powiśla, dzielnicy Warszawy między Krakowskim Przedmieściem a Wisłą, zamieszkiwanej przez biedotę. Położona w bezpośrednim sąsiedztwie śródmieścia, jaskrawo z nim kontrastowała. Przed 1939 r. część Powiśla bardzo się unowocześniła, jednak dopiero w ostatnich latach nowe budownictwo wyparło resztki starych rudery, pamiętających czasy Prusa.

¹⁹¹Przy bramie — wejście z Krakowskiego Przedmieścia na Karową prowadziło przez wielką stylową bramę (projektu Marconiego) z dwoma wodotryskami w bocznych kolumnach. Zburzono ją przy budowie hotelu „Bristol” w 1899 r.

¹⁹²Nowy Zjazd biegł od Placu Zamkowego do żelaznego mostu na Wiśle i tworzył rodzaj wiaduktu na arkadach, w połączeniu z nasypem ziemnym (wiadukt Pancera). Nowy Zjazd był bardzo ruchliwym punktem Warszawy ze względu na most (Kierbedzia) łączący Warszawę z Pragą. Tędy przechodzi obecnie Trasa W-Z i Most Śląsko-Dąbrowski.

Kondycja ludzka

Warszawa

Dom

karmić niedołęgów; miłosierdzie hoduje bezczelnych próżniaków, a ubóstwo nie mogące zdobyć się na sprzęty otacza się wiecznie głodnymi dziećmi, których największą zaletą jest wczesna śmierć.

Tu nie poradzi jednostka z inicjatywą, bo wszystko przysięgło się, ażeby ją spętać i zużyć w pustej walce — o nic.”

Potem w wielkich konturach przyszła mu na myśl jego własna historia. Kiedy dzieckiem będąc łaknął wiedzy — oddano go do sklepu z restauracją. Kiedy zabijał się nocną pracą będąc subiektem — wszyscy szydzili z niego, zaczawszy od kuchcików, skończywszy na upijającej się w sklepie inteligencji. Kiedy nareszcie dostał się do uniwersytetu — prześladowano go porcjami, które niedawno podawał gościom.

Odetchnął dopiero na Syberii. Tam mógł pracować, tam zdobył uznanie i przyjaźń Czerskich¹⁹³, Czekanowskich¹⁹⁴, Dybowskich¹⁹⁵. Wrócił do kraju prawie uczonym, lecz gdy w tym kierunku szukał zajęcia, zakrzyczano go i odesłano do handlu...

„To taki piękny kawałek chleba w tak ciężkich czasach!”

No i wrócił do handlu, a wtedy zawołano, że się sprzedał i żyje na łasce żony, z pracy Minclów.

Traf zdarzył, iż po kilku latach żona umarła zostawiając mu dość spory majątek. Pochowawszy ją, Wokulski odsunął się nieco od sklepu, a znowu zbliżył się do książek. I może z galanteryjnego kupca zostałby na dobre uczonym przyrodnikiem, gdyby znalazłszy się raz w teatrze nie zobaczył panny Izabeli.

Siedziała w łożu z ojcem i panną Florentyną, ubrana w białą suknię. Nie patrzyła na scenę, która w tej chwili skupiała uwagę wszystkich, ale gdzieś przed siebie, nie wiadomo gdzie i na co. Może myślała o Apollinie?...

Wokulski przypatrywał się jej cały czas.

Zrobiła na nim szczególne wrażenie. Zdawało mu się, że już kiedyś ją widział i że ją dobrze zna. Wpatrzył się lepiej w jej rozmarzone oczy i nie wiadomo skąd przypomniał sobie niezmierny spokój syberyjskich pustyń, gdzie bywa niekiedy tak cicho, że prawie słysząc szelest duchów wracających ku zachodowi¹⁹⁶. Dopiero później przyszło mu na myśl, że on nigdzie i nigdy jej nie widział, ale — że jest tak coś — jakby na nią od dawna czekał.

„Tyżeś to czy nie ty?...” — pytał się w duchu, nie mogąc od niej oczu oderwać.

Odtąd mało pamiętał o sklepie i o swoich książkach, lecz ciągle szukał okazji do widywania panny Izabeli w teatrze, na koncertach lub na odczytach. Uczuć swoich nie nazywałby miłością i w ogóle nie był pewny, czy dla oznaczenia ich istnieje w ludzkim języku odpowiedni wyraz. Czuł tylko, że stała się ona jakimś mistycznym punktem, w którym zbiegają się wszystkie jego wspomnienia, pragnienia i nadzieje, ogniskiem, bez którego życie nie miałoby stylu, a nawet sensu. Służba w sklepie kolonialnym, uniwersytet, Syberia, ożenienie się z wdową po Minclu, a w końcu mimowolne pójście do teatru, gdy wcale nie miał chęci — wszystko to były ścieżki i etapy, którymi los prowadził go do zobaczenia panny Izabeli.

Od tej pory czas miał dla niego dwie fazy. Kiedy patrzył na pannę Izabelę, czuł się absolutnie spokojnym i jakby większym; nie widząc — myślał o niej i tęsknił. Niekiedy zdawało mu się, że w jego uczuciach tkwi jakaś omyłka i że panna Izabela nie jest żadnym środkiem jego duszy, ale zwykłą, a może nawet bardzo pospolitą panną na wydaniu. A wówczas przychodził mu do głowy dziwny projekt:

„Zapoznam się z nią i wprost zapytam: czy ty jesteś tym, na co przez całe życie czekałem?... Jeżeli nie jesteś, odejdę bez pretensji i żalu...”

W chwilę później spostrzegł, że projekt ten zdradza umysłowe zboczenie. Kwestię więc: czym jest, a czym nie jest, odłożył na bok, a postanowił, bądź co bądź, zapoznać się z panną Izabelą.

Dzieciństwo

Handel, Nauka, Praca,
Syberia

Los, Miłość platoniczna
Teatr

Czas, Miłość platoniczna

Alkohol, Obyczaje, Pozycja
społeczna

¹⁹³Czerski Jan (1845–1892) — przyrodnik i geolog, zesłany w r. 1863 na Syberię, badał tam faunę i pokłady węgla.

¹⁹⁴Czekanowski Aleksander (1830–1876) — geograf i geolog, zesłany w r. 1863 na Syberię.

¹⁹⁵Dybowski Benedykt (1833–1930) — uczony polski, zesłany w r. 1864 na Syberię, badał tamtejszą przyrodę, antropologię i języki ludów syberyjskich.

¹⁹⁶*słysząc szelest duchów wracających ku zachodowi* — prawdopodobnie reminiscencja epizodu w *Anhellim* (1838) Juliusza Słowackiego, kiedy dusza bohatera, wywołana przez Szamana, pragnie powrócić do ojczyzny.

Wtedy przekonał się, że między jego znajomymi nie ma człowieka, który mógłby go wprowadzić do domu Łęckich. Co gorsze: pan Łęcki i panna byli klientami jego sklepu, lecz taki stosunek, zamiast ułatwić, utrudniał raczej znajomość.

Stopniowo sformułował sobie warunki zapoznania się z panną Izabelą. Ażeby mógł nic więcej tylko szczerze rozmówić się z nią, należało:

Nie być kupcem albo być bardzo bogatym kupcem.

Być co najmniej szlachcicem i posiadać stosunki w sferach arystokratycznych.

Nade wszystko zaś mieć dużo pieniędzy.

Wylegitymowanie się ze szlachectwa nie było rzeczą trudną.

W maju roku zeszłego Wokulski wziął się do tej sprawy, którą jego wyjazd do Bułgarii o tyle przyspieszył, że już w grudniu miał dyplom¹⁹⁷, z majątkiem było znacznie trudniej; w tym przecie dopomógł mu los.

W początkach wojny wschodniej¹⁹⁸ przejeżdżał przez Warszawę bogaty moskiewski kupiec, Suzin, przyjaciel Wokulskiego jeszcze z Syberii. Odwiedził Wokulskiego i gwałtem zachęcał go do przyjęcia udziału w dostawach dla wojska.

— Zbierz pieniądze, Stanisławie Piotrowiczu, ile się da — mówił — a uczciwe słowo, zrobisz okragły milionik!...

Następnie półgłosem wyłożył mu swoje plany.

Wokulski wysłuchał jego projektów. Do wykonania jednych nie chciał należeć, inne przyjął, lecz wahał się. Żał mu było opuścić miasto, w którym przynajmniej widywał pannę Izabelę. Ale gdy w czerwcu ona wyjechała do ciotki, a Suzin począł naglić go depeszami, Wokulski zdecydował się i podniósł całą gotówkę po żonie w ilości rs¹⁹⁹ trzydzieści tysięcy, którą nieboszczka trzymała nietykalną w banku.

Na kilka dni przed wyjazdem zaszedł do znajomego lekarza Szumana, z którym pomimo obustronnej życzliwości widywali się nieczęsto. Lekarz, Żyd, stary kawaler, żółty, mały, z czarną brodą, miał reputację dziwaka. Posiadając majątek leczył darmo i o tyle tylko, o ile było mu to potrzebnym do studiów etnograficznych²⁰⁰; przyjaciółom zaś swoim raz na zawsze dał jedną receptę:

„Używaj wszystkich środków, od najmniejszej dozy oleju do największej dozy strychniny, a coś ci z tego pomoże, nawet na — nosaciznę.”

Gdy Wokulski zadzwonił do mieszkania lekarza, ten właśnie był zajęty gatunkowaniem włosów rozmaitych osobników rasy słowiańskiej, germańskiej i semickiej i przy pomocy mikroskopu mierzył dłuższe i krótsze średnice ich przekrojów.

— A, jesteś?... — rzekł do Wokulskiego odwracając głowę. — Nałóż sobie fajkę, jeżeli chcesz, i kładź się na kanapie, jeżeli się zmieścisz.

Gość zapalił fajkę i położył się, jak mu kazano, doktor robił swoje. Przez pewien czas obaj milczeli, wreszcie odezwał się Wokulski:

— Powiedz mi: czy medycyna zna taki stan umysłu, w którym człowiekowi wydaje się, że jego rozproszone dotychczas wiadomości i... uczucia złączyły się jakby w jeden organizm?

— Owszem. Przy ciągłej pracy umysłowej i dobrym odżywianiu mogą wytworzyć się w mózgu nowe komórki albo — skojarzyć się między sobą dawne. No i wówczas z rozmaitych departamentów²⁰¹ mózgu i z rozmaitych dziedzin wiedzy tworzy się jedna całość.

— A co znaczy taki stan umysłu, w którym człowiek obojętnie dla śmierci, ale za to poczyną tęsknić do legend o życiu wiecznym?...

— Obojętność dla śmierci — odpowiedział doktor — jest cechą umysłów dojrzałych, a pociąg do życia wiecznego — zapowiedzią nadchodzącej starości.

Znowu umilkli. Gość palił fajkę, gospodarz kręcił się nad mikroskopem.

— Czy myślisz — spytał Wokulski — że można... kochać kobietę w sposób idealny, nie poążając jej?

Lekarz

Małżeństwo, Miłość
platoniczna, Pożądanie

¹⁹⁷dyplom — tu: dokument stwierdzający pochodzenie szlacheckie.

¹⁹⁸wojna wschodnia — wojna rosyjsko-turecka.

¹⁹⁹rs — skrót: rubli srebrnych.

²⁰⁰studia etnograficzne — zainteresowania Szumana zbliżają się raczej do antropologii.

²⁰¹departamenty — tu: w znaczeniu części.

— Naturalnie. Jest to jedna z masek, w którą lubi przebierać się instynkt utrwalenia gatunku.

— Instynkt — gatunek — instynkt utrwalenia czegoś i — utrwalenie gatunku!... — powtórzył Wokulski. — Trzy wyrazy, a cztery głupstwa.

— Zrób szóste — odpowiedział doktor nie odejmując oka od szkła — i ożeń się.

— Szóste?... — rzekł Wokulski podnosząc się na kanapie. — A gdzie piąte?

— Piąte już zrobiłeś: zakochałeś się.

— Ja?... W moim wieku?...

— Czterdzieści pięć lat — to epoka ostatniej miłości, najgorszej — odpowiedział doktor.

— Znaczący mówią, że pierwsza miłość jest najgorsza — szepnął Wokulski.

— Nieprawda. Po pierwszej czeka cię sto innych, ale po setnej pierwszej — już nic. Żeń się; jedyny to ratunek na twoją chorobę.

— Dlaczegoż ty się nie ożenił?

— Bo mi narzeczona umarła — odpowiedział doktor pochyliwszy się na tył fotelu i patrząc w sufit. — Więc zrobiłem, com mógł: otrujęm się chloroformem. Było to na prowincji. Ale Bóg zesłał dobrego kolegę, który wysadził drzwi i uratował mnie. Najpoddlejszy rodzaj miłosierdzia!... Ja zapłaciłem za drzwi zepsute, a kolega odziedziczył moją praktykę ogłosiwszy, że wariat...

Znowu wrócił do włosów i mikroskopu.

— A jaki z tego sens moralny dla ostatniej miłości? — spytał Wokulski.

— Ten, że samobójcom nie należy przeszkadzać — odpowiedział doktor.

Wokulski poleżał jeszcze z kwadrans, potem podniósł się, postawił w kącie fajkę i schyliwszy się nad doktorem ucałował go.

— Bywaj zdrow, Michale.

Doktor zerwał się od stołu.

— No?...

— Wyjeżdżam do Bułgarii

— Po co?

— Zostanę wojskowym dostawcą. Muszę zrobić duży majątek!... — odparł Wokulski.

— Albo?...

— Albo... nie wrócę.

Doktor popatrzył mu w oczy i mocno ścisnął go za rękę.

— *Sit tibi terra levis*²⁰² — rzekł spokojnie. Odprowadził go do drzwi i znowu wziął się do swojej roboty.

Już Wokulski był na schodach, gdy doktor wybiegł za nim i zawołał wychylając się przez poręcz:

— Gdybyś jednak wrócił, nie zapomnij przywieźć mi włosów: bułgarskich, tureckich i tak dalej, od obu płci. Tylko pamiętaj: w oddzielnych pakietach z notatkami. Wiesz przecie, jak to robić...

...Wokulski ocknął się z tych dawnych wspomnień.

Nie ma doktora ani jego mieszkania i nawet ich od dziesięciu miesięcy nie widział. Tu jest błotnista ulica Radna, tam Browarna. Na górze spoza nagich drzew wyglądają żółte gmachy uniwersyteckie; na dole parterowe domki, puste place i parkany, a niżej — Wisła.

Obok niego stał jakiś człowiek w wypłowiałej kapocie z rudawym zarostem. Zdjął czapkę i pocałował Wokulskiego w rękę. Wokulski przypatrzył mu się uważniej.

— Wysocki?... — rzekł. — Co ty tu robisz?

— Tu mieszkamy, wielmożny panie, w tym domu — odpowiedział człowiek wskazując na niską lepiankę.

— Dlaczego nie przyjeżdżasz po transporta²⁰³? — pytał Wokulski.

— Czym przyjadę, panie, kiedy jeszcze na Nowy Rok koń mi padł.

— Cóż robisz?

Samobójstwo

Korzyść, Miłosierdzie

Miasto, Warszawa

Bieda

²⁰²*Sit tibi terra levis* (łac.) — niech ci ziemia lekką będzie.

²⁰³*transporta* — dziś: transporty, towary do przewiezienia.

— A ot tak — razem nic. Zimowaliśmy u brata, co jest dróżnikiem na Wiedeńskiej Kolei²⁰⁴. Ale i jemu bieda, bo go ze Skierniewic²⁰⁵ przenieśli pod Częstochowę. W Skierniewicach ma trzy morgi²⁰⁶ i żył jak bogacz, a dzisiaj i on kiepski, i grunt wynędznije bez dozoru.

— No, a z wami co teraz?

— Kobieta niby trochę pierze, ale takim, co nie bardzo mają czym płacić, a ja — ot tak... Marniejemy, panie... nie pierwsi i nie ostatni. Jeszcze póki wielkiego postu, to człowiek krzepi się mówiący²⁰⁷: dzisiaj pościsz za dusze zmarłe, jutro na pamiątkę, że Chrystus Pan nic nie jadł, pojutrze, na intencję, ażeby Bóg złe odmienił. Zaś po świętach nie będzie nawet sposobu i dzieciom wytłumaczyć, na jaką intencję nie jedzą...

Ale i wielmożny pan coś markotnie wygląda? Taki już widać czas nastał, że wszyscy muszą zginąć — westchnął ubogi człowiek.

Wokulski zamyślił się.

— Komorne wasze zapłacone? — spytał.

— Nawet nie ma, panie, co płacić, bo nas i tak wypędzą.

— A dlaczego nie przyszedłeś do sklepu, do pana Rzeckiego? — spytał Wokulski.

— Nie śmiałem, panie. Koń odszedł, wóz u Żyda, kubrak na mnie jak na dziadzie...

Z czymże było przyjść i jeszcze ludziom głowę zaprzętać?...

Wokulski wydobył portmonetkę.

— Masz tu — rzekł — dziesięć rubli na święta. Jutro w południe przyjdiesz do sklepu i dostaniesz kartkę na Pragę. Tam u handlarza wybierzesz sobie konia, a po świętach przyjeżdżaj do roboty. U mnie zarobisz ze trzy ruble na dzień, więc dług spłacisz łatwo. Zresztą dasz sobie radę.

Ubogi człowiek dotknąwszy pieniędzy zaczął się trząść.

Uważnie słuchał Wokulskiego, a łzy spływały mu po wychudzonej twarzy.

— Czy panu powiedział kto — zapytał po chwili — że z nami jest... ot tak?... Bo już nam ktoś — dodał szeptem — przysyłał siostrę miłosierdzia, będzie z miesiąc. Mówiła, że muszę być ladaco, i dała nam kartkę na pud²⁰⁸ węgla z Żelaznej²⁰⁹ ulicy. Czy może pan tak sam z siebie?...

— Idź do domu, a jutro bądź w sklepie — odparł Wokulski.

— Idę, panie — odpowiedział człowiek kłaniając się do ziemi.

Odszedł, lecz przystawał na drodze; widocznie rozmyślał nad niespodziewanym szczęściem.

W tej chwili Wokulskiego tknęło szczególne przeczucie.

— Wysocki!... — zawołał. — A twemu bratu jak na imię?

— Kasper — odpowiedział człowiek wracając pędem.

— Przy jakiej mieszka stacji?

— Przy Częstochowie, panie.

— Idź do domu. Może Kaspra przeniosą do Skierniewic.

Ale ten zamiast iść, zbliżył się.

— Przepraszam, wielmożny panie — rzekł nieśmiało — ale jak mnie kto zaczepi: skąd mam tyle pieniędzy?...

— Powiedz, że na rachunek wzięłeś ode mnie.

— Rozumiem, panie... Bóg... niech Bóg...

Ale Wokulski już nie słuchał; szedł w stronę Wisły myśląc:

„Jakże oni szczęśliwi, ci wszyscy, w których tylko głód wywołuje apatię, a jedynym cierpieniem jest zimno. I jak łatwo ich uszczęśliwić!... Nawet moim skromnym majątkiem mógłbym wydźwignąć parę tysięcy rodzin. Nieprawdopodobne, a przecież — tak jest.”

Wokulski doszedł do brzegu Wisły i zdumiał się. Na kilkumorgowej²¹⁰ przestrzeni

Głód

Pozycja społeczna

Łzy, Pieniądz

Pieniądz

Bieda, Bogactwo, Głód,
Szczęście

Miasto, Warszawa, Woda,
Praca

²⁰⁴*Kolej Wiedeńska* — linia kolejowa Warszawa—Skierniewice—Koluszki—Piotrków—Częstochowa—Dąbrowa Górnicza na Kraków i Wiedeń, najdawniejsza w Królestwie Kongresowym, zbudowana w latach 1838–1848.

²⁰⁵Skierniewice — miasto powiatowe i węzeł kolejowy, 66 km na południowy zachód od Warszawy.

²⁰⁶*mórg* — miara powierzchni: mórg polski — ok. 55 arów.

²⁰⁷*człowiek krzepi się mówiący* — dawna forma imiesłowowa; dziś: człowiek krzepi się mówiąc.

²⁰⁸*pud* — rosyjska jednostka wagi, ok. 16 kg.

²⁰⁹ulica Żelazna — w zachodniej części Warszawy (w czasie wojny poważnie zniszczona).

wznosił się tu pagórek najobrzydliwszych śmieci, cuchnących, nieomal ruszających się pod słońcem, a o kilkadziesiąt kroków dalej leżały zbiorniki wody, którą piła Warszawa.

„O, tutaj — myślał — jest ognisko wszelkiej zarazy. Co człowiek dziś wyrzuci ze swego mieszkania, jutro wypije; później przenosi się na Powązki²¹¹ i z drugiej znowu strony miasta raz bliźnich pozostałych przy życiu.

Bulwar tutaj, kanały i woda źródłana na górze i — można by ocalić rokrocznie kilka tysięcy ludzi od śmierci, a kilkadziesiąt tysięcy od chorób... Niewielka praca, a zysk nieobliczony; natura umie wynagradzać.”

Na stoku i w szczelinach obmierzłego wzgórza spostrzegł niby postacie ludzkie. Było tu kilku drzemiących na słońcu pijaków czy złodziei, dwie śmieciarki i jedna kochająca się para, złożona z trędowatej kobiety i suchotniczego mężczyzny, który nie miał nosa. Zdawało się, że to nie ludzie, ale widma ukrytych tutaj chorób, które odziały się w wykopane w tym miejscu szmaty. Wszystkie te indywidua zwierzyły obcego człowieka; nawet śpiący podnieśli głowy i z wyrazem zdziżenia psów przypatrywali się gościowi.

Wokulski uśmiechnął się.

„Gdybym tu przyszedł w nocy, na pewno wyleczyliby mnie z melancholii. Jutro już spoczywałbym pod tymi śmieciami, które — wreszcie — są tak wygodnym grobem jak każdy inny. Na górze zrobiłby się wrzask, ścigano by i wyklinano tych pocziwców, a oni — może wyświadczyliby mi łaskę.

O, bo nie znają, w snach mogiłnych
Drzemiący, ciężkich trosk żywota,
I duch się ich już nie szamota
W pragnieniach — tęsknych a bezsilnych..

Ależ ja zaczynam być naprawdę sentymentalny?... muszę mieć nerwy dobrze rozbite. Bulwar jednak nie wytępiłby takich oto Mohikanów²¹²; przenieśliby się na Pragę albo za Pragę, uprawialiby w dalszym ciągu swoje rzemiosło, kochaliby się jak ta dwójeczka, ba, nawet mnożyliby się. Co za piękne, ojczyzno, będziesz miała potomstwo, urodzone i wychowane na tym śmietniku, z matki okrytej wysypką i beznosego ojca!...

Moje dzieci byłyby inne; po niej wzięłyby piękność, po mnie siłę... No, ale ich nie będzie. W tym kraju tylko choroba, nędza i zbrodnia znajdują weselne łożnice, nawet przytułki dla potomstwa.

Strach, co tu się stanie za kilka generacji... A przecie jest proste lekarstwo: praca obowiązkowa — słusznie wynagradzana. Ona jedna może wzmocnić lepsze indywidua, a bez krzyku wytępić złe i... mielibyśmy ludność dzielną, jak dziś mamy zagłodzoną lub chorą.”

A potem, nie wiadomo z jakiej racji, pomyślał:

„Cóż z tego, że trochę kokieteruje?... Kokieteria u kobiet jest jak barwa i zapach u kwiatów. Taka już ich natura, że każdemu chcą się podobać, nawet Mraczewskim...

Dla wszystkich kokieteria, a dla mnie: »zapłać temu panu!...« Może ona myśli, że ja oszukałem ich na kupnie srebra?... To byłoby kapitalne!”

Nad samym brzegiem Wisły leżał stos belek. Wokulski uczył znużenie, siadł i patrzył. W spokojnej powierzchni wody odbijała się Saska Kępa²¹³, już zieleniejąca, i praskie domy z czerwonymi dachami; na środku rzeki stała nieruchoma berlinka²¹⁴. Nie większym wydawał się ten okręt, który zeszłego lata widział Wokulski na Morzu Czarnym, unieruchomiony z powodu zepsucia się machin.

²¹⁰*kilkumorgowa* — od: morga, miara powierzchni ziemi, wynosząca 0,56 ha.

²¹¹Powązki — w północno-zachodniej części Warszawy; dzielnica cmentarzy (największy i najstarszy z nich — cmentarz katolicki, założony w 1791). W latach 1877–1881 śmiertelność wynosiła w Warszawie 36,8%; a po wybudowaniu wodociągów i kanalizacji spadła do 19,5%.

²¹²*Mohikanie* — wymarłe plemię Indian w Ameryce Północnej.

²¹³Saska Kępa — nazwą tą oznaczano wówczas naturalną wyspę na Wiśle, obejmującą wtedy część dzisiejszej Pragi i Grochowa; północna jej część znajdowała się naprzeciw Powiśla. Saska Kępa została później podzielona, najpierw na dwie części (przy budowie Mostu Poniatowskiego w latach 1904–1913), a następnie na trzy — po usypaniu Alei Waszyngtona w 1935 r. Dziś nazwą tą określa się dzielnicę nadwiślańską leżącą na południe od Mostu Poniatowskiego.

²¹⁴*berlinka* — duża łódź żaglowa z pomostem przykrywającym przewożony ładunek.

Natura

Choroba, Obcy

Dziecko, Dziedzictwo,
Ojczyzna

Choroba, Zbrodnia

Praca organiczna

Flirt

Warszawa

„Leciał jak ptak i nagle utknął; zabrakło w nim motoru. Spytałem się wówczas: a może i ja kiedyś stanę w biegu? — no, i stanąłem. Jakież to pospolite sprężyny wywołują ruch w świecie: trochę węgla ożywia okręt, trochę serca — człowieka...”

W tej chwili żółtawy, za wczesny motyl przeleciał mu nad głową w stronę miasta.

„Ciekawym, skąd on się wziął? — myślał Wokulski. — Natura miewa kaprysy i — analogie — dodał. — Motyle istnieją także w rodzaju ludzkim: piękna barwa, latanie nad powierzchnią życia, karmienie się słodzcami, bez których giną — oto ich zajęcie. A ty, robaku, nurtuj ziemię i przerabiaj ją na grunt zdolny do siewu. Oni bawią się, ty pracuj; dla nich istnieje wolna przestrzeń i światło, a ty ciesz się jednym tylko przywilejem: zrastania się, jeżeli cię rozdepcze ktoś nieuważny.

I tobież to wzdychać do motyla, głupi?... I dziwić się, że ma wstręt do ciebie?... Jakież łącznik może istnieć między mną i nią?...

No, gąsienica jest także podobna do robaka, póki nie zostanie motylem. Ach więc to ty masz zostać motylem, kupcze galanterijny? Dlaczegoż by nie? Ciągłe doskonalenie się jest prawem świata, a ileż to kupieckich rodów w Anglii zostało lordowskimi mościami?

W Anglii!... Tam jeszcze istnieje epoka twórcza w społeczeństwie; tam wszystko doskonali się i wstępuje na wyższe szczeble. Owszem, tam nawet ci wyżsi przyciągają do siebie nowe siły. Lecz u nas wyższa warstwa zakrzepła jak woda na mrozie i nie tylko wytworzyła osobny gatunek, który nie łączy się z resztą, ma do niej wstręt fizyczny, ale jeszcze własną martwością krępuje wszelki ruch z dołu. Co się tu ludzi: ona i ja to dwa różne gatunki istot, naprawdę jak motyl i robak. Mam dla jej skrzydeł opuszczać swoją norę i innych robaków?... To są moi — ci, którzy leżą tam na śmietniku, i może dlatego są nędzni, a będą jeszcze nędzniejsi, że ja chcę wydawać po trzydzieści tysięcy rubli rocznie na zabawę w motyla. Głupi handlarzu, podły człowieku!...

Trzydzieści tysięcy rubli znaczą tyle, co sześćdziesiąt drobnych warsztatów albo sklepików, z których żyją całe rodziny. I to ja mam byt ich zniszczyć, wyssać z nich ludzkie dusze i wypędzić na ten śmietnik?...

No dobrze, ale gdyby nie ona, czy miałbym dziś majątek?... Kto wie, co się stanie ze mną i z tymi pieniędzmi bez niej? Może właśnie dopiero przy niej nabiorą one twórczych własności; może choć kilkanaście rodzin z nich skorzysta?...

Wokulski odwrócił się i nagle zobaczył na ziemi swój własny cień. Potem przypomniał sobie, że ten cień chodzi przed nim, za nim albo obok niego zawsze i wszędzie, jak myśl o tamtej kobiecie chodziła za nim wszędzie i zawsze, na jawie i we śnie, mieszając się do wszystkich jego celów, planów i czynów.

„Nie mogę wyrzec się jej” — szepnął rozkładając ręce, jakby tłumaczył się komuś.

Wstał z belek i wrócił do miasta.

Idąc przez ulicę Obożną²¹⁵, przypomniał sobie furmana Wysockiego, któremu koń padł, i zdawało mu się, że widzi cały szereg wozów, przed którymi leżą padłe konie, cały szereg rozpaczających nad nimi furmanów, a przy każdym gromadę mizernych dzieci i żonę, która pierze bieliznę takim, co płacić nie mogą.

„Koń?...” — szepnął Wokulski i czegoś serce mu się ścisnęło.

Raz w marcu przechodząc Aleją Jerozolimską zobaczył tłum ludzi, czarny wóz węglański stojący w poprzek drogi pod bramą, a o parę kroków dalej wyprężonego konia.

— Co się to stało?

— Koń złamał nogę — odparł wesoło jeden z przechodniów, który miał fiołkowy szalik na szyi i trzymał ręce w kieszeniach.

Wokulski mimochodem spojrzął na delikwenta. Chudy koń z wytartymi bokami stał przywiązany do młodego drzewka unosząc w górę tylną nogę. Stał cicho, patrzył wywróconym okiem na Wokulskiego i gryzł z bólu gałązkę okrytą szronem.

„Dlaczego dziś dopiero przypomniał mi się ten koń? — myślał Wokulski — dlaczego ogarnia mnie taki żal?”

Szedł Obożną pod górę, rozmarzony, i czuł, że w ciągu kilku godzin, które spędził w nadrzecznej dzielnicy, zaszła w nim jakaś zmiana. Dawniej — dziesięć lat temu, rok temu, wczoraj jeszcze, przechodząc ulicami nie spotykał na nich nic szczególnego. Snu-li się ludzie, jeździły dorożki, sklepy otwierały gościnne objęcia dla przechodniów. Ale

Kondycja ludzka, Natura,
Praca

Motyl, Robak, Pozycja
społeczna

Mieszczanin, Szlachcic

Rewolucja

Społecznik, Pieniądz

Sobowtór

Pozycja społeczna

Koń

Cierpienie, Miłosierdzie,
Obraz świata

²¹⁵ulica Obożna — ulica w śródmieściu Warszawy, w czasie wojny zupełnie zniszczona, obecnie odbudowana.

teraz przybył mu jakby nowy zmysł. Każdy obdarty człowiek wydawał mu się istotą wołającą o ratunek tym głośniejsze, że nic nie mówił, tylko rzucał trwożne spojrzenia jak ów koń ze złamaną nogą. Każda uboga kobieta wydawała mu się praczką, która wyżartymi od mydła rękami powstrzymuje rodzinę nad brzegiem nędzy i upadku. Każde mizerne dziecko wydawało mu się skazanym na śmierć przedwczesną albo na spędzanie dni i nocy w śmietniku przy ulicy Dobrej.

I nie tylko obchodzili go ludzie. Czuł zmęczenie koni ciągnących ciężkie wozy i ból ich karków tartych do krwi przez chomąto. Czuł obawę psa, który szczekał na ulicy zgubiwszy pana, i rozpacz chudej suki z obwisłymi wymionami, która na próżno biegła od rynsztoka do rynsztoka szukając strawy dla siebie i szczeniąt. Jeszcze, na domiar cierpień, bolały go drzewa obdarte z kory, bruki podobne do powybijanych zębów, wilgoć na ścianach, połamane sprzęty i podarta odzież.

Zdawało mu się, że każda taka rzecz jest chora albo zraniona, że skarży się: „Patrz, jak cierpię...”, i że tylko on słyszy i rozumie jej skargi. A ta szczególna zdolność odczuwania cudzego bólu urodziła się w nim dopiero dziś, przed godziną.

Rzecz dziwna! przecie miał już ustaloną opinię hojnego filantropa. Członkowie Towarzystwa Dobroczynności we frakach składali mu podziękowania za ofiarę dla wiecznie łaknącej instytucji; hrabina Karolowa we wszystkich salonach opowiadała o pieniądzach, które złożył na jej ochronę; jego służba i subiektci sławili go za podwyższenie im pensji. Ale Wokulskiemu rzeczy te nie sprawiały żadnej przyjemności, tak jak on sam nie przywiązywał do nich żadnej wagi. Rzucał tysiące rubli do kas urzędowych dobroczyńców, ażeby kupić za to rozgłos nie pytając, co się robi z pieniędzmi.

I dopiero dziś, kiedy dziesięcioma rublami wydobyl człowieka z niedoli, kiedy nikt nie mógł głosić przed światem o jego szlachetności, dopiero dziś poznał: co to jest ofiara. Dopiero dziś przed jego zdumionym okiem stanęła nowa, nie znana dotychczas część świata — nędza, której trzeba pomagać.

„Tak, alboż ja dawniej nie widywałem nędzy?...” — szepnął Wokulski.

I przypomniał sobie całe szeregi ludzi obdartych, mizernych, a szukających pracy, chudych koni, głodnych psów, drzew z obdartą korą i połamanymi gałęziami. Wszystko to przecie spotykał bez wrażenia. I dopiero gdy wielki ból osobisty zaorał mu i zbronował duszę, na tym gruncie użyźnionym krwią własną i skropionym niewidzialnymi dla świata łzami wyrosła osobliwa roślina: współczucie powszechne, ogarniające wszystko — ludzi, zwierzęta, nawet przedmioty, które nazywają martwymi.

„Doktór powiedziałby, że utworzyła mi się nowa komórka w mózgu albo że połączyło się kilka dawnych” — pomyślał.

„Tak, ale co dalej?...”

Dotychczas bowiem miał tylko jeden cel: zbliżyć się do panny Izabeli. Dziś przybył mu drugi: wydobyć z niedostatku Wysockiego.

„Mała rzecz!...”

„Przenieś jego brata pod Skierniewice...” — dodał jakiś głos.

„Drobnostka.”

Ale poza tymi dwoma ludźmi stanęło zaraz kilku innych, za nimi jeszcze kilku, potem olbrzymi tłum borykający się z wszelkiego rodzaju nędzą i wreszcie — cały ocean cierpień powszechnych, które wedle sił należało zmniejszać, a przynajmniej powściągnąć od dalszego rozlewu.

„Przywidzenia... abstrakcyjne... zdenerwowanie!” — szepnął Wokulski.

To była jedna droga. Na końcu bowiem drugiej widział cel realny i jasno określony — pannę Izabelę.

„Nie jestem Chrystusem, ażeby poświęcać się za całą ludzkość.”

„Więc na początek zapomnij o Wysockich” — odparł głos wewnętrzny.

„No, głupstwo! Jakkolwiek jestem dziś rozkołysany, ależ nie mogę być śmieszny — myślał Wokulski. — Zrobię, co się da i komu można, lecz osobistego szczęścia nie wyrzeknę się, to darmo...”

W tej chwili stanął przed drzwiami swego sklepu i wszedł tam.

W sklepie zastał Wokulski tylko jedną osobę. Była to dama wysoka, w czarnych szatach, nieokreślonego wieku. Przed nią leżał stos neseserek: drewnianych, skórzanych,

Pieniądz, Sława

Bieda, Ofiara

Chrystus, Ofiara

Handel

pluszowych i metalowych, prostych i ozdobnych, najdroższych i najtańszych, a — wszyscy subiekci byli na służbie. Klein podawał coraz nowe neseserki, Mraczewski chwalił towar, a Lisiecki akompaniował mu ruchami ręki i brody. Tylko pan Ignacy wybiegł naprzeciw pryncypała.

— Z Paryża przyszedł transport — rzekł do Wokulskiego. — Myślę, że trzeba odebrać jutro.

— Jak chcesz.

— Z Moskwy obstalunki za dziesięć tysięcy rubli, na początek maja.

— Spodziewałem się.

— Z Radomia za dwieście rubli, ale furman upomina się na jutro.

Wokulski ruszył ramionami.

— Trzeba raz zerwać z tym kramarstwem — odezwał się po chwili. — Interes żaden, a wymagania ogromne.

— Zerwać z naszymi kupcami?... — spytał zdziwiony Rzecki.

— Zerwać z Żydami — wtrącił półgłosem Lisiecki. — Bardzo dobrze robi szef wycofując się z tych parszywych stosunków. Nieraz aż wstyd wydawać reszty, tak pieniądze zalatują cebulą.

Wokulski nic nie odpowiedział. Usiadł do swej księgi i udawał, że rachuje, ale naprawdę nie robił nic, nie miał siły. Przypomnił sobie tylko swoje niedawne marzenia o uszczęśliwieniu ludzkości i osądził, że musi być mocno zdenerwowany.

„Rozigrał się we mnie sentymentalizm i fantazja — myślał. — Zły to znak. Mogę ośmieszyć się, zrujnować...”

I machinalnie przypatrywał się niezwyklej fizjonomii damy, która wybierała neseserki. Była ubrana skromnie, miała gładko uczesane włosy. Na jej twarzy białej i razem żółtej malował się głęboki smutek; spoza ust przyciętych wyglądała złość, a ze spuszczonej oczu błyskał czasami gniew, niekiedy pokora.

Mówiła głosem cichym i łagodnym, a targowała się jak stu skąpców. To było za drogie, tamto za tanie; tu plusz stracił barwę, tam zaraz odlezie skórka, a ówdzie ukazuje się rdza na okuciach. Lisiecki już cofnął się od niej rozniewany, Klejn odpoczywał, a tylko Mraczewski rozmawiał z nią jak z osobą znajomą.

W tej chwili otworzyły się drzwi sklepu i ukazał się w nich — jeszcze oryginalniejszy jegomość. Lisiecki powiedział o nim, że jest podobny do suchotnika, któremu w trumnie zaczęły odrastać wąsy i faworyty. Wokulski zauważył, że gość ma gapiowato otwarte usta, a za ciemnymi binoklami nosi duże oczy, z których przeglądało jeszcze większe roztargnienie.

Gość wszedł kończąc rozmowę z kimś na ulicy, lecz wnet cofnął się, aby swego towarzysza pożegnać. Potem znowu wszedł i znowu cofnął się zadzierając do góry głowę, jakby czytał szyld. Nareszcie wszedł na dobre, ale drzwi za sobą nie zamknął. Wypadkowo spojrzął na damę i — spadły mu z nosa ciemne binokle.

— A... a... a!... — zawołał.

Ale dama gwałtownie odwróciła się od niego do neseserek i upadła na krzesło.

Do przybyścia wybiegł Mraczewski i uśmiechając się dwuznacznie, zapytał:

— Pan baron rozkaże?...

— Spinki, uważa pan, spinki zwyczajne, złote albo stalowe... Tylko, rozumie pan, muszą być w kształcie czapki dżokejskiej i — z biczem...

Mraczewski otworzył gablotkę ze spinkami.

— Wody... — odezwała się dama słabym głosem.

Rzecki nalał jej wody z karafki i podał z oznakami współczucia.

— Pani dobrodzieje słabo?... Może by doktora...

— Już mi lepiej — odparła.

Baron oglądał spinki, ostentacyjnie odwracając się tyłem do damy.

— A może, czy nie sądzi pan, byłyby lepsze spinki w formie podków? — pytał Mraczewskiego.

— Myślę, że panu baronowi potrzebne są i te, i te. Sportsmeni noszą tylko oznaki sportsmeńskie, ale lubią odmianę.

— Powiedz mi pan — odezwała się nagle dama do Klejna — na co podkowy ludziom, którzy nie mają za co utrzymywać koni?...

Żyd, Antysemityzm

Handel

— Otóż, proszę pana — mówił baron — wybrać mi jeszcze parę drobiazgów w formie podkowy...

— Może by popielniczkę? — zapytał Mraczewski.

— Dobrze, popielniczkę — odparł baron.

— Może gustowny kałamarz z siodłem, dżokejką, szpicrutą²¹⁶?

— Proszę o gustowny kałamarz z siodłem i dżokejką...

— Powiedz mi pan — mówiła dama do Klejna podniesionym głosem — czy wam nie wstyd zwozić tak kosztowne drobiazgi, kiedy kraj jest zrujnowany?... Czy nie wstyd kupować konie wyścigowe...

— Drogi panie — zawołał nie mniej głośno baron do Mraczewskiego — zapakuj wszystkie te garnitury, popielniczkę, kałamarz i odeszlij²¹⁷ mi do domu. Macie prześliczny wybór towarów... Serdecznie dziękuję... *Adieu!*...

I wybiegł ze sklepu wracając się parę razy i spoglądając na szyld nad drzwiami.

Po odejściu oryginalnego barona w sklepie zapanowało milczenie. Rzecki patrzył na drzwi, Klejn na Rzeckiego, a Lisiecki na Mraczewskiego, który znajdując się z tyłu damy krzywił się w sposób bardzo dwuznaczny.

Dama z wolna podniosła się z krzesła i zbliżyła się do kantorka, za którym siedział Wokulski.

— Czy mogę spytać — rzekła drżącym głosem — ile panu winien jest ten pan, który dopiero co wyszedł?...

— Rachunki tego pana ze mną, szanowna pani, gdyby je miał, należą tylko do niego i do mnie — odpowiedział Wokulski kłaniając się.

— Panie — ciągnęła dalej rozdrażniona dama — jestem Krzeszowska, a ten pan jest moim mężem. Długi jego obchodzą mnie, ponieważ on zagarnął mój majątek, o który w tej chwili toczy się między nami proces...

— Daruje pani — przerwał Wokulski — ale stosunki między małżonkami do mnie nie należą.

— Ach, więc tak?... Zapewne, że dla kupca jest to najwygodniej. *Adieu.*

I opuściła sklep trzaskając drzwiami.

W kilka minut po jej odejściu wbiegł do sklepu baron. Parę razy wyjrzał na ulicę, a następnie zbliżył się do Wokulskiego.

— Najmocniej przepraszam — rzekł usiłując utrzymać binokle na nosie — ale jako stały gość pański, ośmielię się w zaufaniu zapytać: co mówiła dama, która wyszła przed chwilą?... Bardzo przepraszam za moją śmiałość, ale w zaufaniu...

— Nic nie mówiła, co by kwalifikowało się do powtórzenia — odparł Wokulski.

— Bo uważa pan, jest to, niestety! moja żona... Pan wie, kto jestem... Baron Krzeszowski... Bardzo zacna kobieta, bardzo światła, ale skutkiem śmierci naszej córki trochę zdenerwowana i niekiedy... Pojmuje pan?... Więc nic?...

— Nic.

Baron uklonił się i już we drzwiach skrzyżował spojrzenia z Mraczewskim, który mrugnął na niego.

— Więc tak?... — rzekł baron, ostro patrząc na Wokulskiego.

I wybiegł na ulicę. Mraczewski skamieniał i oblał się rumieńcem powyżej włosów. Wokulski trochę pobladł, lecz spokojnie usiadł do rachunków.

— Cóż to za oryginalne diabły, panie Mraczewski? — spytał Lisiecki.

— A to cała historia! — odparł Mraczewski przypatrując się spod oka Wokulskiemu. — Jest to baron Krzeszowski, wielki dziwak, i jego żona, trochę narwana. Nawet skuzynowani ze mną, ale cóż!... — westchnął spoglądając w lustro. — Ja nie mam pieniędzy, więc muszę być w handlu; oni jeszcze mają, więc są moimi kundmanami...

— Mają bez pracy!... — wtrącił Klejn. — Ładny porządek świata, co?

— No, no... już mnie pan do swoich porządków nie nawracaj — odparł Mraczewski. — Otóż pan baron i pani baronowa od roku prowadzą ze sobą wojnę. On chce rozwodu, na co ona się nie zgadza; ona chce przepędzić go od zarządu swoim majątkiem, na co on się nie zgadza. Ona nie pozwala mu trzymać koni, szczególnie jednego wyścigowca; a on

Handel, Mąż, Żona

Handel, Pozycja społeczna

²¹⁶*szpicruta* — giętki pręt, zazwyczaj obciągnięty skórą, używany przy jeździe konnej.

²¹⁷*odeszlij* — dziś: odesłaj.

nie pozwala jej kupić kamienicy po Łęckich, w której pani Krzeszowska mieszka i gdzie straciła córkę. Oryginały!... Bawią ludzi wymyślając jedno na drugie...

Opowiadał lekkim tonem i kręcił się po sklepie z miną panicza, który przyszedł tu na chwilę, ale zaraz wyjdzie. Wokulski mienił się siedząc na fotelu; już nie mógł znieść głosu Mraczewskiego.

„Kuzyn Krzeszowskich... — myślał. — Dostanie bilet miłosny od panny Izabeli... A, infamis!...”

I przemógłszy się wrócił do swej księgi. Do sklepu znowu poczęli wchodzić goście, wybierać towary, targować się, płacić. Ale Wokulski widział tylko ich cienie, pogrążony w pracy. A im dłuższe sumował kolumny, im większe wypadały mu sumy, tym bardziej czuł, że w sercu kipi mu jakiś gniew bezimienny. O co?... na kogo?... mniejsza. Dosyć, że ktoś za to zapłaci, pierwszy z brzegu.

Okolo siódmej sklep już stanowczo wyludnił się, subiekci rozmawiali, Wokulski wciąż rachował. Wtem znowu usłyszał nieznosny głos Mraczewskiego, który mówił aroganckim tonem:

— Co mi pan, panie Klejn, będzie zawracał głowę!... Wszyscy socjaliści są złodzieje, bo chcieliby dzielić się cudzym, i — szubrawcy, bo mają na dwu jedną parę butów i nie wierzą w chustki do nosa.

— Nie mówiłbyś pan tak — odparł smutnie Klejn — gdybyś przeczytał choć z parę broszurek, nawet niedużych.

— Błaźństwo... — przerwał Mraczewski włożywszy ręce w kieszenie. — Będę czytał broszury, które chcą zniszczyć rodzinę, wiarę i własność!... No, takich głupich nie znajdziesz pan w Warszawie.

Wokulski zamknął księgę i włożył ją do kantorka. W tej chwili znowu weszły do sklepu trzy panie żądając rękawiczek.

Targ z nimi przeciągnął się z kwadrans. Wokulski siedział na fotelu i patrzył w okno; gdy zaś damy wyszły, odezwał się tonem bardzo spokojnym:

— Panie Mraczewski.

— Co pan każe?... — spytał piękny młodzieniec biegnąc do kantorka krokiem kontredansowym²¹⁸.

— Od jutra niech pan postara się o inne miejsce — rzekł krótko Wokulski.

Mraczewski osłupiał.

— Dlaczego, panie szefie?... Dlaczego?...

— Dlatego, że u mnie już pan nie ma miejsca.

— Jakież powód?... Przecie chyba nic złego nie zrobiłem? Gdzież pójde, jeżeli pan tak nagle pozbawi mię posady?...

— Świadeństwo dostanie pan dobre — odparł Wokulski. — Pan Rzecki wypłaci panu pensję za następny kwartał, wreszcie — za pięć miesięcy... A powód jest ten, że ja i pan nie pasujemy do siebie... Zupełnie nie pasujemy. — Mój Ignacy, zrób z panem Mraczewskim rachunek do pierwszego października.

To powiedziawszy Wokulski wstał z fotelu i wyszedł na ulicę.

Dymisja Mraczewskiego zrobiła takie wrażenie, że subiekci nie przemówili między sobą ani słowa, a pan Rzecki kazał zamknąć sklep, chociaż nie było jeszcze ósmej. Pobiegł zaraz do mieszkania Wokulskiego, lecz go tam nie zastał. Przyszedł drugi raz o jedynastej w nocy, lecz w oknach było ciemno, i pan Ignacy wrócił do siebie zgnębiony.

Na drugi dzień, w Wielki Czwartek, Mraczewski już nie pokazał się w sklepie. Pozostali koledzy jego byli smutni i czasem naradzali się między sobą po cichu.

Okolo pierwszej przyszedł Wokulski. Lecz nim usiadł do kantorka, otworzyły się drzwi i zwykłym wahającym się krokiem wbiegł pan Krzeszowski zadając sobie wiele trudu nad osadzeniem binokli na nosie.

— Panie Wokulski — zawołał roztargniony gość, prawie ode drzwi. — W tej chwili dowiaduję się... Jestem Krzeszowski... Dowiaduję się, że ten biedny Mraczewski z mojej winy otrzymał dymisję. Ależ, panie Wokulski, ja wczoraj bynajmniej nie miałem pretensji do pana... Ja szanuję dyskrecję, jaką okazał pan w sprawie mojej i mojej żony... Ja wiem, że pan jej odpowiedział, jak przystało na dżentelmena...

²¹⁸krok kontredansowy — kontredans: taniec zbiorowy z różnymi figurami.

— Panie baronie — odparł Wokulski — ja nie prosiłem pana o świadectwo przyzwoitości. Poza obrębem tego — co pan każe?...

— Przyszedłem prosić o przebaczenie biednemu Mraczewskiemu, który nawet...

— Do pana Mraczewskiego nie mam żadnej pretensji, nawet tej, ażeby do mnie wracał.

Baron przygryzł wargi. Chwilę milczał, jakby odurzony szorstką odmową; na koniec uklonił się i cicho powiedział: „Przepraszam...”, opuścił sklep.

Panowie Klejn i Lisiecki cofnęli się za szafy i po krótkiej naradzie wrócili do sklepu, od czasu do czasu rzucając na siebie smutne, lecz wymowne spojrzenia.

Okolo trzeciej po południu ukazała się pani Krzeszowska. Zdawało się, że jest bledsza, żółciejsza i jeszcze czarniej ubrana niż wczoraj. Lękliwie obejrzała się po sklepie, a spostrzegłszy Wokulskiego zbliżyła się do kantorka.

— Panie — rzekła cicho — dziś dowiedziałam się, że pewien młody człowiek, Mraczewski, z mojej winy stracił u pana miejsce. Jego nieszczęśliwa matka...

— Pan Mraczewski już nie jest u mnie i nie będzie — odparł Wokulski z ukłonem. — Czym więc mogę pani służyć?...

Pani Krzeszowska miała widocznie ułożoną dłuższą mowę. Na nieszczęście, spojrzała Wokulskiemu w oczy i... z wyrazem: „Przepraszam...”, wyszła ze sklepu.

Panowie Klejn i Lisiecki — mrugnęli na siebie wymowniej niż dotychczas, lecz po przestali na jednomysłnym wzruszeniu ramionami.

Dopiero okolo piątej po południu zbliżył się do Wokulskiego Rzecki. Oparł ręce na kantorku i rzekł półgłosem:

— Matka tego Mraczewskiego, Staśku, jest bardzo biedna kobieta...

— Zapłać mu pensję do końca roku — odparł Wokulski.

— Myślę... Stasiu, myślę, że nie można aż tak karać człowieka za to, że ma inne niż my przekonania polityczne...

— Polityczne?... — powtórzył Wokulski takim tonem, że panu Ignacemu przeszedł mróz po kościach...

— Zresztą, powiem ci — ciągnął dalej pan Ignacy — szkoda takiego subiekta. Chłopak piękny, kobiety go pasjami lubią...

— Piękny? — odparł Wokulski. — Więc niech pójdzie na utrzymanie, jeżeli taki piękny.

Pan Ignacy cofnął się. Panowie Lisiecki i Klejn już nawet nie spoglądali na siebie.

W godzinę później przyszedł do sklepu niejaki pan Zięba, którego Wokulski przedstawił jako nowego subiekta.

Pan Zięba miał okolo lat trzydziestu; był może tak przystojny jak Mraczewski, ale wyglądał nierównie poważniej i taktowniej. Nim sklep zamknięto, już zaznajomił się, a nawet zdobył przyjaźń swoich kolegów. Pan Rzecki odkrył w nim zagorzałego bonapartystę; pan Lisiecki wyznał, że on sam obok Zięby jest bardzo bladym antysemitą, a pan Klejn doszedł do wniosku, że Zięba musi być co najmniej biskupem socjalizmu.

Słowem, wszyscy byli kontenci, a pan Zięba spokojny.

Polityka

IX. KŁADKI, NA KTÓRYCH SPOTYKAJĄ SIĘ LUDZIE RÓŻNYCH ŚWIATÓW

W Wielki Piątek z rana Wokulski przypomniał sobie, że dziś i jutro hrabina Karolowa i panna Izabela będą kwestowały przy grobach.

„Trzeba tam pójść i coś dać — pomyślał i wyjął z kasy pięć złotych pólimperiałów²¹⁹. — Chociaż — dodał po chwili — posłałem im już dywany, ptaszki śpiewające, pozytywkę, nawet fontannę!... To chyba wystarczy na zbawienie jednej duszy. Nie pójde.”

Po południu jednak zrobił sobie uwagę, że może hrabina Karolowa liczy na niego. A w takim razie nie wypada cofać się lub złożyć tylko pięć pólimperiałów. Wydobył więc z kasy jeszcze pięć i wszystkie zawiązał w bibułę.

„Co prawda — mówił do siebie — będzie tam panna Izabela, a tej nie można ofiarować dziesięciu pólimperiałów.”

Pieniądz

²¹⁹pólimperiał — dawna moneta rosyjska wartości 5 rubli srebrnych.

Więc rozwinął swój rulon, znowu dołożył dziesięć sztuk złota i jeszcze raz namyślał się: „Iść czy nie iść?...”

„Nie — powiedział — nie będę należał do tej jarmarcznej dobroczynności.”

Rzucił rulon do kasy i w piątek nie poszedł na groby.

Ale w Wielką Sobotę sprawa przedstawiła mu się całkiem z nowego punktu.

„Oszałam! — mówił. — Więc jeżeli nie pójdę do kościoła, gdzie ją spotkam?... Jeżeli nie pieniędzmi, czym zwrócę na siebie jej uwagę?... Tracę rozsądek...”

Lecz jeszcze wahał się i dopiero około drugiej po południu, gdy Rzecki z powodu święta kazał już sklep zamykać, Wokulski wziął z kasy dwadzieścia pięć pólimperiałów i poszedł w stronę kościoła²²⁰.

Nie wszedł tam jednak od razu; coś go zatrzymywało. Chciał zobaczyć pannę Izabelę, a jednocześnie lękał się tego i wstydził się swoich pólimperiałów.

„Rzucić stos złota!... Jakie to imponujące w papierowych czasach²²¹ i — jakie to drobkiewiczowskie... No, ale co robić, jeżeli one właśnie na pieniądze czekają?... Może nawet będzie za mało?...”

Chodził tam i na powrót po ulicy naprzeciw kościoła nie mogąc od niego oczu odebrać.

„Już idę — myślał. — Zaraz... jeszcze chwilę... Ach, co się ze mną stało!...” — dodał czując, że jego rozdarta dusza nawet na tak prosty czyn nie może zdobyć się bez wahań.

Teraz przypomniał sobie: jak on dawno nie był w kościele.

„Kiedyż to?... Na ślubie raz... Na pogrzebie żony drugi raz...”

Lecz i w tym, i w tamtym wypadku nie wiedział dobrze, co się koło niego dzieje; więc patrzył w tej chwili na kościół jak na rzecz zupełnie nową dla siebie.

„Co to jest za ogromny gmach, który zamiast kominów ma wieże, w którym nikt nie mieszka, tylko śpią prochy dawno zmarłych?... Na co ta strata miejsca i murów, komu dniem i nocą pali się światło, w jakim celu schodzą się tłumy ludzi?...”

Na targ idą po żywność, do sklepów po towary, do teatru po zabawę, ale po co tutaj?...”

Mimo woli porównywał drobny wzrost stojących pod kościołem pobożnych z olbrzymimi rozmiarami świętego budynku i przyszła mu myśl szczególna. Że jak kiedyś na ziemi pracowały potężne siły dźwigając z płaskiego ładu łańcuchy gór, tak kiedyś w ludzkości istniała inna niezmierna siła, która wydzwignęła tego rodzaju budowle. Patrząc na podobne gmachy można by sądzić, że w głębi naszej planety mieszkali olbrzymowie, którzy wydzierając się gdzieś w górę, podważali skorupę ziemską i zostawiali ślady tych ruchów w formie imponujących jaskiń.

„Dokąd oni wydzielali się? Do innego, podobno wyższego świata. A jeżeli morskie przypływy dowodzą, że księżyc nie jest złudnym blaskiem, tylko realną rzeczywistością, dlaczego te dziwne budynki nie miałyby stwierdzać rzeczywistości innego świata?... Czyliż on słabiej pociąga za sobą dusze ludzkie aniżeli księżyc fale oceanu?...”

Wszedł do kościoła i zaraz na wstępie znowu uderzył go nowy widok. Kilka żebraków i żebraków błagało o jałmużnę, którą Bóg zwróci litościwym w życiu przyszłym. Jedni z pobożnych całowali nogi Chrystusa umęczonego przez państwo rzymskie, inni w progu upadłszy na kolana wznosili do góry ręce i oczy, jakby zapałtrzeni w nadziejską wizję. Kościół pogrążony był w ciemności, której nie mógł rozprościć blask kilkunastu świec płonących w srebrnych kandelabrach. Tu i ówdzie na posadzce świątyni widać było niewyraźne cienie ludzi leżących krzyżem albo zgiętych ku ziemi, jakby kryli się ze swoją pobożnością pełną pokory. Patrząc na te ciała nieruchome można było myśleć, że na chwilę opuściły je dusze i uciekły do jakiegoś lepszego świata.

„Rozumiem teraz — pomyślał Wokulski — dlaczego odwiedzanie kościołów umacnia wiarę. Tu wszystko urządzone jest tak, że przypomina wieczność.”

Od pogrążonych w modlitwie cieniów wzrok jego pobiegł ku światłu. I zobaczył w różnych punktach świątyni stoły okryte dywanami, na nich tace pełne bankocetli²²²,

²²⁰poszedł w stronę kościoła — mowa o kościele św. Józefa (Karmelitów) na Krakowskim Przedmieściu. Wśród wielu cennych rzeźb kościelnych znajduje się tam m.in. Chrystus w grobie dłuta Oskara Sosnowskiego (1810–1886). Kościół Karmelitów ocalał w całości, a wewnątrz jego zgodne jest nadal z opisem Prusa.

²²¹papierowe czasy — okres dewaluacji pieniędzy papierowych, drukowanych w nadmiarze przez rząd rosyjski w czasie wojny z Turcją.

²²²bankocetle — banknoty.

Pieniądz

Pieniądz

Żebrak

srebra i złota, a dokoła nich damy siedzące na wygodnych fotelach, odziane w jedwab, pióra i aksamity, otoczone wesołą młodzieżą. Najpobożniejsze pukały na przechodniów, wszystkie rozmawiały i bawiły się jak na raucie.

Zdawało się Wokulskiemu, że w tej chwili widzi przed sobą trzy światy. Jeden (dawno już zeszedł z ziemi), który modlił się i dźwigał na chwałę Boga potężne gmachy. Drugi, ubogi i pokorny, który umiał modlić się, lecz wznosił tylko lepianki, i — trzeci, który dla siebie murował pałace, ale już zapomniiał o modlitwie i z domów bożych zrobił miejsce schadzek; jak niefrasobliwe ptaki, które budują gniazda i zawodzą pieśni na grobach poległych bohaterów.

„A czymże ja jestem, zarówno obcy im wszystkim?...”

„Może jesteś okiem żelaznego przetaka, w który rzucę ich wszystkich, aby oddzielić stęchłe plewy od ziarna” — odpowiedział mu jakiś głos.

Wokulski obejrzał się. „Przywidzenie chorej wyobraźni.” Jednocześnie przy czwartym stole, w głębi kościoła, spostrzegł hrabinę Karolową i pannę Izabelę. Obie również siedziały nad tacą z pieniędzmi i trzymały w rękach książki, zapewne do nabożeństwa. Za krzesłem hrabiny stał służący w czarnej liberii.

Wokulski poszedł ku nim potracając klęczących i omijając inne stoły, przy których pukano na niego zawzięcie. Zbliżył się do tacy i ukłoniwszy się hrabinie, położył swój rulon imperialów²²³.

„Boże — pomyślał — jak ja głupio muszę wyglądać z tymi pieniędzmi.”

Hrabina odłożyła książkę.

— Witam cię, panie Wokulski — rzekła. — Wiesz, myślałam, że już nie przyjdiesz, i powiem ci, że nawet było mi trochę przykro.

— Mówiłam cioci, że przyjdzie, i do tego z workiem złota — odezwała się po angielsku panna Izabela.

Hrabinie wystąpił na czoło rumieniec i gęsty pot. Złękła się słów siostrzenicy przypuszczając, że Wokulski rozumie po angielsku.

— Proszę cię, panie Wokulski — rzekła prędko — siądź tu na chwilę, bo delegowany²²⁴ nas opuścił. Pozwolisz, że ułożę twoje imperiały na wierzchu, dla zawstydzenia tych panów, którzy wolą wydawać pieniądze na szampana...

— Ależ niech się ciocia uspokoi — wtrąciła panna Izabela znowu po angielsku. — On z pewnością nie rozumie...

Tym razem i Wokulski zarumieniał się.

— Proszę cię, Belu — rzekła hrabina tonem uroczystym — pan Wokulski... który tak hojną ofiarę złożył na naszą ochronę...

— Słyszałam — odpowiedziała panna Izabela po polsku, na znak powitania przymykając powieki.

— Pani hrabina — rzekł trochę żartobliwie Wokulski — chce mnie pozbawić zasługi w życiu przyszłym, chwając postęпки, które zresztą mogłem spełniać w widokach zysku.

— Domyślałam się tego — szepnęła panna Izabela po angielsku.

Hrabina o mało nie zemdląła czując, że Wokulski musi domyślać się znaczenia słów jej siostrzenicy, choćby nie znał żadnego języka.

— Możesz, panie Wokulski — rzekła z gorączkowym pośpiechem — możesz łatwo zdobyć sobie zasługę w życiu przyszłym, choćby... przebacząc urazy...

— Zawsze je przebaczam — odparł nieco zdziwiony.

— Pozwól sobie powiedzieć, że nie zawsze — ciągnęła hrabina. — Jestem stara kobieta i twoja przyjaciółka, panie Wokulski — dodała z naciskiem — więc zrobisz mi pewne ustępstwo...

— Czekam na rozkazy pani.

— Onegdaj dałeś dymisję jednemu z twoich... urzędników, niejakiemu Mraczewskiemu...

— Za cóż to?... — nagle odezwała się panna Izabela.

— Nie wiem — rzekła hrabina. — Podobno chodziło o różnicę przekonań politycznych czy coś w tym guście...

Pozycja społeczna

Pieniądz

²²³imperial — dawna złota moneta rosyjska wartości dziesięciu rubli srebrnych.

²²⁴delegowany — z Towarzystwa Dobroczynności do udziału w kweście.

— Więc ten młody człowiek ma przekonania?... — zawołała panna Izabela. — To ciekawe!...

Powiedziała to w sposób tak zabawny, że Wokulski poczuł, jak ustępuje mu z serca niechęć do Mraczewskiego.

— Nie o przekonania chodziło, pani hrabino — odezwał się — ale o nietaktowne uwagi o osobach, które odwiedzają nasz magazyn.

— Może te osoby same postępują nietaktownie — wtrąciła panna Izabela.

— Im wolno, one za to płacą — odpowiedział spokojnie Wokulski. — Nam nie.

Silny rumieniec wystąpił na twarz panny Izabeli. Wzięła książkę i zaczęła czytać.

— Ale swoją drogą dasz się ubłagać, panie Wokulski — rzekła hrabina. — Znam matkę tego chłopca, i wierz mi, że przykro patrzeć na jej rozpacz...

Wokulski zamyślił się.

— Dobrze — odpowiedział — dam mu posadę, ale w Moskwie.

— A jego biedna matka?... — zapytała hrabina tonem proszącym.

— Więc podwyższę mu o dwieście... o trzysta rubli pensję — odparł.

W tej chwili zbliżyło się do stołu kilkoro dzieci, którym hrabina zaczęła rozdawać obrazki. Wokulski wstał z fotelu i aby nie przeszkadzać pobożnym zajęciom, przeszedł na stronę panny Izabeli.

Panna Izabela podniosła oczy od książki i dziwnym wzrokiem patrząc na Wokulskiego spytała:

— Pan nigdy nie cofa swoich postanowień?

— Nie — odpowiedział. Ale w tej chwili spuścił oczy.

— A gdybym poprosiła za tym młodym człowiekiem?...

Wokulski spojrzał na nią zdumiony.

— W takim razie odpowiedziałbym, że pan Mraczewski stracił miejsce, ponieważ nie-stosownie odzywał się o osobach, które zaszczyliły go trochę łaskawszym tonem w rozmowie... Jeżeli jednak pani każe...

Teraz panna Izabela spuściła oczy, zmieszana w wysokim stopniu.

— A... a!... wszystko mi jedno w rezultacie, gdzie osiedli się ten młody człowiek. Niech jedzie i do Moskwy.

— Tam też pojedzie — odparł Wokulski. — Moje uszanowanie paniom — dodał kłaniając się.

Hrabina podała mu rękę.

— Dziękuję ci, panie Wokulski, za pamięć i prośbę, ażebyś przyszedł do mnie na święcone. Bardzo cię proszę, panie Wokulski — dodała z naciskiem.

Nagle spostrzegłszy jakiś ruch na środku kościoła zwróciła się do służącego:

— Idźże, mój Ksawery, do pani prezesowej i proś, ażeby nam pozwoliła swego powozu. Powiedz, że nam koń zachorował.

— Na kiedy jaśnie pani rozkaże? — spytał służący.

— Tak... za półtorej godziny. Prawda, Belu, że nie posiedzimy tu dłużej?

Służący podszedł do stołu przy drzwiach.

— Więc do jutra, panie Wokulski — rzekła hrabina. — Spotkasz u mnie wielu znajomych. Będzie kilku panów z Towarzystwa Dobroczynności...

„Aha!...” — pomyślał Wokulski żegnając hrabinę. Czuł dla niej w tej chwili taką wdzięczność, że na jej ochronę oddałby połowę majątku.

Panna Izabela z daleka kiwnęła mu głową i, znowu spojrzała w sposób, który wydał mu się bardzo niezwykłym. A gdy Wokulski zniknął w cieniach kościoła, rzekła do hrabiny:

— Cioteczka kokietuje tego pana. Ej! ciociu, to zaczyna być podejrzone...

— Twój ojciec ma słuszność — odparła hrabina — ten człowiek może być użyteczny. Zresztą za granicą podobne stosunki należą do dobrego tonu.

— A jeżeli te stosunki przewrócą mu w głowie?... — spytała panna Izabela.

— W takim razie dowiódłby, że ma słabą głowę — odpowiedziała krótko hrabina biorąc się do książki nabożnej.

Wokulski nie opuścił kościoła, ale w pobliżu drzwi skręcił w boczną nawę. Tuż przy grobie Chrystusa, naprzeciw stolika hrabiny, stał w kącie pusty konfesjonał. Wokulski wszedł do niego, przymknął drzwiczki i niewidzialny, przypatrywał się pannie Izabeli.

Trzymała w ręku książkę spoglądając od czasu do czasu na drzwi kościelne. Na twarzy

Handel

Sługa

Nuda

jej malowało się zmęczenie i nudy. Czasami do stolika zbliżały się dzieci po obrazki; panna Izabela niektórym podawała je sama z takim ruchem, jakby chciała powiedzieć: ach, kiedyż się to skończy!...

„I to wszystko robi się nie przez pobożność ani przez miłość do dzieci, ale dla rozgłosu i w celu wyjścia za mąż — pomyślał Wokulski. — No i ja także — dodał — niemało robię dla reklamy i ożenienia się. Świat ładnie urządzony! Zamiast po prostu pytać się: kochasz mnie czy nie kochasz? albo: chcesz mnie czy nie chcesz? ja wyrzucam setki rubli, a ona kilka godzin nudzi się na wystawie i udaje pobożną.

A jeżeli odpowiedziałyby, że mnie nie kocha? Wszystkie te ceremonie mają dobrą stronę: dają czas i możliwość zaznajomienia się.

Żle to jednak nie umieć po angielsku... Dziś wiedziałbym, co o mnie myśli: bo jestem pewny, że o mnie mówiła do swej ciotki. Trzeba nauczyć się...

Albo weźmy takie głupstwo jak powóz?... Gdybym miał powóz, mógłbym ją teraz odesłać do domu z ciotką, i znowu zawiązałby się między nami jeden węzeł... Tak, powóz przyda mi się w każdym razie. Przysporzy z tysiąc rubli wydatków na rok, ale cóż zrobić? Muszę być gotowym na wszystkich punktach.

Powóz... angielszczyzna... przeszło dwieście rubli na jedną kwestę!... I to robię ja, który tym pogardzam... Właściwie jednak — na cóż będę wydawał pieniądze, jeżeli nie na zapewnienie sobie szczęścia? Co mnie obchodzą jakieś teorie oszczędności, gdy czuję ból w sercu?...”

Pieniądz, Szczęście

Dalszy bieg myśli przerwała mu smutna, brzęcząca melodia. Była to muzyka szkatułki grającej, po której nastąpił świegot sztucznych ptaków; a gdy one milkły, rozlegał się cichy szelest fontanny, szept modlitw i westchnienia pobożnych.

Modlitwa, Pobożność

W nawie, u konfesjonau, u drzwi kaplicy grobowej widać było zgięte postacie klęczących. Niektórzy czolgali się do krucyfiks na podłodze i ucałowawszy go kładli na tacy drobne pieniądze wydobyte z chustki do nosa.

W głębi kaplicy, w powodzi światła, leżał biały Chrystus otoczony kwiatami. Zdawało się Wokulskiemu, że pod wpływem migotliwych płomyków twarz jego ożywia się przybierając wyraz groźby albo litości i łaski. Kiedy pozytywka wygrywała *Łucję z Lamer-mooru*²²⁵ albo kiedy ze środka kościoła doleciał stukot pieniędzy i francuskie wykrzykniki, oblicze Chrystusa ciemniało. Ale kiedy do krucyfiks zbliżył się jaki biedak i opowiadał Ukrzyżowanemu swoje strapienia, Chrystus otwierał martwe usta i w szmerze fontanny powtarzał błogosławieństwa i obietnice...

Chrystus

„Błogosławieni cisi... Błogosławieni smutni...”²²⁶

Do tacy podeszła młoda, uróżowana dziewczyna. Położyła srebrną czterdziestówkę²²⁷, ale nie śmiała dotknąć krzyża. Klęczący obok z niechęcią patrzyli na jej aksamitny kaftanik i jaskrawy kapelusz. Ale gdy Chrystus szepnął: „Kto z was jest bez grzechu, niech rzuci na nią kamieniem”²²⁸, padła na posadzkę i ucałowała jego nogi jak niegdyś Maria Magdalena²²⁹.

„Błogosławieni, którzy łakną sprawiedliwości... Błogosławieni, którzy płaczą...”²³⁰

Z głębokim wzruszeniem przypatrywał się Wokulski pogrążonemu w kościelnym mroku tłumowi, który z tak cierpliwą wiarą od osiemnastu wieków oczekuje spełnienia się boskich obietnic.

„Kiedyż to będzie!...” — pomyślał.

„Pośle Syn Człowieczy anioły swoje, a oni zbiorą wszystkie zgorszenia i tych, którzy nieprawość czynią, jako zbiera się kłóć i pali się go ogniem.”²³¹

Machinalnie spojrzął na środek kościoła. Przy bliższym stoliku hrabina drzemała, a panna Izabela ziewała, przy dalszym trzy nie znane mu damy zaśmiewały się z opowiadań jakiegoś wykwiutnego młodzieńca.

²²⁵ „*Łucja z Lamer-mooru*” (1835) — opera Donizettiego (1797–1848).

²²⁶ Błogosławieni cisi... Błogosławieni smutni... — słowa Chrystusa z *Ośmiu błogosławieństw* (Mt 5:4–5).

²²⁷ czterdziestówka — moneta 20-kopiejkowa (40 groszy).

²²⁸ Kto z was jest bez grzechu... — słowa Chrystusa do faryzeuszów oskarżających jawno grzesznicę (J 7:7).

²²⁹ Maria Magdalena — postać pokutującej grzesznicz z Ewangelii.

²³⁰ Błogosławieni, którzy łakną sprawiedliwości... Błogosławieni, którzy płaczą... — słowa Chrystusa z *Ośmiu błogosławieństw* (Mt 5:4–6).

²³¹ Pośle Syn Człowieczy anioły swoje... — parafraza dwóch wersetów Ewangelii św. Mateusza, XIII, 40–41.

„Inny świat... inny świat!... — myślał Wokulski. — Co za fatalność popycha mnie w tamtą stronę?”

W tej chwili tuż obok konfesjonału stanęła, a potem uklękła osoba młoda, ubrana bardzo starannie, z małą dziewczynką.

Wokulski przypatrzył się jej i dostrzegł, że jest niezwykle piękna. Uderzył go nade wszystko wyraz jej twarzy, jakby do tego grobu przyszła nie z modlitwą, ale z zapytaniem i skargą.

Przeżegnała się, lecz zobaczywszy tacę wydobyła woreczek z pieniędzmi.

— Idź, Helusiu — rzekła półgłosem do dziecka — połóż to na tacy i pocałuj Pana Jezusa.

— Gdzie, proszę mamy, pocałować?

— W rączkę i w nóżkę...

— I w buzię?

— W buzię nie można.

— Ech, co tam!... — Pobiegła do tacy i pochyliła się nad krzyżem.

— A widzi mama — zawołała powracając — pocałowałam i Pan Jezus nic nie powiedział.

— Niech Helusia będzie grzeczna — odparła matka. — Lepiej uklęknij i zmów paciorek.

— Jaki paciorek?

— Trzy Ojcie nasz, trzy Zdrowaś...

— Taki duży paciorek?... a ja taka malutka...

— No, to zmów jedno Zdrowaś... Tylko uklęknij... Patrz się tam...

— Już patrzę. Zdrowaś Maria, łaski pełna... Czy to, proszę mamy, ptaszki śpiewają?

— Ptaszki sztuczne. Mów paciorek.

— Jakie to sztuczne?

— Zmów pierwszej paciorek.

— Kiedy nie pamiętam, gdzie skończyłam...

— Więc mów za mną: Zdrowaś Maria...

— Śmierci naszej. Amen — dokończyła dziewczynka. — A z czego robią się sztuczne ptaszki?

— Heluniu, bądź cicho, bo nigdy cię nie pocałuję — szepnęła strapiona matka. — Masz tu książkę i oglądaj obrazki, jak Pan Jezus był męczony.

Dziewczynka usiadła z książką na stopniach konfesjonału i ucichła.

„Co to za miła dziecina! — myślał Wokulski. — Gdyby była moją, zdaje się, że odzyskałbym równowagę umysłu, którą dziś tracę z dnia na dzień. I matka prześliczna kobieta. Jakie włosy, profil, oczy... Prosi Boga, ażeby zmartwychwstało ich szczęście... Piękna i nieszczęśliwa; musi być wdową.

Ot, gdybym ją był spotkał rok temu.

I jestże tu ład na świecie?... O krok od siebie staje dwoje ludzi nieszczęśliwych; jedno szuka miłości i rodziny, drugie może walczy z biedą i brakiem opieki. Każde znalazłoby w drugim to, czego potrzebuje, no — i nie zejdą się... Jedno przychodzi błagać Boga o miłosierdzie, drugie wyrzuca pieniądze dla stosunków. Kto wie, czy paręset rubli nie byłoby dla tej kobiety szczęściem? Ale ona ich nie dostanie; Bóg w tych czasach nie słucha modlitwy uciśnionych.

A gdyby jednak dowiedzieć się, kto ona jest?... Może bym potrafił jej pomóc. Dlaczego wzniosłe obietnice Chrystusa nie mają być spełnione, choćby przez takich jak ja niedowiarków, skoro pobożni zajmują się czym innym?” W tej chwili Wokulskiemu zrobiło się gorąco... Do stolika hrabiny zbliżył się elegancki młodzieniec i coś położył na tacy. Na jego widok panna Izabela zarumieniała się i oczy jej nabrały tego dziwnego wyrazu, który zawsze tak zastanawiał Wokulskiego.

Na wezwanie hrabiny elegant siadł na tym samym fotelu, który niedawno zajmował Wokulski, i zawiązała się żywa rozmowa. Wokulski nie słyszał jej treści, tylko czuł, że w mózgu wypala mu się obraz tego towarzystwa. Kosztowny dywan, srebrna taca zasypa-
na na wierzchu garścią imperialów, dwa świeczniki, dziesięć płomyków, hrabina odziana w grubą żałobę, młody człowiek zapatrzony w pannę Izabelę i ona — rozpromieniona.

Dziecko, Modlitwa

Dziecko, Matka

Pobożność

Flirt

Nawet ten szczegół nie uszedł jego uwagi, że od blasku płomyków hrabinie świecą się policzki, młodemu człowiekowi koniec nosa, a pannie Izabeli oczy.

„Czy oni kochają się? — myślał. — Więc dlaczegoż by się nie pobrali?... — Może on nie ma pieniędzy... Lecz w takim razie: co znaczą jej spojrzenia?... Podobne rzucała dziś na mnie. Prawda, że panna na wydaniu musi mieć kilku albo i kilkunastu wielbicieli i wabić wszystkich, ażeby... sprzedać się najwięcej ofiarującemu!”

Przyszli delegowani. Hrabina podniosła się z fotelu, to samo zrobiła panna Izabela i przystojny młodzieniec, i wszyscy troje z wielkim szelestem poszli ku drzwiom zatrzymując się przy innych stolikach. Każdy z asystującej tam młodzieży gorąco witał pannę Izabelę, a ona każdego obdarzała tymi samymi, zupełnie tymi samymi spojrzeniami, które Wokulskiemu zachwiały rozum. Wreszcie wszystko ucichło: hrabina i panna Izabela opuściły kościół.

Wokulski ocknął się i spojrzał bliżej siebie. Pięknej pani z dzieckiem już nie było.

„Jaka szkoda!” — szepnął i uczuł lekkie ściśnięcie serca.

Natomiast obok krzyża leżącego na ziemi wciąż klęczała młoda dziewczyna w akсамitnym kaftaniku i jaskrawym kapeluszu. Gdy zwróciła oczy na oświetlony grób, jej także błysnęło coś na wyróżzowanych policzkach. Jeszcze raz ucałowała nogi Chrystusowi, ciężko podniosła się i wyszła.

„Błogosławieni, którzy płaczą... Niechże przynajmniej tobie zmarły Chrystus dotrzyma obietnicy” — pomyślał Wokulski i wyszedł za nią.

W kruchcie spostrzegł, że dziewczyna rozdaje jałmużnę dziadom. I opanowała go okrutna boleść na myśl, że z dwu kobiet, z których jedna chce się sprzedać za majątek, a druga już się sprzedaje z nędzy, ta druga, okryta hańbą, wobec jakiegoś wyższego trybunału może byłaby lepszą i czystsza.

Na ulicy zrównał się z nią i zapytał:

— Dokąd idziesz?

Na jej twarzy znać było ślady łez. Podniosła na Wokulskiego apatyczne wejrzenie i odparła:

— Mogę pójść z panem.

— Tak mówisz?... Więc chodź.

Nie było jeszcze piątej, dzień duży; kilku przechodniów obejrzało się za nimi.

„Trzeba być kompletnym błaznem, ażeby robić coś podobnego — pomyślał Wokulski idąc w stronę sklepu. — Mniejsza o skandal, ale co, u diabła, za projekta snują mi się po łbie? Apostołstwo?... Szczyt głupoty.

Wreszcie — wszystko mi jedno; jestem tylko wykonawcą cudzej woli.”

Wszedł w bramę domu, w którym znajdował się sklep, i skręcił do pokoju Rzeckiego, a za nim dziewczyna. Pan Ignacy był u siebie i zobaczywszy szczególną parę, rozłożył ręce z podziwu.

— Czy możesz wyjść na kilka minut? — zapytał go Wokulski.

Pan Ignacy nie odpowiedział nic. Wziął klucz od tylnych drzwi sklepu i opuścił pokój.

— Dwu? — szepnęła dziewczyna wyjmując szpilkę z kapelusza.

— Za pozwoleniem — przerwał jej Wokulski. — Dopiero co byłeś w kościele, wszak prawda, moja pani?

— Pan mnie widział?

— Modliłaś się i płakałaś. Czy mogę wiedzieć, z jakiego powodu?

Dziewczyna zdziwiła się i wzruszając ramionami odparła:

— Czy pan jest ksiądz, że się o to pyta?

A przypatrzwszy się uważniej Wokulskiemu dodała:

— Eh! także zawracanie głowy... Dowcipny!

Zabierała się do odejścia, ale zatrzymał ją Wokulski.

— Poczekaj. Jest ktoś, który chciałby ci dopomóc, więc nie spiesz się i odpowiadaj szczerze...

Znowu przypatrzyła mu się. Nagle oczy jej zaśmiały się, a na twarz wystąpił rumieniec.

— Wiem — zawołała — pan pewnie od tego starego pana!... On kilka razy obiecywał, że mnie weźmie... Czy on bardzo bogaty?... Pewnie, że bardzo... Jeździ powozem i siada w pierwszych rzędach w teatrze.

— Posłuchaj mnie — przerwał — i odpowiadaj: czegoś płakała w kościele?

Chrystus, Kobieta "upadła"

Kobieta "upadła",
Męczyzna

— A bo, widzi pan... — zaczęła dziewczyna i opowiedziała tak cyniczną historię jakiegoś sporu z gospodynią, że słuchając jej Wokulski pobałdł.

„Oto zwierzę!” — szepnął.

— Poszłam na groby — mówiła dalej dziewczyna — myślałam, że się trochę rozerwę. Gdzie tam, com wspomniała o starej, to aż mi lzy pocięły ze złości. Zaczęłam prosić Pana Boga, ażeby albo starą choroba zatłukła, albo żebym ja od niej wyszła. I widać Bóg wysłuchał, kiedy ten pan chce mnie zabrać.

Wokulski siedział bez ruchu. Wreszcie zapytał:

— Ile masz lat?

— Mówi się, że szesnaście, ale naprawdę mam dziewiętnaście.

— Chcesz stamtąd wyjść?

— A — choćby do piekła. Już mi tak dokuczili... Ale...

— Cóż?

— Pewnie nic z tego nie będzie... Wyjdę dziś, to po świętach sprowadzą mnie i zapłacą jak wtedy w karnawale, com później tydzień leżała.

— Nie sprowadzą.

— Akurat! Mam przecie dług...

— Duży?

— Oho!... z pięćdziesiąt rubli. Nie wiem nawet, skąd się wziął, bo za wszystko płacę podwójnie. Ale jest... U nas tak zawsze. A jeszcze jak usłyszą, że tamten pan ma pieniądze, to powiedzą, że ich okradłam, i narachują, ile im się podoba.

Wokulski czuł, że opuszcza go odwaga.

— Powiedz mi, czy ty zechcesz pracować?

— A co będę miała do roboty?

— Nauczysz się szyć.

— To na nic. Byłam przecie w szwalni. Ale z ośmiu rubli na miesiąc nikt nie wyżyje.

Wreszcie — jestem tyle jeszcze warta, że mogę nikogo nie obszywać.

Wokulski podniósł głowę.

— Nie chcesz wyjść stamtąd!

— Ale chcę!

— Więc decyduj się natychmiast. Albo weźmiesz się do roboty, bo darmo nikt na świecie chleba nie jada...

— I to nieprawda — przerwała. — Ten stary pan nic przecie nie robi, a pieniądze ma. Nieraz też mówił, że mnie już o nic głowa nie zaboli...

— Nie pójdziesz do żadnego pana, tylko do magdalenek²³². Albo wracaj na miejsce.

— Magdalenki mnie nie wezmą. Trzeba zapłacić dług i mieć poręczenie...

— Wszystko będzie załatwione, jeżeli tam pójdziesz.

— Jakże ja do nich pójde?

— Dam ci list, który zaraz odniesiesz, i tam zostaniesz. Chcesz czy nie chcesz?...

— Ha! niech pan da list. Zobacze, jak mi tam będzie.

Usiadła i ogłądała się po pokoju.

Wokulski napisał list, opowiedział, gdzie ma iść, i w końcu dodał:

— Masz wóz i przewóz. Będiesz dobra i pracowita, będzie ci dobrze; ale jeżeli nie skorzystasz z okazji, rób, co ci się podoba. Możesz iść.

Dziewczyna roześmiała się.

— To stara będzie się wściekać... To jej narobię... Cha... Cha!... Ale... może pan tylko naciąga?

— Idź — odpowiedział Wokulski wskazując drzwi.

Jeszcze raz przypatrzyła mu się z uwagą i wyszła wzruszając ramionami.

W chwilę po jej odejściu ukazał się pan Ignacy.

— Cóż to za znajomość? — spytał kwaśno.

— Prawda!... — rzekł zamyślony Wokulski. — Nie widziałem jeszcze podobnego bydlęcia, chociaż znam dużo bydląt.

Modlitwa

Praca

²³²magdalenki — siostry zakonu żeńskiego św. Magdaleny, które prowadziły domy poprawcze dla upadłych dziewcząt; niekiedy tak nazywano wychowanki tych domów. W Warszawie miały swą siedzibę przy ul. Żytniej (od r. 1862).

— W samej Warszawie jest ich tysiące — odparł Rzecki.
— Wiem. Tępienie ich do niczego nie doprowadzi, bo ciągle się odradzają, więc wniosek, że prędzej czy później społeczeństwo musi się przebudować od fundamentów do szczytu. Albo zgnije.

— Aha!... — szepnął Rzecki. — Domyślałem się tego.

Wokulski pożegnał go. Doświadczał takich uczuć, jak chory na gorączkę, którego oblaną zimną wodą.

„Nim jednak przebuduje się społeczność — myślał — widzę, że sfera mojej filantropii bardzo się uszczupli. Majątek mój nie wystarczyłby na uszlachetnianie instynktów nieludzkich. Wolę ziewające kwestarki niżeli modlące się i płaczące potwory.”

Obraz panny Izabeli ukazał mu się otoczony jaśniejszym niż kiedykolwiek blaskiem. Krew biła mu do głowy i upokarzał się w duchu na myśl, że z podobnym stworzeniem mógł ją zestawić!

„Wolę ja wyrzucać pieniądze na powozy i konie aniżeli na tego rodzaju — nieszczęścia!...”

W Wielką Niedzielę Wokulski najętym powozem zjechał przed mieszkanie hrabiny. Zastał już długi szereg ekwipażów bardzo rozmaitego dostojenstwa. Były tam eleganckie dorożki obsługujące złotą młodzież i dorożki zwyczajne, wzięte na godziny przez emerytów; stare karety, stare konie, stara uprzęż i służba w wytartej liberii, i nowe, prosto z Wiednia powoziki, przy których lokaje mieli kwiaty w butonierkach, a furmani opierali bat na biodrze, jak marszałkowską buławę. Nie brakło i fantastycznych kozaków, odzianych w spodnie tak szerokie, jakby tam właśnie ich panowie umieścili swoją ambicję.

Dostrzegł też mimochodem, że w gronie zebranych woźniców służba wielkich panów zachowywała się w sposób pełen godności, bankierscy chcieli rej wodzić, za co im wymyślano, a dorożkarze byli najreżolutniejsi. Furmani zaś powozów najętych trzymali się blisko siebie, gardzący resztą i przez nią pogardzani.

Gdy Wokulski wszedł do przysionka, siwy szwajcar²³³ w czerwonej wstędze uklonił mu się głęboko i otworzył drzwi do kontramarkarni²³⁴, gdzie dżentelmen w czarnym fraku zdjął z niego palto. Jednocześnie zaś zabiegł mu drogę Józef, lokaj hrabiny, który dobrze znał Wokulskiego; przenosił bowiem z jego sklepu do kościoła pozytywkę i śpiewające ptaszki.

— Jaśnie pani czeka — rzekł Józef.

Wokulski sięgnął do kamizelki i dał mu pięć rubli czując, że poczyną sobie jak parweniusz²³⁵.

„Ach, jakież ja jestem głupi! — myślał. — Nie, nie jestem głupi. Jestem tylko dorobkiewicz, który w tym państwie musi opłacać się każdemu na każdym kroku. No, nawracanie jawno grzeszników kosztuje więcej.”

Szedł po marmurowych schodach ozdobionych kwiatami, a Józef przed nim. Na pierwszej kondygnacji miał kapelusz na głowie, na drugiej zdjął go nie wiedząc, czy robi stosownie, czy niestosownie.

„W rezultacie mógłbym między nich wszystkich wejść w kapelusz na głowie” — rzekł do siebie.

Dostrzegł, że Józef mimo swego wieku, więcej niż średniego, biegł po schodach jak lania i na górze gdzieś się podział, a Wokulski został sam nie wiedząc dokąd udać się i komu się zameldować. Była to krótka chwila, lecz w Wokulskim gniew zakipiał.

„Jakimi to oni formami obwarowali się, co? — pomyślał. — A... gdybym to mógł wszystko zwalić!...”

I przywidziało mu się w ciągu kilkunastu sekund, że między nim a tym czcigodnym światem form wykwintnych musi się stoczyć walka, w której albo ten świat runie, albo — on zginie.

„Więc dobrze, zginę... Ale zostawię po sobie pamiątkę!...”

„Zostawisz przebaczenie i litość” — szepnął mu jakiś głos.

„Czyżem ja aż tak nikczemny!”

„Nie, jesteś aż tak szlachetny.”

²³³szwajcar — odźwierny, portier.

²³⁴kontramarkarnia — szatnia.

²³⁵parweniusz — pogardliwie: dorobkiewicz-prostak, wzbogacony człowiek z „nizin” społecznych.

Obyczaje

Strój

Pozycja społeczna

Sługa

Ocknął się — przy nim stał pan Tomasz Łęcki.

— Witam cię, panie Stanisławie — rzekł z właściwą mu majestatycznością. — Wi-
tam cię tym goręcej, że przybycie twoje do nas łączy się z bardzo miłym wypadkiem
w rodzinie...

„Czyżby zaręczyła się panna Izabela?...” — pomyślał Wokulski i pociemniało mu
w oczach.

— Wyobraź pan sobie, że z okazji twego tu przybycia... Słyszysz, panie Stanisławie?...
Z okazji twojej wizyty u nas ja pogodziłem się z panią Joanną, z moją siostrą... Ale pan
zbladłeś?... Znajdziesz tu wielu znajomych... Nie wyobrażaj sobie, że arystokracja jest tak
straszna...

Wokulski otrząsnął się.

— Panie Łęcki — odparł chłodno — w moim namiocie pod Plewną²³⁶ bywali więk-
si panowie. I byli dla mnie tyle łaskawi, że niełatwo wzruszę się widokiem nawet tak
wielkich, jakich... nie znajdę w Warszawie.

— A... A!... — szepnął pan Tomasz i ukłonił mu się. Wokulski zdumiał się.

„Oto fagas²³⁷! — przemknęło mu przez głowę. — I ja... ja!... miałbym z takimi ludźmi
robić sobie ceremonie?...”

Pan Łęcki wziął go pod rękę i w sposób bardzo uroczysty wprowadził do pierwszego
salonu, gdzie byli sami mężczyźni.

— Widzisz pan: hrabia... — zaczął pan Tomasz.

— Znam — odparł Wokulski, a w duchu dodał: — „Winien mi ze trzysta rubli...”

— Bankier... — objaśniał dalej pan Tomasz. Ale nim powiedział nazwisko, bankier
sam zbliżył się do nich i przywitawszy Wokulskiego rzekł:

— Bój się pan Boga, z Paryża ogromnie ekscytują²³⁸ nas o te bulwary... Czy im pan
odpowiedziałeś?

— Pierwej chciałem porozumieć się z panem — odparł Wokulski.

— Więc zejdźmy się gdzie. Kiedy pan jesteś w domu?

— Nie mam stałej godziny, wolę być u pana.

— To wstąp pan do mnie we środę na śniadanie i raz skończmy.

Pożegnali się. Pan Tomasz czulej przycisnął ramię Wokulskiego.

— Jenerał... — zaczął.

Jenerał ujrawszy Wokulskiego podał mu rękę i przywitali się jak starzy znajomi.

Pan Tomasz stawał się coraz tkliwszym dla Wokulskiego i zaczynał dziwić się widząc,
że kupiec galanteryjny zna najwybitniejsze osobistości w mieście, a nie zna tylko tych,
którzy odznaczali się tytułem albo majątkiem, nic zresztą nie robiąc.

Przy wejściu do drugiego salonu, gdzie było kilka dam, zastąpiła im drogę hrabina
Karolowa. Koło niej przesunął się służący Józef.

„Rozstawili pikiety²³⁹ — pomyślał Wokulski — ażeby nie skompromitować dorob-
kiewicza. Grzecznie to z ich strony, ale...”

— Jakże się cieszę, panie Wokulski — rzekła hrabina odbierając go panu Tomaszowi
— jakże się cieszę, że spełniłeś moją prośbę... Jest tu właśnie osoba, która pragnie poznać
się z panem.

W pierwszym salonie ukazanie się Wokulskiego zrobiło pewną sensację.

— Jenerale — mówił hrabia — hrabina zaczyna nam sprowadzać kupców galante-
ryjnych. Ten Wokulski...

— On taki kupiec jak ja i pan — odparł jenerał.

— Mój książę — mówił inny hrabia — skąd wziął się tu ten jakiś Wokulski?

— Zaprosiła go gospodyni — odparł książę.

— Nie mam przesądu co do kupców — ciągnął dalej hrabia — ale ten Wokulski,
który zajmował się dostawą w czasie wojny i zrobił na niej majątek...

— Tak... tak... — przerwał książę. — Ten rodzaj majątków bywa zwykle niepewny,
ale za Wokulskiego ręczę. Hrabina mówiła ze mną, a ja zapytywałem oficerów, którzy

²³⁶Plewna — miejscowość w Bułgarii, u podnóża Bałkanów. Zdobycie Plewny przez wojska rosyjskie po
czteromiesięcznym oblężeniu (wrzesień-grudzień 1877) było punktem zwrotnym w przebiegu wojny.

²³⁷fagas — pogardliwie: służący, tu przenośnie: luzus, służalec.

²³⁸ekscytować — niepokoić, naglić.

²³⁹pikieta — dawna nazwa placówki wystawianej w celu obserwowania nieprzyjaciela.

byli na wojnie, między innymi mojego siostrzeńca. Otóż o Wokulskim było jedno zdanie, że dostawa, której się on dotknął, była uczciwa. Nawet żołnierze, ile razy dostali dobry chleb, mówili, że musiał być pieczony z mąki od Wokulskiego. Więcej hrabiemu powiem — ciągnął książę — że Wokulski, który swoją rzetelnością zwrócił na siebie uwagę osób najwyżej położonych, miewał bardzo pojętne propozycje. W styczniu tego oto roku dawano mu dwakroć sto tysięcy rubli tylko za firmę do pewnego przedsiębiorstwa i nie przyjął...

Hrabia uśmiechnął się i rzekł:

— Miałby więcej o dwakroć sto tysięcy rubli...

— Miałby, ale nie byłby dziś tutaj — odparł książę i kiwnąwszy głową hrabiemu odszedł.

— Stary wariat — szepnął hrabia, pogardliwie spoglądając za księciem.

W trzecim salonie, dokąd wszedł z hrabiną Wokulski, znajdował się bufet tudzież mnóstwo większych i mniejszych stolików, przy których dwójkami, trójkami, nawet czwórkami siedzieli zaproszeni. Kilku służących roznosiło potrawy i wina, a dyrygowała nimi panna Izabela, widocznie zastępując gospodynię. Miała na sobie bładoniebieską suknię i wielkie perły na szyi. Była tak piękna i tak majestatyczna w ruchach, że Wokulski patrząc na nią skamieniał.

„Nawet marzyć o niej nie mogę!...” — pomyślał z rozpaczą.

Jednocześnie we framudze okna spostrzegł młodego człowieka, który był wczoraj na grobach, a dziś siedział sam przy małym stoliczku nie spuszczać oka z panny Izabeli.

„Naturalnie, że ją kocha!” — myślał Wokulski i doznał takiego wrażenia, jakby owionął go chłód grobu.

„Jestem zgubiony” — dodał w duchu.

Wszystko to trwało kilka sekund.

— Czy widzisz pan tę staruszkę między biskupem i jenerałem? — odezwała się hrabina. — Jest to prezesowa Zasławska, moja najlepsza przyjaciółka, która koniecznie chce pana poznać. Jest panem bardzo zajęta — ciągnęła hrabina z uśmiechem — jest bezdzietna i ma parę ładnych wnuczek. Zróbże pan dobry wybór!... Tymczasem przypatrz się jej, a gdy ci panowie odejdą, przedstawię pana. A... książę...

— Witam pana — odezwał się książę do Wokulskiego. — Kuzynka pozwoli?...

— Bardzo proszę — odparła hrabina. — Macie tu panowie wolny stolik... Ja opuszczę was na chwilę...

Odeszła.

— Siądźmy, panie Wokulski — mówił książę. — Wybornie zdarzyło się, ponieważ mam do pana ważny interes. Wyobraź pan sobie, że pańskie projekta wywołały wielki popłoch między naszymi bawelnianymi fabrykantami... Wszak dobrze powiedziałem — bawelnianymi?... Oni utrzymują, że pan chce zabić nasz przemysł... Czy istotnie konkurencja, którą pan stwarza, jest tak groźna?...

— Mam wprawdzie — odparł Wokulski — u moskiewskich fabrykantów kredyt do wysokości trzech, nawet czterech milionów rubli, ale jeszcze nie wiem, czy pójdą ich wyroby.

— Straszna!... straszna cyfra! — szepnął książę. — Czy nie widzisz pan w niej istotnego niebezpieczeństwa dla naszych fabryk?

— Ach, nie. Widzę tylko nieznaczne zmniejszenie ich kolosalnych dochodów, co zresztą mnie nie obchodzi. Ja mam obowiązek dbać tylko o własny zysk i o taniość dla nabywców; nasz zaś towar będzie tańszy.

— Czy jednak rozważyłeś pan tę kwestię jako obywatel?... — rzekł książę ściskając go za rękę. — My już tak niewiele mamy do stracenia...

— Mnie się zdaje, że jest to dość po obywatelsku dostarczyć konsumentom tańszego towaru i złamać monopol fabrykantów, którzy zresztą tyle mają z nami wspólnego, że wyzyskują naszych konsumentów i robotników.

— Tak pan sądzisz?... Nie pomyślałem o tym. Mnie zresztą nie obchodzą fabrykanci, ale kraj, nasz kraj, biedny kraj...

— Czym można panom służyć? — odezwała się nagle, zbliżywszy się do nich, panna Izabela.

Książę i Wokulski powstali.

Handel

— Jakże jesteś dziś piękna, kuzynko — rzekł książę ściskając ją za rękę. — Żałuję doprawdy, że nie jestem moim własnym synem... Chociaż — może to i lepiej! Bo gdybyś mnie odrzuciła, co jest prawdopodobne, byłbym bardzo nieszczęśliwy... Ach, przepraszam!... — spostrzegł się książę. — Pozwolisz, kuzynko, przedstawić sobie pana Wokulskiego. Dzielny człowiek, dzielny obywatel... to ci wystarczy, wszak prawda?...

— Mam już przyjemność... — szepnęła panna Izabela odpowiadając na ukłon.

Wokulski spojrzał jej w oczy i dostrzegł takie przerażenie, taki smutek, że go znowu opanowała desperacja.

„Po co ja tu wchodził?... ” — pomyślał.

Spojrzał na framugę okna i znowu zobaczył młodego człowieka, który ciągle siedział sam nad nietkniętym talerzem zasłaniając oczy ręką.

„Ach, po co ja tu przyszedł, nieszczęśliwy...” — myślał Wokulski czując taki ból, jakby mu serce wyrwano kleszczami.

— Może pan choć wina pozwoli? — pytała panna Izabela przypatrując mu się ze zdziwieniem.

— Co pani każe — odparł machinalnie.

— Musimy się lepiej poznać, panie Wokulski — mówił książę. — Musisz pan zbliżyć się do naszej sfery, w której, wierz mi, są rozumy i szlachetne serca, ale — brak inicjatywy...

— Jestem dorobkiewiczem, nie mam tytułu... — odparł Wokulski chcąc cośkolwiek odpowiedzieć.

— Przeciwnie, masz pan... jeden tytuł: pracę, drugi: uczciwość, trzeci: zdolności, czwarty: energię... Tych tytułów nam potrzeba do odrodzenia kraju, to nam daj, a przyjmujemy cię jak... brata...

Zbliżyła się hrabina.

— Pozwoli książę?... — rzekła. — Panie Wokulski...

Podążyła mu ręką i poszli oboje do fotelu prezesowej.

— Oto jest, prezesowo, pan Stanisław Wokulski — odezwała się hrabina do staruszki ubranej w ciemną suknię i kosztowne koronki.

— Siądź, proszę cię — rzekła prezesowa wskazując mu krzesło obok. — Stanisław ci na imię, tak?... A, z którychże to Wokulskich?...

— Z tych... nie znanych nikomu — odparł — a najmniej chyba pani.

— A nie służyłże twój ojciec w wojsku²⁴⁰?

— Ojciec nie, tylko stryj.

— I gdzież to on służył, nie pamiętasz?... Czy nie było mu na imię także Stanisław?

— Tak, Stanisław. Był porucznikiem, a później kapitanem w siódmym pułku liniowym...

— W pierwszej brygadzie, drugiej dywizji — przerwała prezesowa. — Widzisz, moje dziecko, że nie jesteś mi tak nie znany... Żyjeż on jeszcze?...

— Umarł przed pięcioma laty.

Prezesowej zaczęły drżeć ręce. Otworzyła mały flakonik i powąchała go.

— Umarł, powiadasz?... Wieczny mu odpoczynek!... Umarł... A nie zostałaż ci jaka po nim pamiątka?

— Złoty krzyż...

— Tak, złoty krzyż... I nicze więcej?

— Miniatura stryja z roku 1828, malowana na kości słoniowej.

Prezesowa coraz częściej podnosiła flakonik; ręce drżały jej coraz silniej.

— Miniatura... — powtórzyła. — A wieszże, kto ją malował?... I nicze więcej nie zostało?

— Była jeszcze paczka papierów i jakaś druga miniatura...

— Coże się z nimi dzieje?... — nalegała coraz niespokojniej prezesowa.

— Te przedmioty stryj sam opieczętował na kilka dni przed śmiercią i kazał włożyć je do swojej trumny.

— A... a!... — szepnęła staruszka i rzewnie się rozpłakała.

W sali zrobił się ruch. Przybiegła zatrwożona panna Izabela, potem hrabina, wzięły

Pozycja społeczna

Plotka, Wzrok

²⁴⁰ w wojsku — mowa tu o wojsku Królestwa Kongresowego (1815–1831).

prezesową pod rękę i z wolna wyprowadziły do dalszych pokojów. W jednej chwili na Wokulskiego zwróciły się wszystkie oczy. Zaczęto z cicha szeptać.

Widząc, że wszyscy na niego patrzą i o nim mówią, Wokulski zmieszał się. Ażeby jednak pokazać obecnym, że ta osobliwa popularność nic go nie obchodzi, wypił jeden po drugim dwa kieliszki wina stojące na stoliku i wtedy spostrzegł, że jeden kieliszek, z winem węgierskim, należał do generała, a drugi, z czerwonym, do biskupa.

„Ładnie się urządzam — rzekł do siebie. — Gotowi jeszcze powiedzieć, że zrobiłem afront staruszce, ażeby wypić wino jej sąsiadom...”

Wstał z zamiarem wyjścia i zrobiło mu się gorąco na myśl o defiladzie przez dwa salony, w których czekają go różgi spojrzeń i szeptów. Ale zabiegł mu drogę książę mówiąc:

— Pewnie rozmawialiście państwo z prezesową o bardzo dawnych czasach, kiedy aż do łez doszło. Prawda, że zgadłem?... Wracając do tematu, który nam przerwano, czy nie sądzisz pan, że dobrze byłoby założyć w kraju polską fabrykę tanich tkanin?...

Wokulski potrząsnął głową.

— Wątpię, ażeby się to udało — odparł. — Trudno myśleć o wielkich fabrykach tym, którzy nie mogą zdobyć się na małe ulepszenia w już istniejących...

— Mianowicie?...

— Mówię o młynach — ciągnął Wokulski. — Za parę lat będziemy sprowadzali nawet mękę, bo nasi młynarze nie chcą zastąpić kamieni — walcami.

— Pierwszy raz słyszę?... Siądźmy tu — mówił książę ciągnąc go do obszernej framugi — i opowiedz pan, co to znaczy?

W salonach tymczasem rozmawiano.

— Jakaś zagadkowa figura ten pan — mówiła po francusku dama w brylantach do damy w strusim piórze. — Pierwszy raz widziałam prezesową płaczącą.

— Naturalnie, historia miłosna — odpowiedziała dama z piórem. — W każdym razie zrobił ktoś złośliwego figla hrabinie i prezesowej wprowadzając tego jegomościa.

— Przypuszczasz pani, że...

— Jestem pewna — odparła wzruszając ramionami. — Niech pani wreszcie spojrzy na niego. Maniery bardzo złe, ale cóż to za fizjonomia, jaka duma!... Szlachetnej rasy nie ukryje się nawet pod łachmanami.

— Zdziwiałą!... — mówiła dama w brylantach. — Bo i ten jego majątek, jakoby zrobiony w Bułgarii...

— Naturalnie. To zarazem tłumaczy, dlaczego prezesowa pomimo bogactw tak mało wydaje na siebie.

— I książę bardzo na niego łaskaw...

— Przez litość, czy nie za mało?... Niech tylko pani spojrzy na nich obu...

— Sądziłabym, że nie ma ani śladu podobieństwa.

— Zapewne, ale... ta duma, pewność siebie... Z jaką oni swobodą rozmawiają...

Przy innym stoliku naradzali się trzej panowie.

— No, hrabina zrobiła zamach stanu — mówił brunet z grzywką.

— I udał się jej. Ten Wokulski trochę sztywny, ale ma w sobie coś — odpowiedział pan siwy.

— W każdym razie kupiec...

— Czymże kupiec gorszy od bankierów?

— Kupiec galanterijny, sprzedaje portmonetki — nalegał brunet.

— My czasami sprzedajemy herby... — wtrącił trzeci, szczupły staruszek z siwymi faworytami.

— Jeszcze zechce ożenić się tutaj...

— Tym lepiej dla panien.

— Ja bym mu sam oddał córkę. Człowiek, słyszę, porządny, bogaty, posagu nie stroni...

Koło nich szybko przeszła hrabina.

— Panie Wokulski — rzekła wyciągając wachlarz w kierunku framugi.

Wokulski przybiegł do niej. Podała mu rękę i we dwoje opuścili salon. Osamotnionego księcia zaraz otoczyli mężczyźni; niektórzy prosili go, ażeby zapoznał ich z Wokulskim.

— Warto, warto!... — mówił zadowolony książę. — Takiego nie było jeszcze między nami. Gdybyśmy dawniej zbliżyli się do nich, nasz nieszczęśliwy kraj wyglądałby inaczej.

Praca organiczna

Plotka, Salon

Szlachcic

Małżeństwo

Usłyszała to mijająca ich właśnie panna Izabela i — pobladła. Przystąpił do niej młody człowiek z wczorajszej kwesty.

— Zmęczyła się pani? — rzekł.

— Trochę — odpowiedziała ze smutnym uśmiechem. — Przychodzi mi do głowy dziwne pytanie — dodała po chwili — czy ja też potrafiłabym walczyć?...

— Czy z sercem? — zapytał. — Nie warto...

Panna Izabela wzruszyła ramionami.

— Ach, gdzież znowu z sercem. Myślę o prawdziwej walce z silnym nieprzyjacielem.

Ścisnęła go za rękę i opuściła salon.

Wokulski prowadzony przez hrabinę minął długi szereg pokojów. W jednym z nich, z dala od zaproszonych gości, rozlegały się śpiewy i dźwięki fortepianu. Gdy weszli tam, uderzył go szczególny widok. Jakiś młody człowiek grał na fortepianie; z dwu bardzo przystojnych dam, stojących przy nim, jedna udawała skrzypce, druga klarnet; przy tej zaś muzyce tańczyło kilka par, między którymi znajdował się tylko jeden mężczyzna.

— Oj! wy zbytnicy! — zgromiła ich hrabina.

Odpowiedzieli wybuchem śmiechu, nie przerywając zabawy.

Minęli i ten pokój i weszli na schody.

— Ot, widzisz — rzekła hrabina — to jest najwyższa arystokracja. Zamiast siedzieć w salonie, uciekli tutaj dokazywać.

„Jaki oni mają rozum!” — pomyślał Wokulski.

I zdawało mu się, że między tymi ludźmi życie upływa prościej i weselej aniżeli między nadętym mieszczaństwem albo arystokratyzującą szlachtą.

Na górze, w pokoju odciętym od zgiełku i nieco przyćmionym, siedziała w fotelu prezesowa.

— Zostawiam was tu, moi państwo — rzekła hrabina. — Nagadajcie się, bo ja muszę wracać.

— Dziękuję ci, Joasiu — odpowiedziała prezesowa. — Siadźże, proszę cię — zwróciła się do Wokulskiego.

A gdy zostali sami, dodała:

— Nawet nie wiesz, ile obudziłeś we mnie wspomnień.

Teraz dopiero Wokulski spostrzegł, że między tą damą a jego stryjem musiał istnieć jakiś niezwykle stosunek. Opanowało go niespokojne zdumienie.

„Dzięki Bogu — pomyślał — że jestem legalnym dzieckiem moich rodziców.”

— Proszę cię — zaczęła prezesowa — mówisz, że stryj twój umarł. Gdzieże on, biedak, pochowany?

— W Zasławiu²⁴¹, gdzie mieszkał od powrotu z emigracji²⁴².

Prezesowa znowu podniosła chustkę do oczu.

— Doprawdy?... Ach, ja niewdzięczna!... Byłżeś kiedy u niego?... Nie mówiłże ci nic... Nie oprowadzał cię?... Wszakże tam, na górze, są ruiny zamku, prawda? Stoją one jeszcze?

— Tam właśnie, do zamku, stryj co dzień chodził na spacer i całe godziny przesiadywaliśmy z nim na dużym kamieniu...

— Patrzajże?... Znam ten kamień; siedzieliśmy wtedy oboje na nim i patrzyliśmy to na rzekę, to na obłoki, których bieg niepowrotny uczył nas, że tak ucieka szczęście. Czuję to dopiero dzisiaj. A studnia jestże w zamku i zawsze głęboka?

— Bardzo głęboka. Tylko trafić do niej trudno, bo wejście zamaskowały gruzy. Dopiero stryj mi ją pokazał.

— Wieszże ty — mówiła prezesowa — że w chwili ostatniego z nim pożegnania myśleliśmy: czy by się do tej studni nie rzucić? Nikt by nas tam nie odszukał i na wieki zostalibyśmy razem. Zwyczajnie — szalona młodość...

Otarła oczy i ciągnęła dalej:

— Bardzo... bardzo lubiłam go, a myślę, że i on mnie trochę... kiedy tak pamiętał wszystko. Ale on był ubożuchny oficer, a ja na nieszczęście bogata, i do tego jeszcze bliska krewna dwu generałów. No i rozdzielono nas... Może też byliśmy zanadto cnotliwi... Ale

Walka

Obłok, Ruiny, Rzeka,
Woda, Zamek

Przyroda nieożywiona

Miłość tragiczna, Młodość,
Samobójstwo

Miłość, Pozycja społeczna

²⁴¹Zasław — nazwa miejscowości fikcyjnej nie mającej nic wspólnego z rzeczywistym Zasławiem na Ukrainie.

²⁴²emigracja — mowa o wielkiej emigracji po powstaniu listopadowym (1831).

cicho!... cicho... — dodała śmiejąc się i płacząc. — Takie rzeczy wolno mówić kobietom dopiero w siódmym krzyżyku.

Łkanie przerwało jej mowę. Powąchała swój flakonik, odpoczęła i zaczęła znowu:

— Bywają wielkie zbrodnie na świecie, ale chyba największą jest zabić miłość. Tyle lat upłynęło, prawie pół wieku; wszystko przeszło: majątek, tytuły, młodość, szczęście... Sam tylko żal nie przeszedł i pozostał, mówię ci, taki świeży, jakby to było wczoraj. Ach, gdyby nie wiara, że jest inny świat, w którym podobno wynagrodzą tutejsze krzywdy, kto wie, czy nie przekłęboby się i życia, i jego konwenansów... Ale ty mnie nie rozumiesz, bo wy dziś macie mocniejsze głowy, lecz zimniejsze aniżeli my serca.

Wokulski siedział ze spuszczonej oczyma. Coś dławiło go, szarpało za piersi. Wpił sobie paznokcie w ręce i myślał, ażeby jak najprędzej stąd wyjść i już nie słuchać skarg, które odnawiały w nim najboleśniej rany.

— A mąż on, biedaczysko, jaki nagrobek? — spytała po chwili prezesowa.

Wokulski zarumienił się. Nigdy nie przychodziło mu do głowy, ażeby zmarli potrzebowali czegoś więcej nad grudę ziemi.

— Nie ma — ciągnęła prezesowa widząc jego zakłopotanie. — Nie tobie dziwię się, moje dziecko, żeś o nagrobku nie pamiętał, ale sobie wyrzucam, że zapomniała o człowieku.

Zadumała się i nagle, położywszy na jego ramieniu swoją wychudłą i drżącą rękę, rzekła zniżonym głosem:

— Mam do ciebie prośbę... Powiedz, że ją spełnisz...

— Z pewnością — odparł Wokulski.

— Pozwól, ażebym ja mu postawiła nagrobek. Ale że sama jechać tam nie mogę, więc ty mnie wyreżysz. Weź stąd kamieniarza, niechaj rozłupie ten kamień, wiesz, ten, na którym siadywaliś na górze, pod zamkiem, i niech jedną połowę ustawia na jego grobie. Cokolwiek będzie kosztować, zapłacisz, a zwrócę ci razem z dozgonną wdzięcznością. Zrobiszże to?

— Zrobię.

— To dobrze, dziękuję ci... Myślę, że mu przyjemniej będzie spoczywać pod kamieniem, który słyszał nasze rozmowy i patrzył na łzy. Ach, jak ciężko wspominać... A napis, wieszże jaki?... — mówiła dalej. — Kiedyśmy się rozłączali, zostawił mi parę strofek z Mickiewicza. Pewnie czytałeś je kiedy.

Jak cień tym dłuższy, gdy padnie z daleka,
Tym szerzej koło żałobne roztoczy,
Tak pamięć o mnie: im dalej ucieka,
Tym grubszy kirem twą duszę zamroczy...²⁴³

O, prawda to!... I studnię, która miała nas połączyć, chciałabym upamiętnić w jakiś sposób...

Wokulski wstrząsnął się i patrzył gdzieś szeroko otwartymi oczyma.

— Co tobie? — zapytała prezesowa.

— Nic — odparł z uśmiechem. — Śmierć zajrzała mi w oczy.

— Nie dziw się: krąży koło mnie starej, zatem muszą ją widzieć moi sąsiedzi. Więc zrobisz, o co cię proszę?

— Tak.

— Bądźże u mnie po świętach i... często przychodź. Może się trochę ponudzisz, ale może i ja, niedołężna, przydam ci się na co. A teraz idź już na dół, idź...

Wokulski pocałował ją w rękę, ona go parę razy w głowę; potem dotknęła dzwonka. Wszedł służący.

— Sprowadź pana do sali — rzekła.

Wokulski był odurzony. Nie wiedział, którędy idzie, nie zdawał sobie sprawy z tego, o czym rozmawiali z prezesową. Czuł tylko, że znajduje się w jakimś odmieńcu dużych

Miłość, Zbrodnia

Grób, Poezja

Przyroda nieożywiona

²⁴³ *Jak cień tym dłuższy, gdy padnie z daleka...* — druga zwrotka wiersza Mickiewicza *Do M...* (Maryli Węreszczakówny) z r. 1822. U Mickiewicza dwa ostatnie wiersze brzmią: „Tak moja postać, im dalej ucieka, Tym grubszy kirem twą pamięć omroczy.”

komnat, starodawnych portretów, cichych stąpań, nieokreślonej woni. Otaczały go kosztowne meble, ludzie pełni delikatności, o jakiej nigdy nie marzył, a nad tym wszystkim, jak poemat, unosiły się wspomnienia starej arystokratki, przesiąknięte westchnieniami i łzami.

„Cóż to za świat?... Co to za świat?...”

A jednak jeszcze mu czegoś brakło. Chciał choć raz spojrzeć na pannę Izabelę.

„No, w sali ją zobaczy...”

Lokaj otworzył drzwi do sali. Znowu wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę i ucichły rozmowy jak szum odlatującego ptactwa. Nastąpiła chwila ciszy, w której wszyscy patrzyli na Wokulskiego, a on nie widział nikogo, tylko rozgorączkowanym spojrzeniem szukał bładniebieskiej sukni.

„Tu jej nie ma” — pomyślał.

— No, tylko patrzcie, jak on sobie nic z was nie robi!... — szepnął śmiejąc się starszek z siwymi faworytami.

„Musi być w drugiej sali” — mówił do siebie Wokulski.

Spostrzegł hrabinę i zbliżył się do niej.

— Cóż, skończyliście państwo konferencję? — spytała hrabina. — Prawda, jaka to miła osoba, prezesowa?... Ma pan w niej wielką przyjaciółkę, nie większą jednak aniżeli we mnie. Zaraz przedstawię pana... Pan Wokulski!... — dodała zwracając się do damy w brylantach.

— A ja zaraz przystępuję do interesu — rzekła dama patrząc na niego z góry. — Nasze sierotki potrzebują kilku sztuk płótna...

Hrabina lekko zarumieniła się.

— Tylko kilku?... — powtórzył Wokulski i spojrzał na brylanty wyniosłej damy, reprezentujące wartość kilkuset sztuk najcieńszego płótna. — Po świętach — dodał — będę miał honor na ręce pani hrabiny przysłać płótno...

Uklonił się, jakby chciał odchodzić.

— Chcesz nas pan pożegnać? — spytała trochę zmieszana hrabina.

— Ależ to impertynent! — rzekła dama w brylantach do swej towarzyszki w strusim piórze.

— Żegnam panią hrabinę i dziękuję za zaszczyt, jaki mi pani raczyła wyrządzić!... — mówił Wokulski całując gospodynię w rękę.

— Tylko do widzenia, panie Wokulski, wszak prawda?... Dużo będziemy mieli interesów ze sobą.

I w drugim salonie nie było panny Izabeli. Wokulski uczuł niepokój.

„Przecież muszę na nią spojrzeć... Kto wie, jak prędko spotkamy się w podobnych warunkach...”

— A, jesteś pan — zawołał książę. — Już wiem, jaki ułożyliście spisek z panem Łęckim. Spółka do handlu ze Wschodem — wyborna myśl! Musicie i mnie do niej przyjąć... Musimy poznać się bliżej... — A widząc, że Wokulski milczy, dodał: — Prawda, jakim ja nudny, panie Wokulski? Ale to nic nie pomoże; musicie zbliżyć się do nas, pan i panu podobni i — razem idźmy. Wasze firmy są także herbami, nasze herby są także firmami, które gwarantują rzetelność w prowadzeniu interesów...

Ściskali się za ręce i Wokulski coś odpowiedział, ale co?... — nie było mu wiadome. Niepokój jego wzrastał; na próżno szukał panny Izabeli.

— Chyba jest dalej — szepnął z trwogą, idąc do ostatniego salonu.

Tu pochwyił go pan Łęcki z oznakami niebywalejszej tkliwości.

— Już pan wychodzisz? Więc do widzenia, drogi panie. Po świętach u mnie pierwsza sesja i w imię boże zaczynamy.

„Nie ma jej!” — myślał Wokulski żegnając się z panem Tomaszem.

— Ale wiesz pan — szepnął Łęcki — zrobiłeś szalony efekt. Hrabina nie posiada się z radości, książę mówi tylko o tobie... A jeszcze ten wypadek z prezesową... No... cudownie!... Nie można było marzyć o zdobyciu lepszej pozycji...

Wokulski stał już w progu. Jeszcze raz szklanymi oczyma powiódł po sali i — wyszedł z desperacją w sercu.

Tęsknota

„Może wypadaloby wrócić i pożegnać ją?... Przecież zastępowała miejsce gospodyni...” — myślał, powoli schodząc ze schodów.

Nagle drgnął słysząc szelest sukni w wielkiej galerii.

„Ona...”

Podniósł głowę i zahaczył damę w brylantach.

Ktoś podał mu palto. Wokulski wyszedł na ulicę zatoczywszy się jak pijany.

„Cóż mi po świetnej pozycji, jeżeli jej tam nie ma?”

— Konie pana Wokulskiego! — zawołał z sieni szwajcar, pobożnie ściskając trzyru-błówkę. Łzami zaszele oczy i nieco zachrypnięty głos świadczyły, że obywatel ten nawet na trudnym posterunku czci jednak pierwszy dzień Wielkiejnocy.

— Konie pana Wokulskiego!... Konie Wokulskiego!... Wokulski, zajeżdżaj!... — po-wtórzyli stojący furmani.

Środkiem Alei²⁴⁴ z wolna toczyły się dwa szeregi dorożek i powozów w stronę Belwe-deru²⁴⁵ i od Belwederu. Ktoś z jadących spostrzegł na chodniku Wokulskiego i uklonił mu się.

„Kolega!” — szepnął Wokulski i zarumienił się.

Gdy sprowadzono mu powóz, zrazu chciał wsiąść, lecz rozmyślił się.

— Wracaj, bracie, do domu — rzekł do furmana dając mu na piwo.

Powóz odjechał ku miastu. Wokulski zmieszał się z przechodniami i poszedł w stronę Ujazdowskiego placu²⁴⁶. Szedł z wolna i przypatrywał się jadącym. Wielu spomiędzy nich znał osobiście. Oto rymarz, który dostarcza mu wyrobów skórzanых, jedzie na spacer z żoną, grubą jak beczka cukru, i wcale ładną córką, z którą chciano go swatać. Oto syn rzeźnika, który do sklepu, niegdyś Hopfera, dostarczał wędlin. Oto bogaty cieśla z liczną rodziną. Wdowa po dystylatorze, również mająca duży majątek i również gotowa oddać rękę Wokulskiemu. Tu garbarz, tam dwaj subiekt bławatni, dalej krawiec męski, mularz, jubiler, piekarz — a oto — jego współzawodnik, kupiec galanteryjny, w zwykłej dorożce.

Większa ich część nie widziała Wokulskiego, niektórzy jednak spostrzegli go i kłaniali mu się; lecz byli i tacy, którzy spostrzegli go nie kłaniali się, a nawet uśmiechali się złośliwie. Z całego mnóstwa tych kupców, przemysłowców i rzemieślników, równych mu stanowiskiem, niekiedy bogatszych od niego i dawniej znanych w Warszawie, on tylko jeden był dziś na święconym u hrabiny. Żaden z tamtych, on tylko jeden!...

„Mam nieprawdopodobne szczęście — myślał. — W pół roku zrobiłem majątek kro-ciowy, za parę lat mogę mieć milion... Nawet prędeż... Dziś już mam wstęp na salony, a za rok?... Niektórym z tych, co przed chwilą ocierali się o mnie, przed siedemnastoma laty mogłem usługiwać w sklepie, a nie usługiwałem chyba dlatego, że żaden nie wstą-piłby tam. Z komórki przy sklepie do buduaru hrabiny, co za skok!... Czy aby ja nie za prędko awansuję?” — dodał z tajemną trwogą w sercu.

Był już na rozległym placu Ujazdowskim, w którego południowej części znajdowały się zabawy ludowe. Pomieszane dźwięki katarynek, odgłosy trąb i zgłęb kilkunastoty-sięcznego tłumu ogarniał go jak fala nadpływającej powodzi. Widział jak na dłoni długi szereg huśtawek, kołyszących się w prawo i w lewo niby ogromne wahadła o potężnym rozmachu. Potem drugi szereg — szybko kręcących się namiotów, z dachami w różno-kolorowe pasy. Potem trzeci szereg — bud zielonych, czerwonych i żółtych, gdzie przy wejściu jaśniały potworne malowidła, a na dachu ukazywali się jaskrawo odziani pajace albo olbrzymie lalki. A we środku placu — dwa wysokie słupy, na które teraz właśnie wspinali się amatorowie frakowych garniturów i kilkurublowych zegarków.

Wśród tych wszystkich czasowych a brudnych budynków roił się rozbawiony tłum.

Wokulskiemu przypominały się lata dziecinne. Jakże mu wtedy, wygłodzonemu, sma-kowała bułka i serdelek! Jak wyobrażał sobie siadłszy na konia w karuzeli, że jest wielkim wojownikiem! Jak szalonego doznawał upojenia wylatując do góry na huśtawce! Co to była za rozkosz pomyśleć, że dziś nic nie robi i jutro nic nie będzie robił — za cały rok.

²⁴⁴Środkiem Alei — Alei Ujazdowskich.

²⁴⁵Belweder — pałac wśród parku w południowej części miasta na końcu Alei Ujazdowskich (nazwa „belwe-der” — z włoskiego „piękny widok”). W tym czasie Belweder należał do rosyjskich generał-gubernatorów.

²⁴⁶Ujazdowski plac znajdował się w południowej części miasta, obok Alei Ujazdowskich. Służył za miejsce wielkanocnych zabaw ludowych, wystaw rolniczych. W latach 1893–1896 powstał na jego miejscu Park Ujaz-dowski.

Mieszczanin

Bogactwo, Pozycja społeczna

Dzieciństwo

Władza, Wolność

A z czym da się porównać ta pewność, że dziś położy się spać o dziesiątej i jutro, gdyby chciał, wstanie także o dziesiątej przeleżawszy dwanaście godzin z rzędu!

„I to ja byłem, ja?... — mówił do siebie zdumiony. — Mnie tak cieszyły rzeczy, które w tej chwili tylko wstręt budzą?... Tyle tysięcy otacza mnie rozradowanych biedaków, a ja, bogacz przy nich, cóż mam?... Niepokój i nudy, nudy i niepokój... Właśnie kiedy mógłbym posiadać to, co kiedyś było moim marzeniem, nie mam nic, bo dawne pragnienia wygasły. A tak wierzyłem w swoje wyjątkowe szczęście!...”

Nuda, Bieda, Bogactwo,
Szczęście

W tej chwili potężny krzyk wydarł się z tłumu. Wokulski ocknął się i na szczycie słupa zobaczył jakąś ludzką figurę.

Zwycięstwo

„Aha, triumfator!” — rzekł do siebie Wokulski, ledwie trzymając się na nogach pod naciskiem tłumu, który biegł, klaskał, wiwatował, wskazywał palcami bohatera, pytał o jego nazwisko. Zdawało się, że zdobywcę frakowego garnituru na rękach zanoszą do miasta, wtem — zapal ostygł. Ludzie biegli wolniej, nawet zatrzymywali się, okrzyki cichły, wreszcie zupełnie umilkły. Chwilowy triumfator zsunął się ze szczytu i w parę minut zapomniano o nim.

„Przestroga dla mnie...” — szepnął Wokulski ocierając pot z czoła.

Plac i rozbawione tłumy obmierzyły mu do reszty. Zawrócił do miasta.

Środkiem Alei wciąż toczyły się dorożki i powozy. W jednym Wokulski zobaczył bładoniebieską suknię.

„Panna Izabela?... ”

Serce poczęło mu bić gwałtownie.

„Nie, nie ona.”

O paręset kroków dalej spostrzegł jakąś piękną twarz kobietą i dystygowane ruchy.

„Ona?... Nie. Skądże by wreszcie ona?”

I tak szedł przez całe Aleje, plac Aleksandra, przez Nowy Świat, ciągle upatrując kogoś i ciągle doznając zawodu.

„Więc to jest moje szczęście? — myślał. — Nie pragnę tego, co mógłbym mieć, a szarpię się za tym, czego nie mam. Więc to jest szczęście?... Kto wie, czy śmierć jest takim złem, jak wyobrażają sobie ludzie.”

Szczęście, Śmierć

I pierwszy raz uczuł tęsknotę do twardego, nieprzespanego snu, którego nie niepokoiłyby żadne pragnienia, nawet żadne nadzieje.

W tym samym czasie panna Izabela, wróciwszy od ciotki do domu, prawie z przed-pokoju zawołała do panny Florentyny:

— Wiesz?... był na przyjęciu!...

— Kto?

— No ten, Wokulski...

— Dlaczegoż być nie miał, skoro go zaproszono — odparła panna Florentyna.

— Ależ to zuchwalstwo... Ależ to niesłychane!... i jeszcze, wyobraź sobie, ciotka jest nim oczarowana, książkę nieledwie mu się narzuca, a wszyscy chórem uważają go za jakąś znakomitość... I ty nic na to?...

Panna Florentyna uśmiechnęła się smutnie.

— Znam to. Bohater sezonu. W zimie był takim pan Kazimierz, a przed kilkunastu laty nawet... ja — dodała cicho.

— Ależ uważaj, kim on jest?... Kupiec... kupiec!...

— Moja Belu — odpowiedziała panna Florentyna — pamiętam sezony, kiedy nasz świat zachwycał się nawet cyrkowcami. Przejdzie i to.

— Boję się tego człowieka — szepnęła panna Izabela.

X. PAMIĘTNIK STAREGO SUBIEKTA

...Mamy tedy nowy sklep: pięć okien frontu, dwa magazyny, siedmiu subiektów i szwajcara we drzwiach. Mamy jeszcze powóz błyszczący jak świeżo wyglancowane buty, parę kasztanowatych koni, furmana i lokaja — w liberii. I to wszystko spadło na nas w po-

czątkach maja, kiedy Anglia, Austria, a nawet skolatana Turcja uzbrajały się na łeb, na szyję²⁴⁷!

— Kochany Stasiu — mówiłem do Wokulskiego — wszyscy kupcy śmieją się, że tak dużo wydajemy w niepewnych czasach.

— Kochany Ignasiu — odpowiedział mi Wokulski — a my śmiać się będziemy ze wszystkich kupców, kiedy nadejdą czasy pewniejsze. Dziś właśnie jest pora do robienia interesów.

— Ależ europejska wojna — mówię — wisi na włosku. W takim razie na pewno czeka nas bankructwo.

— Żartuj z wojny — odpowiada Staś. — Cały ten hałas uspokoi się za parę miesięcy, a my tymczasem zdystansujemy wszystkich współzawodników.

— No — i wojny nie ma. W naszym sklepie ruch jak na odpuszcie, do naszych składów zwożą i wywożą towary jak do młyna, a pieniądze płyną do kas nie gorzej od plew. Kto by Stasia nie znał, powiedziałby, że to genialny kupiec; ale że ja go znam, więc coraz częściej pytam się: na co to wszystko?... *Warum hast du denn das getan?*²⁴⁸...

Prawda, że i mnie się w podobny sposób pytano. Czyżbym już był tak stary jak nieboszczka Grossmutter i nie rozumiał ani ducha czasu, ani intencji ludzi młodszych ode mnie?... Ehe! tak źle nie jest...

Pamiętam, że kiedy Ludwik Napoleon (późniejszy cesarz Napoleon III) uciekł z więzienia w roku 1846, zakotłowało się w całej Europie. Nikt nie wiedział, co będzie? Ale wszyscy ludzie rozsądni przygotowywali się do czegoś, a wuj Raczek (pan Raczek ożenił się z moją ciotką) ciągle powtarzał:

— Mówiłem, że Bonapart wypłynie i piwa im nawarzy! Cała bieda w tym, że ja coś nie zdłużam²⁴⁹ na nogi.

Rok 1846 i 1847 upłynęły w wielkim rozgardiaszu. Ukazywały się coraz to jakieś pi-semka, a znikali ludzie. Nieraz i ja myślałem: czy już nie pora wytknąć głowę na szerszy świat? A kiedy mnie ogarnęły wątpliwości i niepokoje, po zamknięciu sklepu szedłem do wuja Raczka i opowiadałem, co mnie trapi, prosząc, ażeby poradził mi jak ojciec.

— Wiesz co — odpowiadał wuj uderzając się pięścią w chore kolano — poradzę ci jak ojciec. Chcesz, mówię ci... to idź, a nie chcesz, mówię ci... to zostań...

Dopiero w lutym roku 1848, kiedy Ludwik Napoleon już był w Paryżu²⁵⁰, ukazał mi się jednej nocy nieboszczyk ojciec, tak jak widziałem go w trumnie. Surdut zapięty pod szyję, kolczyk w uchu, wąs wyszwarcowany²⁵¹ (zrobił mu to pan Domański, ażeby ojciec byle jako nie wystąpił na boskim sądzie). Stał we drzwiach mojej izdebki we front i rzekł tylko te słowa:

— Pamiętaj, wisusie, czegom cię uczył!...

Sen mara — Bóg wiara, myślałem przez kilka dni. Ale już sklep mi obrzydł. Nawet do śp.²⁵² Małgosi Pfeifer straciłem skłonność i ciasno zrobiło mi się na Podwalu tak, że nie mogłem wytrzymać. Poszedłem znowu do wuja Raczka po radę.

Pamiętam, leżał akurat w łóżku nakryty pierzyną mojej ciotki i pił gorące ziółka na poty. Gdy mu zaś opowiedziałem cały interes, rzekł:

— Wiesz co, poradzę ci jak ojciec. Chcesz — idź, nie chcesz — zostań. Ale ja, gdyby nie podle moje nogi, dawno bym już był za granicą. Bo i twoja ciotka, mówię ci — tu zniżył głos — tak okrutnie miele jęzorem, że wołałbym, mówię ci, słuchać baterii²⁵³ austriackich armat aniżeli jej trajkotu. Co mi pomoże smarowaniem, to mi zepsuje gadaniem... A maszże pieniądze? — spytał po chwili.

— Znajdę z kilkaset złotych.

²⁴⁷ Anglia, Austria, a nawet skolatana Turcja uzbrajały się na łeb, na szyję — w początkach maja 1878 nastąpiło dalsze zaognienie stosunków międzynarodowych. Prasa ówczesna donosiła znów o przygotowaniach wojennych i liczyła się z wystąpieniem Anglii i Austrii przeciw Rosji.

²⁴⁸ *Warum hast du denn das getan?* (niem.) — więc dlaczego to zrobiłeś?

²⁴⁹ *zdużyć* (gwar.) — dać radę, potrafić.

²⁵⁰ w lutym roku 1848, kiedy Ludwik Napoleon już był w Paryżu — w lutym 1848 wybuchła w Paryżu rewolucja przeciw monarchii Ludwika Filipa. 25 lutego została ogłoszona republika. Ludwik Napoleon natychmiast przybył z Anglii do Paryża i został wybrany do Zgromadzenia Ustawodawczego.

²⁵¹ *wyszwarzowany* — uczerniony.

²⁵² śp. — skrót od: świętej pamięci; określenie osoby zmarłej.

²⁵³ *bateria* — w ówczesnej armii 8 dział.

Handel

Wojna

Handel, Młodość, Starość

Ojciec

Duch, Ojciec, Sen

Pieniądz

Wuj Raczek kazał zamknąć drzwi mieszkania (ciotki w domu nie było) i sięgnąwszy pod poduszkę wydobyl stamtąd klucz.

— Naści — rzekł — otwórz ten kufer skórą obity. Będzie tam na prawo skrzyneczka, a w niej kieszka. Podaj mi ją...

Wydobyłem kieszkę grubą i ciężką. Wuj Raczek wziął ją do ręki i wzdychając odliczył piętnaście pólimperialów.

— Weź te pieniądze — mówił — na drogę i jeżeli masz jechać, to jedź... Dałbym ci więcej, ale może i na mnie przyjąć pora... Zresztą trzeba zostawić coś babie, żeby sobie w razie wypadku znalazła drugiego męża...

Pożegnaliśmy się płacząc. Wuj aż dźwignął się na łóżku i odwróciwszy mnie twarzą do świecy, szepnął:

— Niech ci się jeszcze przypatrzę... Bo to, mówię ci, z tego balu nie każdy wraca... Wreszcie i ja sam jużem człek niedzisiejszy, a humory²⁵⁴, mówię ci, zabijają prawie tak jak kule...

Wróciwszy do sklepu, mimo spóźnionej pory, rozmówiłem się z Janem Minclem dziękując mu za obowiązek i opiekę. Ponieważ od roku już gadaliśmy o tych rzeczach, a on zawsze zachęcał mnie, ażebym szedł bić Niemców, więc zdawało mi się, że mój zamiar robi mu wielką przyjemność. Tymczasem Mincel jakoś posmutniał. Na drugi dzień wypłacił mi pieniądze, które miałem u niego, dał nawet gratyfikację²⁵⁵, obiecał opiekować się pościelą i kufrem, na wypadek gdybym kiedy wrócił. Ale zwykła wojowniczość opuściła go i ani razu nie powtórzył swego ulubionego wykrzyknika:

— Ehej!... dałbym ja Szwabom, żeby tak nie miał sklepu...

Gdy zaś około dziesiątej wieczór, ubrany w półkożuszek i grube buty, uściskawszy go wziąłem za klamkę, ażeby opuścić izbę, w której tyle lat przemieszkaliśmy razem, coś dziwnego stało się z Janem. Nagle zerwał się z krzesła i rozkrzyżowawszy ręce krzyknął:

— Świnia!... gdzie ty idziesz?...

A potem rzucił się na moje łóżko szlochając jak dzieciak.

Uciekłem. W sieni słabo oświetlonej olejnym kagankiem ktoś zastąpił mi drogę. Ażem drgnął. Był to August Katz, odziany jak wypadało na marcową podróż.

— Co ty tu robisz, Auguście? — spytałem.

— Czekam na ciebie.

Myślałem, że chce mnie odprowadzić; więc poszliśmy na plac Grzybowski²⁵⁶ w milczeniu, bo Katz nigdy nic nie mówił. Fura żydowska, którą miałem jechać, była już gotowa. Ucałowałem Katza, on mnie także. Wsiadłem... on za mną...

— Jedziemy razem — rzekł.

A potem, kiedy byliśmy już za Miłosną²⁵⁷, dodał:

— Twardo i trzęsie, spać nie można.

Wspólna podróż trwała niespodziewanie długo, bo aż do października 1849 roku²⁵⁸, pamiętasz, Katz, niezapomniany przyjacielu? Pamiętasz te długie marsze na spiekocie, kiedy nieraz piliśmy wodę z kałuży; albo ten pochód przez bagno, w którym zamoczyliśmy ładunki; albo te noclegi w lasach i na polach, kiedy jeden drugiemu spychał głowę z tornistra i ukradkiem ściągał płaszcz służący za wspólną koldrę?... A pamiętasz tarte kartofle ze słoniną, które ugotowaliśmy we czterech w sekrecie przed całym oddziałem? Tylem razy jadał od tej pory kartofle, ale żadne nie smakowały mi tak jak wówczas. Jeszcze dziś czuję ich zapach, ciepło pary buchającej z garnka i widzę ciebie, Katz, jak dla nietracenia czasu mówiłeś pacierz, jadłeś kartofle i zapalałeś fajkę u ogniska.

²⁵⁴humory — tu: substancje płynne w ciele ludzkim, limfa.

²⁵⁵gratyfikacja — dodatkowe wynagrodzenie.

²⁵⁶plac Grzybowski — plac w śródmiejskiej dzielnicy Warszawy. Dawniej było tu centrum handlowe.

²⁵⁷Miłosna — wieś i stacja kolejowa 18 km na południowy wschód od Warszawy.

²⁵⁸Wspólna podróż trwała niespodziewanie długo... — w r. 1848 około 4 tysięcy młodzieży przekradło się z Królestwa za granicę, początkowo w Poznańskie, później do Galicji, a stąd na Węgry, ażeby wziąć udział w walkach narodowowyzwoleńczych skierowanych przeciw zaborcom. Rzecki uczestniczył w powstaniu węgierskim przeciw Austrii (marzec 1848 — październik 1849). Brało w nim udział około 2 tys. Polaków, wśród nich generałowie: Bem, Dembiński, Wysocki. Powstanie zostało stłumione przez Austrię przy znacznej pomocy wojskowej cara Mikołaja I (130-tysięczna armia pod dowództwem Paskiewicza). Po kapitulacji wojsk węgierskich żołnierze polscy schronili się do Turcji, gdzie zostali internowani. W końcu r. 1850 pozwolono im się rozjechać. Część osiedliła się w Turcji, większość odpłynęła na zachód, do Anglii, a stąd do Stanów Zjednoczonych. Tylko nielicznym udało się powrócić do kraju.

Ej! Katz, jeżeli w niebie nie ma węgierskiej piechoty i tartych kartofli, niepotrzebnieś się tam pospieszył.

A pamiętasz jeneralną²⁵⁹ bitwę, do której zawsze wzdychaliśmy odpoczywając po partyzanckiej strzelaninie? Ja bo nawet w grobie jej nie zapomnę, a jeżeli kiedyś zapyta mnie Pan Bóg: po com żył na świecie?... po to — odpowiem — ażeby trafić na jeden taki dzień. Ty tylko rozumiesz mnie, Katz, bośmy to obaj widzieli. A niby na razie wydawało się — nic...

Na półtorej doby przedtem skupiła się nasza brygada pod jakąś wsią węgierską, której nazwy nie pamiętam. Fetowali²⁶⁰ nas aż miło. W winie, co prawda nieosobliwszym, można się było myć, a wieprzowina i papryka już nam tak zbrzydły, że człowiek nie wziąłby do ust tego paskudztwa, gdyby, rozumie się, miał co innego. A jaka muzyka, a jakie dziewuchy!... Cyganie doskonale grają, a każda Węgierka istny proch. Kręciło się ich, bestyjek, wszystkiego ze dwadzieścia, a jednak zrobiło się tak gorąco, że nasi zakłuli i zarabali trzech chłopów, a chłopci zabili nam drogami huzara²⁶¹.

I Bóg wie czym skończyłaby się tak pięknie rozpoczęta zabawa, gdyby w chwili największego tumultu nie zajechał do sztabu szlachcic czwórką koni okrytych pianą. W kilka minut później rozeszła się po wojsku wieść, że w pobliżu znajdują się wielkie masy Austriaków. Zatrąbiono do porządku, tumult ucichł, Węgerki znikły, a w szeregach zaczęto szeptać o jeneralnej bitwie.

— Nareszcie!... — powiedziałeś do mnie.

Tęj samej nocy posunęliśmy się o milę naprzód, w ciągu następnego dnia znowu o milę. Co kilka godzin, a później nawet co godzinę przelatywały sztafety. Było to dowodem, że w pobliżu znajduje się nasz sztab korpusny²⁶² i że zanoszą się na coś grubego.

Tęj nocy spaliliśmy na gołym polu nie stawiając nawet w kozły broni. Zaś skoro świt ruszyliśmy naprzód: szwadron kawalerii z dwoma lekkimi armatami, potem nasz batalion, a potem cała brygada z artylerią i furgonami²⁶³, mając silne patrole po bokach. Sztafety przylatywały już co pół godziny.

Gdy weszło słońce, zobaczyliśmy przy gościńcu pierwsze ślady nieprzyjaciela; resztki słomy, wytłone ogniska, budynki rozebrane na opał. Następnie coraz częściej zaczęliśmy spotykać uciekających: szlachtę z rodzinami, duchownych rozmaitych wyznań, w końcu — chłopów i Cyganów. Na wszystkich twarzach malowała się trwoga; prawie każdy coś wykrzykiwał po węgiersku, wskazując rękoma za siebie.

Była blisko siódma, kiedy w stronie południowo-zachodniej huknął strzał armatni. Po szeregach przeleciał szmer:

— Oho! zaczyna się...

— Nie, to sygnał...

Padły znowu dwa strzały i znowu dwa. Jadący przed nami szwadron zatrzymał się; dwie armaty i dwa jaszczyki²⁶⁴ galopem popędziły naprzód, kilku jeźdźców pocwałowało na najbliższe wzgórza. Stanęliśmy — i przez chwilę zaległa taka cisza, że słychać było tętent siwej klaczy dopędzającego nas adiutanta. Przeleciała mimo, do huzarów, dysząc i prawie dotykając brzuchem ziemi.

Tym razem odezwało się bliżej i dalej kilkanaście armat; każdy strzał można było odróżnić.

— Macają dystans! — odezwał się stary nasz major.

— Jest z piętnaście armat — mruknął Katz, który w podobnych chwilach stawał się rozmowniejszy. — A że my ciągniemy dwanaście, toż będzie bal!...

Major odwrócił się do nas na koniu i uśmiechnął się pod szpakowatym wąsem. Zrozumiałem, co to znaczy, usłyszawszy całą gamę strzałów, jakby kto zagrał na organach.

— Jest więcej niż dwadzieścia — rzekłem do Katza.

— Osły!... — zaśmiał się kapitan i podciął swego konia.

Jedzenie

Wojna

²⁵⁹jeneralna — archaizm; dziś: generalna.

²⁶⁰Fetować — uroczyście podejmować.

²⁶¹huzar — żołnierz lekkiej jazdy węgierskiej.

²⁶²sztab korpusny — sztab korpusu wojsk.

²⁶³furgon — kryty wóz ładowny.

²⁶⁴jaszczyk — dwukołowy wóz ze skrzynią do przewożenia.

Staliśmy na wzniesionym miejscu, skąd widać było idącą za nami brygadę. Zaznaczał ją rudy obłok kurzu, ciągnący się wzdłuż gościńca ze dwie albo i trzy wiorsty²⁶⁵.

— Straszna masa wojsk! — szepnąłem. — Gdzie się to pomieści!...

Odezwały się trąbki i nasz batalion rozłamał się na cztery kompanie uszykowane kolumnami obok siebie. Pierwsze plutony wysunęły się naprzód, my zostaliśmy w tyle. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że od głównego korpusu oddzieliły się jeszcze dwa bataliony; zeszły z gościńca i biegly pędem przez pola, jeden na prawo od nas, drugi na lewo. W mały kwadrans zrównały się z nami, przez drugi kwadrans wypoczęły i — ruszyliśmy trzema batalionami naprzód, noga za nogą.

Tymczasem kanonada wzmożła się tak, że było słychać po dwa i po trzy strzały wybuchające jednocześnie. Co gorsze, spoza nich rozlegał się jakiś stłumiony odgłos, podobny do ciągłego grzmotu.

— Ile armat, kamracie? — spytałem po niemiecku idącego za mną podoficera.

— Chyba ze sto — odparł kręcąc głową. — Ale — dodał — porządnie prowadzą interes, bo odezwały się wszystkie razem.

Zepchnięto nas z gościńca, którym w kilka minut później przejechały wolnym kłusem dwa szwadrony huzarów i cztery armaty z należącymi do nich jaszczkami. Idący ze mną w szeregu poczęli żegnać się: „W imię Ojca i Syna...” — Ten i ów popił z manierki.

Na lewo od nas huk wzmagął się: pojedynczych strzałów już nie można było odróżnić. Nagle krzyknięto w przednich szeregach:

— Piechota!... piechota!...

Machinalnie schwyciłem karabin na tuj²⁶⁶ myśląc, że pokazali się Austriacy. Ale przed nami oprócz wzgórza i rzadkich krzaków nie było nic. Natomiast na tle grzmotu armat, który prawie przestał nas interesować, usłyszałem jakiś trzask podobny do rzęśistego deszczu, tylko o wiele potężniejszy.

— Bitwa!... — zawołał ktoś na froncie przeciągłym głosem.

Uczulem, że mi na chwilę serce bić przestało, nie ze strachu, ale jakby w odpowiedzi na ten wyraz, który od dzieciństwa robił na mnie dziwne wrażenie.

W szeregach pomimo marszu zrobił się ruch. Częstoowano się winem, oglądano broń, mówiono, że najdalej za pół godziny wejdziemy w ogień, a nade wszystko — w grubiański sposób żartowano z Austriaków, którym nie wiodło się w tych czasach. Ktoś zaczął gwizdać, inny nucił półgłosem; stopniała nawet sztywna powaga oficerów zamieniając się w koleżeńską zażyłość. Trzeba było dopiero komendy: „Baczność i cisza!...”, ażeby nas uspokoić.

Umilkliśmy i wyrównały się nieco pogięte szeregi. Niebo było czyste, ledwie tu i ówdzie bielił się nieruchomy obłok; na krzakach, które mijaliśmy, nie poruszał się żaden listek; nad polem, zarośniętym młodą trawą, nie odzywał się wystraszony skowronek. Słychać było tylko ciężkie stąpanie batalionu, szybki oddech ludzi, czasem szczęk uderzonych o siebie karabinów albo donośny głos majora, który jadąc przodem, odzywał się do oficerów. A tam, na lewo, wściekały się stada armat i lał deszcz karabinowych strzałów. Kto takiej burzy przy jasnym niebie nie słyszał, bracie Katz, ten nie zna się na muzyce!... Pamiętasz, jak nam wówczas dziwnie było na sercu?... Nie strach, ale tak coś jakby żal i ciekawość...

Skrzydłowe bataliony oddalały się od nas coraz bardziej; wreszcie prawy zniknął za wzgórzami, a lewy o paręset sążni²⁶⁷ od nas dał nurka w szeroki parów i tylko kiedy niekiedy błysnęła fala jego bagnetów. Podzieli się gdzieś huzarzy i armaty, i ciągnąca z tyłu rezerwa, i został sam nasz batalion, schodzący z jednego wzgórza, ażeby wejść na drugie, jeszcze wyższe. Tylko od czasu do czasu z frontu, od tyłu albo z boków przyleciał jakiś jeździec z kartką albo z ustnym poleceniem od majora. Prawdziwy cud, że od tyłu poleceń nie zamąciło mu się we łbie!

Nareszcie, już była blisko dziewiąta, weszliśmy na ostatnią wyniosłość porośłą gęstymi krzakami. Nowa komenda; plutony idące jeden za drugim poczęły stawać obok siebie. Gdy zaś dosięgliśmy szczytu wzgórza, kazano nam pochylić się i zniżyć broń, a w końcu

²⁶⁵wiorsta — rosyjska miara długości, ok. 1067 m.

²⁶⁶schwyciłem karabin na tuj — na skróconą komendę: gotuj broń!

²⁶⁷sążeń — dawna miara długości równa 6 stopom (190 cm); sążeń warszawski — ok. 173 cm.

Odwaga

Odwaga

przykłęknąć. Wtedy (pamiętasz, Katz?) Kratochwil, który klęczał przed nami, wetknął głowę między dwie młode sosenki i szepnął:

— Patrzajcie no!...

Od stóp wzgórza, na południe, aż gdzieś do krawędzi horyzontu, ciągnęła się równina, a na niej jakby rzeka białego dymu, szeroka na kilkaset kroków, długa — czy ja wiem — może na milę drogi.

— Tyralierzy!... — rzekł stary podoficer.

Po obu stronach tej dziwnej wody widać było kilka czarnych i kilkanaście białych chmur, kotłujących się przy ziemi.

— To baterie, a tam płoną wsie... — objaśniał podoficer.

Wpatrzywszy się zaś lepiej, można było dojrzeć gdzieś tam, również po obu stronach długiej smugi dymu, prostokątne plamy: ciemne po lewej, białe po prawej. Wyglądały one jak wielkie jeże z połyskującymi kolcami.

— To nasze pułki, a to austriackie... — mówił podoficer. — No, no!... — dodał — i sam sztab lepiej nie widzi...

Z tej długiej rzeki dymu dolatywało nas nieustanne trzeszczenie karabinowych strzałów, a w tamtych białych chmurach szalała burza armat.

— Phy! — odezwał się wtedy, Katz — i to ma być bitwa?... Miałem się też czego bać...

— Zaczekaj no — mruknął podoficer.

— Przygotuj broń!... — rozległo się po szeregach.

Klęcząc zaczęliśmy wydobywać i odgryzać patrony²⁶⁸. Rozległo się szczekanie stalowych stempli i trzask odciąganych kurków²⁶⁹... Podsypaliśmy proch na panewki i znowu cisza.

Naprzeciw nas, może o wiorstę²⁷⁰, były dwa pagórki, a między nimi gościniec. Spozstrzegłem, że na jego żółtym tle ukazują się jakieś białe znaki, które wkrótce utworzyły białą linię, a potem białą plamę. Jednocześnie z parowu leżącego o kilkaset kroków na lewo od nas wyszli granatowi żołnierze, którzy niebawem sformowali się w granatową kolumnę. W tej chwili na prawo od nas huknął strzał armatni i nad białym oddziałem austriackim ukazał się siwy obłoczek dymu. Parę minut pauzy i znowu strzał, i znowu nad Austriakami obłoczek. Pół minuty — znowu strzał i znowu obłoczek...

— *Herr Gott!*²⁷¹ — Panie Boże! — zawołał stary podoficer — jak nasi strzelają... Bem²⁷² komenderuje czy diabeł...

Od tej pory szedł z naszej strony strzał za strzałem, aż ziemia drgała, ale biała plama tam, na gościńcu, rosła wciąż. Jednocześnie na przeciwległym wzgórzu błysnął dym i w stronę naszej baterii poleciał warczący granat. Drugi dym... trzeci dym... czwarty...

— Mądre bestie! — mruknął podoficer.

— Batalion!... naprzód marsz!... — wrzasnął ogromnym głosem nasz major.

— Kompania!... naprzód marsz!... Pluton!... naprzód marsz!... — powtórzyli różnymi głosami oficerowie.

Znowu uszykowano nas inaczej. Cztery środkowe plutony zostały na tyle, cztery poszły naprzód, na prawo i na lewo. Podciągnęliśmy tornistry i wzięliśmy broń, jak się komu podobało.

— Z góry na pazurki!... — zawołał wtedy, Katz.

A w tej chwili granat przeleciał wysoko nad nami i pękł gdzieś w tyle z wielkim łoskotem.

Theatrum mundi

²⁶⁸odgryzać patrony — patron: ładunek do broni palnej, ówczesnie rurka papierowa napelniona prochem, zatkana na jednym końcu kulą, na drugim zalepiona. Przed nabiciem żołnierz odgryzał zalepiony koniec patronu, sypał proch w lufę na tzw. panewkę i wpychał za nim papier — wraz z kulą, przybijając ją mocno za pomocą pręta zwanego stemplem.

²⁶⁹kurek — w strzelbie skałkowej, używanej jeszcze w pierwszej połowie XIX w., część zamka zaopatrzona w krzemień; za pociągnięciem cyngla krzesła iskry, które udzielały ognia prochowi rozsypanemu na panewce, a przezeń — naboju.

²⁷⁰wiorsta — używana w Rosji miara długości, równa ok. 1070 metrom, dzieliła się na 500 sążni.

²⁷¹*Herr Gott!* (niem.) — Panie Boże!

²⁷²Bem Józef (1797–1850) — generał polski, uczestnik powstania listopadowego, w latach 1848–1849 wstąpił się jako komendant obrony rewolucyjnego Wiednia, a następnie wojsk węgierskich w Siedmiogrodzie, gdzie zwycięsko walczył z Austriakami. W sierpniu 1849 r. był naczelnym wodzem armii węgierskiej; po klęsce powstania wstąpił do armii tureckiej.

Wtedy błysnęła mi szczególna myśl. Czy bitwy nie są hałaśliwymi komediami, które wojska urządzają dla narodów, nie robiąc sobie zresztą krzywdy?... To bowiem, na co patrzyłem, wyglądało wspaniale, ale nie tak znowu strasznie.

Teatr, Wojna

Zeszliśmy na równinę. Od naszej baterii przyleciał huzar donosząc, że jedna z armat zdemontowana²⁷³. Współcześnie na lewo od nas padł granat; zarył się w ziemię, ale nie wybuchnął.

Żołnierz, Odwaga

— Zaczynają nas lizać — rzekł stary podoficer.

Drugi granat pękł nad naszymi głowami i jedna z jego skorup padła Kratochwiłowi pod nogi. Pobladł, ale śmiał się.

Strach

— Oho!... ho!... — zawołano w szeregu.

W plutonach, które szły przed nami o jakieś sto kroków na lewo, zrobiło się zamieszanie; gdy zaś kolumna posunęła się dalej, zobaczyliśmy dwu ludzi: jeden leżał twarzą do ziemi, wyciągnięty jak struna, drugi siedział trzymając się rękoma za brzuch. Poczulem zapach prochowego dymu; Katz przemówił coś do mnie, alem go nie słyszał; natomiast zaszumiało mi w prawym uchu, jakby tam wpadła kropla wody.

Podoficer poszedł w prawo, my za nim. Kolumna nasza rozwinęła się we dwie długie linie. Na paręset kroków przed nami zakłębił się dym. Coś trąbiono, alem nie zrozumiał sygnału; natomiast słyszałem ostre poświsty nad głową i koło lewego ucha. O kilka kroków przede mną coś uderzyło w ziemię zasypując mi piaskiem twarz i piersi. Mój sąsiad strzelił; dwaj stojący za mną prawie na moich ramionach oparli karabiny i wypalili jeden po drugim. Ogłuszony do reszty, wypaliłem i ja... Nabilem i znowu strzeliłem. Przed front spadł czyjs kask i karabin, ale otoczyły nas takie kłęby dymu, że nic dalszego nie mogłem dojrzeć. Widziałem tylko, że Katz, który ciągle strzelał, wygląda jak obłąkany i ma pianę w kątach ust. Szum w uszach spotęgował mi się tak, że w końcu nic nie słyszałem, ani huk karabinów, ani armat.

Nareszcie dym stał się tak gęsty i nieznosny, że za wszelką cenę chciałem wydobyć się z niego. Cofnąłem się z początku wolno, później biegiem, widząc ze zdziwieniem, że i inni robią to samo. Zamiast dwu wyciągniętych szeregów zobaczyłem kupę uciekających ludzi. „Czego oni, u diabła, uciekają?...” — myślałem przyspieszając kroku. Nie był to już bieg, ale koński galop. Zatrzymaliśmy się w połowie wzgórza i tu dopiero spostrzegliśmy, że miejsce nasze na placu zajął jakiś nowy batalion, a na szczycie wzgórza wałęsały się armat.

— Rezerwy w ogniu!... Naprzód, łajdaki!... Świnie wam paść, psu braty!... — wołali czarni od dymu, rozbewstwień oficerowie, ustawiając nas na powrót w szeregi i płazując²⁷⁴ każdego, kto nawinął się im pod rękę.

Majora między nimi nie było.

Powoli, zmieszani w odwrocie, żołnierze znaleźli się w swoich plutonach, ściągnęli maruderowie i batalion wrócił do porządku. Ubyło jednak ze czterdziestu ludzi.

Śmierć

— Gdzież oni się rozbiegli? — spytał podoficera.

— Aha, rozbiegli się — odparł zachmurzony.

Nie śmiałem pomyśleć, że zginęli.

Ze szczytu wzgórza zjechało dwu furgonistów; każdy prowadził konia objuczonego pakami. Naprzeciw nich wybiegli nasi podoficerowie i wkrótce wrócili z pakietami nabo-
jów. Wziąłem osiem, bo tyle mi brakowało w ładownicy, i zdziwiłem się: jakim sposobem mogłem je zgubić?

— Wiesz ty — rzekł do mnie Katz — że już po jedynastej?...

— A wiesz ty, że ja nic nie słyszę? — odparłem.

— Głupiś. Przecież słyszysz, co mówię...

— Tak, ale armat nie słyszę... Owszem, słyszę — dodałem skupiwszy uwagę. Grzmot armat i łoskot karabinów zlały się w jedno ogromne warczenie, już nie ogłuszające, ale wprost ogłupiające. Ogarnęła mnie apatia.

Przed nami, może na pół wiorsty, bałwanila się szeroka kolumna dymu, którą budzący się wiatr niekiedy rozdzierał. Wówczas na chwilę można było widzieć długi szereg nóg albo kasków, z połyskującymi obok nich bagnietami. Nad tamtą kolumną i nad naszą

²⁷³zdemontowana — tu: uszkodzona.

²⁷⁴płazować — uderzać płaską (tępą) stroną szabli.

kolumną szumiały granaty, wymieniane pomiędzy baterią węgierską, która strzelała spoza nas, i austriacką, odzywającą się ze wzgórz przeciwnych.

Rzeka dymu, ciągnąca się przez równinę ku południowi, kłębiła się jeszcze mocniej i była bardzo pocięta. Gdzie Austriacy brali górę, zgięcie szło na lewo, gdzie Węgrzy — na prawo. W ogóle pasmo dymu wyginało się bardziej na prawo, jakby nasi już odepchnęli Austriaków. Po całej równinie stała się delikatna mgła niebieskawej barwy.

Dziwna rzecz: huk, choć silniejszy teraz, aniżeli był z początku, już nie robił na mnie wrażenia; ażeby go słyszeć, musiałem się dopiero wsłuchiwać. Tymczasem bardzo wyraźnie dochodził mnie szcęk nabijanych karabinów albo trzask kurków.

Przyleciał adiutant, zatrąbiono, oficerowie zaczęli przemawiać.

— Chłopczy! — wrzeszczał na całe gardło nasz porucznik, który niedawno uciekł z seminarium. — Zrejetrowaliśmy, bo Szwabów było więcej, ale teraz zaskoczmy z boku ot tę kolumnę, widzicie?... Zaraz podeprze nas trzeci batalion i rezerwa... Niech żyją Węgry!...

— I ja chciałbym pożyć... — mruknął Kratochwil.

— Pół obrotu w prawo, marsz!...

Szliśmy tak kilka minut; potem pół obrotu w lewo i zaczęliśmy spuszczać się na równinę, usiłując dostać się na prawy bok kolumny walczącej przed nami. Okolica wciąż falista; z przodu widać przez mgłę pole zarośnięte badyłami, za nim lasek.

Nagle między owymi badyłami spostrzegłem kilka, a potem kilkanaście dymków, jakby w rozmaitych punktach zapalono fajki; jednocześnie zaczęły nad nami świstać kule. Pomyślałem, że tak wychwalane przez poetów świstanie kul nie jest bynajmniej poetyczne, ale raczej ordynaryjne²⁷⁵. Czuć tam wściekłość martwego przedmiotu.

Od naszej kolumny oderwał się sznur tyralierów i pobiegł ku badyłom. My maszerowaliśmy wciąż, jakby kule przelatujące z ukosa nie do nas adresowano.

W tej chwili stary podoficer, który siedł na prawym skrzydle gwiżdżąc *Rakoczego*, wypuścił karabin, rozstawił ręce i zatoczył się jak pijany. Przez mgnienie oka widziałem jego twarz: miał z lewej strony rozdarty daszek kaski i czerwoną plamkę na czole. Szliśmy wciąż; na prawym skrzydle znalazł się inny podoficer, młody blondynek.

Już zrównaliśmy się z walczącą kolumną i widzieliśmy pustą przestrzeń między dymem naszej i austriackiej piechoty, kiedy spoza niej wynurzył się długi szereg białych mundurów. Szereg podnosił się i zniżał co sekundę, a jego nogi migwały raz po raz²⁷⁶, jak na paradzie. Stanął. Nad nim błysnęła taśma stali, pochyliła się i — zobaczyłem ze sto wycelowanych do nas karabinów, lśniących jak igły w papierku. Potem zadymiło się, zgrzytnęło jak łańcuch po żelaznej sztabie, a nad nami i około nas przeleciał wicher pocisków.

— Stój!... Pal!...

Wystrzeliłem co rychlej, pragnąc zasłonić się chociaż dymem. Pomimo huku usłyszałem za sobą niby uderzenie kijem w człowieka; ktoś z tyłu padł zawadzając o mój torniś. Opanował mnie gniew i desperacja; czułem, że zginę, jeżeli nie zabiję niewidzialnego wroga. Nabijałem broń i strzelałem bez pamięci, trochę zniżając karabin i myśląc z dziką satysfakcją, że moje kule nie pójdą górą. Nie patrzyłem na bok ani pod nogi; bałem się zobaczyć leżącego człowieka.

Wtem stało się coś nieoczekiwanego. W pobliżu nas zatrzeszczały bębny i rozległy się przeraźliwe piszczałki fajfrów²⁷⁷. Toż samo za nami. Ktoś krzyknął: „Naprzód!” i — nie wiem, z ilu piersi wybuchnął krzyk podobny do jęku albo do wycia. Kolumna poruszyła się z wolna, przód, biegiem... Strzały prawie ucichły i odzywały się tylko pojedynczo... Z impetem uderzyłem o coś pierściami, pchano się na mnie ze wszystkich stron, pchałem się i ja...

— Kłuj Szwaba!... — krzyczał nieludzkim głosem Katz, rwąc się naprzód. A że nie mógł wydobyć się z ciżby, więc podniósł karabin i walił kolbą w tornistry stojących przed nami kolegów.

Nareszcie zrobiło się tak ciasno, że zaczęła mi się giąć klatka piersiowa i uczułem brak tchu. Uniesiono mnie do góry, opuszczono, a wtedy poznałem, że nie stoję na ziemi,

²⁷⁵ordynaryjny — zwyczajny, pospolity.

²⁷⁶raz po raz — dziś: raz po raz.

²⁷⁷fajfer — w dawnym wojsku muzyk przygrywający na piszczałce.

Odwaga, Żołnierz

Walka, Wróg, Żołnierz

ale na człowieku, który jeszcze pochwycił mnie za nogę. W tej chwili wrzeszczący tłum posunął się naprzód, a ja upadłem. Lewa ręka poślizgnęła mi się we krwi.

Obok mnie leżał przewrócony na bok oficer austriacki, człowiek młody, o bardzo szlachetnych rysach. Spojrzał na mnie ciemnymi oczyma z nieopisanym smutkiem i wyszeptał chrapliwym głosem:

— Nie trzeba deptać... Niemcy są też ludźmi...

Wsunął rękę pod bok i jęczał żałośnie.

Pobiegłem za kolumną. Nasi byli już na wzgórzach, gdzie stały austriackie baterie. Wdrapawszy się za innymi, zobaczyłem jedną armatę przewróconą, drugą zaprzężoną i otoczoną przez naszych.

Trafiłem na szczególną scenę. Jedni z naszych chwycili za koła armaty, drudzy ściągali woźnicę z siodła; Katz przebił bagnietem konia z pierwszej pary, a kanonier austriacki chciał zwalić go w łeb wyciorem²⁷⁸. Schwyciłem kanoniera za kołnierz i nagłym ruchem w tył przewróciłem go na ziemię. Katz i jego chciał przebić.

— Co robisz, wariacie?!... — zawołałem odbijając mu karabin.

Wtedy rozwścieczony rzucił się na mnie, ale stojący obok oficer pałaszem odtrącił mu bagniet.

— Czego się tu mieszasz?... — krzyknął Katz na oficera i — oprzytomniał.

Dwie armaty były wzięte, za resztą pognali husarzy. Daleko przed nami stali nasi pojedynczo i w gromadach, strzelając do cofających się Austriaków. Kiedy niekiedy jakaś zbłąkana kula nieprzyjacielska świsnęła nad nami albo zaryła się w ziemię wydmuchując obłoczek kurzu. Trębacze zwoływali do szeregów.

Około czwartej po południu pułk nasz ściągnięto; było po bitwie. Tylko na zachodniej krawędzi horyzontu jeszcze odzywały się pojedyncze strzały lekkiej artylerii, jak odgłosy burzy, która już przeszła.

W godzinę później na rozległym placu boju w różnych punktach zagrały pułkowe orkiestry. Przyleciał do nas adiutant z powinszowaniem. Trębacze i dobosze uderzyli sygnał: do modlitwy. Zdjęliśmy kaski, chorążowie podnieśli sztandary i cała armia, z bronią do nogi, dziękowała węgierskiemu Bogu za zwycięstwo.

Stopniowo dym opadł. Gdzie oko sięgło, widzieliśmy w rozmaitych miejscach jakby skrawki białego i granatowego papieru, bez ładu porozrzucane na zdeptanej trawie. W polu kręciło się kilkanaście furmanek, a jacyś ludzie składali na nich niektóre z owych skrawków. Reszta została.

— Mieli się też po co rodzić!... — westchnął oparty na karabinie Katz, którego znowu opanowała melancholia.

Było to bodaj czy nie ostatnie nasze zwycięstwo. Od tej chwili sztandary z trzema rzekami²⁷⁹, częściej chodziły przed nieprzyjacielem aniżeli za nieprzyjacielem, dopóki wreszcie pod Vilagos²⁸⁰ nie opadły z drzewców jak liście na jesieni.

Dowiedziawszy się o tym Katz rzucił szpadę na ziemię (byliśmy już obaj oficerami) i powiedział, że teraz tylko sobie w łeb strzelić. Ja jednak pamiętając, że we Francji już siedzi Napoleon, dodałem mu otuchy i — przekradliśmy się do Komorna²⁸¹.

Przez miesiąc wyglądaliśmy odsieczy: z Węgier, z Francji, nawet z nieba. Nareszcie twierdza kapitulowała²⁸².

Pamiętam, że tego dnia Katz kręcił się około prochowni, a miał taki wyraz na twarzy jak wówczas, kiedy to chciał przebić leżącego kanoniera. Gwałtem wzięliśmy go w kilku pod ręce i wyprowadziliśmy z fortecy, za naszymi.

— Cóż to — szepnął mu jeden z kolegów — zamiast iść z nami na tułactwo, chciałbyś zmykać do nieba?... Ej! Katz, węgierska piechota nie tchórzy i nie łamie słowa danego, nawet... Szwabom...

W pięciu oddzielił się od reszty wojsk, połamaliśmy szpady, przebraliśmy się za

Niemiec

Wróg, Żołnierz

Modlitwa

Melancholia

Samobójstwo

Podróż

²⁷⁸wycior — szczotka do wycierania armaty po wystrzale.

²⁷⁹sztandary z trzema rzekami — wyrażenie niejasne; w dawnym herbie węgierskim znajdowały się trzy góry i cztery rzeki (Dunaj, Cisa, Sawa, Drawa).

²⁸⁰Vilagos — miejscowość w Siedmiogrodzie, gdzie wojska węgierskie pod dowództwem gen. Görgöya poddały się Paskiewiczowi (13 sierpnia 1849).

²⁸¹Komorno — miasto i twierdza nad Dunajem, na pograniczu Słowaczyny i Węgier.

²⁸²twierdza kapitulowała — Komorno poddało się 25 października 1849 r.

chłopów i ukrywszy pod odzieżą pistolety wędrowaliśmy w stronę Turcji. Tropiła nas też, bo tropiła sfora Haynaua²⁸³!...

Podróż nasza po bezdrożach i lasach trwała ze trzy tygodnie. Pod nogami błoto, nad głowami deszcz jesienny, za plecami patrole, a przed nami wieczne wygnanie — oto byli nasi towarzysze. Mimo to mieliśmy dobry humor.

Szapary ciągle gadał, że Kossuth²⁸⁴ jeszcze coś wymyśli, Stein był pewny, że odezwie się za nami Turcja, Liptak wzdychał do noclegu i gorącej strawy, a ja mówiłem, że kto jak kto, ale Napoleon nas nie opuści. Deszcz rozmiękczył nam odzienie, jak masło, brnęliśmy w błocie wyżej kostek, poodłaziły nam podeszwy, a w butach grało jak na trąbce; mieszkańcy bali się sprzedać nam dzbanka mleka, a chłopci w jednej wsi gonili nas z widłami i kosami. Mimo to humor był, a Liptak pędząc obok mnie tak, aż błoto bryzgało, rzekł zadyszany:

— *Eljen Magyar!*²⁸⁵... Oto będziemy spali... Żeby tak jeszcze z kielich śliwownicy do poduszki!...

W tym wesołym towarzystwie obdartusów, przed którymi nawet wrony uciekały, tylko Katz był pochmurny. On najczęściej odpoczywał i jakoś prędzej mizerniał; miał spieczone usta, a w oczach blade iskry.

— Boję się, żeby nie dostał zgnilej gorączki²⁸⁶ — rzekł raz do mnie Szapary.

Niedaleko rzeki Sawy²⁸⁷, nie wiem którego dnia naszej wędrówki, znaleźliśmy w pustej okolicy kilka chat, gdzie nas bardzo gościnnie przyjęto. Mrok już zapadł, wściekle byliśmy znużeni, ale dobry ogień i butelka śliwownicy napędziły nam wesołych myśli.

— Przysięgam — wołał Szapary — że najdalej w marcu Kossuth powoła nas do szeregów. Głupstwo zrobiliśmy łamiąc szpady...

— Może jeszcze w grudniu Turek wojska posunie — dodał Stein. — Ażeby się choć wygoić do tego czasu...

— Moi kochani!... — jęczał Liptak zawijając się w grochowiny — kładźcie się, do diabła, spać, bo inaczej ani Kossuth, ani Turek nas nie rozbudzi.

— Pewno, że nie rozbudzi! — mruknął Katz.

Siedział na ławie naprzeciw komina i smutno patrzył w ogień.

— Ty, Katz, niedługo w sprawiedliwość boską przestaniesz wierzyć — odezwał się Szapary marszcząc brwi.

— Nie ma sprawiedliwości dla tych, którzy nie umieli zginąć z bronią w ręku! — krzyknął Katz. — Głupi wy i ja z wami... Turek albo Francuz nadstawi za was karku?... Czemużecie wy sami nie umieli go nadstawić?...

— Ma gorączkę — szepnął Stein. — Będzie z nim kłopot w drodze...

— Węgry!... już nie ma Węgier! — mruczał Katz. — Równość... nigdy nie było równości!... Sprawiedliwość... nigdy jej nie będzie... Świnia wykąpie się nawet w bagnie; ale człowiek z sercem!... Darmo, panie Mincel, już ja u ciebie nie będę krajać mydła...

Zmiarkowałem, że Katz jest bardzo chory. Zbliżyłem się do niego i ciągnąc go na grochowiny, rzekłem:

— Chodź, Auguście, chodź...

— Gdzież pójde?... — odparł, na chwilę wytrzeźwiony.

A potem dodał:

— Z Węgier wypędzili, do Szwabów się nie zaciągnę...

Mimo to legł na barłogu. Ogień na kominie wygasiał. Dopiliśmy wódkę i położyliśmy się rzędem z pistoletami w garści. W szczelinach chaty wiatr jęczał, jakby całe Węgry płakały, a nas zmorzył sen. Śniło mi się, że jestem małym chłopcem i że jest Boże Narodzenie. Na stole płonie choinka, przybrana tak ubogo, jak my byliśmy ubodzy, a dokoła: mój ojciec, ciotka, pan Raczek i pan Domański śpiewają fałszywymi głosami kolędę:

²⁸³Haynau Juliusz Jakub (1786–1853) — feldmarszałek austriacki, który w r. 1849 z niezwykłym okrucieństwem zdławił powstanie węgierskie.

²⁸⁴Kossuth Ludwik (1802–1894) — polityk węgierski, wódz rewolucji węgierskiej 1848–1849 r.

²⁸⁵*Eljen Magyar!* (węg.) — niech żyją Węgry!

²⁸⁶zgnięła gorączka — w ówczesnej terminologii lekarskiej gorączka, przy której „soki ciała psują się i gniją”.

²⁸⁷Sawa — prawy dopływ Dunaju. W tym czasie stanowiła granicę między posiadłościami austriackimi i tureckimi.

Błoto

Choroba

Gość

Rozczarowanie,
Sprawiedliwość, Żołnierz

Śmierć bohaterska

Dzieciństwo, Sen

Obudziłem się, łkając z żalu za moim dzieciństwem. Ktoś szarpał mnie za ramię. Był to chłop, właściciel chaty. Podniósł mnie z grochowin i wskazując w stronę Katza mówił przerażony:

— Patrzcie no, panie wojak... Z nim się coś złego stało...

Porwał z komina łuczywo i zaświecił. Spojrzałem. Katz leżał na barłogu skurczony, z wystrzelonym pistoletem w ręku. Ogniste płatki przeleciały mi przed oczyma i zdaje mi się, że zemdląłem.

Ocknąłem się na furze, którą właśnie dojeżdżaliśmy do Sawy. Już dniało, zapowiadał się dzień pogodny; od rzeki ciągnęła surowa wilgoć. Przetarłem oczy, porachowałem... Było na wozie nas czterech i piąty furman. Przecież powinno być pięciu. Nie, powinno być sześciu!... Szukałem Katza, nie mogłem się dopatrzeć. Nie pytałem o niego; płacz ścisnął mnie za gardło i myślałem, że mnie udusi. Liptak drzemał, Stein ocierał oczy, a Szapary patrzył na bok i tylko pogwizdywał *Rakoczego*, chociaż ciągle się mylił.

Ej! bracie Katz, cóż ty zrobił najlepszego?... Czasem zdaje mi się, żeś znalazł tam w niebie i węgierską piechotę, i swój wystrzelany pluton... Niekiedy słyszę łoskot bębnow, ostry rytm marszu i komendę: „Na ramię broń!...” A wtedy myślę, że to ty, Katz, idziesz na zmianę warty przed bożym tronem... Bo kiepskim byłby Pan Bóg węgierski, gdyby się nie poznał na tobie!

...Alem się też rozgadał, Boże odpuść!... Myślałem o Wokulskim, a piszę o sobie i o Katzu. Wracam więc do przedmiotu.

W parę dni po śmierci Katza weszliśmy do Turcji, a przez dwa lata następne ja, już sam, tułałem się po całej Europie. Byłem we Włoszech, Francji, Niemczech, nawet w Anglii, a wszędzie nękała mnie bieda i żarła tęsknota za krajem. Nieraz zdawało mi się, że stracę rozum słuchając potoków obcej mowy i widząc nie nasze twarze, nie nasze ubiory, nie naszą ziemię. Nieraz oddałbym życie, ażeby choć spojrzeć na las sosnowy i chałupy poszyte słomą. Nieraz jak dziecko wołałem przez sen: ja chcę do kraju!... A gdym się obudził zalany łzami, ubierałem się i pędem biegłem na ulicę, bo mi się przywidziało, że ta ulica koniecznie musi być Starym Miastem albo Podwalem.

Może bym się zabił z desperacji, gdyby nie ciągle wiadomości o Ludwiku Napoleonie, który już został prezydentem, a myślał o cesarstwie. Było mi źle dźwigać nędzę i tłumić wybuchy żalu, kiedyś słuchał o triumfach człowieka, który miał wykonać testament Napoleona I i zrobić porządek w świecie.

Nie udało mu się wprawdzie, ale — zostawił syna. Nie od razu Kraków zbudowano!...

Nareszcie nie mogłem wytrzymać i — w grudniu 1851 roku przejechawszy wzdłuż Galicję stanąłem na komorze w Tomaszowie²⁸⁸. Jedną mnie tylko myśl trapiła:

„A nuż mnie i stąd wypędzą?...”

Nigdy zaś nie zapomnę radości, jakiej doznałem usłyszawszy, że mam jechać do Zamościa. Właściwie, to nawet nie bardzo jechał; raczej szedłem, ale z jakąś uciechą!

W Zamościu bawiłem rok z czymś²⁸⁹. A że dobrze drwa rąbał, więc byłem co dzień na świeżym powietrzu. Napisałem stamtąd list do Mincla i podobno otrzymałem od niego odpowiedź, nawet pieniądze; ale wyjąwszy pokwitowania z odbioru, bliższych szczegółów tego wypadku nie pamiętam.

Zdaje się jednak, że Jaś Mincel zrobił inną rzecz, choć nie wspomniał o niej do śmierci i nawet nie lubił o tym rozmawiać. Oto chodził on do różnych generałów, którzy odbyli węgierską kampanię, i tłumaczył im, że przecież powinni ratować kolegę w nieszczęściu. No i uratowali mnie, tak że już w lutym 1853 roku mogłem jechać do Warszawy. Zwrócono mi nawet patent oficerski²⁹⁰, jedyną pamiątkę, jaką wyniosłem z Węgier nie licząc dwu ran: w piersi i w nogę. Było nawet lepiej, bo oficerowie wyprawili mi obiad, na którym gęsto piliśmy zdrowie węgierskiej piechoty. Od tej też pory mówię, że najtrwalsze stosunki zawiązują się na placu bitwy.

Samobójstwo

Przyjaźń, Śmierć

Ojczyzna, Tęsknota,
Pielgrzym

Pamięć

²⁸⁸Tomaszów (Lubelski) — miasteczko leżące na ówczesnej granicy między Królestwem a Galicją.

²⁸⁹W Zamościu bawiłem rok z czymś — w Zamościu było więzienie rosyjskie.

²⁹⁰patent oficerski — dyplom oficerski.

Ledwie opuszczałem mój dotychczasowy apartament będąc gołym jak pieprz turecki, zaraz zastąpił mi drogę nieznan Żydek i oddał list z pieniędzmi. Otworzyłem go i przeczytałem:

„Mój kochany Ignacy! Posyłam ci dwieście złotych na drogę, to się później obrachujemy. Zajedź wprost do mego sklepu na Krakowskim Przedmieściu, a nie na Podwał, broń Boże! bo tam mieszka ten złodziej Franc, niby mój brat, któremu nawet pies porządny nie powinien podawać ręki. Całuję cię, Jan Mincel. Warszawa, d. 16 lutego r. 1853.

Ale, ale!... Stary Raczek, co się z twoją ciotką ożenił, to wiesz — umarł, a i ona także, ale pierwej. Zostawili ci trochę gratów i parę tysięcy złotych. Wszystko jest u mnie w porządku, tylko salopę ciotki mole trochę sponiewierały, bo bestia Kaśka zapomniała włożyć bakuniu²⁹¹. Franc kazał cię ucałować. Warszawa, d. 18 lutego r. 1853.”

Ten sam Żydek wziął mnie do swego domu, gdzie doręczył mi tłumoczek z bieliną, odzieniem i obuwiem. Nakarmił mnie rosółem z gęsiny, potem gotowaną, a potem pieczoną gęsiną, której do Lublina nie mogłem strawić. Nareszcie dał mi butelkę wyborowego miodu, zaprowadził do gotowej już furmanki, lecz — ani chciał słuchać o żadnym wynagrodzeniu.

— Ja bym się wstydził brać od takiej osoby, co z migracji wraca — odpowiadał na wszystkie moje zakłęcia.

Dopiero, gdy już miał wsiąść do fury, odprowadził mnie na bok i rozejrzawszy się, czy kto nie podsłuchuje, szepnął:

— Jak pan dobrodziej ma węgierskie dukaty²⁹², to ja kupię. Ja rzetelnie zapłacę, bo mnie potrzeba dla córki, co po Pańskim Nowym Roku wychodzi za mąż...

— Nie mam dukatów — odparłem.

— Pan dobrodziej był na węgierskie wojny i pan nie ma dukatów?... — rzekł zdziwiony.

Już postawiłem nogę na stopniu fury, kiedy ten sam Żydek odciągnął mnie drugi raz na stronę.

— Może pan dobrodziej ma jakie kosztowności?... Pierścionków, zegarków, branzoletów?... Jak zdrowia pragnę, ja rzetelnie zapłacę, bo to dla mojej córki...

— Nie mam, bracie, daję ci słowo...

— Nie ma pan? — powtórzył, szeroko otwierając oczy. — To po co pan chodził na Węgry?...

Ruszyliśmy, a on jeszcze stał i trzymał się ręką za brodę, z politowaniem kiwając głową.

Fura była wynajęta tylko dla mnie. Zaraz jednak na następnej uliczce furman spotkał swego brata, który miał bardzo pilny interes do Krasnegostawu²⁹³.

— Niech wielmożny pan pozwoli jego zabrać — prosił zdjąwszy czapkę. — Na złe drogie to on będzie szedł piechotą.

Pasażer wsiadł. Nim dojechalśmy do bramy fortecznej²⁹⁴, zastąpiła nam drogę jakaś Żydówka z tłumokiem i poczęła krzykliwie rozmawiać z furmanem. Okazało się, że jest to jego ciotka, która ma w Fajslawicach²⁹⁵ chore dziecko.

— Może wielmożny pan pozwoli się jej przysiąść... To jest bardzo letka²⁹⁶ osoba... — prosił furman.

Za bramą wreszcie, w rozmaitych punktach szosy, znalazło się jeszcze trzech kuzynów mego furmana, który zabrał ich pod pozorem, że będzie mi w drodze weselej. Jakoż zepchnęli mnie na tylną oś wozu, deptali po nogach, palili szkaradny tytuń, a przede wszystkim wrzeszczeli jak opętani. Pomimo to nie pomieniałbym²⁹⁷ mego ciasnego kąta na najwygodniejsze miejsce we francuskich dyliżansach²⁹⁸ albo angielskich wagonach²⁹⁹. Byłem już w kraju.

Jedzenie, Żyd

Bogactwo, Wojna, Żyd

²⁹¹bakuni — tytuń najlichszego gatunku.

²⁹²węgierskie dukaty — monety złote o wysokiej, gwarantowanej zawartości złota.

²⁹³Krasnystaw — miasto nad rzeką Wieprz, położone 53 km na południowy wschód od Lublina.

²⁹⁴Nim dojechalśmy do bramy fortecznej... — do r. 1866 Zamość, jako twierdza, otoczony był murami.

²⁹⁵Fajslawice — wieś znajdująca się 17 km od Krasnegostawu.

²⁹⁶letka — gwar. lekka.

²⁹⁷nie pomieniałbym — nie zamieniłbym.

²⁹⁸dyliżans — powóz pocztowy.

²⁹⁹angielskie wagony — mowa o wagonach kolejowych.

Przez cztery dni zdawało mi się, że siedzę w przenośnej boźnicy. Na każdym popasie jakiś pasażer ubywał, inny zajmował jego miejsce. Pod Lublinem zsunęła mi się na plecy ciężka paka; istny cud, że nie stracił życia. Pod Kurowem³⁰⁰ staliśmy parę godzin na szosie, gdyż zginął czyjś kufer, po który furman jeździł konno do karczmy. Przez całą wreszcie drogę czułem, że leżąca na moich nogach pierzyna jest gęściej zaludniona od Belgii.

Piątego dnia, przed wschodem słońca, stanęliśmy na Pradze. Ale że fur było mnóstwo, a łyżwowo most³⁰¹ ciasny, więc ledwie około dziesiątej zajechaliśmy do Warszawy. Muszę dodać, że wszyscy moi współpasażerowie znikli na Bednarskiej ulicy jak eter octowy³⁰², zostawiając po sobie mocny zapach. Gdy zaś przy ostatecznym rachunku wspomniałem o nich furmanowi, wytrzeszczył na mnie oczy.

— Jakie pasażery?... — zawołał zdziwiony. — Wielmożny pan to jest pasażer, ale tamto — same parchy. Jak my stanęli na rogatce, to nawet strażnik dwa takie gałgany rachował za złotówkę na jeden paszport³⁰³. A wielmożny pan myśli, co oni byli pasażery!...

— Więc nie było nikogo?... — odparłem. — A skądże, u licha, pchły, które mnie oblażyły?

— Może z wilgoci. Czy ja wiem! — odpowiedział furman.

Przekonany w ten sposób, że na bryce nie było nikogo oprócz mnie, sam jeden, rozumiem się, zapłaciłem za całą podróż, co tak rozczuliło furmana, że wypytawszy się, gdzie będę mieszkał, obiecał mi przywozić co dwa tygodnie tytuń przemycany.

— Nawet teraz — rzekł cicho — mam na furze centnar³⁰⁴. Może przynieść wielmożnego pana z parę funty?... —

— Żeby cię diabli wzięli! — mruknąłem chwytając mój tłumoczek. — Tęgo jeszcze brakowało, ażeby aresztowali mnie za defraudację³⁰⁵.

Szybko biegnąc przez ulicę, przypatrywałem się miastu, które po Paryżu wydawało mi się brudne i ciasne, a ludzie posępni. Sklep J. Mincla na Krakowskim Przedmieściu łatwo znalazłem; ale na widok znanych miejsc i szyldów serce zaczęło mi się tak trząść, że chwilę musiał odpocząć.

Spojrzałem na sklep — prawie taki jak na Podwalu; na drzwiach blaszany pałasz i bęben (może ten sam, który widziałem w dzieciństwie!) — w oknie talerze, koń i skaczący kozak... Ktoś uchylił drzwi i zobaczyłem w głębi zawieszone u sufitu: farby w pęcherzach, korki w siatce, nawet wypchanego krokodyla.

Za kontuarem, blisko okna, siedział na starym fotelu Jan Mincel i ciągnął za sznurek kozaka...

Wszedłem drżąc jak galareta i stanąłem naprzeciw Jasia. Zobaczywszy mnie (już zaczął tyć chłopak) ciężko uniósł się z fotelu i przymrużył oczy. Nagle krzyknął do jednego z chłopców sklepowych:

— Wicek!... gnaj do panny Małgorzaty i powiedz, że wesele zaraz po Wielkiejnocy...

Potem wyciągnął do mnie obie ręce ponad kontuarem i długo ściskaliśmy się milcząc.

— Aleś też walił Szwabów! Wiem, wiem — szepnął mi do ucha. — Siadaj — dodał wskazując krzesło. — Kaziek! rwij do *Grossmutter*... Pan Rzecki przyjechał!...

Siadłem i znowu nie mówiliśmy nic do siebie. On żałośnie trzął głową, ja spuściłem oczy. Obaj myśleliśmy o biednym Katzu i o naszych zawiedzionych nadziejach. Wreszcie Mincel utarł nos z wielkim hałasem i odwróciwszy się do okna, mruknął:

— No, co tam...

Wrócił zadyszany Wicek. Uważałem³⁰⁶, że surdut tego młodzieńca połyskuje od tłustych plam.

— Byłeś? — spytał go Mincel.

— Byłem. Panna Małgorzata powiedziała, że dobrze.

³⁰⁰Kurów — miejscowość znajdująca się w pobliżu Puław.

³⁰¹most łyżwowo — most tymczasowy, ustawiony na łyżwach (płaskie, podłużne czółna, pontony); istniał przy ul. Bednarskiej w latach 1829–1864, do czasu wybudowania mostu Kierbedzia. (Prus jest tu o tyle niedokładny, że Rzecki wraca do Warszawy w lutym, a most łyżwowo na zimę zwijano.)

³⁰²eter octowy — eter etylowy, bezbarwna ciecz o ostrym zapachu, szybko się ulatniająca.

³⁰³paszport — ówczesnie: dowód osobisty uprawniający do przejazdu z miejscowości do miejscowości.

³⁰⁴centnar — jednostka wagi, 50 kg.

³⁰⁵defraudacja — sprzeniewierzenie; także przemyt przez granicę.

³⁰⁶Uważałem — tu: zauważyłem.

Warszawa

Warszawa

— Żenisz się? — rzekłem do Jasia.
— Phi!... cóż mam robić! — odparł.
— A *Grossmutter* jak się ma?
— Zawsze jednakowo. Choruje tylko wtedy, kiedy stłuką jej dzbanek do kawy.
— A Franc?
— Nie gadaj mi o tym łajdaku — wstrząsnął się Jan Mincel. — Wczoraj przysięgłem sobie, że noga moja u niego nie postanie...

— Cóż ci zrobił? — spytałem.
— To podle Szwabisko ciągle drwi z Napoleona!... Mówi, że złamał przysięgę rzeczypospolitej³⁰⁷, że jest kuglarzem, któremu oswojony orzeł napluł w kapelusz... Nie — mówił Jan Mincel — z tym człowiekiem żyć nie mogę...

Przez cały czas naszej rozmowy dwaj chłopcy i subiekt załatwiali interesantów, na których nawet nie zwracałem uwagi. Wtem skrzypnęły tylne drzwi sklepu i spoza szaf wysunęła się staruszka w żółtej sukni, z dzbanuszką w ręku.

— Gut Morgen, meine Kinder!... Der Kaffee ist schon...

Pobiegłem i ucałowałem jej suche rączyny nie mogąc słowa przemówić.

— *Ignaz!... Herr Jesus... Ignaz!* — zawołała ściskając mnie. — *Wo bist du so lange gewesen, lieber Ignaz?...*³⁰⁸

— No, przecie *Grossmutter* wie, że był na wojnie. Co się tu pytać, gdzie był? — wtrącił Jan.

— *Herr Jesus!... Aber du hast noch keinen Kaffee getrunken?...*³⁰⁹

— Naturalnie, że nie pił — odparł Jan w moim imieniu.

— *Du lieber Gott! Es ist ja schon zehn Uhr...*³¹⁰

Nalała mi kubek kawy, wręczyła trzy świeże bułki i znikła jak zwykle.

Teraz główne drzwi otworzyły się z łoskotem i wbiegł Franc Mincel, tłusciejszy i czerwieńszy od brata.

— Jak się masz, Ignacy!... — zawołał padając mi w objęcia.

— Nie całuj się z tym durniem, który jest zakałą rodu Minclów!... — rzekł do mnie Jan.

— Oj! oj! co mi to za ród!... — odparł ze śmiechem Franc. — Nasz ojciec przyjechał taczkami we dwa psy...

— Nie gadam z panem! — wrzasnął Jan.

— Ja też nie do pana mówię, tylko do Ignacego — odparł Franc. — A nasz stryj — ciągnął dalej — było przecie takie zakute Szwabisko, że wylazł z trumny po swoją szlafmycę, której mu tam zapomnieli włożyć...

— Robisz mi pan afront w moim domu!... — krzyknął Jan.

— Nie przyszedłem do pańskiego domu, tylko do sklepu za sprawunkiem... Wicek! — zwrócił się Franc do chłopca — daj mi korek za grosz... Tylko zawiń go w bibułę... Do widzenia, kochany Ignacy, wpadnij do mnie dziś wieczorem, to przy dobrej butelce pogadamy. A może i ten pan z tobą przyjdzie — dodał już z ulicy, wskazując ręką na sinego z gniewu Jana.

— Noga moja nie postanie u podłego Szwaba! — krzyknął Jan.

To jednak nie przeszkadzało, że wieczorem byliśmy obaj u Franca.

Mimochodem wspomnę, że nie było tygodnia, w ciągu którego bracia Minclowie nie pokłóciliby się i nie pogodzili przynajmniej ze dwa razy. Co zaś jest najosobliwszym, że przyczyny swarów nigdy nie wypływały z interesu natury materialnej. Owszem, pomimo największych nieporozumień bracia zawsze poręczali swoje kwity, pożyczali sobie pieniędzy i nawzajem płacili długi. Powody tkwiły w ich charakterach.

Jan Mincel był romantyk³¹¹ i entuzjasta, Franc spokojny i zgryźliwy; Jan był gorącym bonapartystą, Franc republikaninem i specjalnym wrogiem Napoleona III. Nareszcie

³⁰⁷złamał przysięgę rzeczypospolitej — złożoną przy wyborze na prezydenta, przez zamach stanu 2 grudnia 1851 roku.

³⁰⁸*Ignaz!... Herr Jesus... Ignaz!... Wo bist du so lange gewesen, lieber Ignaz?...* (niem.) — Ignacy!... Panie Jezu... Ignacy! Gdzie byłeś tak długo, drogi Ignacy?...

³⁰⁹*Herr Jesus... Aber du hast noch keinen Kaffee getrunken?...* (niem.) — Panie Jezu... Ale ty nie piłeś jeszcze kawy?...

³¹⁰*Du lieber Gott! Es ist ja schon zehn Uhr* (niem.) — Boże kochany! Jest już przecież dziesiąta godzina.

³¹¹romantyk — w tekście powieści przeważnie w znaczeniu: idealista i marzyciel, powodujący się uczuciem.

Franc Mincel przyznawał się do niemieckiego pochodzenia, podczas gdy Jan uroczyście twierdził, że Minclowie pochodzą ze starożytnej polskiej rodziny Miętusów, którzy kiedyś, może za Jagiellonów, a może za królów wybieralnych osiedli między Niemcami.

Dość było jednego kieliszka wina, ażeby Jan Mincel zaczął bić pięściami w stół albo w plecy swoich sąsiadów i wrzeszczeć:

— Czuję w sobie starożytną polską krew!... Niemka nie mogłaby mnie urodzić!... Mam zresztą dokumenta...

I bardzo zaufanym osobom pokazywał dwa stare dyplomy, z których jeden odnosił się do jakiegoś Modzelewskiego, kupca w Warszawie za czasów szwedzkich³¹², a drugi do Millera, kościuszkowskiego porucznika. Jaki by przecież istniał związek między tymi osobami a rodziną Minclów — nie wiem po dziś dzień, choć objaśnienia niejednokrotnie słyszałem.

Nawet z powodu wesela Jana wybuchnął skandal między braćmi: Jan bowiem zaopatrzył się na tę uroczystość w amarantowy kontusz, żółte buty i szablę, podczas gdy Franc oświadczył, że nie pozwoli na taką maskaradę przy ślubie, choćby miał podać skargę do policji. Usłyszawszy to Jan przysiągł, że zabije denuncjanta, jeżeli go zobaczy, i do weselnej kolacji ubrał się w szaty swoich przodków Miętusów. Franc zaś był i na ślubie, i na weselu, lecz choć nie gadał z bratem, na śmierć zatańcowywał mu żonę i prawie do samobójstwa upił się jego winem.

Nawet zgon Franca, który w roku 1856 zmarł na karbunkul³¹³, nie obszedł się bez awantury. W ciągu trzech ostatnich dni obaj bracia po dwa razy wykleli się i wydziedziczyli w sposób bardzo uroczysty. Mimo to Franc cały majątek zapisał Janowi, a Jan przez kilka tygodni chorował z żalu po bracie i — połowę odziedziczonej fortuny (około dwudziestu tysięcy złotych) przekazał jakimś trzem sierotkom, którymi nadto opiekował się do końca życia.

Dziwna to była rodzina!

I otóż znowu zboczyłem od przedmiotu: miałem pisać o Wokulskim, a piszę o Minclach. Gdybym nie czuł się tak rześkim, jak jestem, mógłbym posądzić się o gadulstwo zapowiadające bliską starość.

Powiedziałem, że w postępowaniu Stasia Wokulskiego wielu rzeczy nie rozumiem i za każdym razem mam ochotę zapytać: na co to wszystko?...

Otóż kiedyś wróciłem do sklepu, prawie co wieczór zbieraliśmy się u *Grossmutter* na gorze: Jan i Franc Minclowie, a czasem i Małgosia Pfeifer. Małgosia z Janem siadywali w okiennej framudze i trzymając się za ręce patrzyli w niebo; Franc pił piwo z dużego kufła (który miał cynową kłapę), staruszka robiła pończochę, a ja — opowiadałem dzieje kilku lat spędzonych za granicą.

Najczęściej, rozumie się, była mowa o tęsknotach tułaczki, niewygodach żołnierskiego życia albo o bitwach. W takiej chwili Franc wypijał podwójne porcje piwa, Małgosia przytulała się do Jana (do mnie nikt się tak nie przytulał), a *Grossmutter* gubiła oczka w pończosze. Gdy już skończył, Franc wdychał, szeroko rozsiadając się na kanapie, Małgosia całowała Jana, a Jan Małgosię, staruszka zaś trzęsąc głową mówiła:

— *Jesas! Jesas!... wie ist das schrecklich... Aber sag mir, lieber Ignaz, wozu also bist du denn nach Ungarn gegangen?*³¹⁴

— No, przecie *Grossmutter* rozumie, że chodził do Węgier na wojnę — wtrącił niecierpliwie Jan.

Lecz staruszka ciągle kręcąc głową ze zdziwienia mruczała do siebie:

— *Der Kaffee war ja immer gut und zu Mittag hat er sich doch immer vollgegessen... Warum hat er denn das getan?*³¹⁵

— O! bo *Grossmutter* myśli tylko o kawie i o obiedzie — oburzył się Jan.

Niemiec, Polak

Ślub, Wesele

Starość

Bezpieczeństwo, Jedzenie

³¹²za czasów szwedzkich... — tj. w czasie najazdu szwedzkiego na Polskę (1655–1660).

³¹³karbunkul — czyrak mnogi, owrzodzenia występujące przy zakażeniach bakteryjnych, najczęściej gronkowcami.

³¹⁴*Jesas! Jesas!... wie ist das schrecklich...* (niem.) — Jezul! Jezul!... jakie to straszne... Ale powiedz mi, drogi Ignacy, więc po co ty właściwie poszedłeś na Węgry?

³¹⁵*Der Kaffee war ja immer gut...* (niem.) — kawa była przecież zawsze dobra i przy obiedzie najadał się do syta... Dlaczego więc to zrobił?...

Nawet kiedy opowiedziałem ostatnie chwile i straszną śmierć Katza, starowina wprawdzie rozplakała się, pierwszy raz od czasu, jak ją znałem; niemniej jednak otarłszy łzy i wzięwszy się znowu do swej pończochy, szeptała:

— *Merkwürdig*³¹⁶! Der Kafsee war ja immer gut und zu Mittag hat er sich doch immer vollgegessen... Warum hat er denn das getan?

Toż samo ja dziś nieomal co godzinę mówię o Stasiu Wokulskim. Miał po śmierci żony spokojny kawałek chleba, więc po co pojechał do Bułgarii? Zdobył tam taki majątek, że mógłby sklep zwinąć: po co zaś rozszerzył go? Ma przy nowym sklepie pyszne dochody, więc po co tworzy jeszcze jakąś spółkę?...

Po co wynajął dla siebie ogromne mieszkanie? Po co kupił powóz i konie? Po co pnie się do arystokracji, a unika kupców, którzy mu tego darować nie mogą?...

A w jakim celu zajmuje się furmanem Wysockim albo jego bratem, dróżnikiem z kolei żelaznej? Po co kilku biednym czeladnikom założył warsztaty? Po co opiekuje się nawet nierządnicą, która choć mieszka u magdalenek, mocno szkodzi jego reputacji?...

A jaki on sprytny... Kiedy dowiedziałem się na giełdzie o zamachu Hödla, wracam do sklepu i patrząc mu bystro w oczy mówię:

— Wiesz, Stasiu, jakiś Hödel strzelił do cesarza Wilhelma...³¹⁷

A on, jakby nigdy nic, odpowiada:

— Wariat.

— Ale temu wariatowi — ja mówię — zetną głowę.

— I słusznie — on odpowiada — nie będzie się mnożył ród wariacki.

Żeby mu przy tym drgnął choć jeden mięsień, nic. Skamieniałem wobec jego zimnej krwi.

Kochany Stasiu, tyś sprytny, alem i ja nie w ciemnię bity: wiem więcej, aniżeli przypuszczasz, i to mi tylko bolesne, że nie masz do mnie zaufania. Bo rada przyjaciela i starego żołnierza mogłaby cię uchronić od niejednego głupstwa, jeżeli nie od plamy...

Ale co ja tu będę wypowiadać własne opinie; niech mówi za mnie bieg wypadków.

W początkach maja wprowadziliśmy się do nowego sklepu, który obejmuje pięć ogromnych salonów. W pierwszym pokoju, na lewo, mieszczą się same ruskie tkaniny³¹⁸: perkalie, kretony, jedwabie i aksamity. Drugi pokój zajęty jest w połowie na te same tkaniny, a w połowie na drobiazgi do ubrania służące: kapelusze, kołnierzyki, krawaty, parasolki. W salonie frontowym najwykwintniejsza galanteria: brązy, majoliki³¹⁹, kryształ, kość słoniowa. Następny pokój na prawo lokuje zabawki tudzież wyroby z drewna i metalu, a w ostatnim pokoju na prawo są towary z gumy i skóry.

Tak sobie to uporządkowałem; nie wiem, czy właściwie, ale Bóg mi świadkiem, że chciałem jak najlepiej. Wreszcie pytałem o zdanie Stasia Wokulskiego; ale on, zamiast coś poradzić, tylko wzruszał ramionami i uśmiechał się, jakby mówił:

„A cóż mnie to obchodzi...”

Dziwny człowiek! Przyjdzie mu do głowy genialny plan, wykona go w ogólnych zarysach, ale — ani dba o szczegóły. On kazał przenieść sklep, on zrobił go ogniskiem handlu ruskich tkanin i galanterii zagranicznej, on zorganizował całą administrację. Ale zrobiwszy to, dziś ani mieszka się do sklepu; składa wizyty wielkim panom albo jeździ swoim powozem do Łazienek³²⁰, albo gdzieś znika bez śladu; a w sklepie ukazuje się ledwie przez parę godzin na dzień. Przy tym roztargniony, rozdrażniony, jakby na coś czekał albo czegoś się obawiał.

Ale cóż to za złote serce!

Ze wstydem wyznaję, że było mi trochę przykro wynosić się na nowy lokal. Jeszcze ze sklepem pół biedy; nawet wolę służyć w ogromnym magazynie, na wzór paryskich, aniżeli w takim kramie, jakim był nasz poprzedni. Żał mi jednak było mego pokoju, w którym

Kara, Morderstwo,
Polityka, Szaleniec,
Zbrodniarz

³¹⁶*Merkwürdig* (niem.) — osobliwe.

³¹⁷*Hödel strzelił do cesarza Wilhelma...* — 11 maja 1878 anarchista Maks Hödel dokonał nieudanego zamachu na Wilhelma I (1797–1888; król pruski od 1861, cesarz niem. od 1871).

³¹⁸*ruskie tkaniny* — rosyjskie, sprowadzane z Rosji.

³¹⁹*majoliki* — wyroby z palonej gliny, pokryte emalią o metalicznym połysku.

³²⁰*Łazienki* — znany park warszawski w południowej części miasta, ulubione miejsce przechadzek. Nazwa pochodzi od pałacu z końca XVII wieku, przeznaczonego początkowo na łazienki. Pałac został całkowicie przebudowany w stylu klasycystycznym za czasów Stanisława Augusta. Wypalony przez Niemców po powstaniu warszawskim, został odrestaurowany i udostępniony zwiedzającym.

dwadzieścia pięć lat przemieszkałem. Ponieważ do lipca obowiązuje nas stary kontrakt, więc do połowy maja siedziałem w moim pokoiku, przypatrując się jego ścianom, kracie, która przypominała mi najmiłsze chwile w Zamościu, i starym sprzętom.

„Jak ja to wszystko ruszę, jak ja to przeniosę, Boże miłosierny!...” — myślałem.

Aż jednego dnia, około połowy maja (rozeszły się wówczas wieści mocno pokojowe³²¹), Staś przed samym zamknięciem sklepu przychodzi do mnie i mówi:

— Cóż, stary, czas by się przeprowadzić na nowe mieszkanie³²².

Doznałem takiego uczucia, jakby ze mnie krew wyciekła. A on prawil dalej:

— Chodźże ze mną, pokażę ci nowy lokal, który wzięłem dla ciebie w tym samym domu.

— Jak to wzięłeś? — pytam. — Przecież muszę umówić się o cenę z gospodarzem.

— Już zapłacone! — on odpowiada.

Wziął mnie pod rękę i prowadzi przez tylne drzwi sklepu do sieni.

— Ależ — mówię — tu lokal zajęty...

Zamiast odpowiedzi otworzył drzwi po drugiej stronie sieni... Wchodzę... Słowo honoru — salon!... Meble kryte utrecht³²³, na stołach albumy, w oknie majoliki... Pod ścianą biblioteka...

— Masz tu — mówi Staś pokazując bogato oprawne książki — trzy historie Napoleona I, życie Garibaldi³²⁴ i Kossutha, historię Węgier...

Z książek byłem bardzo kontent, ale ten salon, muszę wyznać, zrobił na mnie przykre wrażenie. Staś spostrzegł to i uśmiechnąwszy się, nagle otworzył drugie drzwi.

Boże miłosierny!... ależ ten drugi pokój to mój pokój, w którym mieszkałem od lat dwudziestu pięciu. Okna zakratowane, zielona firanka, mój czarny stół... A pod ścianą naprzeciw moje żelazne łóżko, dubeltówka i pudło z gitarą...

— Jak to — pytam — więc mnie już przenieśli?...

— Tak — odpowiada Staś — przenieśli ci każdy ćwieczek, nawet płachtę dla Ira.

Może to się wyda komuś śmiesznym, ale ja miałem łzy w oczach... Patrzyłem na jego surową twarz, smutne oczy i prawie nie mogłem wyobrazić sobie, że ten człowiek jest tak domyślny i posiada taką delikatność uczuć. Bo żebym mu choć wspomniał o tym... On sam odgadł, że mogę tęsknić za dawną siedzibą, i sam czuwał nad przeprowadzeniem moich gratów.

Szczęśliwa byłaby kobieta, z którą by on się ożenił (mam nawet dla niego partię...); ale on się chyba nie ożeni. Jakieś dzikie myśli snują mu się po głowie, ale nie o małżeństwie, niestety!... Ile to już poważnych osób przychodziło do naszego sklepu niby za sprawunkami, a naprawdę w swaty do Stasia i — wszystko na nic.

Taka pani Szperlingowa ma ze sto tysięcy rubli gotowizną i dystylarnię. Czego ona już nie kupiła u nas, a wszystko dlatego, ażeby mnie zapytać:

— Cóż, nie żeni się pan Wokulski?

— Nie, pani dobrodziejko...

— Szkoda! — mówi pani Szperlingowa wzdychając. — Piękny sklep, duży majątek, ale — wszystko to rozejdzie się... bez gospodyni. Gdyby zaś pan Wokulski wybrał sobie jaką poważną i majątną kobietę, wzmocniłby się nawet jego kredyt.

— Święte słowa pani dobrodziejki... — ja odpowiadam.

— *Adieu!* panie Rzecki — ona mówi (kładąc na kasie dwadzieścia albo i pięćdziesiąt rubli). — Ale niechże pan czasem nie wspomni panu Wokulskiemu o tym, że ja mówiłam

Małżeństwo

Swaty

³²¹wieści mocno pokojowe... — poczynszy od 6 maja 1878 prasa warszawska przynosiła wiadomości o polepszeniu się sytuacji międzynarodowej. Rosja wobec niebezpieczeństwa wojny z Anglią i Austrią oraz neutralnego stanowiska Niemiec poszła na ustępstwa. W połowie maja wyjechał do Londynu ambasador rosyjski, hr. Szwałow; 30 maja został zawarty w Londynie tajny układ, w którym Anglia zgadzała się na zmiany terytorialne na Bałkanach, ze znacznym jednak uszczupleniem granic zainteresowanych państw, zwłaszcza Bułgarii. Odpowiadało to także interesom Austrii. W sytuacji międzynarodowej nastąpiło odprężenie.

³²²nowe mieszkanie Rzeckiego umieszcza Prus na Krakowskim Przedmieściu nr 7, w lokalu położonym od podwórza, przylegającym do „nowego sklepu” Wokulskiego. Wielbiciel *Lalki* umieścili tu z inicjatywy S. Godlewskiego w r. 1937 tablicę pamiątkową ku czci Rzeckiego. Mimo pożaru budynku w czasie powstania warszawskiego tablica ta ocalała; zginęła dopiero w latach powojennych.

³²³utrecht — rodzaj aksamitu używany do obicia mebli.

³²⁴Garibaldi Józef (1807–1882) — rewolucjonista włoski, przywódca walk o niepodległość i zjednoczenie Włoch.

coś o małżeństwie. Bo gotów pomyśleć, że stara baba poluje na niego... *Adieu*, panie Rzecki...

„Owszem, nie zaniedbam wspomnieć mu o tym...”

I zaraz myślę, że gdybym ja był Wokulskim, w jednej chwili ożeniłbym się z tą bogatą wdową. Jak ona zbudowana, *Herr Jesas!*...

Albo taki Szmeterling, rymarz. Ile razy załatwiamy rachunek, mówi:

— Nie mógłby się, panie tego, taki, panie tego, Wokulski żenić?... Chłop, panie, ognisty, kark jak u byka... Żeby mnie piorun panie tego, trzasł, sam oddałbym mu córkę, a w posagu dałbym im rocznie za dziesięć tysięcy, panie tego, rubli towaru... No?

Albo taki radca Wroński. Niebogaty, cichutki, ale kupuje u nas co tydzień choćby parę rękawiczek i za każdym razem mówi:

— Ma tu Polska nie ginąć, mój Boże, kiedy tacy jak Wokulski nie żenia się. Bo to nawet, mój Boże! nie potrzebuje człowiek posagu, więc mógłby znaleźć panienkę, która, mój Boże! i do fortepianu, i domem zarządzi, i zna języki...

Takich swatów dziesiątki przewijają się przez nasz sklep. Niektóre matki, ciotki albo ojcowie po prostu przyprowadzają do nas panny na wydaniu. Matka, ciotka albo ojciec kupuje coś za rubla, a tymczasem panna chodzi po sklepie, siada, bierze się pod boki, ażeby zwrócić uwagę na swoją figurę, wysuwa naprzód prawą nóżkę, potem lewą nóżkę, potem wystawia rączki... Wszystko w tym celu, ażeby złapać Stacha, a jego albo nie ma w sklepie, albo jeżeli jest, to nawet nie patrzy na towar, jakby mówił:

— Taksacją³²⁵ zajmuje się pan Rzecki...

Wyjawszy rodzin mających dorosłe córki tudzież wdów i panien na wydaniu, które zdają się być odważniejszymi od węgierskiej piechoty, biedny mój Stach nie cieszy się sympatią. Nic dziwnego — oburzył przeciw sobie wszystkich fabrykantów jedwabnych i bawełnianych, a także kupców, którzy sprzedają ich towary.

Raz, przy niedzieli (rzadko mi się to zdarza), zaszedłem do handelku na śniadanie. Kieliszek anyżówki i kawałek śledzia przy bufecie, a do stołu porcyjka flaków i ćwiartka portera — oto bał! Zapłaciłem niecałego rubla, ale com się nalykał dymu, a com się nasłuchał!... Wystarczy mi tego na parę lat.

W dusznym i ciemnym jak wędlarnia³²⁶ pokoju, gdzie mi flaki podano, siedziało ze sześciu jegomościów przy jednym stole. Byli to ludzie spasieni i dobrze odziani; zapewne kupcy, obywatele miejscy, a może i fabrykanci. Każdy wyglądał tak na trzy do pięciu tysięcy rubli rocznego dochodu.

Ponieważ nie znałem tych panów, a zapewne i oni mnie, nie mogę więc posądzić ich o umyślną szyskanę. Proszę jednak wyobrazić sobie, co za traf, że właśnie gdym wszedł do pokoju, rozmawiali o Wokulskim. Kto mówił, z przyczyny dymu nie widziałem; wreszcie nie śmiałem podnieść oczu od talerza.

— Karierę zrobił! — mówił gruby głos. — Za młodu wysługiwał się takim jak my, a ku starości chce mu się fagasować wielkim panom.

— Ci dzisiejsi panowie — wtrącił jegomość dychawiczny — tyle warci co i on. Gdzie by to dawniej w hrabskim domu przyjmowali eks-kupczyka, który przez ożenek dorobił się majątku... Śmiech powiedzieć!...

— Fraszka ożenek — odparł gruby głos zakrztusiwszy się nieco — bogaty ożenek nie hańbi. Ale te miliony, zarobione na dostawach w czasie wojny, z daleka pachną kryminałem.

— Podobno nie kradł — odezwał się półgłosem ktoś trzeci.

— W takim razie nie ma milionów — huknął bas. — A w takim znowu wypadku po co zadziera nosa!... czego pnie się do arystokracji?

— Mówią — dorzucił inny głos — że chce założyć spółkę z samych szlachciców...

— Aha!... I oskubać ich, a potem zemknąć — wtrącił dychawiczny.

— Nie — mówił bas — on z tych dostaw nie obmyje się nawet szarym mydłem. Kupiec galanterijny robi dostawy! Warszawiak jedzie do Bułgarii!...

— Pański brat, inżynier, jeździł za zarobkiem jeszcze dalej — odezwał się półgłos.

Flirt

Kradzież, Patriotą, Plotka,
Zdrada

³²⁵ Taksacja — ocena.

³²⁶ wędlarnia — wędzarnia.

— Zapewne! — przerwał bas. — Czy może i sprowadzał perkaliki z Moskwy? Tu jest drugi sęk: zabija przemysł krajowy!...

— Ehe! he!... — zaśmiał się ktoś dotąd milczący — to już do kupca nie należy. Kupiec jest od tego, ażeby sprowadzał tańszy towar i z lepszym zyskiem dla siebie. Nieprawda?... Ehe! he!...

— W każdym razie nie dałbym trzech groszy za jego patriotyzm — odparł bas.

— Podobno jednak — wtrącił półgłos — ten Wokulski dowiódł swego patriotyzmu nie tylko językiem...

— Tym gorzej — przerwał bas. — Dowodził będąc gołym; ochłonał poczuwszy ruble w kieszeni.

— O!... że też my zawsze kogoś musimy posądzać albo o zdradę kraju, albo o zło-dziejstwo! Nieładnie!... — oburzał się półgłos.

— Coś go pan mocno bronisz?... — spytał bas posuwając krzesłem.

— Bronię, bom trochę o nim słyszał — odpowiedział półgłos. — Furmani u mnie niejaki Wysocki, który umierał z głodu, nim Wokulski postawił go na nogi...

— Za pieniądze z dostaw z Bułgarii!... Dobroczynca!...

— Inni, panie, zbogacili się na funduszach narodowych³²⁷ i — nic. Ehe! he!...

— W każdym razie ciemna to figura — zakonkludował dychawiczny. — Rzuca się w prawo i w lewo, sklepu nie pilnuje, perkaliki sprowadza, szlachtę jakby chciał nacią-gnąć...

Ponieważ chłopiec sklepowy w tej chwili przyniósł im nowe butelki, więc wymknąłem się po cichu. Nie wmieszałem się do tej rozmowy, gdyż znając Stacha od dziecka, mógłbym im powiedzieć tylko dwa wyrazy: „Jesteście podli...”

I to wszystko gadają wówczas, kiedy ja drżę z obawy o jego przyszłość, kiedy wstając i kładąc się spać pytam: „Co on robi? po co robi? i co z tego wyniknie?...” I to wszystko gadają o nim dziś, przy mnie, który wczoraj patrzyłem, jak dróżnik Wysocki upadł mu do nóg dziękując za przeniesienie do Skierniewic i udzielenie zapomogi...

Prosty człowiek, a jaki uczciwy! Przywiózł ze sobą dziesięcioletniego syna i wskazując na Wokulskiego mówił:

— Przypatrz się, Pietrek, panu, bo to nasz największy dobrodziej... Jakby kiedy zechciał, żebyś sobie uciął rękę dla niego, utnij, a jeszcze mu się nie wywdzięczysz...

Albo ta dziewczyna, która pisała do niego od magdalenek: „Przypomniałam sobie jedną modlitwę z dziecinnych czasów, ażeby modlić się za pana...”

Oto ludzie prości, oto dziewczyny występne; czyliż oni i one nie mają więcej szlachet-nych uczuć aniżeli my, surdutowcy³²⁸, po całym mieście chwalący się cnotami, w które zresztą żaden z nas nie wierzy. Ma Staś rację, że zajął się losem tych biedaków, chociaż... mógłby się nimi zajmować w sposób trochę spokojniejszy...

Ach! bo trwożą mnie jego nowe znajomości...

Pamiętam, w początkach maja wchodzi do sklepu jakiś bardzo niewyraźny jegomość (rude faworyty, oczy paskudne) i położywszy na kantorku swój bilet wizytowy, mówi dosyć połamanym językiem:

— Proszę powiedzieć pan Wokulski, ja będę dziś siódma...

I tyle. Spojrzałem na bilet, czytam: „Wiliam Colins, nauczyciel języka angielskiego...” Cóż to za farsa?... Przecie chyba Wokulski nie będzie uczył się po angielsku?...

Wszystko jednak zrozumiałem³²⁹, gdy na drugi dzień przyszły telegramy o... zamachu Hödla...

Albo inna znajomość, jakaś pani Meliton, która zaszczyca nas wizytami od chwili powrotu Stasia z Bułgarii. Chuda baba, mała, trajkocze jak młyn, a czujesz, że mówi tylko to, co chce powiedzieć. Wpada raz, w końcu maja:

³²⁷ Inni... zbogacili się na funduszach narodowych... — aluzja do nadużyć i defraudacji w czasie powstania styczniowego.

³²⁸ surdutowcy — osoby noszące surdut, w przeciwstawieniu do ludu.

³²⁹ Wszystko jednak zrozumiałem... — Rzecki miał rzeczywiście pewne podstawy, by w Colinsie dopatrywać się emisariusza politycznego. W czasie wojny rosyjsko-tureckiej Anglia wysyłała do Królestwa swych agentów, ażeby pobudzać Polaków do powstania. Inspiracja ta padła jednak na grunt nieprzychylny; jedynym jej rezultatem był rychło (w marcu 1873) wykryty spisek warszawskiej młodzieży akademickiej z Adamem Szymańskim na czele.

— Jest pan Wokulski? Pewno nie ma, spodziewam się... Wszak mówię z panem Rzeckim? Zaraz to zgadłam... Co za piękna neseserka!... Drzewo oliwkowe, znam się na tym. Niech pan powie panu Wokulskiemu, ażeby mi to przysłał, on wie mój adres, i — ażeby jutro, około pierwszej, był w Łazienkach...

— W których, przepraszam? — spytałem, oburzony jej zuchwalstwem.

— Jesteś pan błazen... W królewskich! — odpowiada mi ta dama.

No i cóż!... Wokulski posłał jej neseserkę i pojechał do Łazienek. Wróciwszy zaś stamtąd, powiedział mi, że... w Berlinie zbierze się kongres³³⁰ dla zakończenia wojny wschodniej... I kongres jest!...

Taż sama jejmość wpada drugi raz, zdaje mi się, pierwszego czerwca.

— Ach! — woła — cóż to za piękny wazon!... Z pewnością francuska majolika, znam się na tym... Powiedz pan panu Wokulskiemu, ażeby mi go przysłał i... (tu dodała szeptem) i... powiedz mu pan jeszcze, że pojutrze około pierwszej...

Gdy wyszła, rzekłem do Lisieckiego:

— Załóż się pan, że pojutrze będziemy mieli ważną polityczną wiadomość.

— Niby trzeciego czerwca?... — odparł śmiejąc się.

Proszę sobie jednak wyobrazić nasze miny, kiedy przyszedł telegram donoszący... o zamachu Nobilinga³³¹ w Berlinie!... Ja myślałem, że padnę trupem, Lisiecki od tej pory zaprzestał już nieprzyzwoitych żartów na mój rachunek i co gorsze, zawsze wypytuje mnie o wiadomości polityczne...

Zaprawdę! strasznym nieszczęściem jest wielka reputacja. Ja bowiem od chwili, kiedy Lisiecki zwraca się do mnie jako do „poinformowanego”, straciłem sen i resztę apetytu... Cóż dopiero musi się dzieć z moim biednym Stachem, który utrzymuje ciągle stosunki z tym panem Colinsem i z tą panią Melitonową...

Boże miłosierny, czuwać nad nami!...

Już kiedym się tak rozgadał (dalibóg, robię się plotkarzem), więc muszę dodać, że i w naszym sklepie panuje jakiś niezdrowy ferment. Oprócz mnie jest siedmiu subiek-tów (czy kiedy marzył o czymś podobnym stary Mincel!), ale — nie ma jedności. Klejn i Lisiecki, jako dawniejsi, trzymają tylko z sobą, resztę zaś kolegów traktują w sposób nie powiem pogardliwy, ale trochę z góry. Trzej zaś nowi subiekci: galanteryjny, metalowy i gumowy, znowu tylko z sobą się wdają, są sztywni i pochmurni. Wprawdzie pocziwy Zięba chcąc ich zbliżyć biega od starych do nowych i ciągle im coś perswaduje; ale nieborak ma tak nieszczęśliwą rękę, że antagoniści po każdej próbie godzenia krzywią się na siebie jeszcze szkaradniej.

Może gdyby nasz magazyn (z pewnością jest to magazyn, a w dodatku pierwszorzędny magazyn!), otóż gdyby on rozwijał się stopniowo, gdybyśmy co rok przybierali po jednym subiekcie — nowy człowiek wsiąknąłby między starych i istniałaby harmonia. Ale jak od razu przybyło pięciu ludzi świeżych, jak jeden drugiemu często gęsto wchodzi w drogę (bo w tak krótkim czasie nie można ani towarów należycie uporządkować, ani każdemu określić sfery jego obowiązków), jest naturalnym, że muszą wyradzać się niesnaski. No, ale co ja mam się wdawać w krytykę czynności pryncypała i jeszcze człowieka, który ma więcej rozumu aniżeli my wszyscy...

W jednym tylko punkcie godzą się starzy i nowi panowie, a nawet pomaga im Zięba, oto: jeżeli chodzi o dokuczenie siódmemu naszemu subiektowi — Szlangbaumowi. Ten Szlangbaum (znam go od dawna) jest mojżeszowego wyznania, ale człowiek porządnym.

Antysemityzm, Handel,
Praca

³³⁰W Berlinie zbierze się kongres — Rosja zgodziła się, ażeby warunki traktatu z Turcją, dotyczące spraw ogólnoeuropejskich, zostały przedyskutowane na międzynarodowym kongresie. 26 maja 1878 r. zostały wysłane zaproszenia na kongres, który zebrał się 13 czerwca w Berlinie. Uczestniczyło w nim sześć głównych mocarstw europejskich i Turcja, przewodniczył Bismarck. Rosja okazała się na kongresie w całkowitej izolacji. Rezultatem obrad był traktat berliński z 13 lipca, znacznie umniejszający zyski polityczne Rosji. Bułgaria, poprzez którą carat zamierzał wzmocnić swe wpływy na Półwyspie Bałkańskim i nacisk na Turcję, została znacznie okrojona. Z północnej Bułgarii (między Dunajem a Bałkanami) utworzono małe księstwo podległe Turcji, z południowej — autonomiczną prowincję turecką pod nazwą Rumelii Wschodniej. Zwrócono również Turcji Macedonię i zdobycze terytorialne Serbii i Czarnogóry, przyznane im w traktacie san-stefańskim. Bośnia i Hercegowina zostały oddane Austrii pod czasową okupację. W rezultacie tej antyrosyjskiej polityki Anglii, Austrii i Niemiec sytuacja Słowian bałkańskich uległa znacznemu pogorszeniu.

³³¹Zamach Nobilinga — 2 czerwca 1878 anarchista Karol Edward Nobiling dokonał w Berlinie zamachu na cesarza Wilhelma I, który ranny został w głowę i rękę. Zamach ten posłużył za pretekst do wprowadzenia ustaw wyjątkowych przeciw socjalistom.

Mały, czarny, zgarbiony, zarośnięty, słowem — trzech groszy nie dałbyś za niego, kiedy siedzi za kantorkiem. Ale niech no gość wejdzie (Szlangbaum pracuje w wydziale ruskich tkanin), *Chryste elejson!*³³²... Kręci się jak fryga³³³; dopiero co był na najwyższej półce na prawo, już jest przy najniższej szufladzie na środku i w tej samej chwili znowu gdzieś pod sufitem na lewo. Kiedy zacznie rzucać sztuki, zdaje się, że to nie człowiek, ale machina parowa; kiedy zacznie rozwijać i mierzyć, myślę, że bestia ma ze trzy pary rąk. Przy tym rachmistrz zawołany, a jak zacznie rekomendować towary, podsuwać kupującemu projekta, odgadywać gusta, wszystko niezmiennie poważnym tonem, to słowo honoru daję, że Mraczewski w kąt!... Szkoda tylko, że jest taki mały i brzydki; musimy mu dodać jakiego głupiego a przystojnego chłopaka za pomocnika dla dam. Bo wprawdzie z ładnym subiektem damy dłużej siedzą, ale za to mniej grymaszą i mniej się targują.

(Swoją drogą, niechaj nas Bóg zachowa od damskiej klienteli. Ja może dlatego nie mam odwagi do małżeństwa, że ciągle widuję damy w sklepie. Stwórca świata formując cud natury, zwany kobietą, z pewnością nie zastanowił się, jakiej klęski narobi kupcom.)

Otóż Szlangbaum jest w całym znaczeniu porządnym obywatelem, a mimo to wszyscy go nie lubią, gdyż — ma nieszczęście być starozakonnym...

W ogóle, może od roku, uważam, że do starozakonnych rośnie niechęć³³⁴; nawet ci, którzy przed kilkoma laty nazywali ich Polakami mojżeszowego wyznania, dziś zwą ich Żydami. Zaś ci, którzy niedawno podziwiali ich pracę, wytrwałość i zdolności, dziś widzą tylko wyzysk i szachrajstwo.

Słuchając tego, czasem myślę, że na ludzkość spada jakiś mrok duchowy, podobny do nocy. W dzień wszystko było ładne, wesołe i dobre; w nocy wszystko brudne i niebezpieczne. Tak sobie myślę, ale milczę; bo cóż może znaczyć sąd starego subiekta wobec głosu znakomitych publicystów, którzy dowodzą, że Żydzi krwi chrześcijańskiej używają na mace³³⁵ i że powinni być w prawach swoich ograniczeni. Nam kule nad głowami inne wyświstywały hasła, pamiętasz, Katz?...

Taki stan rzeczy w osobliwy sposób oddziaływa na Szlangbauma. Jeszcze w roku zeszłym człowiek ten nazywał się Szlangowskim, obchodził Wielkanoc i Boże Narodzenie, i z pewnością najwierniejszy katolik nie zjadał tyle kielbasy co on. Pamiętam, że gdy raz w cukierni zapytano go:

— Nie lubisz pan lodów, panie Szlangowski?

Odpowiedział:

— Lubię tylko kielbasę, ale bez czosnku. Czosnku znieść nie mogę.

Wrócił z Syberii razem ze Stachem i doktorem Szumanem i zaraz wstąpił do chrześcijańskiego sklepu, choć Żydzi dawali mu lepsze warunki. Od tej też pory ciągle pracował u chrześcijan i dopiero w roku bieżącym wymówili mu posadę.

W początkach maja pierwszy raz przyszedł do Stacha z prośbą. Był bardziej skurczony i miał czerwienie oczy niż zwykle.

— Stachu — rzekł pokornym głosem — utonę na Nalewkach, jeżeli mnie nie przygarniesz.

— Dlaczegoż od razu do mnie nie przyszedł? — spytał Stach.

— Nie śmiałem... Bałem się, żeby nie mówili o mnie, że Żyd musi się wszędzie wkręcić. I dziś nie przyszedłbym, gdyby nie troska o dzieci.

Stach wzruszył ramionami i natychmiast przyjął Szlangbauma z pensją półtora tysiąca rubli rocznie.

Nowy subiekt od razu wziął się do roboty, a w pół godziny później mruknął Lisiecki do Klejna:

— Co tu, u diabła, tak czosnek zalatuje, panie Klejn?...

Zaś w kwadrans później, nie wiem już z jakiej racji, dodał:

³³²*Chryste elejson!* (grec.) — Chryste, zmiłuj się!

³³³*fryga* — zabawka dziecięca, rodzaj bączka.

³³⁴*do starozakonnych rośnie niechęć* — w latach tych antysemityzm wzmocnił się znacznie na tle konkurencji ekonomicznej. W r. 1876 ukazała się broszura Jana Jeleńskiego: *Niemcy, Żydzi i my*, która w ciągu kilku lat osiągnęła cztery wydania. W r. 1882 tenże Jeleński zaczyna wydawać pierwsze pismo antysemickie pt. „Rola”. W r. 1881 dochodzi w Warszawie do rozruchów antyżydowskich, które powtórzyły się w dwa lata później.

³³⁵*Żydzi krwi chrześcijańskiej używają na mace...* — przesąd o tzw. mordzie rytualnym, popełnianym rzekomo przez Żydów dla uzyskania krwi do wyrobu macy (mace: cienkie nie kiszzone ciasto wypiekane podczas świąt Paschy). Pomawianie Żydów o mord rytualny było długo wykorzystywane dla agitacji antyżydowskiej.

— Jak te kanalie Żydy cisną się na Krakowskie Przedmieście! Nie mógłby to parch, jeden z drugim, pilnować się Nalewek albo Świętojskiej³³⁶?

Szlangbaum milczał, tylko drgały mu czerwone powieki.

Szczęściem, obie te zaczepki słyszał Wokulski. Wstał od biurka i rzekł tonem, którego, co prawda, nie lubię:

— Panie... panie Lisiecki! Pan Henryk Szlangbaum był moim kolegą wówczas, kiedy działo mi się bardzo źle. Czybyś więc pan nie pozwolił mu kolegować ze mną dziś, kiedy mam się trochę lepiej?...

Lisiecki zmieszał się czując, że jego posada wisi na włosku. Ukłonił się, coś mruknął, a wtedy Wokulski zbliżył się do Szlangbauma i uściskawszy go powiedział:

— Kochany Henryku, nie bierz do serca drobnych przycinków, bo my tu sobie po koleżeńsku wszyscy docinamy. Oświadczam ci także, że jeżeli opuścisz kiedy ten sklep, to chyba razem ze mną.

Stanowisko Szlangbauma wyjaśniło się od razu; dziś mnie prędeż coś powiedzą (ba! nawet zwymyślają) aniżeli jemu. Ale czy wynalazł kto sposób przeciw półsłówkom, mimom i spojrzeniom?... A to wszystko truje biedaka, który mi nieraz mówi wzdychając:

— Ach, gdybym się nie bał, że mi dzieci żydzieją, jednej chwili uciekłbym stąd na Nalewki...

— Bo dlaczego, panie Henryku — spytałem go — raz się, do licha, nie ochrzczisz?...

— Zrobiłbym to przed laty, ale nie dziś. Dziś zrozumiałem, że jako Żyd jestem tylko nienawistny dla chrześcijan, a jako meches byłbym wstrętny i dla chrześcijan, i dla Żydów. Trzeba przecie z kimś żyć. Zresztą — dodał ciszej — mam pięcioro dzieci i bogatego ojca, po którym będę dziedziczyć...

Rzecz ciekawa. Ojciec Szlangbauma jest lichwiarzem, a syn, ażeby od niego grosza nie wziąć, bieduje po sklepach jako subiekt.

Nieraz we cztery oczy rozmawiam o nim z Lisieckim.

— Za co — pytam — prześladujecie go? Wszakże on prowadzi dom na sposób chrześcijański, a nawet dzieciom urządza choinkę...

— Bo uważa — mówi Lisiecki — że korzystniej jadać macę z kielbasą aniżeli samą.

— Był na Syberii, narażał się...

— Dla geszeftu³³⁷... Dla geszeftu nazywał się też Szlangowskim, a teraz znowu Szlangbaumem, kiedy jego stary ma astmę.

— Kpiliście — mówię — że stroi się w cudze pióra, więc wrócił do dawnego nazwiska.

— Za które dostanie ze sto tysięcy rubli po ojcu — odparł Lisiecki.

Teraz i ja wzruszyłem ramionami i umilkłem. Źle nazywać się Szlangbaumem, źle Szlangowskim; źle być Żydem, źle mechesem... Noc zapada, noc, podczas której wszystko jest szare i podejrzan!

A swoją drogą Stach na tym cierpi. Nie tylko bowiem przyjął do sklepu Szlangbauma, ale jeszcze daje towary żydowskim kupcom i paru Żydków przypuścił do wspólki. Nasi krzyczą i grożą, ale nie jego straszyć; zaciął się i nie ustąpi, choćby go piekli w ogniu.

Czym się to wszystko skończy, Boże miłosierny...

Ale, ale!... Ciągłe odbiegając od przedmiotu zapomniałem kilku bardzo ważnych szczegółów. Mam na myśli Mraczewskiego, który od pewnego czasu albo krzyżuje mi plany, albo wprowadza w błąd świadomie.

Chłopak ten otrzymał u nas dymisję za to, że w obecności Wokulskiego trochę zwymyślał socjalistów. Później jednakże Stach dał się ubłagać i zaraz po Wielkiejnocy wysłał Mraczewskiego do Moskwy podwyższając mu nawet pensję.

Nie przez jeden wieczór zastanawiałem się nad znaczeniem owej podróży czy zsyłki. Lecz gdy po trzech tygodniach Mraczewski przyjechał stamtąd do nas wybierać towary, natychmiast zrozumiałem plan Stacha.

Pod fizycznym względem młodzieniec ten niewiele się zmienił: zawsze wygadany i ładny, może cokolwiek bledszy. Mówi, że Moskwa mu się podobala, a nade wszystko

Ojciec, Religia, Rodzina,
Syn

³³⁶Nalewki, Świętojska — ulice żydowskiej dzielnicy Warszawy, zniszczone zupełnie w czasie powstania w getcie w 1943 r., a także w r. 1944. W czasie odbudowy powojennej powstała tu zupełnie nowa dzielnica, w której zachowano historyczne nazwy ulic.

³³⁷geszeft — pogardliwie: interes.

tamtejsze kobiety, które mają mieć więcej wiadomości i ognia, ale za to mniej przesądów aniżeli nasze. Ja także, póki byłem młody, uważałem, że kobiety miały mniej przesądów aniżeli dziś.

Wszystko to jest dopiero wstępem. Mraczewski bowiem przywiózł ze sobą trzy bardzo podejrzane indywidua, nazywając ich „prymaszczykami”³³⁸, i — całą pakę jakichś broszur³³⁹. Owi „prymaszczykowie” mieli niby coś oglądać w naszym sklepie, ale robili to w taki sposób, że nikt ich u nas nie widział. Włóczyli się po całych dniach i przysięgłbym, że przygotowywali u nas grunt do jakiejś rewolucji. Spostrzegłszy jednak, że mam na nich zwrócone oko, ile razy przyszli do sklepu, zawsze udawali pijanych, a ze mną rozmawiali wyłącznie o kobietach, twierdząc wbrew Mraczewskiemu, że Polki to „sama prelest”³⁴⁰ — tylko bardzo podobne do Żydówek.

Udawałem, że wierzę wszystkiemu, co mówią, i za pomocą zręcznych pytań przekonałem się, iż — najlepiej znane im są okolice bliższe Cytadeli³⁴¹. Tam więc mają interesa. Że zaś domysły moje nie były bezpodstawnymi, dowiódł fakt, iż owi „prymaszczykowie” zwrócili nawet na siebie uwagę policji. W ciągu dziesięciu dni, nic więcej, tylko trzy razy odprowadzano ich do cyrkułów³⁴². Widocznie jednak muszą mieć wielkie stosunki, ponieważ ich uwolniono.

Kiedym zakomunikował Wokulskiemu moje podejrzenia co do „prymaszczyków” — Stach tylko uśmiechnął się i odparł:

— To jeszcze nic...

Z czego wnoszę, że Stach musi być grubo zaawansowany w stosunkach z nihilistami³⁴³.

Proszę sobie jednak wyobrazić moje zdziwienie, kiedy zaprosiwszy raz Klejną i Mraczewskiego do siebie na herbatę przekonałem się, że Mraczewski jest gorszym socjalistą od Klejny... Ten Mraczewski, który za wymyślanie na socjalistów stracił u nas posadę!... Ze zdumienia przez cały wieczór nie mogłem ust otworzyć; tylko Klejną cieszył się po cichu, a Mraczewski rozprawiał.

Jak żyję, nie słyszałem nic równego. Młodzieniec ten dowodził mi przytaczając nazwiska ludzi, podobno bardzo mądrych, że wszyscy kapitaliści to złodzieje, że ziemia powinna należeć do tych, którzy ją uprawiają, że fabryki, kopalnie i maszyny powinny być własnością ogółu, że nie ma wcale Boga ani duszy, którą wymyślili księża, aby wyludzić od ludzi dziesięcinę³⁴⁴. Mówił dalej, że jak zrobią rewolucję (on z trzema „prymaszczykami”), to od tej pory wszyscy będziemy pracowali tylko po osiem godzin, a przez resztę czasu będziemy się bawili, mimo to zaś każdy będzie miał emeryturę na starość i darmo pogrzeb. Wreszcie zakończył, że dopiero wówczas nastanie raj na ziemi, kiedy wszystko będzie wspólne: ziemia, budynki, maszyny, a nawet żony.

Ponieważ jestem kawalerem (nazywają mnie nawet starym) i piszę ten pamiętnik bez obludy, przyznam więc, że mi się ta wspólność żon trochę podobała. Powiem nawet, że nabrałem niejakej życzliwości dla socjalizmu i socjalistów. Po co oni jednak koniecznie chcą robić rewolucję, kiedy i bez niej ludzie mieszkali wspólne żony?

Tak myślałem, ale tenże sam Mraczewski uleczył mnie ze swoich teorii, a zarazem bardzo pokrzyżował moje plany.

Nawiasowo powiem, że serdecznie chcę, ażeby się Stach ożenił. Gdyby miał żonę, nie mógłby tak często naradzać się z Colinsem i panią Meliton, a gdyby jeszcze przyszły dzieci, może zerwałby wszystkie podejrzane stosunki. Bo co to, żeby taki człowiek jak on, taka żołnierska natura, żeby kojarzył się z ludźmi, którzy bądź jak bądź nie występują na

Rewolucja, Własność, Żona

³³⁸prymaszczyk (ros.) — subiekt, ekspedient.

³³⁹całą pakę jakichś broszur... — istotnie w maju 1878 r. Waryński przywiózł, co prawda nie z Moskwy, lecz z Lipska, transport 6000 broszur socjalistycznych, co wywarło znaczny wpływ na ożywienie działalności propagandowej.

³⁴⁰sama prelest' (ros.) — sama rozkosz, wprost cudowne.

³⁴¹Cytadela (w północnej części miasta) została zbudowana z rozkazu cara Mikołaja I w latach 1832–1840. W jednym z budynków, tzw. dziesiątym pawilonie, znajdowało się więzienie polityczne.

³⁴²cyrkuł — dzielnica miasta; biuro policyjne zawiadujące częścią miasta.

³⁴³nihilisci — tak nazywali przeciwnicy radykalną młodzież rosyjską lat sześćdziesiątych XX wieku, wroga absolutyzmowi carskiemu i tradycyjnym normom społeczno-obyczajowym; *nihil* (łac): nic. Przeciwnicy zarzucali nihilistom, że nie uznają oni żadnych zasad i wartości. W literaturze zagranicznej nazywano często nihilistami rewolucjonistów rosyjskich.

³⁴⁴dziesięcina — dawna danina kościelna (pierwotnie 10 części płodów naturalnych).

plac z bronią przeciw broni³⁴⁵. Węgierska piechota i wreszcie żadna piechota nie będzie strzelać do rozbrojonego przeciwnika. Ale czasy zmieniają się.

Otóż bardzo pragnę, ażeby się Stach ożenił, i nawet myślę, że upatrzyłem mu partię. Bywa czasem w naszym magazynie (i bywała w tamtym sklepie) osoba dziwnej urody. Szatynka, szare oczy, rysy cudownie piękne, wzrost okazały, a rączki i nóżki — sam smak!... Patrzyłem, jak raz wysiadła z dorożki, i powiem, że mi się gorąco zrobiło wobec tego, com ujrzał... Ach, miałby pocziwy Stasiek wielki z niej pożytek, bo to i ciałka w miarę, i usteczka jak jagódki... A co za biust!... Kiedy wchodzi ubrana do figury, to myślę, że wszedł anioł, który zleciawszy z nieba, na piersiach złożył sobie skrzydełka!...

Zdaje mi się, że jest wdową, gdyż nigdy nie widuję jej z mężem, tylko z małą córeczką Helunią, miluchną jak cukiereczek. Stach, gdyby się z nią ożenił, od razu musiałby zerwać z nihilistami, bo co by mu zostało czasu od posług przy żonie, to pieściłby jej dziecięcę. Ale i taka żoneczka niewiele zostawiłaby mu chwil wolnych.

Już ułożyłem cały plan i rozmyślałem: w jaki by sposób zapoznać się z tą damą, a później przedstawić jej Stacha, gdy nagle — diabli przynieśli z Moskwy Mraczewskiego. Proszę zaś sobie wyobrazić mój gniew, kiedy zaraz na drugi dzień po swoim przyjeździe frant ten wchodzi do naszego sklepu z moją wdową!... A jak skakał przy niej, jak wywraçał oczyma, jak starał się odgadywać jej myśli... Szczęście, że nie jestem otyły, bo wobec tych bezczelnych zalotów dostałbym chyba apopleksji.

Kiedy w parę godzin wrócił do nas, pytałem go z najobojetniejszą miną, kto jest owa dama.

— Podobala się panu — on mówi — co?... Szampan, nie kobieta — dodał, bezwstydnie mrugając okiem. — Ale na nic pański apetyt, bo ona szaleje za mną... Ach, panie, co to za temperament, co za ciało... A gdybyś pan widział, jak wygląda w kaftaniku!...

— Spodziewam się, panie Mraczewski... — odparłem surowo.

— Ja przecież nic nie mówię! — odpowiada zacierając ręce w sposób, który wydał mi się lubieżnym. — Ja nic nie mówię!... Największą cnotą mężczyzny, panie Rzecki, jest dyskrecja, panie Rzecki, szczególnie w bardziej poufanych stosunkach...

Przerwałem mu czując, że gdyby tak mówił dalej, musiałbym pogardzić tym młodzieńcem. Co za czasy, co za ludzie!... Bo ja, gdybym miał szczęście zwrócić na siebie uwagę jakiej damy, nie śmiałbym nawet myśleć o tym, a nie dopiero wrzeszczeć na cały głos, jeszcze w tak wielkim, jak nasz, magazynie.

Gdy zaś w dodatku wyłożył mi Mraczewski swoją teorię o wspólności żon, zaraz przyszło mi do głowy:

— Stach nihilista i Mraczewski nihilista... Niechże się więc pierwszy ożeni, to drugi zaraz mu zaprowadzi wspólność... A przecie szkoda byłoby takiej kobiety dla takiego Mraczewskiego.

W końcu maja Wokulski postanowił zrobić poświęcenie naszego magazynu. Przy tej sposobności zauważyłem, jak się czasy zmieniają... Za moich młodych lat kupcy także poświęcali sklepy troszcząc się o to, ażeby ceremonii dopełnił ksiądz sędziwy a pobożny, ażeby na miejscu była autentyczna woda święcona, nowe kropidło i organista biegły w łacinie. Po skończonym zaś obrządku, przy którym pokropiono i obmodlono prawie każdą szafę i sztukę towaru, przybijało się na progu sklepu podkowę, ażeby zwabiła gości, a dopiero potem — myślano o przekąsce, zwykle złożonej z kieliszka wódki, kielbasy i piwa.

Dziś zaś (co by powiedzieli na to rówieśnicy starego Mincla!) pytano przede wszystkim: ilu potrzeba kucharzy i lokajów, a potem: ile butelek szampana, ile węgryna i — jaki obiad? Obiad bowiem stanowił główną wagę uroczystości, gdyż i zaproszeni nie o to troszczyli się: kto będzie święcił, ale co podadzą do stołu?...

W wigilię³⁴⁶ ceremonii wpadł do naszego magazynu jakiś jegomość przysadkowaty, spocony, o którym nie mógłbym powiedzieć, czy kołnierzyki wały mu szyję, czy też działa się na odwrót. Z wytartej surduciny wydobył gruby notes, włożył na nos zatłuszczone binokle i — począł chodzić po pokojach z taką miną, że mnie po prostu wzięła trwoga.

³⁴⁵nie występują na plac z bronią przeciw broni — aluzja do terronu indywidualnego, stosowanego przez niektóre odłamy rosyjskiego ruchu rewolucyjnego („narodników” i anarchistów).

³⁴⁶wigilia — dzień poprzedzający (szczególnie jakieś święto).

Flirt, Obyczaje

Obrzędy, Obyczaje, Religia

„Co, u diabła — myślę — czyby kto z policji, czy może jaki sekretarz komornika spisuje nam ruchomości?...”

Dwa razy zastępowałem mu drogę, chcąc jak najgrzeczniej spytać: czego by sobie życzył? Ale on za pierwszym razem mruknął: „Proszę mi nie przeszkadzać!” — a za drugim bez ceremonii odsunął mnie na bok.

Zdumienie moje było tym większe, że niektórzy z naszych panów kłaniali mu się bardzo uprzejmie i zacierając ręce, jakby co najmniej przed dyrektorem banku, dawali wszelkie objaśnienia.

„No — mówię w duchu — juźci chyba ten biedaczysko nie jest z towarzystwa ubezpieczeń. Ludzi tak obdartych tam nie trzymają...”

Dopiero Lisiecki szepnął mi, że ten pan jest bardzo znakomitym reporterem i że będzie nas opisywał w gazetach. Ciepło mi się zrobiło koło serca na myśl, że mogę ujrzyć w druku moje nazwisko, które raz tylko figurowało w „Gazecie Policyjnej”, gdy zgubił książeczkę. Jednej chwili spostrzegłem, że w tym człowieku jest wszystko wielkie: wielka głowa, wielki notes, a nawet — bardzo wielka przyszczyпка³⁴⁷ u lewego buta.

A on wciąż chodził po pokojach nadęty jak indyk i pisał, wciąż pisał... Nareszcie odezwał się:

— Czy w tych czasach nie było u panów jakiego wypadku?... Małego pożaru, kradzieży, nadużycia zaufania, awantury?...

— Boże uchowaj! — ośmieliłem się wtrącić.

— Szkoda — odparł. — Najlepszą reklamą dla sklepu byłoby, gdyby się tak kto w nim powiesił...

Struchlałem usłyszawszy to życzenie.

— Może pan dobrodziej — odważyłem się wtrącić z ukłonem — raczy wybrać sobie jaki przedmiocik, który odeszłemy bez pretensji...

— Łapówka?... — zapytał spoglądając na mnie jak figura Kopernika. — Mamy zwyczaj — dodał — to, co nam się podoba, kupować; prezentów nie przyjmujemy od nikogo.

Włożył poplamiony kapelusz na głowę na środku magazynu i z rękami w kieszeniach wyszedł jak minister. Jeszcze po drugiej stronie ulicy widziałem jego przyszczypkę.

Wracam do ceremonii poświęcenia.

Główna uroczystość, czyli obiad, odbyła się w wielkiej sali Hotelu Europejskiego³⁴⁸. Salę ubrano w kwiaty, ustawiono ogromne stoły w podkowę, sprowadzono muzykę i o szóstej wieczór zebrało się przeszło sto pięćdziesiąt osób. Kogo bo tam nie było!... Głównie kupcy i fabrykanci z Warszawy, z prowincji, z Moskwy, ba, nawet z Wiednia i z Paryża. Znalazło się też dwu hrabiów, jeden książę i sporo szlachty. O trunkach nie wspominam, gdyż naprawdę nie wiem, czego było więcej: listków na roślinach zdobiących salę czy butelek.

Kosztowała nas ta zabawa przeszło trzy tysiące rubli, ale widok tylu jedzących osób był zaiste okazały. Kiedy zaś wśród ogólnej ciszy powstał książę i wypił zdrowie Stacha, kiedy zagrała muzyka, nie wiem już jaki kawałek, ale bardzo ładny, i stu pięćdziesięciu ludzi huknęło: „Niech żyje!” — miałem łzy w oczach. Pobiegłem do Wokulskiego i ściskając go szepnąłem:

— Widzisz, jak cię kochają...

— Lubią szampana — powiedział.

Zauważyłem, że wiwaty nic go nie obchodziły. Nie rozchmurzył się nawet, choć jeden z mówców (musiał być literat, bo gadał dużo i bez sensu) powiedział, nie wiem, w swoim czy w Wokulskiego imieniu, że... jest to najpiękniejszy dzień jego życia.

Uważałem, że Stach najwięcej kręci się koło pana Łęckiego, który przed swym bankructwem ocierał się podobno o europejskie dwory... Zawsze ta nieszczęśliwa polityka!...

Z początku uczy wszystko odbywało się bardzo poważnie; coraz któryś z biesiadników zabierał głos i gadał tak, jakby chciał odgadać wypite wino i zjedzone potrawy. Lecz

Literat

Alkohol, Uczta

³⁴⁷przyszczyпка — latka z boku na obuwiu.

³⁴⁸Hotel Europejski — najelegantszy hotel Warszawy, na Krakowskim Przedmieściu, z wielką salą restauracyjną, tzw. Pompejańską (znajdującą się na I piętrze w narożniku od Krakowskiego Przedmieścia), gdzie właśnie odbywa się przyjęcie wydane przez Wokulskiego. Hotel (według projektu Henryka Marconiego) otwarty został w r. 1856. Wypalony w r. 1944, obecnie został odbudowany.

im więcej wynoszono pustych butelek, tym dalej uciekała z tego zgromadzenia powaga, a w końcu — zrobił się przecie taki hałas, że wobec niego prawie oniemiała muzyka.

Byłem zły jak diabeł i chciałem zwymyślać przynajmniej Mraczewskiego. Odciągnąwszy go jednak od stołu zdobyłem się ledwie na te słowa:

— No, i po co to wszystko?...

— Po co?... — odparł patrząc na mnie błędnymi oczyma. — To tak dla panny Łęckiej...

— Zwariowałeś pan!... Co dla panny Łęckiej?...

— No... te spółki... ten sklep... ten obiad... Wszystko dla niej... I ja przez nią wyleciałem ze sklepu... — mówił Mraczewski opierając się na moim ramieniu, gdyż nie mógł ustać.

— Co?... — mówię widząc, że jest zupełnie pijany. — Wyleciałeś przez nią ze sklepu, więc może i przez nią dostałeś się do Moskwy?...

— Rozum... rozumie się... Szepnęła słówko, takie... nieduże słóweczko i... dostałem trzysta rubli więcej na rok... Żabcia ze starym wszystko zrobi, co się jej podoba...

— No idź pan spać — rzekłem.

— Właśnie, że nie pójde spać... Pójde do moich przyjaciół... Gdzie oni są?... Oni by sobie z Żabcią prędzej poradzili... Nie grałaby im po nosie jak staremu... Gdzie moi przyjaciele? — zaczął wrzeszczeć.

Naturalnie, że kazałem go odprowadzić do numeru na górę. Domyślam się jednak, że udawał pijanego, ażeby mnie otumanić.

Około północy sala była podobna do trupiarni albo do szpitala; coraz kogoś trzeba było wyciągać do numeru albo do dorożki. Wreszcie odnalazłszy doktora Szumana, który był prawie trzeźwy, zabrałem go do siebie na herbatę.

Doktor Szuman jest także starozakonny, ale niezwykle to człowiek. Miał nawet ochrzcić się, gdyż zakochał się w chrześcijance; ale że umarła, więc dał spokój. Mówią nawet, że truł się z żalu, ale go odratowano. Dziś całkiem porzucił praktykę lekarską, ma spory majątek i tylko zajmuje się badaniem ludzi czy też ich włosów. Mały, żółty, ma przejmujące spojrzenie, przed którym trudno by coś ukryć. A że zna się ze Stachem od dawna, więc musi wiedzieć wszystkie jego tajemnice.

Po hucznym obiedzie byłem dziwnie zafrasowany i chciałem Szumana pociągnąć trochę za język. Jeżeli ten dzisiaj nie powie mi czego o Stachu, to już chyba nigdy nic nie będę wiedział.

Kiedy przyszedliśmy do mego mieszkania i podano samowar, odezwałem się:

— Powiedz mi, doktorze, ale szczerze, co myślisz o Stachu?... Bo on mnie niepokoi. Widzę, że od roku rzuca się na jakieś po prostu awantury... Ten wyjazd do Bułgarii, a dziś ten magazyn... spółka... powóz... Jest dziwna zmiana w jego charakterze...

— Nie widzę zmiany — odparł Szuman. — Był to zawsze człowiek czynu, który, co mu przyszło do głowy czy do serca, wykonywał natychmiast. Postanowił wejść do uniwersytetu i wszedł, postanowił zrobić majątek i zrobił. Więc jeżeli wymyślił jakieś głupstwo, to także się nie cofnie i robi głupstwo kapitalne. Taki już charakter.

— Z tym wszystkim — wtrąciłem — widzę w jego postępowaniu wiele sprzeczności...

— Nic dziwnego — przerwał doktor. — Stopiło się w nim dwu ludzi: romantyk sprzed roku sześćdziesiątego i pozytywista z siedemdziesiątego. To, co dla patrzących jest sprzeczne, w nim samym jest najzupełniej konsekwentne.

— A czy nie wplątał się w jakie nowe historie?... — spytałem.

— Nic nie wiem — odparł sucho Szuman.

Umilkłem i dopiero po chwili spytałem znowu:

— Cóż z nim jednak w rezultacie będzie?...

Szuman podniósł brwi i splótł ręce.

— Będzie źle — odparł. — Tacy ludzie jak on albo wszystko naginają do siebie, albo trafiwszy na wielką przeszkodę rozbijają sobie łeb o nią. Dotychczas wiodło mu się, ale... nie ma przecie człowieka, który by w życiu wygrywał same dobre losy...

— Więc?... — spytałem.

— Więc możemy zobaczyć tragedię — zakończył Szuman. Wypił szklankę herbaty z cytryną i poszedł do siebie.

Całą noc spać nie mogłem. Takie straszne zapowiedzi w dzień triumfu...
Eh! stary Pan Bóg więcej wie od Szumana; a On chyba nie pozwoli zmarnować się Stachowi...

XI. STARE MARZENIA I NOWE ZNAJOMOŚCI

Pani Meliton przeszła twardą szkołę życia, w której nauczyła się nawet lekceważyć powszechnie przyjęte opinie.

Za młodu mówiono jej powszechnie, że panna ładna i dobra, choćby nie miała majątku, może jednak wyjść za mąż. Była dobrą i ładną, lecz za mąż nie wyszła. Później mówiono również powszechnie, że wykształcona nauczycielka zdobywa sobie miłość pupilów i szacunek ich rodziców. Była wykształconą, nawet zamilowaną nauczycielką, lecz mimo to pupilki jej dokuczały, a ich rodzice drwili z niej od pierwszego śniadania do kolacji. Potem czytała dużo romansów, w których powszechnie dowodzono, że zakochani księżęta, hrabiowie i baronowie są ludźmi szlachetnymi, którzy w zamian za serce mają zwyczaj oddawać ubogim nauczycielkom rękę. Jakoż oddała serce młodemu i szlachetnemu hrabiemu, lecz nie pozyskała jego ręki.

Już po trzydziestym roku życia wyszła za mąż za podstarzałego guwernera, Melitona, w tym jedynie celu, ażeby moralnie podźwignąć człowieka, który nieco się upijał. Nowożeniec jednak po ślubie więcej pił aniżeli przed ślubem, a małżonkę, dźwigającą go moralnie, czasami okładał kijem.

Gdy umarł, podobno na ulicy, pani Meliton odprowadziwszy go na cmentarz i przekonawszy się, że jest niezawodnie zakopany, wzięła na opiekę psa; znowu bowiem powszechnie mówiono, że pies jest najwdzięczniejszym stworzeniem. Istotnie, był wdzięcznym, dopóki nie wściekł się i nie pokąsał służącej, co samą panią Meliton przyprawiło o ciężką chorobę.

Pół roku leżała w szpitalu, w osobnym gabinecie, samotna i zapomniana przez swoje pupilki, ich rodziców i hrabiów, którym oddawała serce. Był czas do rozmyślań. Toteż gdy wyszła stamtąd chuda, stara, z posiwiałymi i przerzedzonymi włosami, znowu zaczęto mówić powszechnie, że choroba zmieniła ją do niepoznania.

— Zmądrzałam — odpowiedziała pani Meliton.

Nie była już nauczycielką, ale rekomendowała nauczycielki; nie myślała o zamążpójściu, ale swatała młode pary; nikomu nie oddawała swego serca, ale we własnym mieszkaniu ułatwiała schadzki zakochanym. Że zaś każdy i za wszystko musiał jej płacić, więc miała trochę pieniędzy i z nich żyła.

W początkach nowej kariery była posępna i nawet cyniczna.

— Książd — mówiła osobom zaufanym — ma dochody ze ślubów, ja z zaręczyn. Hrabia... bierze pieniądze za ułatwianie stosunków koniom, ja za ułatwianie znajomości ludziom.

Z czasem jednak stała się powściągliwszą w mowie, a niekiedy nawet moralizującą, spostrzegłszy, że wygłaszanie zdań i opinii przyjętych przez ogół wpływa na wzrost dochodów.

Pani Meliton od dawna znała się z Wokulskim. A że lubiła widowiska publiczne i miała zwyczaj wszystko śledzić, więc prędko zauważyła, że Wokulski zbyt nabożnie przypatruje się pannie Izabeli. Zrobiwszy to odkrycie wzruszyła ramionami; cóż ją mógł obchodzić kupiec galanteryjny zakochany w pannie Łęckiej? Gdyby upodobał sobie jakąś bogatą kupcową albo córkę fabrykanta, pani Meliton miałaby materiał do swatów. Ale tak!...

Dopiero gdy Wokulski powrócił z Bułgarii i przywiózł majątek, o którym opowiadano cuda, pani Meliton sama zaczęła go o pannę Izabelę, ofiarowując swoje usługi. I stanął milczący układ: Wokulski płacił hojnie, a pani Meliton udzielała mu wszelkich informacji o rodzinie Łęckich i związanych z nimi osobach wyższego świata. Za jej nawet pośrednictwem Wokulski nabył weksle Łęckiego i srebra panny Izabeli.

Przy tej okazji pani Meliton odwiedziła Wokulskiego w jego prywatnym mieszkaniu, ażeby mu powinszować.

— Bardzo rozsądnie przystępujesz pan do rzeczy — mówiła. — Wprawdzie ze sreber i serwisu niewielka będzie pociecha, ale skup weksli Łęckiego jest arcydziełem... Znać kupca!...

Kobieta, Rozczarowanie

Mąż, Żona, Pijaństwo,
Przemoc

Pies

Choroba

Pieniądz

Handel

Usłyszawszy taką pochwałę Wokulski otworzył biurko, poszukał w nim i za chwilę wydobył paczkę weksli.

— Te same? — rzekł pokazując je pani Meliton.

— Tak. Chciałabym mieć te pieniądze!... — odpowiedziała z westchnieniem.

Wokulski ujął paczkę w obie ręce i rozdarł ją.

— Znać kupca?... — spytał.

Pani Meliton przypatrzyła mu się ciekawie i kiwając głową mruknęła:

— Szkoda pana.

— Dlaczegoż to, jeżeli łaska?...

— Szkoda pana — powtórzyła. — Sama jestem kobietą i wiem, że kobiet nie zdobywa się ofiarami, tylko siłą.

— Czy tak?

— Siłą piękności, zdrowia, pieniędzy...

— Rozumu... — wtrącił Wokulski jej tonem.

— Rozumu nie tyle, prędzej pięści — dodała pani Meliton z szyderczym uśmiechem.

— Znam dobrze moją pleć i nieraz miałam okazję litować się nad naiwnością męską.

— Dla mnie niech pani sobie nie zadaje tego trudu.

— Myślisz pan, że nie będzie potrzebny? — spytała patrząc mu w oczy.

— Łaskawa, pani — odparł Wokulski — jeżeli panna Izabela jest taką, jak mi się wydaje, to może mnie kiedyś oceni. A jeżeli nią nie jest, zawsze będę miał czas rozczarować się...

— Zrób to wcześniej, panie Wokulski, zrób wcześniej — rzekła podnosząc się z fotelu. — Bo wierz mi, łatwiej wyrzucić tysiące rubli z kieszeni aniżeli jedno przywiązanie z serca. Szczególniej, gdy się już zagnieżdży. A nie zapomnij pan — dodała — dobrze umieścić mój kapitał. Nie darłbyś paru tysięcy, gdybyś wiedział, jak ciężko nieraz trzeba na nie pracować.

W maju i czerwcu wizyty pani Meliton stały się częstszymi, ku zmartwieniu Rzeckiego, który podejrzewał spisek. I nie mylił się. Był spisek, ale przeciw pannie Izabeli; stara dama dostarczała ważnych informacji Wokulskiemu, ale dotyczących tylko panny Izabeli. Zawiadamiała go mianowicie: w których dniach hrabina wybiera się ze swoją siostrzenicą na spacer do Łazienek.

W takich wypadkach pani Meliton wpadała do sklepu i zrealizowawszy sobie wynagrodzenie w formie kilku- lub kilkunastorublowego drobiazgu, mówiła Rzeckiemu dzień i godzinę.

Dziwne to bywały epoki dla Wokulskiego. Dowiedziawszy się, że jutro będą panie w Łazienkach, już dziś tracił spokój. Obojętniał dla interesów, był rozdrażniony; zdawało mu się, że czas stoi w miejscu i że owe jutro nie nadejdzie nigdy. Noc miał pełną dzikich marzeń; niekiedy w półśnie, półjawie szeptał:

„Cóż to jest w rezultacie?... nic!... Ach, jakież ze mnie bydlę...”

Lecz gdy nadszedł ranek, bał się spojrzeć w okno, ażeby nie zobaczyć zachmurzonego nieba, i znowu do południa czas rozciągał mu się tak, że w jego ramach mógł być pomieścić całe swoje życie, zatrute dziś okropną goryczą.

„Czyliż to może być miłość?...” — zapytywał sam siebie z desperacją.

Rozgorączkowany, już w południe kazał zaprzęgać i jechać. Co chwilę zdawało mu się, że spotyka wracający powóz hrabiny, to znowu, że jego rwące się z cugli konie idą zbyt wolno.

Znalazłszy się w Łazienkach wyskakiwał z powozu i biegł nad sadzawkę, gdzie zazwyczaj spacerowała hrabina lubiąca karmić łabędzie. Przychodził zawczasu, a wtedy padał gdzieś na ławkę, zalany zimnym potem, i siedział bez ruchu, z oczyma skierowanymi w stronę pałacu, zapominając o świecie.

Nareszcie na końcu alei ukazały się dwie kobiece figury, czarna i szara. Wokulskiemu krew uderzyła do głowy.

„One!... Czy mnie choć zatrzymają?...”

Podniósł się z ławki i siedł naprzeciw nich jak lunatyk, bez tchu. Tak, to jest panna Izabela: prowadzi ciotkę i o czymś z nią rozmawia.

Wokulski przypatruje się jej i myśli:

Kobieta, Męczyzna

Przemoc

Rozczarowanie, Serce

Bogactwo, Praca

Miłość

Sen

„No i cóż jest w niej nadzwyczajnego?... Kobieta jak inne... Zdaje mi się, że bez potrzeby szaleję na jej rachunek...”

Uklonił się, panie się odkloniły. Idzie dalej nie odwracając głowy, ażeby się nie zdradzić. Nareszcie ogląda się: obie panie znikły między zielonością.

„Wrócę się — myśli — jeszcze raz spojrzę... Nie, nie wypada!”

I czuje w tej chwili, że połyskująca woda sadzawki ciągnie go z nieprzepartą siłą.

„Ach, gdybym wiedział, że śmierć jest zapomnieniem... A jeżeli nie jest?... Nie, w naturze nie ma miłosierdzia... Czy godzi się w nędzne ludzkie serce wlać bezmiar tęsknoty, a nie dać nawet tej pociechy, że śmierć jest nicością?”

Prawie w tym samym czasie hrabina mówiła do panny Izabeli:

— Coraz bardziej przekonywam się, Belu, że pieniądze nie dają szczęścia. Ten Wokulski zrobił świetną jak dla niego karierę, lecz — cóż stąd?... Już nie pracuje w sklepie, ale nudzi się w Łazienkach. Uważałaś, jaką on ma znudzoną minę?

— Znudzoną? — powtórzyła panna Izabela. — Mnie on wydaje się przede wszystkim zabawnym.

— Nie dostrzegłam tego — zdziwiła się hrabina.

— Więc... nieprzyjemnym — poprawiła się panna Izabela.

Wokulski nie miał odwagi wyjść z Łazienek. Chodził po drugiej stronie sadzawki i z daleka przypatrywał się migającej między drzewami szarej sukni. Dopiero później spostrzegł, że przypatruje się aż dwóm szarym sukniom, a trzeciej niebieskiej, że żadna z nich — nie należy do panny Izabeli.

„Jestem piramidalnie głupi” — pomyślał.

Ale nic mu to nie pomogło.

Pewnego dnia, w pierwszej połowie czerwca, pani Meliton dała znać Wokulskiemu, że jutro w południe panna Izabela będzie na spacerze z hrabiną i — z prezesową. Drobny ten wypadek mógł mieć pierwszorzędne znaczenie.

Wokulski bowiem od pamiętnej Wielkanocy parę razy odwiedzał prezesową i poznał, że staruszka jest mu bardzo życzliwa. Zwykle słuchał jej opowiadań o dawnych czasach, rozmawiał o swoim stryju, nawet ostatecznie umówił się o nagrobek dla niego. W toku tej wymiany myśli, nie wiadomo skąd, wpłatało się imię panny Izabeli tak nagle, że Wokulski nie mógł ukryć wzruszenia; twarz mu się zmieniła, głos stłumił się.

Staruszka przyłożyła binokle do oczu i wpatrzywszy się w Wokulskiego spytała:

— Czy mi się tylko wydaje, czyli też panna Łęcka nie jest ci obojętną?

— Prawie nie znam jej... Mówiłem z nią raz w życiu... — tłumaczył się zmieszany Wokulski.

Prezesowa wpadła w zamyślenie i kiwając głową szepnęła:

— Ha...

Wokulski pożegnał ją, ale owe³⁴⁹ „ha...” utkwilo mu w pamięci. W każdym razie był pewny, że w prezesowej nie ma nieprzyjaciółki. I otóż w niecały tydzień po tej rozmowie dowiedział się, że prezesowa jedzie z hrabiną i z panną Izabelą na spacer do Łazienek. Czyżby dowiedziała się, że panie go tam spotykają?... A może chce ich zbliżyć?...

Wokulski spojrzął na zegarek: była trzecia po południu.

„Więc to jutro — pomyślał — za godzin... dwadzieścia cztery... Nie, nie tyle... Za ileż to?...”

Nie mógł zrachować, ile godzin upłynie od trzeciej do pierwszej w południe. Ogarnął go niepokój; nie jadł obiadu; fantazja rwała się naprzód, ale trzeźwy rozum hamował ją.

„Zobaczymy, co będzie jutro. A nuż będzie deszcz albo która z pań zachoruje?”

Wybiegł na ulicę i blakając się bez celu, powtarzał:

„No, zobaczymy, co będzie jutro... A może mnie nie zatrzymają?... Zresztą panna Izabela jest sobie piękna panna, przypuśćmy, że nawet niezwykle piękna, ale tylko panna, nie nadprzyrodzone zjawisko. Tysiące równie ładnych chodzi po świecie, a ja też nie myślę czepiać się zębami jednej spódnicy. Odepchnie mnie?... Dobrze!... Z tym większym rozmachem padnę w objęcia innej...”

Samobójstwo

Kondycja ludzka,
Miłosierdzie, Samobójstwo

Bogactwo, Nuda, Szczęście

Mieszczanin, Obyczaje,
Szlachcic

³⁴⁹ owe — dziś: owo.

Wieczorem poszedł do teatru, lecz opuścił go po pierwszym akcie. Znowu wałęsał się po mieście, a gdzie stąpił, prześladowała go myśl jutrzejszego spaceru i niejasne przeczucie, że jutro zbliży się do panny Izabeli.

Minęła noc, ranek. O dwunastej kazał zaprząć powóz. Napisał kartkę do sklepu, że przyjdzie później, i poszarpał jedną parę rękawiczek. Nareszcie wszedł służący.

„Konie gotowe!” — błysnęło Wokulskiemu.

Wyciągnął rękę po kapelusz.

— Książę!... — zameldował służący.

Wokulskiemu pociemniało w oczach.

— Proś.

Książę wszedł.

— Dzień dobry, panie Wokulski — zawołał. — Pan gdzieś wyjeżdża? — Zapewne do składów albo na kolej. Ale nic z tego. Aresztuję pana i zabieram do siebie. Będę nawet tak niegrzeczny, że zakwateruję się do pańskiego powozu, bo dziś swego nie wziąłem. Jestem jednak pewny, że wszystko to wybaczy mi pan ze względu na doskonałe wiadomości.

— Raczy książę spocząć?...

— Na chwilę. Niech pan sobie wyobrazi — mówił książę siadając — że dopóty dokuczałem naszym panom bratom³⁵⁰... Czy dobrze powiedziałem?... Dopóty ich prześladowałem, aż obiecali przyjść w kilku do mnie i wysłuchać projektu pańskiej spółki. Natychmiast więc pana zabieram, a raczej zabieram się z panem i — jedziemy do mnie.

Wokulski doznał takiego wrażenia jak człowiek, który spadł z wysokości i uderzył piersiami o ziemię.

Pomieszczenie jego nie uszło uwagi księcia, który uśmiechnął się przypisując to radości z jego wizyty i zaprosin. Przez głowę mu nawet nie przeszło, że dla Wokulskiego może być ważniejszym spacer do Łazienek aniżeli wszyscy książęta i spółki.

— A więc jesteśmy gotowi? — spytał książę powstając z fotelu.

Sekundy brakowało, ażeby Wokulski powiedział, że nie pojedzie i nie chce żadnych spółek. Ale w tym samym momencie przebiegła mu myśl:

„Spacer — to dla mnie, spółka — dla niej.”

Wziął kapelusz i pojechał z księciem. Zdawało mu się, że powóz nie jedzie po bruku, ale po jego własnym mózgu.

„Kobiet nie zdobywa się ofiarami, tylko siłą, bodaj pięści...” — przypomniał sobie zdanie pani Meliton. Pod wpływem tego aforyzmu chciał porwać księcia za kołnierz i wyrzucić go na ulicę. Ale trwało to tylko chwilę.

Książę przypatrywał mu się spod rzęs, a widząc, że Wokulski to czerwienieje, to blednie, myślał:

„Nie spodziewałem się, że zrobię aż taką przyjemność temu pocziwemu Wokulskiemu. Tak, trzeba zawsze podawać rękę nowym ludziom...”

W swoim towarzystwie książę nosił tytuł zagorzałego patrioty, prawie szowinisty; poza towarzystwem cieszył się opinią jednego z najlepszych obywateli. Bardzo lubił mówić po polsku, a nawet treścią jego francuskich rozmów były interesa publiczne.

Był arystokratą od włosów do nagniotków, duszą, sercem, krwią. Wierzył, że każde społeczeństwo składa się z dwu materiałów: zwyczajnego tłumu i klas wybranych. Zwyczajny tłum był dziełem natury i mógł nawet pochodzić od małpy, jak to wbrew Pismu świętemu utrzymywał Darwin. Lecz klasy wybrane miały jakiś wyższy początek i pochodziły, jeżeli nie od bogów, to przynajmniej od pokrewnych im bohaterów, jak Herkules³⁵¹, Prometeusz³⁵², od biedy — Orfeusz³⁵³.

Książę miał we Francji przyjaciela, hrabiego (w najwyższym stopniu dotkniętego zarazą demokratyczną), który drwił sobie z nadziemskich początków arystokracji.

Obraz świata, Pozycja społeczna

Szlachcic

³⁵⁰naszym panom bratom... — tj. szlachcie. (Książę nie jest pewny tej formy gramatycznej, dlatego pyta: „Czy dobrze powiedziałem?”)

³⁵¹Herkules — mitologiczny bohater starożytny, odznaczał się nadludzką siłą, dokonał wielu niezwykłych czynów.

³⁵²Prometeusz — według mitologii greckiej tytan, który ukradł ogień z nieba i przyniósł go ludziom. Za karę został przykuty do skały na Kaukazie, a sęp szarpał jego wątrobę.

³⁵³Orfeusz — jeden z bohaterów mitologii greckiej, który śpiewem swoim poskramiał dzikie zwierzęta i ożywiał martwe przedmioty.

— Mój kuzynie — mówił — myślę, że nie zdajesz sobie należycie sprawy z kwestii rodów. Cóż to są wielkie rody? Są nimi takie, których przodkowie byli hetmanami, senatorami, wojewodami, czyli po dzisiejszemu: marszałkami, członkami izby wyższej³⁵⁴ lub prefektami departamentów³⁵⁵. No — a przecie takich panów znamy, nic w nich nadzwyczajnego... Jedzą, piją, grają w karty, umizgają się do kobiet, zaciągają długi — jak reszta śmiertelników, od których są niekiedy głupszy.

Księżciu na twarz występowały chorobliwe rumieńce.

— Czy spotkałeś kiedy, kuzynie — odparł — prefekta lub marszałka z takim wyrazem majestatu, jaki widzimy na portretach naszych przodków?...

— Cóż w tym dziwnego — śmiał się zarażony hrabia. — Malarze nadawali obrazom wyraz, o jakim nie śniło się żadnemu z oryginałów; tak jak heraldycy³⁵⁶ i historycy opowiadali o nich bajeczne legendy. To wszystko kłamstwa, mój kuzynie!... To tylko kulisy i kostiumy, które z jednego Wójtki robią księcia, a z innego parobka. W rzeczywistości jeden i drugi jest tylko lichym aktorem.

— Z szyderstwem, kuzynie, nie ma rozprawy! — wybuchał książę i uciekał. Biegł do siebie, kładł się na szezlongu z rękoma splecionymi pod głowę i patrząc w sufit widział przesuujące się na nim postacie nadludzkiego wzrostu, siły, odwagi, rozumu, bezinteresowności. To byli — przodkowie jego i hrabiego; tylko że hrabia zapierał się ich. Czyżby istniała w nim jaka przymieszka krwi?...

Tłumem zwyczajnych śmiertelników książę nie tylko nie gardził, ale owszem: miał dla nich życzliwość, a nawet stykał się z nimi i interesował ich potrzebami. Wyobrażał sobie, że jest jednym z Prometeuszów, którzy mają poniekąd honorowy obowiązek sprowadzić tym biednym ludziom ogień z nieba na ziemię. Zresztą religia nakazywała mu sympatię dla maluczkich i książę rumienił się na samą myśl, że większa część towarzystwa stanie kiedyś przed boskim sądem bez tego rodzaju zasługi.

Więc aby uniknąć wstydu dla siebie, bywał i nawet zwoływał do swego mieszkania rozmaite sesje, wydawał po dwadzieścia pięć i po sto rubli na akcje rozmaitych przedsiębiorstw publicznych, nade wszystko zaś — ciągle martwił się nieszczęśliwym położeniem kraju, a każdą mowę swoją kończył frazesem:

— Bo, panowie, myślimy najpierw o tym, ażeby podźwignąć nasz nieszczęśliwy kraj...

A gdy to powiedział, czuł, że z serca spada mu jakiś ciężar; tym większy, im więcej było słuchaczy albo im więcej rubli wydał na akcje.

Zwołać sesję, zachęcić do przedsiębiorstwa i cierpieć, wciąż cierpieć nad nieszczęśliwym krajem, oto jego zdaniem były obowiązki obywatela. Gdyby go jednak spytano, czy zasadził kiedy drzewo, którego cień ochroniłby ludzi i ziemię od spiekoty? albo czy kiedy usunął z drogi kamień raniący koniom kopyta? — byłby szczerze zdziwiony.

Czuł i myślał, pragnął i cierpiał — za miliony. Tylko — nic nigdy nie zrobił użytecznego. Zdawało mu się, że ciągle frasowanie się całym krajem ma bez miary wyższą wartość od utarcia nosa zasmolonemu dziecku.

W czerwcu fizjognomia Warszawy ulega widocznej zmianie. Puste przedtem hotele napełniają się i podwyższają ceny, na wielu domach ukazują się ogłoszenia: „Apartament z meblami do wynajęcia na kilka tygodni.” Wszystkie dorożki są zajęte, wszyscy posłańcy biegają. Na ulicach, w ogrodach, teatrach, w restauracjach, na wystawach, w sklepach i magazynach strojów damskich widać figury nie spotykane w zwykłym czasie. Są nimi tędzy i opaleni mężczyźni w granatowych czapkach z daszkami, w zbyt obszernych butach, w ciasnych rękawiczkach, w garniturach pomysłu prowincjonalnego krawca. Towarzyszą im gromadki dam, nie odznaczających się pięknnością ani warszawskim szykiem, tudzież nie mniej liczne gromadki niezręcznych dzieci, którym z ust szeroko otwartych wygląda zdrowie.

Jedni z wiejskich gości przyjeżdżają tu z wełną na jarmark, drudzy na wyścigi, inni, ażeby zobaczyć wełnę i wyścigi; ci dla spotkania się z sąsiadami, których na miejscu mają o wiorstę drogi, tamci dla odświeżenia się w stolicy mętnej wody i pyłu, a owi męczą się przez kilkudniową podróż sami nie wiedząc po co.

³⁵⁴izba wyższa — parlament w państwach burżuazyjnych składa się z dwu oddzielnych przedstawicielstw, zwanych „izbami”. Do izby wyższej należą często często (np. w Anglii) przedstawiciele arystokracji rodowej.

³⁵⁵prefekt departamentu — naczelny urzędnik departamentu (jednostka administracyjna we Francji).

³⁵⁶heraldyk — badacz herbów szlacheckich.

Portret, Teatr

Honor, Religia

Cierpienie, Obowiązek,
Obywatel, Ojczyzna,
Patriota

Warszawa

Z podobnego zjazdu skorzystał książę, ażeby zbliżyć Wokulskiego z ziemiaństwem.

Książę we własnym pałacu, na pierwszym piętrze, zajmował ogromne mieszkanie. Część jego, złożona z gabinetu pana, biblioteki i fajczarni³⁵⁷, była miejscem męskich zebrań, na których książę przedstawiał swoje lub cudze projekta dotyczące spraw publicznych. Zdarzało się to po kilka razy w roku. Ostatnia nawet sesja wiosenna była poświęcona kwestii statków śrubowych³⁵⁸ na Wiśle, przy czym bardzo wyraźnie zarysowały się trzy stronnictwa. Pierwsze, złożone z księcia i jego osobistych przyjaciół, koniecznie domagało się śrubowców, drugie zaś, mieszczańskie, uznając w zasadzie piękność projektu, uważało go jednak za przedwczesny i nie chciało dać na ten cel pieniędzy. Trzecie stronnictwo składało się tylko z dwu osób: pewnego technika, który twierdził, że śrubowce nie mogą pływać po Wiśle, i pewnego głuchego magnata, który na wszystkie odezwy, skierowane do jego kieszeni, stale odpowiadał:

— Proszę trochę głośniej, bo nic nie słyszę...

Książę z Wokulskim przyjechali o pierwszej, a w kwadrans po nich zaczęli schodzić się i zjeżdżać inni uczestnicy sesji. Książę witał każdego z uprzejmą poufalością, prezentował Wokulskiego, a następnie podkreślał przybyśza na liście zaproszonych bardzo długim i bardzo czerwonym ołówkiem.

Jednym z pierwszych gości był pan Łęcki; wziął Wokulskiego na stronę i jeszcze raz wypytał go o cel i znaczenie spółki, do której należał już całą duszą, ale nigdy nie mógł dobrze spamiętać, o co chodzi. Tymczasem inni panowie przypatrywali się intruzowi i zniżonym głosem robili o nim uwagi.

— Bycza minal! — szepnął otyły marszałek wskazując okiem na Wokulskiego. — Szczęść na głowie jeży mu się jak dzikowi, pierś — upadam do nóg, oko bystre... Ten by nie ustał na polowaniu!

— I twarz, panie... — dodał baron z fizjognomią Mefistofelesa³⁵⁹. — Czoło, panie... wąsik, panie, mała hiszpanka, panie... Wcale, panie... wcale... Rysy trochę, panie... ale całość, panie...

— Zobaczymy, jaki będzie w interesach — dorzucił nieco przygarbiony hrabia.

— Rzutki, ryzykowny, *tek* — odezwał się jakby z piwnicy drugi hrabia, który siedział sztywnie na krześle, nosił bujne faworyty i porcelanowymi oczyma patrzył tylko przed siebie jak Anglik z »Journal Amusant«³⁶⁰.

Książę powstał z fotelu i chrząknął; zebrani umilkli, dzięki czemu można było usłyszeć resztę opowiadania marszałka:

— Wszyscy patrzymy na las, a tu coś skwierczy pod kopytami. Wyobraź sobie acan dobrodziej, że chart idący przy koniach na smyczy zdusił w bruzdzie szaraka!...

To powiedziawszy marszałek uderzył olbrzymią dłonią w udo, z którego mógł być wyciąć sobie sekretarza i jego pomocnika.

Książę chrząknął drugi raz, marszałek zmieszał się i niezwykle wielkim fulem³⁶¹ otarł spocone czoło.

— Szanowni panowie — odezwał się książę. — Powążyłem się fatygować szanownych panów w pewnym... nader ważnym interesie publicznym, który, jak to wszyscy czujemy, powinien zawsze stać na straży naszych interesów publicznych... Chciałem powiedzieć... naszych idei... to jest...

Książę zdawał się być zakłopotany; wnet jednak ochłonął i mówił dalej:

— Chodzi o inte... to jest o plan, a raczej... o projekt zawiązania spółki do ułatwienia handlu...

— Zbożem — wtrącił ktoś z kąta.

— Właściwie — ciągnął książę — chodzi nie o handel zbożem, ale...

— Okowitą — pośpieszył ten sam głos.

Handel

³⁵⁷fajczarnia — palarnia.

³⁵⁸statki śrubowe — poruszane przez obrót śruby zanurzonej w wodzie, a wprawianej w ruch przez maszynę parową.

³⁵⁹Mefistofeles — imię diabła z legendy i utworów literackich o czarnoksiężniku Fauście.

³⁶⁰»Journal Amusant« — nazwa francuskiego czasopisma humorystycznego i rozrywkowego.

³⁶¹fular — chustka z cienkiego jedwabiu.

— Ależ nie!... O handel, a raczej o ułatwienie handlu między Rosją i zagranicą towarami, no... towarami... Miasto zaś nasze, pożądane jest, ażeby się stało centrum takowego...

— A jakież to towary? — spytał przygarbiony hrabia.

— Stronę fachową kwestii raczy objaśnić nam łaskawie pan Wokulski, człowiek... człowiek fachowy — zakończył książę. — Pamiętajmy jednak, panowie, o obowiązkach, jakie na nas wkłada troska o interesa publiczne i ten nieszczęśliwy kraj...

— Jak Boga kocham, zaraz dam dziesięć tysięcy rubli!... — wrzasnął marszałek.

— Na co? — spytał hrabia udający autentycznego Anglika.

— Wszystko jedno!... — odparł wielkim głosem marszałek. — Powiedziałem: rzucę w Warszawie pięćdziesiąt tysięcy rubli, więc niech dziesięć pójdzie na cele dobroczynne, bo kochany nasz książę mówi cudownie!... Z rozumu i z serca, jak Boga kocham...

— Przepraszam — odezwał się Wokulski — ale nie chodzi tu o spółkę dobroczynną, tylko o spółkę zapewniającą zyski.

— Otóż to!... — wtrącił hrabia zgarbiony.

— *Tek!*... — potwierdził hrabia-Anglik.

— Co mnie za zysk z dziesięciu tysięcy? — zaoponował marszałek. — Z torbami bym poszedł pod Ostrą Bramę³⁶² przy takich zyskach.

Zgarbiony hrabia wybuchnął:

— Proszę o głos w kwestii: czy należy lekceważyć małe zyski!... To nas gubi!... to, panowie — wołał pukając paznokciem w poręcz fotelu.

— Hrabio — przerwał słodko książę — pan Wokulski ma głos.

— *Tek!*... — poparł go hrabia-Anglik czesząc bujne faworyty.

— Prosimy więc szanownego pana Wokulskiego — odezwał się nowy głos — ażeby ten publiczny interes, który nas zgromadził tu, do gościnnych salonów księcia, raczył nam przedstawić z właściwą mu jasnością i zwięzłością.

Wokulski spojrział na osobę przyznającą mu jasność i zwięzłość. Był to znakomity adwokat, przyjaciel i prawa ręka księcia; lubił mówić kwieciste, wybijając takt ręką i przysłuchując się własnym frazesom, które zawsze znajdował wybornymi³⁶³.

— Tylko żebyśmy zrozumieli wszyscy — mruknął ktoś w kącie zajęтым przez szlachtę, która nienawidziła magnatów.

— Wiadomo panom — zaczął Wokulski — że Warszawa jest handlową stacją między Europą zachodnią i wschodnią. Tu zbiera się i przechodzi przez nasze ręce część towarów francuskich i niemieckich przeznaczonych dla Rosji, z czego moglibyśmy mieć pewne zyski, gdyby nasz handel...

— Nie znajdował się w ręku Żydów — wtrącił półgłosem ktoś od stołu, gdzie siedzieli kupcy i przemysłowcy.

— Nie — odparł Wokulski. — Zyski istniałyby wówczas, gdyby nasz handel był prowadzony porządnie.

— Z Żydami nie może być porządnym...

— Dziś jednak — przerwał adwokat księcia — szanowny pan Wokulski daje nam możliwość podstawienia kapitałów chrześcijańskich w miejsce kapitału starozakonnych...

— Pan Wokulski sam wprowadza Żydów do handlu — bryznął oponent ze stanu kupieckiego.

Zrobiło się cicho.

— Ze sposobu prowadzenia moich interesów nie zdaję sprawy przed nikim — ciągnął dalej Wokulski. — Wskazuję panom drogę uporządkowania handlu Warszawy z zagranicą, co stanowi pierwszą połowę mego projektu i jedno źródło zysku dla krajowych kapitałów. Drugim źródłem jest handel z Rosją³⁶⁴. Znajdują się tam towary poszukiwane u nas i tanie. Spółka, która zajęłaby się nimi, mogłaby mieć piętnaście do dwudziestu procentów rocznie od wyłożonego kapitału. Na pierwszym miejscu stawiam tkaniny...

Handel, Warszawa

Żyd

Żyd

³⁶²Ostra Brama — zabytkowa brama obronna w Wilnie z obrazem Matki Boskiej.

³⁶³znajdował wybornymi — uważał za wyborne.

³⁶⁴handel z Rosją — towary włókiennicze produkowane w Królestwie przeznaczone były przeważnie na eksport do Rosji, jako zbyt drogie dla szerokich rzesz konsumentów polskich. Dla zaspokojenia ich potrzeb rzeczywiście importowano z Rosji tanie tkaniny.

— To jest podkopywanie naszego przemysłu — odezwał się oponent z grupy kupieckiej.

— Mnie nie obchodzą fabrykanci, tylko konsumenci... — odpowiedział Wokulski.

Kupcy i przemysłowcy poczęli szeptać między sobą w sposób mało życzliwy dla Wokulskiego.

— Otóż i dotarliśmy do interesu publicznego!... — zawołał wzruszonym głosem książę. — Kwestia zarysowuje się tak: czy projekta szanownego pana Wokulskiego są objawem pomyślnym dla kraju?... Panie mecenasie³⁶⁵... — zwrócił się książę do adwokata, czując potrzebę wyręczenia się nim w kłopotliwej nieco sytuacji.

— Szanowny pan Wokulski — zabrał głos adwokat — z właściwą mu gruntownością raczy nas objaśnić: czy sprowadzanie owych tkanin aż z tak daleka nie przyniesie uszczerbku naszym fabrykom?

— Przede wszystkim — rzekł Wokulski — owe nasze fabryki nie są naszymi, lecz niemieckimi...

— Oho!... — zawołał oponent z grupy kupców.

— Jestem gotów — mówił Wokulski — natychmiast wyliczyć fabryki, w których cała administracja i wszyscy lepiej płatni robotnicy są Niemcami, których kapitał jest niemiecki, a rada zarządzająca rezyduje w Niemczech; gdzie nareszcie robotnik nasz nie ma możliwości ukształcić się wyżej w swoim fachu, ale jest parobkiem źle płatnym, źle traktowanym i na dobitkę germanizowanym...

— To jest ważne!... — wtrącił hrabia zgarbiony.

— *Tek*... — szepnął Anglik.

— Jak Boga kocham, doświadczam emocji słuchając!... — zawołał marszałek. — Nigdy nie myślałem, że tak można zabawić się przy podobnej rozmowie... Zaraz wrócę...

I opuścił gabinet, aż ugięła się pod jego stopami podłoga.

— Czy mam wyliczać nazwiska? — spytał Wokulski.

Grupa kupców i przemysłowców złożyła w tej chwili dowód rzadkiej powściągliwości nie domagając się nazwisk. Adwokat szybko podniósł się z fotelu i zatrzepotawszy rękoma zawołał:

— Sądzę, że nad kwestią miejscowych fabryk możemy przejść do porządku. Teraz szanowny pan Wokulski raczy nam, z właściwą mu jędrnością, objaśnić: jakie pozytywne korzyści z jego projektu odniesie...

— Nasz nieszczęśliwy kraj — zakończył książę.

— Proszę panów — mówił Wokulski — gdyby łokieć mego perkalu kosztował tylko o dwa grosze taniej niż dziś, wówczas na każdym milionie kupionych tu łokci ogół oszczędziłby dziesięć tysięcy rubli...

— Cóż to znaczy dziesięć tysięcy rubli?... — spytał marszałek, który już powrócił do gabinetu, ale jeszcze nie wpadł w tok rozpraw.

— To wiele znaczy... bardzo wiele! — zawołał hrabia zgarbiony. — Raz nauczmy się szanować zyski groszowe...

— *Tek*... *Pens*³⁶⁶ jest ojcem gwiney³⁶⁷... — dodał hrabia ucharakteryzowany na Anglika.

— Dziesięć tysięcy rubli — ciągnął Wokulski — jest to fundament dobrobytu dla dwudziestu rodzin co najmniej...

— Kropla w morzu — mruknął jeden z kupców.

— Ale jest jeszcze inny wzgląd — mówił Wokulski — obchodzący wprawdzie tylko kapitalistów. Mam do dyspozycji towaru za trzy do czterech milionów rubli rocznie...

— Upadam do nóg!... — szepnął marszałek.

— To nie jest mój majątek — wtrącił Wokulski — mój jest znacznie skromniejszy...

— Lubię takich!... — rzekł zgarbiony hrabia.

— *Tek*... — dodał Anglik.

³⁶⁵*mecenas* — w Królestwie Kongresowym do r. 1867 tytuł obrońcy przy najwyższej instancji sądowej, później w ogóle tytuł towarzyski adwokata.

³⁶⁶*pens* — drobna moneta brytyjska, 1/2 szylinga.

³⁶⁷gwinea — dawna angielska moneta złota, później tylko jednostka rachunkowa — 21 szylingów.

— Owe trzy miliony rubli stanowią mój osobisty kredyt i przynoszą mi bardzo mały procent jako pośrednikowi — mówił Wokulski. — Oświadczam jednak, że o ile w miejsce kredytu podstawiliby się gotówkę, zysk z niej wynosiłby piętnaście do dwudziestu procentów, a może więcej. Otóż ten punkt sprawy obchodzi panów, którzy składacie pieniądze w bankach na niski procent. Pieniędźmi tymi obracają inni i zyski ciągną dla siebie. Ja zaś ofiaruję panom sposobność użycia ich bezpośredniego i powiększenia własnych dochodów. Skończyłem.

— Pysznie! — zawołał przygarbiony hrabia. — Czy jednak nie można by dowiedzieć się szczegółów bliższych?

— O tych mogę mówić tylko z moimi współnikami — odpowiedział Wokulski.

— Jestem — rzekł zgarbiony hrabia i podał mu rękę.

— *Tek* — dodał pseudo-Anglik wyciągnawszy do Wokulskiego dwa palce.

— Moi panowie! — odezwał się wygolony mężczyzna z grupy szlachty nienawidzącej magnatów. — Mówicie tu o handlu perkalami, który nas nic nie obchodzi... Ale panowie!... — ciągnął dalej płaczliwym głosem — my mamy za to zboże w spichlerzach, my mamy okowitę w składach, na której wyzyskują nas pośrednicy w sposób — że nie powiem — niegodny...

Obejrzał się po gabinecie. Grupa szlachty gardzącej magnatami dała mu brawo.

Promieniejąca dyskretną radością twarz księcia zajaśniała w tej chwili blaskiem prawdziwego natchnienia.

— Ależ, panowie! — zawołał — dziś mówimy o handlu tkaninami, lecz jutro i pojutrze ktoś zabroni nam naradzić się nad innymi kwestiami?... Proponuję więc...

— Jak Boga kocham, cudnie mówi ten kochany książę — zawołał marszałek.

— Słuchamy... słuchamy!... — poparł go adwokat, silnie okazując, że stara się pohamować zapal dla księcia.

— A więc, panowie — ciągnął wzruszony książę — proponuję jeszcze następujące sesje: jedną w sprawie handlu zbożem, drugą w sprawie handlu okowitą...

— A kredyt dla rolników?... — spytał ktoś z nieprzejednanej szlachty.

— Trzecią w sprawie kredytu dla rolników — mówił książę. — Czwartą...

Tu zaciął się.

— Czwartą i piątą — pochwycił adwokat — poświęcimy rozważaniu ogólnej ekonomicznej sytuacji...

— Naszego nieszczęśliwego kraju — dokończył książę prawie ze łzami w oczach.

— Panowie!... — wrzasnął adwokat obcierając nos z akcentem rozrzewnienia. — Uczcijmy naszego gospodarza, znakomitego obywatela, najzaczniejszego z ludzi...

— Dziesięć tysięcy rubli, jak Bo... — zawołał marszałek.

— Przez powstanie! — szybko dokończył adwokat.

— Brawo!... niech żyje książę!... — zawołano przy akompaniamencie łoskotu nóg i krzeseł.

Grupa szlachty gardzącej arystokracją krzyczała najgłośniej. Książę zaczął ścisnąć swoich gości nie panując już nad wzruszeniem; pomagał mu adwokat, wszystkich całował, a sam bez ceremonii płakał. Kilka osób skupiło się przy Wokulskim.

— Przystępuję na początek z pięćdziesięcioma tysiącami rubli — mówił zgarbiony hrabia. — Na rok przyszyły zaś... zobaczymy...

— Trzydzieści, panie... trzydzieści tysięcy rubli, panie... Bardzo, panie... bardzo! — dodał baron z fizjonomią Mefistofelesa.

— I ja trzydzieści tysięcy... *tek!*... — dorzucił hrabia-Anglik kiwając głową.

— A ja dam dwa... trzy razy tyle, co... kochany książę. Jak Boga kocham!... — rzekł marszałek.

Paru oponentów z grupy kupieckiej również zbliżyło się do Wokulskiego. Milczeli, lecz tkliwe ich spojrzenia stokroć więcej miały wymowy aniżeli najczulsze słowa.

Z kolei zbliżył się do Wokulskiego człowiek młody, mizerny, z rzadkim zarostem na twarzy, ale z niewątpliwymi śladami przedwczesnego zniszczenia w całej postaci. Wokulski spotykał go na rozmaitych widowiskach, wreszcie i na ulicy, jeżdżącego najszybszymi dorożkami.

— Jestem Maruszewicz — rzekł zniszczony młody człowiek z miłym uśmiechem. — Wybacz pan, że prezentuję się tak obcesowo i w dodatku przy pierwszej znajomości będę miał prośbę...

— Słucham pana.

Młodzieniec wziął Wokulskiego pod ramię i zaprowadziwszy go do okna mówił:

— Kładę od razu karty na stół; z takimi ludźmi jak pan nie można inaczej. Jestem niemający, mam dobre instynkty i chciałbym znaleźć zajęcie. Pan tworzy spółkę, czy nie mógłbym pracować pod pańskim kierunkiem?...

Wokulski przypatrywał mu się z uwagą. Propozycja, którą słyszał, jakoś nie pasowała do wyniszczonej figury i niepewnych spojrzeń młodzieńca. Wokulski uczuł niesmak, mimo to spytał:

— Cóż pan umie? jaki pański fach?

— Fachu, uważa pan, jeszcze nie wybrałem, ale mam wielkie zdolności i mogę podjąć się każdego zajęcia.

— A na jaką pan liczy pensję?

— Tysiąc... dwa tysiące rubli... — odparł zakłopotany młodzieniec.

Wokulski mimo woli potrząsnął głową.

— Wątpię — odparł — czy będziemy mieli posady odpowiadające pańskim wymaganiom. Niech pan jednak wstąpi kiedy do mnie...

Na środku gabinetu przygarbiony hrabia zabrał głos.

— A zatem — mówił — szanowni panowie, w zasadzie przystępujemy do spółki proponowanej przez pana Wokulskiego. Interes wydaje się bardzo dobrym, a obecnie chodzi tylko o bliższe szczegóły i spisanie aktu. Zapraszam więc panów, chcących zostać uczestnikami, do mnie na jutro, o dziewiątej wieczór...

— Będę u ciebie, kochany hrabio, jak Boga kocham — odezwał się otyły marszałek — i może jeszcze przyprowadzę ci z paru Litwinów³⁶⁸; no, ale powiedz, dlaczegoż to my mamy zawiązywać spółki kupieckie?... Niechby już sami kupcy...

— Choćby dlatego — odparł hrabia gorąco — ażeby nie mówiono, że nic nie robimy, tylko obcinamy kupony³⁶⁹...

Księżę poprosił o głos.

— Zresztą — rzekł — mamy na widoku jeszcze dwie spółki: do handlu zbożem i — okowitą. Kto nie zechce należeć do jednej, może należeć do drugiej... Nadto zaprosimy szanownego pana Wokulskiego, ażeby w innych naszych naradach chciał przyjąć udział...

— Tek!... — wtrącił hrabia-Anglik.

— I z właściwym mu talentem raczył oświecić kwestie — dokończył adwokat.

— Wątpię, czy przydam się panom na co — odparł Wokulski. — Miałem wprowadzić do czynienia ze zbożem i okowitą, ale w wyjątkowych warunkach. Chodziło o duże ilości i pośpiech, nie o ceny... Nie znam zresztą tutejszego handlu zbożem...

— Będą specjaliści, szanowny panie Wokulski — przerwał mu adwokat. — Oni nam dostarczą szczegółów, które pan raczysz tylko uporządkować i rozjaśnić z właściwą mu genialnością...

— Prosimy... bardzo prosimy!... — wołali hrabiowie, a za nimi jeszcze głośniejsz szlachta nienawidząca magnatów.

Była blisko piąta po południu i zgromadzeni poczęli się rozchodzić. W tej chwili Wokulski spostrzegł, że z dalszych pokoi zbliża się do niego pan Łęcki w towarzystwie młodzieńca, którego już widział obok panny Izabeli podczas kwesty i na święconym u hrabiny. Obaj panowie zatrzymali się przy nim.

— Pozwolisz, panie Wokulski — odezwał się Łęcki — że przedstawię ci pana Juliana Ochockiego³⁷⁰. Nasz kuzyn... trochę oryginał, ale...

— Dawno już chciałem poznać się z panem i porozmawiać — rzekł Ochocki ściskając go za rękę.

³⁶⁸ paru Litwinów — szlachty polskiej z ziem litewsko-ruskich.

³⁶⁹ kupon — tu: kwit do podjęcia procentu lub dywidendy.

³⁷⁰ Ochocki — postać ta zawdzięcza niektóre swe rysy Julianowi Ochorowiczowi (1850–1917), znanemu publicyście pozytywistycznemu, filozofowi i psychologowi, później badaczowi mediumizmu i hipnotyzmu.

Wokulski w milczeniu przypatrywał się. Młody człowiek nie dosięgnął jeszcze lat trzydziestu i rzeczywiście odznaczał się niezwykłą fizjognomią. Zdawało się, że ma rysy Napoleona Pierwszego, przysłonięte jakimś obłokiem marzycielstwa.

— W którą stronę pan idzie? — spytał młody człowiek Wokulskiego. — Mogę pana podprowadzić.

— Będzie się pan fatygował...

— O, ja mam dosyć czasu — odpowiedział młody człowiek.

„Czego on chce ode mnie?” — pomyślał Wokulski, a głośno rzekł: — Możemy pójść w stronę Łazienek...

— Owszem — odparł Ochocki. — Wpadnę jeszcze na chwilę pożegnać się z księżną i dogonię pana.

Ledwie odszedł, pochwycił Wokulskiego adwokata.

— Winszuję panu zupełnego triumfu — rzekł półgłosem. — Księżę formalnie zakochany w panu, obaj hrabiowie i baron toż samo... Oryginały to są, jak pan widział, ale ludzie dobrych chęci... Chcieliby coś robić, mają nawet rozum i ukształcenie, ale... energii brak!... Choroba woli, panie: cała klasa jest nią dotknięta... Wszystko mają: pieniądze, tytuły, poważanie, nawet powodzenie u kobiet, więc niczego nie pragną. Bez tej zaś sprężyny, panie Wokulski, muszą być narzędziem w ręku ludzi nowych i ambitnych... My, panie, my jeszcze wielu rzeczy pragniemy — dodał ciszej. — Ich szczęście, że trafili na nas...

Ponieważ Wokulski nie odpowiedział nic, więc adwokat począł uważać go za bardzo przebiegłego dyplomatę i żałował w duszy, że sam był zanadto szczery.

„Zresztą — myślał adwokat patrząc na Wokulskiego spod oka — choćby powtórzył księciu naszą rozmowę, cóż mi zrobi?... Powiem, że chciałem go wybadać...”

„O jakie on mnie ambicje posądza?...” — zapytywał się w duchu Wokulski.

Pożegnał księcia, obiecał przychodzić odtąd na wszystkie sesje i wyszedłszy na ulicę odesłał powóz do domu.

„Czego chce ode mnie ten pan Ochocki? — myślał podejrzliwie. — Naturalnie, że idzie mu o pannę Izabelę... Może ma zamiar odstraszyć mnie od niej?... Głupi... Jeżeli ona go kocha, nie potrzebuje tracić nawet słów; sam się usunę... Ale jeżeli go nie kocha, niech się strzeże usuwać mnie od niej... Zdaje się, że zrobię w życiu jedno kapitalne głupstwo, zapewne dla panny Izabeli. Bodajby nie padło na niego, szkoda chłopaka...”

W bramie rozległo się pośpieszne stąpanie; Wokulski odwrócił się i zobaczył Ochockiego.

— Pan czekał?... przepraszam!... — zawołał młody człowiek.

— Idziemy ku Łazienkom? — spytał Wokulski.

— Owszem.

Jakiś czas szli milcząc. Młody człowiek był zamyślony. Wokulski zirytowany.

Postanowił od razu chwycić byka za rogi.

— Pan jest bliskim kuzynem państwa Łęckich? — zapytał.

— Trochę — odpowiedział młody człowiek. — Matka moja była aż Łęcka — rzekł z ironią — ale ojciec tylko Ochocki. To bardzo osłabia związki rodzinne... Pana Tomasza, który jest dla mnie jakimś ciotecznym stryjem, nie znałbym do dziś dnia, gdyby nie stracił majątku.

— Panna Łęcka jest bardzo dystyngowaną osobą — rzekł Wokulski patrząc przed siebie.

— Dystyngowana?... — powtórzył Ochocki. — Powiedz pan: bogini!... Kiedy rozmawiam z nią, zdaje mi się, że potrafiłaby mi zapęlić całe życie. Przy niej jednej czuję spokój i zapominam o trapiącej mnie tęsknocie. Ale cóż!... Ja nie umiałbym siedzieć z nią cały dzień w salonie ani ona ze mną w laboratorium...

Wokulski stanął na ulicy.

— Pan zajmuje się fizyką czy chemią?... — spytał zdziwiony.

— Ach, czym ja się nie zajmuję!... — odparł Ochocki. — Fizyką, chemią i technologią... Przecież skończyłem wydział przyrodniczy w uniwersytecie³⁷¹ i mechaniczny

Pozycja społeczna

³⁷¹wydział przyrodniczy w uniwersytecie — warszawskim, przekształconym ze Szkoły Głównej (1869).

w politechnice³⁷²... Zajmuję się wszystkim; czytam i pracuję od rana do nocy, ale — nie robię nic. Udało mi się trochę ulepszyć mikroskop, zbudować jakiś nowy stos elektryczny³⁷³, jakąś tam lampę...

Wokulski zdumiewał się coraz więcej.

— Więc to pan jest tym Ochockim, wynalazcą?...

— Ja — odparł młody człowiek. — No, ale i cóż to znaczy?... Razem nic. Kiedy pomyślę, że w dwudziestym ósmym roku tylko tyle zrobiłem, ogarnia mnie desperacja. Mam ochotę albo porozbijać swoje laboratorium i utonąć w życiu salonowym, do którego mnie ciągną, albo — trzasnąć sobie w łeb... Ogniwo Ochockiego albo — lampa elektryczna Ochockiego... jakież to głupie!... Rwać się gdzieś od dzieciństwa i utknąć na lampie — to okropne... Dobiegać środka życia i nie znaleźć nawet śladu drogi, po której by się iść chciało — cóż to za rozpacz!...

Młody człowiek umilkł, a że byli w Ogrodzie Botanicznym³⁷⁴, więc zdjął kapelusz. Wokulski przypatrywał mu się z uwagą i zrobił nowe odkrycie. Młody człowiek, aczkolwiek wyglądał elegancko, nie był wcale elegantem; nawet nie zdawał się troszczyć o swoją powierzchowność. Miał rozrzucone włosy, nieco zsunięty krawat, u kamizelki guzik nie zapięty. Można było domyślać się, że ktoś bardzo starannie czuwa nad jego bielizną i garderobą, z którą jednak on sam postępuje niedbale, i właśnie to niedbalstwo, przejawiające się w dziwnie szlachetnych formach, nadawało mu oryginalny wdzięk. Każdy jego ruch był mimowolny, rozrzucony, lecz piękny. Równie piękny był sposób patrzenia, słuchania, a raczej niesłuchania, nawet — gubienia kapelusza.

Weszli na wzgórze, skąd widać studnię zwaną Okrągłakiem³⁷⁵. Ze wszystkich stron otaczali ich spacerujący, ale Ochocki nie krępował się ich obecnością i wskazawszy kapeluszem jedną z ławek, mówił:

— Dużo czytałem, że szczęśliwy jest człowiek, który ma wielkie aspiracje. To kłamstwo. Ja przecież mam niepowszednie pragnienia, które jednak robią mnie śmiesznym i zrażają do mnie najbliższych. Spójrzysz pan na tę ławkę... Tu, w początkach czerwca, koło dziesiątej wieczorem, siedzieliśmy z kuzynką i z panną Florentyną. Świecił jakiś księżyc i nawet jeszcze śpiewały słowiki. Byłem rozmarzony. Nagle kuzynka odzywa się: „Znasz, kuzynie, astronomię?” — „Trochę.” — „Więc powiedz mi, jaka to gwiazda?” — „Nie wiem — odpowiedziałem — ale to jest pewne, że nigdy nie dostaniemy się na nią. Człowiek jest przykuty do ziemi jak ostryga do skały...” W tej chwili — ciągnął dalej Ochocki — zbudziła się we mnie moja idea czy mój obłęd... Zapomniałem o pięknej kuzynce, a zacząłem myśleć o machinach latających. A ponieważ myślać muszę chodzić, więc wstałem z ławki i bez pożegnania opuściłem kuzynkę!... Na drugi dzień panna Flora nazwała mnie impertynentem, pan Łęcki oryginałem, a kuzynka przez tydzień nie chciała ze mną rozmawiać... I żebym jeszcze co wymyślił; ale nic, literalnie nic, choć byłbym przysiągł, że nim z tego pagórka zejść do studni, urodzi mi się w głowie przynajmniej ogólny szkic maszyny latającej... Prawda, jakie to głupie?...

„Więc oni tu przepędzają wieczory przy księżycu i śpiewie słowika?... — pomyślał Wokulski i poczuł straszny ból w sercu. — Panna Izabela już kocha się w Ochockim, a jeżeli się nie kocha, to tylko z winy jego dziwactw... No i ma słuszość... piękny człowiek i niezwykle...”

— Naturalnie — prawil dalej Ochocki — ani słówka nie wspomniałem o tym mojej ciotce, która, ile razy bodaj wpina mi jakąś szpilkę w odzienie, ma zwyczaj powtarzać: „Kochany Julku, staraj się podobać Izabeli, bo to żona akurat dla ciebie... Mądra i piękna; ona jedna wyleczyłaby cię z twoich przywidzeń...” A ja myślę: co to za żona dla mnie?... Gdyby chociaż mogła być moim pomocnikiem, jeszcze pół biedy... Ale gdzieżby ona dla laboratorium mogła opuścić salon!... Ma rację, to jej właściwe otoczenie; ptak potrzebuje

³⁷²politechnika — w Królestwie wówczas nie istniała.

³⁷³stos elektryczny — ogniwo elektryczne wytwarzające słaby prąd przez zamianę energii chemicznej na elektryczną.

³⁷⁴Ogród Botaniczny — w południowej części miasta, przy Al. Ujazdowskich, obok Łazienek; ogród do dziś zachował wygląd zgodny z opisem Prusa.

³⁷⁵studnia zwana Okrągłakiem — właściwie szczątki fundamentów świątyni Opatrzności założonych 3 maja 1792 r. Świątynia ta nie została zbudowana; miejsce to było jednak terenem spotkań młodzieży patriotycznej w rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Fundamenty i tablica pamiątkowa zachowały się do dziś w Ogrodzie Botanicznym.

powietrza, ryba wody... Ach, jaki piękny wieczór!... — dodał po chwili. — Jestem dziś podniecony jak rzadko. Ale... co panu jest, panie Wokulski?...

— Trochę zmęczyłem się — odparł głucho Wokulski. — Może byśmy siedli, choćby o! tu...

Usiedli na stoku wzgórza, na granicy Łazienek. Ochocki oparł brodę na kolanach i wpadł w zadumę, Wokulski przypatrywał mu się z uczuciem, w którym podziw mieszał się z nienawiścią.

„Głupi czy przebiegły?... Po co on mi to wszystko opowiada?” — myślał Wokulski.

Musiał jednak przyznać, że gadulstwo Ochockiego miało te same cechy szczerości i rozrzucenia, jak jego ruchy i cała wreszcie osoba. Spotkali się pierwszy raz i już Ochocki tak z nim rozmawiał, jak gdyby znali się od dzieci.

„Skończę z nim” — rzekł do siebie Wokulski i głęboko odetchnąwszy spytał głośno:

— Zatem żeni się pan, panie Ochocki?...

— Chybabym zwariował — mruknął młody człowiek wzruszając ramionami.

— Jak to?... Przecież kuzynka pańska podoba się panu?

— I nawet bardzo, ale to jeszcze nie wszystko. Ożeniłbym się z nią, gdybym miał pewność, że już nic w nauce nie zrobię...

W sercu Wokulskiego obok nienawiści i podziwu błysnęła radość. W tej chwili Ochocki przetarł czoło jak zbudzony ze snu i patrząc na Wokulskiego nagle rzekł:

— Ale, ale... Nawet zapomniałem, że mam ważny interes do pana...

„Czego on chce?...” — pomyślał Wokulski podziwiając w duszy mądre spojrzenie swego rywala i nagle zmianę tonu. Zdawało się, że przez jego usta przemówił inny człowiek.

— Chcę zadać panu pytanie... nie... dwa pytania, bardzo poufne, a może nawet drażliwe — mówił Ochocki. — Czy nie obrazi się pan?...

— Słucham — odparł Wokulski.

Gdyby stał na szafocie, nie doznałby tak strasznych wrażeń jak w tej chwili. Był pewny, że chodzi o pannę Izabelę i że w tym samym miejscu zdecydują się jego losy.

— Pan był przyrodnikiem? — spytał Ochocki.

— Tak.

— I w dodatku przyrodnikiem entuzjastą. Wiem, co pan przeszedł, od dawna szanuję pana z tego powodu... To za mało; powiem więcej... Od roku wspomnienie o trudnościach, z jakimi szamotał się pan, dodawało mi otuchy... Mówiłem sobie: zrobię przynajmniej to, co ten człowiek, a ponieważ nie mam takich przeszkód, więc — zajdę dalej od niego...

Wokulski słuchając myślał, że marzy albo że rozmawia z wariatem.

— Skąd pan to wie?... — spytał Ochockiego.

— Od doktora Szumana.

— Ach, od Szumana. Ale do czego to wszystko prowadzi?...

— Zaraz powiem — odparł Ochocki. — Byłeś pan przyrodnikiem entuzjastą i... w rezultacie rzuciłeś pan nauki przyrodnicze. Otóż, w którym roku życia osłabnął pański zapał w tym kierunku?...

Wokulski poczuł jakby uderzenie toporem w głowę. Pytanie było tak przykre i niespodziewane, że przez chwilę nie tylko nie umiał odpowiedzieć, ale nawet zebrać myśli.

Ochocki powtórzył, bystro przypatrując się swemu towarzyszowi.

— W którym roku?... — rzekł Wokulski. — W zeszłym roku... Dziś mam czterdziesty szósty rok...

— A zatem ja do kompletnego ochłodzenia się mam jeszcze przeszło piętnaście lat. To mi trochę dodaje odwagi... — rzekł jakby do siebie Ochocki.

I znowu po chwili dodał:

— To jedno pytanie, a teraz drugie, ale — nie obraż się pan. W którym roku życia zaczynają mężczyźni obojętnieć kobiety?...

Drugi cios. Był moment, że Wokulski chciał schwycić młodzieńca za gardło i udusić. Opamiętał się jednak i odparł ze słabym uśmiechem:

— Myślę, że one nigdy nie obojętnieją... Owszem, coraz wydają się droższymi...

— Żle! — szepnął Ochocki. — Ha, zobaczymy, kto mocniejszy.

Młodość, Nauka

Kobieta, Mężczyzna,
Zdrada, Idealista

— Kobiety, panie Ochocki.
— Jak dla kogo, panie — odpowiedział młody człowiek wpadając znowu w zamyślenie.

I zaczął mówić jakby do siebie.

— Kobiety, ważna rzecz. Kochałem się już, zaraz, ileż to?... Cztery... sześć... ze siedem, tak, siedem razy... Zabiera to dużo czasu i napędza desperackie myśli... Głupia rzecz, miłość... Poznajesz, kochasz, cierpisz... Potem jesteś znudzony albo zdradzony... Tak, dwa razy byłem znudzony, a pięć razy zdradzony... Potem znajdujesz nową kobietę, doskonalszą od innych — a potem ona robi to samo, co mniej doskonałe... Ach, jakież podły gatunek zwierząt te baby!... Bawią się nami, choć ograniczony ich mózg nawet nie jest w stanie nas pojąć... No, prawda, że i tygrys może bawić się człowiekiem... Podłe, ale miłe... Mniejsza o nie! A tymczasem gdy raz opanuje człowieka idea, już go nie opuszcza i nie zdradza nigdy...

Położył rękę na ramieniu Wokulskiego i patrząc mu w oczy jakimś rozstrzelonym i rozmarzonym wzrokiem spytał:

— Wszakże pan myślał kiedyś o machinach latających?... Nie o kierowaniu balonami, które są lżejsze od powietrza, bo to błazeństwo, ale — o locie maszyny ciężkiej, napęlnionej i obwarowanej jak pancernik?... Czy pan rozumie, jaki nastąpiłby przewrót w świecie po podobnym wynalazku?... Nie ma fortec, armii, granic... Znikają narody, lecz za to w nadziemskich budowlach przychodzą na świat istoty podobne do aniołów lub starożytnych bogów... Już ujarzmiliśmy wiatr, ciepło, światło, piorun... Czy więc nie sądzisz pan, że nadeszła pora nam samym wyzwolić się z oków ciężkości?... To idea leżąca dziś w duchu czasu... Inni już pracują nad nią; mnie ona dopiero nasyci, ale od stóp do głów... Co mnie ciotka z jej radami i prawidłami dobrego tonu!... Co mnie żeniaczka, kobiety, a nawet mikroskopy, stopy i lampy elektryczne?... Oszaleję albo... przypnę ludzkości skrzydła...

— A gdybyś pan je nawet przypiął, to co?... — spytał Wokulski.

— Sława, jakiej nie dosięgnął jeszcze żaden człowiek — odparł Ochocki. — To moja żona, to moja kobieta... Bądź pan zdrow, muszę iść...

Ucisnął Wokulskiemu rękę, zbiegł ze wzgórza i zniknął między drzewami.

Na Ogród Botaniczny i na Łazienki zapadał już mrok.

„Wariat czy geniusz?... — szepnął Wokulski czując, że sam jest w najwyższym stopniu rozstrojony. — A jeżeli geniusz?...”

Wstał i poszedł w głąb ogrodu, między spacerujących ludzi. Zdawało mu się, że nad pagórkami, z którego uciekł, unosi się jakaś święta groza.

W Ogrodzie Botanicznym było prawie ciasno; na każdej ulicy tłoczyły się kolumny, gromady, a przynajmniej szeregi spacerujących; każda ławka ugięta się pod ciżbą osób. Zastępowano Wokulskiemu drogę, deptano po piętach, potrącano łokciami; rozmawiano i śmiano się ze wszystkich stron. Wzdłuż Alei Ujazdowskiej, pod murem Belwederskiego ogrodu, pod sztachetami od strony szpitala, na ulicach najmniej uczęszczanych, nawet na zagrodzonych ścieżkach, wszędzie było pełno i wesoło. Im więcej ciemniało w naturze, tym gęściej i hałaśliwiej robiło się między ludźmi.

„Zaczyna mi już braknąć miejsca na świecie!...” — szepnął.

Przeszedł do Łazienek i tu znalazł spokojniejsze ustronie. Na niebie zaiskrzyło się kilka gwiazd, przez powietrze, od Alei, ciągnął szmer przechodniów, a od stawu wilgoć. Czasem nad głową przeleciał mu huczny chrabąszcz albo cicho przemknął nietoperz; w głębi parku kwilił żałośnie jakiś ptak, na próżno wzywający towarzysza; na stawie rozlegał się daleki plusk wiosel i śmiechy młodych kobiet.

Naprzeciw zobaczył parę ludzi pochylonych ku sobie i szepczących. Ustąpili mu z drogi i ukryli się w cieniu drzew. Opanował go żal i szyderstwo.

„Oto są szczęśliwi zakochani! — pomyślał. — Szepczą i uciekają jak złodzieje... Pięknie urządzone świat, co?... Ciekawym, o ile byłoby lepiej, gdyby władał nim Lucyper?... A gdyby mi zastąpił drogę jaki bandyta i zabił w tym kącie?...”

I wyobrażał sobie, jaki to przyjemny musi być chłód noża wbitego w rozgorączkowane serce.

„Na nieszczęście — westchnął — dziś nie wolno zabijać innych, tylko siebie można; byle od razu i dobrze. No!...”

Idealista, Marzenie, Miłość,
Sława

Miłość, Samobójstwo

Wspomnienie o tak niezawodnym środku ucieczki uspokoiło go. Stopniowo pograżał się w jakimś uroczystym nastroju; zdawało mu się, że nadchodzi moment, w którym powinien zrobić rachunek sumienia czy też ogólny bilans życia.

„Gdybym był najwyższym sędzią — myślał — i gdyby spytano mnie, kto jest wart panny Izabeli: Ochocki czy Wokulski, musiałbym przyznać, że — Ochocki... O osiemnaście lat młodszy ode mnie (osiemnaście lat!...) i taki piękny... W dwudziestym ósmym roku życia skończył dwa fakultety (ja w tym wieku ledwie zaczynałem się uczyć...) i już zrobił trzy wynalazki (ja żadnego!) A nad to wszystko jest naczyniem, w którym wylega się wielka idea... Dziwaczna to rzecz: machina latająca, ale faktem jest, że on znalazł dla niej genialny i jedynie możliwy punkt wyjścia. Machina latająca musi być cięższa, nie zaś jak balon lżejsza od powietrza; boć wszystko, co prawidłowo lata, począwszy od muchy, skończywszy na olbrzymim sępie, jest od powietrza cięższe. Ma prawdziwy punkt wyjścia, ma twórczy umysł, czego dowiódł bodajby swoim mikroskopem i lampą; któż wie, zatem, czy nie uda mu się zbudować maszyny latającej? A w takim razie będzie większym dla ludzkości od Newtona i Napoleona razem wziętych... I ja mam z nim współzawodniczyć?... A jeżeli stanie kiedy kwestia: który z nas dwu powinien się usunąć, czyliż będę się wahał?... Cóż to za piekło powiedzieć sobie, że muszę moją nicosć złożyć na ofiarę człowiekowi ostatecznie takiemu jak ja, śmiertelnemu, ulegającemu chorobom i omyłkom, a nade wszystko — tak naiwnemu... Boć to jeszcze dzieciak, co on mi nie wygadywał?...”

Dziwny traf. Gdy Wokulski był subiektem w sklepie kolonialnym, marzył o *perpetuum mobile*³⁷⁶, maszynie, która by się sama poruszała. Gdy zaś wstąpiwszy do Szkoły Przygotowawczej poznał, że taka machina jest niedorzecznością, wówczas najtajniejszym i najulubieńszym jego pragnieniem było — wynaleźć sposób kierowania balonami. To, co dla Wokulskiego było tylko fantastycznym cieniem, blakającym się po fałszywych drogach, w Ochockim przybrało już formę praktycznego zagadnienia.

„Cóż to za okrucieństwo losów! — myślał z goryczą. — Dwom ludziom dano prawie te same aspiracje, tylko jeden urodził się o osiemnaście lat wcześniej, drugi później; jeden w nędzy, drugi w dostatku; jeden nie mógł wdrapać się na pierwsze piętro wiedzy, drugi lekkim krokiem przeszedł dwa piętra... Jego nie zepchną z drogi burze polityczne, tak jak mnie; jemu nie przeszkodzi miłość, którą traktuje jak zabawkę; podczas gdy dla mnie, który sześć lat spędziłem na pustyni, uczucie to jest niebem i zbawieniem... Więcej nawet!... No i on triumfuje nade mną na każdym polu, choć przecież ja mam te same uczucia, tę samą świadomość położenia, a pracę z pewnością większą...”

Wokulski dobrze znał ludzi i często porównywał się z nimi. Lecz gdziekolwiek był, wszędzie widział się trochę lepszym od innych. Czy jako subiekt, który spędzał noce nad książką, czy jako student, który przez nędzę szedł do wiedzy, czy jako żołnierz pod deszczem kul, czy jako wygnaniec, który w śniegu zasypanej lepiance pracował nad nauką — zawsze miał w duszy ideę sięgającą poza kilka lat naprzód. Inni żyli z dnia na dzień, dla swego żołądka albo kieszeni.

I dopiero dziś spotkał człowieka wyższego od siebie, wariata, który chce budować maszyny latające!...

„A ja czy dzisiaj nie mam idei, dla której pracuję przeszło rok, zdobyłem majątek, pomagam ludziom i zmuszam ich do szacunku?...”

„Tak, ale miłość to uczucie osobiste; wszystkie zasługi towarzyszące jej są jak ryby zaplątane w odmet morskiego cyklonu. Gdyby na świecie zniknęła jedna kobieta, a w tobie pamięć o niej, czymże byś został?... Zwyczajnym kapitalistą, który z nudów grywa w karty w resursie. A tymczasem Ochocki ma ideę, która będzie rwała go zawsze naprzód, chyba że umysł mu zagaśnie...”

„Dobrze, a jeżeli on nic nie robi i zamiast zbudować maszynę latającą pójdzie do szpitala wariatów?... Ja tymczasem faktycznie coś zrobię, a mikroskop, stos czy nawet lampka elektryczna z pewnością nie znaczą więcej od setek ludzi, którym ja daję byt. Skądże więc we mnie ta ultrachrześcijańska pokora?... Co kto robi, jeszcze nie wiadomo. Ja tymczasem jestem dziś człowiek czynu, a on marzyciel... Zaczekajmy z rok...”

³⁷⁶*perpetuum mobile* (łac: wiecznie będące w ruchu) — maszyna, która wbrew zasadom fizyki byłaby w wiecznym ruchu bez zasilania jej nową energią; przedmiot bezowocnych wysiłków wielu wynalazców.

Pozycja społeczna, Praca

Miłość

Rok! Wokulski wstrząsnął się. Zdawało mu się, że w końcu drogi nazwanej rokiem widzi tylko niezmierną otchłań, która pochłania wszystko, ale nie mieści w sobie nic...

„Więc nic... nic!...”

Instynktownie rozejrzał się. Był w głębi łażeniowskiego parku, na jakiejś ulicy, do której żaden szmer nie dolatywał. Nawet gęstwina ogromnych drzew stała cicho.

— Która godzina? — zapytał go nagle jakiś głos zachrypnięty.

— Godzina?...

Wokulski przetarł oczy. Przed nim, z mroku, wynurzył się obdarty człowiek.

— Kiedy grzecznie pytają, to grzecznie trzeba odpowiadać — rzekł człowiek i podszedł bliżej.

— Zabij mnie, to sam zobaczysz — odparł Wokulski.

Obdarty człowiek cofnął się. Na lewo od drogi widać było parę ludzkich cieni.

— Głupcy! — zawołał Wokulski idąc naprzód — mam złoty zegarek i kilkaset rubli gotówką... Bronić się nie będę, no!...

Cienie usunęły się między drzewa i któryś rzekł zniżonym głosem:

— Taki to, psiakrew, zejdzie³⁷⁷, gdzie go nie posieją...

— Bydlęta!... tchórze!... — krzyczał Wokulski prawie nieprzytomny.

Odpowiedział mu tętent uciekających.

Wokulski zebrał myśli.

„Gdzie ja jestem?... Jużci, w Łazienkach, ale w którym miejscu?... Trzeba iść w drugą stronę...”

Obrócił się parę razy i już nie wiedział, dokąd idzie. Serce zaczęło mu bić gwałtownie, zimny pot wystąpił na czoło, pierwszy raz w życiu uczuł obawę nocy i zbłąkania...

Przez parę minut biegł bez celu, prawie bez tchu; dzikie myśli wirowały mu w głowie. Wreszcie na lewo zobaczył mur, a dalej budynek.

„Aha, Pomarańczarnia³⁷⁸...”

Potem doszedł do jakiegoś mostka, odpoczął i oparłszy się na barierze myślał:

„Więc do tego doszedłem?... Niebezpieczny rywal... rozbite nerwy... Zdaje mi się, że już dziś mógłbym napisać ostatni akt tej komedii!...”

Prosta droga doprowadziła go do stawu, później do łażeniowskiego pałacu. We dwadzieścia minut był w Alejach Ujazdowskich i siadł w przejeżdżającą dorożkę; w kwadrans później znalazł się we własnym mieszkaniu.

Na widok światła i ulicznego ruchu odzyskał wesołość; nawet uśmiechał się i szeptał:

„Cóż znowu za przywidzenia?... Jakiś Ochocki... samobójstwo!... Ach, głupota... Do stałem się przecież między arystokrację, a co będzie dalej — zobaczymy...”

Gdy wszedł do gabinetu, służący oddał mu list pisany na jego własnym papierze przez panią Meliton.

— Ta pani była tu dziś dwa razy³⁷⁹ — rzekł wierny sługa. — Raż o piąty, drugi raz o ósmy...

XII. WĘDRÓWKI ZA CUDZYMI INTERESAMI

Wokulski powoli otwierał list pani Meliton przypominając sobie niedawne wypadki. Zdawało się mu, że w nie oświetlonej części gabinetu jeszcze widzi ciemną gęstwinę łażeniowskich drzew, niewyraźne sylwetki obdartusów, którzy mu zastąpili drogę, a później wzgórek ze studnią, gdzie Ochocki zwierzał mu się ze swych pomysłów. Lecz gdy spojrzał na światło, mgliste obrazy znikły. Widział lampę z zielonym daszkiem, stos papierów, brązy stojące na biurku i chwilami myślał, że Ochocki ze swymi machinami latającymi i jego własna rozpacz były tylko snem.

„Co on za geniusz? — mówił do siebie Wokulski — to zwyczajny marzyciel!... I panna Izabela taka sama kobieta jak inne... Wyjdzie za mnie — dobrze; nie wyjdzie — to przecież nie umrę.”

³⁷⁷zejdzie — tu: wszędzie.

³⁷⁸Pomarańczarnia — mowa tu o Pomarańczarni Nowej, zbudowanej w latach 1869–1870, zawierającej wiele odmian drzew pomarańczowych przeplacowanych wtedy z ogrodu w Nieborowie.

³⁷⁹dwa razy — służący Wokulskiego w obawie przed gwarowym mazurzeniem „szadzi”, tj. wymawia sz, ż, cz, zamiast s, z, c.

Rozłożył list i czytał:

„Panie! Ważna wiadomość: za kilka dni Łęckim sprzedają kamienicę, a jedynym kupcem będzie baronowa Krzeszowska, ich kuzynka i nieprzyjaciółka. Wiem z pewnością, że zapłaci za dom tylko sześćdziesiąt tysięcy rubli; a w takim razie resztkę posagu panny Izabeli, w kwocie trzydziestu tysięcy rubli, przepadnie. Chwila jest bardzo pomyślna, gdyż panna Izabela, postawiona między biedą, a wyjściem za marszałka, chętnie zgodzi się na każdą inną kombinację. Domyślam się, że tym razem nie postąpisz Pan z nastroczającą się okazją jak z weksłami Łęckiego, które podarłeś w moich oczach. Pamiętaj Pan: kobiety tak lubią być ściskane, że dla spotęgowania efektu trzeba je niekiedy przydeptać nogą. Im zrobisz Pan to bezwzględniej, tym pewniej cię pokocha. Pamiętaj Pan!...

Zresztą możesz Pan sprawić Beli małą przyjemność. Baron Krzeszowski przyciśnięty potrzebą sprzedać własnej żonie swoją ulubioną klacz, która w tych dniach ma się ścigać i na którą wiele rachował. O ile znam stosunki, Bela byłaby szczerze kontenta, gdyby ani baron, ani jego żona nie posiadali tej klaczy w dniu wyścigów. Baron byłby zawstydzony, że sprzedał klacz, a baronowa zrozpaczona, gdyby klacz wygrawszy komu innemu przyniosła zysk. Bardzo subtelne są te wielkoświatowe komeraże³⁸⁰, ale spróbuj je Pan zużytkować. Okazja zaś nastrocza się, gdyż, o ilem słyszała, niejaki Maruszewicz, przyjaciel obojga Krzeszowskich, ma Panu zaproponować kupno tej klaczy. Pamiętaj Pan, że kobiety są niewolnicami tylko tych, którzy potrafią je mocno trzymać i dogadzać ich kaprysom.

Doprawdy, zaczynam wierzyć, że urodziłeś się Pan pod szczęśliwą gwiazdą. Szczerze życzliwa.

A. M.”

Wokulski głęboko odetchnął; obie wiadomości były ważne. Drugi raz przeczytał list podziwiając szorstki styl pani Meliton i uśmiechając się przy uwagach, jakie robiła nad swoją płcią. Mocno trzymać ludzi czy okoliczności to leżało w naturze Wokulskiego; wszystko i wszystkich chwytalby za kark, wyjąwszy — pannę Izabelę. Ona jedna była istotą, której wobec siebie chciał zostawić absolutną wolność, jeżeli nie panowanie.

Mimo woli spojrzął na bok; służący stał przy drzwiach.

— Idź spać — rzekł.

— Żaraż pójdę, tylko był tu jeszcze pan — odparł służący.

— Jaki pan?

— Żosztawił bilet, leży na biurku.

Na biurku leżał bilet Maruszewicza.

— Aha!... Cóż ten pan mówił?

— On niby, żeby tak, to nicz nie mówił. Tylko pytał się: kiedy pan jeszt w domu? A ja powiedziałem: koło dziesiąty z rana, i wtedy on powiedział, że przyjdzie jutro o dziesiąty, ino na minutkę.

— Dobrze, dobranoc ci!

— Upadam do nóg, proszę łaski pana.

Służący wyszedł, Wokulski czuł się zupełnie otrzeźwiony. Ochocki i jego latające maszyny zmalowały mu w oczach. Miał znowu energię jak wówczas, kiedy wyjeżdżał do Bułgarii. Wtedy siedł po majątek, a dziś ma okazję rzucić jego część dla panny Izabeli. Kłuły go wyrazy listu pani Meliton: „postawiona między biedą i wyjściem za marszałka...” Otóż ona nigdy nie znajdzie się w tym położeniu... A wydzwignie ją nie jakiś tam Ochocki, za pomocą swojej maszyny, ale on... Czuł w sobie taką siłę, iż gdyby w tej chwili sufit z dwoma piętrami spadł mu na głowę, chyba utrzymałby go.

Wydobył z biurka swój notatnik i począł rachować:

„Klacz wyścigowa — głupstwo... Wydam najwyżej tysiąc rubli, z których wróci się przynajmniej część... Dom rs. 60 000, posag panny Izabeli rs. 30 000, razem rs. 90 000. Bagatela... prawie trzecia część mego majątku... W każdym razie za dom wróci mi się ze 60 000 albo i więcej... No!... trzeba skłonić Łęckiego, ażeby te 30 000 mnie powierzył; będę mu płacił 5000 rubli rocznie jako dywidendę³⁸¹... Chyba im wystarczy?... Konia oddam berejterowi³⁸², niech on zajmie się puszczaniem go na wyścigi... O dziesiątej będzie u mnie

Handel, Kobieta, Miłość

Kobieta

Koń

Kobieta

Kobieta, Władza

Sługa

Handel

³⁸⁰komeraże — plotki, intrygi.

³⁸¹dywidenda — zysk.

³⁸²berejter — ujeżdżacz koni.

Maruszewicz, o jedenastej pojedę do adwokata... Pieniądze dostanę na ósmy procent — 7200 rubli rocznie; a że mam na pewno piętnaście procent... No i dom coś przynosi... A co powiedzą moi współnicy?... Ach, dużo mnie to obchodzi!... Mam 45 000 rubli rocznie, ubędzie 12–13 000 rubli, zostanie 32 000 rubli... Żona moja nudzić by się nie powinna... W ciągu roku wycofam się z tej kamienicy, choćby ze stratą 30 000 rubli... Wreszcie to nie jest strata, to jej posag...”

Północ. Wokulski zaczął się rozbierać. Pod wpływem jasno określonego celu uspokoiły się rozstrojone nerwy. Zgasił światło, położył się i patrząc na firanki, którymi bujał wiatr wpadający przez otwarte okno, zasnął jak kamień.

Wstał o siódmej rano tak rześki i wesoły, że zwróciło to uwagę służącego, który zaczął kręcić się po pokoju.

— Czegóż to chcesz? — zapytał Wokulski.

— Ja nic. Ino, proszę pana, stróż chce, ale nie śmi prosić, żeby pan pofatygował się i potrzymał mu dziecko do krztu.

— A a a!... A pytał się, czy ja chcę, żeby on miał dziecko?

— Nie pytał się, bo pan był wtedy na wojnie.

— No dobrze. Będę jego kumem.

— To może by mnie pan teraz podarował sztary szurdut, bo jakże ja będę na krzcinach?

— Dobrze, weź ten surdut.

— A reperacyja?...

— O, głupi jesteś, nie nudź mnie... Każ zreperować, choć nie wiem co...

— Bo ja chciałbym, proszę pana, aksamitny kołmirz.

— Przyszyj sobie aksamitny kołnierz i idź do diabła.

— Czalkiem beż potrzeby gniewa się pan, bo przecie to dla pańskiego honoru, nie dla mego — odparł służący i wychodząc trzasnął drzwiami.

Czuł, że jego pan jest w wyjątkowo dobrym usposobieniu.

Ubrawszy się Wokulski usiadł do rachunków pijąc przy tym czystą herbatę. Po ukończeniu ich napisał depeszę do Moskwy o asygnację³⁸³ na sto tysięcy rubli i drugą do ajenta w Wiedniu, ażeby wstrzymał pewne obstalunki.

Na kilka minut przed dziesiątą wszedł Maruszewicz. Młody człowiek wydawał się jeszcze bardziej zniszczonym i onieśmiałym aniżeli wczoraj.

— Pozwoli pan — odezwał się Maruszewicz po kilku słowach powitania — że od razu położę karty na stół... Chodzi o oryginalną propozycję...

— Słucham najoryginalniejszej...

— Pani baronowa Krzeszowska (jestem przyjacielem obojga baronostwa) — mówił zniszczony młodzieniec — pragnie zbyć klacz wyścigową. Zaraz pomyślałem, że pan przy swoich stosunkach może życzyłby sobie posiadać podobnego konia... Jest ogromna szansa wygranej, gdyż biegają prócz niej w wyścigu tylko dwa konie, znacznie słabsze...

— Dlaczego pani baronowa sama nie puszcza tej klaczy?

— Ona?... Ona jest śmiertelną nieprzyjaciółką wyścigów!

— Po cóż więc kupiła klacz wyścigową?

— Dla dwu przyczyn — odparł młody człowiek. — Naprzód baron, potrzebując pieniędzy na pokrycie długu honorowego³⁸⁴, oświadczył, że zastrzeli się, jeżeli nie dostanie ośmiuset rubli, choćby za swoją ukochaną klacz, a po wtóre, baronowa nie życzy sobie, aby jej mąż przyjmował udział w wyścigach. Więc kupiła klacz, ale dziś biedaczka choruje ze wstydu i rozpaczy i chciałaby pozbyć się jej za jakąkolwiek bądź cenę.

— Mianowicie?

— Ośmiuset rubli — odparł młody człowiek, spuszczając oczy.

— Gdzie jest koń?

— W maneżu³⁸⁵ Millera.

— A dokumenta?

— Oto są — odpowiedział już weselej młody człowiek wydobywając paczkę papierów z bocznej kieszeni surduta.

³⁸³asygnacja — tu: piśmienne zlecenie, upoważniające do podjęcia pieniędzy.

³⁸⁴dług honorowy — w ówczesnej obyczajowości szlacheckiej: dług wynikający z przegranej w karty.

³⁸⁵maneż — ujeżdżalnia.

Sługa, Honor

Handel, Koń

- Możemy zaraz skończyć? — spytał Wokulski przeglądając papiery.
- Natychmiast.
- Po obiedzie pójdziemy obejrzeć konia?
- O, naturalnie...
- Niech pan pisze kwit — rzekł Wokulski i wydobyl pieniądze z biurka.
- Na osiemset?... naturalnie!... — mówił młody człowiek.

Szybko wziął papier i pióro i zaczął pisać. Wokulski zauważył, że młodzieńcowi trochę drżały ręce i twarz mu się mieniła.

Kwit był napisany według wszelkich form. Wokulski położył osiem sturubłówek i schował papiery. W chwilę później młody człowiek, ciągle zmieszany, opuścił gabinet; zbiegając zaś ze schodów, myślał:

„Podły jestem, tak, podły... Ale ostatecznie za kilka dni zwrócę babie dwieście rubli i powiem, że dołożył je Wokulski poznawszy bliżej zalety konia. Oni przecież nie zetkną się, ani baron z żoną, ani ten... kupczyk z nimi... Kwit kazał sobie pisać... wyborny!... Jak to znać geszefciarza³⁸⁶ i parweniusza... O! strasznie jestem ukarany za moją lekkomyślność...”

O jedynastej Wokulski wyszedł na ulicę z zamiarem udania się do adwokata.

Ledwie jednak stanął przed bramą, wnet trzej dorożkarze na widok jasnego paltota i białego kapelusza współcześnie zacięli konie. Jeden wjechał drugiemu dyszlem w otwarty powóz, trzeci zaś chcąc ich wyminąć o mało nie rozbił tragarza niosącego ciężką szafę. Wszczął się hałas, bitwa na bity, świstanie policjantów, zbiegowisko i w rezultacie — dwaj najgorętsi dorożkarze sami siebie własnymi powozami odwieźli do cyrkułu.

„Zła wróżba — pomyślał Wokulski i nagle uderzył się w czoło. — Pyszny interes! — mówił w sobie — idę do adwokata, ażeby mi kupił dom a nie wiem, ani jak dom wygląda, ani nawet gdzie leży.”

Wrócił na powrót do swego mieszkania i w kapeluszu na głowie, z laską pod pachą, począł przerzucać kalendarz. Szczęściem słyszał, że dom Łęckich³⁸⁷ znajduje się gdzieś w okolicach Alei Jerozolimskiej; pomimo to upłynęło kilka minut, nim odszukał ulicę i numer.

„Ładnie bym się zarekomendował adwokatowi! — myślał schodząc ze schodów. — Jednego dnia namawiam ludzi, aby mi powierzyli kapitały, a drugiego kupuję kota w worku. Naturalnie, że od razu skompromitowałbym albo siebie, albo... pannę Izabelę.”

Skoczył w przejeżdżającą dorożkę i kazał skrócić ku Alei Jerozolimskiej. Na rogu wysiadł i poszedł piechotą w jedną z poprzecznych ulic.

Dzień był piękny, niebo prawie bez obłoku, bruk bez kurzu. Okna domów pootwierane, niektóre dopiero myto; figlarny wiatr miotał spódnice pokójówek, przy czym można było spostrzec, że warszawska służba łatwiej odważa się myć okna na trzecim piętrze aniżeli własne nogi. Z wielu mieszkań odzywały się fortepiany, z wielu podwórek katarynki albo monotonne nawoływania piaskarzy, szczotkarzy, tandeciarzy i im podobnych przedsiębiorców. Tu i owdzie pod bramą ziewał stróż odziany w niebieską bluzę; kilka psów goniło się po ulicy, którą nikt nie przejeżdżał; małe dzieci bawiły się odzieniem kory z młodych kasztanów, którym jeszcze nie zdążyły pociemnieć jasnozielone liście.

W ogóle ulica przedstawiała się czysto, spokojnie i wesoło. Na drugim jej końcu widać nawet było odrobinę horyzontu i kępę drzew; lecz wiejski ten pejzaż, nieestosowny dla Warszawy, zasłaniany teraz rusztowaniami i ścianą z cegły.

Idąc prawym chodnikiem dostrzegł Wokulski na lewo, mniej więcej w połowie ulicy, dom niezwykle żółtej barwy. Warszawa posiada bardzo wiele żółtych domów; jest to chyba najżółciejsze miasto pod słońcem. Ta jednak kamienica wydawała się żółciejszą od innych i na wystawie przedmiotów żółtych (jakiej zapewne doczekamy się kiedyś) otrzymałaby pierwszą nagrodę.

Miasto, Warszawa

Wiosna

Sługa

³⁸⁶geszefciarz — pogardliwie: człowiek ustawicznie goniący za zyskownymi, a nie zawsze uczciwymi interesami.

³⁸⁷dom Łęckich — wg S. Godlewskiego prawdopodobnie opisuje tu Prus dom, przy ul. Kruczej 26, który podobnie jak prawie cała ulica uległ zniszczeniu w czasie powstania warszawskiego. Na odbudowanej obecnie ulicy Kruczej mieszczą się głównie gmachy urzędów i instytucji.

Podszedłszy bliżej Wokulski przekonał się, że nie tylko on zwrócił uwagę na szczególną kamienicę; nawet psy, częściej tu niż na jakimkolwiek innym murze, składały wizytowe bilety.

„Do licha! — szepnął — zdaje mi się, że to właśnie jest ów dom...”

Istotnie, była to kamienica Łęckich.

Zaczął się przypatrywać. Dom był trzypiętrowy; miał parę żelaznych balkonów i każde piętro zbudowane w innym stylu. Za to w architekturze bramy panował tylko jeden motyw, mianowicie: wachlarz. Górna część wrót miała formę rozłożonego wachlarza, którym mogłaby się chłodzić przedpotopowa olbrzymka. Na obu skrzydłach bramy były wyrzeźbione ogromne prostokąty, które w rogach również ozdobiono do połowy otwartymi wachlarzami. Najcenniejszym jednak upiększeniem bramy były umieszczone w posrodku jej skrzydeł dwie rzeźby przedstawiające główki gwoździ, ale tak wielkich, jakby nimi była przytwierdzona brama do kamienicy, a kamienica do Warszawy.

Prawdziwą osobiwość stanowiła sień wjazdowa posiadająca bardzo lichą podłogę, ale za to bardzo ładne krajobrazy na ścianach. Było tam tyle wzgórz, lasów, skał i potoków, że mieszkańcy domu śmiało mogli nie wyjeżdżać na letnie mieszkania.

Podwórko, otoczone ze wszystkich stron trzypiętrowymi oficynami, wyglądało jak dno obszernej studni, napełnionej wonnym powietrzem. W każdym rogu były drzwi, a w jednym aż dwoje drzwi; pod oknem mieszkania stróża znajdował się śmietnik i wodociąg. Wokulski mimochodem spojrzął w klatkę głównych schodów, do których prowadziły szklane drzwi. Schody zdawały się być mocno brudnymi; za to obok znajdowała się nisza, a w niej — nimfa z dzbankiem nad głową i utraconym nosem. Ponieważ dzbanek miał zabarwienie amarantowe, twarz nimfy żółte, piersi zielone, a nogi niebieskie, można było odgadnąć, że nimfa stoi naprzeciw okna posiadającego kolorowe szyby.

„No, tak!...” — mruknął Wokulski tonem, który nie zdradzał zbyt wielkiego zachwyty.

W tej chwili z prawej oficyny wyszła piękna kobieta z małą dziewczynką.

— Teraz, proszę mamy, pójdziemy do ogrodu? — pytało dziecko.

— Nie, kochanie. Teraz pójdziemy do sklepu, a do ogrodu po obiedzie — odpowiedziała pani bardzo przyjemnym głosem.

Była to wysoka szatynka z szarymi oczami, o klasycznych rysach³⁸⁸. Spojrzeli na siebie oboje z Wokulskim i — dama zarumieniła się.

„Skąd ja ją znam?” — pomyślał Wokulski wychodząc z bramy na ulicę.

Dama obejrzała się, lecz spostrzegłszy go odwróciła głowę.

„Tak — myślał — widziałem ją w kwietniu na grobach, a później w sklepie. Nawet Rzecki zwracał mi na nią uwagę i mówił, że ma śliczne nogi. Istotnie ładne.”

Cofnął się znowu w bramę i począł czytać spis mieszkańców.

„Co?... Baronowa Krzeszowska na drugim piętrze!... Co?... co?... Maruszewicz w lewej oficynie na pierwszym?, Szczególny zbieg okoliczności. Trzecie piętro od frontu studenci... Ale kto może być ta piękność? Prawa oficyna, pierwsze piętro — Jadwiga Misiiewicz, emerytka, i Helena Stawska z córeczką. Z pewnością ona.”

Wszedł na podwórko i oglądał się. Prawie wszystkie okna były otwarte. W tylnej oficynie na dole była pralnia zatytułowana paryską; na trzecim piętrze było słychać kucie szewskiego młotka, poniżej na gziemie gruchało parę gołębi, a na drugim piętrze tej samej oficyny od kilku minut rozlegały się miarowe dźwięki fortepianu i krzykliwy sopran śpiewający gamę:

— A!... a!... a!... a!... a!... a!... a!...

Wysoko nad sobą, na trzecim piętrze, Wokulski usłyszał silny bas męski, który mówił:

— O! znowu zażyła kussiny³⁸⁹... Już z niej wyłazi soliter... Marysiu!... chodź no do nas...

Jednocześnie z okna na drugim piętrze wychyliła się głowa kobiety wołającej:

— Marysiu!... wracaj mi zaraz do domu... Marysiu!...

„Słowo daję, że to pani Krzeszowska” — szepnął Wokulski.

Dom, Miasto

Dziecko, Matka

Dom, Miasto

³⁸⁸klasyczne rysy — rysy idealnej piękności według starożytnych wzorów greckich.

³⁸⁹kussina — lekarstwo na tasiecmc wyrabiane ze sproszkowanych kwiatów krzewu kusso.

W tej chwili usłyszał charakterystyczny szelest: z trzeciego piętra padł strumień wody, trafił na wychyloną głowę pani Krzeszowskiej i rozprysnął się po podwórku.

— Marysiu!... chodź do nas... — wołał bas.

— Nikczemnicy!... — odpowiedziała pani Krzeszowska odwracając twarz w górę.

Nowy strumień wody lunął z trzeciego piętra i zatamował jej mowę. Zarazem wychylił się stamtąd młody człowiek z czarnym zarostem i zobaczywszy cofającą się fizjognomię pani Krzeszowskiej zawołał pięknym basem:

— Ach, to pani dobrodziejka!... Bardzo przepraszam...

Odpowiedział mu z mieszkania pani Krzeszowskiej spazmatyczny płacz niewieści:

— O, ja nieszczęśliwa!... Przysięgnę, że to on, nikczemnik, nasadził na mnie tych bandytów... Wywdzięcza mi się, że go wydobyła z nędzy!... Żem kupiła jego konia!...

Tymczasem na dole praczki prały bieliznę, na trzecim piętrze szewc kuł, a na drugim w tylnej oficynie dźwięczał fortepian i rozlegała się wrzaskliwa gama:

— A!... a!... a!... a!... a!... a!... a!... a!...

„Wesoły dom, nie ma co...” — szepnął Wokulski otrzepując krople wody, które mu spadły na rękaw.

Wyszedł z podwórza na ulicę i jeszcze raz obejrzawszy nieruchomość, której miał zostać panem, skrzył w Aleję Jerozolimską. Tu wziął dorożkę i pojechał do adwokata.

W przedpokoju adwokata zastał paru obdartych Żydków i starą kobietę w chustce na głowie. Przez otwarte drzwi na lewo widać było szafy zapełnione aktami, trzech dependentów³⁹⁰ szybko piszących i kilku gości z waszecia³⁹¹, z których jeden miał fizjognomię kryminalną, a reszta bardzo znudzone.

Stary lokaj z siwymi wąsami i podejrzliwym wejrzeniem zdjął z Wokulskiego palto i zapytał:

— Wielmożny pan na dłuższy interes?

— Na krótszy.

Wprowadził Wokulskiego do sali na prawo.

— Jak mam zameldować?

Wokulski podał bilet i został sam. W sali były sprzęty kryte amarantowym utrechtem jak w wagonach pierwszej klasy — kilka ozdobnych szaf z pięknie oprawnymi książkami, które tak wyglądały, jakby ich nigdy nie czytano — na stole zaś parę ilustracji i albumów, które zdaje się, oglądali wszyscy. W jednym rogu sali stał gipsowy posąg bogini Temidy³⁹² z mosiężnymi wagami i brudnymi kolanami.

— Pan mecenas prosi!... — odezwał się służący przez uchylone drzwi.

Gabinet znakomitego adwokata miał sprzęty kryte brązową skórą, w oknach brązowego koloru firanki, a na ściennych obiciach brązowe desenie. Sam gospodarz odziany był w brązowy surdut i trzymał w ręku bardzo długi cybuch, u góry zakończony funtowym bursztynem i piórkiem.

— Byłem pewny, że dziś powitam szanownego pana u siebie — rzekł adwokat podsuwając Wokulskiemu fotel na kółkach i prostując nogą dywan, który się nieco zmarszczył. — Jednym wyrazem — ciągnął adwokat — możemy rachować na jakieś trzysta tysięcy rubli udziałów w naszej spółce. A że do rejenta pójdziemy jak najrychlej i gotówkę ściągniemy co do grosza, w tym może pan rachować na mnie...

Wszystko to mówił akcentując ważniejsze wyrazy, ścisnął Wokulskiego za rękę i obserwowował go spod oka.

— A tak... spółka!... — powtórzył Wokulski usiadłszy na fotelu. — To rzecz tych panów, ile zbiorą gotówki.

— No, zawsze kapitał... — wtrącił adwokat.

— Mam go bez spółki.

— Dowód zaufania...

— Wystarczy mi własne.

Adwokat umilkł i pośpiesznie zaczął ssać dym z piórka.

— Mam prośbę do mecenasa — rzekł po chwili Wokulski.

³⁹⁰*dependent* — praktykant u adwokata lub notariusza.

³⁹¹*z waszecia* — zaściankowo lub drobnomieszczańsko

³⁹²Temida — w mitologii greckiej boginii sprawiedliwości.

Adwokat utopił w nim spojrzenie pragnąc odgadnąć: co to za prośba? Od natury jej bowiem zależał sposób słuchania. Widocznie jednak nie odkrył nic groźnego, gdyż jego fizjognomia przybrała wyraz poważnej, lecz serdecznej życzliwości.

— Chcę kupić kamienicę — ciągnął Wokulski.

Dom, Handel

— Już?... — spytał mecenas podnosząc brwi i schylając głowę. — Winszuję, bardzo winszuję... Dom handlowy nie na próżno nazywa się domem... Kamienica dla kupca jest jak strzeżenie dla jeźdźcy; pewnie siedzi na interesach. Handel nie oparty na tak realnej podstawie, jaką jest dom, jest tylko kramarstwem. O jakąż to chodzi kamienicę, jeżeli szanowny pan raczysz mnie już zaszczytać swoim zaufaniem?

— Ma być w tych dniach licytowany dom pana Łęckiego...

— Znam — przerwał адвокат. — Mury wcale dobre, rzeczy drewniane należałoby stopniowo zmienić, w rezerwie ogród... Licytuje baronowa Krzeszowska do sześćdziesięciu tysięcy rubli, konkurentów zapewne nie będzie, kupimy najwyżej za sześćdziesiąt tysięcy rubli.

— Choćby za dziewięćdziesiąt tysięcy, a nawet i więcej — wtrącił Wokulski.

— Po co?... — skoczył na fotelu адвокат. — Baronowa poza sześćdziesiąt tysięcy nie wyjdzie, domów nikt dziś nie kupuje... Wcale dobry interes...

— Dla mnie będzie dobrym nawet za dziewięćdziesiąt tysięcy.

— Ale lepszym za sześćdziesiąt pięć tysięcy...

— Nie chcę obdzierać mego przyszłego współnika.

— Wspólnika?... — zawołał адвокат. — Ależ szanowny pan Łęcki jest stanowczym bankrutem; po prostu skrzywdziłbyś go pan, naddając mu jakieś kilka tysięcy rubli. Znam pogląd jego siostry, hrabiny, na tę sprawę... W chwili gdy pan Łęcki zostanie bez grosza przy duszy, jego urocza córka, którą wszyscy uwielbiamy, wyjdzie za barona albo marszałka...

Oczy Wokulskiego tak dziko błysnęły, że адвокат umilkł. Przypatrywał mu się, rozmyślał... Nagle uderzył się ręką w czoło.

— Szanowny pan — rzekł — jesteś zdecydowany dać dziewięćdziesiąt tysięcy rubli za tę rudę?... —

— Tak — odparł głucho Wokulski.

— Sześćdziesiąt od dziewięćdziesięciu... posag panny Izabeli... — mruknął адвокат. — Aha!...

Fizjognomia i cała postawa jego zmieniła się do niepoznania. Pociągnął z wielkiego bursztynu ogromny kłęb dymu, rozparł się na fotelu i trzęsąc ręką w stronę Wokulskiego mówił:

— Rozumiemy się, panie Wokulski. Wyznam ci, że jeszcze przed pięcioma minutami podejrzewałem cię, sam nie wiem o co, bo interesa twoje są czyste. Ale w tej chwili, wierz mi, masz we mnie tylko człowieka życzliwego i... sprzymierzeńca...

— Teraz ja pana nie rozumiem — szepnął spuszczać oczy Wokulski.

Адвокатowi na policzkach wystąpiły ceglaste rumieńce. Zadzwonił — wszedł służący.

Sługa

— Nie wpuszczać tu nikogo, dopóki nie zawołam — rzekł.

— Słucham pana mecenasa — odparł markotny lokaj.

Znowu zostali we dwu.

— Panie... Stanisławie — zaczął адвокат. — Pan wie, co to jest nasza arystokracja i jej dodatki?... Jest to parę tysięcy ludzi, którzy wysysają cały kraj, topią pieniądze za granicą, przywożą stamtąd najgorsze nałogi, zarażają nimi klasy średnie, niby to zdrowe, i — sami giną bez ratunku: ekonomicznie, fizjologicznie i moralnie. Gdyby zmusić ich do pracy, gdyby *skrzyżować* z innymi warstwami, może... byłby z tego jakiś pożytek, bo już ci są to organizacje subtelniejsze od naszych. Rozumie pan... *skrzyżować*, ale... nie wyrzucać na podtrzymanie ich trzydziestu tysięcy rubli. Otóż do *skrzyżowania* pomagam panu, ale do strwonienia trzydziestu tysięcy rubli — nie!...

— Nic nie rozumiem pana — odparł cicho Wokulski.

— Rozumiesz, tylko nie ufasz mi. Wielka to cnota nieufność, leczyc z niej pana nie będę. Tyle ci powiem: Łęcki-bankrut może zostać... krewnym nawet kupca, a tym bardziej kupca-szlachcica. Ale Łęcki z trzydziestoma tysiącami rubli w kieszeni!...

— Panie mecenasie — przerwał Wokulski — czy zechce pan w moim imieniu stanąć do licytacji tego domu?

— Stanę, lecz ponad to, co da pani Krzeszowska, postąpię najwyżej parę tysięcy. Wybacz pan, panie Wokulski, ale sam z sobą licytować się nie będę.

— A jeżeli znajdzie się trzeci licytant?

— Ha! w takim razie i jego zdystansuję, ażeby dogodzić pańskiemu kaprysowi.

Wokulski wstał.

— Dziękuję panu — rzekł — za parę słów szerszych. Ma pan rację, ale i ja mam moje racje... Pieniądze przyniosę panu jutro; teraz — do widzenia...

— Żal mi pana — odpowiedział adwokat ściskając go za rękę.

— Dlaczegoż to?

— Dlatego, panie, że kto chce zdobyć, musi zwyciężyć, zdusić przeciwnika, nie zaś karmić go z własnej spiżarni. Popelniasz pan błąd, który cię raczej odsunie, aniżeli zbliży do celu.

— Myli się pan.

— Romantyk!... romantyk!... — powtarzał adwokat z uśmiechem.

Wokulski wybiegł z domu adwokata i wsiadłszy w dorożkę kazał się wieźć w stronę ulicy Elektoralnej³⁹³. Był zirygowany tym, że adwokat odkrył jego tajemnicę, i tym, że krytykował jego metodę postępowania. Naturalnie, że kto chce zdobyć, musi zdusić przeciwnika; ależ tu zdobyczą miała być panna Izabela!...

Wysiadł przed niepozornym sklepikiem, nad którym wisiał czarny szyld z żółtawym napisem: „Kantor wekslu³⁹⁴ i loterii S. Szlangbauma.”

Sklep był otwarty; za kontuarem, obitym blachą i od publiczności oddzielonym drucianą siatką, siedział stary Żyd z łysą głową i siwą brodą, jakby przylepioną do „Kuriera”.

— Dzień dobry, panie Szlangbaum! — zawołał Wokulski.

Żyd podniósł głowę i z czoła zsunął okulary na oczy.

— Ach, to pan dobrodziej?... — odparł ściskając go za rękę. — Co to, czy już i pan potrzebuje pieniędzy?...

— Nie — odpowiedział Wokulski rzucając się na wyplatane krzesło przed kontuarem. A ponieważ wstyd mu było od razu objaśnić, po co przyszedł, więc spytał:

— Cóż słyhać, panie Szlangbaum?

— Żle! — odpowiedział starzec. — Na Żydów zaczyna się prześladowanie³⁹⁵. Może to i dobrze. Jak nas będą kopać i pluć, i dręczyć, wtedy może upamiętają się i te młode Żydki, co jak mój Henryk poubierali się w surduty i nie zachowują swoje religie.

— Kto was prześladowuje! — odparł Wokulski.

— Pan chce dowody?... — spytał Żyd. — Ma pan dowód w ten „Kurieru”. Ja onegdaj posłałem do nich szaradę. Pan zgaduje szarady?... Posłałem taką:

Pierwsze i drugie — to zwierz kopytkowy,

Pierwsze i trzecie — ozdabia damskie głowy;

Wszystkie razem na wojnie strasznie goni,

Niech nas Pan Bóg od tego zabroni.

Pan wie, co to?... Pierwsze i drugie — to jest: *ko-za*; pierwsze i trzecie — to jest *ko-ki*, a wszystkie — to są: *Ko-za-ki*. A pan wie, co oni mi odpisali?... Zaraz...

Podniósł „Kurier” i czytał:

— „Odpowiedzie od redakcji. *Panu W. W.* Encyklopedie większe Orgelbranda³⁹⁶...” Nie to... „*Panu Motylkowi*. Frak kładzie się...” Nie to... A, jest!... „*Panu S. Szlangbaumowi*: Pańska szarada polityczna nie jest gramatyczna.” — Proszę pana: co tu jest z polityki?

³⁹³ulica Elektoralna — ulica w zachodniej części Warszawy, do II wojny światowej zamieszkiwana przeważnie przez ludność żydowską.

³⁹⁴Kantor wekslu — biuro wymiany waluty.

³⁹⁵Na Żydów zaczyna się prześladowanie — w latach tych antysemityzm wzmocnił się znacznie na tle konkurencji ekonomicznej. W r. 1876 ukazała się broszura Jana Jeleńskiego: „Niemcy, Żydzi i my”, która w ciągu kilku lat osiągnęła cztery wydania. W r. 1882 tenże Jeleński zaczyna wydawać pierwsze pismo antysemickie pt. „Rola”. W r. 1881 dochodzi w Warszawie do rozruchów antyżydowskich, które powtórzyły się dwa lata później.

³⁹⁶„Encyklopedia większa” Orgelbranda — dwudziestoosmiotomowa encyklopedia wydana w latach 1859–1868 przez S. Orgelbranda w Warszawie.

Miłość romantyczna

Zwycięstwo

Warszawa

Tajemnica

Żyd

Żeby ja napisał szaradę o Dizraeli³⁹⁷ albo o Bismarck, to byłaby polityka, ale o Kozaki to przecie nie jest polityka, tylko wojskowość.

— Ale gdzież w tym prześladowanie Żydów? — spytał Wokulski.

— Zaraz powiem. Pan sam musiał bronić od prześladowcy mego Henryka; ja to wszystko wiem, choć nie on mi mówił. A teraz o szaradę. Jak ja pół roku temu odniosłem moją szaradę do pana Szymanowskiego³⁹⁸, to on mnie powiedział: „Panie Szlangbaum, my te szarade drukować nie będziemy, ale ja panu radzę, co lepiej byś pan pisał szarade, aniżeli brał procentów.” A ja mówię: „Panie redaktorze, jak mnie pan da tyle za szarady, co ja mam z procenty, to ja będę pisał.” A pan Szymanowski na to: „My, panie Szlangbaum, nie mamy takie pieniądze, żeby za pańskie szarady płacić.” To powiedział sam pan Szymanowski, słyszy pan? Nu, a oni mnie dzisiaj piszą w „Kurierku”, że to niepolitycznie i niegramatycznie!... Jeszcze pół roku temu gadali inaczej. A co teraz drukują w gazety na Żydków.

Żyd

Wokulski słuchał historii o prześladowaniu Żydów patrząc na ścianę, gdzie wisiała tabelka loteryjna, i bębniąc palcami w kontuar. Ale myślał o czym innym i wahał się.

— Więc ciągle zajmujesz się szaradami, panie Szlangbaum? — spytał.

— Co to ja!... — odparł stary Żyd. — Ale ja, panie, mam po Henryku wnuczka, co mu dopiero dziewięć lat, i niech no pan słucha, jaki on do mnie w tamten tydzień list napisał. „Mój dziadku — on pisał, ten mały Michaś — ja potrzebuje takie szarade:

Dziecko, Zabawa, Żyd

Pierwsze znaczy dół, drugie — przeczenie.

Wszystko razem kortowe odzienie.

A jak dziadzio — on pisał, Michaś — zgadnie, to niech mi dziadzio przysze³⁹⁹ sześć rubli na ten kortowy interes.” Ja się rozplakałem, panie Wokulski, jakim przeczytał. Bo ten *pierwszy*, dół, to znaczy: *spód*, a przeczenie to jest nie — a *wszystko* razem to są *spodnie*. Ja się spłakałem, panie Wokulski, co takie mądre dziecko przez upartość Henryka chodzi bez spodnie. Ale ja mu odpisałem: „Mój kochaneczku. Bardzo jestem kontent, że ty od dziadziusia nauczyłeś się układać szarady. Ale żebyś ty jeszcze nauczył się oszczędności, to ja tobie na te kortowe odzienie⁴⁰⁰ posyłam tylko cztery ruble. A jak ty się będziesz dobrze uczył, to ja tobie po wakacje sprawię takie szarade:

Pierwsze znaczy po niemiecku usta, drugie godzina.

Wszystkie kupuje się dziecku — jak do gimnazje chodzić zaczyna.”

To znaczy: *mund-ur*; pan od razu zgadł, panie Wokulski?

— Więc i cała pańska rodzina bawi się szaradami? — wtrącił Wokulski.

— Nie tylko moja — odpowiedział Szlangbaum. — U nas, panie, niby u Żydów, jak się młodzizejdą, to oni nie zajmują się, jak u państwo, tańcami, komplementami, ubiorami, głupstwami, ale oni albo robią rachunki, albo oglądają uczone książki, jeden przed drugim zdaje egzamin albo rozwiązują sobie szarady, rebusy, szachowe zadanie. U nas ciągle jest zajęty rozum i dlatego Żydzi mają rozum, i dlatego, niech się pan nie obrazi, oni cały świat zawojują. U państwa wszystko się robi przez te sercowe gorączki i przez wojne, a u nas tylko przez mądrość i cierpliwość.

Żyd

Mądrość

Ostatnie wyrazy uderzyły Wokulskiego. On przecież zdobywał pannę Izabelę mądrością i cierpliwością... Jakaś otucha wstąpiła mu w serce, przestał wahać się i nagle rzekł:

— Mam do pana prośbę, panie Szlangbaum...

— Pańskie prośbe tyle znaczy dla mnie co rozkaz, panie Wokulski.

— Chcę kupić dom Łęckiego...

— Znam go. On pójdzie za sześćdziesiąt parę tysięcy.

Handel

³⁹⁷ *Dizraeli* — właściwie Benjamin Disraeli (1804–1881), polityk angielski, przywódca konserwatystów, w tym czasie premier i kierownik polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii.

³⁹⁸ Szymanowski Wacław (1821–1886) — literat i dziennikarz, redaktor zachowawczego „Kuriera Warszawskiego”, przeciwnik pozytywizmu.

³⁹⁹ *przysze* — dziś: *przysze*.

⁴⁰⁰ *kortowe odzienie* — kort: tkanina wełniana, rodzaj sukna.

— Chcę, żeby poszedł za dziewięćdziesiąt tysięcy, i potrzebuję kogoś, kto by licytował do tej sumy.

Żyd szeroko otworzył oczy.

— Jak to?... Pan chce zapłacić drożej o trzydzieści tysięcy rubli?... — spytał.

— Tak.

— Przepraszam, ale nie rozumiem. Bo żeby panu dom sprzedawali, a Łęcki chciał jego kupić, wtedy pan miałby interes podbijać cenę. Ale jak pan kupuje, to pan ma interes zniżyć wartość...

— Mam interes zapłacić drożej.

Starzec potrząsnął głową i odezwał się po chwili:

— Żebym ja pana nie znał, tobym myślał, że pan robi zły interes; ale że ja pana znam, więc ja sobie myślę, co pan robi... dziwny interes. Nie tylko pan zakopuje w mury gotówkę i traci na tym z dziesięć procentów rocznie, ale jeszcze chce pan zapłacić trzydzieści tysięcy rubli więcej... Panie Wokulski — dodał biorąc go za rękę — nie zrób pan takie głupstwo. Ja pana proszę... Stary Szlangbaum pana prosi...

— Wierz mi pan, że dobrze na tym wyjdę...

Żyd nagle podniósł palec do czoła. Błysnęły mu oczy i zęby białe jak perły.

— Ha! ha!... — zaśmiał się. — Nu, jaki ja już stary jestem, żem od razu tego nie pomiarkował... Pan panu Łęckiemu da trzydzieści tysięcy rubli... a on panu ułatwi interes może na sto tysięcy rubli... Git⁴⁰¹!... Ja panu dam licytanta, co on za piętnaście rubelków podbije cenę domu. Bardzo porządny pan, katolik, tylko jemu nie można dawać wadium⁴⁰² do ręki... Ja panu dam jeszcze jakie dystygowane dame, co także za dziesięć rubelków będzie podbijać... Ja mogę dać jeszcze z parę Żydki, po pięć rubelków... Zrobi się taka licytacja, co pan może zapłacić za ten dom choćby sto pięćdziesiąt tysięcy i nikt nie zmiarkuje, jaki jest interes...

Wokulskiemu było trochę przykro.

— W każdym razie sprawa zostaje między nami — rzekł.

— Panie Wokulski — odparł Żyd uroczyście — ja myślę, że pan nie potrzebował to powiedzieć. Pański sekret to mój sekret. Pan ujął się za mój Henryczek, pan nie przesładuje Żydów...

Pożegnali się i Wokulski wrócił do swego mieszkania. Tam zastał już Maruszewicza, z którym pojechał do rajtszuli⁴⁰³ obejrzeć kupioną kłacz.

Rajtszula składała się z dwu połączonych ze sobą budynków, tworzących jedną całość w formie szlify⁴⁰⁴. W części okrągłej mieścił się maneż, w prostokątnej stajnie.

W chwili gdy Wokulski z Maruszewiczem weszli tam, odbywała się lekcja konnej jazdy. Czterech panów i jedna dama jeździli, koń za koniem, wzdłuż ścian maneżu; na środku stał dyrektor zakładu, mężczyzna z miną wojskową, w granatowej kurtce, białych obcisłych spodniach i wysokich butach z ostrogami. Był to pan Miller; komenderował jeźdźcami pomagając sobie w tej czynności długim batem, którym od czasu do czasu podcinał źle manewrującego konia, przy czym krzywił się jeździec. Wokulski zauważył naprędce, że jeden z panów, który jeździł bez strzemion, trzymając prawą rękę za plecami, ma minę łobuza, że drugi z nich pragnie zająć na koniu stanowisko środkujące między szyną a zadem, a czwarty wygląda tak, jakby w każdej chwili usiłował zsiąść z konia i już do końca życia nie ćwiczyć się w ekwitacji⁴⁰⁵. Tylko dama w amazonce⁴⁰⁶ jeździła śmiało i zręcznie, co Wokulskiemu nasunęło myśl, że na świecie nie ma dla kobiet pozycji ani niewygodnej, ani niebezpiecznej.

Maruszewicz zapoznał swego towarzysza z dyrektorem.

— Właśnie czekałem na panów i natychmiast służę. Panie Szulc!...

Wbiegł pan Szulc, młody blondyn, odziany również w granatową kurtkę, lecz jeszcze wyższe buty i obciślejsze spodnie. Z wojskowym ukłonem wziął do ręki symbol dyrektorskiej władzy i zanim Wokulski opuścił maneż, przekonał się, że Szulc mimo młode-

Tajemnica

Koń

Kobieta

⁴⁰¹git (żyd.) — dobrze.

⁴⁰²wadium (łac.) — zastaw, suma składana dla zapewnienia, że zobowiązanie będzie dotrzymane.

⁴⁰³rajtszula — ujeżdżalnia.

⁴⁰⁴szlify — pętla lub kokarda.

⁴⁰⁵ekwitacja — umiejętność jazdy konnej.

⁴⁰⁶amazonka — tu: strój kobiecy do jazdy konnej.

go wieku energiczniej włada batem aniżeli sam dyrektor. Drugi bowiem pan aż syknął, a czwarty rozpoczął formalną kłótnię.

— Pan — rzekł dyrektor do Wokulskiego — przyjmuje klacz barona ze wszelkimi przynależnościami: siodłami, derami, i tam dalej?...

— Naturalnie.

— W takim razie mam u pana sześćdziesiąt rubli za stajnię, której pan Krzeszowski nie opłacił.

— Trudna rada.

Weszli do stajenki widnej jak pokój, nawet ozdobionej dywanami, niezbyt zresztą cennymi. Żłób był nowy i pełny, drabina toż samo, na podłodze leżała świeża słoma. Pomimo to bystre oko dyrektora dojrzało jakąś niestosowność, krzyknął bowiem:

— Cóż to za porządek, panie Ksawery, do stu par diabłów!... Czy i w pańskiej sypialni konserwują się takie rzeczy?

Drugi pomocnik dyrektora ukazał się tylko na chwilę. Spojrzał, zniknął i z korytarza zawołał:

— Wojciech!... do stu tysięcy diabłów... Zaraz mi zrób porządek, bo ci to wszystko każę położyć na stole...

— Szczepan!... cholero jakiś... — odezwał się trzeci głos za przepierzeniem. — Jak mi jeszcze raz, pieskie nasienie, tak stajnię zostawisz, to ci każę zbierać zębami...

Jednocześnie rozległo się kilka tępych uderzeń, jakby ktoś pochwycił kogoś drugiego za głowę i uderzał nią o ścianę. Niebawem zaś przez okno stajni zobaczył Wokulski młodzieńca z metalowymi guzikami przy kurtce, który wybiegł na podwórze po miotłę i znalazłszy takową, mimochodem zwałił przez łeb gapiącego się Żydka. Jako przyrodnik, podziwiał Wokulski tę nową formę prawa zachowania siły⁴⁰⁷, gdzie gniew dyrektora w tak szczególny sposób zawędrował aż do istoty znajdującej się poza rajtszulą.

Tymczasem dyrektor kazał wyprowadzić klacz na korytarz. Było to piękne zwierzę na cienkich nóżkach, z małą główką i oczyma, z których przeglądał dowcip i rzewność. Klaczka w przechodzie zwróciła się do Wokulskiego wachając go i chrapiąc, jakby w nim odgadła pana.

— Już pana poznała — rzekł dyrektor. — Niech jej pan da cukru... Piękna klacz!...

To mówiąc wydobyl z kieszeni kawałek brudnej substancji, nieco zalatującej tytuniem. Wokulski podał to klaczy, która bez namysłu zjadła.

— Zakładam się o pięćdziesiąt rubli, że wygra!... — zawołał dyrektor. — Trzyma pan?

— Owszem — odpowiedział Wokulski.

— Wygra niezawodnie. Dam doskonałego dżokeja, a ten poprowadzi ją według mojej instrukcji. Ale gdyby została przy baronie Krzeszowskim, niech mnie piorun trzaśnie, przywlokłaby się trzecia do mety. Zresztą nawet nie trzymałbym jej na stajni...

— Dyrektor jeszcze nie może uspokoić się — wtrącił ze słodkim uśmiechem Maruszewicz.

— Uspokoić się!... — krzyknął dyrektor czerwieniejąc z gniewu. — No, niech pan Wokulski osądzi, czy mogę nadal utrzymywać stosunki z człowiekiem, który opowiadał, że ja sprzedałem w Lubelskie konia, co miał koler⁴⁰⁸!... Takich rzeczy — wołał, coraz mocniej podnosząc głos — nie zapomina się, panie Maruszewicz. I gdyby hrabia nie załagodził afery, pan Krzeszowski miałby dziś kulę w udzie... Ja sprzedałem konia, co miał koler!... Żeby miał zapłacić od siebie sto rubli, klacz wygra... Żeby miała paść... Przekona się pan baron... Koń miał koler!... Ha! ha! ha!... — wybuchnął demonicznym śmiechem dyrektor.

Po obejrzeniu klaczy panowie udali się do kancelarii, gdzie Wokulski uregulował należne rachunki przysięgając sobie nie mówić o żadnym koniu, że ma koler. Na pożegnanie zaś odezwał się:

— Czy nie mógłbym, dyrektorze, wprowadzić tę klacz na wyścigi bezimiennie?

— Zrobi się.

— Ale...

⁴⁰⁷prawo zachowania siły — wł. prawo zachowania energii, głoszące, że energia nie może ulec zniszczeniu, lecz tylko przekształca się w inną formę (np. z cieplnej w świetlną, elektryczną itp.).

⁴⁰⁸koler — bezgórączkowa choroba mózgu u koni.

Przemoc, Władza

Koń

Tajemnica

— O! niech pan będzie spokojny — odparł dyrektor ściskając go za rękę. — Dla dżentelmena dyskrecja jest pierwszą cnotą. Spodziewam się, że i pan Maruszewicz...

— O!... — potwierdził Maruszewicz trzęsąc głową i ręką w taki sposób, że o tajemnicy pogrzebanej w jego piersiach nie można było wątpić.

Wracając obok maneżu Wokulski znowu usłyszał trzaśnięcie batem, po którym czwarty pan znowu rozpoczął kłótnię z zastępcą dyrektora.

— To jest niedelikatność, mój panie!... — krzyczał czwarty. — Odzienie mi popęka...

— Wytrzymaj — odparł flegmatycznie pan Szulc trzaskając batem w kierunku drugiego pana.

Wokulski opuścił rajtszulę.

Gdy pożegnawszy się z Maruszewiczem, siadał w dorożkę, przyszła mu szczególna myśl do głowy:

„Jeżeli ta klacz wygra, to panna Izabela pokocha mnie...”

I nagle zawrócił się; jeszcze przed chwilą obojętne zwierzę stało mu się sympatycznym i interesującym.

Wchodząc powtórnie do stajenki usłyszał znowu charakterystyczny łoskot głowy ludzkiej uderzanej o ścianę. Jakoż istotnie z sąsiedniego przedziału wybiegł mocno zarumieniony chłopak stajenny, Szczepan, z włosami ułożonymi w taki wicher, jakby mu dopiero co wyjęto z nich rękę, a zaraz po nim ukazał się i furman, Wojciech, który ocierał o kurtkę nieco zatłuszczone palce. Wokulski dał starszemu trzy ruble, młodszemu rubla i obiecał im na przyszłość gratyfikację, byle tylko klaczka nie miała krzywdy.

— Będę jej, panie, doglądał lepiej niż własnej żony — odpowiedział Wojciech z niskim ukłonem. — Ale i stary jej nie skrzywdzi, owszem... Na wyścigu, panie, pójdzie kobyłka jak szkło...

Wokulski wszedł do stajenki i z kwadrans przypatrywał się klaczy. Niepokoiły go jej delikatne nóżki i sam drżał na widok dreszczów przebiegających jej aksamitną skórę, myślał bowiem, że może zachorować. Potem objął ją za szyję, a gdy oparła mu na ramieniu główkę, całował ją i szeptał:

— Gdybyś ty wiedziała, co od ciebie zależy!... gdybyś wiedziała...

Odtąd po parę razy na dzień jeździł do maneżu, karmił klacz cukrem i pieścił się z nią. Czuł, że w jego realnym umyśle zaczyna kiełkować coś jakby przesąd. Uważał to za dobrą wróżbę, gdy klacz witała go wesoło, lecz gdy była smutna, niepokój poruszał mu serce. Już bowiem jadąc do maneżu mówił sobie: „Jeżeli zastanę ją wesołą, to mnie panna Izabela pokocha.”

Niekiedy budził się w nim rozsądek; wówczas opanowywał go gniew i pogarda dla samego siebie.

„Cóż to — myślał — czy moje życie ma zależeć od kaprysu jednej kobiety?... Czy nie znajdę stu innych?... Alboż pani Meliton nie obiecywała, że mnie zapozna z trzema, czterema, równie pięknymi?... Raz, do licha, muszę się ocknąć!...”

Ale zamiast ocknąć się, coraz głębiej zapadał w opętanie. Zdawało mu się w chwilach świadomości, że na ziemi jeszcze chyba istnieją czarodzieje i że jeden z nich rzucił na niego klątwę. Wtedy mówił z trwogą:

„Ja nie jestem ten sam... Ja robię się jakimś innym człowiekiem... Zdaje mi się, że mi ktoś zamienił duszę!...”

Chwilami znowu zabierał w nim głos przyrodnik i psycholog:

„Oto — szeptał mu gdzieś w głębi mózgu — oto jak mści się natura za pogwałcenie jej praw. Za młodu lekceważyłeś serce, drwiłeś z miłości, sprzedajesz się na męża starej kobiecie, a teraz masz!... Przez długie lata oszczędzany kapitał uczuć zwraca ci się dziś z procentem...”

„Dobrze to — myślał — ale w takim razie powinienem zostać rozpustnikiem; dla czegoż więc myślę o niej jednej?”

„Licho wie — odpowiadał oponent. — Może właśnie ta kobieta najlepiej nadaje się do ciebie. Może naprawdę, jak mówi legenda⁴⁰⁹, dusze wasze stanowiły kiedyś, przed wiekami, jedną całość?...”

⁴⁰⁹ jak mówi legenda — mowa o legendzie z *Uczty* Platona.

Kłótnia

Miłość

Koń

Miłość, Szaleństwo

Czary

Miłość, Młodość

Miłość romantyczna

Wierzenia, Zabobony

„Więc i ona powinna by mnie kochać... — mówił Wokulski. A potem dodawał: — Jeżeli klacz wygra na wyścigach, będzie to znakiem, że mnie panna Izabela pokocha... Ach! stary głupcze, wariacie, do czego ty dochodzisz?...”

Na parę dni przed wyścigami złożył mu w mieszkaniu wizytę hrabia—Anglik, z którym zaznajomił się podczas sesji u księcia.

Po zwykłym powitaniu hrabia usiadł sztywnie⁴¹⁰ na krześle i rzekł:

— Z wizytą i z interesem — *tek!*... Czy wolno?...

— Służę hrabiemu.

— Baron Krzeszowski — ciągnął hrabia — którego klacz nabył pan, zresztą najzupełniej prawidłowo — *tek* — ośmiela się najuprzejmiej prosić pana o ustąpienie mu jej. Cena nie stanowi nic... Baron porobił duże zakłady... Proponuje tysiąc dwieście rubli.

Wokulskiemu zrobiło się zimno; gdyby sprzedał klacz, panna Izabela mogłaby nim pogardzić.

— A jeżeli i ja mam moje widoki na tę klacz, panie hrabio?... — odparł.

— W takim razie pan ma słuszne pierwszeństwo, *tek* — wycedził hrabia.

— Zdecydował pan kwestię — rzekł Wokulski z ukłonem.

— Czy *tek*?... Bardzo żałuję barona, ale pańskie prawa są lepsze.

Wstał z krzesła jak automat na sprężynach i pożegnawszy się dodał:

— Kiedyż do reagenta, drogi panie, z naszą spółką?... Namysłiwszy się przystępuję z pięćdziesięcioma tysiącami rubli... *Tek*.

— To już zależy od panów.

— Bardzo pragnąłbym widzieć ten kraj kwitnącym i dlatego, panie Wokulski, posiada pan całą moją sympatię i szacunek, *tek*, bez względu na zmartwienie, jakie pan robi baronowi. *Tek*, był pewnym, że mu pan ustąpi konia...

— Nie mogę.

— Pojmuję pana — zakończył hrabia. — Szlachcic, choćby się odział w skórę przemysłowca, musi wyleźć z niej przy łaď okazji. Pan zaś, proszę mi wybaczyć śmiałość, jesteś przede wszystkim szlachcicem, i to w angielskiej edycji⁴¹¹, jakim każdy z nas być powinien.

Szlachcic, Koń

Mocno uściśnął mu rękę i wyszedł. Wokulski przyznawał w duszy, że ten oryginał, udający marionetkę, ma jednak dużo sympatycznych przymiotów.

„Tak — szepnął — z tymi panami przyjemniej żyć aniżeli z kupcami. Oni są naprawdę ulepieni z innej gliny...”

A potem dodał:

„I dziwić się, że panna Izabela pogardza takim jak ja, wychowawszy się wśród takich jak oni... No, ale co oni robią na świecie i dla świata?... Szanują ludzi, którzy mogą dać piętnasty procent od ich kapitałów... To jeszcze nie zasługa.”

„Tam do licha! — mruknął strzelając z palców — a skąd oni wiedzą, że ja kupiłem klacz?... Bagatela!... przecież kupiłem ją od pani Krzeszowskiej za pośrednictwem Maruszewicza... Zresztą za często bywam w maneżu, wie o mnie cała służba... Eh! zaczynam już palić głupstwa, jestem nieostrożny... Nie podobał mi się ten Maruszewicz...”

XIII. WIELKOPAŃSKIE ZABAWY

Nareszcie nadszedł dzień wyścigów⁴¹², pogodny, ale nie gorący; właśnie jak potrzeba. Wokulski zerwał się o piątę i natychmiast pojechał odwiedzić swoją klacz. Przyjęła go dość obojętnie, ale była zdrowa, a pan Miller pełen otuchy.

— Co?... — śmiał się trącając Wokulskiego w ramię. — Palisz się pan, co?... Ocknął się w panu sportsmen!... My, panie, przez cały czas wyścigów jesteśmy w gorączce. Nasz zakładzik o pięćdziesiąt rubli stoi, co?... Jakbym je miał w kieszeni; mógłbyś je pan natychmiast zapłacić.

— Zapłacę z największą przyjemnością — odparł Wokulski i myślał: „Czy klacz wygra?... czy go panna Izabela kiedy pokocha? czy się coś nie stanie?... A jeżeli klacz złamie nogę!...”

⁴¹⁰sztywnie — dziś: sztywno.

⁴¹¹edycja — wydanie.

⁴¹²dzień wyścigów — w roku 1878 wyścigi rozpoczęły się w pierwszych dniach czerwca.

Ranne godziny wlokły mu się, jakby do nich zaprzężono woły. Wokulski na chwilę tylko wpadł do sklepu, przy obiedzie nie mógł jeść, potem poszedł do Saskiego Ogrodu⁴¹³ ciągle myśląc: „Czy klacz wygra i czy go panna Izabela pokocha?...” Przemógł się jednak i wyjechał z domu dopiero około piątej.

W Alejach Ujazdowskich był już taki natłok powozów i dorożek, że miejscami należało jechać stępą, przy rogatce zaś utworzył się formalny zator i musiał czekać z kwadrans, pożerany niecierpliwością, zanim ostatecznie powóz jego wydostał się na Mokotowskie pola⁴¹⁴.

Na skrócie drogi Wokulski wychylił się i przez mgłę żółtawego kurzu, który gęsto osiadał mu twarz i odzienie, przypatrywał się wyścigowemu polu. Plac wydawał mu się dzisiaj nieskończenie wielkim i przykrym, jakby nad nim unosiło się widmo niepewności. Z daleka przed sobą widział długi sznur ludzi uszykowanych w półkole, które ciągle zwiększało się dopływającymi gromadami.

Nareszcie dojechał na miejsce i znowu upłynęło z dziesięć minut, nim służący powrócił z kasy z biletem. Dokoła powozu tłoczyła się ciżba bezpłatnych widzów i huczał gwar tysiąca głosów, a Wokulskiemu zdawało się, że wszyscy mówią tylko o jego klaczy i drwią z kupca, który bawi się w wyścigi.

Nareszcie powóz puszczono wewnątrz toru. Wokulski zeskoczył na ziemię i pobiegł do swojej klaczy usiłując zachować powierzchowność obojętnego widza.

Po długim szukaniu znalazł ją na środku wyścigowego placu, a przy niej panów Millera i Szulca tudzież dżokeja z wielkim cygarem w ustach, w czapce żółtej z niebieskim i w paltocie narzuconym na ramiona. Jego klacz wobec ogromnego placu i niezliczonych tłumów wydała mu się tak małą i mizerną, że zdesperowany, chciał wszystko rzucić i wracać do domu. Ale panowie Miller i Szulc mieli fizjognomie jaśniejszą nadzieję.

— Nareszcie jest pan — zawołał dyrektor maneżu i wskazując oczyma na dżokeja dodał: — Zapoznam panów: pan Yung, najznakomitszy w kraju dżokej — pan Wokulski.

Dżokej podniósł dwa palce do żółto-niebieskiej czapki, a wyjąwszy drugą ręką cygaro z ust plunął przez zęby.

Wokulski przyznał w duchu, że tak chudego i tak małego człowieka jeszcze w życiu nie widział. Zauważył przy tym, że dżokej ogląda go jak konia: ode łba do pęcin, i wykonywa⁴¹⁵ krzywymi nogami ruchy, jakby miał zamiar wsiąść i przejechać się na nim.

— Niechże pan powie, panie Yung, czy nie wygramy? — spytał dyrektor.

— Och! — odpowiedział dżokej.

— Tamte dwa konie są niezłe, ale nasza klacz znakomita — mówił dyrektor.

— Och! — potwierdził dżokej.

Wokulski odprowadził go na stronę i rzekł:

— Jeżeli wygramy, będę panu winien pięćdziesiąt rubli ponad umowę.

— Och! — odparł dżokej, a przypatrzawszy się Wokulskiemu dodał:

— Pan jest czysty krew sportsmen, ale jeszcze pan trochę gorączkuje. Na przyszły rok będzie spokojniejszy.

Znowu plunął na długość konia i poszedł w stronę trybuny, a Wokulski, pożegnawszy panów Millera i Szulca, popieściwszy klaczkę, wrócił do swego powozu.

Teraz zaczął szukać panny Izabeli.

Obszedł długi łańcuch powozów ustawionych wzdłuż toru, przypatrywał się koniom, służbie, zaglądał pod parasolki damom, ale panny Izabeli nie dostrzegł.

„Może nie przyjedzie?” — szepnął i zdawało mu się, że cały ten plac napełniony ludźmi zapada wraz z nim pod ziemię. Miał też po co wyrzucać tyle pieniędzy, jeżeli jej tu nie będzie! A może pani Meliton, stara intrygantka, okłamała go na wspólną z Maruszewiczem?...

Wszedł na schodki wiodące na trybunę sędziów i oglądał się na wszystkie strony. Na próżno. Gdy schodził stamtąd, zatamowali mu drogę dwaj tyłem stojący panowie, z których jeden, wysoki, z wszelkimi cechami sportsmena, mówił podniesionym głosem:

⁴¹³Saski Ogród — park centralnej części Warszawy, założony w r. 1727 przez króla Augusta II z dynastii saskiej (stad nazwa), obecnie istnieje tylko część dawnego ogrodu; strona zachodnia, zniszczona w czasie ostatniej wojny, została zabudowana.

⁴¹⁴Mokotowskie pola — w południowej części miasta; tu znajdowały się tory wyścigowe.

⁴¹⁵wykonywa — dziś: wykonuje.

— Czytając od dziesięciu lat, jak łają nas za zbytki, już chciałem poprawić się i sprzedać stajnię. Tymczasem widzę, że człowiek, który wczoraj dorobił się majątku, dziś puszcza konia na wyścigach... Ha! myślę, toście wy takie ptaszki?... Nas moralizujecie, a gdy się uda, robicie to samo?... Otóż nie poprawię się, nie sprzedam stajni, nie...

Jego towarzysz spostrzegłszy Wokulskiego trącił mównicę, który nagle urwał. Korzystając z chwili Wokulski chciał ich minąć, ale wysoki pan zatrzymał go.

— Przepraszam — odezwał się dotykając kapelusza — że ośmieliłem się robić tego rodzaju uwagi... Jestem Wrzesiński...

— Z przyjemnością słuchałem ich — odpowiedział z uśmiechem Wokulski — ponieważ w duchu mówię sobie to samo. Zresztą — stoję na wyścigach pierwszy i ostatni raz w życiu.

Podali sobie ręce z wysokim sportsmenem, który, gdy Wokulski odsunął się na parę kroków, mruknął:

— Dziarski chłop...

Teraz dopiero Wokulski kupił program i z uczuciem jakby wstydu czytał, że w trzeciej gonitwie biega klacz Sułtanka po Alim i Klarze, należąca do X. X., jeżdżona przez dżokeja Yunga w żółtej kurtce z niebieskimi rękawami. Nagroda trzysta rubli; koń wygrywający ma być na miejscu sprzedany.

„Oszalałem!” — mruknął Wokulski dążąc w stronę galerii⁴¹⁶. Myślał, że chyba tam jest panna Izabela, i projektował, że natychmiast wróci do domu, jeżeli jej nie znajdzie.

Opanował go pesymizm. Kobiety wydawały mu się brzydkimi, ich barwne stroje dziwnymi, ich kokieteria wstrętną. Mężczyźni byli głupi, tłum ordynaryjny, muzyka wrzaskliwa. Wchodząc na galerię śmiał się z jej skrzypiących schodów i starych ścian, na których było widać ślady deszczowych zacieków. Znajomi kłaniali mu się, kobiety uśmiechały się do niego, tu i owdzie szeptano: „Patrz! patrz...” Ale on nie uważał. Stanął na najwyższej ławie galerii i ponad pstrym a huczącym tłumem patrzył przez lornetę na drogę, aż het! pod rogatek, widząc tylko kłęby żółtego kurzu.

„Co te galerie robią przez cały rok?” — myślał. I przywidziało mu się, że na próchniejących ławach zasiadają tu co noc wszyscy zmarli bankruci, pokutujące kokoty, wszelkiego stanu próżniacy i utracjusze, których wypędzono nawet z piekła, i przy smutnym blasku gwiazd przypatrują się wyścigom szkieletów koni, które poginęły na tym torze. Zdawało mu się, że nawet w tej chwili widzi przed sobą zbutwiałe stroje i czuje zapach stęchlizny.

Zbudził go okrzyk tłumu, dzwonek i brawo... To odbył się pierwszy wyścig. Nagle spojrzął na tor i zobaczył wjeżdżający do szranków⁴¹⁷ powóz hrabiny. Siedziały hrabina z prezesową, a na przedzie pan Łęcki z córką.

Wokulski sam nie wiedział, kiedy zbiegł z galerii i kiedy wszedł do koła. Kogoś potrącił, ktoś pytał go o bilet... Pędził prosto przed siebie i od razu wpadł na powóz. Lokaj hrabiny uklonił mu się z kozła, a pan Łęcki zawołał:

— Otóż i pan Wokulski!...

Wokulski przywitał się z paniami, przy czym prezesowa znacząco ścisnęła go za rękę, a pan Łęcki spytał:

— Czy naprawdę kupiłeś, panie Stanisławie, klacz Krzeszowskiego?

— Tak jest.

— No, wiesz co, żeś mu spłatał figła, a mojej córce zrobiłeś miłą niespodziankę...

Panna Izabela zwróciła się do niego z uśmiechem:

— Założyłam się z ciocią — rzekła — że baron nie utrzyma swojej klaczy do wyścigów, i wygrałam, a drugi raz założyłam się z panią prezesową, że klacz wygra...

Wokulski okrążył powóz i zbliżył się do panny Izabeli, która mówiła dalej:

— Naprawdę to przyjechałyśmy tylko na ten wyścig: pani prezesowa i ja. Bo ciocia udaje, że gniewa się na wyścigi... Ach, panie, pan musi wygrać...

— Jeżeli pani zechce, wygram — odparł Wokulski patrząc na nią ze zdumieniem... Nigdy nie wydała mu się tak piękną jak teraz w wybuchu niecierpliwości. Nigdy też nie marzył, ażeby rozmawiała z nim tak łaskawie.

⁴¹⁶galeria — tu: trybuna na wyścigach.

⁴¹⁷szranki — miejsce ogrodzone, w którym odbywają się igrzyska lub wyścigi.

Szaleństwo

Obraz świata

Gotycyzm

Spojrzał po obecnych. Prezesowa była wesola, hrabina uśmiechnięta, pan Łęcki promieniejący. Na koźle lokaj hrabiny półgłosem zakładał się z furmanem, że Wokulski wygra. Dokoła nich kipiały śmiech i radość. Radował się tłum, galerie, powozy; kobiety w barwnych strojach były piękne jak kwiaty i ożywione jak ptaki. Muzyka grała fałszywie, ale raźnie; konie rżały, sportsmeni zakładali się, przekupnie zachwalali piwo, pomarańcze i pierniki. Radowało się słońce, niebo i ziemia, a Wokulski poczuł się w tak dziwnym nastroju, że chciałby wszystko i wszystkich porwać w objęcia.

Odbił się drugi wyścig, muzyka znowu zagrała. Wokulski pobiegł do trybuny, a sportkawszy Yunga, który z siodłem w ręku powracał w tej chwili od wagi, szepnął mu:

— Panie Yung, musimy wygrać... Sto rubli nad umowę... Niech bodaj klacz padnie...

— Och!... — jęknął dżokej przypatrując mu się z odcieniem chłodnego podziwu.

Wokulski kazał dojechać swemu powozowi bliżej hrabiny i wrócił do pań. Uderzyło go to, że przy nich nikt nie stał. Wprawdzie marszałek i baron zbliżyli się do ich powozu, ale obojętnie przyjeżdżając przez pannę Izabelę niebawem odsunęli się. Lecz młodzież kłaniała się z daleka i omijała.

„Rozumiem — pomyślał Wokulski. — Oziębła ich wiadomość o licytacji domu. A teraz — dodał w duchu, patrząc na pannę Izabelę — przekonaj się, kto naprawdę kocha ciebie, nie twój majątek.”

Zadzwoniono na trzeci wyścig. Panna Izabela stanęła na siedzeniu; na twarz jej wystąpiły rumieńce. O parę kroków od niej przejechał na Sultance Yung z miną człowieka, który się nudzi.

— Spraw się dobrze, ty śliczna!... — zawołała panna Izabela.

Wokulski wskoczył do swego powozu i otworzył lornetę. Był tak pochłonięty wyścigiem, że na chwilę zapomniał o pannie Izabeli. Sekundy rozciągały mu się w godziny; zdawało mu się, że jest przywiązany do trzech koni mających się ścigać i że każdy ich ruch niepotrzebny szarpie mu ciało. Uważał, że jego klacz nie ma dość ognia i że Yung jest zanadto obojętny. Mimo woli słyszał rozmowy otaczających go:

— Yung weźmie...

— Ale... Przypatrz się pan temu gniademu...

— Dałbym dziesięć rubli, żeby Wokulski wygrał... Utarłby nosa hrabiom...

— Krzeszowski wściekłby się...

Dzwonek. Trzy konie z miejsca ruszyły cwałem.

— Yung na przodzie...

— To właśnie głupstwo...

— Już minęli zakręt...

— Pierwszy zakręt, a gniady tuż za nim...

— Drugi... Znowu wysunął się...

— Ale gniady idzie...

— Pąsowa kurtka w tyle...

— Trzeci zakręt... Ależ Yung nic sobie z nich nie robi...

— Gniady dopędza...

— Patrzcie!... patrzcie!... Pąsowy bierze gniadego...

— Gniady na końcu... Przegrałeś pan... — Pąsowy bierze Yunga...

— Nie weźmie, już ćwiczy konia...

— Ale... ale... Brawo Yung!... Brawo Wokulski!... Klacz idzie jak woda!... Brawo!...

— Brawo!... brawo!...

Dzwonek. Yung wygrał. Wysoki sportsmen wziął klacz za uzdę i zaprowadziwszy przed trybunę sędziów zawołał:

— Sultanka. Jeździec Yung!... Właściciel anonim...

— Co to anonim... Wokulski... Brawo Wokulski!... — wrzeszczał tłum.

— Właściciel pan Wokulski! — powtórzył wysoki dżentelmen i odesłał klacz na licytację.

Wśród tłumu zbudził się szalony zapal dla Wokulskiego. Jeszcze żaden wyścig tak nie rozruszał widzów: cieszą się, że warszawski kupiec pobił dwu hrabiów.

Wokulski zbliżył się do powozu hrabiny. Pan Łęcki i damy starsze winszowały mu; panna Izabela milczała.

W tej chwili przybiegł wysoki sportsmen.

Szczęście

Obraz świata

Pozycja społeczna

Zwycięstwo

Pieniądz

— Panie Wokulski — rzekł — oto są pieniądze. Trzysta rubli nagrody, osiemset za klacz, którą ja kupilem...

Wokulski z paczką banknotów zwrócił się do panny Izabeli:

— Czy pozwoli pani, ażebym na jej ręce złożył to dla ochrony pań?...

Panna Izabela przyjęła paczkę z uśmiechem i prześlicznym spojrzeniem.

Wtem ktoś potrącił Wokulskiego. Był to baron Krzeszowski. Błady z gniewu zbliżył się do powozu i wyciągając rękę do panny Izabeli zawołał po francusku:

— Cieszę się, kuzynko, że twoi wielbicielowie triumfują... Przykro mi tylko, że na mój koszt... Witam panie! — dodał kłaniając się hrabinie i prezesowej.

Twarz hrabiny powlokła się chmurą; pan Łęcki był zakłopotany, panna Izabela zbladła. Baron w impertynencki sposób osadził spadające mu binokle i ciągle patrząc na pannę Izabelę mówił:

— Tak jest... Mam szczególniejsze szczęście do wielbicieli kuzynki...

— Baronie... — wtrąciła prezesowa.

— Przecież nie mówię nic złego... Mówię tylko, że mam szczęście do...

Stojący za nim Wokulski dotknął jego ramienia.

— Słówko, panie baronie — rzekł.

— Ach, to pan — odparł baron przypatrując mu się.

Odeszli na bok.

— Pan mnie potrącił, panie baronie...

— Bardzo przepraszam...

— To mi nie wystarcza...

— Czyżby pan chciał satysfakcji⁴¹⁸? — spytał baron.

— Właśnie.

— W takim razie służę — rzekł baron szukając biletu. — Ach, do licha! Nie wziąłem biletów... Może pan ma notatnik z ołówkiem, panie Wokulski?...

Wokulski podał mu bilet i notatnik, w którym baron zapisał adres i swoje nazwisko nie omieszkawszy zrobić przy nim zakrętu.

— Miło mi będzie — dodał kłaniając się Wokulskiemu — dokończyć rachunku za moją Sułtankę...

— Postaram się zadowolnić pana barona.

Rozstali się wymieniając najpiękniejsze ukłony.

— Rzeczywiście, awantura! — rzekł zmartwiony pan Łęcki, który widział wymianę grzeczności.

Zirytowana hrabina kazała jechać do domu nie czekając końca wyścigów. Wokulski ledwo miał czas dopaść powozu i pożegnać się z damami. Nim konie ruszyły, panna Izabela wychyliła się i podając Wokulskiemu końce palców szepnęła:

— *Merci, monsieur...*⁴¹⁹

Wokulski osłupiał z radości. Był jeszcze na jednym wyścigu nie widząc, co się koło niego dzieje, i korzystając z pauzy opuścił tor.

Prosto z wyścigów Wokulski pojechał do Szumana.

Doktor siedział przy otwartym oknie, w watowanym obdartym szlafroku, i robił korektę trzydziestostronicowej broszurki etnograficznej, do napisania której użył przeszło tysiąca obserwacji i czterech lat czasu. Była to rozprawa o kolorze i formie włosów ludności zamieszkującej Królestwo Polskie. Uczony doktor głośno twierdził, że praca ta rozejdzie się najwyżej w kilkunastu egzemplarzach, ale po cichu — kazał odbić ich cztery tysiące i był pewnym drugiej edycji. Pomimo drwin ze swej ulubionej specjalności i narzekań, iż nikogo nie interesuje, w głębi duszy Szuman wierzył, że w świecie ucywilizowanym nie ma człowieka, którego by w najwyższym stopniu nie interesowała kwestia koloru włosów i stosunki długości ich średnic. I w tej właśnie chwili zastanawiał się, czyby na czele rozprawy nie należało napisać aforyzmu: „Pokaż mi twoje włosy, a powiem ci, kim jesteś.”

Gdy Wokulski wszedł do jego pokoju i zmęczony upadł na kanapę, doktor zaczął:

— Co to za profany⁴²⁰ z tych korektorów... Mam tu paręset cyfr o trzech znakach

Kłótnia, Pojedynek,
Obyczaj

Szczęście

Idealista, Nauka

Nauka, Polak

⁴¹⁸chciał satysfakcji... — zadośćuczynienia (za obrazę), tj. pojedynku.

⁴¹⁹*Merci, monsieur* (fr.) — dziękuję, panie.

dziesiątych i wyobraź sobie, połowa jest błędna... Oni myślą, że jakaś tysięczna albo nawet setna część milimetra nic nie znaczy, a nie wiedzą, laiki⁴²¹, że tam właśnie mieści się cały sens. Niech mnie diabli porwają, jeżeli w Polsce byłoby możliwym nie tylko wynalezienie, ale nawet drukowanie tablic logarytmicznych. Dobry Polak poci się już przy drugiej cyfrze dziesiątej, przy piątej dostaje gorączki, a przy siódmej zabija go apopleksja... Cóż u ciebie słychać?

— Mam pojedynek — odparł Wokulski.

Doktor zerwał się z fotelu i tak prędko przybiegł do kanapy, że rozrzucone poły szlafroka robiły go podobnym do nietoperza.

— Co?... pojedynek? — krzyknął z błyszczącymi oczyma. — I może myślisz, że pojedę z tobą w roli lekarza?... Będę patrzył, jak dwu dudków strzela sobie we łby, i może jeszcze będę musiał którego z nich opatrywać?... Ani myślę mieszać się do tych błazeństw!... — wrzeszczał chwytając się za głowę. — Zresztą nie jestem chirurgiem i od dawna pożegnałem się z medycyną...

— Toteż nie będziesz lekarzem, tylko sekundantem⁴²².

— A... to co innego — odparł doktor bez zająknięcia. — Z kimże?...

— Z baronem Krzeszowskim.

— Dobrze strzela! — mruknął doktor wysuwając dolną wargę. — O cóż to?

— Potrącił mnie na wyścigach.

— Na wyści...?... A cóż ty robił na wyścigach?...

— Puszczając konia i nawet wziąłem nagrodę.

Szuman uderzył się ręką w tył głowy i nagle rozsuniwszy Wokulskiemu jedną i drugą powiekę zaczął mu pilnie badać oczy.

— Myślisz, żem zwariował? — spytał go Wokulski.

— Jeszcze nie. Czy to — dodał po chwili — ma być żart, czy serio?

— Zupełnie serio. Nie chcę absolutnie żadnych układów i proszę o ostre warunki.

Doktor wrócił do swego biurka, usiadł, oparł brodę na rękę i rzekł po namyśle:

— Spódnica, co?... Nawet koguty biją się tylko...

— Szuman... strzeż się!... — przerwał mu Wokulski zduszonym głosem, prostując się na kanapie.

Doktor znowu przypatrzył mu się badawczo.

— Więc już tak?... — mruknął. — Dobrze. Będę twoim sekundantem. Masz rozbić łeb, rozbij go przy mnie; może ci co pomogę...

— Przyszł ci tu zaraz Rzeckiego — odezwał się Wokulski ściskając go za rękę.

Od doktora udał się do swego sklepu, krótko rozmówił się z panem Ignacym i wróciwszy do mieszkania położył się przed dziesiątą. Znowu spał jak kamień. Dla jego lwiej natury potrzebne były silne wzruszenia; przy nich dopiero dusza szarpana namiętnością odzyskiwała równowagę.

Na drugi dzień, około piątej po południu, Rzecki z Szumanem jechali już do hrabiego-Anglika, który był świadkiem Krzeszowskiego. Obaj przyjaciele Wokulskiego milczeli w drodze; raz tylko odezwał się pan Ignacy:

— I cóż doktor na to wszystko?

— To, co już raz powiedziałem — odparł Szuman. — Zbliżamy się do piątego aktu. Jest to albo koniec dzielnego człowieka, albo początek całego szeregu głupstw...

— Najgorszych, bo politycznych — wtrącił Rzecki.

Doktor wzruszył ramionami i patrzył na drugą stronę drożki; pan Ignacy ze swoją wieczną polityką wydawał mu się nieznośnym.

Hrabia-Anglik czekał na nich w towarzystwie innego dżentelmena, który nieustannie wyglądał przez okno na obłoki i co kilka minut poruszał krtanią w taki sposób, jakby coś przetykał z trudnością. Miał minę nieprzytomnego; w rzeczywistości był niepospolitym człowiekiem, jako myśliwiec na lwy i głęboki znawca egipskich starożytności.

W gabinecie hrabiego-Anglika stał na środku stół przykryty zielonym suknem i oto-

Lekarz

Lekarz, Szaleniec

Miłość

Sen

Pojedynek

⁴²⁰*profan* — nie znający się na jakiejś nauce lub sztuce, niewtajemniczony; dziś poprawna forma lm: profani.

⁴²¹*laik* — dyletant, osoba nie znająca się na rzeczy; dziś popr. forma lm: laicy.

⁴²²*sekundant* — pośrednik i świadek uczestnika pojedynku; przed walką ustalał jej warunki z sekundantem przeciwnika.

czony czterema wysokimi krzesłami; na stole leżały cztery arkusze papieru, cztery ołówki, dwa pióra i kałamarz tak wielkich rozmiarów, jakby był przeznaczony do sitzbadów⁴²³.

Gdy wszyscy usiedli, hrabia zabrał głos:

— Proszę panów — rzekł — baron Krzeszowski przyznaje, że mógł potrącić pana Wokulskiego, ponieważ jest roztargniony, *tek*. W konsekwencji zaś, na nasze żądanie...

Tu hrabia spojrział na swego towarzysza, który z uroczystą miną coś przełknął.

— Na nasze żądanie — ciągnął hrabia — baron jest gotów... przeprosić nawet listownie pana Wokulskiego, którego wszyscy szanujemy — *tek*... Cóż panowie na to?

— Nie mamy upoważnienia do żadnych kroków pojednawczych — odparł Rzecki, w którym ocknął się były oficer węgierski.

Uczony egiptolog szeroko otworzył oczy i przełknął dwa razy, raz po raz.

Na twarzy hrabiego mignęło zdumienie; w tej chwili jednak opanował się i odpowiedział tonem suchej grzeczności.

— W takim razie słuchamy warunków...

— Niech panowie raczą je podać — odparł Rzecki.

— O! bardzo prosimy panów — rzekł hrabia.

Rzecki odchrząknął.

— W takim razie ośmielę się proponować... Przeciwnicy stają o dwadzieścia pięć kroków, idą naprzód po pięć kroków...

— Tek.

— Pistolety gwintowane z muszami...⁴²⁴ Strzały do pierwszej krwi...⁴²⁵ — zakończył Rzecki ciszej.

— Tek.

— Termin, jeżeli można, jutro przed południem...

— Tek.

Rzecki uklonił się nie wstając z krzesła. Hrabia wziął arkusz papieru i wśród ogólnego milczenia przygotował protokół, który Szuman natychmiast przepisał. Oba dokumenty poświadczono i niespełna w trzy kwadranse interes był gotowy. Świadkowie Wokulskiego pożegnali gospodarza i jego towarzysza, który znowu zatopił się w rozpatrywaniu obłoków.

Gdy już byli na ulicy, Rzecki odezwał się do Szumana:

— Bardzo mili ludzie ci panowie z arystokracji...

— Niech ich diabli porwą!... Niech was wszystkich diabli porwą z waszymi głupimi przesądami!... — wrzeszczał doktor wywijając kulakiem⁴²⁶.

Wieczorem pan Ignacy sprowadziwszy pistolety wstąpił do Wokulskiego. Zastał go samotnego przy herbacie. Rzecki nalał sobie herbaty i odezwał się:

— Uważasz, Stachu, to są ludzie wysoce honorowi. Baron, który jak wiesz, jest bardzo roztargniony, gotów cię przeprosić...

— Żadnych przeprosin.

Rzecki umilkł. Pił herbatę i tarł czoło. Po długiej pauzie rzekł:

— Naturalnie, zapewne pomyślał o interesach... na wypadek...

— Nie spotka mnie żaden wypadek — odparł z gniewem Wokulski.

Pan Ignacy posiedział jeszcze z kwadrans w milczeniu. Herbata nie smakowała mu, głowa go bolała. Dokończył szklanki i spojrzawszy na zegarek opuścił mieszkanie przyjaciela mówiąc na pożegnanie:

— Jutro wyjedziemy o wpół do ósmej rano.

— Dobrze.

Gdy pan Ignacy wyszedł, Wokulski usiadł do biurka, na arkusiku listowego papieru napisał kilkadziesiąt wierszy, a na kopercie położył adres Rzeckiego. Zdawało mu się, że wciąż słyszy niemiły głos barona:

„Cieszę się, kuzynko, że triumfują twoi wielbicielcy... Przykro mi tylko, że na mój koszt...”

⁴²³*sitzbad* (z niem.) — kąpiel nasiadowa, kąpiel lecznicza obejmująca podbrzusze i uda.

⁴²⁴*Pistolety gwintowane z muszami* — gwint w broni palnej: spiralne żłobkowanie wnętrza lufy, które nadaje pociskowi ruch postępowo-obrotowy i zwiększa celność; musza (muskla) — występ na końcu lufy broni palnej, służący do celowania.

⁴²⁵*Strzały do pierwszej krwi* — tj. do pierwszej rany, odniesionej przez któregoś z uczestników pojedynku.

⁴²⁶*kulak* — pięść.

Grzeczność

Pozycja społeczna

A gdziekolwiek spojrzął, widział piękną twarz panny Izabeli oblaną rumieńcem wstydu.

W sercu gotowała mu się głucha wściekłość. Czuł, że jego ręce stają się jak żelazne sztaby, a ciało nabiera tak dziwnej tęgości, że chyba nie ma kuli, która by uderzywszy go nie odskoczyła. Przemknął mu przez głowę wyraz: śmierć, i na chwilę uśmiechnął się. Wiedział, że śmierć nie rzuca się na odważnych; staje tylko naprzeciw nich jak zły pies i patrzy zielonymi oczyma: czy nie zmrują powieki?

Tęj samej nocy, jak każdej zresztą innej nocy, baron grał w karty. Maruszewicz, który również był w klubie, przypominał mu o dwunastej, o pierwszej i o drugiej, ażeby szedł spać, gdyż z rana zbudzi go o siódmej; roztargniony baron odpowiadał: „Zaraz! zaraz!...”, ale przesiedział do trzeciej, o której to godzinie odezwał się jeden z jego partnerów:

— Basta! baronie. Prześpij się choć parę godzin, bo będą ci drżały ręce i spudłujesz.

Słowa te, a jeszcze bardziej opuszczenie stolika przez partnerów, otrzeźwiły barona. Wyszedł z klubu, wrócił do domu i swemu kamerdynerowi, Konstantemu, kazał zbudzić się o siódmej rano.

— Pewnie jasnie pan robi jakieś głupstwo!... — mruknął obrażony sługa. — Cóż tam znowu?... — pytał gniewnie, rozbierając barona.

— A, ty błźnie jakiś! — oburzył się baron — myślisz, że ja będę się przed tobą tłumaczył? Mam pojedynek, no?... bo mi się tak podoba. O dziewiątej rano będę się strzelał z jakimś szwecem czy fryzjerem, no?... Może mi zabronisz?...

— A niech się jasnie pan strzela nawet ze starym diablem! — odparł Konstanty. — Tylko ciekawy, kto weksle jasnie pana zapłaci?... A komorne... a utrzymanie domu?... Dlatego, że jasnie pan co kwartał ma ciekawość na Powązki, to gospodarz nasyla nam rejentów, a ja boję się, żebym z głodu nie umarł... Dobra służba!...

— Pójdiesz mi ty!... — wrzasnął baron i pochwyciwszy kamasz rzucił nim za cofającym się kamerdynerem. Kamasz trafił w ścianę i o mało nie zwałił brązowego posążka Sobieskiego.

Załatwiwszy się z wiernym sługą, baron legł na łóżku i począł zastanawiać się nad swoim oplakany położeniem.

„Trzeba szczęścia — wzdychał — ażeby mieć pojedynek z kupczykiem. Jeżeli ja go trafię, będę jak myśliwiec, który wyszedł na niedźwiedzie, a zabił chłopu cielną krowę. Jeżeli on mnie trafi, wyjdzie na to, jak gdyby mnie zwałił batem dorożkarz. Jeżeli z obu stron pudło... Nie, mamy przecież strzelać się do krwi. Niech mnie roztratują, jeżeli nie wolałbym tego osła przeprosić, choćby w kancelarii rejenta, ubrawszy się na tę uroczystość we frak i biały krawat. Ach, podle czasy liberalne⁴²⁷!... Mój ojciec kazałby takiego zucha oćwiczyć swoim psiarczykom, a ja muszę dawać mu satysfakcję, jak gdybym sam sprzedawał cynamon... Niechże już raz przyjdzie ta głupia rewolucja socjalna i wytłucze albo nas, albo liberalów...”

Począł usypiać i marzył, że Wokulski zabił go. Widział, jak jego trupa dwu posłańców niesie do mieszkania żony, jak żona mdleje i rzuca mu się na zakrwawione piersi... Jak płaci wszystkie jego długi i asygnuje tysiąc rubli na pogrzeb i... jak on zmartwychwstaje i zabiera owe tysiąc rubli na drobne wydatki...

Błogi uśmiech zaigrał na zniszczonej twarzy barona i — zasnął jak dziecko.

O siódmej ledwie go zbudzili Konstanty i Maruszewicz. Baron w żaden sposób nie chciał wstawać mrucząc, że woli być zhańbionym i niehonorowym aniżeli zrywać się tak wcześniej. Dopiero widok karafki z zimną wodą upamiętał go. Baron wyskoczył z łóżka, uderzył Konstantego, zwymyślał Maruszewicza, a w duchu przysiągł, że Wokulskiego zabije.

Lecz gdy już był ubrany, wyszedł na ulicę, zobaczył piękną pogodę i wyobraził sobie, że widzi wschód słońca, nienawiść do Wokulskiego osłabła w nim i postanowił tylko przestrzelić mu nogę.

„A tak!... — dodał po chwili. — Drasnę go, a on będzie kulał do końca życia i będzie opowiadał: tę śmiertelną ranę otrzymałem w pojedynku z baronem Krzeszowskim!... To mnie urządzi... Co oni mi narobili, ci moi kochani sekundanci?... Jeżeli już jakiś kupczyk

Śmierć, Odwaga, Oko

Noc

Sługa

Pozycja społeczna,
Pojedynek, Mieszczanin,
Szlachcic, Rewolucja

Marzenie, Sen, Pieniądz

Obyczaje, Pojedynek

⁴²⁷ *czasy liberalne* — tu w znaczeniu: czasy, w których zwyciężają hasła równości wszystkich ludzi, bez względu na pochodzenie.

gwałtem chce do mnie strzelać, niech strzela przynajmniej wtedy, kiedy idę na spacer, ale nie w pojedynku... Straszne położenie!... Wyobrażam sobie, jak moja droga małżonka będzie opowiadać, że biję się z kupcami...”

Zajechały powozy. Do jednego wsiadł baron z hrabią—Anglikiem, do drugiego milczący egiptolog z pistoletami i chirurgiem. Ruszyli w stronę Bielan⁴²⁸, a w parę minut popędził za nimi lokaj barona, Konstanty, w dorożce. Wierny sługa kłął na czym świat stoi i obiecywał, że w dwójnasób policzy swemu panu kosztą tej wycieczki. Był jednak niespokojny.

W lasku bielańskim baron i trzech jego towarzysze znaleźli już partię przeciwną i dwoma grupami udali się w gęstwinę tuż nad brzegiem Wisły. Doktor Szuman był zirytowany, Rzecki sztywny, Wokulski posępny. Baron gładząc swój rzadki zarost przypatrywał mu się z uwagą i myślał:

„On musi dobrze karmić się, ten kupczyk. Wyglądam przy nim jak austriackie cygaro przy byku. Niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie strzelę temu błaznowi nad głowę albo... wcale nie strzelę... Tak będzie najlepiej...” Ale wnet przypomniał sobie, że pojedynek ma doprowadzić do pierwszej krwi. Wtedy baron rozżłościł się i nieodwołalnie postanowił zabić Wokulskiego z miejsca.

„Niech raz te łyki⁴²⁹ oduczą się wyzywać nas...” — mówił sobie baron.

O kilkadziesiąt kroków od niego Wokulski chodził między dwoma sosnami tam i na powrót jak wahadło. Teraz nie myślał o pannie Izabeli; słuchał świergotu ptaków, którym kipiał cały las, i pluskania Wisły podmywającej brzegi. Na tle odgłosów spokojnego szczęścia natury dziwnie odbijało szczęknięcie stempli w pistoletach i trzask odwodzonych kurków. W Wokulskim obudziło się drapieżne zwierzę; cały świat zniknął mu przed oczu, a został tylko jeden człowiek, baron, którego trupa miał zawlec do nóg obrażonej panny Izabeli.

Postawiono ich na mecie. Baron był ciągle zakłopotany niepewnością, co zrobić z kupczykiem, i ostatecznie zdecydował się przestrzelić mu rękę. Na twarzy Wokulskiego malowała się tak dzika zjadłość, że zdumiony hrabia—Anglik pomyślał:

„Tu chyba nie chodzi ani o kłacz, ani o potrącenie na wyścigach!...”

Milczący dotychczas egiptolog zakomenderował, przeciwnicy wycelowawszy pistolety ruszyli. Baron zmierzył Wokulskiemu w prawy obojczyk i zniżając pistolet, delikatnie przycisnął cyngiel. W ostatniej chwili pochyliły mu się binokle; pistolet zboczył na włos, wypalił i — kula przeleciała o kilka cali od ramienia Wokulskiego.

Baron zasłonił twarz lufą i patrząc spoza niej myślał:

„Nie trafi osioł... Mierzy w głowę...”

Nagle uczył mocne uderzenie w skroń; zasumiało mu w uszach, czarne płatki przeleciały przed oczyma... Wypuścił broń z ręki i przyklęknął.

— W głowę!... — krzyknął ktoś.

Wokulski rzucił pistolet na ziemię i zeszedł⁴³⁰ z mety.

Wszyscy pobiegli do kłęzącego barona, który jednakże zamiast umierać, mówił wrzaskliwym głosem:

— Szczególny wypadek! Mam dziurę w twarzy, ząb wybity, a kuli nie widać... Przecież jej nie połknąłem...

Wtedy egiptolog podniósł i obejrzał starannie pistolet barona.

— A!... — zawołał — to jasne... Kula w pistolet, a zamek w szczękę... Pistolet zdezelowany; bardzo interesujący strzał...

— Czy pan Wokulski zadowolony? — spytał hrabia—Anglik.

— Tak.

Baronowi chirurg obandażował twarz. Spomiędzy drzew nadbiegł wystraszony Konstanty.

— A co! — mówił. — Przepowiadałem, że się jaśnie pan doigra.

Sługa

Mieszczanin, Pozycja społeczna

Natura

Wróg

Walka

Sługa

⁴²⁸Bielany — miejscowość oddalona o 5 km na północ od Warszawy z kościołem Kamedulów (założonym w r. 1639). Od czasów Jana Kazimierza w Lasku Bielańskim odbywały się odpusty w dzień Zielonych Świątek, stąd tradycje późniejszych „majówek” w Lasku Bielańskim.

⁴²⁹łyk — pogardliwie: mieszczanin.

⁴³⁰zeszedł — dziś: zszedł.

— Milcz, błaznie!... — wybelkotał baron. — Jedź mi zaraz do pani baronowej i powiedz kucharce, że jestem ciężko ranny...

— Proszę — rzekł uroczyście hrabia-Anglik — ażeby przeciwnicy podali sobie ręce. Wokulski zbliżył się do barona i uściśnął go.

— Piękny strzał, panie Wokulski — mówił z trudnością baron, mocno potrząsając Wokulskiego za rękę. — Zastanawia mnie, że człowiek pańskiego fachu... Ale może pana to obraża?...

— Wcale nie!

— Otóż, że człowiek pańskiego fachu, bardzo zresztą szanownego, tak dobrze strzela... Gdzie moje binokle?... Ach, są... Panie Wokulski, proszę o słówko na osobności...

Oparł się na ramieniu Wokulskiego i odeszli kilkanaście kroków w las.

— Jestem oszpecony — mówił baron — wyglądam jak stara małpa chora na fluk-sję⁴³¹. Nie chcę z panem drugiej awantury, bo widzę, że masz szczęście... Więc powiedz mi pan: za co właściwie zostałem kaleką?... Bo nie za to potrącenie... — dodał patrząc mu w oczy.

— Obraziłeś pan kobietę... — odparł cicho Wokulski.

Baron cofnął się o krok.

— Ach... *C'est ça!*⁴³²... — rzekł. — Rozumiem... Jeszcze raz przepraszam pana, a tam... wiem, co mi należy zrobić...

— I pan mi przebac, baronie — odpowiedział Wokulski.

— Mała rzecz... bardzo proszę... nic nie szkodzi — mówił baron targając go za rękę. — Nie powinienem być oszpecony, a co do zęba... Gdzie mój ząb, doktorze?... proszę zawinąć go w paperek... A co do zęba, od dawna już powinienem wprawić sobie nowe. Nie uwierzysz pan, panie Wokulski, jak mam popsute zęby...

Pożegnali się wszyscy bardzo zadowoleni. Baron dziwił się, skąd człowiek tego fachu tak dobrze strzela, hrabia-Anglik więcej niż kiedykolwiek był podobny do marionetki, a egiptolog znowu zaczął obserwować obłoki. W drugiej zaś partii — Wokulski był zamyślony, Rzecki zachwycony odwagą i uprzejmością barona, a tylko Szuman zły. I dopiero gdy ich karetą zjechała z góry obok klasztoru Kamedułów, doktor spojrzał na Wokulskiego i mruknął:

— A to bydła!... I że ja na takich błaznów nie sprowadziłem policji...

W trzy dni po dziwnym pojedynku siedział Wokulski zamknięty w gabinecie z jakimś panem Wiliamelem Colins. Służący, którego od dawna intrygowały te konferencje odbywające się po kilka razy na tydzień, ścierał kurze w pokoju obocznym i od czasu do czasu przysuwał bądź oko, bądź ucho do dziurki od klucza. Widział na stole jakieś książki i to, że jego pan coś pisze na kajecie; słyszał, że gość zadaje Wokulskiemu jakieś pytania, na które on odpowiada czasem głośno i od razu, czasem półgłosem i nieśmiało... Ale o czym by rozmawiali w tak niezwykle sposób? lokaj nie mógł odgadnąć, ponieważ rozmowa toczyła się w obcym języku.

„Jużci, to nie po niemiecku — mruczał służący — bo przecie wiem, że się mówi po niemiecku: *bite majn her*...⁴³³ I nie po francusku, bo nie mówią *mąsie, bązur, lendi*...⁴³⁴. I nie po żydowsku, i nie po nijakiemu, więc po jakiemu?... Musi stary wymyślać teraz *fajn*⁴³⁵ spekulację, kiedy gada tak, że go sam diabeł nie zrozumie... i współnika znalazł... Niech go wątrobali...”

Wtem zadzwoniono. Czujny sługa odsunął się na palcach ode drzwi gabinetu, z hałasem wszedł do przedpokoju i po chwili wróciwszy zapukał do pana.

— Czego chcesz? — niecierpliwie zapytał go Wokulski wychylając głowę spod między drzwi.

— Przyszedł ten pan, co już u nas był — odparł służący i zapuścił wzrok do pracowni. Ale oprócz kajetu na stole i rudych faworytów na obliczu pana Colinsa nie dopatrzył nic szczególnego.

⁴³¹fluksja — zapalenie lub ropień dziąsła.

⁴³²*C'est ça!*... (fr.) — to tak!...

⁴³³*Bite majn her* (niem.) — proszę, mój panie (napisane są te wyrazy tak, jak je wymawiał służący).

⁴³⁴*mąsie, bązur, lendi* — wyrazy francuskie: pan, dzień dobry, poniedziałek, napisane w zniekształconej przez służącego wymowie.

⁴³⁵*fajn* (niem.) — przedni, dobry (pisownia zniekształcona).

Sprawiedliwość

Sługa

— Dlaczegoż nie powiedziałeś, że mnie nie ma w domu? — spytał gniewnie Wokulski.

— Zapomniałem — odparł służący marszcząc brwi i machając ręką.

— Proście go, ośle, do sali — rzekł Wokulski i zatrzaskał drzwi gabinetu.

Niebawem w sali ukazał się Maruszewicz. Już był zmieszany, a zmieszał się jeszcze bardziej, poznawszy, że Wokulski wita go z wyraźną niechęcią:

— Przepraszam... może przeszkadzam... może ważne zajęcia...

— Nie mam w tej chwili żadnego zajęcia — odpowiedział pochmurnie Wokulski i lekko zarumienił się. Maruszewicz dostrzegł to. Był pewny, że w mieszkaniu albo kluje się coś, albo — jest kobieta. W każdym razie odzyskał odwagę, którą zresztą miał zawsze wobec ludzi zakłopotanych.

— Chwileczkę tylko zabiorę szanownemu panu — mówił już śmieiej zniszczony młody człowiek, wdzięcznie wywijając laseczką i kapeluszem. — Chwileczkę.

— Słucham — rzekł Wokulski. Usiadł z impetem na fotelu i wskazał gościowi drugi.

— Przychodzę przeprosić drogiego pana — mówił z afekcją Maruszewicz — że nie mogę służyć mu w sprawie licytacji domu państwa Łęckich...

— A pan skąd wiesz o tej licytacji?... — nie na żarty zdziwił się Wokulski.

— Nie domyśla się pan? — zapytał z całą swobodą przyjemny młody człowiek nieznacznie mrugając okiem, bo jeszcze nie był pewnym swego. — Nie domyśla się drogi pan?... To ten pocziwy Szlangbaum...

Nagle zamilkł, jakby w otwartych ustach ugrzązł mu niedokończony frazes, a lewa ręka z laseczką i prawa z kapeluszem opadły na poręcze fotelu. Tymczasem Wokulski nawet nie poruszył się, tylko utopił w nim jasne spojrzenie. Śledził nieznacznie fale przebiegające po obliczu Maruszewicza, jak myśliwy śledzi ugór, po którym przebiegają płochliwe zające. Przypatrywał się młodzieńcowi i myślał:

„Ach, więc to on jest tym porządnym katolikiem, którego Szlangbaum wynajmuje do licytacji za piętnaście rubelków, ale nie radzi dawać mu wadium do ręki?... Oho!... I przy odbiorze ośmuset rubli za kłacz Krzeszowskiego był jakiś zmieszany... Aha!... I wiadomość o nabyciu przeze mnie kłaczy on rozgłosił... Służy od razu dwom bogom: baronowi i jego małżonce... Tak, ale on za dużo wie o moich interesach... Szlangbaum popełnił nieostrożność...”

Tak rozmyślał Wokulski i spokojnym wzrokiem przypatrywał się Maruszewiczowi. Zniszczony zaś młody człowiek, który w dodatku był bardzo nerwowy, wił się pod jego spojrzeniem jak gołąbek pod wzrokiem okularnika⁴³⁶. Naprzód nieco pobladł, potem chciał oprzeć znużone oczy na jakimś obojętnym przedmiocie, którego na próżno szukał po suficie i ścianach pokoju, a nareszcie, obłany zimnym potem, uczuł, że nie może wyrwać swego błędnego wzroku spod wpływu Wokulskiego. Zdawało mu się, że chmurny kupiec kleszczami pochwycił mu duszę i że niepodobna mu się oprzeć. Więc jeszcze parę razy ruszył głową i nareszcie z całym zaufaniem utonął w spojrzeniu Wokulskiego.

— Panie — rzekł słodkim głosem. — Widzę, że z panem muszę grać w otwarte karty... Więc powiem od razu...

— Niech się pan nie fatyguje, panie Maruszewicz. Ja już wiem, co potrzebuję wiedzieć.

— Bo pan dobrodziej złudzony plotkami wyrobił sobie o mnie nieprzychylną opinię... A tymczasem ja, słowo honoru, mam jak najlepsze skłonności...

— Niech pan wierzy, panie Maruszewicz, że moich opinii nie opieram na plotkach.

Wstał z fotelu i spojrzał w inną stronę, co pozwoliło Maruszewiczowi nieco oprzytomnieć. Młody człowiek szybko pożegnał Wokulskiego, opuścił mieszkanie i pędem biegnąc przez schody, myślał:

„No, słyszał kto?... Taki kramarz chce mi imponować! Była chwila, słowo honoru, że chciałem go uderzyć kijem... Impertynent, słowo honoru... Gotów pomyśleć, że ja się go boję, słowo honoru... O Boże, jak ciężko karzesz mnie za lekkomyślność!... Podli lichwiarze nasyłają mi komornika, za parę dni muszę spłacić dług honorowy, a ten kupczyk, ten... łajdak!... Ja bym tylko chciał wiedzieć: co się takiemu zdaje, co on sobie o mnie wyobraża?... Nic, tylko to... Ale, słowo honoru, on musiał kogoś zamordować,

⁴³⁶okularnik — popularna nazwa kobry indyjskiej.

bo takiego spojrzenia nie może mieć człowiek przyzwoity. Naturalnie, przecie o mało nie zabił Krzeszowskiego. Ach, nędzny zuchwalec!... on śmiał w taki sposób patrzeć na mnie... na mnie, jak Boga kocham!..."

Mimo to na drugi dzień przyjechał znowu z wizytą do Wokulskiego, a nie znalazłszy go w mieszkaniu, kazał dorożkarzowi stanąć przed sklepem.

W sklepie przywitał go pan Ignacy rozkładając ręce w taki sposób, jakby cały sklep oddawał mu do rozporządzenia. Wewnętrzny głos jednak mówił staremu subiektowi, że gość ten nie kupi przedmiotu droższego nad pięć rubli i kto wie, czy jeszcze nie każe zapisać sobie na rachunek.

— Pan Wokulski?... — spytał Maruszewicz nie zdejmując kapelusza z głowy.

— W tej chwili nadejdzie — odpowiedział pan Ignacy z niskim ukłonem.

— W tej chwili, to znaczy?...

— Najpóźniej za kwadransik — odparł Rzecki.

— Zaczekam. Każ pan wynieść rubla dorożkarzowi — mówił młody człowiek, nie dbale rzucając się na krzesło. Nogi mu jednakże zastygły na myśl, że stary subiekt może nie kazać wynieść rubla dorożkarzowi. Ale Rzecki polecenie spełnił, choć już nie kłaniał się gościowi.

W parę minut wszedł Wokulski.

Maruszewicz zobaczywszy wstrętną figurę kupczyka doświadczył tak rozmaitych uczuć, że nie tylko nie wiedział, co mówi, ale nawet o czym myśli. Pamiętał tylko, że Wokulski zaprowadził go do gabinetu za sklepem, gdzie znajdowała się żelazna kasa, i powiedział sobie, że uczucia, jakich doznaje na widok Wokulskiego, są lekceważeniem pomieszanym ze wzgardą. Później przypomniał sobie, że afekta te starał się zamaskować wyszukaną grzecznością, która nawet w jego oczach wyglądała na pokorę.

— Co pan każe? — spytał go Wokulski, gdy już usiedli. (Maruszewicz nie umiałby ściśle oznaczyć chwili aktu zajmowania miejsca w przestrzeni). Mimo to zaczął, niekiedy zacinając się:

— Chciałem szanownemu panu dać dowód życzliwości... Pani baronowa Krzeszowska, jak pan wie, chce kupić dom państwa Łęckich... Otóż jej małżonek, baron, położył veto⁴³⁷ na pewnej części jej funduszów, bez których kupno nie może mieć miejsca... Otóż... dziś... baron chwilowo znajduje się w kłopotcie... Brak mu... brak mu tysiąca rubli... chciałby zaciągnąć pożyczkę, bez której... bez której, pojmuje pan, nie będzie mógł dość energicznie opierać się woli żony...

Maruszewicz otarł pot z czoła widząc, że Wokulski znowu przypatruje mu się badawczo.

— Więc to baron potrzebuje pieniędzy?

— Tak — szybko odparł młody człowiek.

— Tysiąca rubli nie dam, ale tak trzysta... czterysta... I to na kwit z podpisem barona.

— Czterysta! — powtórzył machinalnie młody człowiek i nagle dodał: — Za godzinę przywiozę kwit barona... Pan tu będzie?

— Będę...

Maruszewicz opuścił gabinet i za godzinę istotnie wrócił z kwitem podpisanym przez barona Krzeszowskiego. Wokulski przeczytawszy dokument włożył go do kasy i w zamian dał Maruszewiczowi czterysta rubli.

— Baron postara się w jak najkrótszym czasie... — mruczał Maruszewicz.

— Nic pilnego — odpowiedział Wokulski. — Podobno baron chory?

— Tak... trochę... Jutro lub pojutrze wyjeżdża... Zwróci w najkrótszym...

Wokulski pożegnał go bardzo obojętnym ruchem głowy.

Młody człowiek prędko opuścił sklep zapomniawszy nawet zwrócić Rzeckiemu rubla wziętego na dorożkę. Gdy zaś znalazł się na ulicy, odetchnął i począł myśleć:

„Ach, podły kupczyk!... Ośmielił się dać mi czterysta rubli zamiast tysiąca... Boże, jak srogo karzesz mnie za lekkomyślność... Bylem się odegrał, słowo honoru, cisnę mu w oczy te czterysta rubli i tamtych dwieście... Boże, jak nisko upadłem...”

Pieniądz

⁴³⁷ veto (łac.) — sprzeciw; położył veto na część jej funduszów: zabronił jej tą częścią rozporządzać.

Przyszli mu na myśl kelnerzy różnych restauracji, markierzy⁴³⁸ bilardów i szwajcarzy hotelowi, od których również bardzo rozmaitymi sposobami wydobywał pieniądze. Ale żaden z nich nie wydał mu się tak wstrętnym i godnym pogardy jak Wokulski.

„Słowo honoru — myślał — dobrowolnie wlażem mu w te obrzydliwe łapy... Boże, jak karzesz mnie za lekkomyślność...”

Lecz Wokulski po odejściu Maruszewicza był kontent.

„Zdaje mi się — myślał — że jest to hultaj dużej ręki, a przy tym sprytny. Chciał ode mnie posady, lecz sam ją znalazł: śledzi mnie i donosi innym. Mógłby mi narobić kłopotu, gdyby nie te czterysta rubli, które wziął, jestem pewny, za sfalszowanym podpisem. Krzeszowski przy całym swoim bzikostwie i próżniactwie jest człowiek uczciwy... (Czy próżniak może być uczciwym?...) W żadnym razie nie poświęciłby interesów czy kaprysów swej żony za pożyczkę wziętą ode mnie...”

Zrobiło mu się przykro; oparł głowę na rękach i przymknąwszy oczy marzył dalej:

„Co ja jednak wyrabiam?... Świadomie pomagam hultajowi do zrobienia łotrostwa. Gdybym dziś umarł, pieniądze te musiałby *masie*⁴³⁹ zwrócić Krzeszowski... Nie, to Maruszewicz poszedłby do kozy... No, to go nie minie...”

Po chwili ogarnął go jeszcze czarniejszy pesymizm.

„Cztery dni temu o mało nie zabiłem człowieka, dziś dla drugiego postawiłem most do więzienia i — wszystko dla niej za jedno: merci... No, dla niej także zrobiłem majątek, daję pracę kilkuset ludziom, pomnożę bogactwa kraju... Czymże byłbym bez niej? Małym, galanteryjnym kupcem. A dziś mówią o mnie w całej Warszawie, ba!... Odrobina węgla porusza okręt dźwigający dolę kilkuset ludzi, a miłość porusza mnie. A jeżeli mnie spali tak, że zostanę tylko garścią popiołu?... O Boże, jaki to nędzny świat... Ma rację Ochocki. Kobieta jest podłym zwierzęciem: bawi się tym, czego nawet nie może zrozumieć...”

Był tak pogrążony w bolesnych medytacjach, że nie usłyszał otwierania drzwi do pokoju i szybkich kroków za sobą. Dopiero ocknął się poczuwszy dotknięcie czyjejś ręki. Odwrócił głowę i zobaczył mecenasa z dużą teką pod pachą i posępnym wyrazem na twarzy.

Wokulski zerwał się zmieszany, posadził gościa na fotelu; znakomity adwokat ostrożnie położył swoją rękę na stole i szybko pocierając sobie jednym palcem kark rzekł półgłosem:

— Panie... panie... panie Wokulski! Kochany panie Stanisławie!... Co to... co to wyrabiasz pan dobrodziej?... Protestuję... replikuję... zakładam apelację od wielmożnego pana Wokulskiego, letkiewicza, do kochanego pana Stanisława, który z chłopca sklepowego został uczonym i miał nam zreformować handel zagraniczny. Panie... panie Stanisławie — tak nie można!

To mówiąc pocierał sobie kark z obu stron i krzywił się, jakby miał pełne usta chininy.

Wokulski spuścił oczy i milczał; adwokat mówił dalej:

— Panie drogi — jednym słowem — źle słyhać. Hrabia Sanocki, pamięta go pan, ten stronnik groszowych oszczędności, chce zupełnie wycofać się ze spółki... A wie pan dlaczego? Dla dwu powodów: naprzód, bawisz się pan w wyścigi, a po wtóre — bijesz go pan na wyścigach. Razem z pańską klaczą ścigał się jego koń i — przegrał. Hrabia jest bardzo zmartwiony i mruczy: „Po diabła mam składać kapitały? Czy po to, ażeby kupcom dawać możliwość ścigania się ze mną i chwytania mi nagród sprzed nosa?...”

Na próżno przekonywałem go — ciągnął odpocząwszy adwokat — że przecież wyścigi są takim dobrym interesem jak każdy inny, a nawet lepszym, gdyż w ciągu kilku dni na ośmiuset rublach zarobiłeś pan trzysta; ale hrabia od razu zamknął mi usta:

„Wokulski — odparł — całą wygraną i wartość konia oddał damom na ochronkę, a oprócz tego Bóg wie ile zapłacił Yungowi i Millerowi...”

— Czy mi nawet tego robić nie wolno! — wtrącił Wokulski.

— Wolno, panie, wolno — potakiwał słodko znakomity adwokat. — Wolno robić, ale robiąc to — powtarzasz pan tylko stare grzechy, zresztą daleko lepiej spełniane przez innych. Ani zaś ja, ani książę, ani ci hrabiowie nie po to zbliżyli się do pana, ażebyś odgrzewał dawne potrawy, tylko — ażebyś wskazał nam nowe drogi.

Konflikt wewnętrzny,
Kobieta, Męczyzna, Miłość

⁴³⁸markier — pilnujący porządku przy grze.

⁴³⁹masa (spadkowa) — całość majątku pozostałego po zmarłym.

— Więc niech się cofną od spółki — odburknął Wokulski — ja ich nie wabię...
— I cofną się — mówił adwokat trzęsąc ręką — zrób no pan tylko jeszcze jeden błąd...

— Albożem narobił ich tak wiele!...

— Pyszny pan jesteś — złościł się mecenas uderzając ręką w kolano. — A pan wiesz, co mówi hrabia Liciński, ten niby-Anglik, ten: „tek”?... On mówi: „Wokulski jest to skończony dżentelmen, strzela jak Nemrod⁴⁴⁰, ale... to żaden kierownik interesu kupieckiego. Bo dzisiaj rzuci miliony w przedsiębiorstwo, a jutro wyzwie kogo na pojedynek i wszystko narazi...”

Wokulski aż cofnął się z fotelem. Ten zarzut nawet nie przyszedł mu do głowy. Mecenas spostrzegłszy wrażenie postanowił kuć żelazo, póki gorące.

— Jeżeli tedy, kochany panie Stanisławie, nie chcesz zmarnować tak pięknie rozpoczętej sprawy, więc już nie brnij dalej. A nade wszystko — nie kupuj kamienicy Łęckich. Bo gdy włożysz w nią dziewięćdziesiąt tysięcy rubli, daruj, ale spółka rozwieje się jak dym z fajki. Ludzie widząc, że umieszczasz duży kapitał na sześć lub siedem procent, stracą wiarę do owych procentów, jakieś im obiecywał, a nawet... Pojmujesz... Gotowi podejrzynwać...

Wokulski zerwał się od stołu.

— Nie chcę żadnych spółek!... — krzyknął. — Nie żądam od nikogo łaski, raczej wyświadczam ją innym. Kto mi nie ufa, niech sprawdzi cały interes... Przekona się, że nie mistyfikowałem, ale — i nie będzie moim współnikiem. Hrabiowie i książęta nie mają monopolu na fantazję... Ja mam także moje fantazje i nie lubię, ażeby mi się wtrącano...

— Powoli... powoli... uspokój się, kochany panie Stanisławie — mitygował adwokat, na powrót sadowiąc go na fotelu. — Więc nie cofasz się od kupna?...

— Nie; ta kamienica ma dla mnie większą wartość aniżeli spółka z panami całego świata.

— Dobrze... dobrze... Więc może byś na pewien czas podstawiał kogo zamiast siebie. W razie ostatecznym nawet ja pożyczę ci firmy, a o zabezpieczenie własności nie ma kłopotu. Najważniejsza rzecz — nie zniechęcać ludzi, którzy już są. Arystokracja, raz zasmakowawszy w interesach publicznych, może do nich przylgnie, a za rok, za pół roku pan staniesz się i nominalnym właścicielem kamienicy. Cóż, zgoda?

— Niech i tak będzie — odparł Wokulski.

— Tak — mówił adwokat — tak będzie najlepiej. Gdybyś pan sam kupił ten budynek, znalazłbyś się w fałszywej pozycji nawet wobec państwa Łęckich. Zazwyczaj nie lubimy tych, którzy coś po nas dziedziczą, to jedno. A po wtóre — kto zaręczy, że nie zaczęłyby snuć im się różne kombinacje po głowach?... Nużby pomyśleli: kupił za drogo albo za tanio?... Jeżeli za drogo — jak śmie robić nam łaskę, a jeżeli za tanio, to — wyzyskał nas...

Ostatnich wyrazów adwokata Wokulski prawie nie słyszał pochłonięty innymi myślami, które go jeszcze mocniej opanowały po odejściu gościa.

„Już ci — mówił do siebie — adwokat ma rację. Ludzie mnie sądzą i nawet wyrokuja: ale że robią to poza moimi plecami, więc nie wiem o niczym. Dziś dopiero przychodzi mi na myśl wiele szczegółów. Już od tygodnia kupcy związani ze mną mają kwaśne miny, a przeciwnicy — triumfują. W sklepie także coś jest... Ignacy chodzi smutny, Szlangbaum zamyślony. Lisiecki stał się opryskliwszy niż dawniej, jakby przypuszczał, że niedługo wylecę z budy. Klejn ma minę żalostną (socjalista! gniewa się na wyścigi i pojedynki...), a frant Zięba już zaczyna kręcić się przy Szlangbaumie... Może przeczuwa w nim przyszłego właściciela sklepu?... Ach, wy kochani ludzie!...”

Stanął na progu gabinetu i kiwnął na Rzeckiego; stary subiekt istotnie był jakiś niewyraźny i swemu pryncypałowi nie patrzył w oczy.

Wokulski wskazał mu krzesło i przeszedłszy się parę razy po ciasnym pokoju, rzekł:

— Stary!... Powiedz otwarcie: co mówią o mnie?

Rzecki rozłożył ręce.

— Ach, Boże, co mówią...

— Gadaj prosto z mostu — zachęcał go Wokulski.

⁴⁴⁰Nemrod — legendarny król chaldejski sławny jako myśliwy.

— Prosto z mostu?... Dobrze. Jedni mówią, że zaczynasz wariować...
— Brawo!...
— Drudzy, że... drudzy, że chcesz zrobić szwindel...
— Niech mnie...
— A wszyscy — że zbankrutujesz, i to w niedługim czasie.
— Jak wyżej — wtrącił Wokulski — a ty, Ignacy, co sam myślisz?
— Ja myślę — odparł bez wahania — że wklepałeś się w jakąś grubą awanturę... z której nie wyjdiesz cały... Chyba że cofniesz się w porę, na co zresztą masz dosyć rozumu.

Wokulski wybuchnął.

— Nie cofnę się! — zawołał. — Człowiek spragniony nie cofa się od krynicy. Mam zginać, niech zginę pijąc... Czego wy zresztą chcecie ode mnie?... Od dzieciństwa żyłem jak ptak spętany: w służbach, w więzieniach, a choćby i w tym nieszczęsnym małżeństwie, do którego zaprzedałem się... A dziś, kiedy rozwinęły mi się skrzydła, zaczynacie na mnie wrzeszczeć jak swojskie gęsi na dziką, która zerwała się do lotu... Co mi tam jakiś głupi sklep albo spółka!... Ja chcę żyć, ja chcę...

W tej chwili zapukano do drzwi gabinetu. Ukazał się Mikołaj, służący Łęckiego, z listem. Wokulski gorączkowo pochwycił pismo, rozerwał kopertę i przeczytał:

„Szanowny Panie! Córka moja koniecznie życzy sobie bliżej poznać Pana. Wola kobiety jest świętą: ja więc proszę Pana na jutro do nas, na obiad (około szóstej), a Pan — nawet nie próbuj wymawiać się. Proszę przyjąć zapewnienie wysokiego szacunku.

T. Łęcki

Wokulski tak osłabł, że musiał usiąść. Przeczytał list drugi, trzeci, czwarty raz... Nareszcie oprzytomniawszy odpisał panu Łęckiemu, a Mikołajowi dał pięć rubli.

Pan Ignacy wybiegł tymczasem na parę minut do sklepu, a gdy Mikołaj wyszedł na ulicę, wrócił do Wokulskiego i rzekł, jakby na nowo zaczynając rozmowę:

— Zawsze jednak, kochany Stachu, rozejrzyj się w sytuacji, a może sam się cofniesz...

Wokulski cicho gwizdząc zasadził kapelusz i oparłszy rękę na ramieniu starego przyjaciela, odparł:

— Posłuchaj. Gdyby mi się ziemia rozstała pod nogami... rozumiesz?... Gdyby mi niebo miało zawalić się na łeb — nie cofnę się, rozumiesz?... Za takie szczęście oddam życie...

— Za jakie szczęście?... — spytał Ignacy.

Ale Wokulski już wyszedł przez tylne drzwi.

Szczęście

XIV. DZIEWICZE MARZENIA

Od Wielkiej Nocy panna Izabela często myślała o Wokulskim, a we wszystkich medytacjach uderzał ją niezwykle szczegół: człowiek ten przedstawiał się coraz inaczej.

Panna Izabela miała dużo znajomości i niemały spryt do charakteryzowania ludzi. Otóż każdy z jej dotychczasowych znajomych posiadał tę własność, że można go było streścić w jednym zdaniu. Książe był to patriota, jego adwokat — bardzo zręczny, hrabia Łaciński pozował na Anglika, jej ciotka była dumną, prezesowa — dobrą, Ochocki — dziwakiem, a Krzeszowski — karciarzem. Słowem: człowiek — była to jakaś zaleta albo wada, niekiedy zasługa, najczęściej tytuł lub majątek, który miał głowę, ręce i nogi i ubierał się więcej albo mniej modnie.

Dopiero w Wokulskim poznała nie tylko nową osobistość, ale niespodziewane zjawisko. Jego niepodobna było określić jednym wyrazem, a nawet stoma zdaniami. Nie był też do nikogo podobny, a jeżeli w ogóle można go było z czymś porównywać, to chyba z jakąś okolicą, przez którą jedzie się cały dzień i gdzie spotyka się równiny i góry, lasy i łąki, wody i pustynie, wsie i miasta. I gdzie jeszcze, spoza mgieł horyzontu, wynurzają się jakieś niejasne widoki, już niepodobne do żadnej rzeczy znanej. Ogarniało ją zdumienie i pytała się: czy to jest gra podnieconej imaginacji, czy naprawdę istota nadludzka, a przynajmniej — pozasalonowa?

Wtedy zaczęła sobie rejestrować doznane wrażenia.

Kondycja ludzka

Pierwszy raz — wcale go nie widziała, czuła tylko zbliżający się jakiś ogromny cień.

Był ktoś, który rzucił parę tysięcy rubli na dobroczynność i na ochronę jej ciotki; potem ktoś grał z jej ojcem w karty w resursie i co dzień przegrywał; potem ktoś, który wykupił weksle jej ojca (może to nie Wokulski?...), następnie jej serwis, a następnie dostarczył różnych rzeczy do przyozdobienia grobu Pańskiego.

Ten ktoś był to zuchwały dorobkiewicz, który od roku ścigał ją spojrzzeniami w teatrach i na koncertach. Był to cyniczny brutal, który dorobił się majątku na podejrzanych spekulacjach po to, ażeby kupić sobie reputację u ludzi, a ją, pannę Izabelę Łęcką, u jej ojca!...

Z tej epoki pamiętała tylko jego grubo ciosaną figurę, czerwone ręce i szorstkie obejście, które obok grzeczności innych kupców wydawało się nieznośnym, a na tle wachlarzy, sakwożaków, parasoli, lasek i tym podobnych galanterij — po prostu śmieszne. Był to przebiegły i bezczelny kupczyk, który w swoim sklepie pozował na upadłego ministra. Był wstrętny, nawet śmiertelnie nienawistny, gdyż poważił się udzielać im zasiłki w formie kupna serwisu albo przegranych w karty do ojca.

Dziś jeszcze myśląc o tym, panna Izabela szarpała na sobie suknię. Niekiedy rzuciwszy się na szeszląg biła pięściami sprężyny i szeptała:

— Nikczemnik!... nikczemnik!...

Sam widok niedoli, w jaką staczał się jej dom, już napełniał ją rozpaczą. A cóż dopiero, gdy ktoś wdarł się za zasłonę jej najskrytszych tajemnic i śmiało opatrywać rany, które ukrywały przed samym Bogiem. Wszystko mogłaby przebaczyć, oprócz tego ciosu, jaki zadano jej dumie.

Tu zaszła zmiana dekoracji. Wystąpił inny człowiek, który bez cienia dwuznacznej myśli powiedział jej w oczy, że kupił serwis, ażeby zrobić na nim interes. A zatem on czuł, że panny Izabeli Łęckiej wspierać nie wolno, i gdyby to nawet zrobił, nie tylko nie szukałby rozgłosu albo wdzięczności, ale nawet — nie śmiałby myśleć o tym.

Ten sam człowiek wypędził ze sklepu Mraczewskiego, który poważił się złośliwie o niej mówić. Na próżno wrogowie panny Izabeli, baron i baronowa Krzeszowscy, wstawiali się za tym młodzieńcem; na próżno odezwała się za nim hrabina ciotka, która rzadko dziękowała, a jeszcze rzadziej prosiła. Wokulski nie ustąpił... Lecz jedno słówko jej, panny Izabeli, pokonało nieugiętego człowieka; nie tylko cofnął się, ale nawet dał Mraczewskiemu lepszą posadę. Nie robi się takich ustępstw dla kobiety, której się nie czi.

Szkoda tylko, że prawie w tej samej chwili w jej czcicielu odezwał się pyszny dorobkiewicz, który na kwestyjną tacę rzucił rulon pólimperiałów. Ach, jakież to było kupieckie!... I jak on nic nie rozumie po angielsku, nie ma wyobrażenia o języku, który jest modnym!...

Trzecia faza. Zobaczyła Wokulskiego w salonie ciotki w pierwszy dzień Wielkiejnocy i spostrzegła, że on o całą głowę przerasta towarzystwo. Najarystokratyczniejsi ludzie ubiegali się o znajomość z nim, a on, ten brutalny parweniusz, odrzynał się od nich jak ogień od dymu. Chodził niezręcznie, ale śmiało, jakby salon ten był jego niezaprzeczoną własnością, i posępnie słuchał komplementów, którymi go zasypywano. Potem wezwała go do siebie najczcigodniejsza z matron, prezesowa, i po kilku minutach rozmowy z nim rzewnie zapłakała... Czyżby ten z czerwonymi rękoma parweniusz?...

Teraz dopiero spostrzegła panna Izabela, że Wokulski ma twarz niepospolitą. Rysy wyraziste i stanowcze, włos jakby najeżony gniewem, mały wąs, ślad bródki, kształty posągowe, wejrzenie jasne i przejmujące... Gdyby ten człowiek zamiast sklepu posiadał duże dobra ziemskie — byłby bardzo przystojnym; gdyby urodził się księciem — byłby imponująco piękny. W każdym razie przypominał Trostiego, pułkownika strzelców, i — naprawdę — posąg gladiatora zwycięzcy.

W tym czasie od panny Izabeli odsunęli się prawie wszyscy.

Wprawdzie starsi panowie jeszcze obsypywali ją grzecznościami z powodu piękności i elegancji, za to młodzi, szczególnie utytułowani lub majątni, traktowali ją chłodno a krótko; gdy zaś, zmęczona samotnością i banalnymi frazesami, nieco żywiej odezwała się do którego, patrzył na nią z wyraźnym przestachem jakby lękając się, że ona chwyci go za szyję i natychmiast pociągnie do ołtarza.

Świat salonów kochała panna Izabela na śmierć i życie, wyjść z niego mogła tylko

Duma, Tajemnica, Upadek

Kobieta

Pozycja społeczna

Bogactwo, Kobieta, Pozycja społeczna

do grobu, ale z każdym rokiem, a nawet miesiącem, mocniej gardziła ludźmi; pojąć nie mogła, ażeby kobietę, tak jak ona piękną, dobrą i dobrze wychowaną, świat opuszczał dlatego tylko, że — nie ma majątku!...

„Cóż to za ludzie, Boże miłosierny!...” — szeptała nieraz, patrząc spoza firanek na przejeżdżające powozy elegantów, którzy pod rozmaitymi pozorami odwracali głowę od jej okien, ażeby się nie kłaniać. Czyżby sądzili, że ona wygląda ich?...

A przecież istotnie ona do nich wyglądała!...

Wówczas gorące łzy napływały jej do oczu; gryzła z gniewu piękne usta i szarpiąc taśmy zasłaniała okna firankami.

„Cóż to za ludzie!... Cóż to za ludzie!...” — powtarzała, wstydząc się jednak sama przed sobą rzucić na nich jakiś ostrzejszy epitet, gdyż należeli do świata. Nikczemnikiem, według jej wyobrażeń, można było nazwać tylko Wokulskiego.

Na domiar szyderstwa losu z całej niegdyś falangi zostało jej tylko dwu wielbicieli. Ochockim nie ludziła się: on więcej zajmował się jakąś latającą maszyną (co za obłąd!) aniżeli nią. Za to asystowali jej, zresztą nie narzucając się zbyt, marszałek i baron. Marszałek nasuwał jej na myśl zabitego i oparzonego wieprza, jakie czasem spotykała w rzeźniczych furgonach na ulicy; baron znowu wydawał się jej podobnym do niewyprawnej skóry, których całe stosy można widywać na wozach. Obaj stanowili dziś ostatnie jej otoczenie, nawet skrzydła, jeżeli, jak mówiono, była naprawdę aniołem!... Okropna kombinacja dwu tych starców prześladowała pannę Izabelę dniem i nocą. Czasem здавало się jej, że jest potępiona i że już za życia rozpoczęło się dla niej piekło.

W podobnych chwilach jak topielec, który zwraca oczy do światła na dalekim brzegu, panna Izabela myślała o Wokulskim. I w bezmiarze goryczy doznawała cienia ulgi wiedząc, że jednak szaleje za nią człowiek niepospolity, o którym dużo mówiono w towarzystwie. Wtedy przychodzili jej na myśl sławni podróżnicy albo z bogaceni przemysłowcy amerykańscy, którzy przez szereg lat ciężko pracowali w kopalniach, a których od czasu do czasu z daleka pokazywano jej na paryskich salonach.

„Widzi pani tego — szczebiotała jakaś hrabianka, niedawno wypuszczona z klasztoru, pochylając wachlarz w pewnym kierunku — widzi pani tego pana, który wygląda na woźnicę omnibusów⁴⁴¹? To podobno jakiś wielki człowiek, który coś odkrył, tylko nie wiem co: kopalnię złota czy też biegun północny... Nawet nie pamiętam, jak się nazywa, ale zapewnił mnie jeden margrabia⁴⁴² z akademii, że ten pan mieszkał dziesięć lat pod biegunem, nie... mieszkał pod ziemią... Okropny człowiek!... Ja będąc na jego miejscu umarłabym z samego strachu... A pani, czy także by umarła?...”

Gdyby Wokulski był takim podróżnikiem, a przynajmniej górnikiem, który zrobił miliony, dziesięć lat mieszkając pod ziemią!... Ale on był tylko kupcem, w dodatku — galanteryjnym!... Nie umiał nawet po angielsku, co chwilę odzywał się w nim dorobkiewicz, który w młodym wieku restauracyjnym gościom przynosił jedzenie z kuchni. Taki człowiek, co najwyżej, mógłby być dobrym doradcą, nawet nieocenionym przyjacielem (w gabinecie, gdy nie ma gości). Nawet... mężem, boć spotykają ludzi straszne nieszczęścia. Ale kochankiem... No, to byłoby po prostu śmieszne... W razie potrzeby najarystokratyczniejsze damy kąpią się w błotnych wannach; lecz bawić się w błocie mógłby tylko szaleniec.

Czwarta faza. Panna Izabela kilka razy spotkała Wokulskiego w Łazienkach i nawet raczyła odpowiadać na jego ukłony. Między zielonymi drzewami i obok posągów grubianin ten wydał jej się znowu innym aniżeli za kontuarem sklepu. Gdybyż on miał dobra ziemskie, z parkiem, pałacem, sadzawką?... Prawda, że dorobkiewicz, ale podobno szlachcic, synowiec oficera... Przy marszałku i baronie wygląda jak Apollo, arystokracja coraz więcej mówi o nim, a ten wybuch łez prezesowej?...

Nadto prezesowa w oczywisty sposób popierała Wokulskiego u swojej przyjaciółki hrabiny i jej siostrzenicy, panny Izabeli. Parogodzinne spacerowanie w Łazienkach było tak nudne, a pogadanki o modach, ochronach i projektowanych w świecie małżeństwach tak dokuczliwe, iż panna Izabela miała nawet trochę żalu do Wokulskiego, że nie zbliża się do nich w czasie spaceru i choć z kwadrans nie porozmawia. Dla osoby z towarzystwa

Łzy

Anioł, Kobieta, Mężczyzna

Mężczyzna

Błoto, Szaleniec

Pozycja społeczna,
Szlachcic, Chłop

Nuda

⁴⁴¹omnibus — obszerny wóz kryty, służący do przewozu większej ilości osób.

⁴⁴²margrabia — tytuł arystokratyczny, pośredni między hrabiowskim a książęcym.

ciekawą jest rozmowa z tego rodzaju ludźmi, a pannie Izabeli chłopci na przykład wydawali się nawet zabawnymi swym odrębnym językiem i logiką.

Chociaż kupiec galanteryjny, a do tego jeżdżący własnym powozem, nie musi być tak zabawny jak chłop...

Bądź co bądź panna Izabela nie doznała przykrych niespodzianki usłyszawszy pewnego dnia od prezesowej, że pojedzie z nią i hrabiną do Łazienek i — że zatrzyma Wokulskiego.

— Nudzimy się, niech więc nas bawi — mówiła staruszka.

Gdy zaś około pierwszej wjeżdżając do łazienkowskiego parku prezesowa ze znaczącym uśmiechem rzekła do panny Izabeli:

— Mam przeczucie, że go tu gdzieś spotkamy...

Panna Izabela lekko zarumieniała się i postanowiła wcale nie rozmawiać z Wokulskim, a przynajmniej traktować go z góry, ażeby sobie nic nie wyobrażał. O miłości, naturalnie, w owym „wyobrażaniu sobie” mowy być nie mogło. Panna Izabela jednak nie życzyła sobie nawet poufalej życzliwości.

„I ogień jest przyjemny, szczególnie w zimie — myślała — ale... w pewnym oddaleniu.”

Tymczasem Wokulskiego nie było w Łazienkach.

„Jak to, on nie czekał? — mówiła do siebie panna Izabela — chyba jest chory...”

Nie sądziła, ażeby Wokulski miał jakiś pilniejszy interes na świecie aniżeli widzenie się z nią; gdyby się zaś spóźnił, postanowiła nie tylko traktować go z góry, ale nawet okazać mu niezadowolenie.

„Jeżeli punktualność — mówiła sobie dalej — jest grzecznością królów⁴⁴³, to już co najmniej powinna być obowiązkiem kupców!...”

Upłynęło pół godziny, godzina, dwie — należało wracać do domu, a Wokulski nie przychodził; nareszcie panie wsiadły do karety: hrabina zimna jak zwykle, prezesowa nieco roztargniona, a panna Izabela rozniewana. Oburzenie nie zmniejszyło się, gdy wieczorem ojciec powiedział jej, że od południa był na sesji u księcia, gdzie Wokulski przedstawił projekt olbrzymiej spółki handlowej i w zblazowanych magnatach obudził formalny zapal.

— Od dawna przeczuwałem — zakończył pan Łęcki — że przy pomocy tego człowieka uwolnię się od troskliwości mojej rodziny i znowu stanę, jak powinienem!

— Ale do spółki, ojcze, potrzeba pieniędzy — odparła panna Izabela lekko wzruszając ramionami.

— Dlatego też pozwałam sprzedać naszą kamienicę; wprawdzie długi pochłoną ze sześćdziesiąt tysięcy rubli, ale zawsze zostanie mi jeszcze — co najmniej — czterdzieści.

— Ciotka mówiła, że za kamienicę nikt nie da więcej nad sześćdziesiąt...

— Ach, ciotka!... — oburzył się pan Tomasz. — Ona zawsze mówi to, co mogłoby mnie zmartwić albo poniżyć. Sześćdziesiąt tysięcy daje Krzeszowska, która utopiłaby nas w łyżce wody... mieszczańska!... Ale rozumie się, ciotka jej potakuje, bo tu chodzi o mój dom, o moje stanowisko...

Zarumienił się i zaczął sapać; lecz nie chcąc gniewać się przy córce, pocałował ją w czoło i poszedł do swego gabinetu.

„A może ojciec ma rację?... — myślała panna Izabela. — Może on naprawdę jest praktyczniejszy od wszystkich, którzy go tak surowo sądzą? Przecież ojciec pierwszy poznał się na tym... Wokulskim... A jednak cóż za gbur z tego człowieka. Nie przyszedł do Łazienek, choć prezesowa z pewnością musiała go zaangażować⁴⁴⁴. Zresztą może i lepiej: pięknie byśmy wyglądały, gdyby spotkał nas kto znajomy na spacerze z kupcem galanterijnym!”

Przez parę dni następnych panna Izabela słyszała tylko o Wokulskim. Salony rozbrzmiewały jego nazwiskiem. Marszałek przysięgał, że Wokulski musi pochodzić ze starożytnego rodu, a baron, znawca męskiej piękności (po pół dnia spędzał przed lustrem), twierdził, że Wokulski jest — „wcale... wcale...” Hrabia Sanocki zakładał się, że jest to pierwszy rozumny człowiek w kraju — hrabia Liciński głosił, że ten kupiec wzorował się na angielskich przemysłowcach, a książę — tylko zacierał ręce i uśmiechając się, mówił: „Aha?...”

⁴⁴³punktualność jest grzecznością królów — słowa króla francuskiego Ludwika XVIII (1814–1824).

⁴⁴⁴zaangażować — tu: zapraszać.

Nuda

Próżność

Mieszczanin

Córka, Ojciec

Nawet Ochocki, odwiedzwszy któregoś dnia pannę Izabelę, opowiedział jej, że byli z Wokulskim na spacerze w Łazienkach...

— O czymżeście rozmawiali?... — zapytała zdziwiona. — Bo chyba nie o machinach latających...

— Bah! — odmrunknął zamyślony kuzynek. — Wokulski jest chyba jedynym człowiekiem w Warszawie, z którym można o tym mówić. To numer...

„Jedyny rozumny... jedyny kupiec... jedyny, który może dogadać się z Ochockim?... — myślała panna Izabela. — Czymże jest naprawdę ten człowiek? Ach! już wiem...”

Zdawało jej się, że odgadła Wokulskiego. Jest to ambitny spekulant, który chcąc wdrzeć się do salonów pomyślał o ożenieniu się z nią, zubożałą panną znakomitego rodu. Nie w innym też celu skarbił sobie względy jej ojca, hrabiny ciotki i całej arystokracji. Przekonawszy się jednak, że i bez niej wciśnie się między wielkich panów, nagle ostygł w miłości i... nawet nie przyszedł do Łazienek!...

„Winszuję mu — mówiła sobie. — Ma wszystkie zalety potrzebne do zrobienia kariery: niebrzydki, zdolny, energiczny, a nade wszystko — bezczelny i nikczemny... Jak on śmiał udawać zakochanego we mnie i z jaką łatwością... Doprawdy, że ci parwienusze zdystansują nas nawet w obłudzie... Cóż to za nędznik!...”

Oburzona chciała zapowiedzieć Mikołajowi, ażeby nigdy nie wpuścił Wokulskiego za próg salonu... Najwyżej do gabinetu pana, gdyby do nich przyszedł z interesem. Lecz przypomniawszy sobie, że Wokulski wcale nie zapraszał się do nich, zarumieniła się ze wstydu.

Wtem dowiedziała się od pani Meliton o nowym zatargu barona Krzeszowskiego z żoną i o tym, że baronowa kupiła od niego klacz za osiemset rubli, ale — że pewnie ją zwróci, gdyż za kilka dni ma odbyć się wyścig, a baron porobił duże zakłady.

— Może nawet państwo baronowie pogodzą się przy tej okazji — zauważyła pani Meliton.

— Ach, cóż bym dała za to, ażeby baron nie dostał klaczy i przegrał zakłady!... — zawołała panna Izabela.

W parę zaś dni dowiedziała się pod wielkim sekretem od panny Florentyny, że baron nie odzyska swojej klaczy, gdyż kupił ją Wokulski...

Tajemnica była jeszcze tak zachowywaną, że kiedy panna Izabela poszła z wizytą do ciotki, zastała hrabinę i prezesową naradzające się nad pogodzeniem państwa Krzeszowskich za pomocą owej klaczy.

— Nic z tego nie będzie — wtrąciła ze śmiechem panna Izabela. — Baron nie dostanie swojej klaczy.

— Może założysz się? — spytała chłodno hrabina.

— Owszem, jeżeli wygram od cioci tę bransoletę z szafirów...

Zakład stanął, dzięki czemu hrabina i panna Izabela były wysoce zainteresowane w wyścigach.

Przez chwilę panna Izabela lękała się: powiedziano jej, że baron daje Wokulskiemu czterysta rubli odstępnego i że hrabia Liciński podjął się między nimi pośrednictwa. Nawet szeptano w salonie hrabiny, że Wokulski nie dla pieniędzy, ale dla hrabiego musi zgodzić się na ten układ. A wówczas panna Izabela pomyślała:

„Zgodzi się, jeżeli jest chciwym parwienuszem, ale nie zgodzi się, jeżeli...”

Nie śmiała dokończyć frazesu. Wyręczył ją Wokulski. Nie sprzedał klaczy i sam puścił ją w szranki.

„On jednakże nie jest tak nikczemnym” — rzekła do siebie.

I pod wpływem tej idei rozmawiała z Wokulskim na wyścigach bardzo łaskawie.

Jednakże nawet za ten drobny objaw życzliwości panna Izabela robiła sobie w duchu wymówki:

„Po co on ma wiedzieć, że nas interesuje jego wyścig?... Nie więcej od innych. A po co ja mu powiedziałam, że »musi wygrać...«? Albo co znaczyła jego odpowiedź: »wygram, jeżeli pani zechce...«? On już zapomina, kim jest. Ale mniejsza, jeżeli za parę grzecznych słówek Krzeszowski rozchoruje się ze złości.”

Krzeszowskiego nienawidziła panna Izabela. Kiedyś umizgał się do niej, a odrącony, mścił się. Wiedziała, że nazywał ją za oczy — starzejącą się panną, która wyjdzie za swego lokaja. Tego było dosyć, ażeby pamiętać mu całe życie. Lecz baron, nie poprzestając na

Podstęp

Tajemnica

nieszczęsnym frazesie, nawet wobec niej zachowywał się cynicznie, drwiąc z jej starych wielbicieli i robiąc aluzje do ich majątkowej ruiny. Że zaś i panna Izabela od niechcenia przypominała mu jego żonę, mieszczańkę, z którą połączył się dla pieniędzy, a nic od niej nie mógł wydobyć, więc toczyła się między nimi walka ostra, czasami nawet przykra.

Dzień wyścigów był dla panny Izabeli triumfem, dla barona — klęską i wstydem. Wprawdzie przyjechał na plac i udawał bardzo wesołego, ale w sercu kipiał mu gniew. Gdy zaś jeszcze zobaczył, że Wokulski nagrodę i cenę konia złożył na ręce panny Izabeli, stracił władzę nad sobą i przybiegłszy do powozu zrobił skandal.

Dla panny Izabeli impertynenckie spojrzenia barona i otwarte nazwanie Wokulskiego jej wielbicielem były strasznym ciosem. Zabiłaby barona, gdyby to uchodziło dobrze wychowanym kobietom. Cierpienie jej było tym dokuczliwsze, że hrabina słuchała jego wybuchu spokojnie, prezesowa z zakłopotaniem, a ojciec nie odzywał się nawet, od dawna uważając Krzeszowskiego za wariata, którego należy nie drażnić, ale traktować pobłażliwie.

W takiej chwili (kiedy już zaczęto spoglądać na nich z innych powozów) przyszedł pannie Izabeli na pomoc Wokulski. I nie tylko przerwał baronowi tok jego niezadowoleń, ale wyzwiał go na pojedynek. O tym żadne z nich nie wątpiło; prezesowa wprost zlekła się o swego faworyta, a hrabina zrobiła uwagę, że Wokulski nie mógł postąpić inaczej, ponieważ baron zbliżając się do powozu potrafił go i nie przeprosił.

— Więc sami powiedzcie — mówiła wzruszonym głosem prezesowa — czy godzi się pojedynekować o taką drobnostkę? Wszyscy przecież wiemy, że Krzeszowski jest roztargniony i półgłówek... Najlepszy dowód w tym, co nam nagadał...

— To prawda — odezwał się pan Tomasz — ależ Wokulski nie ma obowiązku wiedzieć o tym, a upomnieć się musiał.

— Pogodzą się! — wtrąciła niedbale hrabina i kazała jechać do domu.

Wtedy to panna Izabela dopuściła się najgorszego wykroczenia przeciw swoim pojęciom i... w znaczący sposób ścisnęła Wokulskiego za rękę.

Już dojeżdżając do rogatek, nie mogła sobie tego darować.

„Jak można było zrobić coś podobnego?... Co sobie taki człowiek pomyśli?...” — mówiła w duchu. Ale wnet ocknęło się w niej uczucie sprawiedliwości i musiała przyznać, że ten człowiek nie jest byle jakim.

„Ażeby zrobić mi przyjemność (bo z pewnością nie miał innych powodów), podstawił baronowi nogę kupując konia... Całą wygraną (stanowczy dowód bezinteresowności) złożył na ochronę, i to na moje ręce (baron widział to). A nade wszystko, jakby odgadując moje myśli, wyzwiał go na pojedynek... No, dzisiejsze pojedynki kończą się zwykle szampanem; ale zawsze baron przekona się, że jeszcze nie jestem tak starą... Nie, w tym Wokulskim jest coś... Szkoda tylko, że jest galanteryjnym kupcem. Przyjemnie byłoby mieć takiego wielbiciela, gdyby... gdyby zajmował inne stanowisko w świecie.”

Wróciwszy do domu panna Izabela opowiedziała pannie Florentynie o wyścigowych przygodach, a w godzinę — już nie myślała o nich. Gdy zaś ojciec późno w nocy doniósł jej, że Krzeszowski wybrał za sekundanta hrabiego Licińskiego, który bezwarunkowo żąda, ażeby Wokulski został przeproszony przez barona, panna Izabela zrobiła pogardliwy grymas ustami.

„Szczęśliwy człowiek! — myślała. — Mnie obrażają, a jego będą przepraszać. Ja, gdyby ktoś przy mnie obraził ukochaną, nie pozwoliłabym się przeprosić. On, naturalnie, zgodzi się...”

Gdy już położyła się do łóżka i zaczęła usypiać, nagle przysła jej nowa myśl:

„A jeżeli Wokulski nie zechce przeprosin?... Przecież ten sam hrabia Liciński układał się z nim o klacz i nic nie wskórał!... Ach, Boże, co też mi się snuje po głowie” — odpowiedziała sobie wzruszając ramionami i zasnęła.

Na drugi dzień do południa ojciec, ona i panna Florentyna byli pewni, że Wokulski pogodzi się z baronem i że nawet inaczej nie wypada mu postąpić. Dopiero po południu pan Tomasz wyszedł na miasto i wrócił na obiad bardzo zakłopotany.

— Cóż to, ojciec? — spytała go panna Izabela, uderzona wyrazem jego twarzy.

— Fatalna historia! — odparł pan Tomasz rzucając się na skórzaną fotel. — Wokulski odrzucił przeproszenie, a jego sekundanci postawili ostre warunki.

— I kiedyż to?... — spytała ciszej.

Kłęska

Dama, Obowiązek,
Pojedynek

Flirt

Konflikt wewnętrzny,
Sprawiedliwość

Pozycja społeczna, Kobieta,
Starość, Mężczyzna,
Obyczaje, Pojedynek

— Jutro przed dziewiątą — odpowiedział pan Tomasz i otarł pot z czoła. — Fatalna historia — ciągnął dalej. — Między naszymi współnikami popłoch, bo Krzeszowski strzela doskonale... Gdyby zaś ten człowiek zginął, wszystkie moje rachuby na nic. Straciłbym w nim prawą rękę... jedyne go możliwego wykonawcę moich planów... Jemu jednemu powierzyłbym kapitały i jestem pewny, że miałbym co najmniej osiem tysięcy rubli rocznie... Los prześladuje mnie nie na żarty!...

Zły humor pana domu źle oddziałł na innych; obiadu nikt nie jadł. Po obiedzie pan Tomasz zamknął się w gabinecie i chodził wielkimi krokami, co było dowodem niezwykłego wzruszenia.

Panna Izabela także poszła do swego gabinetu i jak zwykle w chwilach zdenerwowania położyła się na szezlongu. Opanowały ją posępne myśli.

„Krótco trwał mój triumf — mówiła sobie. — Krzeszowski naprawdę dobrze strzela... Jeżeli zabije jedyne go człowieka, który dziś ujmuje się za mną, to co? Pojedynek jest istotnie barbarzyńskim zabytkiem. Bo Wokulski (biorąc go ze strony moralnej) więcej jest wart od Krzeszowskiego, a jednak... może zginąć!... Ostatni człowiek, w którym pokładał nadzieję mój ojciec.”

Tu odezwała się w pannie Izabeli rodowa pycha.

„No — mój ojciec nie potrzebuje przecież łaski Wokulskiego; powierzyłby mu swój kapitał, otoczyłby go protekcją, a on płaciłby mu procenta; w każdym razie szkoda go...”

Przyszedł jej na myśl stary rządcą ich niegdyś majątku, który służył u nich trzydzieści lat i którego bardzo lubiła, bardzo mu ufała; może Wokulski obojgu im zastąpiłby nieboszczyka, a jej rozsądnego powiernika i — zginie!...

Jakiś czas leżała z zamkniętymi oczyma nie myśląc o niczym; potem przyszły jej do głowy niesłychanie dziwne kombinacje.

„Co za szczególny traf! — mówiła w sobie. — Jutro walczyć będą z jej powodu dwaj ludzie, którzy ją śmiertelnie obrazili: Krzeszowski złośliwymi drwinami, Wokulski — ofiarami, jakie ośmielił się ponosić dla niej. Ona mu już prawie przebaczyła i kupno serwisu, i owe weksle, i owe przegrane w karty do ojca, z których przez parę tygodni utrzymywał się cały dom... (Nie, jeszcze mu nie przebaczyła i nie przebaczy nigdy!...) Ale choćby nawet, to jednak — za jej obrazę ujęła się sprawiedliwość boska... I kto jutro zginie?... Może obaj. W każdym razie ten, który powążył się pannie Izabeli Łęckiej ofiarować pomoc pieniężną. Człowiek taki, jak kochanek Kleopatry⁴⁴⁵, żyć nie może...”

Tak myślała zanosząc się od płaczu; żal jej było oddanego sługi, a może i powiernika; ale korzyła się przed wyrokami Opatrzności, która nie przebacza obrazy wyrządzonej pannie Łęckiej.

Gdyby Wokulski mógł w tej chwili zajrzeć w jej duszę, uciekłby z przestachem i uleczyłby się ze swego obłądu.

Swoją drogą panna Izabela nie spała przez całą noc. Ciągłe stał jej przed oczyma obraz jakiegoś francuskiego malarza przedstawiający pojedynek. Pod grupą zielonych drzew dwaj czarno ubrani mężczyźni mierzyli do siebie z pistoletów.

Potem (czego już nie było na obrazie) jeden z nich padł uderzony kulą w głowę. Był to Wokulski. Panna Izabela nawet nie poszła na jego pogrzeb nie chcąc zdradzić się ze wzruszeniem. Ale w nocy parę razy płakała. Żal jej było tego nadzwyczajnego parweniusza, tego wiernego niewolnika, który swoje zbrodnie względem niej odpokutował śmiercią dla niej.

Zasnęła dopiero o siódmej rano i spała jak drewno do południa. Przed samą dwunastą obudziło ją nerwowe pukanie do drzwi sypialni.

— Kto tam?

— Ja — odpowiedział jej ojciec radosnym głosem. — Wokulski nietknięty, baron raniony w twarz!

— Czy tak?...

Miała migrenę, więc została w łóżku do czwartej po południu. Była kontenta, że baron został ranny, a zdziwiona, że oplakany przez nią Wokulski nie zginął.

Wstawszy tak późno panna Izabela wyszła przed obiadem na krótki spacer w Aleje.

Dama, Pojedynek, Rycerz,
Śmierć

Pycha, Szlachcic

Walka

Marzenie

⁴⁴⁵Kleopatra — słynna z piękności ostatnia królowa Egiptu (zm. w 30 r. p.n.e.). Krążyły o niej pogłoski, że kazała mordować swoich kochanków.

Widok pogodnego nieba, pięknych drzew, przelatujących ptaków i wesołych ludzi zatarł ślady jej nocnych przywidzeń; gdy zaś jeszcze z kilku przejeżdżających powozów spostrzeżono ją i powitano, w sercu jej ocknęło się zadowolenie.

„Jednakże Pan Bóg jest łaskawy — myślała — gdy ocalił człowieka, który może się nam przydać. Ojciec tak liczy na niego, a i ja nabieram ufności. O ileż mniej w życiu doznałabym zawodów mając rozumnego i energicznego przyjaciela.”

Słowo „przyjaciół” nie podobało się jej. Przyjacielem panny Izabeli mógłby być człowiek co najmniej posiadający majątek ziemski. Ale kupiec galanteryjny kwalifikował się tylko na doradcę i wykonawcę.

Po powrocie do domu zaraz poznała, że jej ojciec jest w wybornym humorze.

— Wiesz — mówił — byłem z powinszowaniem u Wokulskiego. To dzielny człowiek, istotny dżentelmen! Już ani myśli o pojedynku i nawet zdaje się żałować barona. Nic nie pomoże, szlachecka krew musi się odezwać, bez względu na kondycję⁴⁴⁶...

A potem odprowadziwszy córkę do gabinetu i rzuciwszy parę razy okiem w zwierciadło, dodał:

— No i powiedz sama, czy można nie ufać w opiekę boską? Śmierć tego człowieka byłaby dla mnie ciężkim ciosem — i — został uratowany! Muszę z nim zawiązać bliższe stosunki, a wtedy zobaczymy, kto wyjdzie lepiej: czy książę na swoim wielkim adwokacie, czy ja na moim Wokulskim. Jak sądzisz?

— To samo myślałam przed chwilą — odpowiedziała panna Izabela uderzona zgodnością przeczuć jej własnych i ojca — papuś koniecznie powinien mieć przy sobie zdolnego i zaufanego człowieka.

— Który w dodatku sam garnie się do mnie — dodał pan Tomasz. — Bystry człowiek! on to pojmuję, że więcej zrobi i lepszą zyska reputację pomagając dźwigać się dawnemu rodowi, aniżeli gdyby sam wyrwał się naprzód. Bardzo rozumny człowiek — powtórzył pan Tomasz. — Choć chwilowo zdobył sobie księcia i całą arystokrację, mnie jednak okazuje najwięcej przywiązania. I nie będzie tego żałował, gdy odzyskam stanowisko...

Panna Izabela patrzyła na cacka ustawione na biurku i myślała, że jednak ojciec ludzi się trochę, sądząc, iż Wokulski garnie się do niego. Nie prostowała jednak omyłki, a na odwrót, przyznawała w duchu, że należy trochę więcej zbliżyć się z tym kupcem i przebaczyć mu jego — stanowisko społeczne. Adwokat... kupiec... to prawie na jedno wychodzi; jeżeli zaś adwokat może być poufałym księcia, dlaczegoż by... kupiec (ach, jakie to niesmaczne!) nie mógł zostać powiernikiem domu Łęckich?

Obiad, wieczór i kilka dni następnych zeszły pannie Izabeli bardzo przyjemnie. Zastanowiła ją jedna okoliczność, że w ciągu tak krótkiego czasu odwiedziło ich więcej osób aniżeli dawniej w ciągu miesiąca. Bywały godziny, że w pustym niegdyś salonie teraz rozlegał się gwar śmiechów i rozmów, aż wypoczęte meble dziwiły się natłokowi, a w kuchni szepiano, że pan Łęcki musiał odebrać jakieś wielkie pieniądze. Nawet damy, które jeszcze na wyścigach nie mogły poznać panny Izabeli, przyszły teraz do niej z wizytami; młodzi zaś panowie, aczkolwiek nie przychodzili, poznawali ją na ulicy i kłaniali się z szacunkiem.

I pan Tomasz miewał teraz gości. Odwiedził go hrabia Sanocki zaklinając, ażeby Wokulski przestał już bawić się wyścigami i pojedynkami, a zajął się spółką. Był hrabia Liściński i opowiadał dziwne o dżentelmenerii Wokulskiego. Lecz nade wszystko przyjeżdżał tu parę razy książę z prośbą do pana Tomasza, ażeby Wokulski bez względu na zajście z baronem nie zniechęcał się do arystokracji i pamiętał o nieszczęśliwym kraju.

— I niech mu też kuzyn — zakończył książę — wyperswaduje pojedynki. To niepotrzebne; to dobre dla ludzi młodych, ale nie dla poważnych i zasłużonych obywateli...

Pan Tomasz był zachwycony, szczególnie gdy pomyślał, że wszystkie te owacje spotykają go w przeddzień sprzedaży domu; rok temu bliskość podobnego wypadku odstraszała ludzi...

„Zaczynam odzyskiwać należne mi stanowisko” — szepnął pan Tomasz i nagle obejrzał się. Zdawało mu się, że za nim stoi Wokulski. Więc dla uspokojenia się powtórzył parę razy:

„Wynagrodzę go... wynagrodzę... może być pewnym mego poparcia.”

⁴⁴⁶kondycja — stan, stanowisko społeczne.

Trzeciego dnia po pojedynku Wokulskiego pannie Izabeli przyniesiono kosztowne pudełko i list, który ją wstrząsnął. Poznała pismo barona.

„Kochana kuzyneczko! Jeżeli przebaczysz mi moje nieszczęsne ożenienie, ja w zamian daruję ci moją małżonkę, która już mnie samemu dokuczyła. Jako zaś materialny symbol zawartego między nami pokoju na zawsze, posyłam ci ząb, który mi wystrzelił Wny⁴⁴⁷ Wokulski, zdaje mi się — za to, co ośmieliłem się powiedzieć ci na wyścigach. Upewniam cię, kochana kuzynko, że jest to ten sam ząb, którym cię dotychczas gryzłem i już gryźć nigdy nie będę. Możesz go wyrzucić na ulicę, lecz pudełeczko racz zachować na pamiątkę. Przyjmij ten drobiazg od człowieka dziś trochę chorego i wierzaj — nie najgorszego, a będę miał nadzieję, że kiedyś zapomnisz mi moich niedorzecznych złośliwości. Kochający cię i pełen głębokiego szacunku kuzyn Krzeszowski.

P. S. Jeżeli mego zęba nie wyrzucisz za okno, przyslij mi go na powrót, abym mógł ofiarować go mojej niezapomnianej małżonce. Będzie miała martwić się czym przez kilka dni, co podobno biedaczce jest zalecone przez doktorów. Ten zaś pan Wokulski jest bardzo miłym i dystyngowanym człowiekiem i wyznaję, że serdecznie go polubiłem, choć mi taką zrobił krzywdę.”

W kosztownym pudełku znajdował się istotnie ząb owinięty w bibułkę.

Panna Izabela po krótkim namyśle odpisała bardzo życzliwy list baronowi oświadczając, że już nie gniewa się i że przyjmuje pudełeczko, a ząb z należytą czcią odsyła jego właścicielowi. Tu już nie można było wątpić, że tylko dzięki Wokulskiemu baron pojednał się z nią i prosił o przebaczenie. Panna Izabela nieledwie roztkliwiła się swoim triumfem, a dla Wokulskiego uczuła jakby wdzięczność. Zamknęła się w swoim gabinecie i poczęła marzyć.

Marzyła, że Wokulski sprzedał swój sklep, a kupił dobra ziemskie, lecz pozostał naczelnikiem spółki handlowej przynoszącej ogromne zyski. Cała arystokracja przyjmowała go u siebie, ona zaś, panna Izabela, zrobiła go swoim powiernikiem. On podźwignął ich majątek i podniósł go do dawnej świetności; on spełniał wszystkie jej zlecenia; on narażał się, ile razy była tego potrzeba. On wreszcie wyszukał jej męża, odpowiedniego znakomitości domu Łęckich.

Wszystko to robił, ponieważ kochał ją miłością idealną, więcej niż własne życie. I czuł się zupełnie szczęśliwym, jeżeli uśmiechnęła się do niego, życzliwiej spojrzała albo po jakiejś wyjątkowej zasłudze serdecznie uściśnęła go za rękę. Gdy zaś Pan Bóg dał jej dzieci, on wyszukiwał im bony i nauczycieli, powiększał ich majątek, a nareszcie, gdy ona zmarła (w tym miejscu łzy zakręciły się w pięknych oczach panny Izabeli), on zastrzelił się na jej grobie... Nie, przez delikatność, którą ona w nim rozwinęła, zastrzelił się o kilka grobów dalej.

Wejście ojca przerwało ciąg jej fantazji.

— Podobno pisał do ciebie Krzeszowski? — zapytał ciekawie pan Tomasz.

Córka wskazała mu list leżący na biurku i złote pudełko. Pan Tomasz kręcił głową czytając list, a nareszcie rzekł:

— Zawsze wariat, chociaż dobry chłopak. Ale... Wokulski oddał ci rzeczywistą przysługę: zwyciężyłaś śmiertelnego wroga.

— Myślę, ojczu, że należałoby tego pana zaprosić kiedy na obiad... Chciałabym go poznać bliżej.

— Właśnie od kilku dni miałem cię o to samo prosić!... — odpowiedział uradowany pan Tomasz — niepodobna trzymać się na zbyt etykietałnej stopie z człowiekiem tak użytecznym.

— Naturalnie — wtrąciła panna Izabela — przecież nawet wierną służbę dopuszczamy do niejkiej poufałości.

— Uwielbiam twój rozum i takt, Belu!... — zawołał pan Tomasz i zachwycony, pocałował ją naprzód w rękę, potem w czoło.

⁴⁴⁷ Wny — Wielmożny.

Marzenie

Miłość spełniona

Miłość platoniczna

Miłość silniejsza niż śmierć

XV. W JAKI SPOSÓB DUSZĘ LUDZKĄ SZARPIE NAMIĘTNOŚĆ, A W JAKI ROZSĄDEK

Otrzymałszy od pana Łęckiego zaproszenie na obiad, Wokulski wybiegł ze sklepu na ulicę. Ciasny pokój dusił go, a rozmowa z Rzeckim, w ciągu której subiekt udzielał mu przestróg i upomnień, wydawała mu się nadzwyczajnie głupią; nie jestże to śmieszne, ażeby stary i wystygły kawaler, wierzący tylko w sklep i w Bonaparty, zarzucał mu szaleństwo!...

„Cóż ja robię z tego — myślał Wokulski — że się kocham?... Może trochę za późno, ale przez całe życie nie pozwalałem sobie na podobny zbytek. Kochają się miliony ludzi, kocha się cały świat czujący, dlaczegoż mnie jednemu miałoby to być zabronione? Jeżeli zaś ten zasadniczy punkt ma rację bytu, to ma ją wszystko, co robię. Kto się chce żenić, musi posiadać majątek, więc — zdobyłem majątek. Musi zbliżyć się do wybranej kobiety — ja też zbliżyłem się. Musi troszczyć się o jej byt materialny i chronić od nieprzyjaciół — a ja robię jedno i drugie. Czy zaś w tym dobijaniu się o szczęście skrzywdziłem kogo? czy zaniedbuję obowiązków⁴⁴⁸ względem społeczeństwa i bliźnich?... Ach, ci kochani bliźni i to społeczeństwo, które nigdy nie troszczyło się o mnie i stawiało mi wszelkie przeszkody, a zawsze upomina się o ofiary z mojej strony... Lecz właśnie to, co oni dziś nazywają szaleństwem, popycha mnie do pełnienia jakichś fikcyjnych⁴⁴⁹ obowiązków. Gdyby nie ono, siedziałbym dziś jak mól w książkach i kilkaset osób miałoby mniejsze zarobki. Więc czego oni chcą ode mnie?” — pytał sam siebie w rozdrażnieniu.

Ruch na świeżym powietrzu uspokoił go; doszedł do Alei Jerozolimskich i skręcił nią ku Wiśle. Owiał go rześki wiatr wschodni i zbudził te nieokreślone uczucia, które tak żywo przypominają wiek dziecinny. Zdawało mu się, że jeszcze na Nowym Świecie był dzieckiem i że jeszcze czuje w sobie drgające fale młodej krwi. Uśmiechał się do piaskarza wiozącego swój towar nędznym koniem w podługowatej skrzyni, a żebrząca wiedźma wydała mu się bardzo miłą staruszką; cieszył go świst rozlegający się w fabryce i chciał pogadać z gromadką rozkosznych małców, którzy ustawili się na przydrożnym pagórku ciskali kamieniami na przechodzących Żydów.

Uporczywie odsuwał od siebie myśl o dzisiejszym liście i jutrzejszej wizycie u Łęckich; chciał być trzeźwym, ale namiętność przemogła.

„Dlaczego oni mnie zaprosili? — pytał czując lekki dreszcz wewnętrzny. — Panna Izabela chce się ze mną poznać... Ależ oczywiście dają mi do zrozumienia, że mogę się żenić!... Byliby chyba ślepi albo idioci, żeby nie spostrzegli, co się ze mną dzieje wobec niej...”

Począł tak drzeć, że mu zęby szczękały; wtedy odezwał się przygłuszony rozsądek.

„Za pozwoleniem. Od jednego obiadu i jednej wizyty jeszcze bardzo daleko do dłuższej znajomości. Na tysiąc zaś dłuższych znajomości — ledwie jedna prowadzi do oświadczeń; na dziesięć oświadczeń — ledwie jedno są przyjęte, a i z tych ledwie połowa kończy się małżeństwem. Trzeba więc być zupełnym wariatem, ażeby nawet przy dłuższej znajomości myśleć o małżeństwie, za którym jest ledwie jedna, a przeciw któremu ze dwadzieścia tysięcy szans... Jasne czy niejasne?”

Wokulski musiał przyznać, że jest jasne. Gdyby wszelka znajomość prowadziła do małżeństwa, każda kobieta musiałaby mieć po kilkudziesięciu mężów, każdy mężczyzna po kilkadziesiąt żon, księża nie daby sobie rady ze ślubami, a cały świat zamieniłby się w jeden wielki szpital wariatów. On zaś, Wokulski, nie tylko nie był jeszcze dobrym znajomym panny Łęckiej, ale dopiero znajdował się w przededniu do zrobienia z nią znajomości.

„Więc coś zyskałem — spytał — po bułgarskich niebezpieczeństwach i tutejszych wyścigach lub pojedynkach?...”

„Zyskałeś większą szansę — objaśniał rozsądek — przed rokiem miałeś może jedną sto- albo jedną dwudziestomilionową prawdopodobieństwa, że się z nią ożenisz, a za rok możesz mieć jedną dwudziestotysięczną...”

„Za rok?... — powtórzył Wokulski i znowu owionął go jakiś chłód surowy. Wydarł mu się jednak i zapytał: — A jeżeli panna Izabela pokocha mnie albo już kocha?...”

⁴⁴⁸zaniedbuję obowiązków — dziś z Biernikiem: zaniedbuję obowiązki.

⁴⁴⁹fikcyjny — tu: niedorzeczny, urojony.

Miłość, Małżeństwo,
Konflikt wewnętrzny,
Obowiązek

Bieda, Dziecko, Obyczaje,
Żyd

Małżeństwo

Kaleka, Kobieta,
Mężczyzna, Miłość

„Naprzód — należałoby wiedzieć, czy panna Izabela może kochać kogokolwiek...”
„Alboż nie jest kobietą?”
„Trafiąją się kobiety z defektem moralnym, niezdolne kochać nic i nikogo, prócz swoich przelotnych kaprysów, podobnież i mężczyźni; jest to tak dobra wada, jak: głuchota, ślepotą albo paraliż, tylko mniej widoczna.”

„Przypuśćmy...”
„Dobrze — mówił dalej głos, który Wokulskiemu przypominał zgryźliwe zrzęczenie doktora Szumana — gdyby więc ta pani w ogóle mogła kogoś kochać, to nasuwa się drugie pytanie: czy pokocha ciebie?”

„Przecież tak wstrętny nie jestem.”
„Owszem, możesz nim być, jak najpiękniejszy lew jest wstrętnym dla krowy albo orzeł dla gęsi. Widzisz, mówię ci nawet komplementa: porównywał cię ze lwem i orłem, które mimo wszystkich zalet budzą jednak odrazę w samicach innego gatunku. Unikaj zatem samic innego niż twój gatunku...”

Wokulski ocknął się i rozejrzał. Był już niedaleko Wisły, obok drewnianych spichrzów, a przejeżdżające furmanki zasypywały go czarnym pyłem. Szybko zwrócił się ku miastu i począł rozważać samego siebie.

„We mnie jest dwu ludzi — mówił — jeden zupełnie rozsądny, drugi wariat. Który zaś zwycięży?... Ach, o to się już nie troszczę. Ale co zrobię, jeżeli wygra ten mądry?... Cóż to za okropna rzecz posiadając wielki kapitał uczuć złożyć go samicy innego gatunku: krowie, gęsi albo czemuś jeszcze gorszemu?... Cóż to za upokorzenie śmiać się z triumfów jakiegoś byka albo gąsiora, a jednocześnie płakać nad własnym sercem, tak boleśnie rozdartym, tak haniebnie podeptanym?... Czy warto żyć dalej w podobnych warunkach?”

I na samą myśl o tym Wokulski uczuł pragnienie śmierci, ale tak zupełnej, żeby nawet resztki jego popiołów nie zostały na ziemi.

Stopniowo jednak uspokoił się i wróciwszy do domu począł zastanawiać się już całkiem chłodno nad tym: czy na jutrzejszy obiad włożyć frak, czy surdut?... Albo czy do jutra nie zajdzie jakaś nieprzewidziana przeszkoda, która znowu mu nie pozwoli zbliżyć się do panny Izabeli? Potem jeszcze zrobił rachunek ostatnich handlowych obrotów, wysłał parę telegramów do Moskwy i Petersburga, a nareszcie napisał list do starego Szlangbauma proponując, ażeby mu pożyczył swego nazwiska w celu nabycia kamienicy Łęckich.

„Mecenas ma rację — myślał. — Lepiej kupić ten dom pod cudzą firmą. Inaczej mogliby mnie podejrzewać o chęć wyzyskania ich albo — co gorsze — posądzić o zamiar robienia im łaski!...”

Jednakże pod powłoką obojętnych zajęć kipiała w nim burza. Rozsądek głośno wołał, że jutrzejszy obiad niczego nie oznacza i nie zapowiada. A nadzieja cicho... cicho szeptała, że — może jest kochanym, a może dopiero nim będzie.

Ale cicho... tak cicho, że Wokulski z największą uwagą musiał się przysłuchiwać jej szeptowi.

Dzień następny, pełen znaczenia dla Wokulskiego, nie odznaczył się żadną osobliwością ani w Warszawie, ani w naturze. Tu i owdzie na ulicy kłębił się kurz wzniecony miotłami stróżów, dorożki pędziły bez pamięci albo zatrzymywały się bez powodu, a nieskończony potok przechodniów ciągnął się w jedną i drugą stronę chyba po to, ażeby utrzymywać ruch w mieście. Niekiedy pod ścianą domów przesuwali się ludzie obdarci, skuleni, z rękami wbitymi w rękawy, jakby to był nie czerwiec, ale styczeń. Czasem na środku ulicy przewinął się chłopski wózek napełniony blaszanymi konwiami, a powożony przez zuchowatą babę w granatowym kaftanie i czerwonej chustce na głowie.

Wszystko to roilo się między dwoma długimi ścianami kamienic pstrej barwy, nad którymi górowały wyniosłe fronty świątyń. Na obu zaś końcach ulicy⁴⁵⁰, niby pilnujące miasta szylldwachy⁴⁵¹, wznosiły się dwa pomniki. Z jednej strony król Zygmunt, stojący na olbrzymiej świecy, pochylał się ku Bernardynom⁴⁵², widocznie pragnąc coś zakomunikować przechodniom. Z drugiego końca nieruchomy Kopernik, z nieruchomym globusem

Natura, Zwierzęta

Rozczarowanie,
Samobójstwo, Sobowtór,
Rozum, Szaleństwo
Natura, Zwierzęta

Interes, Obyczaje

Miasto, Warszawa

Idealista, Nauka, Sława

Światło

⁴⁵⁰ Na obu (...) końcach ulicy — Krakowskiego Przedmieścia.

⁴⁵¹ szylldwach — wartownik.

⁴⁵² Bernardyni — kościół Św. Anny (pobernardyński) na Krakowskim Przedmieściu, wzniesiony w r. 1454, wielokrotnie przebudowywany, ostatni raz w w. XVIII, bardzo zniszczony podczas powstania warszawskiego, został odbudowany.

w ręku, odwrócił się tyłem do słońca, które na dzień wychodziło spoza domu Karasia⁴⁵³, wznosiło się nad pałac Towarzystwa Przyjaciół Nauk⁴⁵⁴ i kryło się za dom Zamoyskich⁴⁵⁵ jakby na przekór aforyzmowi: „Wstrzymał słońce, wzruszył ziemię.”⁴⁵⁶ Wokulski, który w tym właśnie kierunku wyglądał ze swego balkonu⁴⁵⁷, mimo woli westchnął przypominając sobie, że jedynymi wiernymi przyjaciółmi astronoma byli tragarze i tracze⁴⁵⁸, nie odznaczający się, jak wiadomo, zbyt dokładną znajomością zasługi Kopernika.

„Wiele mu z tego — myślał — że w kilku książkach nazywają go chlubą narodu!... Pracę dla szczęścia — rozumiem, ale pracy dla fikcji nazywającej się społeczeństwem czy sławą — już bym się nie podjął. Społeczność niech sama myśli o sobie, a sława... Co mi przeszkadza wyobrażać sobie, że już posiadam sławę na przykład na Syriuszu⁴⁵⁹? A przecież Kopernik nie jest dziś w lepszym położeniu odnośnie do ziemi i tyle go obchodzi statua w Warszawie, co mnie piramida na jakiejś Wedze⁴⁶⁰!... Trzy wieki sławy oddam za chwilę szczęścia i dziwię się tylko mojej głupocie, że kiedyś inaczej myślałem.”

Jakby w odpowiedzi na to spostrzegł po drugiej stronie ulicy Ochockiego; wielki maniak szedł wolno, ze spuszczoną głową i rękoma w kieszeniach.

Prosty ten zbieg wypadków głęboko wstrząsnął Wokulskim; przez chwilę uwierzył nawet w przeczucia i pomyślał z radosnym zdumieniem:

„Czy mi to nie zapowiada, że on będzie miał sławę Kopernika, a ja — szczęście?... A buduję sobie maszyny latające, tylko zostaw mi swoją kuzynkę!... — Cóż znowu za przesady?... — opamiętał się po chwili. — Ja i przesady!...”

W każdym razie bardzo podobało mu się zdanie, że Ochocki będzie miał nieśmiertelną sławę, a on — żywą pannę Izabelę. Serce napełniła mu otucha. Żartował z siebie, lecz mimo to czuł, że jakoś więcej ma spokoju i odwagi.

„Więc przypuśćmy — mówił — że w rezultacie po wszystkich moich zabiegach — odrąci mnie... No?... słowo honoru, że natychmiast wezmę utrzymankę i będę z nią siadał w teatrze obok łoża państwa Łęckich. Zaczyna pani Meliton, a może i ten... Maruszewicz wynajdą mi kobietę mającą podobne do niej rysy (za kilkanaście tysięcy rubli można i to nawet znaleźć). Od stóp do głów owinę ją w koronki, zasypię klejnotami, a wtedy przekonamy się, czy wobec niej nie zblednie panna Izabela. — Niechże sobie potem idzie za męża, choćby za marszałka i barona...”

Ale na myśl o zamażpójściu panny Izabeli opanowała go wściekłość i rozpacz. W takiej chwili — chciałby cały świat nabić dynamitem i rozsadzić. Lecz znowu oprzytomniał:

„No i coż bym zrobił, gdyby podobało się jej wyjść za męża?... Nie, nawet gdyby podobało się jej mieć kochanków: raz mego subiekta, drugi raz jakiego oficera, trzeci raz furmana albo lokaja... No i coż bym na to poradził?...”

Poszanowanie cudzej osobistości⁴⁶¹ i swobody było w nim tak wielkie, że przed nim ugiął się nawet jego obłąd.

„Cóż zrobić?... coż zrobić?...” — powtarzał ściskając dłońmi rozgorączkowaną głowę.

Praca

Kobieta, Mężczyzna,
Zazdrość, Zemsta

Wolność

⁴⁵³dom Karasia — pałac z XVIII w. między ul. Oboźną i Kopernika, na rogu Krakowskiego Przedmieścia (rozebrany w 1913 r.)

⁴⁵⁴Pałac Towarzystwa Przyjaciół Nauk — Towarzystwo Przyjaciół Nauk stanowiło główne ognisko polskiego ruchu naukowego i literackiego w latach 1800–1831. Mieściło się w pałacu na Krakowskim Przedmieściu. Pałac został wzniesiony staraniem Stanisława Staszica w r. 1823; stąd zwany jest pałacem Staszica. Po zamknięciu Towarzystwa przez władze carskie gmach został przebudowany i zamieniony na gimnazjum rosyjskie (zniszczony w powstaniu warszawskim, obecnie odbudowany jest siedzibą instytutów Polskiej Akademii Nauk).

⁴⁵⁵Dom Zamoyskich — przy ul. Nowy Świat 69, zbudowany przez Andrzeja Zamoyskiego w latach 1839–1846, zajęty przez władze wojskowe od r. 1863 (zniszczony w czasie ostatniej wojny, obecnie zrekonstruowany).

⁴⁵⁶Wstrzymał słońce, wzruszył ziemię, polskie wydało go plemię — dwuwiersz Kopernik z tomu *Przekłady i ulotne wiersze* (1832) Jana Nepomucena Kamińskiego (1777–1855) literata i dyrektora teatru we Lwowie. (W tekście Kamińskiego: „ruszył ziemię...”)

⁴⁵⁷ze swego balkonu — S. Godlewski na podstawie tekstu powieści przypuszczał, że mieszkanie Wokulskiego znajdowało się na Krakowskim Przedmieściu w domu nr 4 na rogu Oboźnej (spalonym w czasie powstania warszawskiego). W r. 1937 wmurowano tu tablicę pamiątkową. Hipotezę tę zakwestionowali: L. Grzeniewski i J. W. Gomulicki, który mieszkanie Wokulskiego umieszcza przy ul. Krakowskie Przedmieście 7 (w tym samym domu, co „nowy sklep”).

⁴⁵⁸tracz — robotnik leśny zajmujący się przecinaniem kłód drzewa piłą ręczną.

⁴⁵⁹Syriusz — najjaśniejsza gwiazda w gwiazdozbiorze Wielkiego Psa.

⁴⁶⁰Wega — gwiazda pierwszej wielkości w gwiazdozbiorze Lutni.

⁴⁶¹Poszanowanie cudzej osobistości — dziś mówimy: osobowości (jednostkowych wyborów i praw).

Na godzinę wpadł do sklepu, załatwił kilka interesów i wrócił do siebie; o czwartej służący wydobyl mu z komody bieliznę i przyszedł fryzjer ogolić go i uczesać.

— Cóż słyhać, panie Fitulski? — zapytał fryzjera.

— Nic, a będzie gorzej; kongres berliński myśli o zduszeniu Europy, Bismarck o zduszeniu kongresu, a Żydzi — o ogoleniu do reszty nas... — opowiadał młody artysta, piękny jak serafin, zręczny — jakby uciekł z żurnala krawców.

Zawiązał Wokulskiemu ręcznik na szyi i mydląc mu policzki z szybkością piorunu, mówił dalej:

— W mieście, panie, cicho do czasu, a zresztą nic. Byłem wczoraj z towarzystwem na Saskiej Kępie, ale cóż to, panie, za ordynaryjna młodzież!... Pokłócili się w tańcu i proszę mego pana wyobrazić sobie... Główkę trochę wyżej, *s'il vous plait*⁴⁶²...

Wokulski podniósł głowę trochę wyżej i zobaczył, że jego operator⁴⁶³ nosi złote spinki przy bardzo brudnych mankietach.

— Pokłócili się w tańcu — ciągnął elegant błyskając mu brzytwą przed oczyma — i proszę sobie wyobrazić, że jeden chcąc kopnąć drugiego w wystawę — uderzył damę!... Zrobił się hałas... pojedynek... Mnie naturalnie wybrano na sekundanta i właśnie byłem dziś w kłopotcie, bom miał tylko jeden pistolet, kiedy przed półgodziną przychodzi do mnie obrażający i mówi, że nie głupi strzelać się i że obrażony — może mu oddać, byle tylko raz... Główkę na prawo, *s'il vous plait*... No wie pan, byłem tak oburzony (przed pół godziną), że porwałem faceta za galeryjkę, kolanem w antresolę i — won! za drzwi. Z takim blaznem strzelać się nie podobna, *n'est-ce pas?*⁴⁶⁴... Teraz na lewo, *s'il vous plait*.

Skończył golić, umył Wokulskiemu twarz i owinąwszy go w strój podobny do śmiertelnej koszuli delikwentów, mówił dalej:

— Że też nigdy u pana dobrodzieja nie spostrzegłem ani śladu kobiety: przychodzę przecież w rozmaitych godzinach...

Wziął do rąk grzebień i szczotkę i zaczął czesać.

— Przychodzę w rozmaitych godzinach, a oko, panie, mam na te rzeczy... no!... Pomimo to nigdy ani rąbka spódniczki, ani pantofelka, ani kawałka wstążki! A przecież nawet raz u jednego kanonika zdarzyło mi się widzieć gorset; prawda, że znalazł go na ulicy i właśnie chciał bezimiennie odesłać do redakcji. A, panie, u oficerów, szczególnie zaś u huzarów!... (Główkę na dół, *s'il vous plait*...) Czyste zatrzęsienie!... U jednego, panie, spotkałem aż cztery młode damy i wszystkie — uśmiechnięte... Od tej pory, daję słowo honoru, zawsze kłaniam mu się na ulicy, choć mnie opuścił i winien mi pięć rubli. Ale, panie, jeżeli za krzesło na koncert Rubinsteina⁴⁶⁵ mogłem dać sześć rubli, toż bym chyba nie żałował pięciu rubli dla takiego wirtuoza... Może by trochę poczernić włosy, *je suppose que oui?*⁴⁶⁶

— Bardzo panu dziękuję — odparł Wokulski.

— Domyślałem się tego — westchnął fryzjer. — W szanownym panu nie ma śladu pretensji, a to źle!... Znam kilka baletniczek, które chętnie zawarłyby z panem stosunek, a słowo honoru daję, że warto! Prześlicznie zbudowane, muskulatura dębowa, biust jak materac na sprężynach, ruchy pełne gracji i wcale nie przesadzone wymagania, szczególnie za młodu. Bo kobieta, panie, im starsza, tym droższa, zapewne i dlatego nikt nie ciągnie na sześćdziesięciolatki, że już nie ma na nie ceny. Rotszyld⁴⁶⁷ by zbankrutował!... Początkującej zaś da pan trzy tysiące rubelków na rok, kilka prezencików i będzie panu wierna... Ach, te kobiety!... Dostałem przez nie scjatyki⁴⁶⁸, lecz nie mogę się na nie gniewać...

Skończył swoją sztukę, uklonił się według najpiękniejszych zasad i wyszedł z uśmiechem; patrząc na jego wspaniałą minę i portfel, w którym nosił szczotki i brzytwy, można by go wziąć za urzędnika z ministerium.

Lud, Polityka

Bijatyka, Lud, Obyczaje,
Pojedynek

Kobieta

Artysta

Kobieta

⁴⁶²*s'il vous plait* (fr.) — proszę, jeśli łaska.

⁴⁶³*operator* — tu: żartobliwie o fryzjerze.

⁴⁶⁴*n'est-ce pas?* (fr.) — czyż nie?

⁴⁶⁵Rubinstein Antoni (1829–1894) — rosyjski pianista i kompozytor. Odbывał słynne podróże koncertowe po Europie.

⁴⁶⁶*je suppose que oui?* (fr.) — przypuszczam, że tak?

⁴⁶⁷Rotszyld — nazwisko sławnych bankierów, których działalność obejmowała wiele krajów europejskich.

⁴⁶⁸*scjatyka* — ischias, choroba objawiająca się napadami bólu na tylnej stronie nogi od bioder ku piętom.

Wokulski po jego odejściu nawet nie pomyślał o młodych i nie wymagających baletniczkach; zajmowało go wielkiej doniosłości pytanie, które streścił w dwu wyrazach, frak czy surdut?

Obyczaj, Pozycja społeczna, Strój

„Jeżeli włożę frak, wyjdę na eleganta pilnującego się przepisów, które mnie w rezultacie nic nie obchodzą. A jeżeli włożę surdut, mogę Łęckich obrazić. Zresztą niechże znajdzie się ktoś obcy... Nie ma rady, jeżeli zdobyłem się na takie błazeństwa, jak własny powóz i koń wyścigowy, to już frak muszę włożyć!”

Tak medytując śmiał się z tej otchłani dzieciństw, do której spychała go znajomość z panną Izabelą.

„Ach, mój stary Hopferze! — mówił — o wy, moi koledzy uniwersyteccy i syberyjscy, czy któryś z was wyobrażał sobie mnie zajmującego się podobnymi kwestiami?...”

Ubrał się w garnitur frakowy i stanąwszy przed lustrem uczuł zadowolenie. Ten obcisły strój najlepiej uwidatniał jego atletyczne kształty. Konie czekały od kwadransa i było już wpół do szóstej. Wokulski włożył lekki paltot i opuścił mieszkanie. Siadając do powozu był bardzo błydy i bardzo spokojny, jak człowiek, który idzie naprzeciw niebezpieczeństwu.

XVI. „ONA” — „ON” — I CI INNI

Tego dnia, kiedy Wokulski miał przyjść na obiad, panna Izabela wróciła od hrabiny o piątej. Była trochę rozniewana i bardzo rozmarzona, razem — prześliczna.

Rozczarowanie

Spotkało ją dziś szczęście i zawód. Wielki tragik włoski, Rossi⁴⁶⁹, znany jej i ciotce jeszcze z Paryża, przyjechał na występy do Warszawy. Natychmiast odwiedził hrabinę i troskliwie wypyttywał się o pannę Izabelę. Miał być dziś drugi raz i hrabina specjalnie dla niego zaprosiła siostrzenicę. Tymczasem Rossi nie przyszedł; przysłał tylko list, w którym przeproszał za zawód i usprawiedliwiał się niespodziewaną wizytą jakiejś wysoko położonej osoby.

Przed paroma laty, właśnie w Paryżu, Rossi był ideałem panny Izabeli; kochała się w nim, i nawet nie kryła swych uczuć, o ile, rozumie się, było to możliwym dla panienci jej stanowiska. Znakomity artysta wiedział o tym, bywał co dzień w domu hrabiny, grał i deklamował wszystko, co mu kazała panna Izabela, a wyjeżdżając do Ameryki ofiarował jej włoski egzemplarz *Romea i Julii*⁴⁷⁰ z dedykacją: „Mdła mucha więcej ma mocy, czci i szczęścia aniżeli Romeo...”⁴⁷¹.

Rozczarowanie

Wiadomość o przybyciu Rossiego do Warszawy i o tym, że jej nie zapomniał, wzruszyła pannę Izabelę. Już o pierwszej w południe była u ciotki. Co chwilę wstawała do okna, każdy turkot przyspieszał bicie jej serca, za każdym uderzeniem dzwonka drgała; zapominała się w rozmowie, na twarz jej wystąpiły silne rumieńce... No — i Rossi nie przyszedł!...

A tak dziś była piękną. Ubrała się, umyślnie dla niego w jedwabną sukienkę kremowej barwy (z daleka wyglądało to jak zmięte płótno), miała brylantowe kolczyki (nie większe od ziarn grochu) w uszach i pasową różę na ramieniu. I tyle. Ale niech żałuje Rossi, że jej nie widział!

Marzenie

Po czterogodzinnym oczekiwaniu wróciła do domu oburzona. Mimo jednak gniewu wzięła do rąk egzemplarz *Romea i Julii* i przeglądając go myślała:

„Gdyby też nagle wszedł tu Rossi?...”

Nawet byłoby lepiej tu niż u hrabiny. Bez świadków mógłby jej szepnąć jakieś gorętsze słówko; przekonałby się, że ona szanuje jego pamiątki, a nade wszystko — przekonałby się (o czym tak głośno mówi duże lustro), że w tej sukni, z tą różą i na tym błękitnym fotelu wygląda jak bóstwo.

Przypomniała sobie, że na obiedzie ma być Wokulski, i mimo woli wzruszyła ramionami. Galanterijny kupiec po Rossim, którego podziwiał cały świat, wydał jej się tak śmiesznym, że po prostu ogarnęła ją litość. Gdyby Wokulski w tej chwili znalazł się u jej

⁴⁶⁹Rossi Ernest (1829–1896) — znakomity aktor włoski, świetny odtwórca ról szekspirowskich. Przybył na gościnne występy do Warszawy 16 czerwca 1878.

⁴⁷⁰*Romeo i Julia* — słynna tragedia Szekspira. Miejszem akcji jest miasto włoskie Werona, tematem — losy dwojga kochanków pochodzących ze zwaśnionych z sobą rodów. Montekich i Kapuletów.

⁴⁷¹*Mdła mucha więcej ma mocy...* — słowa Romea z aktu III, sceny 3 tragedii *Romeo i Julia*.

nóg, ona może nawet wsunęłaby mu palce we włosy i bawiąc się nim jak wielkim psem czytałaby tę oto skargę Romea przed Laurentym⁴⁷²:

„Niebo jest tu, gdzie mieszka Julia. Łada pies, kot, łada mysz marna żyje w niebie, może patrzeć na nią; tylko — Romeo nie może! Mdma mucha więcej ma mocy, więcej czci i szczęścia aniżeli Romeo. Jej wolno dotykać drogiej ręki Julii i z płonących ust kraść nieśmiertelne zbawienie. Mucha ma tę wolność, ale Romeo nie ma, bo on wygnany!... O księżu, złe duchy wyją, gdy w piekle usłyszą ten wyraz; maszże ty serce, ty, święty spowiednik i przyjaciel, drzeć ze mnie pasy tym strasznym słowem — wygnanie...”⁴⁷³

Westchnęła. — Kto wie, ile razy powtarza sobie te zdania wielki tułacz myśląc o niej?... I może nawet nie ma powiernika!... Wokulski mógłby być takim powiernikiem; on chyba wie, jak za nią można rozpaczać, bo on narażał dla niej życie.

Odwrociwszy kilka kartek wstecz znowu czytała:

„Romeo! czemuż ty jesteś Romeo? Rzuć tę nazwę albo... przysięgnij być wiernym mojej miłości, a wtedy ja wyprę się rodu Kapuletów... Zresztą — tylko twoje nazwisko jest dla mnie nieprzyjemne, boś ty w istocie dla mnie nie Monteki... O, weź inną nazwę, bo czym jest nazwa?... To, co zwiemy różą, pod inną nazwą również by pachniało: tak i Romeo, bez nazwy Romeo, przecież by całą swą wartość zatrzymał. Więc, Romeo — rzuć swoją nazwę, a w zamian za to, co nawet nie jest częścią ciebie, weź mnie... ach!... całą...”⁴⁷⁴

Jakież było dziwne między nimi podobieństwo: on — Rossi, aktor, a ona — panna Łęcka. Rzuć nazwisko, rzuć swój zawód... Tak, ale cóż by wtedy zostało... Zresztą nawet księżniczka krwi mogłaby wyjść za Rossiego i świat tylko podziwiałby jej poświęcenie...

Wyjść za Rossiego?... Dbać o jego garderobę teatralną, a może przyszywać mu guziki do nocnych koszul?...

Panna Izabela wstrząsnęła się. Kochać go bez nadziei — to dosyć... Kochać i czasami porozmawiać z kim o tej tragicznej miłości... Może by z panną Florentyną. Nie, ona nie ma dosyć uczucia. Daleko lepiej nadawałby się do tego Wokulski. Patrzyłby jej w oczy, cierpiałby za siebie i za nią, ona opowiadałaby mu bolejąc nad własnym i nad jego cierpieniem i w taki sposób bardzo przyjemnie upływałyby im godziny. Kupiec galanterijny w roli powiernika!... Można by zresztą zapomnieć o tym kupiectwie...

W tej samej porze pan Tomasz zakręcając siwego wusa spacerował po swym gabinecie i myślał:

„Wokulski jest to człowiek ogromnie zręczny i energiczny! Gdybym miał takiego plenipotentą (tu westchnął), nie pozbyłbym się majątku... No, już stało się: za to dziś go mam... Z kamienicy zostanie mi czterdzieści, nie — pięćdziesiąt, a może i sześćdziesiąt tysięcy rubli... Nie, nie przesadzajmy, niech pięćdziesiąt tysięcy, no — niechby tylko czterdzieści tysięcy... Dam mu to, on będzie mi płacił z osiem tysięcy rubli rocznie, resztę zaś (jeżeli interes pójdzie w jego rękach, jak się spodziewam), resztę procentów — każę kapitalizować⁴⁷⁵... Za pięć, sześć lat suma podwoi się, a już za dziesięć — może wzrosnąć w czwórnasób... Bo to w operacjach handlowych pieniądze szalenie się mnożą... Ale co ja mówię!... Wokulski, jeżeli jest naprawdę genialnym kupcem, powinien mieć i z pewnością ma sto za sto. A w takim razie spojrzę mu w oczy i powiem bez ogródki: »Dawaj ty innym, mój dobrodzieju, piętnaście albo dwadzieścia procent rocznie, ale nie mnie, który się na tym rozumiem. I on, naturalnie, zobaczywszy, z kim ma do czynienia, zmięknie od razu i może nawet wykaże taki dochód, o jakim mi się nie śniło...”

Dzwonek w przedpokoju uderzył dwa razy. Pan Tomasz cofnął się w głąb gabinetu i usiadłszy na fotelu wziął do rąk tom przygotowanej na ten cel ekonomii Supińskiego⁴⁷⁶. Mikołaj otworzył drzwi i za chwilę ukazał się Wokulski.

— A... witam!... — zawołał pan Tomasz wyciągając do niego rękę.

Wokulski nisko uklonił się przed białymi włosami człowieka, którego rad by nazywać swoim ojcem.

Małżeństwo, Miłość
tragiczna

Interes, Mieszczanin,
Szlachcic

Pozory

⁴⁷²Laurenty — ojciec Laurenty, jedna z postaci wyżej podanej tragedii.

⁴⁷³Niebo jest tu, gdzie mieszka Julia... — słowa Romea z aktu III, sceny 3.

⁴⁷⁴Romeo! czemuż ty jesteś Romeo?... — słowa Julii z aktu II, sceny 2.

⁴⁷⁵kapitalizować — składać dochody na kapitał.

⁴⁷⁶Supiński Józef (1804–1893) — ekonomista polski, autor *Szkoły polskiej gospodarstwa społecznego* (1862–1865), poprzednik pozytywizmu, nawoływał do „pracy i oszczędności”.

— Siadajże, panie Stanisławie... Może papierosa?... Proszę cię... Cóż tam słyhać?... Czytałem właśnie Supińskiego: tęga głowa!... Tak, narody nie umiejące pracować i oszczędzać zniknąć muszą z powierzchni ziemi... Tylko oszczędność i praca!... Pomimo to nasi wspólnicy zaczynają grymasić, co?...

— Niech robią, jak im wygodniej — odparł Wokulski. — Ja na nich nie zyskam ani jednego rubla.

— Ale ja nie opuszczę cię, panie Stanisławie — rzekł pan Tomasz tonem przekonania. I dodał po chwili — W tych dniach sprzedaję, to jest dopuszczam do sprzedaży mego domu. Miałem z nim duży kłopot: lokatorowie nie płacą, rządcy złodzieje, a wierzycieli hipotecznych⁴⁷⁷ musiałem zaspakajać z własnej kieszeni. Nie dziw się, że mnie to w końcu znudziło...

— Naturalnie — wtrącił Wokulski.

— Mam nadzieję — ciągnął pan Tomasz — że zostanie mi z niego pięćdziesiąt, a choćby czterdzieści tysięcy rubli...

— Ile ma pan nadzieję wziąć za ten dom?...

— Sto, do stu dziesięciu tysięcy rubli... Cokolwiek jednakże dostanę, tobie oddam, panie Stanisławie.

Wokulski pochylił głowę na znak zgody i pomyślał, że jednak pan Tomasz za swoją kamienicę nie dostanie więcej nad dziewięćdziesiąt tysięcy rubli. Tyle bowiem miał w tej chwili do dyspozycji, a nie mógł zaciągać długów bez narażenia swego kredytu.

— Tobie oddam, panie Stanisławie — mówił pan Łęcki. — I właśnie chciałem zapytać się, czy przyjmiesz?...

— Ależ rozumie się...

— I jaki mi dasz procent?

— Gwarantuję dwudziesty, a jeżeli interesa pójdą lepiej, to i wyższy — odparł Wokulski dodając w duchu, że więcej nad piętnaście procent nie mógłby dać komu innemu.

„Filtu!... — pomyślał pan Tomasz. — Sam ma ze sto procentów, a mnie daje dwadzieścia...”

Głośno jednak rzekł:

— Dobrze, kochany panie Stanisławie. Przyjmuję dwadzieścia procent, bylebyś mi mógł wypłacić z góry.

— Będę płacił z góry... co pół roku — odpowiedział Wokulski lękając się, ażeby pan Tomasz nie wydał pieniędzy zbyt prędko.

— I na to zgoda — rzekł pan Tomasz tonem wielkiej serdeczności. — Wszystkie zaś zyski — dodał z lekkim akcentem — wszystkie zyski wyższe nad dwadzieścia procent, proszę cię, ażebyś nie dawał mi ich do ręki, choćbym... błagał, rozumiesz?... ale żebyś dołączał do kapitału. Niech rośnie, prawda?...

— Panie proszą — rzekł w tej chwili Mikołaj ukazując się we drzwiach gabinetu.

Pan Tomasz uroczyście podniósł się z fotelu i ceremonialnym krokiem wprowadził gościa do salonu.

Później niejednokrotnie Wokulski usiłował zdać sobie sprawę z salonu i ze sposobu, w jaki tam wszedł; ale całości faktu nie mógł sobie przypomnieć. Pamiętał, że przede drzwiami uklonił się parę razy panu Tomaszowi, że potem owionęła go jakaś miła woń, skutkiem czego uklonił się damie w kremowej sukni z pasową różą przy ramieniu, a potem — innej damie wysokiej i czarno ubranej, która patrzyła na niego z przestrawą. Przynajmniej tak mu się zdawało.

Dopiero po chwili spostrzegł, że damą w kremowej sukni była panna Izabela. Siedziała na fotelu, z nieporównanym wdziękiem pochyłona w jego stronę, i łagodnie patrząc mu w oczy mówiła:

— Ojciec mój, jako pański wspólnik, będzie musiał odbyć długą praktykę, zanim potrafi zadowolić pana. W jego imieniu proszę o pobłażliwość.

Wyciągnęła rękę, której Wokulski ledwo śmiał dotknąć.

— Pan Łęcki — odparł — jako wspólnik, potrzebuje mieć tylko zaufanego adwokata i buchaltera, którzy co pewien czas skontrolują rachunki. Reszta należy do nas.

⁴⁷⁷wierzyciele hipoteczni — hipoteka: instytucja prawna zabezpieczająca prawa właściciela nieruchomości oraz rozszczenia pieniężne jego ewentualnych wierzycieli.

Zdawało mu się, że powiedział coś bardzo głupiego, i zarumienił się.

— Pan musi mieć dużo zajęcia przy takim magazynie... — wtrąciła czarno ubrana panna Florentyna i przestraszyła się jeszcze mocniej.

— Nie tak wiele. Do mnie należy dostarczanie funduszków obrotowych i zawiązywanie stosunków z nabywcami i odbiorcami. Rodzajem zaś towaru i oceną jego wartości zajmuje się administracja sklepu.

— Czy to można w każdym razie spuścić się na obcych! — westchnęła panna Florentyna.

— Mam doskonałego plenipotentę, a zarazem przyjaciela, który lepiej prowadzi interesy, niżbym ja to potrafił.

— Szczęśliwy jesteś, panie Stanisławie... — pochwycił Łęcki. — Nie wyjeżdżasz w tym roku za granicę?

— Chcę być w Paryżu na wystawie.

— Zazdroszczę panu — odezwała się panna Izabela — Od dwu miesięcy marzę tylko o wystawie paryskiej, ale papa jakoś nie okazuje skłonności do wyjazdu...

— Nasz wyjazd całkowicie zależy od pana Wokulskiego — odpowiedział ojciec. — Radzę ci więc jak najczęściej zapraszać go na obiad i podawać smaczny, ażeby miał dobry humor.

— Zaręczam, że ile razy będzie pan na nas łaskaw, sama zajrzę do kuchni. Czy jednak dobre chęci wystarczą w tym wypadku...

— Z wdzięcznością przyjmuję obietnicę — odparł Wokulski. — Nie wpłynie to jednak na termin wyjazdu państwa do Paryża, ponieważ zależy on tylko od ich woli.

— *Merci...* — szepnęła panna Izabela.

Wokulski schylił głowę. „Znam ja to »merci«! — pomyślał — płaci się za nie kulaniami...”

— Państwo pozwólą do stołu?... — wtrąciła panna Florentyna.

Przeszli do jadalnego pokoju, gdzie na środku stał okrągły stół nakryty na cztery osoby. Wokulski znalazł się przy nim między panną Izabelą i jej ojcem, naprzeciw panny Florentyny. Już był zupełnie spokojny, tak spokojny, że aż go to przerażało. Opuścił go szal miłości i nawet pytał sam siebie: czy ona jest kobietą, którą kochał?... Bo czy podobna kochać się tak jak on i siedząc o krok od przyczyny swego oblędu czuć taką ciszę w duszy, tak niezmierną ciszę?... Myśl miał tak swobodną, że nie tylko dokładnie widział każde drgnienie fizjonomii swoich współbiesiadników, ale jeszcze (co już było zabawne), patrząc na pannę Izabelę, robił sobie następujący rachunek:

„Suknia. Piętnaście łokci surowego jedwabiu po rublu — piętnaście rubli... Koronki z dziesięć rubli, a robota z piętnaście... Razem — czterdzieści rubli sukni, ze sto pięćdziesiąt rubli kolczyki i dziesięć groszy róża...”

Mikołaj zaczął podawać potrawy. Wokulski bez najmniejszego apetytu zjadł kilka łyżek chłodniku, zapił portweinem⁴⁷⁸, potem spróbował polędwicy i zapił ją piwem. Uśmiechnął się, sam nie wiedząc czemu, i w przystępie jakiejś żakowskiej radości postanowił robić błędy przy stole. Na początek skosztowawszy polędwicy położył nóż i widelec na podstawce obok talerza. Panna Florentyna aż drgnęła, a pan Tomasz z wielką werwą zaczął opowiadać o wieczorze w Tuileriesach⁴⁷⁹, podczas którego na żądanie cesarzowej Eugonii⁴⁸⁰ tańczył z jakąś marszałkową menueta⁴⁸¹.

Podano sandacza, którego Wokulski zaatakował nożem i widelcem. Panna Florentyna o mało nie zemdlą, panna Izabela spojrzała na sąsiada z pobłażliwą litością, a pan Tomasz... zaczął także jeść sandacza nożem i widelcem.

„Jacyście wy głupi!” — pomyślał Wokulski czując, że budzi się w nim coś niby pogarda dla tego towarzystwa. Na domiar odezwała się panna Izabela, zresztą bez cienia złośliwości:

— Musi mnie papa kiedy nauczyć, jak się jada ryby nożem.

Wokulskiemu wydało się to wprost niesmaczne. „Widzę, że odkocham się tu przed końcem obiadu...” — rzekł do siebie.

Jedzenie, Obyczaje

Konflikt wewnętrzny,
Miłość

⁴⁷⁸*portwein* (z niem.) — czerwone mocne wino portugalskie.

⁴⁷⁹*Tuileries* — Tuileries: pałac i park z w. XVII w Paryżu, od r. 1800 rezydencja panujących. W r. 1871 w czasie walk Komuny Paryskiej pałac, z wyjątkiem dwóch pawilonów, spłonął.

⁴⁸⁰Cesarzowa Eugenia (1826–1920) — żona Napoleona III, z domu hrabianka de Montijo de Gusman.

⁴⁸¹*menuet* — starofrancuski taniec w trzyćwierciowym takcie, pełen wdzięku i wytworności.

— Moja droga — odpowiedział pan Tomasz córce — niejadanie ryb nożem to do-
prawdy przesąd... Wszak mam rację, panie Wokulski?

— Przesąd?... nie powiem — rzekł Wokulski. — Jest to tylko przeniesienie zwyczaju
z warunków, gdzie on jest stosowny, do warunków, gdzie nim nie jest.

Pan Tomasz aż poruszył się na krześle.

— Anglicy uważają to prawie za obrazę... — wydekłamała panna Florentyna.

— Anglicy mają ryby morskie, które można jadać samym widelcem; nasze zaś ryby
ościste może jedliby innym sposobem...

— O, Anglicy nigdy nie łamią form — broniła się panna Florentyna.

— Tak — mówił Wokulski — nie łamią form w warunkach zwykłych, ale w nie-
zwykłych stosują się do prawidła: robić, jak wygodniej. Sam zresztą widywałem bardzo
dystygowanych lordów, którzy baraninę z ryżem jedli palcami, a rosół pili prosto z garn-
ka.

Lekcja była ostra. Pan Tomasz jednak przysłuchiwał się jej z zadowoleniem, a panna
Izabela prawie z podziwem. Ten kupiec, który jadał baraninę z lordami i wygłaszał tak
śmiało teorię posługiwania się nożem przy rybach, urósł w jej wyobraźni. Kto wie, czy
teoria nie wydała się jej ważniejszą aniżeli pojedynek z Krzeszowskim.

— Więc pan jest nieprzyjacielem etykiety? — spytała.

— Nie. Nie chcę tylko być jej niewolnikiem.

— Są jednak towarzystwa, w których ona przestrzega się zawsze.

— Tego nie wiem. Ale widziałem najwyższe towarzystwa, w których o niej zapomi-
nano w pewnych warunkach.

Pan Tomasz lekko schylił głowę; panna Florentyna zsiniała, panna Izabela patrzyła na
Wokulskiego prawie życzliwie. Nawet więcej niż — prawie... Bywały mgnienia, w których
marzyło się jej, że Wokulski jest jakimś Harun-al-Raszydem⁴⁸² ucharakteryzowanym na
kupca. W sercu jej budził się podziw, nawet — sympatia. Z pewnością ten człowiek może
być jej powiernikiem; z nim będzie mogła rozmawiać o Rossim.

Po lodach zupełnie zdetonowana panna Florentyna została w jadalni, a reszta towa-
rzystwa przeszła na kawę do gabinetu pana. Właśnie Wokulski skończył swoją filiżankę,
kiedy Mikołaj przyniósł panu Tomaszowi na tacy list mówiąc:

— Czeka na odpowiedź, jaśnie panie.

— Ach, od hrabiny... — rzekł pan Tomasz spojrzawszy na adres. — Pozwolicie pań-
stwo...

— Jeżeli pan nie ma nic przeciw temu — przerwała panna Izabela uśmiechając się do
Wokulskiego — to przejdziemy do salonu, a ojciec tymczasem odpisze...

Wiedziała, że list ten napisał pan Tomasz sam do siebie; koniecznie bowiem potrze-
bował choć pół godziny przedrzeć się po obiedzie.

— Nie obrazi się pan? — spytał pan Tomasz ściskając Wokulskiego za rękę.

Opuścili z panną Izabelą gabinet i weszli do salonu. Ona z gracją jej tylko właściwą
usiadła na fotelu wskazując mu drugi, zaledwie o parę kroków odległy.

Wokulskiemu, kiedy znalazł się z nią sam na sam, krew uderzyła do głowy. Wzbu-
rzenie spotęgowało się, gdy spostrzegł, że panna Izabela patrzy na niego jakimś dziwnym
wzrokiem, jakby go chciała przeniknąć do dna i przykuć do siebie. To już nie była ta
panna Izabela z kwesty wielkotygodniowej ani nawet z wyścigów; to była osoba rozumna
i czująca, która ma go o coś serio zapytać i chce mu coś szczerego powiedzieć.

Wokulski był tak ciekawy tego, co mu powie, i tak stracił wszelką władzę nad sobą, że
chyba zabiłby człowieka, który by im w tej chwili przeszkodził. Patrzył na pannę Izabelę
w milczeniu i czekał.

Panna Izabela była zakłopotana: dawno już nie doznała takiego zamętu uczuć jak w tej
chwili. Przez myśl przebiegały jej zdania: „kupił serwis” — „przegrywał umyślnie w karty
do ojca” — „znieważył mnie”, a potem: „kocha mnie” — „kupił konia wyścigowego”
— „pojedynekował się” — „jadał baraninę z lordami w najwyższych towarzystwach...”
Pogarda, gniew, podziw, sympatia kolejno potraçały jej duszę jak krople gęsto padającego
deszczu; na dnie zaś tej burzy nurtowała potrzeba zwierzenia się komuś ze swych kłopotów

⁴⁸²Harun-al-Raszyd (766–809) — kalif arabski, miłośnik sztuk pięknych, występuje jako potężny władca
w wielu baśniach arabskich.

codziennych i ze swych rozmaitych powątpiewań, i ze swej tragicznej miłości do wielkiego aktora.

„Tak, on może być... on będzie moim powiernikiem!...” — myślała panna Izabela topiąc słodkie spojrzenie w zdumionych oczach Wokulskiego i lekko pochylając się naprzód, jakby chciała go pocałować w czoło. Potem ogarniał ją bezprzyczynowy wstyd: cofała się na poręcz fotelu, rumieniła się i z wolna opuszczała długie rzęsy, jakby ją sen morzył. Patrząc na grę jej fizjonomii Wokulskiemu przypomniały się cudowne falowania zorzy północnej i owe dziwne melodie bez tonów i bez słów, które niekiedy odzywają się w ludzkiej duszy niby echa lepszego świata. Rozmarzony, przysłuchiwał się gorączkowemu tykotaniu stołowego zegara i biciu własnych pulsów i dziwił się, że te dwa tak szybkie zjawiska prawie wloką się w porównaniu z biegiem jego myśli.

„Jeżeli jest jakie niebo — mówił sobie — błogosławieni nie doznają wyższego szczęścia aniżeli ja w tej chwili.”

Milczenie trwało już tak długo, że zaczęło być nieprzyzwoitym. Panna Izabela opamiętała się pierwsza.

— Pan miał — rzekła — nieporozumienie z panem Krzeszowskim...

— O wyścigi... — wtrącił pośpiesznie Wokulski. — Baron nie mógł mi darować, że kupiłem jego konia...

Chwilę patrzyła na niego z łagodnym uśmiechem.

— Potem miał pan pojedynek, który... bardzo nas zaniepokoił... — dodała ciszej. — A potem... baron przeprosił mnie — zakończyła szybko, spuszczaając oczy. — W liście napisanym z tego powodu do mnie baron mówi o panu z wielkim szacunkiem i przyjaźnią...

— Jestem bardzo... bardzo szczęśliwy... — bąkał Wokulski.

— Z czego, panie?

— Że okoliczności złożyły się w taki sposób... Baron jest człowiekiem dystyngowanym...

Panna Izabela wyciągnęła rękę i zostawiwszy ją na chwilę w rozpalonej dłoni Wokulskiego rzekła:

— Pomimo niewątpliwej dobroci barona ja jednak tylko panu dziękuję. Dziękuję... Są przysługi, których się nieprędko zapomina, i doprawdy... — tu zaczęła mówić wolniej i ciszej — doprawdy, ulżyłby pan memu sumieniu żądając czegoś, co by zrównoważyło pańską... uprzejmość...

Wokulski puścił jej rękę i wyprostował się na krześle. Był tak odurzony, że nie zwrócił uwagi na ten mały wyraz „uprzejmość”.

— Dobrze — odparł. — Jeżeli pani każe, przyznam się nawet... do zasługi. Czy w zamian wolno mi zanieść prośbę do pani?...

— Tak.

— A więc — mówił rozgorączkowany — proszę o jedno: ażebym mógł służyć pani, o ile mi siły starczą. Zawsze i we wszystkim.

— Panie!... — przerwała z uśmiechem panna Izabela — ależ to jest podstęp. Ja chcę spłacić jeden dług, a pan chce mnie zmusić do zaciągania nowych. Czy to właściwe?...

— Co w tym niewłaściwego?... Alboż nie przyjmuje pani usług nawet od posłańców publicznych?...

— Ale im płaci się za to — odpowiedziała figlarnie patrząc mu w oczy.

— I ta tylko jest między mną i nimi różnica, że im płacić potrzeba, a mnie nie wypada. Nawet nie można.

Panna Izabela kręciła głową.

— To, o co proszę — mówił dalej Wokulski — nie przechodzi granicy najzwyczajniejszych stosunków ludzkich. Panie zawsze rozkazuje — my zawsze spełniamy, oto wszystko. Ludzie należący do tej co i pani sfery towarzyskiej wcale nie potrzebowaliby prosić o podobną łaskę; dla nich jest ona codziennym obowiązkiem, nawet prawem. Ja zaś dobijałem się, a dzisiaj błagam o nią, gdyż spełnienie zleceń pani byłoby dla mnie pewnym rodzajem nobilitacji⁴⁸³. Boże miłosierny! jeżeli furmani i lokaje mogą nosić barwy pani, z jakiej racji ja nie miałbym zasługiwać na ten zaszczyt?

⁴⁸³nobilitacja — nadanie szlachectwa.

Sluga

Dama, Kobieta, Mężczyzna,
Rycerz, Sluga

— Ach, o tym pan mówi?... Dawać panu mojej szarfy nie potrzebuję; pan sam wziął ją gwałtem. A odbierać?... Już za późno, choćby ze względu na list barona.

Znowu podała mu rękę, którą Wokulski ze złości ucałował. W obocznym pokoju rozległy się kroki i wszedł pan Tomasz wyspany, promieniejący. Jego piękna twarz miała tak serdeczny wyraz, że Wokulski pomyślał:

„Nędznikiem będę, jeżeli twoje trzydzieści tysięcy rubli, pocziwne, nie przyniosą ci dziesięciu tysięcy rocznie.”

Jeszcze z kwadrans posiedzieli we troje, rozmawiając o niedawnej zabawie w Dolinie Szwajcarskiej⁴⁸⁴ na cel dobroczynny, o przybyciu Rossiego i o wyjeździe do Paryża. Nareszcie Wokulski z zalem opuścił miłe towarzystwo obiecując przychodzić częściej i współcześnie z nimi jechać do Paryża.

— Zobaczysz pan, jak tam będzie wesoło — rzekła panna Izabela na pożegnanie.

XVII. KIEŁKOWANIE ROZMAITYCH ZASIEWÓW I ZŁUDZEŃ

Było już wpół do dziewiątej wieczorem, kiedy Wokulski wracał do domu. Słońce niedawno zaszło, lecz silny wzrok mógł już dopatrzeć większe gwiazdy przeblyskujące na złotawolazurowym niebie. Po ulicach rozlegał się wesoły gwar przechodniów; w sercu Wokulskiego zasiadł radosny spokój.

Przypominał sobie każdy ruch, każdy uśmiech, każde spojrzenie i każdy wyraz panny Izabeli, z podejrzliwą troskliwością wyszukując w nich śladu niechęci albo dumy. Na próżno. Traktowała go jak równego sobie i jak przyjaciela, zapraszała, aby ich częściej odwiedzał, ba!... nawet żądała, aby ją o co prosił...

„A gdybym się był w tej chwili oświadczył — przyszło mu na myśl — to co?...”

I pilnie wpatrywał się w rysy jej widma, które mu napelniało duszę; ale — znowu nie dostrzegł ani śladu niechęci. Owszem — figlarny uśmiech.

„Odpowiedziałaby — myślał — że za mało jeszcze się znamy, że powinienem zasłużyć na nią... Tak... niezawodnie tak by odpowiedziała” — powtarzał, ciągle przypominając sobie niewątpliwe oznaki sympatii.

„W ogóle — mówił — byłem niesprawiedliwie uprzedzony do wielkich panów. A oni są przecie takimi jak i my ludźmi; może nawet mają więcej subtelnych uczuć. Wiedząc, że jesteśmy goniącymi za zyskiem gburami, unikają nas. Ale poznawszy w nas uczciwe serca, przygarniają do siebie... Cóż to za rozkoszna żona może być z takiej kobiety! Naturalnie, że powinienem na nią zasłużyć. Jeszcze jak!...”

I pod wpływem tych myśli czuł, że budzi się w nim jakaś wielka życzliwość, która ogarnia naprzód dom Łęckich, potem dalszą ich rodzinę, potem jego sklep i wszystkich ludzi, którzy w nim pracowali, potem, wszystkich kupców, którzy mieli z nim stosunki, a nareszcie — cały kraj i całą ludzkość. Zdawało się Wokulskiemu, że każdy uliczny przechodzień jest jego krewnym, bliższym lub dalszym, wesołym lub smutnym. I niewiele brakowało, żeby stanąwszy na chodniku zaczepiał jak żebrak ludzi i pytał: „Może który z was czego potrzebuje?... Żądajcie, rozkazujcie, proszę was... w jej imieniu...”

„Podle mi dotychczas życie schodziło — mówił sobie. — Byłem egoistą. Ochocki — oto wspaniała dusza: chce przypiąć skrzydła ludzkości i dla tej idei zapomina o własnym szczęściu. Sława, naturalnie, jest głupstwem, ale praca dla pomyślności ogółu — to grunt... — A potem dodał z uśmiechem: — Ta kobieta już zrobiła ze mnie bogacza i człowieka z reputacją, lecz jeżeli uprze się, zrobi ze mnie — czy ja wiem co?... Chyba świętego męczennika, który swoją pracę, nawet życie odda dla dobra innych... Naturalnie, że oddam, gdy ona tego zechce!...”

Sklep jego był już zamknięty, ale przez otwory okiennic wyglądało światło.

„Coś jeszcze robią” — pomyślał Wokulski.

Skręcił w bramę i przez tylne drzwi wszedł do sklepu. Na progu zetknął się z wychodzącym Ziębą, który pożegnał go niskim ukłonem; w głębi zaś sklepu było jeszcze kilka

Noc

Śmiech

Pozycja społeczna

Kobieta, Żona

Obraz świata

⁴⁸⁴Dolina Szwajcarska — przy Alejach Ujazdowskich (istniała do roku 1945). Znajdował się w niej ogródek koncertowy i restauracyjny, ze ślizgawką w zimie. Mieścił się tu także pałacyk Warszawskiego Towarzystwa Łyżwiarского. 22 czerwca 1878 odbyła się w Dolinie Szwajcarskiej wielka zabawa maskaradowa z loterią na cel dobroczynny.

osób. Klejn wdrapywał się na drabinkę, ażeby coś poprawić na półkach. Lisiecki ubierał się w palto, za kantorem nad księgą siedział Rzecki, a przed nim stał jakiś człowiek i płakał.

— Stary jedzie! — zawołał Lisiecki.

Rzecki przysłaniając oczy ręką spojrzął na Wokulskiego; Klejn uklonił mu się parę razy ze szczytu drabinki, a płaczący człowiek zwrócił się nagle i z głośnym jękiem objął go za nogi.

— Co to jest?... — spytał zdziwiony Wokulski poznając w płaczącym starego inkasenta Obermana.

— Zgubił czterysta kilkadziesiąt rubli — odparł Rzecki surowo. — Naturalnie, że nie było nadużycia, głowę dam za to, ale i firma tracić nie może, tym bardziej, że pan Oberman ma u nas kilkaset rubli oszczędności. Jedno więc z dwojga — prawil rozdrażniony Rzecki — albo pan Oberman zapłaci, albo pan Oberman straci miejsce... Piękne robilibyśmy interesa mając wszystkich takich inkasentów jak pan Oberman...

— Zapłacę, panie — mówił szlochając inkasent — zapłacę, ale niech mi pan rozłoży choć na parę lat. Toż te pięćset rubli, co mam u panów, to mój cały majątek. Chłopiec skończył szkoły i chce uczyć się na doktora, a i starość za pasem... Bóg i pan wie, co się człowiek napracuje, nim zbierze taki grosz... Musiałbym się drugi raz urodzić, ażeby znowu go zebrać...

Klejn i Lisiecki, obaj ubrani, czekali na wyrok pryncypała.

— Tak — odezwał się Wokulski — firma nie może tracić. Oberman zapłaci.

— Słucham pana — wyszeptał nieszczęśliwy inkasent.

Panowie Klejn i Lisiecki pożegnali się i wyszli. Za nimi, wzdychając zbierał się i Oberman do opuszczenia sklepu. Lecz gdy zostali tylko we trzech, Wokulski dodał szybko:

— Oberman, zapłacisz, a ja ci zwrócę...

Inkasent rzucił mu się do nóg.

— Za pozwoleniem!... za pozwoleniem — przerwał Wokulski podnosząc go. — Jeżeli słówko powiesz komu o naszym układzie, cofnę prezent, uważasz, Oberman?... Inaczej wszyscy zechcą gubić pieniądze. Idź więc do domu i milcz...

— Rozumiem. Niech Bóg zesze na pana wszystko najlepsze — odparł inkasent i wyszedł, na próżno starając się ukryć radość.

— Już zesłał najlepsze — rzekł Wokulski myśląc o pannie Izabeli.

Rzecki był niekontent.

— Wiesz, mój Stachu — odezwał się, gdy zostali sami — że lepiej zrobisz nie mieszając się do sklepu. Z góry wiedziałem, że całej sumy nie każesz mu zwracać; ja sam nie żądałbym tego. Ale ze sto rubli, tytułem kary, powinien był gałgan zapłacić... Zresztą, pał diabli, można mu było i wszystko darować: ale należało choć z parę tygodni utrzymać w niepewności... Inaczej lepiej od razu zamknąć budę.

Wokulski śmiał się.

— Lękałbym się — odparł — gniewu boskiego, gdybym w takim dniu skrzywdził człowieka.

— W jakim dniu?... — spytał Rzecki, szeroko otwierając oczy.

— Mniejsza o to. Dziś dopiero widzę, że trzeba być litościwym.

— Byłeś nim zawsze i aż zanadto — oburzył się pan Ignacy — i przekonasz się, że dla ciebie ludzie takimi nie będą.

— Już są — rzekł Wokulski i podał mu rękę na pożegnanie.

— Już są?... — powtórzył pan Ignacy przedrzeźniając go. — Już są!... Nie życzę ci, abyś potrzebował kiedy wystawiać na próbę ich współczucia...

— Mam je bez prób. Dobranoc.

— Masz!... masz!... Zobaczmy, jak ono będzie wyglądało w razie potrzeby. Dobranoc, dobranoc... — mówił stary subiekt, z hałasem chowając księgi.

Wokulski szedł do swego mieszkania i myślał:

„Trzeba nareszcie złożyć wizytę Krzeszowskiemu... Pójdę jutro... W całym znaczeniu przyzwoity człowiek... przeprosił pannę Izabelę. Jutro podziękuję mu i — niech mnie licho weźmie — jeżeli nie spróbuję dopomóc. Choć z takim próżniakiem i letkiewiczem ciężka sprawa... Ale mniejsza o to, spróbuję... On przeprosił pannę Izabelę, ja wydobędę go z długów.”

Uczucia spokoju i niezachwianej pewności tak w tej chwili górowały nad wszelkimi innymi w duszy Wokulskiego, że gdy wrócił do domu, zamiast marzyć (co mu się zwykle zdarzało), wziął się do roboty. Wydobył gruby kajet, już w większej części zapisany, potem książkę z polsko-angielskimi ćwiczeniami i zaczął pisać zdania wymawiając je półgłosem i usiłując jak najdokładniej naśladować nauczyciela swego, pana Wiliama Colinsa.

W kilkuminutowych zaś przerwach myślał to o jutrzejszej wizycie u barona Krzeszowskiego i o sposobie wydobycia go z długów, to o Obermanie, którego wybawił z nieszczęścia.

„Jeżeli błogosławieństwo ma jaką wartość — mówił do siebie — cały kapitał błogosławieństw Obermana, wraz ze składanym procentem, ceduję⁴⁸⁵ jej...”

Potem przyszło mu na myśl, że nie jest to zbyt świetnym prezentem dla panny Izabeli — uszczęśliwić jednego tylko człowieka. Całego świata — nie może; ale warto by z okazji bliższego poznania się z panną Izabelą podźwignąć bodaj kilka osób.

„Drugim będzie Krzeszowski — myślał — ale ratować takich zuchów — żadna załuga... Aha!...”

Uderzył się ręką w czoło i porzuciwszy ćwiczenia angielskie wydobył archiwum swoich korespondencji prywatnych. Była to safianowa⁴⁸⁶ okładka, gdzie podług dat umieszczał nadchodzące listy, których spis znajdował się na początku.

„Aha! — mówił — list mojej magdalenki⁴⁸⁷ i jej opiekunek, stronica sześćset trzy...”

Znalazł stronicę i z uwagą przeczytał dwa listy: jeden pisany elegancko, drugi — jakby go kreśliła dziecinna ręka. W pierwszym zawiadomiono go, że taka to a taka Maria, niegdyś dziewczyna złego prowadzenia, obecnie nauczyła się szyć bielizny, krawiectwa i odznacza się pobożnością, posłuszeństwem, łagodnością i dobrymi obyczajami. W drugim liście sama owa Maria dziękowała mu za dotychczasową pomoc i prosiła tylko o wyszukanie jakiego zajęcia.

„Niech już wielmożny i dobrotliwy pan — pisała — kiedy z łaski Boga ma takie duże fundusze, na mnie grzeszną ich nie wydaje. Bo ja teraz sama sobie poradzę, byłem miała o co ręce zaczepić, a ludzi, co potrzebują gorzej niż ja, nieszczęśliwa, zhańbiona, w Warszawie nie brak...”

Wokulskiemu przykro się zrobiło, że podobna prośba kilka dni czekała na odpowiedź. Natychmiast odpisał i zawołał służącego.

— List ten rzeł — odeślesz rano do magdalenek...

— Zrobi się — odparł służący usiłując zapanować nad ziewaniem.

— Sprowadzisz mi także furmana Wysockiego, tego z Tamki, wiesz?...

— O! jeszcze nie miałbym wiedzieć. Ale pan słyszał...

— Tylko żeby mi tu przyszedł z rana...

— O!... czemu nie. Ale pan słyszał, że Oberman zgubił wielkie pieniądze? Był tu z wieczora i przysięgał, że zabije się albo zrobi sobie co złego, jeżeli pan nie okaże nad nim litości. Ja mówię: „Nie bądźcie głupi, nie zabijajcie się, poczekajcie... Nasz stary ma miętkie szczerce...” A on gada: „Ja se też tak kalkuluję, ale zawsze będzie heca, bo mi choć trochę strąca, a tu syn idzie na medyka, a tu starość chwyta człowieka za poły...”

— Proszę cię, idź spać — przerwał mu Wokulski.

— Pójść pójdę — odparł z gniewem służący — ale u pana to taka służba, że gorzej niż w kryminale: nawet szpać nie można iść, kiedy się chce...

Zabrał list i wyszedł.

Na drugi dzień około dziewiątej rano służący obudził Wokulskiego, donosząc mu, że czeka Wysocki.

— Niech no wejdzie.

Po chwili wszedł furman. Był przyzwoicie ubrany, miał czerstwą cerę i wesołe spojrzenie. Zbliżył się do łóżka i ucałował Wokulskiemu ręce.

— Mój Wysocki, podobno przy twoim mieszkaniu jest wolny pokój?

— A tak, wielmożny panie, bo mi stryjek umarł, a jego bestie lokatory nie chciały płacić, więcem wyгнаł. Na wódkę to łobuz ma, a na komorne go nie stać...

⁴⁸⁵cedować — odstępować, przelewać swoje prawa na kogoś.

⁴⁸⁶safianowy — safian: skóra kozia lub owcza barwiona na kolorowo, używana do wyrobów galanteryjnych, do oprawy książek, na pokrycie mebli itp. Ongiś przywożona do Polski ze Wschodu, potem wyrabiana w kraju.

⁴⁸⁷magdalenka — tu: dziewczyna oddana na pobyt do sióstr magdalenek.

— Ja wynajmę od ciebie ten pokój — mówił Wokulski — tylko trzeba go odczyścić... Furman patrzył na Wokulskiego zdziwiony.

— Będzie tam mieszkać młoda szwaczka — mówił dalej Wokulski. — Niech stołuje się u was, niech jej twoja żona pierze bieliznę... Niech zobaczy: czego jej brak? Na sprzęty i na bieliznę ja dam pieniędzy... Potem będziecie uważali, czy nie sprowadza kogo do domu...

— O ni! — zawołał z ożywieniem furman. — Ile razy będzie wielmożnemu panu potrzebna, ja ją sam zawiodę; ale żeby kto zaś z miasta — to ni!... Z takiego interesu wielmożny pan mógłby się tylko nabawić nieszczęścia...

— Głupiś, mój Wysocki. Ja jej widywać nie potrzebuję. Byle była porządna w domu, schludna, pracowita, to niech sobie chodzi, gdzie chce. Tylko niech do niej nie chodzi. Więc rozumiesz: trzeba w pokoju odświeżyć ściany, umyć podłogę, kupić sprzęty tanie, ale nowe i dobre, znasz się na tym?...

— I jak jeszcze. Hem się w życiu mebli nawoził...

— Dobrze. A twoja żona niech zobaczy, co jej potrzeba z bielizny i odzienia, i da mi znać.

— Rozumiem wszystko, wielmożny panie — odparł Wysocki, znowu całując go w rękę.

— Ale... A cóż z twoim bratem?...

— Niezgorzej, wielmożny panie. Siedzi, dziękować Bogu i wielmożnemu panu, w Skierniewiczach, ma grunt, najął parobka i tera z niego wielki pan. Za parę lat jeszcze ziemi dokupi, bo stołuje się u niego jeden dróżnik i stróż, i dwa smarowniki⁴⁸⁸. Nawet mu tera kolej pensji dodała...

Wokulski pożegnał furmana i zaczął się ubierać.

„Chciałbym przespać ten czas, dopóki znowu jej nie zobaczę” — myślał Wokulski.

Do sklepu nie chciało mu się iść. Wziął jakąś książkę i czytał postanawiając sobie między pierwszą i drugą wybrać się do barona Krzeszowskiego.

O jedynastej w przedpokoju rozległ się dzwonek i trzask otwieranych drzwi. Wszedł służący.

— Jakaś panna czeka...

— Proś do sali — rzekł Wokulski.

W sali zaszeleściła kobieca suknia. Wokulski, stanąwszy na progu, zobaczył swoją magdalenkę.

Zdumiały go nadzwyczajne zmiany w niej. Dziewczyna była czarno ubrana, miała bladawą, ale zdrową cerę i nieśmiałe spojrzenie. Spostrzegłszy Wokulskiego zarumieniła się i zaczęła drżeć.

— Niech pani siądzie, panno Mario — odezwał się wskazując jej krzesło.

Usiadła na brzegu aksamitnego sprzętu, jeszcze mocniej zawstydzona. Powieki szybko zamykały się jej i otwierały; patrzyła w ziemię, a na rzęsach jej błysnęły krople łez. Inaczej wyglądała przed dwoma miesiącami.

— Więc już pani umie krawiecczynę, panno Mario?

— Tak.

— I gdzież pani ma zamiar umieścić się?

— Może by do jakiego magazynu albo w służbę... do Rosji...

— Dlaczegoż tam?

— Tam podobno łatwiej dostanę robotę, a tu... któż mnie przyjmie? — szepnęła.

— A gdyby tu jaki skład brał u pani bieliznę, czy nie opłaciłoby się zostać?

— O tak... Ale tu trzeba mieć własną maszynę i mieszkanie, i wszystko... Kto tego nie ma, musi iść w służbę.

Nawet głos jej się zmienił. Wokulski pilnie przypatrywał się jej, nareszcie rzekł:

— Zostanie pani tymczasem w Warszawie. Mieszkać będzie pani na Tamce, przy rodzinie furmana Wysockiego. To bardzo dobrzy ludzie. Pokój będzie pani miała osobny, stołować się pani będzie u nich, a maszyna i wszystko, co się okaże potrzebnym do szycia

⁴⁸⁸smarownik — robotnik, który smaruje osie kół wagonów kolejowych.

bielizny, znajdzie się także. Rekomendacje⁴⁸⁹ do składu bielizny dam pani, a po paru miesiącach zobaczymy, czy utrzyma się pani z tej roboty. — Oto adres Wysockich. Proszę tam zaraz pójść, kupić z Wysocką sprzęty, dopilnować, ażeby uporządkowali pokój. Maszynę przysyłę pani jutro... A oto pieniądze na zagospodarowanie się. Pożyczam je; zwróci mi je pani ratami, jak już zacznie iść robota.

Podał jej kilkadziesiąt rubli zawiniętych w kartkę do Wysockiego. A kiedy ona wahała się, czy ma brać, wcisnął jej zwitek w rękę i rzekł:

— Proszę, bardzo proszę natychmiast iść do Wysockich. Za parę dni on przyniesie pani list do składu bielizny. W nagłym wypadku proszę odwołać się do mnie. Żegnam panią...

Uklonił się i cofnął do swego gabinetu.

Dziewczyna chwilę jeszcze pozostała na środku sali; potem otarła łzy i wyszła pełna jakiegoś uroczystego zdziwienia.

„Zobaczymy, jak powiedzie się jej w nowych warunkach” — rzekł do siebie Wokulski i znowu zasiadł do czytania.

O pierwszej w południe udał się Wokulski do barona Krzeszowskiego, po drodze wyrzucając sobie, że tak późno składa wizytę swojemu eksprzeciwnikowi.

„Mniejsza o to — pocieszał się. — Nie mogłem go przecie nachodzić, kiedy był chory. A bilet posłałem.”

Zbliżywszy się do domu, w którym lokował się baron, Wokulski mimochodem zauważył, że ściany kamienicy mają tak niezdrową barwę zielonawą, jak Maruszewicz żółtawą, i że rolety w mieszkaniu Krzeszowskiego są podniesione.

„Widać już zdrow — myślał. — Nie wypada jednak od razu pytać o jego długi. Zrobię to za drugą lub trzecią wizytą; potem spłacę lichwiarzy i biedny baron odetchnie. Nie mogę być obojętnym dla człowieka, który przeprosił pannę Izabelę...”

Wszedł na piętro i zadzwonił. W mieszkaniu słychać było kroki, ale nie śpieszono się z otwieraniem. Zadzwonił drugi raz. Chodzenie, a nawet przesuwanie sprzętów odbywało się w dalszym ciągu za drzwiami, ale znów nie otwierano. Zniecierpliwiony, szarpnął dzwonek tak gwałtownie, że o mało go nie urwał. Wówczas dopiero zbliżył się ktoś do drzwi i począł flegmatycznie zdejmować łańcuszek, kręcić kluczem i odciągać zasuwkę mruczając:

— Widać swój... Żyd by tak nie dzwonił...

Nareszcie otworzyły się drzwi i stanął w progu lokaj Konstanty. Na widok Wokulskiego przymrużył oczy i wysunąwszy dolną wargę spytał:

— A co to?...

Wokulski odgadł, że nie cieszy się łaskami wiernego sługi, który był przy pojedynku.

— Pan baron w domu? — spytał.

— Pan baron leży chory; i nikogo nie przyjmuje, bo teraz jest doktor.

Wokulski wydobył swój bilet i dwa ruble.

— Kiedyż mniej więcej można odwiedzić pana?

— Bardzo, bardzo nie zaraz.... — odparł trochę łagodniej Konstanty. — Bo pan jest chory z postrzału i doktorzy kazali mu dziś — jutro jechać do ciepłych krajów albo na wieś.

— Więc przed wyjazdem nie można widzieć się?...

— O, wcale nie można... — Doktorzy ostro zakazali nie przyjmować nikogo. Pan ciągle w gorączce...

Dwa stoliki do kart, z których jeden miał złamaną nogę, a drugi gęsto zapisane sukno, tudzież kandelabry z niedopałkami świec woskowych kazały powątpiewać o dokładności patologicznych⁴⁹⁰ określeń Konstantego. Mimo to Wokulski jeszcze dodał mu rubla i odszedł, bynajmniej nie zadowolony z przyjęcia.

„Może baron — myślał — po prostu nie chce mojej wizyty? Ha! w takim razie niech płaci lichwiarzom i zabezpiecza się od nich aż czterema sposobami zamknięć...”

Wrócił do siebie.

Baron istotnie miał zamiar wyjechać na wieś i nie był zdrow, ale i nie tak chory.

Sługa

Choroba

⁴⁸⁹rekomendacje — listy polecające.

⁴⁹⁰patologiczny — tu: dotyczący choroby.

Rana w policzku goiła mu się bardzo powoli; nie dlatego, ażeby miała być ciężką, ale że organizm pacjenta był mocno podszarpany. W chwili wizyty Wokulskiego baron był wprawdzie obwiązany jak stara kobieta na mrozie, ale nie leżał w łóżku, tylko siedział na fotelu i miał przy sobie nie doktora, ale hrabiego Licińskiego.

Właśnie narzekał przed hrabią na opłakany stan zdrowia.

— Niech diabli wezmą — mówił — tak podle życie! Ojciec zostawił mi wprawdzie pół miliona rubli w dziedzictwie, ale zarazem cztery choroby, z których każda warta milion... Co za niewygodna bez binokli!... No i wyobraź sobie hrabia: pieniądze rozeszły się, ale choroby zostały. Że zaś ja sam dorobiłem sobie parę nowych chorób i trochę długów, więc — sytuacja jasna: byłem się szpillką zadrasnął, muszę posyłać po trumnę i reagenta.

— Tek! — odezwał się hrabia. — Nie sądzę jednak, ażebyś pan w podobnej sytuacji rujnował się na reagentów.

— Właściwie to mnie rujną komornicy...

Baron, opowiadając, niecierpliwie chwycił odgłosy dolatujące go z przedpokoju, ale — nic nie mógł zmiarkować. Dopiero gdy usłyszał zamykanie drzwi, zasuwanie zatrzasku i zakładanie łańcucha, nagle wrzasnął:

— Konstanty!...

Po chwili wszedł służący nie zdradzając zbytecznego pośpiechu.

— Kto był?... Pewnie Goldcygier... Powiedziałem ci, ażebyś z tym łotrem nie wdawał się w żadne rozprawy, tylko porwał za łeb i zrzucił ze schodów. Wyobraź pan sobie — zwrócił się do Licińskiego — ten podły Żyd nachodzi mnie ze sfalszowanym wekslem na czterysta rubli i ma beczelność żądać zapłaty!...

— Trzeba wytoczyć proces, tek...

— Ja nie wytoczę... Nie jestem prokuratorem, który ma obowiązek ścigać fałszerzy. Zresztą nie chcę dawać inicjatywy do gubienia jakiegoś zapewne biedaka, który zabija się pracą nad naśladowaniem cudzych podpisów... Czekam więc, ażeby Goldcygier wystąpił z akcją, a dopiero wówczas nikogo nie oskarżając przyznam, że to nie mój podpis.

— A właśnie, że to nie był Goldcygier — odezwał się Konstanty.

— Więc kto?... Rządca... może krawiec?...

— Nie... Ten pan... — rzekł służący i podał bilet Krzeszowskiemu. — Porządny człowiek, alem go wygnał, kiedy tak pan baron kazał...

— Co?... — spytał zdziwiony hrabia spoglądając na bilet. — Nie kazałeś pan przyjmować Wokulskiego?...

— Tak — potwierdził baron. — Licha figura, a przynajmniej... nie do towarzystwa...

Hrabia Liciński z pewnym akcentem poprawił się na fotelu.

— Nie spodziewałem się usłyszeć takiego zdania o tym panu... od pana... Tek...

— Nie bierz pan tego, co mówię, w jakimś hańbiącym znaczeniu — pośpieszył objaśnić baron. — Pan Wokulski nie zrobił nic podłego, tylko... takie małe świństwo, które może uchodzić w handlu, ale nie w towarzystwie...

Hrabia z fotelu, a Konstanty z progu uważnie przypatrywali się Krzeszowskiemu.

— Sam hrabia osądz — mówił dalej baron. — Klacz moją ustąpiłem pani Krzeszowskiej (przed Bogiem i ludźmi prawnie zaślubionej mi małżonce) za osiemset rubli. Pani Krzeszowska na złość mnie (nie wiem nawet za co!) postanowiła koniecznie ją sprzedać. No i trafił się nabywca, pan Wokulski, który korzystając z afektu kobiety postanowił zarobić na klaczy... dwieście rubli!... dał bowiem za nią tylko sześćset...

— Miał prawo, *tek* — wtrącił hrabia.

— Eh! Boże... Wiem, że miał prawo... Ale człowiek, który dla pokazania się wyrzuca tysiące rubli, a gdzieś w kącie zarabia na histeryczkach po dwadzieścia pięć procent, taki człowiek nie jest smaczny... To nie dżentelmen... Zbrodni nie popełnił, ale... jest tak nierówny w stosunkach, jak ktoś, kto rozdając znajomym w prezencie dywany i szale wyciągałby nieznanym chustki do nosa. Zaprzeczy pan temu...

Hrabia milczał i dopiero po chwili odezwał się:

— Tek!... Czy to jednak pewne?

— Najpewniejsze. Układy między panią Krzeszowską i tym panem prowadził mój Maruszewicz i wiem to od niego.

— Tek. W każdym razie pan Wokulski jest dobrym kupcem i naszą spółkę poprowadzi...

Choroba

Sługa

Żyd

Handel

— Jeżeli was nie okpi...

Tymczasem Konstanty, wciąż stojąc na progu, zaczął z politowaniem kiwać głową, aż zniecierpliwiony odezwał się:

— Eh!... co też pan wygaduje... Tfy... zupełnie jak dziecko...

Hrabia spojrział na niego ciekawie, a baron wybuchnął:

— A ty co, błaznie, odzywasz się, kiedy cię nie pytają?...

— Naturalnie, że się odzywam, bo pan i gada, i robi całkiem jak dziecko... Ja jestem tylko lokaj, ale przecie wolałbym wierzyć takiemu, co mi daje dwa ruble za wizytę, aniżeli takiemu, co ode mnie po trzy ruble pożycza, i wcale nie śpieszy się z oddawaniem. Ot, co jest, dziś pan Wokulski dał mi dwa ruble, a pan Maruszewicz...

— Won!... — wrzasnął baron chwytając za karafkę, na widok której Konstanty uznał za pożyteczne oddzielić się od swego pana grubością drzwi. — A to łotr fagas!... — dodał baron, widocznie bardzo zirytowany.

— Pan ma słabość do tego Maruszewicza? — spytał hrabia.

— Ale bo to pocziwy chłopak... Z jakich on mnie sytuacji nie wyprowadza!... ile daje mi dowodów nieledwie psiego przywiązania!...

— Tek!... — mruknął zamyślony hrabia. Posiedział jeszcze kilka minut, nic nie mówiąc, i nareszcie pożegnał barona.

Idąc do domu hrabia Liciński kilka razy powracał myślą do Wokulskiego. Uważał za rzecz naturalną, że kupiec zarabia nawet na wyścigowym koniu; swoją drogą czuł jakiś niesmak do podobnych operacji, a już całkiem miał za złe Wokulskiemu, że wdaje się z Maruszewiczem, figurą co najmniej podejrzaną.

„Zwyczajnie, zbogacony parweniusz! — mruknął hrabia. — Przedwcześnie zachwycaliśmy się nim, chociaż... spółkę może prowadzić... Rozumie się, przy pełnej kontroli z naszej strony.”

W parę dni, około dziesiątej rano, Wokulski odebrał dwa listy: jeden od pani Meliton, drugi od ksiązęcego adwokata.

Niecierpliwie otworzył pierwszy, w którym pani Meliton napisała tylko te słowa: „Dziś w Łazienkach o zwykłej godzinie.” Przeczytał go parę razy, po czym z niechęcią wziął się do listu adwokata, który zapraszał go również dzisiaj na godzinę jedynastą rano na konferencję w sprawie kupna domu Łęckich. Wokulski głęboko odetchnął; miał czas.

Punkt o jedynastej był w gabinecie mecenasa, gdzie już zastał starego Szlangbauma. Mimo woli zauważył, że siwy Żyd bardzo poważnie wygląda na tle brązowych sprzętów i obić i że mecenasowi jest bardzo do twarzy w pantoflach z brązowego safianu.

— Pan ma szczęście, panie Wokulski — odezwał się Szlangbaum. — Ledwie panu zachciało się kupić dom, a już domy idą w górę. Ja powiadam, słowo daję, że pan w pół roku odzyska swój nakład na tę kamienicę i jeszcze co zarobi! A ja przy panu...

— Myślisz pan? — odparł niedbale Wokulski.

— Ja nie myślę — mówił Żyd — ja już zarabiam. Wczoraj adwokat pani baronowej Krzeszowskiej pożyczył ode mnie dziesięć tysięcy rubli do Nowego Roku i dał osiemset rubli procentu.

— Cóż to, i ona już nie ma pieniędzy? — spytał Wokulski adwokata.

— Ma w banku dziewięćdziesiąt tysięcy rubli, ale na tym baron położył areszt. Piękną napisali intercyzę⁴⁹¹, co?... — zaśmiał się adwokat. — Mąż kładzie areszt na pieniądzech będących niewątpliwą własnością żony, z którą toczy proces o separację⁴⁹²... Ja, co prawda, takich intercyz nie pisywałem, cha, cha!... — śmiał się adwokat ciągnąc dym z wielkiego bursztyna⁴⁹³.

— Na cóż baronowa pożycza od pana te dziesięć tysięcy, panie Szlangbaum? — rzekł Wokulski.

— Pan nie wie? — odparł Żyd. — Domy idą w górę, i adwokat wytłomaczył pani baronowej, że kamienicy pana Łęckiego nie kupi taniej niż za siedemdziesiąt tysięcy rubli. Ona wolałaby kupić ją za dziesięć tysięcy, no, ale co zrobi?...

Mecenas usiadł przed biurkiem i zabrał głos.

Sluga

Handel

⁴⁹¹intercyza — dodatkowa umowa przy zawieraniu małżeństwa, dotycząca spraw majątkowych.

⁴⁹²separacja — rozłączenie małżonków z utrzymaniem ważności małżeństwa.

⁴⁹³z wielkiego bursztyna — tj. z bursztynowej fajki.

— Zatem szanowny panie Wokulski, kamienicę państwa Łęckich (lekko schylił głowę) kupuje, w imieniu pańskim, nie ja, tylko obecny tu (ukłonił się) pan S. Szlangbaum...

— Mogę kupić, czemu nie — szepnął Żyd.

— Ale za dziewięćdziesiąt tysięcy rubli, nie taniej — wtrącił Wokulski — i przez li-cy-ta-cję... — dodał z naciskiem.

— Czemu nie? To nie moje pieniądze! Chce pan płacić, będzie pan miał konkurentów do licytacji... Żebym ja miał tyle tysięcy, ile tu, w Warszawie, można wynająć do każdy interes bardzo porządne osoby i katoliki, to ja bym był bogatszy od Rotszylda.

— Więc będą porządni konkurenci — powtórzył mecenas. — Doskonale. Teraz ja oddam panu Szlangbaumowi pieniądze...

— To niepotrzebne — wtrącił Żyd.

— A następnie spiszemy akcik, mocą którego pan S. Szlangbaum zaciąga od wielmożnego S. Wokulskiego dług w kwocie dziewięćdziesięciu tysięcy rubli i takowy zabezpiecza na nowo nabytej przez siebie kamienicy. Gdyby zaś pan S. Szlangbaum do dnia 1 stycznia 1879 roku powyższej sumy nie zwrócił...

— I nie zwrócę...

— W takim razie kupiona przez niego kamienica po jasnie wielmożnych Łęckich przechodzi na własność wielmożnego S. Wokulskiego.

— W tej chwili może przejść... ja nawet do niej nie zajrzę — odparł Żyd machając ręką.

— Wybornie! — zawołał mecenas. — Na jutro będziemy mieli akcik, a za tydzień... dziesięć dni, kamienicę. Bodajbyś pan tylko nie stracił na niej z kilkunastu tysięcy rubli, szanowny panie Stanisławie.

— Tylko zyskam — odparł Wokulski i pożegnał mecenas i Szlangbauma.

— Ale, ale... — pochwycił mecenas odprowadzwszy Wokulskiego do salonu. — Nasi hrabiowie tworzą spółkę, tylko nieco zmniejszają udziały i żądają bardzo szczegółowej kontroli interesu.

— Mają rację.

— Szczególniej ostrożnym okazuje się hrabia Liciński. Nie rozumiem, co się z nim stało...

— Daje pieniądze, więc jest ostrożny. Dopóki dawał tylko słowo, był śmielszy!...

— Nie, nie, nie!... — przerwał mu adwokat. — W tym coś jest i ja to wysledzę... Ktoś nam buty uszył...

— Nie wam, ale mnie — uśmiechnął się Wokulski. — W rezultacie, wszystko mi jedno i nawet wcale bym się nie gniewał, gdyby panowie ci nie przystępowali do spółki...

Jeszcze raz pożegnał adwokata i pobiegł do sklepu. Tam znalazło się kilka ważnych interesów, które zatrzymały go nadspodziewanie długo. Dopiero o pół do drugiej był w Łazienkach.

Surowy chłód parku, zamiast uspokoić, podniecał go. Biegł tak szybko, że chwilami przychodziło mu na myśl: czy nie zwraca uwagi przechodniów? Wtedy zwalniał kroku i czuł, że niecierpliwość piersi mu rozsada.

„Już ich pewno nie spotkam!” — powtarzał z rozpaczą.

Tuż nad sadzawką, na tle zielonych klombów, spostrzegł popielaty płaszczyk panny Izabeli. Stała nad brzegiem w towarzystwie hrabiny i ojca i rzuciła pierniki łabędziom, z których jeden nawet wyszedł z wody na swoich brzydkich łapach i umieścił się u stóp panny Izabeli.

Pierwszy zobaczył go pan Tomasz.

— Cóż za wypadek! — zawołał do Wokulskiego — Pan o tej porze w Łazienkach?...

Wokulski ukłonił się paniom zauważywszy z rozkosznym zdziwieniem rumieniec na twarzy panny Izabeli.

— Bywam tu, ile razy przepraczę się... To jest dosyć często...

— Szanuj siły, panie Wokulski!... — ostrzegł go pan Tomasz, uroczyście grożąc palcem... — A propos — dodał półgłosem — wyobraź pan sobie, że za moją kamienicę już baronowa Krzeszowska chce dać siedemdziesiąt tysięcy rubli... Z pewnością wezmę sto tysięcy, a może i sto dziesięć... Błogosławione są te licytacje!...

— Tak rzadko widuję pana, panie Wokulski — wtrąciła hrabina — że muszę zaraz załatwić interes...

Ptak

— Do usług pani...
 — Panie! — zawołała z komiczną pokorą składając ręce — proszę o sztukę perkalu dla moich sierot... Widzi pan, jak nauczyłam się przymawiać o jałmużnę?
 — Pani hrabina raczy przyjąć dwie sztuki?...
 — Tylko w takim razie, jeżeli druga będzie sztuką grubego płótna...
 — O ciociu, tego już za wiele!... — przerwała jej panna Izabela ze śmiechem. — Jeżeli pan nie chce stracić majątku — zwróciła się do Wokulskiego — niech pan stąd ucieka. Zabieram pana w stronę Pomarańczarni, a ci państwo niech tu odpoczywają...
 — Belu, nie boisz się?... — odezwała się ciotka.
 — Chyba ciocia nie wątpi, że w towarzystwie pana nie spotka mnie nic złego...
 Wokulskiemu uderzyła krew do głowy; na ustach hrabiny mignął niedostrzegalny uśmiech.

Flirt

Była to jedna z tych chwil, kiedy natura hamuje swoje wielkie siły i zawiesza odwieczne prace, ażeby uwydatnić szczęście istot drobnych i znikomych.

Wiatr zaledwie dyszał, i tylko po to, ażeby chłodzić śpiące w gniazdach pisklęta i ułtwić lot owadom śpieszącym na weselne gody. Liście drzew chwiały się tak delikatnie, jakby poruszał je nie materialny podmuch, ale cicho przeslizgujące się promienie światła. Tu i owdzie, w przesiąkniętych wilgocią gęstwinach, mieniły się barwne krople rosy jak odpryski spadłej z nieba tęczy.

Czas

Zresztą wszystko stało na miejscu: słońce i drzewa, snopy światła i cienie, łabędzie na stawie, roje komarów nad łabędziami, nawet połyskująca fala na lazurowej wodzie. Wokulskiemu zdawało się, że w tej chwili odjechał z ziemi bystry prąd czasu zostawiając tylko parę białych smug na niebie — i od tej pory nie zmieni się już nic; wszystko zostanie tak samo na wieki. Że on z panną Izabelą będzie wiecznie chodził po oświetlonej łące, oboje otoczeni zielonymi obłokami drzew, spośród których gdzieśgdzie, jak para czarnych brylantów, błyskają ciekawe oczy ptaka. Że on już zawsze będzie pełen niezmiernej ciszy, ona zawsze tak rozmarzona i oblana rumieńcem, że przed nimi zawsze, jak teraz, będą lecieć całujące się w powietrzu te oto dwa białe motyle.

Byli w połowie drogi do Pomarańczarni, kiedy panna Izabela, widząc już zakłopotaną tym spokojem w naturze i między nimi, poczęła mówić:

Samotnik

— Prawda, jaki ładny dzień? W mieście upał, tu przyjemny chłód. Bardzo lubię Łazienki o tej godzinie: mało osób, więc każdy może znaleźć kącik wyłącznie dla siebie. Pan lubi samotność?

— Nawykłem do niej.
 — Pan nie był na Rossim?... — dodała rumieniąc się jeszcze mocniej. — Rossiego nie widział pan?... — powtórzyła patrząc mu w oczy ze zdziwieniem.
 — Nie byłem, ale... będę...
 — My z ciocią byliśmy już na dwu przedstawieniach.
 — Będę na każdym...

Artysta

— Ach, jak to dobrze! Przekona się pan, co to za wielki artysta. Szczególniej znakomicie gra Romea, chociaż... już nie jest pierwszej młodości... Ciocia i ja znamy go osobiście jeszcze z Paryża... Bardzo miły człowiek, ale nade wszystko genialny tragic... W jego grze najprawdziwszy realizm kojarzy się z najpoetyczniejszym idealizmem⁴⁹⁴...

— Musi być istotnie wielkim — wtrącił Wokulski — jeżeli budzi w pani tyle podziwu i sympatii.

Warszawa

— Ma pan słuszość. Wiem, że w życiu nie zrobię nic nadzwyczajnego, ale umiem przynajmniej oceniać ludzi niezwykłych... Na każdym polu... nawet — na scenie... Niech pan sobie jednak wyobrazi, że Warszawa nie ocenia go, jak należy...

— Czy podobna?... Jest przecie cudzoziemcem...
 — A pan jest złośliwy — odparła z uśmiechem — ale policzę to na karb Warszawy, nie Rossiego... Doprawdy, wstydzę się za nasze miasto!... Ja gdybym była publicznością (ale publicznością rodzaju męskiego!), zasypałabym go wieńcami, a ręce spuchłyby mi od oklasków... Tu zaś oklaski są dość skąpe, a o wieńcach nikt nie myśli... My istotnie jesteśmy jeszcze barbarzyńcami...

⁴⁹⁴idealizm — tu: wzniosłość, szlachetność, wzniesienie się ponad codzienną rzeczywistość.

— Oklaski i wieńce są rzeczą tak drobną, że... na najbliższym przedstawieniu Rossi może mieć ich raczej za wiele aniżeli za mało — rzekł Wokulski.

— Jest pan pewny? — spytała, wymownie patrząc mu w oczy.

— Ależ... gwarantuję, że tak będzie...

— Będę bardzo zadowolona, jeżeli spełni się pańskie proroctwo; może już wrócimy do tamtych państwa?...

— Ktokolwiek robi pani przyjemność, zasługuje na najwyższe uznanie...

— Za pozwoleniem! — przerwała mu śmiejąc się. — W tej chwili powiedział pan komplement samemu sobie...

Zwrócili się od Pomarańczarni z powrotem.

— Wyobrażam sobie zdumienie Rossiego — mówiła dalej panna Izabela — jeżeli spotkają go owacje. On już zwątpił i — prawie żałuje, że przyjechał do Warszawy... Artysty, nie wyłączając największych, są to szczególni ludzie: bez sławy i hołdów nie mogą żyć, jak my bez pokarmu i powietrza. Praca, choćby najpłodniejsza, ale cicha, albo poświęcenie to nie dla nich. Oni koniecznie muszą wysuwać się na pierwszy plan, zwracać na siebie spojrzenia wszystkich, panować nad sercami tysięcy... Sam Rossi mówi, że wolałby o rok wcześniej umrzeć na scenie wobec pełnego i wzruszonego teatru aniżeli o rok później w nielicznym otoczeniu. Jakie to dziwne!...

— Ma rację, jeżeli pełny teatr jest dla niego najwyższym szczęściem.

— Pan sądzi, że są szczęścia, które warto opłacić krótszym życiem? — spytała panna Izabela.

— I nieszczęścia, których warto uniknąć w ten sposób — odpowiedział Wokulski.

Panna Izabela zamyśliła się i od tej pory szli oboje w milczeniu.

Tymczasem siedząc nad sadzawką i w dalszym ciągu karmiąc łabędzie hrabina rozmawiała z panem Tomaszem.

— Nie uważasz — mówiła — że ten Wokulski jest jakby zajęty Belą?...

— Nie sądzę.

— Nawet bardzo; dzisiejsi kupcy umieją robić śmiało projekta.

— Od projektu do wykonania ogromnie daleko — odparł nieco zirytowany pan Tomasz. — Choćby jedynakże nawet tak było, nic mnie to nie obchodzi. Nad myślami pana Wokulskiego nie panuję, a o Belcię jestem spokojny.

— Ja, w rezultacie, nie mam nic przeciw temu — dodała hrabina. — Cokolwiek nastąpi, oczywiście zgadzam się z wolą boską, jeżeli zyskują na tym ubodzy... Ciągłe zyskują... Moja ochrona będzie niedługo pierwszą w mieście, i tylko dlatego, że ten pan ma słabość do Belci...

— Dajże spokój... Wracają!... — przerwał jej pan Tomasz.

Istotnie panna Izabela z Wokulskim ukazali się na końcu drogi.

Pan Tomasz przypatrzył im się z uwagą i dopiero teraz spostrzegł, że dwoje tych ludzi harmonizują ze sobą wzrostem i ruchami. On, o głowę wyższy i silnie zbudowany, stąpał jak ekswojskowy; ona, nieco drobniejsza, lecz kształtniejsza, posuwała się jakby płynąc. Nawet biały cylinder i jasny paltot Wokulskiego godził się z popielatym płaszczykiem panny Izabeli.

„Skąd mu ten biały cylinder?...” — pomyślał pan Tomasz z goryczą. Potem nasunęła mu się dziwna kombinacja: że Wokulski jest to parweniusz, który za prawo noszenia białego cylindra powinien by mu płacić przynajmniej pięćdziesiąt procent od wypożyczonego kapitału. — Aż sam wzruszył ramionami.

— Jak tam pięknie, ciociu, w tamtych alejach! — zawołała zbliżając się panna Izabela. — My z ciocią nigdy nie bywamy w tamtej stronie. Łazienki tylko wtedy są przyjemne, kiedy można chodzić po nich szybko i daleko.

— W takim razie poproś pana Wokulskiego, ażeby ci częściej towarzyszył — odpowiedziała hrabina tonem jakiejś osobliwej słodyczy.

Wokulski uklonił się, panna Izabela nieznacznie ściągnęła brwi, a pan Tomasz rzekł:

— Może byśmy wrócili do domu...

— Ja myślę — odparła hrabina. — Pan jeszcze zostaje, panie Wokulski?

— Tak. Czy mogę panie odprowadzić do powozu?

— Prosimy. Belu, podaj mi rękę.

Artysta

Teatr

Szczęście

Hrabina z panną Izabelą poszły na przód, za nimi pan Tomasz z Wokulskim. Pan Tomasz czuł w sobie tyle goryczy, kwasu i ciężaru na widok białego cylindra, że nie chcąc być niegrzecznym zmuszał się do uśmiechu. A nareszcie, pragnąc w jakiśkolwiek sposób zabawić Wokulskiego, znowu zaczął mu mówić o swojej kamienicy, z której ma nadzieję otrzymać czterdzieści albo i pięćdziesiąt tysięcy czystego zysku.

Cyfry te ze swej strony źle podziały na humor Wokulskiego, który mówił sobie, że ponad trzydzieści tysięcy rubli już nic nie jest w stanie dołożyć.

Dopiero gdy podjechał powóz i pan Tomasz usadowiwszy damy i siebie zawołał: „Ruszaj!”, w Wokulskim znikło uczucie niesmaku, a ocknął się żal po pannie Izabeli.

„Tak krótko!” — szepnął patrząc z westchnieniem na łazienkowską szosę, na którą w tej chwili wjechała zielona beczka straży polewająca drogę.

Poszedł jeszcze w stronę Pomarańczarni, tą samą ścieżką co pierwiej, upatrując na mialkim piasku śladu bucików panny Izabeli. Coś się tu zmieniło. Wiatr dął silniej, zmącił wodę w sadzawce, porozganiał motyle i ptaki, a za to napędził więcej obłoków, które raz po raz przyćmiewały blask słońca.

„Jak tu nudno!” — szepnął i zawrócił do szosy.

Wsiadł do swego powozu i przymknąwszy oczy nasycił się jego lekkim kołysaniem. Zdawało mu się, że jak ptak siedzi na gałęzi, którą wiatr chwieje w prawo i w lewo, do góry i na dół, a potem nagle roześmiał się przypominawszy sobie, że to lekkie kołysanie kosztuje go około tysiąca rubli rocznie.

„Głupiec jestem, głupiec! — powtarzał. — Po co ja się pnę między ludzi, którzy albo nie rozumieją moich ofiar, albo śmieją się z niezgrabnych wysiłków. Na co mi ten powóz?... Czy nie mógłbym jeździć dorożką albo tym oto trajkoczącym omnibusem z płóciennymi firankami?...”

Stanąwszy przed domem przypomniał sobie obietnicę daną pannie Izabeli co do owacy dla Rossiego.

„Naturalnie, że będzie miał owację, ba! jeszcze jakie... Jutro przedstawienie...”

Nad wieczorem posłał służącego do sklepu po Obermana. Siwy inkasent przybiegł natychmiast, z trwogą pytając się w duszy: czy Wokulski nie rozmyślił się i nie każe mu zwrócić zgubionych pieniędzy?...

Ale Wokulski przywitał go bardzo łaskawie i nawet zabrał do swego gabinetu, gdzie z pół godziny rozmawiali. O czym?...

Pytanie, o czym Wokulski mógł rozmawiać z Obermanem, bardzo zaciekało lokaja. Jużci, o zgubionych pieniądzach... Troskliwy sługa przykładając kolejno oko i ucho do dziurki od klucza, dużo widział, dużo słyszał, ale nic nie mógł zrozumieć. Widział, że Wokulski daje Obermanowi całą paczkę pięciorublowek i słyszał takie oto wyrazy:

— W Teatrze Wielkim⁴⁹⁵... na balkonie i paradyzie⁴⁹⁶... woźnemu wieniec, bukiet przez orkiestrę...

„Co ta besztyja, stary, już zaczyna handlować biletami do teatru czy co?...”

Usłyszawszy w gabinecie szmer ukłonów służący uciekł do przedpokoju, aby tam przyłapać Obermana. Gdy zaś inkasent wyszedł, odezwał się:

— Cóż, skończyło się z pieniędzmi?... Dużom ja tu śliny żepszuł, ażeby stary pofolgował panu Obermanowi, i nareszcie wymogłem na nim, że mi powiedział: „Zobaczmy, zrobi się, co się da!...” No i widzę, pan Oberman dobił dziś targu... Cóż, stary w dobrym humorze?...

— Jak zwykle — odparł inkasent.

— Aleście się nagadali z nim. Musi, że o czymś więcej niż o pieniądzach... Może i o teatrze, bo stary paszjami lubi teatr...

Ale Oberman spojrział na niego wilczym okiem i wyszedł milcząc. Służący w pierwszej chwili otworzył usta ze zdumienia, lecz ochłonawszy pogroził za nim pięścią.

— Poczekaj!... — mruknął — zapłacę ja ci... Wielki pan, patrzcie go... Ukradł czterysta rubli i już nie chce gadać z człowiekiem!...

Nuda, Obraz świata

Sługa

Podstęp

⁴⁹⁵Teatr Wielki — okazała budowla z lat 1825–1833 na placu Teatralnym (spalony w r. 1939, obecnie odbudowany).

⁴⁹⁶paradyż — najwyższe i najtańsze miejsca dla widzów na najwyższym balkonie w teatrze.

Dla pana Ignacego Rzeckiego nadeszła znowu epoka niepokojów i zdumień.

Ten sam Wokulski, który rok temu poleciał do Bułgarii, a przed kilkoma tygodniami jak magnat bawił się w wyścigi i pojedynki, ten sam Wokulski nabrał dziś nadzwyczajnego gustu do widowisk teatralnych. I jeszcze żeby choć polskich, ale — włoskich... On, który nie rozumiał po włosku ani wyrazu!

Już blisko tydzień trwała ta nowa mania, która dziwiła i gorszyła nie samego tylko pana Ignacego.

Raz na przykład stary Szlangbaum, oczywiście w jakiejś ważnej sprawie, przez pół dnia szukał Wokulskiego. Był w sklepie — Wokulski dopiero co wyszedł ze sklepu kazawszy pierwszej odnieść aktorowi Rossiemu duży wazon z saskiej porcelany. Pobiegł do mieszkania — Wokulski dopiero co opuścił mieszkanie i pojechał do Bardeta⁴⁹⁷ po kwiaty. Stary Żyd, ażeby go dopędzić, krzywiąc się wziął dorożkę; ale ponieważ ofiarowywał dorożkarzowi złoty i groszy osiem za kurs, zamiast czterdziestu groszy, więc nim dobili targu za złoty i groszy osiem i dojechali do Bardeta, Wokulski już opuścił zakład ogrodniczy.

— A gdzie on pojechał, nie wie pan? — zapytał Szlangbaum ogrodniczka, który za pomocą krzywego noża między najpiękniejszymi kwiatami szerzył zniszczenie.

— Czy ja wiem, podobno do teatru — odparł ogrodniczek z taką miną, jakby owym krzywym nożem chciał gardło poderżnąć Szlangbaumowi.

Żyd, któremu to właśnie przyszło na myśl, cofnął się czym prędzej z oranżerii i jak kamień wyrzucony z procy wpadł w dorożkę. Ale woźnica (porozumiawszy się już widocznie z krwiożerczymi ogrodnikami) oświadczył, iż za żadne w świecie skarby nie pojedzie dalej, chyba że kupiec da mu czterdzieści groszy za kurs i jeszcze zwróci dwa grosze urwane przy pierwszym kursie.

Szlangbaum poczuł słabość około serca i w pierwszej chwili chciał albo wysiąść, albo zawołać policji. Przypomniawszy sobie jednak, jaka teraz w świecie chrześcijańskim panuje złość i niesprawiedliwość, i zjadłość na Żydów, zgodził się na wszystkie warunki bezwstydnego dorożkarza i jęcząc pojechał do teatru.

Tu — naprzód nie miał z kim gadać, potem nie chciano z nim gadać, aż nareszcie dowiedział się, że pan Wokulski był dopiero co, ale że w tej chwili pojechał w Aleje Ujazdowskie. Słysząc nawet turkot jego powozu w bramie...

Szlangbaumowi opadły ręce. Piechotą wrócił do sklepu Wokulskiego, przy okazji po raz setny z rzędu wyklął swego syna za to, że nazywa się Henrykiem, chodzi w surducie i jada trefne potrawy⁴⁹⁸, a nareszcie poszedł żalić się przed panem Ignacym.

— Nu — mówił lamentującym głosem — co ten pan Wokulski wyrabia najlepszego!... Ja miałem taki interes, żeby on za pięć dni mógł od swego kapitału zarobić trzysta rubli... I ja zarobiłbym ze sto rubli... Ale on sobie jeździ teraz po mieście, a ja na same dorożki wydałem dwa złote i groszy dwadzieścia... Aj! co to za rozbójniki te dorożkarze...

Naturalnie, że pan Ignacy upoważnił Szlangbauma do zrobienia interesu i nie tylko zwrócił mu pieniądze wydane na dorożki, ale jeszcze na własny koszt kazał go odwiedzić na ulicę Elektoralną, co tak rozczuliło starego Żyda, że odchodząc zdjął ze swego syna rodzicielskie przekleństwo i nawet zaprosił go do siebie na szabasowy obiad.

„Bądź jak bądź — mówił do siebie Rzecki — głupia historia z tym teatrem, nade wszystko z tym, że Stach zaniedbuje interesa...”

Innym razem wpadł do sklepu powszechnie szanowany mecenas, prawa ręka księcia, prawny doradca całej arystokracji, zapraszając do siebie Wokulskiego na jakąś wieczorną sesję. Pan Ignacy nie wiedział, gdzie posadzić znakomitą osobę i jak cieszyć się z honoru wyrządzonego przez mecenasa jego Stachowi. Tymczasem Stach nie tylko nie wzruszył się dostojnymi zaprosinami na wieczór, ale wprost odmówił, co nawet trochę dotknęło mecenas, który zaraz wyszedł i pożegnał ich obojętnie.

— Dlaczegoś nie przyjął zaprosin?... — zapytał zrozpaczony pan Ignacy.

— Bo muszę być dzisiaj w teatrze — odpowiedział Wokulski.

⁴⁹⁷Bardet — Fryderyk Bardet, znana wtedy firma ogrodnicza; przy ul. Senatorskiej mieściła się kwiaciarnia, a za rogatkami Belwederskimi przy drodze Wilanowskiej, w Sielcach (wtedy pod Warszawą) znajdowały się ogrody i szklarnie.

⁴⁹⁸trefne potrawy — potrawy, na które nie pozwalają przepisy religii żydowskiej.

Teatr

Żyd

Skąpiec, Żyd

Teatr

Prawdziwa wszelako zgroza opanowała Rzeckiego, gdy w tym samym dniu inkasent Oberman przyszedł do niego przed siódmą wieczorem prosząc o zrobienie dziennego obrachunku.

— Po ósmej... po ósmej... — odpowiedział mu pan Ignacy — Teraz nie ma czasu.

— A po ósmej ja nie będę miał czasu — odparł Oberman.

— Jak to?... co to?...

— A tak, że o wpół do ósmej muszę być z naszym panem w teatrze... — mruknął Oberman, nieznacznie wzruszając ramionami.

W tej samej chwili przyszedł pożegnać go uśmiechnięty pan Zięba.

— Pan już wychodzi, panie Zięba, ze sklepu?... O trzy kwadranse na siódmą?... — spytał zdumiony pan Ignacy, szeroko otwierając oczy.

— Idę z wieńcami dla Rossiego — szepnął grzeczny pan Zięba z jeszcze miłszym uśmiechem.

Rzecki schwycił się obu rękoma za głowę.

— Powariowali z tym teatrem! — zawołał. — Może jeszcze i mnie tam wyciągną?... No, ale to ze mną sprawa!...

Czując, że lada dzień i jego zechce namawiać Wokulski, ułożył sobie pan Ignacy myśl, w której nie tylko miał oświadczyć, że nie pójdzie na Włochów, ale jeszcze miał zreflektować Stacha mniej więcej tymi słowami:

— Daj spokój... co ci po tych głupstwach!... — i tak dalej.

Tymczasem Wokulski, zamiast namawiać go, przyszedł raz około szóstej do sklepu, a zastawszy Rzeckiego nad rachunkami — rzekł:

— Mój drogi, dziś Rossi gra *Makbeta*⁴⁹⁹, siądź z łaski swej w pierwszym rzędzie krzeseł (masz tu bilet) i po trzecim akcie podaj mu to album⁵⁰⁰...

I bez żadnej ceremonii, a nawet bez dalszych wyjaśnień doręczył panu Ignacemu album z widokami Warszawy i warszawianek, co razem mogło kosztować z pięćdziesiąt rubli!...

Pan Ignacy uczuł się głęboko obrażony. Wstał ze swego fotelu, zmarszczył brwi i już otworzył usta, ażeby wybuchnąć, kiedy Wokulski opuścił nagle sklep nawet nie patrząc na niego.

No i naturalnie pan Ignacy musiał pójść do teatru, ażeby nie zrobić przykrości Stachowi.

W teatrze trafił się panu Ignacemu cały szereg niespodzianek.

Przede wszystkim wszedł on na schody prowadzące na galerię, gdzie bywał zwykle za swoich dawnych, dobrych czasów. Dopiero woźny przypomniał mu, że ma bilet do pierwszego rzędu krzeseł, obrzucając go przy tym spojrzeciami, które mówiły, że ciemnozielony surdut pana Rzeckiego, album pod pachą, a nawet fizjonomia à la Napoleon III wydają się niższym organom władzy teatralnej mocno podejrzanymi.

Zawstydzony, zeszedł pan Ignacy na dół do frontowego przysionka ściskając pod pachą album i kłaniając się wszystkim damom, około których miał zaszczyt przechodzić. Ta uprzejmość, do której nie nawykli warszawiacy, już w przysionku zrobiła wrażenie. Zaczęto pytać się: kto to jest? a chociaż nie poznano osoby, w lot jednakże spostrzeżono, że cylinder pana Ignacego pochodzi sprzed lat dziesięciu, krawat sprzed pięciu, a ciemnozielony surdut i obcisłe spodnie w kratki sięgają nierównie dawniejszej epoki. Powszechnie brano go za cudzoziemca; lecz gdy spytał kogoś ze służby: którądy iść do krzeseł? — wybuchnął śmiech.

— Pewnie jakiś szlachcic z Wołynia — mówili eleganci. — Ale co on ma pod pachą?...

— Może bigos albo pneumatyczną poduszkę...

Osmagany szyderstwem, oblany zimnym potem, dostał się nareszcie pan Ignacy do upragnionych krzeseł. Było ledwie po siódmej i widzowie dopiero zaczęli się gromadzić; ten i ów wchodził do krzeseł w kapeluszu na głowie, łóżka były puste i tylko na galeriach czerniała masa ludu, a na paradyżu już wymyślano i wołano policji.

„O ile się zdaje, zebranie będzie bardzo ożywione” — mruknął z bladym uśmiechem nieszczęśliwy pan Ignacy sadowiac się w pierwszym rzędzie.

⁴⁹⁹ „*Makbet*” — słynna tragedia Szekspira. Bohaterem jej jest mężny wódz, którego ambicja i żądza władzy wiedą na drogę zbrodni, powodując w końcu katastrofę. Rossi wystąpił w *Makbecie* 27 czerwca 1878 r.

⁵⁰⁰ *to album* (łac. *album*: białe) — początkowo wyraz ten miał rodzaj nijaki, tak jak po łacinie.

Teatr

Pozycja społeczna, Moda,
Strój

Teatr

Z początku patrzył tylko na prawą dziurkę w kurtynie ślubując, że nie oderwie od niej oczu. W parę minut jednakże ochłonął ze wzruszenia, a nawet nabrał takiego animuszu, że począł oglądać się. Sala wydała mu się jakaś niewielka i brudna i dopiero gdy zastanawiał się nad przyczynami tych zmian, przypomniał sobie, że ostatni raz był w teatrze na występie Dobrskiego w *Halce*⁵⁰¹, mniej więcej przed szesnastoma laty.

Tymczasem sala nappełniała się, a widok pięknych kobiet, zasiadających w łóżach, do reszty orzeźwił pana Ignacego. Stary subiekt wydobył nawet małą lornetkę i zaczął przypatrywać się fizjognomiom; przy tej zaś okazji zrobił smutne odkrycie, że i jemu przypatrują się z amfiteatru⁵⁰², z dalszych rzędów krzeseł, ba! nawet z łóż... Gdy zaś przeniósł swoje zdolności psychiczne od oka do ucha, pochwycił wyrazy latające jak osy:

— Cóż to za oryginał?...

— Ktoś z prowincji.

— Ale skąd on wyrwał taki surdut?...

— Uważasz pan jego breloki przy dewizce? Skandal!...

— Albo kto się tak dziś czesze?...

Niewiele brakowało, ażeby pan Ignacy upuścił swoje album i cylinder i uciekł z gołą głową z teatru. Na szczęście, w ósmym rzędzie krzeseł zobaczył znajomego fabrykanta pierników, który w odpowiedzi na ukłon Rzeckiego opuścił swoje miejsce i zbliżył się do pierwszego rzędu.

— Na miłość boską, panie Pifke — szepnął zalany potem — usiądź pan na moim miejscu i oddaj mi swoje...

— Z największą chęcią — odparł głośno rumiany fabrykant. — Cóż, źle tu panu?... Pyszne miejsce!...

— Doskonałe. Ale ja wolę dalej... Gorąco mi...

— Tam tak samo, ale mogę usiąść. A co to masz pan za paczkę?...

Teraz dopiero Rzecki przypomniał sobie obowiązek.

— Uważa pan, drogi panie Pifke, jakiś wielbiciel tego... tego Rossiego...

— Ba, któż by Rossiego nie uwielbiał! — odpowiedział Pifke. — Mam libretto⁵⁰³ do *Makbeta*, może panu dać?...

— Owszem. Ale... ten wielbiciel, uważa pan, kupił u nas kosztowny album i prosił, ażeby po trzecim akcie wręczyć je Rossiemu...

— Zrobię to z przyjemnością! — zawołał otyły Pifke pchając się na miejsce Rzeckiego.

Pan Ignacy miał jeszcze kilka bardzo przykrych chwil. Musiał wydobyć się z pierwszego rzędu krzeseł, gdzie zebrani eleganci spoglądali na jego surdut i na jego krawat, i na jego aksamitną kamizelkę z ironicznymi uśmiechami. Potem musiał wejść do ósmego rzędu krzeseł, gdzie wprawdzie bez ironii patrzono na jego garnitur, ale gdzie musiał potrącać o kolana siedzących dam...

— Stokrotnie przepraszam — mówił zawstydzony. — Ale tak ciasno...

— Potrzebujesz pan nie mówić brzydkie słowo — odpowiedziała mu jedna z dam, w której nieco podmałowanych oczach pan Ignacy nie dojrzał jednak gniewu za swój postępek. Był przecież tak zażenowany, że chętnie poszedłby do spowiedzi, byle tylko oczyścić duszę z plamy owych potrącań.

Nareszcie znalazł krzesło i odetchnął. Tu przynajmniej nie zwracano na niego uwagi, częścią z powodu skromnego miejsca, jakie zajmował, częścią, że teatr był przepelniony i już zaczęło się widowisko.

Gra artystów z początku nie obchodziła go, oglądał się więc po sali i przede wszystkim spostrzegł Wokulskiego. Siedział on w czwartym rzędzie i wpatrywał się bynajmniej nie w Rossiego, ale w łóż, którą zajmowała panna Izabela z panem Tomaszem i hrabiną. Rzecki parę razy w życiu widział ludzi zamagnetyzowanych i zdawało mu się, że Wokulski ma taki wyraz fizjonomii, jak gdyby był zamagnetyzowany przez ową łóż. Siedział bez ruchu, jak człowiek śpiący, z szeroko otwartymi oczyma.

⁵⁰¹Dobrski Julian (1811–1886) — znakomity tenor operowy, w *Halce* St. Moniuszki śpiewał partię Jontka (Warszawska premiera opery odbyła się w r. 1858); w Teatrze Wielkim występował do stycznia 1866 r.

⁵⁰²amfiteatr — tu: najlepsze miejsca w Teatrze Wielkim, na podwyższeniu za krzesłami parteru, na wprost sceny.

⁵⁰³libretto — tekst lub streszczenie opery; tu: streszczenie dramatu (zespół Rossiego grał oczywiście po włosku).

Pozycja społeczna, Moda,
Strój

Teatr

Theatrum mundi

Kto by jednakże tak oczarował Wokulskiego? Pan Ignacy nie mógł się domyślić. Zawążył przecie inną rzecz: ile razy nie było Rossiego na scenie, panna Izabela obojętnie oglądała się po sali albo rozmawiała z ciotką. Lecz gdy wyszedł Makbet-Rossi, przysłaniała twarz do połowy wachlarzem i cudownymi, rozmarzonymi oczyma zdawała się pożerać aktora. Czasami wachlarz z białych piór opadał jej na kolana, a wtedy Rzecki na twarzy panny Izabeli spostrzegał ten sam wyraz zamagnetyzowania, który go tak zdziwił w fizjonomii Wokulskiego.

Spostrzegł jeszcze inne rzeczy. Kiedy piękne oblicze panny Izabeli wyrażało najwyższy zachwyt, wtedy Wokulski pocierał sobie ręką wierzch głowy. A wówczas, jakby na komendę, z galerii i z paradyżu odzywały się gwałtowne oklaski i wrzaskliwe okrzyki: „Brawo, brawo Rossi!...” Zdawało się nawet panu Ignacemu, że gdzieś w tym chórze odróżnia zmęczony głos inkasenta Obermana, który pierwszy zaczynał wrzeszczeć, a ostatni milknął.

„Do diabła! — pomyślał — czyżby Wokulski dyrygował klakierami⁵⁰⁴?”

Ale wnet odpędził to nieusprawiedliwione podejrzenie. Rossi bowiem grał znakomicie i klaskali mu wszyscy z równym zapalem. Najmocniej jednak pan Pifke, jowialny fabrykant pierników, który stosownie do umowy po trzecim akcie z wielkim hałasem podał Rossiemu album.

Wielki aktor nie kiwnął nawet głową Pifkemu; natomiast złożył głęboki ukłon w kierunku łoża, gdzie siedziała panna Izabela, a może — tylko w tym kierunku.

„Przywidzenia!... przywidzenia!... — myślał pan Ignacy opuszczając teatr po ostatnim akcie. — Stach przecie nie byłby aż tak głupi...”

W rezultacie jednak pan Ignacy nie był niezadowolony z pobytu w teatrze. Gra Rossiego podobała mu się; niektóre sceny, jak morderstwo króla Dunkana albo ukazanie się ducha Banka⁵⁰⁵, zrobiły na nim potężne wrażenie, a już całkiem był oczarowany zobaczwszy, jak Makbet bije się na rapiery⁵⁰⁶.

Toteż wychodząc z teatru nie miał pretensji do Wokulskiego; owszem, zaczął nawet podejrzewać, że kochany Stach tylko dla zrobienia mu przyjemności wymyślił komedię z wręczeniem подарunku Rossiemu.

„On wie, pocciwy Stach — myślał — że tylko przynaglony mogłem pójść na włoskich aktorów... No i dobrze się stało. Pysnie gra ten facet i muszę zobaczyć go drugi raz... Zresztą — dodał po chwili — kto ma tyle pieniędzy co Stach, może robić prezenta aktorom. Ja wprawdzie wolałbym jaką ładnie zbudowaną aktorkę, ale... Ja jestem człowiek innej epoki, nawet nazywają mnie bonapartystą i romantykiem...”

Myślał tak i mruczał po cichu, gdyż nurtowała go inna myśl, którą chciał w sobie zagłuszyć:

„Dlaczego Stach tak dziwnie przypatrywał się łożu, w której siedziała hrabina, pan Łęcki i panna Łęcka?... Czyliżby?... Eh! cóż znowu... Wokulski ma przecież zbyt wiele rozumu, ażeby mógł przypuszczać, że coś z tego być może... Każde dziecko pojęłoby od razu, że ta panna, w ogóle zimna jak lód, dziś szaleje za Rossim... Jak ona na niego patrzyła, jak się nawet czasami zapominała i jeszcze gdzie, w teatrze, wobec tysiąca osób!... Nie, to głupstwo. Słusznie nazywają mnie romantykiem...”

I znowu usiłował myśleć o czym innym. Poszedł nawet (mimo późnej nocy) do restauracji, gdzie grała muzyka złożona ze skrzypców, fortepianu i arfy. Zjadł pieczeń z kartoflami i z kapustą, wypił kufel piwa, potem drugi kufel, potem trzeci i czwarty... nawet siódmy... Zrobiło mu się tak jakoś raźnie, że cisnął arfiarce na talerz dwie czterdziestówki i zaczął śpiewać pod nosem. A potem przyszło mu do głowy, że — koniecznie, ale to koniecznie powinien zaprezentować się czterem Niemcom, którzy przy bocznym stoliku jedzą pekeflejsz⁵⁰⁷ z grochem.

„Dlaczego ja miałbym się im prezentować?... Niech oni mnie się zaprezentują” — myślał pan Ignacy.

Artysta

Teatr

Miłość tragiczna

Muzyka

Jedzenie

⁵⁰⁴klakierzy — osoby wynajęte za specjalną opłatą do oklaskiwania aktorów, aby zapewnić im powodzenie w czasie występów.

⁵⁰⁵morderstwo króla Dunkana, ukazanie się ducha Banka — sceny z *Makbeta*.

⁵⁰⁶rapiery — długa broń obosieczna z gardą (rękojeścią ochraniającą dłoń) w kształcie kosza drucianego.

⁵⁰⁷pekeflejsz (z niem.) — mięso peklowane (konserwowane).

I w tej chwili opanowała go idea, że tamci czterej panowie powinni mu się zaprezentować, jako starszemu wiekiem tudzież byłemu oficerowi węgierskiej piechoty, która przecież porządnie biła Niemców. Zawołał nawet usługującą dziewczynę w celu wysłania jej do owych czterech panów jedzących pekeflejsz, gdy wtem muzyka złożona ze skrzypców, arfy i fortepianu zagrała... *Marsyliankę*⁵⁰⁸.

Łzy, Muzyka,
Wspomnienia

Pan Ignacy przypomniał sobie Węgry, piechotę, Augusta Katza i czując, że mu lży nabiegają do oczu, że się lada chwilę rozpłaczę, porwał ze stołu swój cylinder sprzed wojny francusko-pruskiej⁵⁰⁹ i rzuciwszy na stół rubla wybiegł z restauracji.

Dopiero gdy na ulicy owionęło go świeże powietrze, oparł się o słup latarni gazowej i spytał:

Alkohol, Pijaństwo

— Do diabła, czyżbym się upił?... Ba! siedem kufli...

Wrócił do domu starając się iść jak najprościej i teraz dopiero przekonał się, że warszawskie chodniki są nadzwyczaj nierówne: co kilkanaście kroków bowiem musiał zbaczać albo w stronę rynsztoka, albo w stronę kamienic. Potem (dla przekonania samego siebie, że jego umysłowe zdolności znajdują się w kwitnym stanie) zaczął rachować gwiazdy na niebie.

— Raz... dwa... trzy... siedem... siedem... Co to jest siedem?... Ach, siedem kufli piwa... Czyżbym naprawdę?... Po co ten Stach wysłał mnie do teatru!...

Do domu trafił od razu i od razu znalazł dzwonek. Zadzwoniwszy jednak aż siedem razy na stróża, uczuł potrzebę oparcia się o kąt, zawarty między bramą i ścianą, i usiłował zliczyć, nie z potrzeby, ale ot, tak sobie: ile też upłynie minut, zanim mu stróż otworzy? W tym celu wydobyl zegarek z sekundnikiem i przekonał się, że — już jest wpół do drugiej.

— Podły stróż! — mruknął. — Ja muszę wstać o szóstej, a on do wpół do drugiej trzyma mnie na ulicy...

Szczęściem, stróż natychmiast otworzył furtkę, przez którą pan Ignacy krokiem zupełnie pewnym, a nawet więcej niż pewnym, bardzo pewnym, przeszedł całą sień czując, że jego cylinder siedzi mu trochę na bakier, ale tylko troszeczkę. Następnie bez żadnej trudności znalazłszy drzwi swego mieszkania usiłował po kilka razy na próżno wprowadzić klucz do zamku. Czuł dziurkę pod palcem, ścisnął w ręce klucz tak mocno jak nigdy i mimo to nie mógł trafić.

— Czyliżbym naprawdę?...

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi, a współcześnie jego jednooki pudel Ir, nie podnosząc się z pościeli, parę razy szczeknął:

Pies

— Tak... tak!...

— Milcz, ty podła świni!... — mruknął pan Ignacy i nie zapalając lampy, rozebrał się i położył do łóżka.

Sny miał okropne. Śniło mu się czy tylko przywidywało, że ciągle jest w teatrze i że widzi Wokulskiego z szeroko otwartymi oczyma, zapatrzonego w jedną łożę. W łoży tej siedziała hrabina, pan Łęcki i panna Izabela. Rzekiemu zdawało się, że Wokulski patrzy tak na pannę Izabelę.

Sen, Teatr

— Niepodobna! — mruknął. — Stach nie jest aż tak głupi...

Tymczasem (wszystko w marzeniu) panna Izabela podniosła się z fotelu i wyszła z łoży, a Wokulski za nią, wciąż patrząc jak człowiek zamagnetyzowany. Panna Izabela opuściła teatr, przeszła plac Teatralny i lekkim krokiem wbiegła na ratuszową wieżę⁵¹⁰, a Wokulski za nią, wciąż patrząc jak człowiek zamagnetyzowany. A potem z ganku ratuszowej wieży panna Izabela, uniósłszy się jak ptak, przepłynęła na gmach teatralny, a Wokulski, chcąc lecieć za nią, runął z wysokości dziesięciu pięter na ziemię.

— Jezus! Maria!... — jęknął Rzecki zrywając się z łóżka.

— Tak!... tak!... — odszczeknął mu Ir przez sen.

⁵⁰⁸ „*Marsylianka*” — rewolucyjna pieśń francuska, ułożona w r. 1792 przez Rouget de l'Isle, która stała się francuskim hymnem narodowym.

⁵⁰⁹ *sprzed wojny francusko-pruskiej*... — a więc sprzed roku 1870.

⁵¹⁰ *ratuszowa wieża* — ratusz ten, mieszczący się od 1817 r. w dawnym pałacu Antoniego Jabłonowskiego, znajdował się naprzeciw Teatru Wielkiego na obecnym placu Teatralnym; został zburzony podczas powstania warszawskiego; obecnie stoi tu pomnik Bohaterów Warszawy.

— No, już widzę, że jestem zupełnie pijany — mruknął pan Ignacy kładąc się znowu i niecierpliwie naciągając kołdrę, pod którą drżał.

Kilka minut leżał z otwartymi oczami i znowu przywidziało mu się, że jest w teatrze, akurat po zakończeniu trzeciego aktu, w chwili kiedy fabrykant Pifke miał podać Rosiemu album Warszawy i jej piękności. Pan Ignacy wyteża wzrok (Pifke bowiem jego zastępuje), wyteża wzrok i z najwyższym przerażeniem widzi, że niecny Pifke zamiast kosztownego albumu podaje Włochowi jakąś paczkę owiniętą w papier i niedbale zawiązaną szpagatem.

I jeszcze gorsze rzeczy widzi pan Ignacy. Włoch bowiem uśmiecha się ironicznie, odwiązuje szpagat, odwija papier i wobec panny Izabeli, Wokulskiego, hrabiny i tysiąca innych widzów ukazuje... żółte nankinowe⁵¹¹ spodnie z fartuszkami na przodzie i ze strzemiączkami u dołu. Właśnie te same, których pan Ignacy używał w epoce sławnej kampanii sewastopolskiej⁵¹²!...

Na domiar okropności nędzny Pifke wrzeszczy: „Oto jest dar panów: Stanisława Wokulskiego, kupca, i Ignacego Rzeckiego, jego dysponenta!” Cały teatr wybucha śmiechem; wszystkie oczy i wszystkie wskazujące palce skierowują się na ósmy rząd krzeseł i właśnie na to krzesło, gdzie siedzi pan Ignacy. Nieszczęśliwy chce zaprotestować, lecz czuje, że głos zastyga mu w gardle, a na domiar niedoli on sam — zapada się gdzieś. Zapada się w niezmierny, niezgłębiony ocean nicości, w którym będzie spoczywał na wieki wieczne nie objaśnwszy widzów teatralnych, że nankinowe spodnie z fartuszkami i strzemiączkami wykradziono mu podstępem ze zbioru jego osobistych pamiątek.

Po nocy fatalnie spędzonej Rzecki obudził się dopiero o trzy kwadranse na siódmą⁵¹³. Własnym oczom nie chciał wierzyć patrząc na zegarek, ale w końcu uwierzył. Uwierzył nawet w to, że wczoraj był nieco podchmielony; o czym zresztą wymownie świadczył lekki ból głowy i ogólna ociężałość członków.

Wszystkie te jednak chorobliwe objawy mniej trwożyły pana Ignacego aniżeli jeden straszny symptom, oto: nie chciało mu się iść do sklepu!... Co gorsze: nie tylko czuł lenistwo, ale nawet zupełny brak ambicji; zamiast bowiem wstydzić się swego upadku i walczyć z próżniaczymi instynktami, on, Rzecki, wynajdywał sobie powody do jak najdłuższego zatrzymania się w pokoju.

To zdawało mu się, że Ir jest chory, to, że rdzewieje nigdy nie używana dubeltówka, to znowu, że jest jakiś błąd w zielonej firance, która zasłaniała okna, a nareszcie, że herbata jest za gorąca i trzeba ją pić wolniej niż zwykle.

W rezultacie pan Ignacy spóźnił się o czterdzieści minut do sklepu i ze spuszczoną głową przekradł się do kantorka. Zdawało mu się, że każdy z „panów” (a jak na złość wszyscy przyszli dziś na czas!), że każdy z najwyższą wzdargą patrzy na jego podsiniałe oczy, ziemistą cerę i lekko drżące ręce.

„Gotowi jeszcze myśleć, że oddawałem się rozpuście!” — westchnął nieszczęsny pan Ignacy.

Potem wydobył księgi, umaczał pióro i niby to zaczął rachować. Był przekonany, że cuchnie piwem jak stara beczka, którą już wyrzucono z piwnicy, i zupełnie serio począł rozważać: czy nie należało podać się do dymisji po spełnieniu całego szeregu tak haniebnych występków?

„Spiełem się... późno wróciłem do domu... późno wstałem... o czterdzieści minut spóźniłem się do sklepu...”

W tej chwili zbliżył się do niego Klejn z jakimś listem.

— Było na kopercie napisane: „bardzo pilno”, więc otworzyłem — rzekł mizerny subiekt podając papier Rzeckiemu.

Pan Ignacy otworzył i czytał:

„Człowieku głupi czy nikczemny! Pomimo tylu życzliwych ostrzeżeń kupujesz jednak dom, który stanie się grobem twego w tak nieuczciwy sposób zdobytego majątku...”

Pan Ignacy rzucił okiem na wiersz ostatni, ale nie znalazł podpisu: list był anonimowy. Spojrzał na kopertę — miała adres Wokulskiego. Czytał dalej:

⁵¹¹nankinowy — nankin: gęsta i gładka tkanina, barwy żółtej, podobna do perkalu.

⁵¹²kampania sewastopolska — oblężenie i zdobycie rosyjskiej twierdzy Sewastopol przez wojska angielskie i francuskie było głównym wydarzeniem wojny krymskiej (1853–1856).

⁵¹³trzy kwadranse na siódmą — szósta czterdzieści pięć.

Sen, Teatr

Pijaństwo

Lenistwo

„Jaki zły los postawił cię na drodze pewnej szlachetnej damy, której o mało nie zabiłeś męża, a dziś chcesz jej wydrzeć dom, gdzie zmarła jej ukochana córka?... I po co to robisz?... Dlaczego płacisz, jeżeli prawda, aż dziewięćdziesiąt tysięcy rubli za kamienicę niewartą siedemdziesięciu tysięcy?... Są to sekreta twojej czarnej duszy, które kiedyś sprawiedliwość boska odkryje, a zacni ludzie ukarzą pogardą.

Zastanów się więc, póki czas. Nie gub swej duszy i majątku i nie zatruwaj spokoju zacnej damie, która w nieutulonym żalu po stracie córki tę jedną ma dziś pociechę, że może przesiadywać w pokoju, gdzie nieszczęśliwe dziecko oddało Bogu ducha. Upamiętaj się, zaklinam cię — życzliwa...”

Skończywszy czytanie pan Ignacy potrząsnął głową.

— Nic nie rozumiem — rzekł. — Chociaż bardzo wątpię o życzliwości tej damy.

Klejn lekko obejrzał się dokoła sklepu, a widząc, że ich nikt nie śledzi, zaczął szeptać:

— Bo to, uważa pan, nasz stary podobno kupuje dom Łęckiego, który właśnie jutro mają wierzyciele sprzedać przez licytację...

— Stach... to jest... pan Wokulski kupuje dom?

— Tak, tak... — potakiwał Klejn głową. — Ale kupuje nie na własne imię, tylko za pośrednictwem starego Szlangbauma... Tak przynajmniej mówią w domu, bo i ja tam mieszkam.

— Za dziewięćdziesiąt tysięcy rubli?...

— Właśnie. A że baronowa Krzeszowska chciałaby kupić tę kamienicę za siedemdziesiąt tysięcy rubli, więc anonim zapewne pochodzi od niej. Nawet założyłbym się, że od niej, bo to piekielna baba...

Gość, przybyły do sklepu z zamiarem kupienia parasola, oderwał Klejną od Rzeckiego. Panu Ignacemu zaczęły krążyć po głowie bardzo szczególne myśli.

„Jeżeli ja — mówił do siebie — przez zmarnowanie jednego wieczora narobiłem tyle zamętu w sklepie, to niby — jakiego zamętu w interesach narobi Stach, który marnuje dziś dnie i tygodnie na teatry włoskie, i zresztą — nawet nie wiem na co?...”

W tej chwili jednak przypomniał sobie, że w sklepie z jego winy zamęt jest niewielki, prawie go nie ma, i że interes handlowy w ogóle idzie świetnie. Nawet co prawda to i sam Wokulski, pomimo dziwnego trybu życia, nie zaniedbuje obowiązków kierownika instytucji.

„Ale po co on chce uwięzić dziewięćdziesiąt tysięcy rubli w murach?... Skąd się i tu znowu biorą ci Łęccy?... Czyliżby... Eh! Stasiak taki głupi nie jest...”

Swoją drogą niepokoiła go myśl kupna kamienicy.

„Zapytam się Henryka Szlangbauma” — rzekł, wstając od kantorka.

W oddziale tkanin mały, zgarbiony Szlangbaum, z czerwonymi oczyma i wyrazem zajądlności na twarzy, kręcił się jak zwykle, skacząc po drabince albo nurzając się między sztukami perkalu. Tak już przywykł do swojej gorączkowej roboty, że choć nie było interesantów, on ciągle wydostawał jakąś sztukę, odwijał i zawijał, ażeby następnie umieścić ją na właściwym miejscu.

Zobaczywszy pana Ignacego Szlangbaum zawiesił swoją jałową pracę i otarł pot z czoła.

— Ciężko, co?... — rzekł.

— Bo po co pan przekładasz te graty, skoro nie ma gości w sklepie? — odparł Rzecki.

— Bah!... gdybym tego nie robił, zapomniałbym, gdzie co leży... stawy zaśnieżyłyby w członkach... Zresztą — jużem przywykł... Pan ma jaki interes do mnie?...

Rzecki stropił się na chwilę.

— Nie... Tak chciałem zobaczyć, jak panu tu idzie — odpowiedział pan Ignacy rumieniąc się, o ile to było możliwe w jego wieku.

„Czyżby i on mnie posądzał i śledził?... — błysnęło w głowie Szlangbaumowi i gniew go ogarnął. — Tak, ma ojciec rację... Dziś wszyscy huzia! na Żydów. Niedługo już trzeba będzie zapuścić pejsy i włożyć jarmułkę⁵¹⁴...”

„On coś wie!” — pomyślał Rzecki i rzekł głośno:

— Podobno... podobno szanowny ojciec pański kupuje jutro kamienicę... kamienicę pana Łęckiego?...

⁵¹⁴jarmulka — okrągła czapeczka bez daszka, noszona przez Żydów.

— Nic o tym nie wiem — odpowiedział Szlangbaum spuszczać oczy. W duchu zaś dodał:

„Mój stary kupuje dom dla Wokulskiego, a oni myślą i pewnie mówią: ot, patrzajcie, znowu Żyd, lichwiarz zrujnował jednego katolika i pana z panów...”

„Coś wie, tylko gadać nie chce — myślał Rzecki. — Zawsze Żyd...”

Pokręcił się jeszcze po sali, co Szlangbaum uważał za dalszy ciąg posądzeń i śledzenia go, i wrócił do siebie, wdychając.

„To jest okropne, że Stach ma więcej zaufania do Żydów aniżeli do mnie...”

„Po co on jednak kupuje ten dom, po co wdaje się z Łęckimi... A może nie kupuje?... Może to tylko pogłoski?...”

Tak się lękał uwięzienia w murach dziewięćdziesięciu tysięcy rubli gotówki, że cały dzień tylko o tym myślał. Była chwila, że chciał wprost zapytać Wokulskiego, ale — zabrakło mu odwagi.

„Stach — mówił w sobie — wdaje się dziś tylko z panami, a ufa Żydom. Co jemu po starym Rzeckim!...”

Więc postanowił pójść jutro do sądu i zobaczyć, czy naprawdę stary Szlangbaum kupi dom Łęckich i czy, jak mówił Klejn, doliczytuje go do dziewięćdziesięciu tysięcy rubli. Jeżeli to się sprawdzi, będzie znakiem, że wszystko inne jest prawdą.

W południe wpadł do sklepu Wokulski i zaczął rozmawiać z Rzeckim wypytując go o wczorajszy teatr i o to: dlaczego uciekł z pierwszego rzędu krzeseł, a album kazał doręczyć Rossiemu przez Pifkego. Ale pan Ignacy miał w sercu tyle żalów i tyle wątpliwości co do swego kochanego Stacha, że odpowiadał mu półgębkiem i z nachmurzoną twarzą.

Więc i Wokulski umilkł i opuścił sklep z goryczą w duszy.

„Wszyscy odwracają się ode mnie — mówił sobie — nawet Ignacy... Nawet on... Ale ty mi to wynagrodzisz!...” — dodał już na ulicy, patrząc w stronę Alei Ujazdowskiej.

Po wyjściu Wokulskiego ze sklepu Rzecki ostrożnie wypytał się „panów”, w którym sądzie i o której godzinie odbywają się licytacje domów. Potem uprosił Lisieckiego o zastępstwo na jutro między dziesiątą z rana a drugą po południu i z podwójną gorliwością zabrał się do swoich rachunków. Machinalnie (choć bez błędu) dodawał długie jak Nowy Świat kolumny cyfr, a w przerwach myślał:

„Dzisiaj zmarnowałem blisko godzinę, jutro zmarnuję z pięć godzin, a wszystko dlatego, że Stach więcej ufa Szlangbaumom aniżeli mnie... Na co jemu kamienica?... Po jakiego diabła wdaje się z tym bankrutem Łęckim?... Skąd mu strzeliło do łba latać na włoski teatr i jeszcze dawać kosztowne prezenta temu przybłądzie Rossiemu?...”

Nie podnosząc głowy od książek siedział przy kantorku do szóstej, a tak był zatopiony w robocie, że już nie tylko nie przyjmował pieniędzy, ale nawet nie widział i nie słyszał gości, którzy roili się i hałasowali w sklepie jak olbrzymie pszczoły w ulu. Nie spostrzegł też jednego najmniej spodziewanego gościa, którego „panowie” witali okrzykami i głośnymi pocałunkami.

Dopiero gdy przybysz stanąwszy nad nim krzyknął mu w ucho:

— Panie Ignacy, to ja!...

Rzecki ocknął się, podniósł głowę, brwi i oczy w górę i zobaczył Mraczewskiego...

— He?... — spytał pan Ignacy przypatrując się młodemu elegantowi, który opalił się, zmęźniał, a nade wszystko utył.

— No, co... no, co słyhać?... — ciągnął pan Ignacy podając mu rękę. — Co z polityki?...

— Nic nowego — odparł Mraczewski. — Kongres w Berlinie robi swoje, Austriacy wezmą Bośnię⁵¹⁵.

— No, no, no... żarty, żarty!... A o małym Napoleonku co słyhać?

— Uczy się w Anglii w szkole wojskowej i podobno kocha się w jakiejś aktorce...

— Zaraz kocha się!... — powtórzył drwiąco pan Ignacy. — A do Francji nie wraca?... Jakże się pan miewasz?... Skądęś się tu wziął?... No, gadaj prędko — zawołał Rzecki wesoło, uderzając go w ramię. — Kiedyżeś przyjechał?...

Prawda

Praca

⁵¹⁵Austriacy wezmą Bośnię — wiadomość o powzięciu tej decyzji przez kongres berliński przyniosła prasa warszawska w ostatnich dniach czerwca 1878 r.

— A to cała historia! — odpowiedział Mraczewski rzucając się na fotel. — Przyjechaliśmy tu dziś z Suzinem o jedynastej... Od pierwszej do trzeciej byliśmy z nim u Wokulskiego, a po trzeciej wpadłem na chwilę do matki i na chwilę do pani Stawskiej... Pyszna kobieta, co?...

— Stawska?... Stawska?... — przypominał sobie Rzecki trąc czoło.

— Znasz ją pan przecie. Ta piękna, co to ma córeczkę... Co to się tak podobała panu...

— Ach, ta!... wiem... Nie mnie się podobała — westchnął Rzecki — tylko myślałem, że dobra byłaby z niej żona dla Stacha...

— Paradny pan jesteś — roześmiał się Mraczewski. — Przecież ona ma męża...

— Męża?

— Naturalnie. Zresztą znane nazwisko. Przed czterema laty uciekł biedak za granicę, bo posądzili go o zabicie tej...

— Ach, pamiętam!... Więc to on?... Dlaczegoż nie wrócił, boć przecie okazało się, że nie winien?...

— Rozumie się, że nie winien — prawił Mraczewski. — Ale swoją drogą, jak dmuchnął do Ameryki, tak po dziś dzień nie ma o nim wiadomości. Pewnie biedak gdzieś zmarniał, a kobieta została ani panną, ani wdową... Okropny los!... Utrzymywać cały dom z haftu, z gry na fortepianie, z lekcji angielskiego... pracować cały dzień jak wół i jeszcze nie mieć męża... Biedne te kobiety!... My byśmy, panie Ignacy, tak długo nie wytrwali w cnocie, co?... O, wariat stary...

— Kto wariat? — spytał Rzecki, zdumiony nagłym przejściem w rozmowie.

— Któż by, jeżeli nie Wokulski — odparł Mraczewski. — Suzin jedzie do Paryża i chce go gwałtem zabrać, bo ma tam robić jakieś ogromne zakupy towarów. Nasz stary nie zapłaciłby grosza za podróż, miałby książęce życie, bo Suzin im dalej od żony, tym szerzej rozpuszcza kieszeń... E! i jeszcze zarobiłby z dziesięć tysięcy rubli.

— Stach... to jest nasz pryncypał zarobiłby z dziesięć tysięcy? — spytał Rzecki.

— Naturalnie. Ale cóż, kiedy tak już zgłupiał...

— No, no... panie Mraczewski!... — zgromił go pan Ignacy

— Ale słowo honoru, że zgłupiał. Bo przecież wiem, że jedzie na wystawę do Paryża, i to lada tydzień...

— Tak.

— Więc nie wołałby jechać z Suzinem, nic nie wydać i jeszcze tyle zarobić?... Przez dwie godziny błagał go Suzin: „Jedź ze mną, Stanisławie Piotrowiczu”, prosił, kłaniał się i na nic... Wokulski nie i nie!... Mówił, że ma tutaj jakieś interesa...

— No, ma... — wtrącił Rzecki.

— O tak, ma... — przedrzeźniał go Mraczewski. — Największy jego interes jest nie zrażać Suzina, który pomógł mu zrobić majątek, dziś daje mu ogromny kredyt i nieraz mówił do mnie, że nie uspokoi się, dopóki Stanisław Piotrowicz nie odłoży sobie choć z milion rubli... I takiemu przyjacielowi odmawiać tak drobnej usługi, zresztą bardzo dobrze opłaconej! — oburzał się Mraczewski.

Pan Ignacy otworzył usta, lecz przygryzł je. O mało że się nie wygadał w tej chwili, iż Wokulski kupuje dom Łęckiego i że tak wielkie prezenta daje Rossiemu.

Do kantorka zbliżył się Klejn z Lisieckim. Mraczewski spostrzegłszy, że są nie zajęci, zaczął rozmawiać z nimi, a pan Ignacy znowu został sam nad swoją księgą.

„Nieszczęście! — myślał. — Dlaczego ten Stach nie jedzie darmo do Paryża i jeszcze zniechęca do siebie Suzina?... Jaki zły duch spętał go z tymi Łęckimi... Czyżby?... Eh! przecie on aż tak głupim nie jest... A swoją drogą, szkoda tej podróży i dziesięciu tysięcy rubli... Mój Boże! jak się to ludzie zmieniają...”

Schylił głowę i posuwając palcem z dołu do góry albo z góry na dół, sumował kolumny cyfr długich jak Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście. Sumował bez błędu, nawet z cicha mruczał, a jednocześnie myślał sobie, że jego Stach znajduje się na jakiejś fatalnej pochyłości.

„To darmo — szeptał mu głos ukryty na samym dnie duszy — to darmo!... Stach wkładał się w grubą awanturę... I z pewnością w polityczną awanturę, bo taki człowiek jak on nie wariowałby dla kobiety, choćby nawet była nią sama — panna... Ach, do diabła! omyliłem się... Wyrzeka się, gardzi dziesięcioma tysiącami rubli, on, który osiem

Kobieta

Bieda, Bogactwo

lat temu musiał pożyczać ode mnie po dziesięć rubli na miesiąc, ażeby za to wykarmić się jak nędzarz... A teraz rzuca w błoto dziesięć tysięcy rubli, pakuje w kamienicę dziewięćdziesiąt tysięcy, robi aktorom prezenta po kilkadziesiąt rubli... Jak mi Bóg miły, nic nie rozumiem! I to niby jest pozytywista, człowiek realnie myślący... Mnie nazywają starym romantykiem, ale przecież takich głupstw nie robiłbym... No, chociaż jeżeli zabrnął w politykę...”

Na tych medytacjach upłynął mu czas do zamknięcia sklepu. Głowa go trochę bolała, więc wyszedł na spacer na Nowy Zjazd i wróciwszy do domu wcześniej spać się położył.

„Jutro — mówił do siebie — zrozumieć ostatecznie, co się święci. Jeżeli Szlangbaum kupi dom Łęckiego i da dziewięćdziesiąt tysięcy rubli, to znaczy, że go naprawdę Stach podstawił i już jest skończonym wariatem... A może też Stach nie kupuje kamienicy, może to wszystko plotki?...”

Zasnął i śniło mu się, że w oknie jakiegoś wielkiego domu widzi pannę Izabelę, do której stojący obok niego Wokulski chce biec. Na próżno zatrzymuje go pan Ignacy, aż pot oblewa mu całe ciało. Wokulski wyrywa mu się i znika w bramie kamienicy.

„Stachu, wróć się!...” — krzyczy pan Ignacy widząc, że dom poczyną się chwiać.

Jakoż dom zawala się. Panna Izabela, uśmiechnięta, wylatuje z niego jak ptak, a Wokulskiego nie widać...

„Może wbiegł na podwórkę i ocalał...” — myśli pan Ignacy i budzi się z mocnym biciem serca.

Nazajutrz pan Ignacy budzi się na kilka minut przed szóstą; przypomina sobie, że to dziś właśnie licytują kamienicę Łęckiego, że ma przypatrzeć się temu widowisku, i zrywa się z łóżka jak sprężyna. Biegnie boso do wielkiej miednicy, oblewa się całą zimną wodą i patrząc na swoje patykowate nogi mruczy:

„Zdaje mi się, że trochę utylem.”

Przy skomplikowanym procesie mycia się pan Ignacy robi dziś taki zgiełk, że budzi Ira. Brudny pudel otwiera jedyne oko, jakie mu pozostało, i snadź dostrzegłszy niezwykle ożywienie swego pana zeskakuje z kufra na podłogę. Przeciąga się, ziewa, wydłuża w tył jedną nogę, potem drugą nogę, potem na chwilę siada naprzeciw okna, za którym słychać bolesny krzyk zarzynanej kury, i zmiarkowawszy, że naprawdę nic się nie stało, wraca na swoją pościel. Jest przy tym tak ostrożny czy może rozgniewany na pana Ignacego za fałszywy alarm, że odwraca się grzbietem do pokoju, a nosem i ogonem do ściany, jak gdyby panu Ignacemu chciał powiedzieć:

„Już ja tam wolę nie widzieć twojej chudości.”

Rzecki ubiera się w okamgnieniu i z piorunującą szybkością wypija herbatę nie patrząc ani na samowar, ani na służącego, który go przyniósł. Potem biegnie do sklepu jeszcze zamkniętego, przez trzy godziny rachuje bez względu na ruch gości i rozmowy „panów” i punkt o dziesiątej mówi do Lisieckiego:

— Panie Lisiecki, wróć o drugiej...

— Koniec świata! — mruczy Lisiecki. — Musiało trafić się coś nadzwyczajnego, jeżeli ten safandula wychodzi o takiej porze do miasta...

Stanąwszy na chodniku przed sklepem pan Ignacy dostaje ataku wyrzutów sumienia.

„Co ja dziś wyrabiam?... — myśli. — Co mnie obchodzą licytacje choćby pałaców, nie tylko kamienic?...”

I waha się: czy iść do sądu, czy wracać do sklepu? W tej chwili widzi na Krakowskim przejeżdżającą dorożkę, a w niej damę wysoką, chudą i mizerną, w czarnym kostiumie. Dama właśnie patrzy na ich sklep, a Rzecki w jej zapadłych oczach i lekko posiniąłych ustach spostrzega wyraz głębokiej nienawiści.

„Dalibóg, że to baronowa Krzeszowska... — mruczy pan Ignacy. — Oczywiście, jedzie na licytację... Awantura!...”

Budzą się w nim jednak wątpliwości. Kto wie, czy baronowa jedzie do sądu; może to wszystko plotki?... „Warto sprawdzić” — myśli pan Ignacy, zapomina o swoich obowiązkach dysponenta i najstarszego subiekta i poczyną iść za dorożką. Nędzne konie wloką się tak powoli, że pan Ignacy może obserwować wehikuł na całej przestrzeni do kolumny Zygmunta. W tym miejscu dorożka skręca na lewo, a Rzecki myśli:

„Rozumie się, że jedzie baba na Miodową⁵¹⁶. Taniej kosztowałaby ją podróż na mio-

Sen

Pies

Wyrzuty sumienia

Czarownica

tle...”

Przez dom Rezlera⁵¹⁷ (który przypomina mu onegdajszą pijatykę!) i część Senatorskiej⁵¹⁸ pan Ignacy dostaje się na Miodową. Tu przechodząc około składu herbaty Nowickiego⁵¹⁹ wstępuje na chwilę, ażeby powiedzieć właścicielowi: „dzień dobry!”, i szybko ucieka, dalej mrucząc:

„Co on sobie pomyśli zobaczywszy mnie o tej godzinie na ulicy?... Naturalnie pomyśli, że jestem najpodlejszy dysponent, który zamiast siedzieć w sklepie, łajdaczy się po mieście... Oto los!...”

Przez pozostałą część drogi do sądu trapi pana Ignacego sumienie. Przybiera ono postać olbrzyma z brodą w żółtym jedwabnym kitlu i takichże spodniach, który dobrodusznie a zarazem ironicznie patrząc mu w oczy mówi:

„Powiedz mi pan, panie Rzecki, jaki to porządny kupiec wałęsa się o tej porze po mieście? Pan jesteś taki kupiec jak ja baletnik...”

I pan Ignacy czuje, że nie może nic odpowiedzieć surowemu sędziemu. Rumieni się, potnieje i już chce wracać do swoich ksiąg (w taki jednakże sposób, ażeby go zobaczył Nowicki), gdy nagle widzi przed sobą dawny pałac Paca.

„Tu będzie licytacja!” — mówi pan Ignacy i zapomina o skrupułach. Olbrzym z brodą, w żółtym jedwabnym kitlu, rozplywa się przed oczyma jego duszy jak mgła.

Rozejrzawszy się w sytuacji pan Ignacy przede wszystkim spostrzega, że do gmachu sądowego prowadzą dwie olbrzymie bramy i dwoje drzwi. Następnie widzi cztery różnej wielkości gromady starozakonnych z minami bardzo poważnymi. Pan Ignacy nie wie, dokąd iść; idzie jednak do tych drzwi, przed którymi stoi najwięcej starozakonnych, domyślając się, że tam właśnie odbywa się licytacja.

W tej chwili przed gmach sądu zajeżdża powóz, a w nim pan Łęcki. Pan Ignacy nie może pohamować czci dla jego pięknych, siwych wąsów i podziwu dla jego humoru. Pan Łęcki bowiem nie wygląda tak jak bankrut, któremu licytują kamienicę, ale jak milioner, który przyjechał do rejenta, ażeby podnieść drobną sumę stu kilkudziesięciu tysięcy rubli.

Pan Łęcki wysiada uroczyście z powozu, triumfalnym krokiem zbliża się do drzwi sądowych, a jednocześnie z drugiej strony ulicy przybiega do niego dżentelmen mający wszelakie pozory próżniaka, który jednakże jest adwokatem. Po bardzo krótkim, a nawet niedbałym powitaniu pan Łęcki pyta dżentelmena:

— Cóż?... kiedyż?...

— Za godzinkę... może trochę dłużej... — odpowiada dżentelmen.

— Wyobraź pan sobie — mówi z dobrotliwym uśmiechem pan Łęcki — że przed tygodniem jeden mój znajomy wziął dwakroć za dom⁵²⁰, który go kosztował sto pięćdziesiąt tysięcy. A że mój kosztował mnie sto tysięcy, więc powinienem wziąć w tym stosunku ze sto dwadzieścia pięć...

— Hum!... hum!... — mruczy adwokat.

— Będziesz się pan śmiał — ciągnie pan Tomasz — z tego, co powiem (bo wy lubicie żartować z przeczuć i snów), a jednak dziś śniło mi się, że mój dom poszedł za sto dwadzieścia tysięcy... Mówię to panu przed licytacją, uważasz?... Za parę godzin przekonasz się, że nie należy śmiać się ze snów... Są rzeczy na niebie i ziemi...

— Hum!... hum!... — odpowiada adwokat i obaj panowie wchodzą w pierwsze drzwi gmachu.

„Chwała Bogu! — myślał pan Ignacy. — Jeżeli Łęcki weźmie sto dwadzieścia tysięcy za swój dom, to znaczy, że Stach nie zapłaci za niego dziewięćdziesięciu tysięcy rubli.”

⁵¹⁶Miodowa — przy ul. Miodowej (która wówczas zaczynała się przy ul. Senatorskiej; przedłużenie Miodowej do Krakowskiego Przedmieścia nastąpiło pod koniec roku 1887) w dawnym pałacu Paca mieścił się od r. 1875 Sąd Okręgowy. (Nazwa od gen. Ludwika Paca, który przebudował go w r. 1823; pałac wypalony w r. 1944 jest obecnie całkowicie odbudowany. Mieścił się tu Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej).

⁵¹⁷dom Rezlera (właściwie Roeslera) — dom przechodni z Krakowskiego Przedmieścia na ul. Senatorską; wybudowany w w. XVIII; znajdowała się w nim stara restauracja. (Zniszczony w czasie wojny, obecnie Krakowskie Przedmieście nr 79).

⁵¹⁸Senatorska — ulica wiodąca z placu Zamkowego na plac Bankowy; w czasie wojny była bardzo zniszczona, obecnie odbudowana.

⁵¹⁹skład herbaty Nowickiego — handel win zagranicznych i towarów kolonialnych Wł.F. Nowickiego przy ul. Miodowej. (Starszy subiekt w sklepie Nowickiego, Bolesław Morski, był podobno pierwowzorem Rzeckiego).

⁵²⁰wziął dwakroć za dom — tj. dwieście tysięcy rubli.

Warszawa

Wyrzuty sumienia

Żyd

Pozory

Przecucie, Sen, Śmiech

Wtem ktoś lekko dotyka jego ramienia. Pan Ignacy ogląda się i widzi za sobą starego Szlangbauma.

— Czy może pan mnie szuka? — pyta sędziwy Żyd, bystro patrząc mu w oczy.

— Nie, nie... — odpowiada zmieszany pan Ignacy.

— Pan nie ma do mnie żaden interes?... — powtarza Szlangbaum mrugając czerwonymi powiekami.

— Nie, nie...

— Git! — mruczy Szlangbaum i odchodzi między swoich współwyznawców.

Panu Ignacemu robi się zimno: obecność Szlangbauma w tym miejscu budzi w nim nowe podejrzenie. Aby je rozprościć, pan Ignacy pyta stojącego przy drzwiach woźnego, gdzie odbywają się licytacje. Woźny wskazuje mu schody.

Pan Ignacy biegnie na górę i wpada do jednej sali. Uderza go tłum starozakonnych, słuchających z największym skupieniem jakiejś mowy. Rzecki poznaje, że w tej chwili toczy się tu sprawa przed sądem, że przemawia prokurator i że chodzi o grube oszustwo. W sali jest duszno; mowę prokuratora tłumi nieco hałas dorożek. Sędziowie wyglądają, jakby drzemali, adwokat ziewa, oskarżony ma minę, jakby chciał oszukać sąd najwyższej instancji, starozakonni przypatrują mu się ze współczuciem, a oskarżenia słuchają z uwagą. Niektórzy przy każdym silniejszym zarzucie prokuratora krzywią się i syczą: „aj-waj!...”

Pan Ignacy opuszcza salę; nie dla tej sprawy tu przyszedł.

Znalazłszy się w przedsionku, pan Ignacy chce iść na drugie piętro; jednocześnie omija go schodząca stamtąd baronowa Krzeszowska w towarzystwie mężczyzny, który ma powierzchowność znudzonego nauczyciela języków starożytnych. Jest to jednak adwokat, o czym świadczy srebrny znaczek przypięty do kłapy bardzo wytartego fraka; szaraczkowe⁵²¹ zaś spodnie kapłana sprawiedliwości są na kolanach tak wytłoczone, jak gdyby ich właściciel, zamiast bronić swoich klientów, nieustannie oświadczał się bogini Temidzie.

— Więc jeżeli dopiero za godzinę — mówi jęklwym głosem pani Krzeszowska — w takim razie pójdę teraz do Kapucynów⁵²²... Nie sądzi pan...

— Nie sądzę, ażeby wizyta pani u Kapucynów wpłynęła na przebieg licytacji — odpowiada znudzony adwokat.

— Gdyby jednak pan mecenas szczerze chciał, gdyby pobiegał...

Mecenas w wytłoczonych spodniach niecierpliwie potrząsa ręką.

— Ach, pani dobrodziejko — mówi — ja już tyle nabiegałem się w sprawie tej licytacji, że choćby dzisiaj należy mi się spoczynek. W dodatku mam za kilka minut urzędówkę⁵²³ o zabójstwo... Widzi pani te piękne damy?... Wszystkie idą słuchać mojej obrony... Efektowna sprawa!...

— Więc pan mecenas opuszcza mnie? — wykrzykuje baronowa.

— Ależ będę... będę na sali — przerywa jej adwokat — będę przy licytacji, tylko niech mi pani zostawi choć parę minut do pomyślenia o moim zabójcy...

I wpada w otwarte drzwi, nakazując woźnemu, ażeby nikogo nie wpuszczał.

— O Boże! — mówi baronowa na cały głos — nędzny zabójca ma obrońcę, ale biedna, samotna kobieta na próżno szuka człowieka, który by ujął się za jej honorem, za jej spokojem, za jej mieniem...

Ponieważ pan Ignacy nie chce być tym człowiekiem, więc spieszenie ucieka na dół, potrącając młode, piękne i eleganckie kobiety, które przypędziła tu żądza wysłuchania sławnego procesu o zabójstwo. To lepsze aniżeli teatr; aktorzy bowiem urzędowego widowiska grają jeżeli nie lepiej, to z pewnością realniej od dramatycznych.

Na schodach wciąż rozlegają się lamentacje pani Krzeszowskiej i śmiechy młodych, pięknych i eleganckich kobiet, śpieszących na oglądanie zabójcy, pokrwawionej odzieży, siekiery, którą zabił swoją ofiarę, i spoconych sędziów. Pan Ignacy ucieka z sieni aż na drugą stronę ulicy; na rogu Kapitulnej i Miodowej wpada do cukierni i kryje się w tak ciemnym kącie, w którym nie mogłaby już poznać go nawet pani Krzeszowska.

⁵²¹szaraczkowy — zrobiony z szaraczek, płótna albo sukna szarej barwy.

⁵²²pójdę teraz do Kapucynów — mowa o kościele Kapucynów (z XVII w., fundacji króla Jana III Sobieskiego), sąsiadującym z pałacem Pacy.

⁵²³urzędówka — obrona prowadzona z urzędu.

Sąd

Prawnik

Kobieta

Sąd, Teatr

Każe sobie podać filiżankę pienistej czekolady, zasłania się podartą gazetą i widzi, że w tym małym pokoiku znajduje się drugi, jeszcze ciemniejszy kąt, w którym mieści się pewien okazały tusz jegomość i jakiś zgarbiony Żyd. Pan Ignacy myśli, że okazały jegomość jest co najmniej hrabią i właścicielem wielkich dóbr na Ukrainie, a Żyd jego faktorem; tymczasem zaś słucha toczącej się między nimi rozmowy.

Panie dobrodziej — mówi zgarbiony Żyd — żeby nie to, że pana dobrodziej nikt nie zna w Warszawie, to ja bym panu za ten interes nie dał nawet dziesięć rubli. A tak zarobi pan dobrodziej dwadzieścia pięć...

— I wystoję się z godzinę w dusznej sali! — odmrakuje jegomość.

— Prawda — ciągnie dalej Żyd — że w naszym wieku ciężko stoć, no, ale takie pieniądze to też nie chodzą piechotą... A jaką pan będzie miał reputację, kiedy się dowiedzą, że pan dobrodziej chciał kupić kamienicę za osiemdziesiąt tysięcy rubli?...

— Niech będzie. Ale dwadzieścia pięć rubli gotówką na stół...

— Niech Bóg zabroni! — odpowiada Żyd. — Pan dobrodziej dostanie do ręki pięć rubli, a dwadzieścia pójdzie na dług tego nieszczęśliwego Seliga Kupferman, co już przez dwa lata grosza od pana nie widział, choć ma wyrok.

Okazały pan uderza ręką w stół marmurowy i chce wychodzić. Zgarbiony Żyd chwytając go za połę surduta, znowu sadza na krześle i ofiaruje sześć rubli gotówką.

Po kilkuminutowym targu strony godzą się na osiem rubli, z których siedem będą wypłacone po licytacji, a rubel natychmiast. Żyd opiera się, ale majestatyczny pan jednym argumentem rozcina jego wahania:

— Przecież, do diabła, muszę oddać za herbatę i ciastka!

Żyd wdycha, z zatłuszczonej portmonetki wydobywa najbardziej podarty papierek i wyprostowawszy go kładzie na marmurowym stole. Następnie wstaje i leniwie opuszcza ciemny pokój, a pan Ignacy przez dziurkę gazety poznaje w nim starego Szlangbauma.

Pan Ignacy spiesznie dopija czekoladę i ucieka z cukierni na ulicę. Już obrzydła mu licytacja, której ma pełne uszy i pełną głowę. Chce w jakiś sposób przepędzić zbywający mu czas i spostrzegłszy otwarty kościół Kapucynów kieruje się do niego będąc pewnym, że w świątyni znajdzie spokój, przyjemny chłodek, a nade wszystko, że tam przynajmniej nie usłyszy o licytacji.

Wchodzi do kościoła i istotnie znajduje ciszę i chłód, a nadto nieboszczyka na katafalku otoczonego świecami, które się jeszcze nie palą, i kwiatami, które już nie pachną. Od pewnego czasu pan Ignacy nie lubi widoku trumny, więc skręca na lewo i widzi kłęzącą — na posadzce w czarnym stroju kobietę. Jest to baronowa Krzeszowska, kornie zgięta ku ziemi; bije się w piersi i co chwilę podnosi chustkę do oczu.

„Jestem pewny, iż modli się o to, ażeby dom Łęckiego poszedł za sześćdziesiąt tysięcy rubli” — myśli pan Ignacy. Lecz że i widok pani Krzeszowskiej nie wydaje mu się pojętym, więc cofa się na palcach i przechodzi na prawą stronę kościoła.

Tu znajduje się tylko parę kobiet: jedna półgłosem odmawia różaniec, druga śpi. Zresztą nikogo więcej, tylko spoza filaru wychyla się średniego wzrostu mężczyzna, energicznie wyprostowany, pomimo siwych włosów, i szepczący modlitwę z zadartą głową.

Rzecki poznaje w nim pana Łęckiego i myśli:

„Jestem pewny, że ten prosi Boga, ażeby jego dom poszedł za sto dwadzieścia tysięcy rubli...”

Potem spiesznie opuszcza kościół zastanawiając się, w jaki też sposób dobry Bóg zadowolni⁵²⁴ sprzeczne żądania pani baronowej Krzeszowskiej i pana Tomasza Łęckiego?

Nie znalazłszy, czego szukał, ani w cukierni, ani w kościele, pan Ignacy zaczyna spacerować po ulicy, niedaleko sądowego gmachu. Jest bardzo zmieszany; zdaje mu się, że każdy przechodzień patrzy mu drwiąco w oczy, jakby mówił: „Nie wolałbyś to, stary łobuzie, pilnować sklepu?”, i że z każdej dorożki wyskoczy który z „panów” donosząc mu, że sklep spalił się lub zawalił. Więc znowu myśli: czyby nie lepiej było dać za wygraną licytacji, a wrócić do swoich ksiąg i kantorka, gdy nagle słyszy rozpaczliwy krzyk.

To jakiś Żydek wychylił się przez okno sali sądowej i coś wrzasnął do gromady swoich współwynawców, którzy na to hasło rzucili się do drzwi tłocząc się, potrącając spokojnych przechodniów i tupiąc niecierpliwie nogami jak spłoszone stado owiec w ciasnej owczarni.

Interes

Pieniądz

Modlitwa

Modlitwa

⁵²⁴zadowolni — dziś: zadowolili.

„Aha, już zaczęła się licytacja!...” — mówi do siebie pan Ignacy idąc za nimi na górę.

W tej chwili czuje, że ktoś pochwycił go z tyłu za ramię, i odwróciwszy głowę widzi owego majestatycznego pana, który od Szlangbauma dostał w cukierni rubla zadatku. Okazały pan widocznie bardzo się śpieszy, gdyż obu pięściami toruje sobie drogę pośród zbitej masy ciał starozakonnych wołając:

— Na bok, parchy, kiedy ja idę na licytację!...

Żydzi wbrew swoim zwyczajom usuwają się i patrzą na niego z podziwem.

— Jakże on musi mieć pieniądze! — mruczy jeden z nich do swego sąsiada.

Pan Ignacy, który jest nieskończenie mniej śmiały niż okazały jegomość, zamiast pchać się jak on, zdaje się na łaskę i niełaskę losu. Prąd starozakonnych ogarnia go ze wszystkich stron. Przed sobą widzi zatłuszczony kołnierz, brudny szalik i jeszcze brudniejszą szyję; za sobą czuje zapach świeżej cebuli; z prawej strony jakaś szpakowata broda opiera mu się na obojczyku, a z lewej silny łokieć uciska mu rękę aż do ścierpięcia.

Gniotą go, popychają, szarpiają za odzież. Ktoś chwyta go za nogi, ktoś sięga do kieszeni, ktoś uderza go między łopatki. Nadchodzi chwila, w której pan Ignacy sądzi, że połamię mu klatkę piersiową. Podnosi oczy do nieba i widzi, że jest we drzwiach. Już, już... zaduszą go... Nagle czuje przed sobą puste miejsce, uderza głową w czyjeś wdzięki, nie dosyć starannie zasłonięte połą surduta, i — jest w sali.

Odetchnął... Za nim rozlegają się krzyki i wymyślenia licytantów, a od czasu do czasu upomnienia woźnego:

— Czego panowie tak się tłoczą... Cóż to, panowie są bydło czy co?...

„Nie wiedziałem, że tak trudno dostać się na licytację!...” — wzdycha pan Ignacy.

Mija dwie sale, tak puste, że nie widać w nich ani krzesła na podłodze, ani gwoźdźnia w ścianie. Sale te tworzą przysionek jednego z wydziałów sprawiedliwości, lecz są widne i wesołe. Przez otwarte okna wlewają się tu potoki słonecznych blasków i gorący lipcowy wiatr nasycony warszawskimi pyłami. Pan Ignacy słyszy świegot wróbli i nieustanny turkot dorożek i doznaje dziwnego uczucia dysharmonii.

„Czy podobna — mówi — ażeby sąd wyglądał tak pusto jak niewynajęte mieszkanie i — tak wesoło?...”

Zdaje mu się, że zakratowane okna i szare ściany, połyskujące wilgocią, a obwieszane kajdanami, nierównie lepiej odpowiadałyby sali, w której skazują ludzi na wieczne lub doczesne więzienia.

Ale otóż i sala główna, do której biegną wszyscy starozakonni i gdzie skupia się cały interes licytacji. Jest to pokój tak rozległy, że można by w nim tańczyć we czterdzieści par mazura, gdyby nie niska bariera, która dzieli go na dwie części: cywilną i licytacyjną. W części cywilnej znajduje się kilka wypłatanych kanap, w części licytacyjnej — estrada, a na niej duży stół, mający formę rogała pokrytego zielonym suknem. Za stołem spozstrzega pan Ignacy trzech dygnitarzów mających łańcuchy na szyi i senatorską powagę na obliczach; są to komornicy. Na stole przed każdym dygnitarzem leży stos papierów reprezentujących wystawione na sprzedaż nieruchomości. Zaś między stołem i barierą, tudzież przed barierą, tłoczy się ciżba interesantów. Wszyscy oni mają zadarte głowy i patrzą na komorników ze skupieniem ducha, którego mogliby im pozazdrościć natchnieni asceci przypatrujący się świętym wizjom.

W sali pomimo otwartych okien unosi się woń środkująca między zapachem hiacyntu i starego kitu. Pan Ignacy domyśla się, że jest to woń chałatów⁵²⁵.

Wyjawszy turkotu⁵²⁶ dorożek, w sali jest dosyć cicho. Komornicy milczą, zatopieni w swoich aktach, licytanci również milczą, zapatrzeni w komorników; reszta zaś publiczności, zebrana w cywilnej połowie izby i podzielona na grupy, wprawdzie szmerze, ale po cichu. Nie mają interesu, ażeby ich słyszano.

Tym więc głośniejsze rozlega się jęk baronowej Krzeszowskiej, która trzymając swego adwokata za kłapy fraka mówi z gorączkowym pośpiechem:

— Błagam pana, nie odchodź... No... dam panu wszystko, co zechcesz...

— Tylko, pani baronowo, bez żadnych pogroźek! — odpowiada adwokat.

⁵²⁵chałat — długa męska kapota noszona przez Żydów.

⁵²⁶Wyjawszy turkotu — oprócz turkotu; dziś: z Biernikiem, wyjawszy turkot.

— Ja przecież nie grożę, ale nie opuszczaj mnie pan!... — deklamuje z prawdziwym uczuciem baronowa.

— Przyjdę na licytację, ależ teraz muszę iść do mego zabójcy...

— Tak!... więc nędzny morderca więcej budzi w panu współczucia aniżeli opuszczona kobieta, której mienie, honor, spokój...

Nagabany⁵²⁷ adwokat ucieka tak szybko, że jego spodnie wydają się jeszcze bardziej wytłoczonymi na kolanach, aniżeli są w istocie. Baronowa chce za nim biec, lecz w tej chwili pada w objęcia jakiegoś jegomości, który używa bardzo szafirowych okularów i ma fizjognomię zakrystiana.

— O co pani chodzi, droga pani? — mówi słodko jegomość w szafirowych okularach. — Żaden adwokat nie podbije pani ceny domu... to ja jeżdżę od tego... Desz pani jeden procent od każdego tysiąca rubli wyżej nad sumę początkową i dwadzieścia rubelków na koszt...

Baronowa Krzeszowska odskakuje od niego i wygiąwszy się w tył jak artystka grająca tragiczną rolę odpowiada mu jednym tylko wyrazem:

— Szatanie!...

Jegomość w okularach poznaje, że źle trafił, i cofa się skonsternowany. Jednocześnie zabiega mu drogę inny jegomość, mający minę skończonego łajdaka, i coś mu szepcze przez kilka minut, z bardzo ożywioną gestykulacją. Pan Ignacy jest pewny, że ci dwaj panowie pobiją się; oni jednak rozchodzą się bardzo spokojnie, a jegomość z miną łajdaka zbliża się do baronowej Krzeszowskiej i mówi półgłosem:

— Jeżeli pani baronowa coś zaryzykuje, możemy nie dopuścić nawet do siedemdziesięciu tysięcy rubli.

— Zbawco!... — woła baronowa. — Widzisz przed sobą kobietę skrzywdzoną i samotną, której mienie, honor i spokój...

— Co mi tam honor — mówi jegomość z łajdacką fizjognomią. — Da pani dziesięć rubli zadatku?

Odchodzą oboje w najdalszy kąt sali i przed oczyma pana Ignacego kryją się za grupą starozakonnych. W tej grupie znajduje się stary Szlangbaum i młody Żydek bez zarostu, tak błądy i wycieńczony, że pan Ignacy sądzi, iż bardzo niedawno musiał wstąpić w związki małżeńskie. Stary Szlangbaum coś wyklada wycieńczonemu Żydowi, któremu coraz więcej baranieją oczy; co by mu jednak wykladał? Pan Ignacy nie może się domyśleć.

Odwraca się więc w drugą stronę sali i spostrzega o parę kroków od siebie pana Łęckiego z jego adwokatem, który widocznie nudzi się i chciałby gdzieś iść.

— Gdyby choć sto piętnaście... no — sto dziesięć tysięcy!... — mówi pan Łęcki. — Przecież pan adwokat musisz znać jakie sposoby...

— Hum!... hum!... — mówi adwokat, tęsknie spoglądając na drzwi. — Pan żąda zbyt wysokiej ceny... Sto dwadzieścia tysięcy za dom, za który dawano sześćdziesiąt...

— Ależ, panie, on kosztował mnie sto tysięcy...

— Tak... Hum!... hum!... Trochę pan przeplacił...

— Ja też — przerywa mu pan Łęcki — żądam tylko stu dziesięciu... I zdaje mi się, że kiedy jak kiedy, ale w tym razie powinien by mi pan adwokat dopomóc... Są przecież jakieś sposoby, których ja nie znam nie będąc prawnikiem...

— Hum!... hum!... — mruczy adwokat. Na szczęście, jeden z kolegów (odziany również we frak ze srebrnym znaczkiem) wywołuje go z sali; w minutę zaś później zbliża się do pana Łęckiego jegomość w szafirowych okularach, z miną zakrystiana, i mówi:

— O co panu chodzi, panie hrabio?... Żaden adwokat nie podbije panu ceny domu... Od tego ja jeżdżę... Desz pan hrabia dwadzieścia rubli na koszt i jeden procent od każdego tysiąca nad sześćdziesiąt tysięcy...

Pan Łęcki patrzy na zakrystiana z wielką pogardą; kładzie nawet obie ręce w kieszenie spodni (co jemu samemu wydaje się dziwnym) i mówi:

— Dam jeden procent od każdego tysiąca wyżej nad sto dwadzieścia tysięcy rubli...

Zakrystian w szafirowych okularach kłania się, poruszając przy tym lewą łopatką, i odpowiada:

— Przepreszem pana hrabiego...

Handel

Handel

⁵²⁷ *nagabany* — dziś: *nagabywany*; *nękan*y, *zaczepiany*.

— Stój! — przerywa pan Łęcki. — Wyżej nad sto dziesięć...
 — Przeprzeszem.
 — Nad sto.
 — Przeprzeszem.
 — Niech was pioruny!... Więc ile chcesz?...

— Jeden procencik od sumy wyższej nad siedemdziesiąt i dwadzieścia rubelków na koszt... — mówi kłaniając się do ziemi zakrystian.
 — Dziesięć rubli weźmiesz? — pyta fiołkowy z gniewu pan Łęcki.
 — Ja i rubelkiem nie pogardzę...

Pan Łęcki wydobywa wspaniałą pugilares, z niego cały pęk szeleszczących dziesięciorublówek i jedną z nich daje zakrystianowi, który schyla się do ziemi.
 — Zobacz jasnie wielmożny pan... — szepcze zakrystian.

Obok pana Ignacego stoi dwóch Żydów: jeden wysoki, śniady, z brodą tak czarną, że wpada w kolor granatowy, drugi łysy, z tak długimi faworytami, że walają mu klapy surduta. Dżentelmen z faworytami na widok dziesięciorublówek pana Łęckiego uśmiecha się i mówi półgłosem do pięknego bruneta:

— Pan wydysz te pyniądze u ten szlachcic... Pan słyszysz, jak ony klaskają?... Ony tak czeszą szę, że mnie widzą... Pan to rozumysz, panie Cynader?...

— Łęcki jest pański klient? — pyta piękny brunet.
 — Dlaczego on nie ma być mój?
 — Co on ma? — mówi brunet.
 — On ma... on ma — szostre w Krakowie, która, rozumysz pan, zapysała dla jego córki...

— A jeżeli ona nic nie zapisała?...

Dżentelmen z faworytami na chwilę tropi się.
 — Tylko mi pan nie mów takie głupie gadanie!... Dlaczego szostra z Krakowa nie ma im zapysać, kiedy ona jest chora?...

— Ja nic nie wiem — odpowiada piękny brunet. (Pan Ignacy przyznaje w duchu, że tak pięknego mężczyzny nigdy jeszcze nie widział.)

— Ale on ma córkę, panie Cynader... — mówi niespokojnie właściciel bujnych faworytów. — Pan zna jego córkę, tę pannę Izabelę, panie Cynader?... Ja sam dałbym jej, no bez targu, sto rubli...

— Ja bym dał sto pięćdziesiąt — mówi piękny brunet — ale swoją drogą Łęcki to niepewny interes.

— Niepewny?... A pan Wokulski to co?...

— Pan Wokulski, no... to jest wielki interes — odpowiada brunet. — Ale ona jest głupia i Łęcki jest głupi, i oni wszyscy są głupi. I oni zgubią tego Wokulskiego, a on im nie da rady...

Panu Ignacemu pociemniało w oczach.
 „Jezus, Maria! — szepcze. — Więc już nawet przy licytacjach mówią o Wokulskim i o niej... I jeszcze przewidują, że go zgubi... Jezus! Maria!...”

Około stołu zajętego przez komorników robi się mały zamęt; wszyscy widzowie pchają się w tamtym kierunku. Stary Szlangbaum również zbliża się do stołu, a po drodze kiwa na zniszczonego Żydkę i nieznacznie mruga na okazalego pana, z którym niedawno rozmawiał w cukierni.

Współcześnie wbiega adwokat pani Krzeszowskiej, nie patrząc na nią zajmuje miejsce przed stołem i mruczy do komornika:

— Prędej, panie, prędej, bo dalibóg! nie ma czasu...

W kilka zaś minut po adwokacie wchodzi do sali nowa grupa osób. Jest tam para małżonków należących, zdaje się, do profesji rzeźniczej, jest stara dama z kilkunastoletnim wnukiem i dwu panów: jeden czerstwy i siwy, drugi kędzierzawy, wyglądający na suchotnika.

Obaj mają potulne fizjognomie i podniszczone odzienia, lecz na ich widok Żydzi poczynają szemrać i pokazywać palcami z wyrazem podziwu i szacunku. Obaj stają tak blisko pana Ignacego, że ten mimo woli musi wysłuchać rad, jakich siwy jegomość udziela kędzierzawemu:

Żyd

Głupiec, Głupota

— Rób, mówię tobie, Ksawery, jak ja. Ja nie śpieszę się, jak Boga kocham. Już trzy lata, mówię tobie, chcę kupić niewielki domik⁵²⁸, ot taki sobie za sto, za dwieście tysięcy, na stare lata, ale nie śpieszę się. Wyczytuję ja sobie, które chaty idą na licytację, oglądam ja ich sobie powoli, kalkuluję ja sobie w głowie, a potem zachodzę ja sobie tu i słucham, co ludzie dają. I kiedy, mówię tobie, już nabrałem doświadczenia i w tym roku chciałem już co kupić, ceny jak raz w niepraktykowany sposób skoczyły, psiakrew, i muszę na nowo kalkulować!... Ale jak we dwu pocznem się przysłuchiwać, to mówię tobie, ubijemy interes...

— Czycho!... — zawołano od stołu.

W sali ucichło, a pan Ignacy słucha opisu kamienicy położonej tu i tu, mającej trzy oficyny i trzy piętra, plac, ogród itd. W trakcie tego ważnego aktu pan Łęcki robi się na przemian błydy i fiołowy, a pani Krzeszowska co chwilę podnosi do nosa kryształowy flakonik w złotej oprawie.

— Znam ten dom! — wykrzykuje nagle jegomość w szafirowych okularach z miną zakrystiana. — Znam ten dom!... Z zamkniętymi oczami wart sto dwadzieścia tysięcy rubli...

— Co pan zawracasz! — odzywa się stojący obok baronowej Krzeszowskiej pan z fizjognomią łajdaka. — Co to za dom?... Rudera... trupiarnia!...

Pan Łęcki robi się bardzo fiołowy. Kiwa na zakrystiana i pyta go szeptem:

— Kto jest tamten łotr?

— Tamten?... — pyta zakrystian. — To szubrawczyzna!... Niech pan hrabia nie zważa na niego... — I mówi na cały głos: — Słowo honoru, za ten dom śmiało można dać sto trzydzieści tysięcy...

— Kto jest ten nikczemnik? — pyta baronowa jegomością z łajdacką miną. — Kto jest ten w niebieskich okularach?...

— Tamten?... — odpowiada zapytany. — To znany szubrawiec... niedawno siedział na Pawiaku⁵²⁹... Niech pani na niego nie zważa... Plunąć nie warto...

— Cicho tam!... — woła urzędowy głos od stołu.

Zakrystian mruga na pana Łęckiego uśmiechając się familiarnie i pcha się do stołu między licytantów. Jest ich czterech: adwokat baronowej, okazały pan, stary Szlangbaum i zniszczony Żydek, obok którego staje zakrystian.

— Sześćdziesiąt tysięcy i pięćset rubli — mówi cicho adwokat pani Krzeszowskiej.

— Dalibóg! więcej nie warto... — wtrąca jegomość z miną łajdaka.

Baronowa triumfalnie spogląda na pana Łęckiego.

— Sześćdziesiąt pięć... — odzywa się majestatyczny pan.

— Sześćdziesiąt pięć tysięcy i sto rubli — bełkocze błydy Żydek.

— Sześćdziesiąt sześć... — dodaje Szlangbaum.

— Siedemdziesiąt tysięcy! — wrzeszczy zakrystian.

— Ach! ach! ach!... — wybucha płaczem baronowa upadając na wyplataną kanapkę. Jej adwokat szybko odchodzi od stołu i biegnie bronić zabójcy.

— Siedemdziesiąt pięć tysięcy!... — woła okazały pan.

— Umieram!... — jęczy baronowa.

W sali robi się ruch. Stary Litwin chwytą pod rękę baronową, którą odbiera mu Maruszewicz, nie wiadomo skąd przybyły na ten uroczysty wypadek. Zanosząca się od płaczu baronowa, wsparta na Maruszewiczu, opuszcza salę złorzeczając przy tym swemu adwokatowi, sędowi, licytantom i komornikom. Pan Łęcki błado uśmiecha się, a tymczasem zniszczony Żydek mówi:

— Osiemdziesiąt tysięcy i sto rubli...

— Osiemdziesiąt pięć... — wtrąca Szlangbaum.

Pan Łęcki cały zamienia się we wzrok i słuch. Wzrokiem dostrzega już tylko trzech licytantów, a słuchem chwytą wyrazy otyłego pana:

— Osiemdziesiąt osiem tysięcy...

— Osiemdziesiąt osiem i sto rubli — mówi mizerny Żydek.

⁵²⁸domik — zamiast domek. Mówi to jakiś szlachcic litewski. W jego wypowiedziach odzwierciedlają się pewne cechy dialektu kresowego, będące wynikiem oddziaływania języka rosyjskiego („domik”, nadużywanie zaimka osobowego).

⁵²⁹Pawiak — znane więzienie w Warszawie (nazwa od ul. Pawiej, przy której więzienie się znajdowało).

— Niech będzie dziewięćdziesiąt — kończy stary Szlangbaum uderzając ręką w stół.
 — Dziewięćdziesiąt tysięcy — mówi komornik — po raz pierwszy...
 Pan Łęcki zapomniawszy o etykiecie pochyla się do zakrystiana i szepcze mu:
 — Licytuj że pan!...
 — Co się pan tak skrobiesz?... — pyta zakrystian zniszczonego Żydka.
 — A co się pan rozbijasz? — odzywa się do zakrystiana drugi komornik. — Kupisz pan dom czy co?... Wynos się pan!...
 — Dziewięćdziesiąt tysięcy po raz drugi!... — woła komornik.
 Pan Łęcki robi się szary na twarzy.
 — Dziewięćdziesiąt tysięcy rubli po raz... trzeci!... — powtarza komornik i uderza małym młotkiem o zielone sukno.
 — Szlangbaum kupi!... — odzywa się jakiś głos na sali.
 Pan Łęcki toczy dokoła błędnym wzrokiem i teraz dopiero spostrzega swego adwokata.
 — A, panie mecenasie — mówi drżącym głosem — tak się nie godzi!...
 — Co się nie godzi?...
 — Nie godzi się... to jest nieuczciwie!... — powtarza wzburzony pan Łęcki.
 — Co się nie godzi?... — odpowiada już nieco podrażniony adwokat. — Po spłaceniu hipotecznych długów zyskuje pan trzydzieści tysięcy rubli...
 — Ale mnie ten dom kosztował sto tysięcy, a mógł być pójsć, gdyby lepiej pilnowano... za sto dwadzieścia tysięcy...
 — Tak — potwierdza zakrystian — dom wart ze sto dwadzieścia tysięcy...
 — O!... słyszy pan, panie mecenasie?... — mówi pan Łęcki. — Gdyby się dopilnowano...
 — Ależ, panie, proszę mi nie mówić impertynencyj!... Słucha pan rad pokątnych doradców, łotrów z Pawiaka...
 — O, bardzo proszę... — odpowiada obrażony zakrystian. — Nie każdy jest łotrem, kto siedział na Pawiaku... A co do udzielania rad...
 — Tak... dom był wart sto dwadzieścia tysięcy!... — odzywa się całkiem nieoczekiwanie sprzymierzeniec w osobie jegomościa z łajdacką miną.
 Pan Łęcki patrzy na niego szklanymi oczyma, ale jeszcze nie może zorientować się w sytuacji. Nie żegna się z adwokatem, nakłada w sali kapelusz i wychodząc mruczy:
 „Straciłem przez Żydów i adwokatów ze trzydzieści tysięcy rubli... Można było dostać sto dwadzieścia tysięcy...”
 I stary Szlangbaum już wychodzi; wtem zastępuje mu drogę pan Cynader, ów piękny brunet, któremu równego nigdy nie widział pan Ignacy.
 — Co to pan za interesa robi, panie Szlangbaum? — mówi piękny brunet. — Ten dom można było kupić za siedemdziesiąt jeden tysięcy. On dziś więcej niewart...
 — Dla jednego niewart, dla drugiego wart; ja zawsze robię tylko dobre interesa — odpowiada zamyślony Szlangbaum.
 Nareszcie i Rzecki opuszcza salę, w której odbywa się inna licytacja i gromadzi się nowa publiczność. Pan Ignacy z wolna schodzi ze schodów i myśli:
 „A więc dom kupił Szlangbaum, i to za dziewięćdziesiąt tysięcy, jak przepowiedział Klejn. No, ależ Szlangbaum to przecie nie Wokulski... Stach nie zrobiłby takiego głupstwa... Nie!... I z tą panną Izabelą farsa, plotki...”

XIX. PIERWSZE OSTRZEŻENIE

Była pierwsza w południe, kiedy pan Ignacy zbliżał się do sklepu, zawstydzony i niespokojny. Jak można zmarnować tyle czasu... w porze największego ruchu interesantów?... A nuż w dodatku stało się jakie nieszczęście?... I co za satysfakcja włóczyć się po ulicach w upał, wśród kurzu i zapachu prażonych asfaltów!...

Istotnie, dzień był wyjątkowo gorący i jaskrawy: chodniki i kamienie ziały żarem, blaszanych szyldów ani latarniowych słupów nie można było dotknąć ręką, a z nadmiaru światła panu Ignacemu zachodziły łzami oczy i czarne płatki zasłaniały mu pole widzenia.

„Gdybym był Panem Bogiem — myślał — połowę lipcowych upałów zachowałbym na grudzień...”

Czas, Wyrzuty sumienia

Lato

Nagle spojrzął na wystawę sklepową (właśnie mijał okna) i osłupiał. Wystawa już drugi tydzień nie odnowiona!... Te same brązy, majoliki, wachlarze, te same neseserki, rękawiczki, parasole i zabawki!... Czy widział kto podobne zgorszenie?

„Ależ ja jestem podły człowiek! — mruknął do siebie. — Onegdaj spiłem się, dziś włóczę się... Diabli wezmą budę, jak amen w pacierzu...”

Ledwie wszedł do sklepu, niepewny, co mu więcej ciąży: serce czy nogi? — gdy w tej chwili porwał go Mraczewski. Już był ostrzyżony na sposób warszawski, uczesany i uperfumowany jak dawniej i przez amatorstwo obsługiwał przychodzących gości, sam będąc gościem, jeszcze z tak dalekich okolic. Miejscowi panowie nie mogli wyjść z podziwu.

— A bój się pan Boga, panie Ignacy — zawołał — trzy godziny czekam na pana! Wyście tu wszyscy głowy potracili...

Wziął go pod ramię i nie zważając na paru obecnych gości, którzy ze zdumieniem patrzyli na nich, pędem zaciągnął Rzeckiego do gabinetu, gdzie stała kasa.

Tu osiwiatego w swoim zawodzie subiekta pchnął na twardy fotel i stanawszy przed nim z załamanymi rękoma, jak zrozpaczony Germont przed Violetta⁵³⁰, rzekł:

— Wiesz pan co... Wiedziałem, że po moim wyjeździe stąd interes się rozprzęgnie; ale nie przypuszczałem, że tak prędko... No, bo że pan nie siedzisz w sklepie, mniejsza: dziury nie będzie. Ale jakie tam stary głupstwa wyrabia, to przecie skandal!...

Zdawało się, że panu Ignacemu brwi posuną się ze zdziwienia na wierzch czoła.

— Przepraszam!... — zawołał podnosząc się z fotelu.

Ale Mraczewski zmusił go do siedzenia.

— Przepra...

— Już tylko niech się pan nie odzywa! — przerwał mu pachnący młody człowiek. — Pan wie, co się dzieje?... Suzin dziś na noc jedzie do Berlina zobaczyć Bismarcka, a potem — do Paryża na wystawę. Koniecznie, słyszy pan?... koniecznie namawia Wokulskiego, ażeby z nim jechał. I ten dur...

— Panie Mraczewski!... Kto pana ośmielił...

— Ja już z natury jestem śmiały, a Wokulski wariat!... Dziś dopiero dowiedziałem się prawdy... Pan wie, ile stary mógłby zarobić na tym interesie w Paryżu z Suzinem?... Nie dziesięć, ale pięćdziesiąt tysięcy... rubli, panie Rzecki!... I ten osioł nie tylko że nie chce dziś jechać, ale jeszcze mówi, że — nie wie, kiedy pojedzie. On nie wie, a Suzin może czekać z tą sprawą najwyżej kilka dni.

— Cóż Suzin?... — cicho spytał naprawdę zmieszany pan Ignacy.

— Suzin?... Jest zły, a co gorsza — rozżalony. Mówi, że Stanisław Piotrowicz już nie ten, co był, że gardzi nim... słowem, awantura!... Pięćdziesiąt tysięcy rubli zysku i darmo podróż. No, niech pan sam powie, czy w tych warunkach nawet święty Stanisław Kostka nie pojechałby do Paryża?...

— Z pewnością! — mruknął pan Ignacy. — Gdzież Stach... to jest pan Wokulski? — dodał podnosząc się z fotelu.

— Jest w pańskim mieszkaniu i pisze tam rachunki dla Suzina. Zobaczysz pan, co stracie przez ten figiel.

Drzwi gabinetu uchyliły się i stanął w nich Klejn z listem w ręku.

— Przyniósł lokaj Łęckich do starego — rzekł. Może pan mu odda, bo dziś, bestia, czegoś taki zły...

Pan Ignacy wziął do rąk bladoniebieską kopertę ozdobioną wizerunkiem niezapomnianek, lecz wahał się, czy ma iść. Tymczasem Mraczewski spojrzął mu przez ramię na adres.

— List od Belci! — zawołał — jestem w domu!... — I śmiejąc się wybiegł z gabinetu.

„Do diabła! — mruknął pan Ignacy — czyżby te wszystkie plotki miały być prawdą?... Więc on dla niej wydaje na kupno kamienicy dziewięćdziesiąt tysięcy i traci na Suzinie pięćdziesiąt?... Razem sto czterdzieści tysięcy rubli!... A ten powóz, a te wyścigi, a te ofiary na cele dobroczynne?... A... a ten Rossi, któremu tak gorąco przypatruje się panna Łęcka jak Żyd dziesięciorgu przykazaniom?... Ehe!... schowam ja do kieszeni ceremonie...”

Zapiął marynarkę na guzik pod szyją, wyprostował się i poszedł z listem do swego

Odwaga

Bogactwo, Miłość

Strój

⁵³⁰Jak zrozpaczony Germont przed Violetta... — bohaterzy opery Verdiego (1813–1901) *Violetta* (1853), znanej dziś pod nazwą *Traviata*. Była to częsta pozycja w ówczesnym repertuarze operowym.

mieszkania. W tej chwili dopiero zauważył, że mu trochę skrzypią buty, i poczuł niejaką ulgę.

W mieszkaniu pana Ignacego nad stosem papierów siedział Wokulski bez surduta i kamizelki i pisał.

— Aha!... — zawołał podnosząc głowę na widok Rzeckiego. Nie gniewasz się, że ci tu gospodaruję jak u siebie?

— Pryncypał robi ceremonie!... — odezwał się z przekąsem pan Ignacy. — Jest tu list od... tych... od Łęckich.

Wokulski spojrzał na adres, gorączkowo rozerwał kopertę i czytał... czytał... Raz, drugi i trzeci przeczytał list. Rzecki coś przewracał w swoim biurku, a spostrzegłszy, że jego przyjaciel skończył już czytanie i zamyślony oparł głowę na rękę, rzekł suchym tonem:

— Jedziesz dziś do Paryża z Suzinem?

— Ani myślę.

— Słyszałem, że to jakiś wielki interes... Pięćdziesiąt tysięcy rubli...

Wokulski milczał.

— Więc jedziesz jutro albo pojutrze, bo podobno Suzin ma na twój przyjazd poczekać parę dni?

— Nie wiem jeszcze, kiedy pojadę.

— To źle, Stachu. Pięćdziesiąt tysięcy rubli to majątek; szkoda go stracić... Jeżeli dowiedzą się, że wypuściłeś z rąk taką sposobność...

— Powiedzą, że zwariowałem — przerwał mu Wokulski.

Znowu zamilkł i nagle odezwał się:

— A gdybym miał do spełnienia ważniejszy obowiązek aniżeli zyskanie pięćdziesięciu tysięcy?...

— Polityczny? — spytał cicho Rzecki z trwogą w oczach, ale i z uśmiechem na ustach.

Wokulski podał mu list.

— Czytaj — rzekł. — Przekonasz się, że są rzeczy lepsze od polityki.

Pan Ignacy z niejakim wahaniem wziął list do ręki, lecz na powtórny rozkaz Wokulskiego przeczytał:

„Wieniec jest prześliczny i już z góry w imieniu Rossiego dziękuję panu za ten podarunek. Nieporównane jest to dyskretne rozmieszczenie szmaragdów między złotymi listkami. Musi Pan koniecznie przyjechać do nas jutro na obiad, ażebyśmy się naradzili nad pożegnaniem Rossiego, a także nad naszą podróżą do Paryża. Wczoraj papo powiedział mi, że jedziemy najdalej za tydzień. Naturalnie jedziemy razem, gdyż bez milego Pańskiego towarzysstwa podróż straciłaby dla mnie połowę wartości. A więc do widzenia.

Izabela Łęcka”

— Nie rozumiem — rzekł pan Ignacy, obojętnie rzucając list na stół. — Dla przyjemności podróżowania z panną Łęcką, a choćby radzenia nad prezentami dla... dla jej ulubieńców nie rzuca się w błoto pięćdziesięciu tysięcy... jeżeli nie więcej...

Wokulski powstał z kanapy i oparłszy się obu rękoma na stole, zapytał:

— A gdyby mi się podobało rzucić dla niej cały majątek w błoto, to co?...

Żył nabrzmiały mu na czole, gors koszuli gorączkowo falował na piersiach. W oczach zapalały mu się i gasły te same iskry, jakie już widział Rzecki w chwili pojedynku z baronem.

— To co?... — powtórzył Wokulski.

— To nic — odpowiedział spokojnie Rzecki. — Przyznałbym tylko, że omyliłem się, nie wiem już który raz w życiu...

— Na czym?

— Dziś na tobie. Myślałem, że człowiek, który naraża się na śmierć i... na plotki dla zdobycia majątku, ma jakieś ogólne cele...

— A dajcież mi raz spokój z tym waszym ogółem!... — wykrzyknął Wokulski uderzając pięścią w stół. — Co ja robiłem dla niego, o tym wiem, ale... cóż on zrobił dla mnie!... Więc nigdy nie skończą się wymagania ofiar, które mi nie dały żadnych praw?...

— Chcę nareszcie raz coś zrobić dla samego siebie... Uszami wylewają mi się frazesy, których nikt nie wypełnia... Własne szczęście — to dziś mój obowiązek... inaczej... w łeb

Szaleństwo

Podróż

Błoto, Bogactwo

Bogactwo

Obowiązek, Praca

bym sobie palnął, gdybym już nic nie widział dla siebie, oprócz jakichś fantastycznych ciężarów. Tysiące próżnują, a jeden względem nich ma obowiązki!... Czy słyszano coś potworniejszego?...

— A owacje dla Rossiego to nie ciężar? — spytał pan Ignacy.

— Nie robię ich dla Rossiego...

— Tylko dla dogodzenia kobiecie... wiem... Ze wszystkich kas oszczędności ta jest najmniej pewną — odparł Rzecki.

— Jesteś nieostrożny!... — syknął Wokulski.

— Powiedz — byłem... Tobie się zdaje, że dopiero ty wynalazłeś miłość. Znam i ja ją, bah!... Przez kilka lat kochałem się jak półgłówek, a tymczasem moja Heloiza⁵³¹ romansowała z innymi. Boże mój!... ile mnie kosztowała każda wymiana spojrzeń, które chwytałem w przelocie... W końcu w moich oczach wymieniano nawet uściski... Wierz mi, Stachu, ja nie jestem tak naiwny, jak myślą. Wiele w życiu widziałem i doszedłem do wniosku, że my wkładamy zbyt dużo serca w zabawę nazywaną miłością!

— Mówisz tak, bo jej nie znasz — wtrącił pochmurnie Wokulski.

— Każda jest wyjątkową, dopóki nam karku nie nadkręci. Prawda, że nie znam tej, ale znam inne. Ażeby nad kobietami odnosić wielkie zwycięstwa, trzeba być w miarę impertynentem i w miarę bezczelnym: dwie zalety, których ty nie posiadasz. I dlatego ostrzegam cię: niedużo ryzykuj, bo zostaniesz zdystansowany, jeżeli już nie zostaleś. Nigdy do ciebie o tych rzeczach nie mówiłem, prawda? nawet nie wyglądałem na podobną filozofię... Ale czuję, że grozi ci niebezpieczeństwo, więc powtarzam: strzeż się! i w podłej zabawie nie angażuj serca, bo ci je w asystencji łada chłystka oplują. A w tym wypadku, mówię ci, człowiek doznaje tak przykrych wrażeń, że... Bodajbyś ich lepiej nie... doczekał!...

Wokulski siedząc na kanapie zaciskał pięści, ale milczał. W tej chwili zapukano do drzwi i ukazał się Lisiecki.

— Pan Łęcki chce się z panem widzieć. Może tu wejść? — zapytał subiekt.

— Niech pan poprosi... — odparł Wokulski, spiesźnie wciągając kamizelkę i surdut.

Rzecki wstał z krzesła, smutno pokiwał głową i opuścił swoje mieszkanie.

„Myślałem, że jest źle — mruknął będąc już w sieni. — Ale nie myślałem, że jest aż tak źle...”

Ledwie Wokulski zdążył jako tako ogarnąć się, wszedł pan Łęcki, a za nim woźny sklepowy. Pan Tomasz miał oczy krwią nabiegłe i sine plamy na policzkach. Rzucił się na fotel i oparłszy głowę na tylnej krawędzi, ciężko dyszał. Woźny stał w progu z zakłopotaną miną i przebiegając palcami po metalowych guzikach swojej liberii czekał na rozkazy.

— Wybacz, panie Stanisławie, ale... proszę cię wody z cytryną... — wyszeptał pan Tomasz.

— Sodowej wody, cytryny i cukru... Biegnij! — rzekł Wokulski do woźnego.

Woźny wyszedł zawiadując wielkimi guzami⁵³² o drzwi pokoju.

— To nic — mówił pan Tomasz z uśmiechem. — Krótka szyja, upał i irytacja... Chwilę odpoczne...

Zatrwożony Wokulski zdjął mu krawat i rozpiął koszulę. Potem zlał ręcznik wodą kolońską, którą znalazł na biurku Rzeckiego, i z synowską troskliwością wytarł choremu kark, twarz i głowę.

Pan Tomasz uściśnął mu rękę.

— Już mi lepiej... Bóg zapłać... — a potem dodał półgłosem: — Podobasz mi się w tej roli siostry miłosierdzia. Bela nie potrafiłaby zrobić delikatniej... No, ona stworzona do tego, ażeby jej usługiwano...

Woźny przyniósł syfon i cytryny. Wokulski przyrządził limoniadę i napił pana Tomasza, któremu stopniowo poczęły znikać sine plamy z policzków.

— Idź do mego mieszkania — rzekł Wokulski do woźnego — i każ zaprząć konie. Niech zajedzie przed sklep.

Miłość

Sluga

Choroba, Pozycja społeczna

⁵³¹Helioza — nieszczęśliwa kochanka francuskiego uczonego średniowiecznego Abelarda. Imię spopularyzowane przez sentymentalną powieść J.J. Rousseau *Julia, czyli nowa Heloiza* (1761).

⁵³²guzami — guz w dawnym użyciu może to być ozdobny guzik ze złota lub srebra.

— Kochany... kochany jesteś... — mówił pan Tomasz, mocno ściskając go za rękę i z wdzięcznością spoglądając na niego zaczerwienionymi oczyma. — Nie przywykłem do podobnej troskliwości, ponieważ Belcia nie zna się na tych rzeczach.

Nieumiejętność panny Izabeli w opiekowaniu się chorymi w przykry sposób uderzyła Wokulskiego. Ale tylko na chwilę.

Powoli pan Tomasz zupełnie odzyskał siły. Obfity pot wystąpił mu na czoło, głos wzmacnił się i tylko sieć czerwonych żyłek na oczach świadczyła jeszcze o minionym ataku. Przeszedł się nawet po pokoju, przeciągnął się i zaczął:

— A... nie masz pojęcia, panie Stanisławie, jak się dziś zirytowałem. Czy dasz wiarę? dom mój sprzedano za dziewięćdziesiąt tysięcy!...

Wokulski drgnął.

— Byłem pewny — mówił pan Łęcki — że wezmę choć ze sto tysięcy... Już na sali słyszałem dokoła siebie głosy, że kamienica warta sto dwadzieścia... Ale cóż — zapragnął kupić ją Żyd, podły lichwiarz, ten Szlangbaum... Porozumiał się z konkurentami, a kto wie, czy i nie z moim adwokatem, i — straciłem dwadzieścia albo trzydzieści tysięcy...

Teraz Wokulski wyglądał na apoplektyka, ale milczał.

— A tak rachowałem — prawił pan Łęcki — że od pięćdziesięciu tysięcy dasz mi z dziesięć tysięcy rocznie. Na utrzymanie domu wychodzi mi sześć do ośmiu tysięcy, więc za resztę moglibyśmy z Belą co roku wyjeżdżać za granicę. Obiecałem nawet dziecku, że za tydzień pojedziemy do Paryża... Akurat!... Sześć tysięcy rubli ledwie wystarczą na nędzne istnienie, a o podróżach ani myśleć... Nikczemny Żyd... Nikczemne społeczeństwo, które tak ulega lichwiarzom, że nie śmie z nimi walczyć nawet przy licytacji... A co mnie najwięcej boli, powiem ci, to okoliczność, że za tym nędznym Szlangbaumem może ukrywa się jaki chrześcijanin, nawet arystokrata...

Głos znowu zaczął mu się stłumiać i znowu na twarz wystąpiło sinawe zabarwienie. Usiadł i napił się wody.

— Podli!... podli!... — szeptał.

— Niech się pan uspokoi — rzekł Wokulski. — Ile mi pan da gotówką?

— Prosiłem adwokata naszego księcia (bo mój adwokat to łajdak), ażeby odebrał należną mi sumę i tobie doręczył ją, panie Stanisławie... Razem trzydzieści tysięcy. A że obiecujesz mi od nich dwadzieścia procent, więc mam sześć tysięcy rubli rocznie na całe utrzymanie. Nędza... ruina!...

— Sumę pańską — odpowiedział Wokulski — mogę umieścić w lepszym interesie. Będzie pan miał dziesięć tysięcy rocznie...

— Co mówisz?...

— Tak. Trafia mi się wyjątkowa okazja...

Pan Tomasz zerwał się z fotelu.

— Zbawco... dobrodzieju!... — mówił wzruszonym głosem. — Jesteś najszlachetniejszym z ludzi... Ale — dodał cofając się i rozkładając ręce — czy tylko ty nie stracisz?...

— Ja?... Przecież jestem kupcem.

— Kupiec!... Także mi mów!... — zawołał pan Tomasz. — Dzięki tobie przekonałem się, że wyraz kupiec jest dziś synonimem wielkoduszności, delikatności, bohaterstwa... Zacny!...

I rzucił mu się na szyję, omal nie płacząc.

Wokulski po raz trzeci usadowił go na fotelu, a w tej chwili zapukano do drzwi.

— Proszę.

Wszedł Henryk Szlangbaum, blady, z błyskawicami w oczach. Stał przed panem Tomaszem i kłaniając mu się rzekł:

— Panie — ja jestem Szlangbaum, właśnie syn tego „podłego” lichwiarza, na którego pan tyle wymyślał w sklepie przy moich kolegach i gościach...

— Panie... nie wiedziałem... wszelką satysfakcję jestem gotów... a najpierwej — przepaszam... Byłem bardzo zirytowany... — mówił wzruszony pan Tomasz.

Szlangbaum uspokoił się.

— Proszę pana — odparł — zamiast dawać mi satysfakcję, niech pan posłucha, co powiem. Dlaczego mój ojciec kupił pański dom? o to na dziś mniejsza. Że zaś pana nie oszukał — dam stanowczy dowód. Ojciec natychmiast odstąpi panu ten dom za

Handel, Żyd

dziewięćdziesiąt tysięcy... Więcej powiem — wybuchnął — nabywca odda go panu za siedemdziesiąt...

— Henryku!... — wtrącił Wokulski.

— Już skończyłem. Żegnam pana — odpowiedział Szlangbaum i nisko ukloniwszy się panu Tomaszowi wyszedł z pokoju.

— Co za przykra farsa! — odezwał się po chwili pan Tomasz. — Istotnie, wypowiedziałem w sklepie parę gorzkich wyrazów o starym Szlangbaumie, ale pod słowem, nie wiedziałem, że jego syn tu jest... Zwróci mi dom za siedemdziesiąt tysięcy, za który dał dziewięćdziesiąt... Paradny!... Cóż ty na to, panie Stanisławie?...

— Może dom naprawdę wart tylko dziewięćdziesiąt... — nieśmiało odpowiedział Wokulski.

Pan Tomasz zaczął zapinać na sobie odzież i krawat.

— Dziękuję ci, panie Stanisławie — mówił — i za pomoc, i za zajęcie się moimi interesami... Co za farsa z tym Szlangbaumem!... Ale... ale... Belcia prosi cię jutro na obiad... Pieniądze odbierz od adwokata naszego księcia, a co do procentu, który będziesz łaskaw...

— Wyplączę go natychmiast z góry za pół roku.

— Bardzo ci wdzięczny jestem — ciągnął pan Tomasz całując go w oba policzki. — No, do widzenia zatem, do jutra... A nie zapomnij o obiedzie...

Wokulski wyprowadził go przez podwórze do bramy, gdzie już czekał powóz.

— Straszny upał! — mówił pan Tomasz, z trudnością przy pomocy Wokulskiego siadając do powozu. — Cóż znowu za farsa z tymi Żydami?... Dał dziewięćdziesiąt tysięcy, a gotów odstąpić za siedemdziesiąt... Pocieszne... słowo honoru!...

Konie ruszyły w stronę Alei Ujazdowskiej.

W drodze do domu pan Tomasz był odurzony. Nie czuł upału, tylko ogólne osłabienie i szum w uszach. Chwilami zdawało mu się, że każdym okiem widzi inaczej albo że obydwojma widzi gorzej. Oparł się w rogu powozu chwytając się za każdym silniejszym ruchem jak pijany.

Myśli i uczucia płątały mu się w dziwny sposób. Czasem wyobrażał sobie, że jest otoczony siecią intryg, z której wydobyć go może tylko Wokulski. To znowu, że jest ciężko chory i że tylko Wokulski pielęgnować by go potrafił. To znowu, że umrze zostawiając zubożałą i od wszystkich opuszczoną córkę, którą zaopiekować by się mógł tylko Wokulski. A nareszcie pomyślał, że dobrze jest mieć własny powóz, tak lekko niosący jak ten, którym jedzie — i — że gdyby poprosił Wokulskiego, on zrobiłby mu z niego prezent.

„Straszny upał!” — mruknął pan Tomasz.

Konie stanęły przed domem, pan Tomasz wysiadł i nawet nie kiwnąwszy głową stan-gretowi poszedł na górę. Ledwie włożył ociążałe nogi, a gdy znalazł się w swym gabinecie, padł na fotel w kapeluszu i tak siedział parę minut ku najwyższemu zdumieniu służącego, który uznał za stosowne poprosić panienkę.

— Musiał dobrze pójść interes — rzekł do panny Izabeli — bo jaśnie pan coś... jakby trochę tego...

Panna Izabela, która mimo pozornego chłodu z największą niecierpliwością oczekiwała na powrót ojca i rezultat licytacji domu, poszła do gabinetu o tyle szybko, o ile można to było pogodzić z zasadami przyzwoitości. Zawsze bowiem pamiętała, że pannie z jej nazwiskiem nie wolno zdradzać żywszych uczuć, nawet wobec bankructwa. Pomimo przecież jej panowania nad sobą Mikołaj poznał (z silnych wypieków na twarzy), że jest wzruszona, i jeszcze raz dodał półgłosem:

— O! dobrze musiał pójść interes, bo jaśnie pan... tego...

Panna Izabela zmarszczyła piękne czoło i zatrasnęła za sobą drzwi gabinetu. Jej ojciec wciąż siedział w kapeluszu na głowie.

— Cóż, ojczek? — spytała z odcieniem niesmaku, patrząc w jego czerwone oczy.

— Nieszczęście... ruina!... — odparł pan Tomasz z trudnością zdejmując kapelusz. — Straciłem trzydzieści tysięcy rubli...

Panna Izabela pobladła i usiadła na skórzanym szezlongu.

— Podły Żyd, lichwiarz, odstraszył konkurentów, przekupił adwokata i...

— Więc już nic nie mamy?... — szepnęła.

Żyd

Marzenie

Dama

Sługa

— Jak to nic?... Mamy trzydzieści tysięcy rubli, a od nich dziesięć tysięcy rubli procentu... Zacny ten Wokulski!... Nie miałem pojęcia o podobnej szlachetności... A gdybyś wiedziała, jak on mnie dziś pielęgnował...

— Dlaczego pielęgnował?...

— Miałem mały atak z gorąca i irytacji...

— Jaki atak?...

— Krew uderzyła mi do głowy... ale to już przeszło... Podły Żyd... no, ale Wokulski — powiadam ci, że to coś nadludzkiego...

Zaczął płakać.

— Papo, co tobie?... Ja poszlę po doktora... — zawołała panna Izabela klękając przed fotelem.

— Nic, nic... uspokój się... Pomyślałem tylko, że gdybym umarł, Wokulski jest jedynym człowiekiem, któremu mogłabyś zaufać...

— Nie rozumiem...

— Chciałaś powiedzieć: nie poznajesz mnie, prawda?... Dziwi cię to, że twój los mógłbym powierzyć kupcowi?... Ale widzisz... kiedy w nieszczęściu jedni sprzyśgłi się przeciw nam, inni opuścili nas, on pospieszył z pomocą, a może mi nawet życie uratował... My, apoplektycy, niekiedy bardzo blisko ocieramy się o śmierć... Więc gdy mnie cucił, pomyślałem, kto by się tobą uczciwie zaopiekował? Bo nie Joasia ani Hortensja, ani nikt... Tylko majątne sieroty znajdują opiekunów...

Panna Izabela spostrzegłszy, że ojciec stopniowo odzyskuje siły i władzę nad sobą, powstała z klęczek i usiadła na szeszlengu.

— Zatem, ojczy, jakąż rolę przeznaczasz temu panu? — spytała chłodno.

— Rolę?... — powtórzył przypatrując się jej uważnie. — Rolę... doradcy... przyjaciela domu... opiekuna... Opiekuna tego mająteczku, jaki by ci pozostał...

— O, pod tym względem ja go już dawniej oceniłam. Jest to człowiek energiczny i przywiązany do nas... Zresztą mniejsza z tym — dodała po chwili. — Jakże papo skończył z kamienicą?

— Mówię ci jak. Łotr Żyd dał dziewięćdziesiąt tysięcy, więc nam zostało trzydzieści. A że poczciwy Wokulski będzie mi płacił od tej sumy dziesięć tysięcy... Trzydzieści trzy procent, wyobraź sobie.

— Jak to trzydzieści trzy? — przerwała panna Izabela. — Dziesięć tysięcy to dziesięć procent...

— Ale gdzież znowu! Dziesięć od trzydziestu to znaczy trzydzieści trzy procent. Wszakże procent znaczy: *pro centum* — „za sto”, rozumiesz?

— Nie rozumiem — odpowiedziała panna Izabela potrząsając głową. — Rozumiem, że dziesięć to znaczy dziesięć; ale jeżeli w języku kupieckim dziesięć nazywa się trzydzieści trzy, to niech i tak będzie.

— Widzisz, że nie rozumiesz. Zaraz wyjaśnię ci to, ale — takim znużony, że się trochę prześpię...

— Może posłać po doktora? — spytała panna Izabela podnosząc się z siedzenia.

— Boże uchowaj!... — zawołał pan Tomasz i zatrzęsł rękoma. — Niechbym się tylko wdał w doktorów, a z pewnością bym nie żył...

Panna Izabela nie nalegała dłużej; ucałowała ojca w rękę i w czoło i poszła do swego buduaru, głęboko zadumana.

Niepokój trapiący ją od kilku dni: jak się skończy licytacja? opuścił ją tak, że śladu nie zostało po nim. Więc mają jeszcze dziesięć tysięcy rubli rocznie i trzydzieści tysięcy rubli gotówką?... Zatem pojedą na wystawę paryską, potem może do Szwajcarii, a na zimę znowu do Paryża. Nie!... Na zimę wrócą do Warszawy, ażeby znowu otworzyć dom. I jeżeli znajdzie się jakiś majątny człowiek, niestary i niebrzydki (jak na przykład baron albo marszałek... br!...), wreszcie nie parweniusz i niegłupi... (No, głupi może sobie być; w ich towarzystwie mądrym jest tylko Ochocki, a i to dziwak!) Jeżeli znajdzie się taki epuzer⁵³³ — panna Izabela zdecyduje się ostatecznie...

„Wyborny jest papa z tym Wokulskim!” — myślała panna Izabela chodząc tam i na powrót po swoim gabinecie.

Łzy

Lekarz

⁵³³epuzer — (z fr.) dawniej epuzerem nazywano kandydata do małżeństwa.

„Wokulski moim opiekunem!... Wokulski może być bardzo dobrym doradcą, plenipotentem, zresztą opiekunem majątku... Ale tytuł opiekuna może nosić tylko książę, zresztą nasz kuzyn i dawny przyjaciel rodziny!...”

Wciąż chodziła po pokoju tam i na powrót ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i nagle przyszło jej na myśl: skąd ojciec tak dziś rozculił się nad Wokulskim?... Jaką czarodziejską siłą ten człowiek pozyskawszy całe jej otoczenie obecnie zdobył już ostatnią pozycję, ojca!... Ojciec, pan Tomasz Łęcki, płakał... On, z którego oczu od śmierci matki nie stoczyła się ani jedna łza...

Łzy

„Muszę jednak przyznać, że jest to bardzo dobry człowiek — rzekła w sobie. — Rossi nie byłby tak zadowolony z Warszawy, gdyby nie troskliwość Wokulskiego. No, ależ moim opiekunem, nawet w razie nieszczęścia, nie będzie... Co do majątku, owszem, niech nim rządzi; ale opiekunem!... Ojciec musi być ogromnie osłabiony, jeżeli wpadł na podobną kombinację...”

Okolo szóstej wieczorem panna Izabela będąc w salonie usłyszała dzwonek w przedpokoju, a potem niecierpliwy głos Mikołaja:

— Mówiłem: jutro przyjsć, bo dziś pan chory.

Choroba

— Co ja zrobię, kiedy pan jak ma pieniądze, to jest chory, a jak jest zdrow, to nie ma pieniędzy?... — odpowiedział inny głos, nieco zacinający z żydowska.

W tej chwili rozległ się w przedpokoju szelest kobiecej sukni i wbiegła panna Florentyna mówiąc:

— Cicho!... na Boga, cicho!... Niech pan Szpigelman przyjdzie jutro... Przecież pan Szpigelman wie, że są pieniądze...

— Właśnie ja dlatego dzisiaj przychodzę już trzeci raz. A jutro przyjdą inni i ja znów będę czekał...

Krew uderzyła do głowy pannie Izabeli, która nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, nagle weszła do przedpokoju.

— Co to jest?... — zapytała panny Florentyny.

Mikołaj wzruszył ramionami i na palcach wyszedł do kuchni.

— To ja jestem, panno hrabianko... Dawid Szpigelman — odpowiedział niewielki człowiek z czarnym zarostem i w czarnych okularach. — Ja do pana hrabiego przyszedłem na mały interes...

— Kochana Belu... — odezwała się panna Florentyna chcąc wyprowadzić kuzynkę.

Ale panna Izabela wyrwała się jej z rąk i zobaczywszy, że gabinet ojca jest wolny, kazała tam wejść Szpigelmanowi.

— Zastanów się, Belu, co robisz?... — upominała ją panna Florentyna.

— Chcę raz dowiedzieć się prawdy — rzekła panna Izabela. Zamknęła drzwi gabinetu, siadła na fotelu i patrząc w okulary Szpigelmanowi zapytała:

— Jaki interes ma pan do mego ojca?

— Przepraszam pannę hrabiankę — odpowiedział przybysz kłaniając się — to jest bardzo mały interes. Ja tylko chcę odebrać moje pieniądze...

— Ile?

— Zbierze się może z osiemset rubli...

— Dostanie pan jutro.

— Przepraszam pannę hrabiankę, ale ja już od pół roku co tydzień dostaję same tylko jutro, a nie widzę ani procentu, ani kapitału.

Panna Izabela poczuła brak oddechu i ściskanie serca. Wnet jednakże zapanowała nad sobą.

— Pan wiesz, że ojciec mój odbiera trzydzieści tysięcy rubli... Prócz tego (mówiła, sama nie wiedząc dlaczego!) będziemy mieli dziesięć tysięcy rocznie... Pańska sumka przepaść nie może, chyba pan rozumie...

— Skąd dziesięć?... — spytał Żyd i zuchwale podniósł głowę.

— Jak to skąd? — odparła oburzona. — Procent od naszego majątku...

— Od trzydziestu tysięcy?... — wtrącił Żyd z uśmiechem, myśląc, że go chcą wyprowadzić w pole.

— Tak.

— Przepraszam pannę hrabiankę — ironicznie odparł Szpigelman — ja dawno robię pieniędzmi, ale takiego procentu nigdy nie widziałem. Od trzydziestu tysięcy pan hrabia

może mieć trzy tysiące, i jeszcze na bardzo niepewnej hipotece. Ale co mnie do tego... Mój interes jest, żebym ja odebrał moje pieniądze. Bo jak jutro przyjdą inni, to oni znowu będą lepsi od Dawida Szpigelmana, a jak pan hrabia resztę odda na procent, to ja będę musiał czekać rok...

Panna Izabela zerwała się z fotelu.

— Więc ja pana zapewniam, że jutro dostaniesz pieniądze! — zawołała patrząc na niego z pogardą.

— Słowo? — spytał Żyd delektując się w duszy jej pięknnością.

— Słowo daję, że jutro będziecie wszyscy spłaceni... Wszyscy, i to co do grosza!...

Żyd uklonił się do ziemi i cofając się tyłem, opuścił gabinet.

— Zobaczę, jak panna hrabianka dotrzyma słowa... — rzekł na odchodnym.

Stary Mikołaj znowu był w przedpokoju i z taką gracją otworzył drzwi Szpigelmanowi, że ten już z sieni zawołał:

— Co się pan tak rozbijasz, panie kamerdyner?...

Blada z gniewu panna Izabela biegła do sypialni ojca. Zastąpiła jej drogę panna Florentyna.

— Dajże spokój, Belciu — mówiła składając ręce — ojciec taki chory...

— Zapewniłam tego człowieka, że wszystkie długi będą spłacone, i muszą być spłacone... Choćbyśmy mieli nie jechać do Paryża...

Właśnie pan Tomasz w pantoflach i bez surduta z wolna przechadzał się po sypialni, kiedy weszła córka. Spostrzegła, że ojciec wygląda bardzo mizernie, że ma obwisłe ramiona, obwisłe siwe wąsy, obwisłe powieki i jest pochylony jak starzec; ale uwagi te powstrzymały ją tylko od wybuchu, nie zaś od załatwienia interesu.

— Przepraszam cię, Belu, że mnie widzisz w takim negliżu... Cóż się stało?...

— Nic, ojcie — odparła hamując się. — Był tu jakiś Żyd...

— Ach, pewnie ten Szpigelman... Dokuczliwa bestia jak komary w lesie!... — zawołał pan Tomasz chwytając się za głowę. — Niech jutro przyjdzie...

— Właśnie przyjdzie, on i... inni...

— Dobrze... bardzo dobrze... Dawno już myślałem załatwić ich... No, chwała Bogu, że ochłodziło się chociaż trochę...

Panna Izabela była zdumiona spokojem ojca i jego złym wyglądem. Zdawało się, że od południa przybyło mu kilka lat wieku. Usiadła na krześle i oglądając się po sypialni spytała jakby od niechcenia:

— Dużo im papo winien?

— Niewiele... drobiazg... parę tysięcy rubli...

— To są te pieniądze, o których mówiła ciotka, że je ktoś w marcu wykupił?...

Pan Łęcki stanął na środku pokoju i strzeliwszy palcami zawołał:

— A bodajże cię!... O tamtych na śmierć zapomniałem...

— Zatem mamy więcej długów niż parę tysięcy?...

— Tak... tak... Trochę więcej... Myślę, że pięć do sześciu tysięcy... Poproszę pocztowego Wokulskiego, to mi to załatwi...

Panna Izabela mimo woli wstrząsnęła się.

— Szpigelman mówił — rzekła po chwili — że od naszej sumy nie można mieć dziesięciu tysięcy rubli procentu. Najwyżej trzy tysiące, i to na niepewnej hipotece...

— Ma rację — na hipotece, ale przecież handel to nie hipoteka... Handel może dać trzydzieści od trzydziestu... Ale... a skąd Szpigelman wie o naszym procencie? — spytał pan Tomasz zamyśliwszy się nieco.

— Ja mu powiedziałam niechęć... — tłumaczyła się zarumieniona panna Izabela.

— Szkoda, żeś mu to powiedziała... wielka szkoda!... o takich rzeczach lepiej nie mówić...

— Czy to co złego? — szepnęła.

— Złego?... No, nic złego, mój Boże... Ale zawsze lepiej, gdy ludzie nie znają ani wysokości, ani źródła dochodów... Baron, wreszcie sam marszałek nie mieliby reputacji milionerów i filantropów, gdyby znano wszystkie ich sekreta...

— Dlaczegoż to, ojcie?...

— Dziecko jeszcze jesteś — mówił nieco zakłopotany pan Tomasz — jesteś idealistka, więc... mogłoby cię to zrazić do nich... Ale masz przecie rozum. Baron, widzisz, utrzymuje

Przysięga

Ojciec

Interes, Pieniądz

jakąś spółkę z lichwiarzami, a fortuna marszałka urosła głównie ze szczęśliwych pogorzeli, no... i trochę z handlu byłem w czasie wojny sewastopolskiej...

— Więc tacy są moi konkurenci?... — szepnęła panna Izabela.

— To nic nie znaczy, Belu!... Mają pieniądze i duży kredyt, a to główna rzecz — uspakajał ją pan Tomasz.

Panna Izabela potrząsnęła głową, jakby chcąc odpędzić przykre myśli.

— Więc my, papo, już nie pojedziemy do Paryża...

— Dlaczego, moje dziecko, dlaczego?...

— Jeżeli papo zapłaci pięć albo sześć tysięcy tym Żydom...

— O to się nie lękaj. Poproszę Wokulskiego, ażeby wystarał mi się o taką sumę na sześć albo na siedem procent, i będziemy płacili na jej rzecz jakieś czterysta rubli rocznie. No, a mamy przecie dziesięć tysięcy.

Panna Izabela zwiesiła głowę i cicho przebiegając palcami, po stole, dumiała.

— Czy ty, ojcie — rzekła po namyśle — nie obawiasz się Wokulskiego?...

— Ja?... — krzyknął pan Tomasz i pięściami uderzył się w piersi. — Ja obawiam się Joasi, Hortensji, nawet naszego księcia i zresztą ich wszystkich razem, ale nie Wokulskiego. Gdybyś widziała, jak on dziś obcierał mnie wodą kolońską... A z jaką trwogą patrzył na mnie!... To najszlachetniejszy człowiek, jakiego spotkałem w życiu... On nie dba o pieniądze, interesów na mnie robić nie może, ale dba o moją przyjaźń... Bóg mi go zesłał, i jeszcze w chwili, w której... w której zaczynam czuć starość, a może... śmierć...

I powiedziawszy to pan Tomasz zaczął mrugać powiekami, z których znowu spadło mu kilka łez.

— Papo, ty jesteś chory!... — zawołała przestraszona panna Izabela.

— Nie, nie!... To upał, irytacja, a nade wszystko... żal do ludzi. Pomyśl tylko: był kto u nas dzisiaj?... Nikt, bo myślą, żeśmy już wszystko stracili... Joanna boi się, żebym od niej nie pożyczył na jutrzejszy obiad... To samo baron i książę... Jeszcze baron dowiedziawszy się, że zostało nam trzydzieści tysięcy, przyjdzie tu... dla ciebie. Bo pomyśli, że choćby się z tobą ożenił bez posagu, to jednak nie będzie potrzebował wydawać pieniędzy na mnie... Ale uspokój się: gdy usłyszą, że mamy dziesięć tysięcy rubli rocznie, wrócą tu wszyscy, a ty znowu będziesz jak dawniej królowała w twoim salonie... Boże, jaki ja dziś jestem zdenerwowany!... — mówił pan Tomasz obcierając załzawione oczy.

— Ja poszlę po doktora, papo?...

Ojciec zamyślił się.

— To już jutro, jutro... do jutra może mi samo przejdzie...

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

— Kto tam?... Co tam?... — zapytał pan Tomasz.

— Pani hrabina przyjechała — odpowiedział z korytarza głos panny Florentyny.

— Joasia?!... — zawołał pan Tomasz z radosnym zdziwieniem. — Wyjdźże do niej, Belciu... Muszę się trochę ogarnąć... No, no!... Założę się, że już wie o trzydziestu tysiącach... Wyjdźże, Belu... Mikołaj!...

Zaczął kręcić się po sypialni szukając rozmaitych części ubrania, a tymczasem panna Izabela wyszła do ciotki już oczekującej na nią w salonie.

Zobaczywszy pannę Izabelę hrabina pochwyciła ją w objęcia.

— Jakież Bóg dobry — zawołała — że zesłał wam tyle szczęścia! Cóż to, podobno Tomasz wziął za kamienicę dziewięćdziesiąt tysięcy, i twój posag ocalony?... Nigdy bym nie przypuszczała...

— Ojciec, ciociu, spodziewał się wziąć więcej i tylko jakiś Żyd, nowonabywca, odstręczył konkurentów — odpowiedziała trochę urażona panna Izabela.

— Ach, moje dziecko, że też nie przekonałaś się jeszcze o niepraktyczności ojca. On może wyobrazić sobie, że dom wart był miliony, a ja swoją drogą wiem od ludzi kompetentnych, że co najwyżej wart jest siedemdziesiąt parę tysięcy. Przecież co dzień od kilku dni sprzedają się kamienice z licytacji, wiadomo, jakie są i co za nie płacą. Zresztą nie ma o czym mówić; ojciec niech wyobraża sobie, że go oszukano, a ty, Belu, módl się za zdrowie tego Żyda, który dał wam dziewięćdziesiąt tysięcy... Ale a propos: wiesz, że Kazio Starski wrócił?...

Silny rumieniec wystąpił na twarz panny Izabeli.

— Kiedy? skąd?... — zapytała zmieszana.

Bogactwo, Małżeństwo

Choroba, Łzy, Starość,
Śmierć bohatera

Pieniądz, Salon

— Obecnie z Anglii, dokąd przyjechał prosto z Chin. Zawsze piękny i obecnie jedzie do babki, która, zdaje się, odda mu majątek.

— To w sąsiedztwie cioci?

— Właśnie o tym chcę mówić. Ogromnie dopytywał się o ciebie, a ja będąc przekonana, że już chyba wyleczyłaś się ze swych kaprysów, radziłam mu, ażeby was jutro odwiedził.

— Jak to dobrze!... — zawołała uradowana panna Izabela.

— A widzisz!... — odpowiedziała hrabina całując ją. — Ciotka zawsze o tobie myśli. Dla ciebie jest to wyborna partia, którą tym łatwiej będzie zrobić, że Tomasz ma kapitał, który powinien mu wystarczyć, a Kazio coś słyszał o zapisie ciotki Hortensji dla ciebie. No, przypuszczam, że Starski jest trochę zadłużony. W każdym razie to, co mu zostanie z majątku babki, z tym, co ty możesz wziąć po Hortensji, powinno by wam na jakiś czas wystarczyć. A później zobaczymy. On ma jeszcze stryja, ty masz mnie, więc wasze dzieci nie doznają biedy.

Panna Izabela w milczeniu ucałowała ręce ciotki. W tej chwili była tak piękna, że hrabina schwyciwszy ją w objęcia pociągnęła do lustra i śmiejąc się rzekła:

— No, proszę cię, tylko mi jutro tak wyglądasz, a przekonasz się, że w sercu Kazia odnowią się zabliznione rany... Choć szkoda, żeś go wtedy odrzuciła!... Mielibyście dziś ze sto albo sto pięćdziesiąt tysięcy rubli więcej... Wyobrażam sobie, że ten biedny chłopak z rozpaczys musiał bardzo wydawać pieniądze. Ale, ale... — dodała hrabina — czy prawda, że chcecie jechać z ojcem do Paryża?...

— Mamy zamiar.

— Proszę cię, Belu — upominała ją ciotka — tego nie rób. Ja właśnie chcę wam zaproponować, ażebyście u mnie spędzili tę resztkę lata. I musisz to zrobić, choćby ze względu na Starskiego. Pojmujesz, że młody chłopak na wsi będzie się nudził, będzie marzył. Możecie widywać się co dzień, a w takich warunkach najłatwiej będzie przywiązać go, a nawet... zobowiązać...

Panna Izabela zarumieniała się mocniej niż poprzednio i spuściła piękną głowę.

— Ciociu! — szepnęła.

— Ach, moje dziecko, tylko nie baw się ze mną w dyplomatkę. Panna w twoim wieku już powinna wyjść za mąż, a nade wszystko nie powtarzać dawnych błędów. Kazio jest wyborną partią: nieprędko sprzykrzy ci się, no... a gdyby się sprzykrzył, to... już będzie mężem i na wiele rzeczy musi być pobłażliwym, tak jak i ty dla niego. Gdzież ojciec?

— Ojciec trochę niezdrowsi...

— Wielki Boże!... Chyba zanadto wzruszyło go niespodziewane szczęście...

— Ojciec właśnie zachorował z gniewu na tego Żyda...

— On wiecznie w złudzeniach! — odparła hrabina podnosząc się z kanapy. — Wstąpę do niego na chwilę i pogadam o waszych wakacjach. Co zaś do ciebie, Belu, spodziewam się, że potrafiś skorzystać z czasu.

Po półgodzinnej, poufalej konwersacji z panem Tomaszem hrabina pożegnała siostrzenicę, jeszcze raz polecając jej Starskiego.

Około dziewiątej pan Tomasz, wbrew zwyczajowi, poszedł spać, a panna Izabela wezwała do swego pokoju na rozmowę kuzynkę Florentynę.

— Wiesz, Floro — rzekła siadając w półleżącej pozycji na szeszlunku — powrócił Kazio Starski i jutro ma być u nas.

— Aaa!... — szepnęła panna Florentyna, jakby wypadek ten był już jej wiadomy. — Więc nie gniewa się?... — spytała akcentując ostatni frazes.

— Zapewne... Zresztą nie wiem... — uśmiechnęła się panna Izabela. — Ciotka mówi, że jest bardzo piękny...

— I zadłużony... Ale cóż to szkodzi. Kto dzisiaj nie ma długów!

— Cóż byś powiedziała, Floro, gdybym...

— Gdybyś za niego wyszła?... Naturalnie, powinszowałabym wam obojgu. Ale co na to powie baron, marszałek, Ochocki, a nade wszystko... Wokulski?...

Panna Izabela podniosła się gwałtownie.

— Moja droga, skądże znowu przychodzi ci do głowy ten... Wokulski?...

Handel, Małżeństwo

Małżeństwo

— Nie mnie on przychodzi do głowy — odparła panna Florentyna skubiąc taśmę swego stanika — tylko przypominam sobie, coś mi mówiła jeszcze w kwietniu... że ten człowiek od roku ścigał cię spojrzzeniami, że osacza cię ze wszystkich stron...

Panna Izabela roześmiała się.

— Ach, pamiętam!... Rzeczywiście, tak mi się wówczas zdawało... Dziś jednak, kiedy go poznała trochę lepiej, widzę, że nie należy do tej kategorii ludzi, których można się lękać. Uwielbia mię po cichu, to prawda; ależ tak samo będzie mnie uwielbiał nawet wówczas, gdybym wyszła za... za męża... Wielbicielom tego, co Wokulski, gatunku wystarcza spojrzenie, uścisk ręki...

— Czy jesteś tego pewna?

— Najzupełniej. Zresztą przekonałam się, że to, co wydawało mi się sidłami z jego strony, jest tylko interesem. Ojciec pożycza mu trzydzieści tysięcy rubli i kto wie, czy wszystkie jego zabiegi nie do tego były skierowane...

— A jeżeli jest inaczej? — zapytała panna Florentyna, ciągle bawiąc się obszyciem swego stanika.

— Moja droga, dajże spokój! — oburzyła się panna Izabela. — Co ci na tym zależy, ażeby psuć mi humor?

— Tyś to powiedziała, że ci ludzie umieją cierpliwie czekać, usidlać, nawet wszystko ryzykować i łamać...

— Ale nie Wokulski.

— Przypomnij sobie barona.

— Baron obraził go publicznie.

— A ciebie przeprosił.

— Ach, Floro, proszę cię, nie dręcz mnie!... — wybuchnęła panna Izabela. — Gwałtem chcesz zrobić demona z kupczyka, może dlatego, że... tyle straciliśmy na kamienicy... że ojciec jest chory i że... Starski wrócił...

Panna Florentyna zrobiła gest, jakby chcąc jeszcze coś powiedzieć, ale pohamowała się.

— Dobranoc, Belu — rzekła. — Może teraz masz rację...

I wyszła.

Przez całą noc śnił się panie Izabeli Starski jako mąż, Rossi jako pierwszy platoniczny kochanek, Ochocki jako drugi, a Wokulski jako plenipotent ich majątku. Dopiero około dziesiątej rano obudziła ją panna Florentyna donosząc, że przyszedł Szpigelman i jeszcze jeden Żyd.

— Szpigelman?... Ach, prawda!... Zapomniałam o nim. Powiedz mu, niech przyjdzie później... Czy papo wstał?

— Wstał od godziny. Mówiłam mu właśnie o Żydach, a on prosi cię, ażebyś napisała list do Wokulskiego...

— Po co?...

— Żeby był łaskaw przyjść do nas w południe i uregulować rachunki tych Żydów.

— Prawda, że Wokulski ma nasze pieniądze — rzekła panna Izabela. — Ale mnie pisać o tym do niego nie wypada. Napisz ty, Floro, w imieniu ojca... O, tu jest papier, na moim biurku...

Panna Florentyna napisała żądany list, a tymczasem panna Izabela zaczęła się ubierać. Wiadomość o Żydach zrobiła na niej wrażenie zimnej wody, a myśl o Wokulskim zaniepokoiła ją.

„Więc my naprawdę nie możemy obejść się bez tego człowieka?... — mówiła w duszy. — No, jeżeli ma nasze pieniądze, to naturalnie musi spłacać nasze długi...”

— Bardzo go prosz — rzekła do panny Florentyny — ażeby przyjechał jak najspieszniej... Bo gdyby tych obrzydliwych Żydów zastał u nas Starski...

— Zna on ich dawniej aniżeli my — szepnęła Flora.

— W każdym razie byłoby to okropne. Ty nie wiesz, jakim tonem przemawiał do mnie wczoraj ten... ten...

— Szpigelman — wtrąciła panna Florentyna. — O, to zuchwały Żyd...

Zapiecztowała list i wyszła z nim do przedpokoju, ażeby wyprawić czekających tam Żydów. Panna Izabela uklękła przed alabastrowym posążkiem Matki Boskiej błagając

Interes, List, Obyczaje

Matka Boska, Modlitwa

ją, ażeby posłaniec zastał Wokulskiego w domu i ażeby Starski nie spotkał się u nich z Żydami.

Alabastrowa Matka Boska wysłuchiwała prośb panny Izabeli; w godzinę bowiem, przy śniadaniu, Mikołaj doręczył jej trzy listy.

Jeden był od ciotki hrabiny. Zawiadamiała w nim, że dziś między drugą i trzecią przyjdą do jej ojca lekarze na konsylium, że Kazio Starski wyjeżdża przed wieczorem i że może wpaść do nich lada chwilę.

„Pamiętajże, droga Belciu — kończyła ciotka — postępować tak, ażeby chłopiec myślał o tobie, przez drogę i na wsi, dokąd wy z ojcem za kilka dni musicie przyjechać. Ja już urządziłam się w ten sposób, że ani w Warszawie nie widział żadnej panny, ani na wsi nie spotka (prócz ciebie, duszko) żadnej innej kobiety. Chyba pocziwaj swoją babkę prezesową i jej mało interesujące wnuczki.”

Panna Izabela lekko skrzywiła usta; nie podobał jej się ten nacisk.

— Ciotka tak mnie proteguje — rzekła do panny Florentyny — jakbym już straciła wszelką nadzieję... Nie podoba mi się to!...

I w jej duszy nieco przyćmił się wizerunek pięknego Kazia Starskiego.

Drugi list był od Wokulskiego, który donosił, że będzie służyć o godzinie pierwszej.

— Na którą kazałaś przyjść Żydom, Floro? — spytała panna Izabela.

— Na pierwszą.

— Chwała Bogu! Byle o tej porze nie wpadł do nas Starski — rzekła panna Izabela biorąc do ręki trzeci list. — Jakiś znajomy mi charakter?... — dodała. — Czyje to pismo, Floro?...

— Czy nie poznajesz? — odpowiedziała panna Florentyna spojrzawszy na kopertę. — Krzeszowskiej...

Rumieniec gniewu wystąpił na twarz panny Izabeli.

— Ach, prawda!... — zawołała rzucając list na stół. — Proszę cię, Floro, odeszlij jej to i dopisz na wierzchu: „nieczytane”. Czego ona od nas chce, ta szkaradna kobieta!...

— Łatwo możesz się dowiedzieć — szepnęła panna Florentyna.

— Nie, nie i... nie!... Nie chcę żadnych listów od tej nieznosnej baby... Pewnie znowu jakaś szykana, bo ona nic innego nie pisuje... Proszę cię, Floro, natychmiast odeszlij ten list i... albo zresztą zobacz, co pisze... Ostatni raz przyjmę jej bazgraninę...

Panna Florentyna powoli otworzyła kopertę i zaczęła czytać. Stopniowo na jej obliczu ciekawość ustąpiła miejsca zdziwieniu, a potem zmieszaniu.

— Nie wypada mi tego czytać — szepnęła oddając list pannie Izabeli.

„Droga panno Izabelo! — pisała baronowa. — Wyznaję, że dotychczasowym postępowaniem mogłam zasłużyć na niechęć Pani i ściągnąć na siebie gniew miłosiernego Boga, który tak troskliwie opiekuje się Wami. Dlatego cofam wszystko, upokarzam się przed Tobą, droga Pani, i błagam, ażebyś mi przebaczyła. Bo czy nie jest dowód łaski Nieba nad Wami, choćby w zesłaniu Wam tego Wokulskiego? Człowiek ułomny jak inni stał się narzędziem Najwyższej Ręki, ażeby mnie ukarać, a Was wynagrodzić. Nie dość bowiem, że ranił mi w pojedynku męża (któremu również niech Bóg przebaczy wszystkie podłości, jakich się względem mnie dopuścił), ale jeszcze nabył kamienicę, w której zgasło moje ukochane dziecko, i pewnie każe sobie płacić duże komorne. Wy zaś nie tylko patrzycie na moje klęski, ale jeszcze zyskaliście dwadzieścia tysięcy rubli więcej, niż była warta kamienica.

W zamian za moją skrucę, droga Pani, racz wyrobić u W-go Wokulskiego (który nie wiem, za co gniewa się na mnie), ażeby mi prolongował kontrakt na dalsze lata i nie wypędzał przesadnymi żądaniami z domu, gdzie moja jedyna córka skończyła życie. Należy to jednak robić ostrożnie, gdyż W-ny Wokulski z niewiadomych mi powodów nie życzy sobie, ażeby o jego nabytku mówiono. Nie tylko, zamiast sam kupić kamienicę (jak uczciwy człowiek), podstawił lichwiarza Szlangbauma, ale jeszcze, ażeby nadpłacić dwadzieścia tysięcy rubli nad moją sumę, sprowadził do sądu fałszywych li-cytantów. Dlaczego tak tajemniczo postępuje? lepiej niż ja musicie Wy wiedzieć, drodzy Państwo, którzy podobno umieściliście u niego swój kapitalik.

Podstęp

Mały on jest, ale przy łasce bożej (która tak oczywiście czuwa nad Wami) i znanej obrotności W-go Wokulskiego przyniesie zapewne procent, który wynagrodzi Państwu gorycze ich dotychczasowego położenia. Polecając siebie sercu drogiej Pani, a nasze obustronne stosunki niezawodnej sprawiedliwości boskiej, pozostaję zawsze wierną, choć pogardzaną ich kuzynką i uniżoną sługą.

Krzeszowska”

Czytając panna Izabela była blada jak papier. Podniosła się od stołu, zwinęła list i podniosła rękę, jakby z zamiarem rzucenia go komuś w oczy. Nagle, zdjęta strachem, chciała gdzieś uciec czy kogoś zawołać; lecz w tej chwili upamiętała się i poszła do ojca.

Pan Łęcki w pantoflach i płóciennym szlafroku leżał na kanapie i czytał „Kuriera”. Bardzo czule przywitał się z córką, a gdy usiadła, uważnie przypatrzył się jej i rzekł:

— Czy światło złe w tym pokoju, czy mi się zdaje, że panienka jest nie w humorze?...

— Jestem trochę rozstrojona.

— Właśnie uważam, ale to z gorąca. A powinnaś dziś — dodał grożąc jej z uśmiechem — powinnaś dziś, figlarko, dobrze wyglądać, bo ten Kazio, jak mówiła mi wczoraj ciotka, jest do wzięcia...

Panna Izabela milczała, ojciec prawił dalej:

— Prawda, że chłopak trochę zbalamucony ciągłym lataniem po świecie, trochę za długi, ale — młody, przystojny, no i szalał za tobą. Joasia ma nadzieję, że prezesowa utrzyma go na wsi przez parę tygodni, a reszta należy już do ciebie... I wiesz, może by to było niezłe?... Nazwisko piękne... fortuna jakoś zlepi się z różnych kawałków... Przy tym człowiek światowy, bywalec, nawet rodzaj bohatera, jeżeli to prawda, że opłynął kulę ziemską...

— Miałam list od Krzeszowskiej — przerwała mu panna Izabela.

— Oo?... coś pisze ta wariatka?

— Píše, że nasz dom kupił nie Szlangbaum, ale Wokulski, i że za pomocą podstawionych licytantów dał za niego o dwadzieścia tysięcy rubli więcej aniżeli wart.

Mówiąc to zdławionym głosem, patrzyła z trwogą na ojca; obawiała się jakiegoś wybuchu. Ale pan Tomasz uniósł się tylko na kanapie i strzeliwszy palcami zawołał:

— Czekaj!... czekaj!... wiesz, że to może być prawda...

— Jak to! — zerwała się z krzesła panna Izabela. — Więc on śmiały nam darować dwadzieścia tysięcy, a ojciec mówi o tym tak spokojnie?...

— Mówię spokojnie, bo gdybym zaczekał ze sprzedażą, wziąłbym nie dziewięćdziesiąt, ale sto dwadzieścia tysięcy...

— Ależ czekać nie mogliśmy, skoro kamienicę puszczono na licytację...

— Toteż że nie mogliśmy czekać, straciliśmy, a Wokulski zyska, gdyż może czekać.

Panna Izabela po tej uwadze nieco uspokoiła się.

— Więc papo nie uznaje w tym żadnego dobrodziejstwa z jego strony! Bo wczoraj mówił papo o Wokulskim w taki sposób, jakby czuł, że jest przez niego oplątany...

— Cha! cha! cha!... — roześmiał się pan Tomasz. — Cudowna jesteś... nieoceniona. Wczoraj byłem trochę rozstrojony, nawet bardzo i... coś... coś... zaświtało mi w głowie... Ale dzisiaj... Cha! cha! cha!... Niechże sobie wreszcie Wokulski przepłaca kamienicę. Od tego on kupiec, żeby wiedział, ile i za co płaci. Straci na jednym, zyska na drugim. — Ja, co najwyżej, mogę mu tego nie brać za złe, że staje do licytacji mego majątku... Chociaż miałbym prawo podejrzewać jakiś nieczysty interes w takim na przykład... podstawianiu Szlangbauma...

Panna Izabela serdecznie uściślała ojca.

— Tak — rzekła — papo ma rację. Nie umiałam tylko zdać sobie z tego sprawy. Takie podstawianie Żydów przy kupnie najjaśniej dowodzi, że ten pan bawiąc się w przyjaźń robi interesa...

— Naturalnie! — potwierdził pan Tomasz. — Czyliżbyś nie miała rozumieć tak prostej rzeczy. Niezły to może człowiek, ale zawsze kupiec... kupiec!...

W przedpokoju rozległo się mocne dzwonienie.

— To pewnie on. Wyjdę, papo, i zostawię panów samych.

Opuściła sypialnię ojca, lecz w przedpokoju, zamiast Wokulskiego, zobaczyła aż trzech

Małżeństwo

Przyjaźń

Żyd

Żydów, głośno rozprawiających z Mikołajem i panną Florentyną. Uciekła do sali i przez myśl przebiegły jej wyrazy:

„Boże!... dlaczego on nie przychodzi...”

W sercu jej kipiała burza uczuć. Panna Izabela potakując zdaniom ojca rozumiała jednak, że to nieprawda, co on mówi, że Wokulski nie zrobił na kamienicy interesu, ale stracił, i tylko dlatego, ażeby ich wydzwignąć z najfatalniejszej pozycji. Lecz przyznając to, czuła nienawiść:

„Podły! podły!... — szeptała. — Jak on śmiał...”

Tymczasem w przedpokoju Żydzi rozpoczęli formalną kłótnię z panną Florentyną. Oświadczyli, że nie ruszą się, dopóki nie dostaną pieniędzy, że panna hrabianka dała wczoraj słowo... A gdy Mikołaj otworzył im drzwi do sieni, poczęli mu wymyślać:

— To jest rozbój!... to oszustwo!... Pieniądze państwo umieją brać i wtedy umieją gadać: mój kochany panie Dawid!... Ale jak przyjdzie...

— A to co znaczy? — odezwał się w tej chwili nowy głos.

Żydzi umilkli.

— „Co to jest?... Co pan tu robisz, panie Szpigelman?...”

Panna Izabela poznała głos Wokulskiego.

— Ja, nic... Padam do nóg wielmożnego pana... My tylko za interesem do pana hrabi... — tłumaczył się, zupełnie innym tonem, przed chwilą hałaśliwy Szpigelman.

— Kazali nam państwo dziś przyjść po pieniądze... — wtrącił inny Żyd.

— Właśnie panna hrabianka wczoraj dała słowo, że będziemy dziś spłaceni wszyscy, i co do grosza...

— Będziecie — przerwał Wokulski. — Jestem pełnomocnikiem pana Łęckiego i dziś, o szóstej, załatwię z wami rachunki w moim kantorze.

— Nic nagłego... Po co się wielmożny pan ma tak śpieszyć... — odparł Szpigelman.

— Proszę przyjść o szóstej do mnie, a Mikołaj niechaj tu żadnych interesantów nie przyjmuje, kiedy pan chory.

— Rozumiem, wielmożny panie!... A nasz pan czeka w pokoju sypialnym — odparł Mikołaj.

Gdy zaś Wokulski odszedł, powypychał Żydów za drzwi mówiąc:

— Poszły parchy!... Won!...

— Ny!... ny!... co — się pan tak gniewa?... — mruczełi bardzo zmieszani Żydkowie.

Pan Tomasz przywitał Wokulskiego ze wzruszeniem; trochę drżały mu ręce i trzęsła się głowa.

— No, patrz — mówił — co wyrabiają ci Żydzi, te... te gałgany!... Nachodzą dom... przestraszają mi córkę...

— Kazałem im przyjść o szóstej do mego kantoru i jeżeli pan pozwoli, ureguluję rachunki. Duża to suma?... — zapytał Wokulski.

— Drobiazg, prawie nic... Jakies pięć do sześciu tysięcy rubli...

— Pięć do sześciu?... — powtórzył Wokulski. — Oni trzej tyle mają u pana?...

— Nie. Im jestem winien ze dwa tysiące, może trochę więcej... Ale, powiadam ci, panie Stanisławie (bo to cała awantura!), ktoś w marcu wykupił moje dawniejsze weksle. Kto? nie wiem; jednakże, na wszelki wypadek, chcę być przygotowany.

Wokulskiemu wyjaśniła się twarz.

— Niech pan spłaca długi — odparł — w miarę zgłaszania się wierzycieli. Dziś zepchniemy tych, którzy mają późniejsze weksle. Więc to wyniesie dwa do trzech tysięcy?...

— Tak, tak... No, ale proszę cię, panie Stanisławie, co za fatalność!... Ty wypłacasz mi za pół roku pięć tysięcy... Czy byłeś łaskaw przynieść pieniądze?

— Naturalnie.

— Bardzo ci jestem wdzięczny. Cóż to jednak za fatalność, że właśnie w chwili, kiedy mamy z Belcią i... z tobą jechać do Paryża, Żydzi wydzierają mi dwa tysiące! Rozumie się z Paryża nic.

— Dlaczego? — rzekł Wokulski. — Ja pokryję należność, a pan nie potrzebuje naruszać swego procentu. Śmiało możecie państwo jechać do Paryża.

— Nieoceniony!... — zawołał pan Tomasz rzucając mu się w objęcia. — Bo widzisz,

Żyd

Żyd

Handel

mój drogi — dodał uspokoiwszy się — ja właśnie myślałem, czybyś nie mógł mi zaciągnąć gdzie pożyczki dla spłacenia żydowskich długów, tak... na... siedem, sześć procent...

Wokulski uśmiechnął się z finansowej naiwności pana Tomasza.

— Owszem — rzekł nie mogąc pohamować dobrego humoru — będzie pan miał pożyczkę. Tym Żydom oddamy jakieś trzy tysiące rubli, a pan będzie płacił procentu... Ileż pan chce?

— Siedem... sześć...

— Dobrze — mówił Wokulski — pan będzie płacił sto osiemdziesiąt rubli procentu, a kapitał zostanie nie naruszony.

Pan Tomasz, po raz już nie wiadomo który, zaczął mrugać powiekami i znowu ukazały się łzy.

— Zacny... szlachetny!... — mówił ściskając Wokulskiego. — Bóg cię zesłał...

— Sądzi pan, że mogę robić inaczej?... — szepnął Wokulski.

Zapukano. Wszedł Mikołaj i oznajmił lekarzy.

— Aha!... — zawołał pan Tomasz — to siostra przysłała mi tych panów. Mój Boże! nigdy się jeszcze nie leczyłem, a dziś... Proszę cię, panie Stanisławie, idź teraz do Beli... Mikołaj, zamelduj pana Wokulskiego panience.

„Oto jest moja nagroda... Moje życie!...” — pomyślał Wokulski idąc za Mikołajem. W przedpokoju spotkał lekarzy, obu znajomych sobie, i gorąco polecił pana Tomasza ich opiece.

W salonie czekała go panna Izabela. Była trochę blada, ale tym piękniejsza. Przywitała ją i rzekł wesoło:

— Bardzo jestem szczęśliwy, że podobał się pani wieniec dla Rossiego.

Zatrzymał się. Uderzył go szczególny wyraz twarzy panny Izabeli, która patrzyła na niego z lekkim zdziwieniem, jakby widziała go pierwszy raz w życiu.

Przez chwilę oboje milczeli, wreszcie panna Izabela strzepując jakiś pyłek z popielatej sukni spytała:

— Wszakże to pan kupił naszą kamienicę? — I przypatrywała mu się przymrużonymi oczyma.

Wokulski tak był zaskoczony, że w pierwszej chwili stracił mowę. Zdawało mu się, że w nim nagle zatrzymał się proces myślenia. Bładł i czerwieniał się, a nareszcie odzyskawszy przytomność odparł przyciszonym głosem:

— Tak, ja kupiłem.

— Dlaczegoż pan podstawił Żyda do licytacji?

— Dlaczego?... — powtórzył Wokulski patrząc na nią jak wylęknione dziecko. — Dlaczego?... Jestem, widzi pani, kupcem i... takie uwięzienie kapitału mogłoby zaszkodzić memu kredytowi...

— Pan już od dawna interesuje się naszymi sprawami. Zdaje się, że w kwietniu... tak, w kwietniu nabył pan nasz serwis?... — mówiła ciągle tym samym tonem panna Izabela.

Ton ten otrzeźwił Wokulskiego, który podniósł głowę i odparł oschle:

— Serwis państwa jest w każdej chwili do odebrania.

Teraz panna Izabela spuściła oczy. Wokulski spostrzegł to i znowu zmieszał się.

— Więc dlaczego pan to zrobił? — spytała cicho. — Dlaczego pan tak nas... przesładuje?

Można było myśleć, że rozplacze się. Wokulski stracił wszelką władzę nad sobą.

— Ja państwa prześladowę!... — rzekł zmienionym głosem. — Czyliż znajdziecie sługę... nie... psa... wierniejszego ode mnie?... Od dwu lat o jednym tylko myślę, ażeby usunąć wam z drogi każdą przeszkodę...

W tej chwili zadzwoniono. Panna Izabela drgnęła, Wokulski umilkł.

Mikołaj otworzył drzwi do salonu i rzekł:

— Pan Starski.

Jednocześnie ukazał się na progu mężczyzna średniego wzrostu, zręczny, śniady, z małymi faworytami i wąsikami, i bardzo nieznaczną łysiną. Miał fizjonomię na pół wesołą, na pół drwiącą i od razu zawołał:

— Jakżem kontent, kuzynko, że cię znowu mogę przywitać!...

Panna Izabela w milczeniu podała mu rękę; mocny rumieniec oblał jej twarz, a w oczach zamigotało rozmarzenie.

Sluga

Wokulski cofnął się do bocznego stołu. Panna Izabela przedstawiła panów:

— Pan... Wokulski... Pan Starski...

Nazwisko Wokulskiego było zaakcentowane w taki sposób, że Starski kiwnąwszy mu głową usiadł o kilka kroków, zwrócony bokiem. W odpowiedzi Wokulski usiadł przy małym stoliku pod ścianą i zaczął oglądać album.

— Kuzynek podobno wraca z Chin? — spytała panna Izabela.

— Teraz z Londynu i jeszcze ciągle myślę, że jestem w okręcie — odpowiedział Starski, dość wyraźnie kalecząc polszczyznę.

Panna Izabela zaczęła mówić po angielsku.

— Spodziewam się, że tym razem kuzynek zabawi w kraju dłużej?

— To zależy — odparł również po angielsku Starski. — Kto jest ten?... — dodał rzucając okiem na Wokulskiego.

— Plenipotent mego ojca. Od czegoż to zależy?...

— Myślę, że kuzynka nie potrzebuje się pytać — odpowiedział z uśmiechem młody człowiek. — To zależy — od hojności mojej babki...

— A ładnie... spodziewałam się komplementu pod moim adresem...

— Podróżnicy nie mówią komplementów, gdyż wiedzą, że pod każdą szerokością jeograficzną komplementa dyskredytują mężczyznę w oczach kobiet.

— W Chinach zrobił kuzyn to odkrycie?

— W Chinach, w Japonii, a nade wszystko w Europie.

— I myśli kuzyn stosować tę zasadę w Polsce?

— Spróbuję i jeżeli pozwolisz, kuzynko, w twoim towarzystwie. Gdyż podobno mamy razem spędzić wakacje. Czy tak?...

— Tak przynajmniej chce ciotka i ojciec. Mnie się jednak nie uśmiecha to, że kuzyn ma zamiar sprawdzać swoje etnograficzne spostrzeżenia.

— Byłby to tylko odwet z mojej strony.

— Ach, więc walka?... — spytała panna Izabela.

— Spłacanie dawnych długów często prowadzi do zgody.

Wokulski z taką uwagą przeglądał album, że żyły nabrzmiały mu na czole.

— Ale zemsta nie prowadzi — odparła panna Izabela.

— Nie zemsta, tylko przypomnienie, że jestem wierzycielem kuzynki.

— Więc to ja mam spłacać dawne długi?... — zaśmiała się panna Izabela. — A, kuzyn nie stracił czasu w podróży.

— Wolałbym go nie stracić na wakacjach — rzekł Starski, znacząco spoglądając jej w oczy.

— To będzie zależało od metody odwetu — odpowiedziała panna Izabela i znowu zarumieniła się.

— Jaśnie pan prosi pana! — rzekł Mikołaj stając we drzwiach salonu.

Rozmowa urwała się, Wokulski złożył album, wstał z krzesła i ukloniwszy się pannie Izabeli i Starskiemu, z wolna poszedł za służącym.

— Ten pan nie rozumie po angielsku?... Czy on nie obrazi się, żeśmy z nim nie rozmawiali?... — spytał Starski.

— O nie — odpowiedziała panna Izabela.

— Tym lepiej; bo zdawało mi się, że nie był zadowolony z naszego towarzystwa.

— Toteż porzucił je — zakończyła niedbale panna Izabela.

— Przynieś mi kapelusz z sali — rzekł do Mikołaja już w drugim pokoju Wokulski.

Mikołaj zabrał kapelusz i zaniósł go do sypialni pana Tomasza. W przedpokoju usłyszał, że Wokulski oburącz ściskając głowę szepnął:

— Boże miłosierny!...

Gdy Wokulski wszedł do pokoju pana Tomasza, lekarzy już nie było.

— No i wyobraź sobie — zawołał pan Łęcki — co za fatalizm!... Konsylium zabroniło mi jechać do Paryża i pod karą śmierci kazało wynosić się na wieś. Na honor, nie wiem nawet, gdzie uciec przed tymi upałami. Ale i na ciebie także działają, bo jesteś zmieniony... Prawda, jakie to gorące mieszkanie?...

— O tak. Może pozwoli pan — mówił Wokulski wydobywając z kieszeni gruby pakiet — że oddam pieniądze.

— Ehe... doprawdy...

Podróż

Choroba, Lato

— Tu jest pięć tysięcy rubli jako procent do połowy stycznia. Niech pan z łaski swojej policzy. A tu jest kwit.

Pan Łęcki kilka razy porachował stos nowych sturubłówek i podpisał dokument. Odłożywszy zaś pióro rzekł:

— Dobrze, to jedno... A teraz co się tyczy długów...

— Suma dwa do trzech tysięcy rubli, którą pan winien Żydom, dziś będzie spłacona...

— Ale ja, proszę cię, panie Stanisławie, nie chcę darmo... Proszę cię, ażebyś jak najskrupulatniej odtrącał sobie procent...

— Sto dwadzieścia do stu osiemdziesięciu rubli rocznie.

— Tak, tak... — potakiwał pan Tomasz. — Ale... gdybym, ale... potrzebował jeszcze jakiej kwoty, to mam się do kogo udać u ciebie?

— Drugą połowę procentu otrzyma pan w połowie stycznia — odparł Wokulski.

— O tym wiem. Ale widzisz, panie Stanisławie, gdybym tak potrzebował jakiejś części mego kapitału... Nie darmo, pojmujesz... Chętnie zapłacę procent...

— Szósty... — wtrącił Wokulski.

— Tak, szósty... siódmy.

— Nie, panie. Pański kapitał przynosi trzydzieści trzy procent rocznie, więc nie mogę go pożyczać na siedem...

— Dobrze. W takim razie nie pozbawiaj się mego kapitału, ale... Uważasz... może mi jednak coś wypaść...

— Wycofać swój kapitał może pan nawet w połowie stycznia roku przyszłego.

— Boże uchowaj!... Ja mego kapitału nie odbiorę ci nawet za dziesięć lat...

— Ale ja pański kapitał wziąłem tylko na rok...

— Jak to?... Dlaczego?... — dziwił się pan Tomasz, coraz szerzej otwierając oczy.

— Dlatego, że nie wiem, co będzie od dziś za rok. Nie co roku zdarzają się wyjątkowo dobre interesa.

— *A propos* — rzekł pan Tomasz po chwili przykrego zdumienia. — Co też mówią w mieście: że to ty, panie Wokulski, kupiłeś mój dom?...

— Tak, panie, ja kupiłem pański dom. Ale przed upływem pół roku mogę go panu odstąpić na korzystnych warunkach.

Pan Łęcki poczuł rumieniec na twarzy. Nie chcąc jednak dawać za wygraną zapytał wielkopańskim tonem:

— I ile byś też chciał odstąpić, panie Wokulski?...

— Nic. Oddam go panu za dziewięćdziesiąt tysięcy, a nawet... może taniej...

Pan Tomasz cofnął się, rozłożył ręce, następnie padł na swój wielki fotel i znowu kilka łez spłynęło mu po twarzy.

— Doprawdy, panie Stanisławie — mówił, lekko łkając — widzę, że najlepsze stosunki... mogą zepsuć pieniądze... Czy ja mam ci za złe, żeś kupił ten dom?... Czy ja robię ci wyrzuty?... Ty zaś przemawiasz do mnie tak, jakbyś się obraził.

— Przepraszam pana — przerwał Wokulski. — Ale istotnie jestem trochę rozdrażniony... zapewne z gorąca...

— O, z pewnością! — zawołał pan Tomasz powstając z fotelu i ściskając go za rękę.

— Więc... przebaczymy sobie nawzajem cierpkie słówka... Ja się na ciebie nie gniewam, bo wiem... co to jest upał...

Wokulski pożegnał go i wstąpił do salonu. Starskiego już tam nie było, panna Izabela siedziała sama. Zobaczywszy go podniosła się; twarz jej była pogodniejsza.

— Pan wychodzi?

— Właśnie chcę panią pożegnać.

— A o Rossim nie zapomni pan? — rzekła ze słabym uśmiechem.

— O nie. Poproszę, ażeby mu oddano wieniec.

— Pan go sam nie wręczy?... Dlaczegoż to?...

— Dziś w nocy jadę do Paryża — odpowiedział Wokulski.

Uklonił się i wyszedł.

Przez chwilę panna Izabela stała zdumiona; następnie pobiegła do pokoju ojca.

— Co to znaczy, papo? Wokulski pożegnał się ze mną bardzo chłodno i powiedział, że — dziś w nocy wyjeżdża do Paryża.

— Co?... co?... co?... — zawołał pan Tomasz chwytając się oburącz za głowę. — On z pewnością obraził się...

— Ach... prawda!... Wspomniałam mu o kupnie naszej kamienicy...

— Chryste!... i cóż ty zrobiła?... A... wszystko stracone... Teraz rozumiem... Naturalnie, że się obraził... No — dodał po chwili — ale kto mógł przypuścić, że jest tak obraźliwy?... Taki sobie zwyczajny kupiec!...

XX. PAMIĘTNIK STAREGO SUBIEKTA

...I wyjechał!... Pan Stanisław Wokulski, wielki organizator spółki do handlu przewozowego, wielki naczelnik firmy, która ma w obrocie ze cztery miliony rubli rocznie, wyjechał do Paryża jak pierwszy lepszy pocztylion do Miłosny... Jednego dnia mówił (do mnie samego), że nie wie, kiedy pojedzie, a na drugi dzień — szast... prast... i już go nie ma.

Zjadł elegancki obiad u jaśnie wielmożnych państwa Łęckich, wypił kawę, wykuł zęby i — jazda. Naturalnie. Pan Wokulski nie jest przecie lichym subiektem, który musi żebrać u pryncypała o urlop raz na kilka lat. Pan Wokulski jest kapitalistą, ma ze sześćdziesiąt tysięcy rubli rocznie, żyje za pan brat z hrabiami i książętami, pojedynkuje się z baronami i wyjeżdża, kiedy chce. A wy, moi płatni oficjaliści, kłopotcie się o interesa. Przecie za to macie pensje i dywidendy.

I to jest kupiec?... To jest błazenstwo, mówię, nie kupiectwo!...

No, można wyjechać nawet do Paryża i nawet po wariacku, ale nie w takich czasach. Tu, panie, kongres berliński nawarzył piwa — tu, panie, Anglia, panie, za Cypr⁵³⁴, Austria za Bośnię... Włochy krzyczą wniebogłosy: „Dajcie nam Triest, bo będzie źle...”⁵³⁵ Tu już słyszę, panie, w Bośni krew się leje potokami⁵³⁶ i (byle żniwa skończyć) wojna buchnie przed zimą jak amen w pacierzu... A on tymczasem daje nura do Paryża!...

Cyt!...?... Po co on tak nagle wyjechał do Paryża?... Na wystawę?... Cóż go obchodzi wystawa. A może w tym interesie, który miał zrobić z Suzinem?... Ciekawym, na jakich to interesach zyskuje się po pięćdziesiąt tysięcy rubli, tak sobie od ręki?... Oni mi mówią o wielkich maszynach do nafty czy do kolei, czy też do cukrowni?... Ale czy wy, aniołki, zamiast po nadzwyczajne maszyny, nie jedziecie po zwykłe armaty?... Francja, tylko patrzeć, jak weźmie się za łeb z Niemcami...⁵³⁷ Mały Napoleonek niby to siedzi w Anglii: ale przecież z Londynu do Paryża bliżej niż z Warszawy do Zamościa...

Ej!... panie Ignacy — nie śpiesz się ty z sądami o panu W. (w takich razach lepiej nie wymawiać całego nazwiska), nie potępiaj go, bo możesz się ośmieszyć. Tu gotuje się jakaś gruba kabała: ten pan Łęcki, który kiedyś był u Napoleona III, i ten niby aktor Rossi, Włoch... (Włochy gwałtem upominają się o Triest...), i ten obiad u państwa Łęckich przed samym wyjazdem, i to kupno kamienicy...

Panna Łęcka piękna, bo piękna, ale przecież jest tylko kobietą i dla niej Stach nie popełniałby tylu szaleństw... W tym jest coś z p... (w takich razach najwłaściwiej mówić skröceniami). W tym jest jakieś duże P...

Będzie już ze dwa tygodnie, jak wyjechał biedny chłopak, może na zawsze... Listy pisze krótkie i suche, o sobie nie mówi nic, a mnie tak nurtuje smutek, że nieraz, dalibóg, miejsca znaleźć nie mogę. (No, chyba nie za nim; tylko tak, z przyzwyczajenia.)

Pamiętam, kiedy wyjeżdżał. Już zamknęliśmy sklep i właśnie przy tym oto stoliku piliśmy herbatę (Ir wciąż mi niedomaga), gdy naraz wpada do pokoju lokaj Stacha:

— Pan prosi! — wrzasnął i uciekł.

Podróż

Pozycja społeczna

Polityka, Wojna

Polityka, Tajemnica

Kobieta

Tęsknota

Sluga

⁵³⁴ *Anglia... za Cypr* — Cypr: wyspa na Morzu Śródziemnym, odstąpiona Anglii przez Turcję za obronę jej interesów politycznych traktatem z 4 czerwca 1878 r., ujawnionym dopiero w miesiąc później.

⁵³⁵ *Włochy krzyczą...: „Dajcie nam Triest”*... — Triest: port nad Morzem Adriatyckim, należał wówczas do Austrii. Przyłączenie Triestu do Włoch było jednym z dążeń polityki włoskiej. Po kongresie berlińskim partia republikańska we Włoszech, popierana przez Garibaldię, rozpoczęła wzmożoną agitację za przyłączeniem Triestu (druga połowa lipca). Rząd włoski starał się natomiast utrzymać poprawne stosunki z Austrią.

⁵³⁶ *W Bośni krew się leje potokami*... — mowa o zbrojnym powstaniu mahometańskiej ludności Bośni przeciw okupacji austriackiej (koniec lipca — październik 1878). Nieoczekiwany opór zmusił Austrię do wysłania dwutysięcznej armii, której dopiero po kilkudziesięciu bitwach i potyczkach udało się stłumić ruch partyzancki.

⁵³⁷ *Francja, tylko patrzeć, jak weźmie się za łeb z Niemcami* — po przegranej z Prusami wojnie 1870–1871 r. istniało we Francji dążenie do odwetu, odsuwano jednak na dalszą przyszłość.

(Co to za zuchwały gałgan, a co za próżniak!... Trzeba było widzieć minę, z jaką stanął we drzwiach i powiedział: „Pan prosi!” Bydlę.)

Chciałem go zmonitować: błaznie jakiś, twój pan jest panem tylko dla ciebie; ale polecał na złamanie karku.

Szybko dokończyłem herbatę, Irowi nalałem trochę mleka do miseczki i poszedłem do Stacha. Patrząc, w bramie jego lokaj kokietuje od razu aż trzy dziewczuchy jak łanie. No, myślę, taki wałkoń i czterem dałby radę, chociaż... (Z tymi kobietami sam diabeł nie dojdzie porządku. Na przykład pani Jadwiga, szczuplutka, malutka, eteryczna, a już trzeci mąż dostaje przy niej suchot.)

Kobieta

Wchodzę na górę. Drzwi do mieszkania nie zamknięte, a sam Stach przy świetle lampy pakuje walizkę. Coś mnie tknęło.

Podróż

— Cóż to znaczy? — pytam.

— Jadę dziś do Paryża — odpowiedział.

— Wczoraj mówiłeś, że jeszcze nie tak prędko pojedziesz?...

Przemiana

— Ach, wczoraj... — odparł.

Cofnął się od walizki i pomyślał chwilę; potem dodał szczególnym tonem:

— Jeszcze wczoraj... myliłem się...

Wyrazy te zastanowiły mnie w przykry sposób. Spojrzałem na Stacha z uwagą i ogarnęło mnie zdziwienie. Nigdy bym nie sądził, ażeby człowiek niby to zdrowy, a w każdym razie nie raniony, mógł zmienić się tak w przeciągu kilku godzin. Pobladł, oczy zapadły, prawie zdziczał...

— Skądże ta nagle zmiana... projektu? — spytałem czując, że nie o to pytam, co bym chciał wiedzieć.

— Mój kochany — odparł — alboż ty nie wiesz, że nieraz jedno słowo zmienia projekta, nawet ludzi... A nie dopiero cała rozmowa! — dodał szeptem.

Wciąż pakując i zbierając różne graty wyszedł do sali. Upłynęła minuta — nie wracał; dwie... nie wraca... Spojrzałem przez uchylone drzwi i zobaczyłem, że stoi oparty o poręcz krzesła patrząc bezmyślnie w okno.

— Stachu...

Ocknął się — i znowu powrócił do pakowania zapytując:

— Czego chcesz?

— Tobie coś jest.

— Nic.

— Już dawno nie widziałem cię takim.

Uśmiechnął się.

— Zapewne od czasu — odparł — kiedy to dentysta źle wyrwał mi ząb, i w dodatku zdrowy...

— Dziwnie mi wygląda to twoje wybieranie się w drogę — rzekłem. — Może masz mi co powiedzieć?...

— Powiedzieć?... Ach, prawda... W banku mamy około stu dwudziestu tysięcy rubli, więc pieniędzy wam nie zabraknie... Dalej... Cóż dalej?... — pytał sam siebie. — Aha!... Nie rób już sekretu, że ja kupiłem kamienicę Łęckich. Owszem, zajdź tam i ponaznaczaj komorne według dawnych cen. Pani Krzeszowskiej możesz podnieść jakieś kilkanaście rubli, niech się trochę zirytuje; ale biedaków nie duś... Mieszka tam jakiś szewc, jacyś studenci; bierz od nich, ile dadzą, byle płacili regularnie.

Spojrzał na zegarek, a widząc, że ma jeszcze czas, położył się na szezlongu i leżał milcząc, z rękoma nad głową i przymkniętymi oczyma. Widok ten był nad wszelki wyraz żaloszny.

Usiadłem mu przy nogach i rzekłem:

— Tobie coś jest, Stachu?... Powiedz, co ci jest. Z góry wiem, że nie pomogę, ale widzisz... Zgryzota jest jak trucizna: dobrze ją wypłuć...

Trucizna

Stasiek znowu uśmiechnął się (jak ja nie lubię tych jego półuśmiechów) i po chwili odparł:

Śmiech

— Pamiętam (dawne to dzieje!), siedziałem w jednej izbie z jakimś frantem, który był dziwnie szczery. Opowiadał mi niestworzone rzeczy o swojej rodzinie, o swoich stosunkach, o swoich wielkich czynach, a potem — bardzo uważnie słuchał moich dziejów. No — i dobrze z nich skorzystał...

Przyjaźń, Zdrada

— Cóż to znaczy?... — spytałem.
— To znaczy, mój stary, że ponieważ ja nie chcę z ciebie wydobywać żadnych zeznań, więc i przed tobą nie mam potrzeby ich robić.

— Jak to — zawolałem — w taki sposób traktujesz zwierzenie się przed przyjacielem?
— Daj spokój — rzekł podnosząc się z kanapy. — To może dobre, ale dla pensjonarek... Ja zresztą nie mam z czego zwierzać się nawet przed tobą. Jakim ja znużony!... — mruknął przeciągając się.

Teraz dopiero wszedł ten łajdak lokaj; wziął walizę Stacha i dał znać, że konie stoją przed domem. Siedliśmy do powozu, Stach i ja, ale przez drogę do kolei nie zamieniliśmy ani wyrazu. On patrzył na gwiazdy świszcząc przez zęby, a ja myślałem, że jadę — chyba na pogrzeb.

Na dworcu Kolei Wiedeńskiej⁵³⁸ złapał nas doktor Szuman.

— Jedziesz do Paryża? — zapytał Stacha.

— A ty skąd wiesz?

— O, ja wszystko wiem. Nawet to, że tym samym pociągiem jedzie pan Starski.

Stach wstrząsnął się.

— Co to za człowiek? — rzekł do doktora.

— Próżniak, bankrut... jak zresztą wszyscy oni — odparł Szuman. — No i ekskonkurent... — dodał.

— Wszystko mi jedno.

Szuman nie odpowiedział nic, tylko spojrzał spod oka.

Zaczęto dzwonić i świstać. Podróżni tłoczyli się do wagonów; Stach uściśnął nas za ręce.

— Kiedy wracasz? — zapytał go doktor.

— Chciałbym... nigdy — odpowiedział Stach i siadł do pustego przedziału pierwszej klasy.

Pociąg ruszył. Doktor zamyślony patrzył na oddalające się latarnie, a ja... O mało się nie rozplakałem...

Kiedy woźni poczęli zamykać drzwi peronu, namówiłem doktora na przechadzkę po Alejach Jerozolimskich. Noc była ciepła, niebo czyste; nie pamiętam, ażebym kiedykolwiek widział więcej gwiazd. A ponieważ Stach mówił mi, że w Bułgarii często patrzył na gwiazdy, więc (zabawny projekt!) i ja postanowiłem od tej pory co wieczór spoglądać w niebo. (A może istotnie na którymś z migotliwych światel spotkają się nasze spojrzenia czy myśli i on nie będzie czuł się już tak osamotnionym jak wtedy?)

Nagle (nie wiem nawet skąd?) zrodziło się we mnie podejrzenie, że niespodziewany wyjazd Stacha ma związek z polityką. Postanowiłem więc wy badać Szumana i chcąc zażyć go z mańki⁵³⁹, rzekłem:

— Coś mi się zdaje, że Wokulski jest... jakby zakochany?...

Doktor zatrzymał się na chodniku i usiadłszy na swej łasce zaczął się śmiać w sposób, który aż zwracał uwagę na szczęście nielicznych przechodniów.

— Cha! cha... czyś pan dopiero dzisiaj zrobił tak piramidalne odkrycie?... Cha! cha!... podoba mi się ten starzec!...

Głupi był koncept. Przygryzłem jednak usta i odparłem:

— Zrobić to odkrycie było łatwo, nawet dla ludzi... mniej wprawnych ode mnie (zdaje się, że mu troszkę dogryzłem). Ale ja lubię być ostrożny w przypuszczeniach, panie Szuman... Zresztą, nie sądziłem, ażeby mogła wyrabiać z człowiekiem podobne hece rzecz tak zwyczajna jak miłość.

— Mylisz się, staruszkule — odparł doktor machając ręką. — Miłość jest rzeczą zwyczajną wobec natury, a nawet, jeżeli chcesz, wobec Boga. Ale wasza głupia cywilizacja, oparta na poglądach rzymskich, dawno już zmarłych i pogrzebanych, na interesach papieża, na trubadurach⁵⁴⁰, ascetyzmie, kastowości i tym podobnych bredniach, z naturalnego uczucia zrobiła... wiesz co?... Zrobiła nerwową chorobę!... Wasza niby to miłość

Sluga

Warszawa

Podróż

Gwiazda, Noc

Polityka, Podstęp

Małżeństwo, Miłość

Choroba, Dziedzictwo

⁵³⁸dworzec Kolei Wiedeńskiej znajdował się na rogu ul. Marszałkowskiej i Al. Jerozolimskich.

⁵³⁹zażyć z mańki — oszukać, podejść.

⁵⁴⁰trubadurzy — średniowieczni poeci prowansalscy opiewający miłość.

rycersko-kościelno-romantyczna jest naprawdę obrzydliwym handlem opartym na oszustwie, które bardzo słusznie karze się dożywotnimi galerami⁵⁴¹, zwanymi małżeństwem... Biada jednak tym, co na podobny jarmark przynoszą serca... Ile on pochłania czasu, pracy, zdolności, ba! nawet egzystencji... Znam to dobrze — mówił dalej, zadyszany z gniewu — bo choć jestem Żydem i zostanę nim do końca życia, wychowałem się jednak między waszymi, a nawet zaręczyłem się z chrześcijanką... No i tyle nam porobiono udogodnień w naszych zamiarach, tak czule zaopiekowano się nami w imię religii, moralności, tradycji i już nie wiem czego, że ona umarła, a ja próbowałem się otruć... Ja, taki mądry, taki łysy!...

Miłość tragiczna,
Samobójstwo, Żyd,
Mądrość, Starość

Znowu stanął na chodniku.

— Wierz mi, panie Ignacy — kończył schrypniętym głosem — że nawet między zwierzętami nie znajdziesz tak podłych bydląt jak ludzie. W całej naturze samiec należy do tej samicy, która mu się podoba i której on się podoba. Toteż u bydląt nie ma idiotów. Ale u nas!... Jestem Żyd, więc nie wolno mi kochać chrześcijanki... On jest kupiec, więc nie ma prawa do hrabianki... A ty, który nie posiadasz pieniędzy, nie masz prawa do żadnej zgoła kobiety... Podła wasza cywilizacja!... Chciałbym bodaj natychmiast zginąć, ale przywalony jej gruzami...

Pozycja społeczna, Miłość,
Natura, Zwierzęta

Szliśmy wciąż ku rogatom⁵⁴². Od kilku minut zerwał się wiatr wilgotny i dał nam prosto w oczy; na zachodzie poczęły znikać gwiazdy zasłaniane przez chmury. Latarnie trafiały się coraz rzadziej. Kiedy niekiedy w Alei zaturkotał wóz obsypując nas niewidzialnym pyłem; spóźnieni przechodnie uciekali do domów.

Miasto, Noc, Wiatr
Gwiazda

„Będzie deszcz!... Stach już jest około Grodziska⁵⁴³” — pomyślałem.

Doktor nasunął kapelusz na głowę i szedł zirytowany, milcząc. Mnie było coraz mroźniej, może z powodu wzrastającej ciemności. Nie powiedziałbym tego nikomu nigdy, ale nieraz mnie samemu przychodzi na myśl, że Stach... naprawdę już nie dba o politykę, ponieważ cały zatonął w fałdach sukienki tej panny. Zdaje się, że mu nawet coś o tym wspomniałem onegdaj i że to, co on mi odpowiedział, bynajmniej nie osłabiło moich podejrzeń.

Idealista, Miłość, Polityka,
Społecznik

— Czy podobna — odezwałem się — ażeby Wokulski tak dalece już zapomniał o sprawach ogólnych, o polityce, o Europie...

— Z Portugalią — wtrącił doktor.

Ten cynizm oburzył mnie.

Maszyna

— Pan sobie drwisz — rzekłem. — Nie zaprzeczysz jednak, że Stach mógł zostać czymś lepszym aniżeli nieszczęśliwym wielbicielem panny Łęckiej. To był działacz społeczny, nie jakiś tam kiepski wzdychacz...

— Masz pan rację — potwierdził doktor — ale cóż stąd?... Machina parowa przecież nie młynek do kawy, to wielka machina; ale gdy w niej zardzewieją kółka, stanie się gratem bezużytecznym i nawet niebezpiecznym. Otóż w Wokulskim jest podobne kółko, które rdzewieje i psuje się...

Wiatr dał coraz mocniej; miałem pełne oczy piasku.

— I skąd właśnie na niego padło takie nieszczęście? — odezwałem się. (Ale niedbałym tonem, ażeby Szuman nie myślał, że żądam informacji.)

— Na to złożyło się i usposobienie Stacha, i stosunki wytworzone przez cywilizację — odparł doktor.

— Usposobienie?... On nigdy nie był kochliwy.

Flirt, Miłość, Skąpiec

— Tym się zgubił — ciągnął Szuman. — Tysiąc centnarów śniegu, rozdzielonego na płatki, tylko przysypują ziemię nie szkodząc najmniejszej trawce; ale sto centnarów śniegu zbitych w jedną lawinę burzy chałupy i zabija ludzi. Gdyby Wokulski kochał się przez całe życie co tydzień w innej, wyglądałby jak pączek, miałby swobodną myśl i mógłby zrobić wiele dobrego na świecie. Ale on, jak skąpiec, gromadził kapitały sercowe, no i widzimy skutek tej oszczędności. Miłość jest wtedy piękną, kiedy ma wdzięki motyla; ale gdy po

⁵⁴¹galeria — dawne okręty wojenne poruszane wiosłami, zazwyczaj przez skazańców; tu w znaczeniu: ciężka kara.

⁵⁴²rogatki — mowa o zachodnich rogatkach Warszawy, tzw. rogatkach Jerozolimskich, znajdujących się przy dzisiejszym placu Zawiszy.

⁵⁴³Grodzisk — miasteczko i stacja kolejowa 29 km na zachód od Warszawy w kierunku Skierniewic.

długim letargu obudzi się jak tygrys, dziękuję za zabawę!... Co innego człowiek z dobrym apetytem, a co innego ten, któremu głód skręca wnętrzności...

Chmury podnosiły się coraz wyżej; zawróciliśmy prawie od rogatek. Pomyślałem, że Stach musi już być około Rudy Guzowskiej⁵⁴⁴.

A doktor wciąż prawil, coraz mocniej rozgorączkowany, coraz gwałtowniej wywijając laską:

— Jest higiena mieszkań i odzieży, higiena pokarmów i pracy, których nie wypełniają klasy niższe, i to jest powodem wielkiej śmiertelności między nimi, krótkiego życia i charłactwa. Ale jest również higiena miłości, której nie tylko nie przestrzegają, lecz po prostu gwałcą klasy inteligentne, i to stanowi jedną z przyczyn ich upadku. Higiena woła: „Jedz, kiedy masz apetyt!”, a wbrew niej tysiąc przepisów chwyta cię za poły wrzeszcząc: „Nie wolno!... będziesz jadł, kiedy my cię upoważnimy, kiedy spełnisz tyle a tyle warunków postawionych przez moralność, tradycję, modę...” Trzeba przyznać, że w tym razie najbardziej zacofane państwa wyprzedziły najbardziej postępowe społeczeństwa, a raczej ich klasy inteligentne.

I przypatrz się, panie Ignacy, jak zgodnie w kierunku oglupienia ludzi pracuje pokój dziecienny i salon, poezja, powieść i dramat. Każą ci szukać ideałów, samemu być idealnym ascetą i nie tylko wypełniać, ale nawet wytwarzać jakieś sztuczne warunki. A co z tego wynika w rezultacie?... Że mężczyzna, zwykle mniej wytresowany w tych rzeczach, staje się łupem kobiety, którą tylko w tym kierunku tresują. I otóż cywilizacją naprawdę rządzą kobiety!...

— Czy w tym jest co złego? — spytałem.

— A niech diabli wezmą! — wrzasnął doktor. — Czy nie spostrzegłeś, panie Ignacy, że jeżeli mężczyzna pod względem duchowym jest muchą, to kobieta jest jeszcze gorszą muchą, gdyż pozbawioną łap i skrzydeł. Wychowanie, tradycja, a może nawet dziedziczność, pod pozorem zrobienia jej istotą wyższą, robią z niej istotę potworną. I ten próżnujący dziwoląg, ze skrzywionymi stopami, ze ściśniętym tułowiem, czczym mózgiem, ma jeszcze obowiązek wychowywać przyszłe pokolenia ludzkości!... Cóż więc im zaszczepią?... Czy dzieci uczą się pracować na chleb?... Nie, uczą się ładnie trzymać nóż i widelec. Czy uczą się poznawać ludzi, z którymi kiedyś żyć im przyjdzie?... Nie, uczą się im podobać za pomocą stosownych min i ukłonów. Czy uczą się realnych faktów, decydujących o naszym szczęściu i nieszczęściu?... Nie, uczą się zamykać oczy na fakty, a marzyć o ideałach. Nasza miękkość w życiu, nasza niepraktyczność, lenistwo, fagasostwo i te straszne pęta głupoty, które od wieków gniołą ludzkość, są rezultatem pedagogiki stworzonej przez kobiety. A nasze znowu kobiety są owocem klerykalno⁵⁴⁵—feudalno⁵⁴⁶—poetyckiej teorii miłości, która jest obelgą dla higieny i zdrowego rozsądku...

W głowie mi szumiało od wywodów doktora, a on tymczasem ciskał się na ulicy jak szalony. Na szczęście błysnęło, upadły pierwsze krople deszczu, a zaciętrzewiony mówca nagle ochłonął i skoczywszy w jakąś dorożkę kazał odwieźć się do domu.

Stach był już chyba około Rogowa⁵⁴⁷. Czy też domyślił się, żeśmy tylko o nim mówili? i co on, biedak, czuł mając jedną burzę nad głową, a drugą, może gorszą, w sercu?

Phi! co za ulewa, co za kanonada piorunów... Zwinęty w kłębek Ir odszczekuje im przez sen stłumionym głosem, a ja kładę się do łóżka, nakryty tylko prześcieradłem. Gorąca noc. Panie Boże, opiekuj się tymi, którzy w podobną noc uciekają aż za granicę przed nieszczęściem.

Nieraz dość jest małego figla, aby rzeczy, dawne jak ludzkie grzechy, pokazały się nam w nowym zupełnie oświeceniu.

Ja na przykład znam Stare Miasto od dziecka i zawsze wydawało mi się, że jest ono tylko ciasne i brudne. Dopiero kiedy pokazano mi jako osobliwość rysunek jednego z domów staromiejskich (i to jeszcze w „Tygodniku Ilustrowanym”⁵⁴⁸, z opisem!), nagle

⁵⁴⁴Ruda Guzowska — wieś i stacja kolejowa znajdująca się 42 km od Warszawy w kierunku Skierniewic.

⁵⁴⁵klerykalny — tu: ukształtowany przez duchowieństwo i odpowiadający jego interesom.

⁵⁴⁶feudalny — tu: wytworzony przez rycerstwo średniowieczne.

⁵⁴⁷Rogów — wieś i stacja kolejowa w pow. brzezińskim między Skierniewicami a Kolaszkami, 95 km od Warszawy. Rzecki popełnia tu błąd zamierzony przez Prusa; kolejka warszawsko-bydgoską jechało się przez Skierniewice na Łowicz, z pominięciem Rogowa.

⁵⁴⁸„Tygodnik Ilustrowany” — popularne pismo ilustrowane o kierunku zachowawczym, wychodzące w Warszawie w latach 1859–1939.

Lekarz, Miłość, Zdrowie

Kobieta, Mężczyzna

Kobieta, Kaleka

Dziecko

Miłość

Burza

Burza

Pies

Noc

Modlitwa

Warszawa

sposprzegłem, że Stare Miasto jest piękne... Od tej pory chodzę tam przynajmniej raz na tydzień i nie tylko odkrywam coraz nowe osobliwości, ale jeszcze dziwię się, że ich nie zauważył dawniej.

Tak samo z Wokulskim. Znam go ze dwadzieścia lat i ciągle myślałem, że on jest z krwi i kości polityk. Głowę dałbym sobie uciąć, że Stach niczym więcej nie zajmuje się, tylko polityką. Dopiero pojedynek z baronem i owacje dla Rossiego zbudziły we mnie podejrzenia, że on może być zakochany. O czym już dziś nie wątpię, szczególnie po rozmowie z Szumanem.

Ale to fraszka, bo i polityk może być zakochany. Taki Napoleon I kochał się na prawo i na lewo i mimo to trząsł Europą. Napoleon III także miał sporo kochanek, a słyszę, że i syn wstępuje w jego ślady i już wynalazł sobie jakąś Angielkę.

Jeżeli więc słabość do kobiet nie kompromituje Bonapartych, dlaczego miałyby uwłaczać Wokulskiemu?...

I właśnie kiedyś tak rozmyślał, zaszedł drobny wypadek, który przypomniał mi dzieje pogrzebane od lat kilkunastu, a i samego Stacha przedstawił w innym świetle. Och, on nie jest politykiem; on jest czymś zupełnie innym, z czego sobie nie umiem nawet dobrze zdać sprawy.

Czasem zdaje mi się, że jest to człowiek skrzywdzony przez społeczeństwo. Ale o tym cicho!... Społeczność nikogo nie krzywdzi... Gdyby raz przestano w to wierzyć, Bóg wie jakie okazałyby się pretensje. Może nawet nikt by już nie zajmował się polityką, tylko myślałby o wyrównywaniu rachunków ze swymi najbliższymi. Lepiej więc nie zaczepiać tych kwestyj. (Jak ja dużo gadam na starość, a wszystko nie to, o czym chcę powiedzieć.)

Jednego tedy wieczora piję u siebie herbatę (Ir jest wciąż osowiały), aż otwierają się drzwi i ktoś wchodzi. Patrząc, figura otyła, twarz nalana, nos czerwony, łeb siwy. Wącham, czuć w pokoju jakby wino i stęchliznę.

„Ten szlachcic — myślę — jest albo nieboszczykiem, albo kiperem⁵⁴⁹?... Bo żaden inny człowiek nie będzie pachniał stęchlizną...”

— Cóż, u diabła!... — dziwi się gość. — Takeś już zhardział, że nie poznajesz ludzi?...

Przetarłem oczy. Ależ to żywy Machalski, kiper od Hopfera!... Byliśmy razem na Węgrzech, później tu, w Warszawie; ale od piętnastu lat nie widzieliśmy się, gdyż on mieszka w Galicji i ciągle jest kiperem.

Naturalnie, przywitaliśmy się jak bliźnięta, raz, drugi i trzeci...

— Kiedyżeś przyjechał? — pytam.

— Dziś rano — on mówi.

— A gdzieżeś był do tej pory?

— Zajechałem na Dziekanę⁵⁵⁰, ale było mi tak tęskno, że zaraz poszedłem do Lesisza⁵⁵¹, do piwnicy... To, panie, piwnice!... żyć, nie umierać...

— Cóż tam robił?

— Trochę pomagałem staremu, a zresztą siedziałem. Niegłupim chodzić po mieście, kiedy jest taka piwnica.

Oto prawdziwy kiper dawnej daty!... Nie dzisiejszy elegant, co, bestia, woli iść na wieczór tańczący aniżeli siedzieć w piwnicy. I nawet do piwnicy bierze lakierki... Ginie Polska przy takich podłych kupcach!...

Gadu, gadu, przesiedzieliśmy do pierwszej w nocy. Machalski przenocował u mnie, a o szóstej rano znowu poleciał do Lesisza.

— Cóż będziesz robił po obiedzie? — pytam.

— Po obiedzie wstąpię do Fukiera⁵⁵², a na noc wrócę do ciebie — odpowiedział.

Był z tydzień w Warszawie. Nocował u mnie, a dni spędzał w piwnicach.

— Powiesiłbym się — mówił — żeby mi przyszło tydzień włóczyć się po dworze. Ścisk, upał, kurzawa!... świnię mogą żyć tak jak wy, ale nie ludzie.

Miłość, Polityka

Krzywdza, Polityka

Piwnica, Wino

⁵⁴⁹kiper — piwniczny, zajmujący się przygotowaniem wina do sprzedaży; znawca gatunków wina.

⁵⁵⁰Diekanica — zabytkowy zajazd na Krakowskim Przedmieściu, zburzony w 1944 r., obecnie odbudowany i zamieniony na dom akademicki dla studentów szkolnictwa artystycznego.

⁵⁵¹Lesisz — znana winiarnia warszawska Karola Lesisza (Krakowskie Przedmieście 54); w ocalałych piwnicach mieści się obecnie rozlewnia win.

⁵⁵²Fukier — słynna winiarnia Fukierów z obszernymi piwnicami w zabytkowej kamienicy z XVI w. na Rynku Starego Miasta (zburzonej w czasie powstania warszawskiego, obecnie odbudowanej).

Zdaje mi się, że przesadza. Bo choć i ja wolę sklep aniżeli Krakowskie Przedmieście, jednakże co sklep, to nie piwnica. Zdziwaczał chłop na swoim kiproście.

Naturalnie, o czymże mieliśmy rozmawiać z Machalskim, jeżeli nie o dawnych czasach i o Stachu? I tym sposobem stanęła mi przed oczyma historia jego młodości, jakbym ją widział wczoraj.

Pamiętam (był to rok 1857, może 58), zaszedłem raz do Hopfera, u którego pracował Machalski.

— A gdzie pan Jan? — pytałem chłopca.

— W piwnicy.

Zaszedłem do piwnicy. Patrzę, mój pan Jan przy łożówce ściąga lewarem⁵⁵³ wino z beczki do butelek, a we framudze mającej jakieś dwa cienie: siwy starzec w piaskowym surducie, z pliką papierów na kolanach, i młody chłopak z krótko ostrzyżonym łbem i miną zbója. To był Stach Wokulski i jego ojciec.

Siadłem cicho (bo Machalski nie lubił, ażeby mu przeszkadzano przy ściąganym wina), a siwy człowiek w piaskowym surducie prawił jednostajnym głosem do owego młodzika:

— Co to wydawać pieniądze na książki?... Mnie dawaj, bo jak będę musiał przerwać proces, wszystko zmarnieje. Książki nie wydobędą cię z upodlenia, w jakim teraz jesteś, tylko proces. Kiedy go wygram i odzyskam nasze dobra po dziadku, wtedy przypomnę sobie, że Wokulscy stara szlachta, i nawet znajdzie się familia... W zeszłym miesiącu wydałeś dwadzieścia złotych na książki, a mnie akurat tyle brakowało na adwokata... Książki!... zawsze książki... Żebyś był mądry jak Salomon, póki jesteś w sklepie, będę tobą pomiatali, chociażżeś szlachcic, a twój dziadek z matki był kasztelanem. Ale jak wygram proces, jak wyniesiemy się na wieś...

— Chodźmy stąd, ojcie — mruknął chłopak, spode łba patrząc na mnie.

Stary, posłuszny jak dziecko, zawinął swoje papiery w czerwoną chustkę i wyszedł z synem, który musiał go podtrzymywać na schodach.

— Cóż to za odmieńczy? — pytam Machalskiego, który właśnie skończył robotę i usiadł na zydlu⁵⁵⁴.

— Ach!... — machnął ręką. — Stary ma pomieszane klepki, ale chłopak zdatny. Nazywa się Stanisław Wokulski. Bystra bestia!...

— Cóż on zrobił? — pytam.

Machalski objaśnił palcami świecę i nalawszy mi kieliszek wina mówił:

— On tu jest u nas ze cztery lata. Do sklepu albo do piwnicy nie bardzo... Ale mechanik!... Zbudował taką maszynę, co pompuje wodę z dołu do góry, a z góry wylewa ją na koło, które właśnie porusza pompę. Taka maszyna może obracać się i pompować do końca świata; ale coś się w niej skrzywiło, więc ruszała się tylko kwadrans. Stała tam na górze, w pokoju jadalnym, i Hopferowi zwabiała gości; ale od pół roku coś w niej pękło.

— Otóż jaki!... — mówię.

— No, jeszcze nie taki bardzo — odparł Machalski. — Był tu jeden profesor z gimnazjum realnego⁵⁵⁵, obejrzał pompę i powiedział, że na nic się nie zda, ale że chłopak zdolny i powinien uczyć się. Od tej pory mamy sądny dzień w sklepie. Wokulski zhardtował, gościom odmrukuje, w dzień wygląda, jakby drzemał, a za to uczy się po nocach i kupuje książki. Jego znowu ojciec wolałby te pieniądze użyć na proces o jakiś tam majątek po dziadku... Słyszałeś przecie, co mówił.

— Cóż on myśli robić z tą nauką? — rzekłem.

— Mówi, że pojedzie do Kijowa, do uniwersytetu⁵⁵⁶. Ha! niech jedzie — prawil Machalski — może choć jeden subiekt wyjdzie na człowieka. Ja mu tam nie przeszkadzam; kiedy jest w piwnicy, nie napędzam go do roboty; niech sobie czyta. Ale na górze dokuczają mu subiekt i goście.

— A co na to Hopfer?

Nauka

⁵⁵³lewar — dźwignia, przyrząd do podnoszenia ciężarów albo zgięta w kształcie kolana rurka służąca do przewlekania płynów (tu w tym drugim znaczeniu).

⁵⁵⁴zydel — prostej roboty drewniany stołek bez poręczy.

⁵⁵⁵gimnazjum realne — gimnazjum przygotowujące do zawodów praktycznych. Program uwzględniał przede wszystkim matematykę, nauki przyrodnicze, języki nowożytne i rysunki.

⁵⁵⁶pojedzie do Kijowa, do uniwersytetu — po zamknięciu przez władze rosyjskie uniwersytetu warszawskiego, wileńskiego i Liceum Krzemienieckiego (w związku z powstaniem listopadowym) na uniwersytecie kijowskim studiowało wiele młodzieży polskiej.

— Nic — ciągnął Machalski zakładając nową łojówkę w żelazny lichtarz z rączką. — Hopfer nie chce go odstręczać od siebie, bo Kasia Hopferówna durzy się trochę w Wokulskim, a może chłopak odzyska majątek po dziadku?...

— I on durzy się w Kasi? — spytałem.

— Ani na nią spojrz, dzika bestia! — odparł Machalski.

Zaraz wówczas pomyślałem, że chłopak z tak otwartą głową, który kupuje książki i nie dba o dziewczęta, mógłby być dobrym politykiem; więc jeszcze tego dnia zapoznałem się ze Stachem i od tej pory żyjemy ze sobą nie najgorzej...

Stach był jeszcze ze trzy lata u Hopfera i przez ten czas porobił duże znajomości ze studentami, z młodymi urzędnikami rozmaitych biur, którzy na wyścigi dostarczali mu książek, ażeby mógł zdać egzamin do uniwersytetu.

Pośród tej młodzieży wyróżniał się niejaki pan Leon⁵⁵⁷, chłopak jeszcze młody (nie miał nawet dwudziestu lat), piękny, a mądry... a zapalczywy!... Ten jakby był moim pomocnikiem w politycznej edukacji Wokulskiego: kiedy bowiem ja opowiadałem o Napoleonie i wielkim posłannictwie Bonapartych, pan Leon mówił o Mazzinim⁵⁵⁸, Garibaldim i im podobnych znakomitościach. A jak on umiał podnosić ducha!...

— Pracuj — mówił nieraz do Stacha — i wierz, bo silna wiara może zatrzymać słońce w biegu, a nie dopiero polepszyć stosunki ludzkie.

— A może mnie wysłać do uniwersytetu? — zapytał Stach.

— Jestem pewien — odparł Leon z zaiskrzonymi oczyma — że gdybyś choć przez chwilę miał taką wiarę jak pierwsi apostołowie, jeszcze dziś znalazłbyś się w uniwersytecie...

— Albo u wariatów — mruknął Wokulski.

Leon począł biegać po pokoju i trząść rękoma.

— Co za łód w tych sercach!... co za chlód!... co za upodlenie!... — wołał — jeżeli nawet taki człowiek jak ty jeszcze nie ufa. Więc przypomnij sobie, coś już zrobił w tak krótkim czasie: tyle umiesz, że mógłbyś dzisiaj zdawać egzamin...

— Co ja tam zrobię!... — westchnął Stach.

— Ty jeden niewiele. Ale kilkudziesięciu, kilkuset takich jak ty i ja... Czy wiesz, co możemy zrobić?...

W tym miejscu załamał mu się głos: Leon dostał spazmów. Ledwieśmy go uspokoili.

Innym razem pan Leon wyrzucał nam brak ducha poświęcenia.

— A wiecież wy — mówił — że Chrystus mocą poświęcenia sam jeden zbawił ludzkość?... O ileż więc świat by się udoskonalił, gdyby na nim ciągle były jednostki gotowe do ofiary z życia!...

— Czy mam oddawać życie za tych gości, którzy mi wymyślają jak psu, czy za tych chłopców i subiektów, którzy drwią ze mnie? — spytał Wokulski.

— Nie wykręcaj się! — zawołał pan Leon. — Chrystus zginął nawet za swoich katów... Ale między wami nie ma ducha... Duch w was gnije... Posłuchaj zaś, co mówi Tyrteusz⁵⁵⁹: „O Sparto, run! nim pomnik twej wielkości, naddziadów grób, meseński skruszy młot i na żer psom rozruci święte kości, i przodków cień odeгна od twych wrót... Ty, ludu, nim wróg w pętach cię powlecze, ojców twych broń na progach domów złam i w przepaść rzuć... Niech nie wie świat, że miecze były wśród was, lecz serca zbrakło wam!...” Serca!... — powtórzył pan Leon.

Już to Stach w przyjmowaniu teorii pana Leona był bardzo ostrożny; ale młody chłopak umiał wszystkich przekonywać jak Demostenes⁵⁶⁰.

⁵⁵⁷pan Leon — postać ta jest literackim portretem brata pisarza, Leona Głowackiego. Starszy od Aleksandra o dwanaście lat, po ukończeniu uniwersytetu kijowskiego został nauczycielem. Uczestniczył w przedpowstańczej działalności konspiracyjnej. W r. 1861 był współzałożycielem Miejskiego Komitetu Czerwonych w Warszawie. Pod wpływem wydarzeń 1863 r. dostał pomieszenia zmysłów. Zmarł w r. 1904.

⁵⁵⁸Mazzini Józef (1805–1872) — rewolucjonista włoski, przywódca burżuazyjno-demokratycznej organizacji Młode Włochy, walczącej o niepodległość i zjednoczenie Włoch.

⁵⁵⁹Tyrteusz — grecki poeta z VII wieku p.n.e. Swoimi utworami pobudził męstwo Spartan w czasie wojny, którą prowadzili z Meseńczykami. Przytoczone przez Leona słowa Tyrteusza są urywkiem poematu Tyrteusz (1861) Władysława Ludwika Anczyca (1821–1913). Prus cytuje widocznie z pamięci, gdyż z odstępstwami od tekstu oryginalnego (np. u Anczyca: „O, Sparto, run! Zanim ślad twej wielkości...”).

⁵⁶⁰Demostenes (384–322 p.n.e.) — słynny mówca ateński, przywódca partii demokratycznej, obrońca niepodległości Grecji przed panowaniem macedońskim.

Pamiętam, że pewnego wieczora na licznym zebraniu ludzi młodszych i starszych spłakaliśmy się wszyscy, kiedy pan Leon opowiadał o tym doskonalszym świecie, w którym zginie głupstwo, nędza i niesprawiedliwość.

— Od tej chwili — mówił z uniesieniem — nie będzie już różnic między ludźmi. Szlachta i mieszczenie, chłopci i Żydzi, wszyscy będą braćmi....

— A subiecki?... — odezwał się z kąta Wokulski.

Lecz przerwa ta nie zmieszała pana Leona. Nagle zwrócił się do Wokulskiego, wyliczył wszystkie przykrości, jakie Stachowi wyrządzano w sklepie, przeszkody, jakie stawiano mu w pracy nad nauką, i zakończył w ten sposób:

— Abyś zaś uwierzył, że jesteś nam równym i że cię kochamy jak brata, abyś mógł uspokoić twoje serce rozgniewane na nas, oto ja... klękam przed tobą i w imieniu ludzkości błagam cię o przebaczenie krzywd.

Istotnie, ukląkł przed Stachem i pocałował go w rękę. Zebrani rozczulili się jeszcze bardziej, podnieśli w górę Stacha i Leona i przysięgli, że za takich ludzi, jak oni, każdy oddałby życie.

Dziś, kiedy przypominam sobie owe dzieje, chwilami zdaje mi się, że to był sen. Co prawda, nigdy przedtem ani później nie spotkałem takiego entuzjasty jak pan Leon.

W początkach roku 1861 Stach podziękował Hopferowi za miejsce. Zamieszkał u mnie (w tym pokoiku z zakratowanym oknem i zielonymi firankami), rzucił handel, a natomiast począł chodzić na akademickie wykłady jako wolny słuchacz.

Dziwne było jego pożegnanie ze sklepem; pamiętam to, bo sam po niego przyszedłem. Hopfera ucałował, a następnie zeszedł do piwnicy uściskać Machalskiego, gdzie zatrzymał się kilka minut. Siedząc na krześle w jadalnym pokoju słyszałem jakiś hałas, śmiechy chłopców i gości, ale nie podejrzewał figla.

Naraz (otwór prowadzący do lochu był w tej samej izbie) widzę, że z piwnicy wydobywa się para czerwonych rąk. Ręce te opierają się o podłogę i tuż za nimi ukazują się głowa Stacha raz i drugi. Goście i chłopcy w śmiech.

— Aha — zawołał jeden stołownik — widzisz, jak trudno bez schodów wyjść z piwnicy? A tobie zachciewa się od razu skoczyć ze sklepu do uniwersytetu!... Wyjdźże, kiedyś taki mądry...

Stach z głębi znowu wysunął ręce, znowu chwycił się za krawędź otworu i wydźwignął się do połowy ciała. Myślałem, że mu krew tryśnie z policzków.

— Jak on się wydobywa... Pysnie się wydobywa!... — zawołał drugi stołownik.

Stach zaczął nogą o podłogę i po chwili był już w pokoju. Nie rozgniewał się, ale też nie podał ręki żadnemu koledze, tylko zabrał swój tłumoczek i szedł ku drzwiom.

— Cóż to, nie żegnasz się z gośćmi, panie doktor!... — wołali za nim stołownicy Hopfera.

Szliśmy przez ulicę nie mówiąc do siebie. Stach przygryzał wargi, a mnie już wówczas przyszło na myśl, że to wydobywanie się z piwnicy jest symbolem jego życia, które upłynęło na wydzieraniu się ze sklepu Hopfera w szerszy świat.

Proroczy wypadek!... bo i do dziś dnia Stach ciągle tylko wydobywa się na wierzch. I Bóg wie, co by dla kraju mógł zrobić taki jak on człowiek, gdyby na każdym kroku nie usuwano mu schodów, a on nie musiał tracić czasu i sił na samo wydzieranie się do nowych stanowisk.

Przeniósłszy się do mnie pracował po całych dniach i nocach, aż mnie nieraz złość brała. Wstawał przed szóstą i czytał. Około dziesiątej biegł na kursa, potem znowu czytał. Po czwartej szedł na korepetycję do kilku domów (głównie żydowskich, gdzie mu Szuman wyrobił stosunki) i wróciwszy do domu znowu czytał i czytał, dopóki zmorzony snem nie położył się już dobrze po północy.

Miałby z owych lekcji nie najgorsze dochody, gdyby od czasu do czasu nie odwiedzał go ojciec, który zmienił się tylko o tyle, że nosił tabaczkowy surdut zamiast piaskowego, a swoje papiery obwijał w chustkę niebieską. Zresztą został taki sam jak wówczas, kiedy go poznałem. Siadał przy stoliku syna, kładł na kolanach papiery i mówił głosem cichym i jednostajnym:

— Książki... zawsze książki!... Tracisz pieniądze na naukę, a mnie brakuje na proces. Żebyś skończył dwa uniwersytety, nie wyjdiesz z dzisiejszego upodlenia, dopóki nie

Piwnica

odzyskamy naszych dóbr po dziadku. Wtedy dopiero ludzie przyznają, żeś ty szlachcic, równy innym... Wtedy znajdzie się familia...

Czas wolny od nauki poświęcał Stach na próby z balonami. Wziął dużą butlę i w niej za pomocą witrionu⁵⁶¹ preparował jakiś gaz (już nawet nie pamiętam jaki) i napełniał nim balon nieduży wprawdzie, ale przygotowany bardzo sztucznie. Była pod nim maszyna z wiatraczkiem... No i latało to pod sufitem, dopóki nie zepsuło się przez uderzenie o ścianę.

W takim razie Stach znowu latał swój balon, naprawiał maszynkę, napełniał butlę rozmaitymi paskudztwami i znowu próbował, bez końca. Raz butla pękła, a witrion mało mu nie wypalił oka. Lecz co jego to obchodziło, skoro bodaj za pomocą balonu chciał „wydobyć się” ze swej marnej pozycji.

Od czasu jak Wokulski osiedlił się u mnie, przybyła naszemu sklepowi nowa kundmanka⁵⁶²: Kasia Hopfer. Nie wiem, co tak podobało się jej u nas — moja broda czy tusza Jana Mincla? Bo dziewczyna miała ze dwadzieścia norymberskich sklepów⁵⁶³ bliżej domu, ale przychodziła do naszego po kilka razy na tydzień.

„A to proszę włóczki, a to proszę jedwabiu, a to igieł za dziesięć groszy...” Po taki sprawunek biegła wiorstę drogi w deszcz czy pogodę, a kupując za parę groszy szpilek przesiadywała w sklepie po pół godziny i rozmawiała ze mną.

— Dlaczego to panowie nigdy nie przychodzą do nas z... panem Stanisławem? — mówiła rumieniąc się. — Ojciec tak panów kocha i... my wszyscy...

Z początku dziwiłem się niespodzianej miłości starego Hopfera i dowodziłem pannie Kasi, że zbyt mało znam jej ojca, ażeby miał składać mu wizyty. Ale ona wciąż swoje:

— Pan Stanisław musi gniewać się na nas, nie wiem nawet za co, bo przynajmniej tatko i... my wszyscy jesteśmy bardzo życzliwi. Pan Stanisław chyba nie może się skarżyć, ażeby z naszej strony doznał najmniejszej przykrości... Pan Stanisław...

I tak mówiąc o panu Stanisławie kupowała jedwab zamiast włóczki albo igły zamiast nożyczek.

Co zaś najgorsze, że z tygodnia na tydzień mizerniało biedactwo. Ile razy przyszła do nas po swoje drobne sprawunki, zdawało mi się, że wygląda trochę lepiej. Ale gdy zgaśł na jej twarzy rumieniec chwilowego wzruszenia, przekonywałem się, że jest coraz bledsza, a jej oczy stają się coraz smutniejsze i głębsze.

A jak ona wypytywała się: „Czy pan Stanisław nigdy nie zachodzi tu do sklepu?...” Jak patrzyła na drzwi prowadzące do sieni i do mego mieszkania, gdzie o kilka kroków od niej zmarszczony Wokulski nie domyślając się, że tu tęskni za nim, siedział nad książkami.

Żal mi się zrobiło biedaczki, więc raz, kiedyśmy z Wokulskim pili wieczorem herbatę, odezwałem się:

— Nie bądźże ty głupi i zjdz kiedy do Hopfera. Stary ma duże pieniądze.

— A po cóż ja mam do niego chodzić... — odparł. — Byłem już chyba dosyć...

Przy tych wyrazach wstrząsnął się.

— Po to masz chodzić, że Kasia jest w tobie zakochana — rzekłem.

— Dajże mi pokój z Kasią!... — przerwał. — Dziewczyna dobra z kośćmi, nieraz ukradkiem przyszywała mi oberwany guzik do paltota albo podrzucała mi kwiatek na okno, ale ona nie dla mnie, ja nie dla niej.

— Gołąbek, nie dziecko! — wtrąciłem.

— W tym całe nieszczęście, bo ja nie jestem gołąbek. Mnie przywiązać mogłaby taka tylko kobieta jak ja sam. A takiej jeszcze nie spotkał.

(Spotkał taką w szesnaście lat później i dalibóg, że nie ma się czym cieszyć!...)

Powoli Kasia przestała bywać w sklepie, a natomiast stary Hopfer złożył wizytę obojemu państwu Janom Minclom. Musiał im coś mówić o Stachu, gdyż na drugi dzień zbiegła na dół pani Małgorzata Minclowa i dalejże do mnie z pretensjami:

— Cóż to za lokatora ma pan Ignacy, za którym panny szaleją?... Cóż to za jakiś Wokulski?... Jasiu — zwróciła się do męża — dlaczego ten pan u nas nie był?... My go musimy wyswatać, Jasiu... Niech on zaraz przyjdzie na górę...

⁵⁶¹witrion — potoczna nazwa stężonego kwasu siarkowego; Wokulski otrzymuje z niego wodór do napełnienia balonu.

⁵⁶²kundmanka — stała klientka.

⁵⁶³norymberski sklep — sklep z drobną galanterią.

Miłość niespełniona

Swaty

— A niech sobie idzie na górę — odparł Jan Mincel — ale już co swatać, to nie będę. Jestem uczciwy kupiec i nie myślę zajmować się stręczycielstwem.

Pani Małgorzata ucałowała go w spoconą twarz, jakby to był jeszcze miodowy miesiąc, a on łagodnie odsunął ją i obtarł się fularzem.

— Heca z tymi babami! — mówił. — Koniecznie chcą ludzi wciągać w nieszczęście. Swataj sobie, swataj, nawet Hopfera, nie tylko Wokulskiego; ale pamiętaj, że ja za to płacić nie będę.

Od tej pory, ile razy Jaś Mincel poszedł na piwo albo do resursy, pani Małgorzata zapraszała do siebie na wieczór mnie i Wokulskiego. Stach zwykle szybko wypijał herbatę, nawet nie patrząc na panią Janową potem wsadziwszy ręce w kieszenie myślał zapewne o swoich balonach i milczał jak drewno, a nasza gospodyni nawracała go do miłości.

— Czy podobna, panie Wokulski, ażeby pan nigdy nie kochał się? — mówiła. — Ma pan, o ile wiem, że dwadzieścia osiem lat, prawie tyle co ja... I kiedy ja już od dawna uważam się za starą babę, pan wciąż jest niewiniątkiem...

Wokulski przekładał nogę na nogę, ale wciąż milczał.

— O! panna Katarzyna smaczny to kasek — mówiła gospodyni. — Oko ładne... (choć zdaje mi się, że ma skazę na lewym czy prawym?)... figurka niczego, chociaż musi mieć jedną łopatkę wyższą (ale to dodaje wdzięku). Nosek wprowadzie nie w moim guście, a usta trochę za duże, ale cóż to za dobra dziewczyna!... Gdyby tak trochę więcej rozumu... No, ale rozum, panie Wokulski, przychodzi kobietom dopiero około trzydziestego roku... Ja sama, kiedy byłam w wieku Kasi, byłam głupiutka jak kanarek...

Kochałam się w moim dzisiejszym mężu!...

Już za trzecią wizytą pani Małgorzata przyjęła nas w szlafrocisku (był to bardzo ładny szlafrocisk, obszyty koronkami), a na czwartą ja wcale nie zostałam zaproszony, tylko Stach. Nie wiem, dalibóg, o czym gadali. To przecie jest pewne, że Stach wracał do domu coraz więcej znudzony, narzekając, że mu baba czas zabiera, a znowu pani Małgorzata tłumaczyła mężowi, że ten Wokulski jest bardzo głupi i że niemało jeszcze musi napracować się, nim go wyswata.

— Pracuj, kochanie, pracuj nad nim — zachęcał ją mąż — bo szkoda dziewczyny, no i Wokulskiego. Strach pomyśleć, że taki porządny chłopak, który tyle lat był subiektem, który może odziedziczyć sklep po Hopferze, chce zmarnować się w uniwersytecie. Tfy!....

Utwierdzona w dobrych postanowieniach pani Jasiowa już nie tylko w wieczór zapraszała Wokulskiego na herbatę, na którą on po największej części nie chodził, ale jeszcze sama nieraz zbiegała do mego pokoju, troskliwie wypytując Stacha, czy nie jest chory, i dziwiąc się, że się jeszcze nie kochał, on, prawie starszy od niej (myślę, że ona była trochę starsza od niego). Jednocześnie zaczęła kobieta dostawać jakichś płaczów i śmiechów, wymyślać mężowi, który na całe dni uciekał z domu, i występować z pretensjami do mnie, że jestem niedołęgą, że nie rozumiem życia, że przyjmuję na lokatorów ludzi podejrzaných...

Słowem wywiązały się takie awantury w domu, że Jaś Mincel schudł, pomimo że coraz więcej pił piwa, a ja myślałam: jedno z dwojga... Albo podziękuję Minclowi za obowiązek, albo wypowiem lokal Stachowi.

Skąd, u licha, dowiedziała się o moich troskach pani Małgorzata? nie mam świadomości. Dość, że wpadła raz wieczorem do mego pokoju, powiedziała mi, że jestem jej wrogiem i że muszę być bardzo podły, skoro wymawiam mieszkanie tak dzielnemu człowiekowi, jak Wokulski... Potem dodała, że jej mąż jest podły, że Wokulski jest podły, że wszyscy mężczyźni są podli, i nareszcie na mojej własnej kanapie dostała spazmów.

Sceny takie powtarzały się przez kilka dni z rzędu i nie wiem, do czego by doszło, gdyby nie położył im kresu jeden z najdziwniejszych wypadków, jakie widziałem.

Pewnego razu zaprosił Machalski mnie i Wokulskiego do siebie na wieczór.

Poszliśmy tam dobrze po dziewiątej i gdzieżby, jeżeli nie do jego ulubionej piwnicy, w której przy migotaniu trzech łojowych świeczek zobaczyłem kilkanaście osób, a między nimi pana Leona. Nigdy chyba nie zapomnę gromady tych, po największej części młodych twarzy, które ukazywały się na tle czarnych ścian piwnicy, wyglądały spoza okutych beczek albo rozpyływały się w ciemności.

Ponieważ gościnny Machalski już na schodach przyjął nas ogromnymi kielichami wina (i to wcale dobrego), a mnie wziął w szczególną opiekę, muszę więc przyznać, że

Kobieta, Rozum

od razu zaszumiało mi w głowie, a w kilka minut później byłem kompletnie zapity. Usiadłem więc z dala od uczty, w głębokiej framudze, i odurzony, w półśnie, półjawie, przypatrywałem się współbiesiadnikom.

Co się tam działo, dobrze nie wiem, bo najdziwsze fantazje przebiegały mi po głowie. Marzyło mi się, że pan Leon mówi, jak zwykle, o potędze wiary, o upadku duchów i o potrzebie poświęcenia, czemu głośno wtórowali obecni. Zgodny chór jednakże osłabnął, gdy pan Leon zaczął tłumaczyć, że należałoby nareszcie wypróbować owej gotowości do czynu. Musiałem być bardzo nietrzeźwy, skoro przywidziało mi się, że pan Leon proponuje, ażeby kto z obecnych skoczył z Nowego Zjazdu na bruk idącej pod nim ulicy⁵⁶⁴, i że na to wszyscy umilkli jak jeden mąż, a wielu pochowało się za beczki.

— Więc nikt nie zdecyduje się na próbę?!... — krzyknął pan Leon załamując ręce.

Milczenie. W piwnicy zrobiło się pusto.

— Więc nikt?... nikt?...

— Ja — odpowiedział jakiś prawie obcy mi głos.

Spojrzałem. Przy dogorywającej świeczce stał Wokulski.

Wino Machalskiego było tak mocne, że w tej chwili straciłem przytomność.

Po uczcie w piwnicy Stach przez kilka dni nie pokazał się w mieszkaniu. Nareszcie przyszedł — w cudzej odzieży, zmizerowany, ale z zadartą głową. Wtedy pierwszy raz usłyszałem w jego głosie jakiś twardy ton, który do dziś dnia robi mi przykre wrażenie.

Od tej pory zupełnie zmienił tryb życia. Swoją balon z wiatrakiem rzucił w kąt, gdzie go niebawem zasnęła pajęczyna; butlę do robienia gazów oddał stróżowi na wodę, do książek nawet nie zaglądał. I tak leżały skarbnice ludzkiej mądrości, jedne na półce, inne na stole, jedne zamknięte, inne otwarte, a on tymczasem...

Niekiedy po parę dni nie bywał w domu, nawet na nocleg; to znowu wpadał z wieczora i w odzieniu rzucał się na nieposłane łóżko. Czasami zamiast niego przychodziło kilku nieznanych mi panów, którzy nocowali na kanapce, na łóżku Stacha, nawet na moim własnym, nie tylko nie dziękując mi, ale nawet nie mówiąc: jak się nazywają i w jakiej branży pracują? A znowu kiedy indziej zjawiał się sam Stach i siedział w pokoju parę dni bez zajęcia, rozdrażniony, ciągle nadśledzający, jak kochanek, który przyszedł na schadzkę z mężatką, lecz zamiast niej spodziewa się zobaczyć męża.

Nie posądzam, ażeby Małgosia Minclowa miała być tą mężatką, gdyż i ona wyglądała, jakby ją giez ukąsił. Z rana oblatywała kobieta ze trzy kościoły⁵⁶⁵, widocznie pragnąc niepokoić z kilku stron miłosiernego Boga. Zaraz po obiedzie zbierała się u niej jakaś sesja dam, które w oczekiwaniu doniosłych wypadków opuszczały mężów i dzieci, ażeby zajmować się plotkami. Nad wieczorem zaś schodzili się do niej panowie; ale ci, nawet nie gadając z panią Małgorzatą, odsyłali ją do kuchni.

Nic dziwnego, że przy takim chaosie w domu i mnie w końcu zaczęły się mieszać klepki. Zdawało mi się, że w Warszawie jest ciasniej i że wszyscy są odurzeni. Co godzinę oczekiwałem jakiejś nieokreślonej niespodzianki, lecz mimo to wszyscy mieliśmy doskonały humor i głowy pełne projektów.

Tymczasem Jaś Mincel, dręczony w domu przez żonę, od samego rana szedł na piwo i wracał aż wieczorem. Wynalazł nawet przysłowie: „Co tam!... Raz kozie śmierć...”, które powtarzał do końca życia.

Nareszcie pewnego dnia Stach Wokulski całkiem zniknął mi z oczu. Dopiero we dwa lata napisał do mnie list z Irkucka prosząc, abym mu przysłał jego książki.

W jesieni, w roku 1870 (właśnie wróciłem od Jasia Mincla, który już leżał w łóżku), siedzę sobie w moim pokoju po wieczornej herbacie, nagle ktoś puka do drzwi.

— *Herein!*⁵⁶⁶ — mówię.

Drzwi skrzyp... Patrzę, stoi na progu jakaś brodata bestia, w paltocie z foczej skóry, odwróconej włosem na wierzch.

Czyn, Duch

Kobieta

⁵⁶⁴z Nowego Zjazdu na bruk idącej pod nim ulicy — wysokość łuków Nowego Zjazdu dochodziła do 13 m. Sądząc z dalszego ciągu pamiętnika „próba” ta zastępuje jakąś niebezpieczną akcją konspiracyjną (prawdopodobnie udział w jednym z zamachów terrorystycznych organizowanych przez „czerwonych”), o której Prus nie mógł wprost napisać ze względu na cenzurę.

⁵⁶⁵oblatywała kobietą ze trzy kościoły... — nabożeństwa w kościołach warszawskich stawały się wówczas często manifestacjami patriotycznymi.

⁵⁶⁶*Herein!* — Wejść! (niem.)

— No — mówię — niech mnie diabli wezmą, jeżeliś ty nie Wokulski...
— On sam — odpowiada jegomość w foczej skórze.
— W imię Ojca i Syna!... — mówię. — Kpisz — mówię — czy o drogę pytasz?...
skądś się tu wziął? Chyba że jesteś duszą zmarłą...
— Jestem żywy — on mówi — nawet jeść mi się chce.
Zdjął czapkę, zdjął futro, usiadł przy świecy. Jużci Wokulski. Broda jak u zbója, pysk jak u Longina, co to Chrystusowi Panu bok przebił, ale — oczywisty Wokulski...
— Wróciłeś — mówię — czyś tylko przyjechał?
— Wróciłem.
— Cóż kraj tamtejszy?
— Niczego.
— Phi!... A ludzie? — pytam.
— Niezgorsi.
— Fiu!... A z czego żyłeś?
— Z lekcji — mówi. — Jeszcze przywiozłem ze sześćset rubli.
— Fiu!... fiu!... A co myślisz robić?
— No, jużci do Hopfera nie wrócę — odparł uderzając pięścią w stół. — Chyba nie wiesz — dodał — że jestem uczonym; mam nawet rozmaite podziękowania od petersburskich naukowych towarzystw...

„Subiekt od Hopfera — został uczonym!... Stach Wokulski ma podziękowania od petersburskich towarzystw naukowych!... Istna heca...” — pomyślałem.

Co tu dużo gadać. Uplacował się chłopak gdzieś na Starym Mieście i przez pół roku żył ze swej gotówki kupując za nią dużo książek, ale mało jedzenia. Wydawszy pieniądze począł szukać roboty, i wtedy — trafiła się rzecz dziwna. Kupcy nie dali mu roboty, gdyż był uczonym, a uczeni nie dali mu także, ponieważ był eks-subiektem. Został tedy, jak Twardowski⁵⁶⁷, uczepiony między niebem a ziemią. Może rozbiłby sobie łeb gdzie pod Nowym Zjazdem, gdybym od czasu do czasu nie przyszedł mu z pomocą.

Strach, jak ciężkim było jego życie. Zmizerniał, sposepniał, zdziczał... Ale nie narzekał. Raz tylko, kiedy mu powiedziano, że dla takich jak on nie ma tu miejsca, szepnął:

— Oszukano mnie...

W tym czasie umarł Jaś Mincel. Wdowa pogrzebała go po chrześcijańsku, przez tydzień nie wychodziła ze swych pokojów, a po tygodniu zawołała mnie na konferencję.

Myślałem, że będziemy mówili z nią o interesach sklepowych, tym bardziej, że spostrzegłem butelkę dobrego węgryna na stole. Ale pani Małgorzata ani zapytała o losy sklepu. Zapłakała na mój widok, jakbym jej przypomniał tydzień temu pochowanego nieboszczyka, i nalawszy mi wina spory kieliszek rzekła jęklwym głosem:

— Kiedy zgasł mój anioł, myślałam, że tylko ja jestem nieszczęśliwa...

— Co za anioł? — spytałem nagle. — Może Jaś Mincel?... Pozwoli pani, że choć byłem szczerym przyjacielem nieboszczyka, nie myślę jednak nazywać aniołem osoby, która nawet po śmierci ważyła ze dwieście funtów...

— Za życia ważył ze trzysta... słyszałeś pan? — wtrąciła niepokieszona wdowa. Wtem znowu zasłoniła twarz chustką i rzekła szlochając:

— O! pan nigdy nie będziesz miał taktu, panie Rzecki... O! co za cios!... Prawda, że nieboszczyk, dokładnie mówiąc, nigdy nie był aniołem, osobliwie w ostatnich czasach, ale zawsze straszne spotkało mnie nieszczęście... Nieopłakane, niepowetowane!...

— No, przez ostatnie pół roku...

— Co pan mówisz — pół roku?... — zawołała. — Nieszczęśliwy mój Jaś był ze trzy lata chory, a z osiem... Ach, panie Rzecki! iluż nieszczęść w małżeństwie jest źródłem to okropne piwo... Przez osiem lat, panie, jakbym nie miała męża... Ale co to był za człowiek, panie Rzecki!... Dziś dopiero czuję cały ogrom mego nieszczęścia...

— Bywają większe — odważyłem się wtrącić.

— O tak! — jęknęła biedna wdowa. — Ma pan zupełną rację, bywają większe nieszczęścia. Ten na przykład Wokulski, który podobno już wrócił... Czy prawda, że dotychczas nie znalazł żadnego zajęcia?

⁵⁶⁷Twardowski — legendarny czarnoksiężnik polski, który zaprzedał duszę diabłu. Według podania — uratowany swą modlitwą przed piekłem zamieszkał na księżycu.

— Najmniejszego.
— Gdzież jada? gdzie mieszka?...
— Gdzie jada?... Nie wiem nawet, czy w ogóle jada. A gdzie mieszka?... Nigdzie.
— Okropność! — zapłakała pani Małgorzata. — Zdaje mi się — dodała po chwili — że spełnię ostatnią wolę mego kochanego nieboszczyka, jeżeli poproszę pana, ażebyś...
— Słucham panią.
— Ażebyś dał mu mieszkanie u siebie, a ja będę wam przysyłać na dół po dwa obiady, dwa śniadania...
— Wokulski tego nie przyjmie — odezwał się.

Na to pani Małgorzata znowu w płacz. Z rozpaczy po śmierci męża wpadła nawet w taki gniew zapalczywy, że nazwała mnie ze trzy razy niedołęgą, człowiekiem nie znającym życia, potworem... Nareszcie powiedziała mi, żebym poszedł precz, gdyż ona sama da sobie radę ze sklepem. Potem przeprosiła mnie i zaklęła na wszystkie sakramenta, abym nie obrażał się za słowa, które jej żal dyktuje.

Od tego dnia bardzo rzadko widywałem się z naszą pryncypałową. W pół roku zaś później Stach powiedział mi, że... żeni się z panią Małgorzatą Mincel.

Popatrzyłem na niego... Machnął ręką.

— Wiem — powiedział — że jestem świnią. Ale... jeszcze najmniejsza z tych, jakie tu u was cieszą się publicznym szacunkiem.

Po hucznym weselu, na którym (nie wiem nawet skąd) znalazło się mnóstwo przyjaciół Wokulskiego (a jedli, bestie!... a pili zdrowie państwa młodych — garncami!...), Stach sprowadził się na górę, do swojej żony. O ile pamiętam, za całą garderobę miał cztery paki książek i naukowych instrumentów, a z mebli — chyba tylko cybuch i pudło na kapelusz.

Subiekci śmieli się (naturalnie po kątach) z nowego pryncypała; mnie zaś było przykro, że Stach tak od ręki zerwał ze swoją bohaterską przeszłością i niedostatkiem. Dziwna bowiem jest natura ludzka: im mniej sami mamy skłonności do męczeństwa, tym natarczywiej żądamy go od bliźnich.

— Sprzedał się starej babie — mówili znajomi — ten niby to Brutus⁵⁶⁸!... Uczył się, awanturował się i... klap!...

W liczbie zaś najsurowszych sędziów znajdowali się dwaj odpaleni konkurenci pani Małgorzaty.

Stach jednakże bardzo prędko zamknął ludziom usta, ponieważ od razu wziął się do roboty. Może w tydzień po ślubie przyszedł o ósmej rano do sklepu, zajął przy biurku miejsce nieboszczyka Mincla i obsługiwał gości, rachował, wydawał resztę, jak gdyby był tylko płatnym subiektem.

Zrobił nawet więcej, bo już w drugim roku wszedł w stosunki z moskiewskimi kupcami, co bardzo korzystnie oddziaływało na interesy. Mogę powiedzieć, że za jego rządów potroili się nasze obroty.

Odetchnąłem widząc, że Wokulski nie myśli darmo jeść chleba; a i subiekci przestali się uśmiechać przekonawszy się, że Stach w sklepie więcej pracuje niż oni, i w dodatku — ma jeszcze niemałe obowiązki na górze. My odpoczywaliśmy przynajmniej w święta; podczas gdy on, nieborak, właśnie w święto od rana musiał brać żonę pod pachę i maszerować — przed południem do kościoła, po południu — z wizytami, wieczorem do teatru.

Przy młodym mężu z panią Małgorzatą jakby nowy duch wstąpił. Kupiła sobie fortepian i zaczęła uczyć się muzyki od jakiegoś starego profesora, ażeby — jak mówiła — „nie budził w Stasieczku zazdrości”. Godziny zaś wolne od fortepianu przepędzała na konferencjach z szewcami, modystkami, fryzjerami i dentystami robiąc się przy ich pomocy co dzień piękniejsza.

A jaka ona była tkliwa dla męża!... Nieraz przesiadywała po kilka godzin w sklepie, tylko wpatrując się w Stasiulka. Dostrzegłszy zaś, że między kundmankami trafiają się przystojne, cofnęła Stacha z sali frontowej za szafy i jeszcze kazała mu zrobić tam budkę, w której, siedząc jak dzikie zwierzę, prowadził księgi sklepowe.

Małżeństwo, Przemiana

Małżeństwo, Mąż,
Obowiązek, Przemiana,
Żona

⁵⁶⁸Brutus — Lucjusz Juniusz (pierwszy konsul rzymski, VI w. p.n.e.) i Marek Juniusz (85–42 p.n.e.); postacie z historii starożytnego Rzymu, uważane za wzory cnót obywatelskich.

Pewnego dnia słyszę w owej budce straszny łoskot... Wpadam ja, wpadają subieci... Co za widok!... Pani Małgorzata leży na podłodze przywalona biurkiem i obłana atramentem, krzesło złamane, Stach zły i zmieszany... Podnieśliśmy płaczącą z bólu jejmość i z rozmaitych jej półsłówek domyśliśmy się, że to ona sama narobiła tego rwetesu usiadłszy niespodzianie na kolanach mężowi. Kruche krzesło złamało się pod dubeltowym ciężarem, a jejmość chcąc ratować się od upadku chwyciła za biurko i z całym kramem obaliła je na siebie.

Stach z wielkim spokojem przyjmował hałaśliwe dowody małżeńskiej czułości, na pociechę topiąc się w rachunkach i korespondencjach kupieckich. Jejmość zaś, zamiast ochłonać, gorączkowała się coraz bardziej; a gdy jej mąż, znudzony siedzeniem czy też dla załatwienia jakiegoś interesu, wyszedł kiedy na miasto, biegła za nim... podpatrywać, czy nie idzie na schadzkę!...

Niekiedy, osobliwie podczas zimy, Stach wymykał się na tydzień z domu do znajomego leśnika, polował tam całe dni i włóczył się po lasach. Wówczas pani już trzeciego dnia jechała w pogoń za swym kochanym zbiegiem, chodziła za nim po gąszczu i w rezultacie — przywoziła chłopą do Warszawy.

Przez dwa pierwsze lata tego rygoru Wokulski milczał. W trzecim roku poczył co wieczór zachodzić do mego pokoju na gawędkę o polityce. Czasami, gdyśmy się rozgadali o dawnych czasach, on obejrzawszy się po pokoju nagle urywał poprzednią rozmowę i zaczynał jakąś nową:

— Słuchaj mnie, Ignacy...

Wtedy jednakże, jakby na komendę, wpadała z góry służąca wołając:

— Pani prosi!... pani chora!...

A on, biedak, machał ręką i szedł do jejmości nie zaczawszy nawet tego, co chciał mi powiedzieć.

Po upływie trzech lat takiego życia, któremu zresztą nie można było nic zarzucić, poznałem, że stalowy ten człowiek zaczyna się giąć w aksamitnych objęciach jejmości. Pobladał, pochylał się, zarzucił swoje uczone książki, a wziął się do czytania gazet i każdą chwilę wolną przepędzał ze mną na rozmowie o polityce. Czasami opuszczał sklep przed ósmą i zabrawszy jejmość szedł z nią do teatru albo z wizytą, a nareszcie — zaprowadził u siebie przyjęcia wieczorne, na których zbierały się damy, stare jak grzech śmiertelny, i panowie, już pobierający emeryturę i grający w wista.

Stach jeszcze z nimi nie grał; chodził dopiero około stolików i przypatrywał się.

— Stachu — mówiłem nieraz — strzeż się!... Masz czterdzieści trzy lat... W tym wieku Bismarck dopiero zaczynał karierę...

Takie albo tym podobne wyrazy budziły go na chwilę. Rzucił się wtedy na fotel i oparłszy głowę na rękę myślał. Wnet jednak biegła do niego pani Małgorzata wołając:

— Stasiulku! znowu się zamyślasz, to bardzo źle... A tam panowie nie mają wina...

Stach podnosił się, wydostawał nową butelkę z kredensu, nalewał wino w osiem kieliszków i obchodził stoły, przypatrując się, jak panowie grają w wista.

W ten sposób powoli i stopniowo lew przerabiał się na wołu. Kiedym go widział w tureckim szlafroku, w haftowanych paciorkami pantoflach i w czapeczce z jedwabnym kutasem, nie mogłem wyobrazić sobie, że jest to ten sam Wokulski, który przed czterema laty w piwnicy Machalskiego zawołał:

— Ja!...

Kiedy Kochanowski pisał: „Na lwa srogięgo bez obawy siędziesz i na ogromnym smoku jeździć będziesz”⁵⁶⁹ — z pewnością miał na myśli kobietę... To są ujeżdżacze i pogromcy męskiego rodu!

Tymczasem w piątym roku pożycia pani Małgorzata nagle poczęła się malować... Zrazu nieznacznie, potem coraz energiczniej i coraz nowymi środkami... Usłyszawszy zaś o jakimś likworze⁵⁷⁰, który damom w wieku miał przywracać świeżość i wdzięk młodości, wytarła się nim pewnego wieczora tak starannie od stóp do głów, że tej samej nocy wezwani na pomoc lekarze już nie mogli jej odratować. I zmarło, biedactwo, niespełna we

Zazdrość

Kobieta

Kobieta, Próżność, Starość,
Uroda

⁵⁶⁹ Na lwa srogięgo bez obawy siędziesz... — cytat z psalmu XCI w przekładzie Jana Kochanowskiego.

⁵⁷⁰ likwor — płyn.

dwie doby na zakażenie krwi, tyle tylko mając przytomności, aby wezwać rejenta i cały majątek przekazać swemu Stasiulkowi.

Stach i po tym nieszczęściu milczał, ale osowiał jeszcze bardziej. Mając kilka tysięcy rubli dochodu przestał zajmować się handlem, zerwał ze znajomymi i zagrzebał się w naukowych książkach.

Nieraz mówiłem mu: wejdź między ludzi, zabaw się, jesteś przecie młody i możesz drugi raz ożenić się...

Na nic wszystko...

Pewnego dnia (w pół roku po śmierci pani Małgorzaty) widząc, że mi chłopak w oczach dziadziej, podsunąłem mu projekt:

— Idź, Stachu, do teatru... Grają dziś Violetkę; przecie byliście na niej z nieboszczką ostatni raz...

Zerwał się z kanapy, na której czytał książkę, i rzekł:

— Wiesz... masz rację... Zobaczę, jak to dziś wygląda...

Poszedł do teatru i... na drugi dzień nie mogłem go poznać: w starcu ocknął się mój Stach Wokulski. Wyprostował się, oko nabrało blasku, głos siły...

Od tej pory chodził na wszelkie przedstawienia, koncerty i odczyty.

Wkrótce pojechał do Bułgarii, gdzie zdobył swój olbrzymi majątek, a w parę miesięcy po jego powrocie jedna stara plotkarka (pani Meliton) powiedziała mi, że Stach jest zakochany...

Roześmiałem się z tej gawędy, bo przecie kto się kocha, nie wyjeżdża na wojnę. Dopiero teraz, niestety! zaczynam przypuszczać, że baba miała rację...

Chociaż z tym odrodzonym Stachem Wokulskim człowiek nie jest pewny. A nuż?... O, to śmiałybym się z doktora Szumana, który tak żartuje z polityki!...

Ten utwór nie jest chroniony prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://www.wolnelektury.pl/katalog/lektura/lalka-tom-pierwszy>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, *Lalka*, przedm. Henryk Markiewicz, PIW, wyd. 31, Warszawa 1975

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Olga Sutkowska.

Okładka na podstawie: [seyed mostafa zamani@Flickr](https://www.flickr.com/photos/seyedmostafa/), CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na [stronie wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły](https://www.flickr.com/photos/seyedmostafa/) na stronie Fundacji.